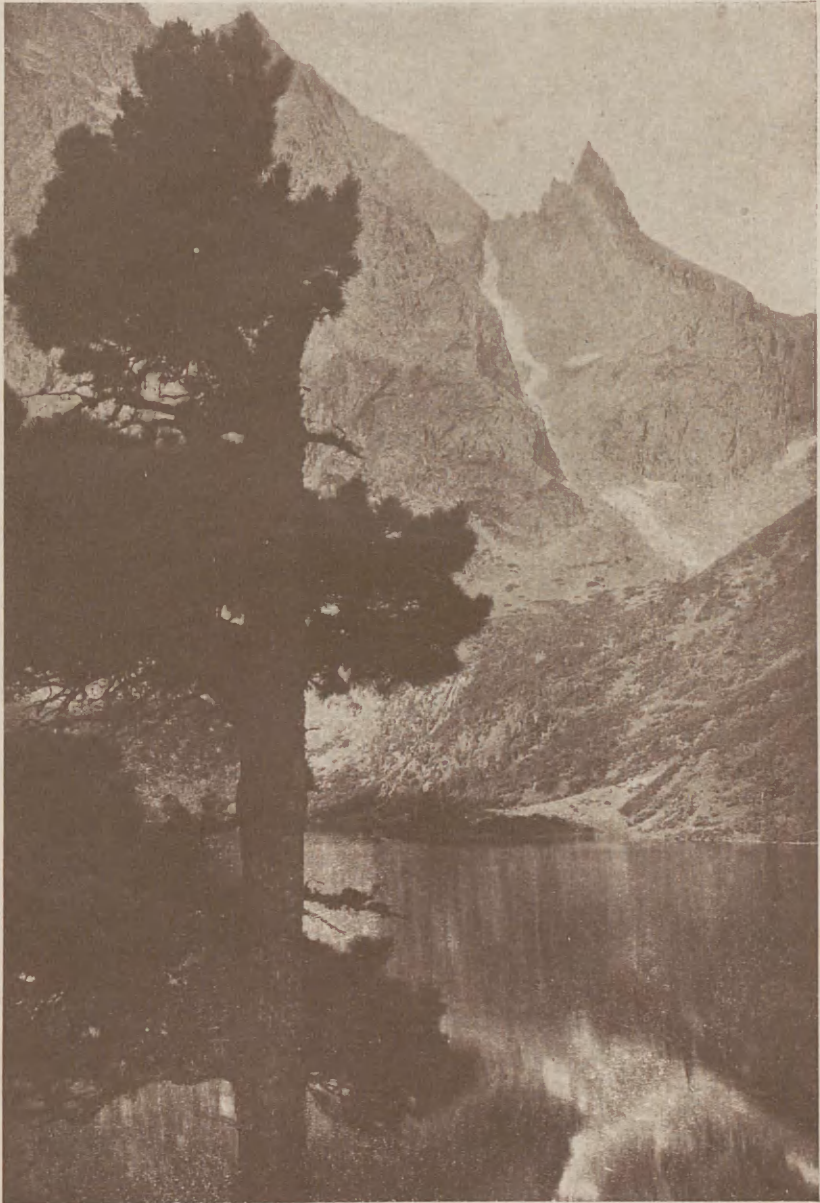


WIERCHY



KSIĘGARNIA WYDAWNICZA H. ALTENBERGA WE LWOWIE 1923

WIERCHY

WIERCHY

ROCZNIK POŚWIĘCONY GÓROM I GÓRALSZCZYŹNIE



WYDANY STARANIEM ODDZIAŁU LWOWSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
POD REDAKCJĄ PROF. DR. JANA GW. PAWLIKOWSKIEGO (RED. NACZ.), PROF. DR. ADOLFA
CHYBIŃSKIEGO, DR. ROMANA KORDYSA, KUSTO-
SZA MUZEUM TATRZ. JULJUSZA ZBOROWSKIEGO

ROK PIERWSZY

KSIEGARNIA WYDAWNICZA H. ALTENBERGA WE LWOWIE 1923



P 1623

91(23): 496.52](058)

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO.

Macierzy swojej
Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu
w roku półwiekowego jubileuszu
1923

ofiaruje

Oddział Lwowski.

P. T. T.

1873—1923.

Działalność Pol. Tow. Tatrzańskiego w ciągu 50 lat jego istnienia. — Zestawił Tadeusz Dropiowski. — Towarzystwo Tatrzańskie stojące na straży skarbnicy tych idealnych wartości, jakie przedstawiają nasze góry, święci jubileuszowe gody. Lat 50 to w życiu Towarzystwa duży szmat czasu a w nim okres wielkiej wojny, okres przeobrażania naszego bytu politycznego. Dla Towarzystwa to zamknięta epoka; dziś otwiera się nowy okres. Warto więc rzucić okiem na całość dokonanych prac, aby zacerpnąć przeświadczenia o żywotności Towarzystwa i otuchy na przyszłość.

1. Prace naukowe. Cele naukowe (umiejętne badanie gór polskich) stawiało T. T. z początku na pierwszym miejscu; teren, na którym się miała tak bujnie rozwinąć turystyka, musiał być pierwaj bliżej poznany. T. T. założone w r. 1873 zaczęło wydawać w r. 1876 Pamiętnik T. T., który (z przerwami w latach wojny) ukazywał się corocznie jako spory tom będący premją dla członków. W nich bogaty dorobek naukowy dający poznać Tatry i Karpaty pod względem etnograficznym i przyrodniczym; obszerne sprawozdania meteorologiczne ważne dla klimatologii gór i ziem polskich. Towarzystwo łożyło corocznie znaczne sumy na subwencje naukowe i utrzymywało stacje meteorologiczne, zainicjowało Muzeum tatrzańskie w Zakopanem, gdzie przy poparciu T. T. stanął okazały gmach tej siostrzanej instytucji.

W r. 1911 dla pielęgnowania nauki powstały osobne Sekcje: przyrodnicza i ludoznawcza. W pamiętniku też drukowało Towarzystwo prace literackie, opisy wycieczek, tudzież piękne ryciny, będące źródłem zachęty do zwiedzania gór. Nadto wydawało serje reprodukcij popularyzujących nasze góry. W r. 1879 urządziło T. T. (Oddział czarnohorski) wystawę etnograficzną w Kołomyji; w r. 1903 wydało mapę Tatr z nomenklaturą polską. Brało udział w Kongresach naukowych i podejmowało gościnnie zjazdy naukowe w Zakopanem.

2. Rozwój Zakopanego i Szkoła przemysłu drzewnego. Usiłowaniom T. T. w pierwszym rzędzie zawdzięcza Zakopane, że z zapadłej wsi górskiej zmieniło się w stację klimatyczną i letnią stolicę Polski.

Przed r. 1873 nie było w Zakopanem ani restauracyj, ani sklepów, mieszkało się w chatach góralskich, nie było bitych dróg, chodników, oświetlenia. Towarzystwo od początku budowało i naprawiało własnym kosztem drogi w obrębie Zakopanego, ustawiało swoim kosztem latarnie i oświetlało Zako-

pane. W r. 1876 spowodowało otwarcie Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem celem uprzemysłowienia biednej wsi górskiej i podniesienia dobrobytu.

W r. 1878 Szkołę przejmuje na swój koszt państwo, Towarzystwo jednak daje lokal, światło, opał i subwencję na materiały. W r. 1883 Towarzystwo stawia własnym kosztem na swym gruncie budynek dla Szkoły, która odtąd coraz pomyślniej się rozwija i rozszerza. Towarzystwo czyni starania o reorganizację szkół ludowych w Zakopanem i Czarnym Dunajcu. Zaraz w początkach w r. 1874 otwiera kasyno w Zakopanem z czytelnią i biblioteką, gdzie koncentruje się przez szereg lat życie gości. W r. 1882 buduje własny dworzec tatrzański drewniany, a po spaleniu jego murowany w r. 1903. Od roku 1813 używa w dworcu lokalu Tow. Biblioteki publicznej. Za staraniem Towarzystwa Sejm krajowy przejmuje na fundusz krajowy drogę Nowy Targ — Zakopane i buduje gościniec w r. 1881. W r. 1882 za staraniem Towarzystwa i wydatnem przyczynieniem się do kosztów, Zakopane uzyskuje urząd telegraficzny, a w r. 1885 połączenie kolejowe z Chabówką. Za staraniem Towarzystwa Zakopane zostaje zamienione na stację klimatyczną w r. 1886.

3. Uprzysiężenie gór. Przed rozpoczęciem działalności T. T. Tatry i Karpaty były mało dostępne; nie było dróg, ścieżek, nie było schronisk; każda wyprawa w góry była trudnem i śmiałem przedsięwzięciem.

T. T. już w r. 1874 wybudowało pierwsze schronisko w Tatrach przy Morskiem Oku im. Staszica o 3-ich izbach z kuchnią, sienią i werandą i zajęło się poprawą drogi do Morskiego Oka.

W r. 1875 wybudowano pierwszą altanę w dolinie Kościeliskiej i schronisko granitowe z gankiem drewnianym pod Krzyżnem im. M. Nowickiego.

W r. 1876 wybudowano drewniane schronisko im. Pola w Roztoce o 2 izbach i sieni i schronisko granitowe Zejsznera w Dolinie „Pięciu Stawów“.

W r. 1877 T. T. dało inicjatywę do wybudowania węgierskiego schroniska „Salamona“ pod Wysoką w dolinie Białej Wody.

W r. 1878 powstaje pierwsze schronisko na Czarnohorze przy poparciu Oddziału czarnohorskiego w Kołomyży.

W r. 1879 Oddział stanisławowski buduje schronisko pod Howerlą w Czarnohorze, w r. 1881 schronisko „na Zawojeli“ w Czarnohorze, w r. 1882 Oddział czarnohorski buduje schronisko pod Pop Iwanem.

W latach 1886—1898 budowa drogi bitej w dolinie Kościeliskiej i Strążyskiej z pomocą dworu zakopiańskiego.

W r. 1891 zbudowano drugie schronisko przy Morskiem Oku o 25 pokojach, a w r. 1892 rozszerzono stare (8 izb), otworzono schronisko na Hali Gąsienicowej i zbudowano szereg altan.

W r. 1895 postawiono schronisko w dolinie Ciemnych Smreczyn.

W r. 1896 rozszerzono schronisko na Hali Gąsienicowej.

W latach 1898—1900 nowe schronisko drewniane w Dolinie Pięciu Stawów.

W r. 1899 prowizoryczne schronisko przy Morskiem Oku po spaleniu dawnego.

W r. 1900 wykończono gościniec do Morskiego Oka za staraniem T. T. zbudowany z funduszów krajowych.

W r. 1903 budowa „Orlej Perci“ przez ks. Gadowskiego subwencjonowana przez T. T.

W latach 1904 i 1906 budowa schronisk w Pieninach przez Oddział pieniński.

W r. 1906 schronisko na Babiej Górze zbudowane przez Oddział babiogórski, rozszerzone w r. 1922.

W r. 1908 budowa nowego schroniska nad Morskim Okiem kosztem 80.000 K.

W r. 1909 powstaje schronisko narciarskie na Hali Pyszej.

W r. 1912 budowa nowego schroniska w Roztoce i schroniska narciarskiego w Dolinie Starorobociańskiej.

W r. 1921 rozpoczęcie monumentalnego schroniska granitowego na Hali Gąsienicowej przez Oddział warszawski. W r. 1922 otworzono w Dworcu Tatrzańskim schronisko turystyczne na 25 łóżek.

Pozatem T. T. robiło corocznie ścieżki turystyczne i znaczyło szlaki w Tatrach i Karpatach; w Tatrach trudne a licznie uczęszczane miejsca opatrzone klamrami i łańcuchami, budowano mostki i kładki na potokach. Ścieżki bliższe miejsc klimatycznych lub schronisk opatrywano ławeczkami n. p. drogę „Pod Regle“ lub ścieżkę „Nad Regłami“ w Tatrach, stawiano altany dla ochrony od deszczu. Oddział czarnohorski zbudował w Worochcie i Żabiu dworki, jako punkty wyjścia w Czarnohorę. Te roboty pochłaniały corocznie duże kwoty. Nadto rozciągnęło T. T. od r. 1887 ścisłą pieczę nad przewodnictwem w górach. Dziś już udostępnianie Tatr można uważać za ukończone w głównych zarysach; w nowym okresie życia T. T. będzie musiało raczej zwrócić uwagę na ochronę pierwotnego krajobrazu górskiego przed zbyt rzucającymi się w oczy śladami ręki ludzkiej. Natomiast jest jeszcze dużo do zrobienia w innych częściach Karpat.

4. Sporty górskie. Stosunek człowieka do górskiej przyrody ulega stopniowo zmianie. Ten fakt występuje wyraźnie w rozwoju turystyki górskiej w łonie T. T. Wycieczki naukowo-poznawcze ustępują miejsca wycieczkom dla nasycenia się pięknem gór; później pojawia się typ wycieczek sportowych, taternickich, uniezależnienie się od przewodnika, rozwiązywanie „problemów“, pielęgnowanie sprawności sportowej. To prowadzi do utworzenia w łonie T. T. w r. 1903 Sekcji turystycznej mającej charakter klubowy. Ta rozwinęła sport alpinistyczny w Tatrach, zdobyła niemal wszystkie ściany i granie, propagowała swój kierunek wydawnictwem pisma sportowego „Taternik“ od r. 1907, objęła czuwanie nad przewodnictwem, a nawet kształcenie przewodników taterników. Wszystkie te trzy rodzaje wycieczkowania są zresztą równouprawnione w T. T. jako odpowiadające różnym potrzebom natury ludzkiej i mogą istnieć obok siebie, a nawet kojarzyć się ze sobą.

Piękność gór w zimie otwarła szerokim kołom Sekcja narciarska założona w r. 1907. Ta zakłada i utrzymuje schroniska zimowe, znaczy szlaki narciarskie, urządza kursy narciarskie i wycieczki, pielęguje kierunek sportowy, buduje odskocznie, urządza zawody i bierze udział w zawodach międzynarodowych, stwarza w Zakopanem sezon zimowy, co je podnosi jako stację klimatyczną. Ten sport propagują i Oddziały n. p. Oddział „Beskid“ od r. 1907 i Oddział czarnohorski.

5. Ochrona przyrody górskiej. Rozwój turystyki sprawił, że przyszła kolej i na ten problem. T. T. od samego początku czuwało nad kozicą i świstakiem i zwalczało kłusownictwo i rabunkową trzebież lasów

w Tatrach, ale masowe wtargnięcia człowieka w góry dało poważny powód do obaw, że ich przyroda, skarbnica bezcennych idealnych wartości, ulegnie zniszczeniu.

Był czas, że powstała w T. T. wielka myśl zakupienia dóbr zakopiańskich i utworzenia z nich wielkiego rezerwatu czy parku narodowego; rozbiła się o brak poparcia i środków. W r. 1912 powstała w łonie T. T. Sekcja ochrony Tatr, zajmująca się ochroną flory, fauny i krajobrazu górskiego. Ta zwalczała podniesiony przez inż. Dzieślewskiego projekt kolejki pod Świnnicę i szerzyła ideę ochrony przyrody wogóle a ochrony Tatr w szczególności, przez odczyty i publikacje, jak: książka „Kultura a natura“ (1913) i broszura popularna „O celach i środkach ochrony przyrody“ (1919). Na Zjeździe jubileuszowym (1913 r.) ku uczczeniu czterdziestolecia Towarzystwa, referat o jego przyszłych zadaniach powierzony został w znamienny sposób właśnie prezesowi Sekcji ochrony Tatr. (Zob. publikację jubileuszową: „Czterdzieści lat istnienia T. T.“). W memorjale przedstawionym Wydziałowi głównemu T. T. rozwinęła Sekcja całość programu ochrony. Z chwilą powstania Państwowej Komisji Ochrony Przyrody Sekcja otrzymawszy delegaturę Komisji na Tatry opracowuje pod jej kierunkiem projekt utworzenia rezerwatu („parku narodowego“) tatrzańkiego. W opracowaniu Komisji jest również projekt rezerwatu w Pieninach i w Czarnohorze (Dancerz), w czym też przyjdzie Towarzystwu współdziałać.

6. Ochrona granic politycznych. T. T. dwa razy w ciągu swej działalności oddało narodowi nieocenione usługi w obronie narodowego stanu posiadania na południowej rubieży: w sporze o Morskie Oko i w walce o Spisz, Orawę, a specjalnie o Jaworzynę, co do której niebawem oczekiwać należy rozstrzygnięcia. W obu razach T. T. podjęło inicjatywę i pobudziło społeczeństwo do utworzenia odpowiednich organizacji dla obrony praw naszych, używając im wszelkiej możliwej pomocy. Wygranie procesu o Morskie Oko i odzyskanie części Spisza i Orawy zawdzięcza społeczeństwo polskie w znacznej mierze Towarzystwu. Z odzyskaniem Jaworzyny — co oby jak najrychlej nastąpiło — rozszerzą się płuca Polski, rozszerzy się teren turystyczny i pole działalności T. T. w Tatrach, Będzie to godnem ukoronowaniem pracowitego pięćdziesięciolecia.

7. Sprawy organizacyjne. Towarzystwo założone zostało w Zakopanem w r. 1873, siedzibą jest Kraków. W r. 1876 uchwalono statut dla Oddziałów i zawiązano Oddział stanisławowski, rozwiązany następnie w r. 1892. W r. 1877 zawiązano Oddział czarnohorski w Kołomyji. W r. 1882 powstaje Oddział lwowski rozwiązany w r. 1887. W r. 1893 powstaje Oddział pieniński w Szczawnicy, przeniesiony następnie do Krościenka, który jednak po wojnie przestał istnieć. W r. 1903 zawiązuje się Sekcja turystyczna w Zakopanem. W r. 1905 tworzy się Oddział babiogórski. W r. 1906 powstaje Tow. „Beskid“ w Nowym Sączu i zamienia się w r. 1907 w Oddział T. T. W r. 1907 zawiązuje się Sekcja narciarska (pierwotnie Zakopiański Oddział Narciarzy). W r. 1908 powstaje Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe w Zakopanem.

W r. 1911 powstają Sekcje przyrodnicza i ludoznawcza. W r. 1912 tworzy się Sekcja ochrony Tatr. W r. 1913 zawiązuje się Oddział „Gorce“ w Nowym Targu.

W ostatnich latach po wojnie powstały Oddziały warszawski, lwowski i poznański, a z reorganizacją T. T. w r. 1922 zamieniającą je na związek Oddziałów P. T. T., uformowały się Oddziały krakowski, łódzki, kielecki i zakopiański, a Tow. śląskie „Beskid“ oświadczyło gotowość przystąpienia do związku jako Oddział śląski; razem 12 Oddziałów i 5 Sekcyj.

Wielkie usługi oddawała Towarzystwu instytucja delegatów szczególnie w zaborze pruskim i rosyjskim przez utrzymywanie kontaktu z członkami i ściąganie składek. Ilość członków wynosiła z końcem roku 1922 ponad 3.000.

Prezesami T. T. byli: Od początku do r. 1885 hr. Mieczysław Rey; od 1885—1890 ks. Eustachy Sanguszko; od 1891—1893 hr. Władysław Koziebrodzki; od 1893—1899 hr. Stefan Zamojski, od 1899—1901 dr. Leon Biłiński; od 1901—1902 hr. Andrzej Potocki; od 1902—1912 hr. Antoni Wodzicki; od 1912—1922 dr. Władysław Szajnocha; od 1922 do dziś Jan Wacław Czerwiński.

* * *

Oto krótkie sprawozdanie z pięćdziesięcioletniej działalności P. T. T. Na te dzieje swoje może ono spoglądać z dumą i zadowoleniem. Czyżże to bowiem jak nie jego dzieło otwarcie tej bezcennej skarbnicy zdrowia, siły i piękna jaką dla narodu są Tatry i Karpaty. Ze skarbnicy tej korzystają masy coraz to większe, a rok jubileuszowy jest zarazem rokiem reorganizacji ustroju w kierunku przyciągnięcia zapomocą Oddziałów ku Towarzystwu i górom naszym sfer coraz to szerszych i dalszych. Rok jubileuszowy, będąc pamiątką długiego istnienia, jest zarazem rokiem odmłodzenia Towarzystwa.

Na nową drogę zaczęta pod dobrą wróżbą: Szczęść Boże!



SPIS RZECZY

	Str.
P. T. T. 1873—1923. (Działalność Pol. Tow. Tatrzańskiego w ciągu 50 lat jego istnienia). Zestawił <i>Tadeusz Dropiowski</i>	VII
Sprostowania i dopełnienia	XVI
Wicher (wiersz), <i>Michał Pawlikowski</i>	1
Dwie sprawy dla Tatr najważniejsze:	
I. Jaworzyna dla Polski (z mapką), <i>dr. Adolf Chybiński</i>	3
II. Tatry parkiem narodowym, <i>dr. Jan Gw. Pawlikowski</i>	12
Nieznane grotty doliny Kościeliskiej (z 4 planami grot i 4 ilustracjami), <i>Tadeusz Zwoliński</i>	26
Skarby w Tatrach:	
I. Znaki poszukiwaczy skarbów (z rysunkami), <i>dr. Konstanty Stecki</i>	43
II. Pieniądże zbójnickie, <i>Juljusz Zborowski</i>	49
Babia Góra (z 5 ilustracjami w tekście i 1 poza tekstem), <i>Kazimierz Sosnowski</i>	52
Sztuka górali szczawnickich (z 6 rysunkami autora), <i>Konstanty Kiellicz Rayski</i>	69
Z krainy regli (z 8 ilustracjami), <i>prof. Stanisław Sokołowski</i>	83
Czarny Staw (wiersz), <i>Maryla Wolska</i>	97
Z dawnej pasterskiej poezji i muzyki górali podhalańskich (z nutami), <i>dr. Adolf Chybiński</i>	98
Kamień na kamieniu. — Bubniska, Rozhureze, Urycz (z 6 ilustracjami), <i>Maryla Wolska</i>	111
O sposobie budowania schronisk w Tatrach, <i>arch. Karol Stryjeński</i>	126
Jak upiększyć Tatry? — List miłośnika gór do redakcji Wierchów (z 1 ilustracją)	128
Życie roślinne w Tatrach (z 4 ilustracjami), <i>dr. Konstanty Stecki</i>	145
Kłusownicy i zwierzyzna w Tatrach, <i>Stanisław Barabasz</i>	158
W sprawie ochrony kozic słów kilka, <i>dr. J. G. Pawlikowski</i>	185
Gdy luty mnie oduje wiatr (wiersz), <i>J. B. K.</i>	192
Wartość terenów jaworzyńskich dla turystyki polskiej (z 6 ilustr.), <i>dr. Mieczysław Świerż</i>	194
Jak „odkryliśmy“ Sławsko (z 3 ilustr.), <i>dr. Roman Kordys</i>	203
Zbójnicy (opowieść), <i>Michał Pawlikowski</i>	210
Rybołówstwo w górach, <i>dr. Tadeusz Gabryszewski</i>	217
Gorgany Zachodnie (z mapką i 5 ilustr.), <i>Adam Lenkiewicz</i>	225
Z niedawnej przeszłości Kuźnic zakopiańskich (z 1 ilustr.), <i>dr. Konstanty Stecki</i>	240
 Kronika.	
Reforma Pol. Tow. Tatrzańskiego, <i>dr. Roman Kordys</i>	245
Reorganizacja Muzeum Tatrzańskiego, <i>dr. J. G. Pawlikowski</i>	250

	Str.
W sprawie Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, <i>Juljusz Zborowski</i>	254
Reforma administracji uzdrowiskowej i regulacja Zakopanego, <i>dr. J. G. Pawlikowski</i>	259
Badania naukowe	265
Polskie Towarzystwo Tatrzańskie	270
Ochrona przyrody	280
Turystyka (z 1 ilustr. str. 244)	285
Stowarzyszenia i instytucje	288
Różne zapiski	292
Od Redakcji	295

Ilustracje.

Rocznik ten zawiera 58 ilustracyj w tekście, w czem 2 mapki i 4 plany, — 6 ilustracyj poza tekstem i 1 na okładce.

Ilustracje poza tekstem:

Okładka: Limba nad Morskiem Okiem, — cynkotypia z fot. Zwolińskiego.	
Owce we mgle, — rotograwura z obrazu Stanisława Witkiewicza . . . przed kartą tytuł.	
Szczyt Mieguszowiecki nad Morskiem Okiem, — druk kolorowy z fot. koloro- wej T. Rzący przy str.	1
Babia góra, — cynkotypia z obrazu Walerego Eliasza „ „	63
Jan Sabała Krzeptowski, — cynkotypia z fot. Penthera „ „	97
Zima na Podhalu, — cynkotypia z obrazu Wład. Ślewińskiego „ „	185
Stary kościół w Poroninie, — cynkotypia z obrazu Stefana Filipkiewicza . . „ „	245

Cynkotypie wykonane zostały dla Wierchów w zakładzie graficznym „Atlas“ we Lwowie, z wyjątkiem klisz na str. 54, 201, 244 i planszy „Babia Góra“ przy str. 65, wypożyczonych uprzejmie przez prof. K. Sosnowskiego, Redakcję „Taternika“, Redakcję „Sportu“, tudzież Wydział Polskiego Tow. Tatrzańkiego. — Rotograwurę i planszę kolorową wykonano w drukarni Narodowej w Krakowie.

WIERCHY (LES CIMES).

Annuaire édité par le détachement de Lwów de la Société polonaise des Tatras. Rédigé par le prof. dr. Jean Gwalbert Pawlikowski (red. en chef), le prof. dr. Adolph Chybiński, le dr. Roman Kordys, Jules Zborowski.

TABLE DE MATIÈRES.

M. Pawlikowski: L'houragan (poésie). — Deux affaires très importantes concernant les Tatras: I. A. Chybiński: Javorina pour la Pologne (avec carte); II. J. G. Pawlikowski: Les Tatras comme parc national. — T. Zwoliński: Grottes inconnues dans la vallée de Kościeliska (avec 4 plans, et 4 ill.). — Les trésors enfouis dans les Tatras; I. C. Stecki: Inscriptions des chercheurs de trésors (avec dessins); II. J. Zborowski: L'argent caché par les brigands. — C. Sosnowski: La montagne Babia Góra (avec 5 ill. et une planche hors texte). — C. Kietlicz-Rayski: L'art des montagnards de Szczawnica (avec 6 dessins de l'auteur). — St. Sokołowski: De la zone des forêts (avec 8 ill.). — M. Wolska: L'Étang Noir (poésie). — A. Chybiński: Quelques notes sur la musique et la poésie pastorale ancienne des montagnards tatriens. — Ch. Stryjeński: De la manière dont les abris doivent être bâtis dans les Tatras. — Lettre d'un amateur des montagnes: Comment „embellir“ les Tatras. — C. Stecki: La vie des plantes dans les Tatras (avec 4 ill.). — St. Barabasz: Les braconniers et le gibier dans les Tatras. — J. G. Pawlikowski: Quelques notes sur la protection des chamois. — J. B. K.: Quand la bise m'essouffle (poésie). — M. Świerż: La valeur des terrains de Javorina pour l'alpinisme polonais (avec 6 ill.). — R. Kordys: Comment nous avons découvert Sławsko? (avec 3 ill.). — M. Pawlikowski: Les brigands (conte). — T. Gabryszewski: La pêche dans les montagnes. — A. Lenkiewicz: Les Gorgans de l'Ouest (avec 5 ill.). — C. Stecki: Les forges d'autrefois à Zakopane (avec 1 ill.).

Chronique. R. Kordys: La réorganisation de la Société Tatrienne. — J. G. Pawlikowski: La réorganisation du Musée Tatrien. — J. Zborowski: L'école d'industrie en bois à Zakopane. — J. G. Pawlikowski: La réforme de la Commission climatique et le plan de la régularisation de Zakopane. — Recherches scientifiques. — La Société Tatrienne. — La protection de la nature. — L'alpinisme. — Sociétés, institutions. — Divers. — Avis de la Rédaction.

Illustrations. 58 illustrations dans le texte. — Planches (6) hors texte: Les brebis, tableau de S. Witkiewicz. — La montagne Babia Góra, tableau de V. Eljasz. — Jean Sabała Krzeptowski (photogr.). — L'hiver, tableau de Ślewiński. — La vieille église de Poronin, tableau de St. Filipkiewicz. — Planche coloriée: Le lac Morskie Oko (photographie coloriée de T. Rząca).



SPROSTOWANIA I DOPEŁNIENIA

Ważniejsze dostrzeżone błędy, które należy poprawić przed przystąpieniem do czytania:

Str. 5	w. 5	w przypisku	zam.: 24415	ma być: 14415
" 5	" 6	w przypisku	" 1159	" " 2159
" 139	" 4	od dołu w tekście	" kopnę	" " kapnę
" 140	" 3	od dołu w przypisku	" doua	" " dona
" 141	" 14	od dołu w tekście	" Tatry	" " łąty
" 265	" 32	przy podpisie	" 1920	" " 1923

DOPEŁNIENIA.

- Str. 12. Literaturę podaną w przypisku należy dopełnić: W 3-cim zeszycie czasopisma „Ochrona Przyrody“ artykuły prof. Szafera „O celach i organizacji badań naukowych w polskich parkach natury“ i prof. Hryniewieckiego „o parkach narodowych północnej Ameryki“. W tymże zeszycie znajduje się wyciąg z regulaminu Yellowstone-parku.
- Str. 57. W w. 11 od góry dodać: Do utworów lodowcowych należą też zapewne ciekawe wysoki skalne zwane „kozlami“, od strony Lipnicy Wielkiej.
- Str. 60. Do w. 22 od góry dodać: Groń w B. G. niema, co wynika z natury tworzącej ją skały; wyjątek stanowi niewielka grotka t. zw. Zimna Dziura na stoku orawskim.
- Str. 62. Przy ostatniem słowie dać odnośnik i dodać następujący przypisek: Liczba letników w Zawoi dochodzi rocznie do tysiąc. Jest tu kilka will i wiele przyzwoitych domków góralskich przystosowanych na letnie mieszkania. Stacja kolejowa Maków, 15 km. od kościoła w Zawoi, z codziennem połączeniem wózkiem pocztowym; w sezonie kursują autobusy. Lekarze i apteka w Makowie. Targi co drugi wtorek. Kilka sklepików i hotelik Brülla w centrum wsi. W górnej, najpiękniejszej części wsi, zwanej Wilczurą, sklep i gospoda S. Fischera.
- Str. 64 i 65. Do poetów, którzy opiewali B. G. należy jeszcze dodać F. D. Książnina.

Wicher.

I.

Puścił się wiatr zdaleka i goni w sto koni!
Zasłuchane powietrze piórami rozcina,
A wzięwszy w pierś szeroką z mórz szumu, z łąk woni,
Leci grmiąc ponad puszcza i las ciemny zgina...
Od skrzydeł poszły cienie posiekane po niej
I brokatami ciemna spłynęła dolina...
Puścił się wiatr, aż dopadł i rozpasał Dyane,
Świszcząc falą przez trawy i włosy rozwiane!

II.

Oczy jej zamknął, usta otworzył, a w pasie
Ścisnął i tchu nie puścił! Pod piersią odwianą
Serce jak źródło w toni biło na atłasie...
I cisnął zachłyśnioną ogniami, pijaną
Wonią lasów poszumnych, zagubioną w czasie
W strumieniach złotowłosu płynących polaną!
Aż nad nią rozpalony wstał. Białe obłoki
Przerażone leciały przez błękit wysoki!

III.

Rąbaniska kolorów tęczami jak pawie
Mieniły się grające to stałą, to złotem.
Już też wysoka ubocz po zielonej trawie
Zasiniała, szalonym osmagana lotem...

Już łukami przełęczą gonił ku Orawie
Ze strasznym drzew po garbach walonych łoskotem...
Już w granitowe pustki się wspiął, gdzie zadrzemia
Szumiąca huraganu strumieniami ziemia —

IV.

Dudniło w grań straszliwe grzmocenie wichury,
A ponad bęben grzmotów, po zębach przełęczą
Wiatr w dziki świst batogów porwawszy ton wtóry
Na drugą stronę spadał muzyką obręczą
Co po piargach i darni tocząca się z góry
Daleko nad lasami jeszcze drży i dźwięczy...
Aż w szumów chór w słonecznej równi się rozlewa,
Już w ciszę — a tą ciszą jeszcze brzmi i śpiewa...

V.

Patrz na świat, na daleki, szeroki, głęboki,
Utopiony w powietrzu wiatrami napitem:
Jasna dał poprzez ciemne widziana roztoki,
Wykładane świerkowych lasów malachitem...
Sen wierchów, który prędko owinęła w mroki
Z poza pleców lecąca mgła... Już tylko szczytem
Ponad nią widna grań... tylko z poza niej
Węże rzek łyskające srebrem na otchłani. —

Michał Pawlikowski.

Dwie sprawy dla Tatr najważniejsze.

I.

Jaworzyna dla Polski.

Mimo dość licznych, choć rzadko wyczerpujących artykułów o Jaworzynie, umieszczanych z górą od dwóch lat w naszej prasie, ogół polski — jak wykazało doświadczenie — nie zdaje sobie dokładnie, a niekiedy nawet ogólnikowo sprawy z tego, czem jest tzw. „sprawa jaworzyńska“. Miarą ważności tej sprawy są nietylko długo trwające przy udziale delegacji aljanckich rokowania polskie z rządem Czechosłowacji. Kto ma styczność z prasą zagraniczną, ten — nawet nie będąc bezpośrednio zainteresowanym lub wtajemniczonym — musiał dojść do przekonania, iż jest to sprawa wielkiej wagi, i to sprawa nietylko czesko-słowacko-polska, lecz wręcz środkowo-europejska, jak stwierdziły czynniki dyplomatyczne w Paryżu. Nie dziwi nas, że od czasu do czasu wraca — względnie wracała — na łamy pism; wystarczy wspomnieć o bardzo licznych artykułach w prasie francuskiej (nawet prowincjonalnej), belgijskiej, angielskiej, nawet włoskiej. Można wskazać na zadziwiająco liczne artykuły prasy szwajcarskiej, duńskiej, szwedzkiej, finlandzkiej; sprawa ta dotarła nawet do Południowej Ameryki, gdzie jedno z pism poświęciło jej szereg fejtetonów. Wszyscy zatem uznają ją za sprawę wielkiej wagi, zwłaszcza ze stanowiska politycznego. Chodzi bowiem o ułożenie się stosunków między Polską a Czechosłowacją, stosunków niezbyt pomyślnych, gdyż polegających na oporze rządu praskiego w załatwieniu sporu, w którym po stronie polskiej stanęła olbrzymia większość opinii europejskiej, ostatnio zaś czynniki polityczne, mające wpływ na załatwienie tej sprawy, a więc w pierwszym rzędzie Rada ambasadorów, wydająca do niedawna orzeczenia prawie wyłącznie niekorzystne dla nas. Ten zwrot musiał nastąpić po dokładnem poznaniu sprawy. Tem boleśniej uderza pewne zaniedbanie do niedawna tej kwestji w prasie polskiej, wynikające z niezdawania sobie sprawy z tego, co to jest sprawa Jaworzyny. Wszak obojętność i lekceważenie posuwano niekiedy do tego stopnia, iż z piór przelewały się na łamy prasy polskiej wyrażenia wręcz szkodliwe nietylko dla tej sprawy, ale i dla ogólnego całokształtu naszej zagranicznej polityki, a wyzyskiwała je skwapliwie prasa i dyplomacja czeska podsuwając je delegatom aljanckim, przez co nasi delegaci w sprawie jaworzyńskiej (głównie zwycięski w tej sprawie p. major Bronisław Romaniszyn i p. prof. dr. Walery Goetel) stawali często wobec sytuacji pozornie bez wyjścia. Historję walki o Orawę i Spisz będziemy mieli sposobność jeszcze opisać w „Wierchach“; będzie

to niebywale ciekawy obraz walki dyplomatycznej. Tu ograniczamy się na razie do omówienia dwóch kwestji, dających się streścić w pytaniach: 1) co to jest Jaworzyna, 2) czem jest Jaworzyna dla Polski.



Wprowadza nas w tę sprawę ogólnie orjentująca mapka, na której widzimy cały przedmiot sporu czechosłowacko-polskiego.¹⁾ Nie jest to za-

¹⁾ Spór ten właściwie powinien się nazywać sporem czesko-polskim, Słowacy bowiem, którzy są skłonni oddać Polsce terytorjum Jaworzyny za rekompensatą, w komisji gra-

tem spór o jedną wieś lub osadę, w tym wypadku Jaworzynę, lecz o wielkie górskie połacie Tatr spiskich z wielu szczytami i dolinami, tworzące obszar dworski będący w posiadaniu ks. Hohenlohego a posiadający tylko zarząd w miejscowości zwanej Jaworzyna (dokładniej: Jaworzyna spiska). W majątku tym, zagospodarowanym świetnie, znajdują się bardzo obfite lasy i pastwiska (rolnych obszarów prawie niema),¹⁾ bogaty mimo klęski wojennej zwierzostan, liczne tartaki i papiernia. Obejmuje ten majątek kilkanaście wielkich i małych dolin, z których pierwsze miejsce zajmują doliny Białej Wody i Jaworowa, oraz liczne regle i szczyty, których rdzenny łańcuch stanowi naturalną granicę tego obszaru, znajdującego się pomiędzy obecną granicą (na mapie znaczone: ———) a projektowaną przez Polskę (na mapie: — — —). Dotychczasowa granica powieleniu 5 wsi spiskich do Polski na mocy decyzji Rady ambasadorów z 28. VII. 1920 biegnie od Rysów nad Czarnym Stawem (ponad Morskiem Okiem) przez Niżnie Rysy, Żabi szczyt (wyżni i niżni), Siedm Granatów nad doliną Rybiego Potoku, poczem schodzi prawie do ujścia tegoż potoku i biegnie dalej wzdłuż Białej Wody czyli Białki, aż wreszcie przechodzi niedaleko wsi Brzegów i Jurgowa przez Białkę w kierunku wschodnim ku ruskiej osadzie Osturni, kończąc się na cocie 1011 (poczem w dalszym ciągu dąży ku północy). Gdyby nawet nie było innych powodów do zmiany granicy, to już fakt, iż jej najznacześniejsza część biegnie rzeką (Białką), wystarczyłoby aby tę zmianę uznać za niezbędną i konieczną, wychodząc z zasady ogólnie w pracach delimitacyjnych przyjętej, iż w terytorjach górskich naturalna i logiczna granica jest ta, która biegnie szczytami znajdującymi się w rdzennym grzbiecie, oczywiście z uwzględnieniem działu wodnego. Jeśli się zważy że górskie rzeki na terytorjum dóbr jaworzyńskich, tj. Białka i Jaworowy potok płyną do Polski, mając swe źródła pod rdzennym grzbieciem Tatr Spiskich, jeśli się rzuci okiem na plastyczne mapy Tatr²⁾ i ujrzy ten olbrzymi kocioł, w obrębie którego doliny Białej Wody i Jaworowa mają wejście od północy, tj. od strony Polski, to nie wydadzą nam się dziwne żądania polskie, o których mowa

nicznej nie posiadają ani jednego przedstawiciela. Jest to dziwna sprawiedliwość państwowa, która pozwala aby terytorja narodu Słowaków były do rozporządzenia Pragi czeskiej.

¹⁾ Na podstawie materiałów polskiej komisji granicznej statystyka obszarów jaworzyńskich przedstawia się, jak następuje: 400 mieszkańców i 24.415 morgów ziemi, z czego na skały przypada 6.129, na lasy 5.713, na pastwiska 1.159, na łąki i glebę uprawną 400 morgów.

²⁾ Trzy okazy znajdują się w Muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem.

poniżej, tak jak z drugiej strony musielibyśmy sami oskarżyć się o imperializm, gdybyśmy żądali, aby granica słowacka idąca tuż za Giewontem i przez Czerwone Wierchy została posunięta dalej na południe i mieściła w sobie np. Dolinę Cichą, przez którą płynie górską rzeką do Słowacji. Geograficzne względy skłoniły przedstawicieli rządu polskiego do kategorycznego żądania, aby względy te były uszanowane przez rząd czesko-słowacki i przez delegatów Rady ambasadorów, reprezentujących rządy: angielski, francuski, włoski i japoński. Względy te odpowiadały zasadom objętym w traktatach pokojowych z r. 1918 i 1919. Dlatego projekt polski wskazuje na granicę, która od Rysów biegnie następującymi szczytami i przełęczami: Waga, Wysoka, Ganek, Rumanowy, Żłobisty, Żelazne Wrota, Kaczy, Batyżowiecki, Mały Gierlach, Litworowy, Wielicki, Polski Grzebień, Mała Wysoka, Rohatka, Świstowy, Graniasta Turnia, Jaworowy, Śpiczasty, Mały Lodowy, Przełęcz Lodowa, Kopa Lodowa, Lodowy Szczyt, Śnieżna Przełęcz, Baranie Rogi, Czarny, Czarna Przełęcz, Kołowy, Kołowa Przełęcz, Jagnięcy, Przełęcz pod Kopą, Szalony, Bielska Przełęcz, Szeroka Bielska, Płaczliwa Skała, Jaworzynka, Przełęcz Zdziarska, cota 1212, Rzepisko i coty 1179, 1021 aż do wspomnianej powyżej coty 1011.

I to właśnie byłaby granica najracjonalniejsza, nie dopuszczająca żadnego zarzutu ze stanowiska położenia geograficznego, mająca natomiast w pewnej swej części poniekąd historyczne znaczenie, wyrażone jeszcze w sporze o Morskie Oko, gdy w protokole poczynił profesor Oswald Balzer energiczne zastrzeżenia imieniem Galicji, wraz z uzasadnieniem historycznych praw Polski conajmniej do obszarów leżących w Dolinie Białej Wody. Bo i w dolinie Jaworowej i nad nią mogłaby tradycja i geograficzna nomenklatura udowodnić prawa polskie¹⁾.

Ale względy geograficzne nie są jedynymi. zaś ze stanowiska pokojowych traktatów niewystarczającymi, aby tylko na nich opierać nasze żądania. Historyczne względy zaliczono wszak do — romantycznych, wysuwając na Radzie ambasadorów kwestję charakteru politycznego dotychczasowych granic (państwowych lub administracyjnych), co prawda kwestję różnie przez Radę interpretowaną, zależnie od chwilowych politycznych konjunktur.

Delegaci polscy, przede wszystkim zaś autor referatu ekonomicznego, komunikacyjnego i strategicznego, p. major Romaniszyn, przedstawili względy gospodarcze, jako jeden z najsilniejszych argumentów zbioro-

¹⁾ Koperszady zadnie bywają dawniej często nazywane Koperszadami polskimi; nazwa ta do dzisiejszego dnia nie zniknęła.

wych, jako podstawę, na której opierając się możemy odpowiedzieć na pytanie: dlaczego terytorjum jaworzyńskie jest nam bezwzględnie potrzebne?

Jak wiadomo otrzymaliśmy ze Spisza kilka gmin (Jurgów, Rzepisko, Czarna Góra i t. d.). Gminy te posiadają ludność, która żyła jedynie tylko z pracy wykonywanej w dobrach Jaworzyńskich. Była zajęta masowo przy wyrębie, obróbce i wywozie drzewa i w tartakach, za co otrzymywała drzewo budulcowe i opałowe i możność wypasania licznego bydła na łąkach i halach, do których miała dawne prawa — nadto miała zarobek pieniężny, który pozwalał jej zaopatrywać się w środki żywnościowe, ponieważ ziemia tych wsi jest prawie nieproduktywna. Z chwilą odcięcia dóbr Jaworzyńskich od tych wsi nastąpił stan rozpaczliwy a w perspektywie nędza i zupełne opustoszenie z mieszkańców, co naturalnie miałyby również fatalne skutki dla gospodarki leśnej; sprowadzeni ad hoc robotnicy leśni nie mogliby ich równowartościowo ani w przybliżeniu zastąpić. Przytem to ustawiczne rozjątrzenie wśród pogranicznej ludności musiałyby kiedyś stworzyć kwestję: czy mamy nadal posiadać w swym państwowym organizmie ludność nie odczuwającą łączności z państwem polskiem. Musimy zaś zważyć, iż ludności tej jeszcze narodowo niezbyt uświadomionej¹⁾ jest obojętnem, czy należałaby do Słowacji czy do Polski, byle pozostawała w łączności z Jaworzyną. Nie na to zaś walczyliśmy o Spisz, aby zyskać wrogów, a potem może pozbyć się ich, lecz wraz z nimi stracić nabytki na Spiszu. Mieszkańcy przyłączonych do Polski wsi spiskich nie mogą żadną miarą mówić o błogosławieństwie swego polskiego obecnie obywatelstwa, jak długo stosunek ich do Jaworzyny nie stanie się normalnym i ścisłym²⁾. Te względy zatem posiadają wagę pierwszorzędą.

Obszar Jaworzyny jest właściwie odciętym od Słowacji. Jedyna komunikacja kołowa może odbywać się wyłącznie przez przełęcz Zdziarską, i to nie przez cały rok. Wcześniej opadające wielkie śniegi nikną bardzo późno. Jedynie przełęczą „pod Kopą“ może być przepędzone bydło na letni wypas w Koperszadach. Inne przełęcze dostępne są tylko wysokogórskiej turystyce. Tymczasem od strony polskiej łączy się obszar jaworzyński

¹⁾ Dopiero wybory do II sejmu obudziły instynkty narodowo-polityczne.

²⁾ Dobra Jaworzyńskie i Jurgów (do Polski przyłączony) stanowiły dawniej jednostkę, którą dość gwałtownie podzielono, z czego wynikł długotrwały spór; zajmował on instancje węgierskie i do r. 1918 nie był jeszcze ukończony. Dodać tu musimy iż na terytorjum jaworzyńskiem sam Jurgów posiada dwa olbrzymie pastwiska i 120 morgów lasu.

dwoma drogami: przez Jurgów i Białkę z Nowym Targiem i przez Łysą Polanę z Zakopanem. Są to drogi nadzwyczaj wygodne. Tak więc i względy komunikacyjne przemawiają za wcieleniem obszaru jaworzyńskiego do Polski. Że te względy muszą być brane w rachubę, dowodzi choćby fakt, że przy wyznaczaniu granicy orawskiej odstąpiliśmy (oczywiście za rekompensatą) dwie wsi dla Słowacji: Głodówkę i Suchą Górę.

Przedstawiliśmy zatem trzy ze stanowiska traktatów pokojowych i instrukcji Rady ambasadorów wartościowe, ważne i logiczne argumenty, z którymi nie mogli się nie liczyć eksperci i komisarze aljancji. Zbadali oni jak najdokładniej cały teren jaworzyński w kilkakrotnych zbiorowych i jednostkowych wizjach lokalnych, a widząc że te argumenty nie natrafiają na konsekwentną lojalność w rządzie czesko-słowackim, wydali na posiedzeniu w Cieszynie w dniu 25 września 1922 r. jednomyślną opinię¹⁾, według której obszar jaworzyński uległ podziałowi: z górą $\frac{1}{3}$ część obszaru pozostaje przy Słowacji, nieco mniej niż $\frac{2}{3}$ mają być wcielone do Polski. Granica zatem (na mapie znaczone: —) przedstawiałaby się w następujący sposób: od Rysów do Przełęczy Lodowej, jak w wyżej określonym projekcie polskim; następnie od Przełęczy Lodowej opuszcza rdzenny grzbiet górski i schodzi na dno Doliny Jaworowej, naprzód (częściowo) ścieżką do Żabiego Jaworowego Stawku, następnie potokiem Jaworowym koło miejscowości Jaworzyny (pozostającej po polskiej stronie) do Podspadów, potem gościńcem (wspólnym), wreszcie kieruje się na północny wschód do wymienionej już coty 1210. Po słowackiej stronie pozostałyby widoczne z drogi do Morskiego Oka szczyty Murań, Nowy i Hawrań wraz z tymi, które (od Lodowego do Żdziarskiej Przełęczy) miały tworzyć według polskiego projektu granicę, oraz szereg dolin i pastwiska pod Koperszadami. Poważny szmat tego terytorjum stanowią katastralne grunty wsi, któreby nie mogły do Polski należeć. Granica ta jest krzywdzącą nas; nigdy nie uznamy jej też za wolną od zarzutów, ponieważ podobnie jak granica dotychczasowa jest w bardzo znacznej części granicą wodną, a terytorjum zachowane dla Słowacji będzie nadal od niej faktycznie odcięte. Jest też, względnie będzie, prze-

¹⁾ Instrukcja Rady ambasadorów z 28 lipca 1920 r. daje aljanckim komisarzom delimitacyjnym „tout pouvoir pour présenter à la Conference des Ambassadeurs les modifications qui lui paraîtraient justifiées par les intérêts des particuliers ou des communautés dans le voisinage de la ligne-frontière“ (wyjątek z tejez instrukcji).

Ze strony polskiej mjr. Romaniszyn, z czeskiej p. Roubik, z aljanckiej: p. ppłk. Ufleur (Francja), p. ppłk. Carey (Anglja), p. ppłk. Ando (Japonja) i p. ppłk. Pellicelli (Włochy). Głos sprzeciwu reprezentował p. Roubik.

szkodą w całkowitem przeprowadzeniu planów rezerwatowych w Tatrach, o ileby specjalna konwencja polsko-czeskosłowacka nie doszła do skutku. Mimo to jednak perspektywy dla przyszłości Jaworzyńskiego obszaru w Polsce są zbyt wspaniałe, abyśmy nie mieli w drodze rekompensaty odstąpić Słowacji dwóch wsi, również należących geograficznie i gospodarczo raczej do Słowacji niż do Polski. Mowa o Kacwinie i Niedzicy, z której jednakże przy Polsce pozostanie obszar dworski z zamkiem nad Dunajcem naprzeciw Czorsztyna, przychem gościniec pieniński prowadzący przez Niedzicę byłby również wspólny, podobnie jak gospodarczo ważny gościniec z Łaps. W ten sposób pozbywamy się zresztą ludności kacwińskiej i niedzickiej (2000 głów), istotnie pokrzywdzonej przez należenie do Polski. Zmniejszamy ilość malkontentów; zmniejszymy ją jeszcze bardziej, gdy ludność Jurgowa, Czarnej Góry, Brzegów i t. d. będzie miała ułatwienie zarobkowania w Jaworzynie, przyłączonej do Polski.

Oczywiście projekt aljanckiej Komisji granicznej czeka jeszcze na zatwierdzenie przez Radę ambasadorów, które to rostrzygnięcie jest obecnie (1 lutego 1923 r.) oczekiwane z dnia na dzień. Gdy zatwierdzenie nastąpi, będziemy mogli opisać historję walki o Jaworzynę na podstawie najautentyczniejszych źródeł.

Obecnie musimy odpowiedzieć na pytanie: czem jest, czem będzie, czem powinna być Jaworzyna dla Polski. Mieścić się muszą w odpowiedzi trzy kwestje: a) turystyki górskiej, b) rezerwatu w Tatrach, c) nowego lotniska.

Wszystkie te trzy sprawy mają tak ścisły z sobą związek iż możemy je sprowadzić do wspólnego mianownika, którym są potrzeby państwa i narodu.

Jedyną stacją klimatyczną wysokogórską w Polsce jest Zakopane, oddalone zaledwie 5 km od granicy słowackiej¹⁾, co jest wystarczającym dowodem iż Tatry posiadamy bardzo niewiele. Polski skrawek tatrzański wynosi zaledwie 163 km², gdy czechosłowacki obejmuje 502 km² w ogólnym massywie Tatr (665 km²). Jedyną zatem tylko miejscowość klimatyczną wysokogórską ma pokrywać wzrastające ustawicznie potrzeby naszego niemal 30 milionowego narodu, gdy tymczasem kilka po europejsku urządzonych miejscowości klimatycznych po stronie południowej Tatr (np. Szmeks, Łomnica Tatrzańska, Szczerba, Westerów i t. d.) jest do

¹⁾ Najbliższa Zakopanemu granica biegnie od Świnicy przez Leliwo, Kasprowy Wierch, Goryczkową, Kondracki i Czerwone Wierchy. Jest więc dobrze dostrzegalną w znacznej części z Zakopanego, zwieszając się nad doliną zakopiańską.

rozporządzenia małego państwa, jakim jest Czechosłowacja. W ubiegłym sezonie miejscowości te stały prawie pustką (waluta i konkurencja rdzenie czeskich miejscowości kąpielowych), gdy w Zakopanem brakło pomieszczenia dla mniej więcej 25.000 osób. Jeśli zaś zważymy, że ruch turystyczny się wzmaga w nieprawdopodobny sposób i że biorą w nim udział nie tylko Polacy, ale i obcokrajowcy przybywający do Zakopanego i Tatr polskich, to dojdziemy do dwóch wniosków: a) w polskich Tatrach zaczyna się tworzyć zgiełk i ścisk, b) Zakopane nawet mimo wzmózonego ruchu budowlanego i mimo budowy kilku schronisk (niezawsze szczęśliwie coprawda umieszczonych) bardzo długo jeszcze nie pomieści tych wszystkich, którzy z powodów turystycznych, krajoznawczych, naukowych, artystycznych i zdrowotnych mają prawo do krótszego lub dłuższego w Zakopanem i Tatrach pobytu. Musimy tu zaznaczyć, że troski o te sprawy nie istniały przed r. 1918. Dawna granica galicyjsko-węgierska istniała dla turystów tylko na papierze. Całe Tatry dla Polaka były — Tatrami polskimi, w których paszport zagraniczny nie był żadną koniecznością. Obecnie granica ta stała się czemś konkretnem, strzeżonem przez czesko-słowackich żandarmów. Wprawdzie bywają wydawane przepustki, ale i one niezawsze wystarczą. Władze czechosłowackie nie czynią obecnie żadnych trudności, ale jest to tylko taktyka wpływania na opinię polską podczas trwającego o Jaworzynę sporu. Nie można wiedzieć, czy taktyka ta nie zmieni się później. Dość że odczuwamy wszędzie duszność w polskim skrawku tatrzańskim. Gdy udajemy się do Morskiego Oka przez Zawrat lub Łysą Polanę, wszędzie towarzyszy nam granica czesko-słowacka. Z powodu tego tłumnego gromadzenia się turystów wszelkiego rodzaju w obrębie tego skrawka, przestają polskie Tatry być tem, czem były dawniej i czem być powinny. Niszczą jako pomnik przyrody wysokogórskiej, jedyny dla nas i tak bardzo mały. Przestają być symbolem swobody i wolności, opiewanym w czasie stuletniej niewoli przez naszych poetów i pisarzy. Przestają być tem, czem z racji swej natury powinny być: t. j. parkiem narodowym, narodową świątynią górskiej przyrody, będącą w Polsce unikatem. W puszczy białowieskiej utworzono rezerwat, choć nie brak u nas wielkich obszarów leśnych. Czyżbyśmy mieli sami zniszczyć to unicum, jakim jest mały skrawek Tatr w granicach polskich? Niestety wadliwa gospodarka już niweczy wiele przestrzeni w tym skrawku. Gdyby nawet do tego nie było doszło, musielibyśmy coraz bardziej odczuwać ciasnotę przestrzeni wobec stopniowego posuwania się w góry zdobywczyców zysku i tych, którzy — ubodzy w duchu — uważają góry za miejsce nadużywania swobody, a więc w konsekwencji za lekkomyślną

i pustą negację tej ostatniej. Musielibyśmy zatem zrezygnować z wielu zapobieżień, których brak cechować może tylko niekulturalne państwo, niekulturalny naród. Jeśli zaś istnieją wszelkie obiektywnie słuszne i logiczne argumenty, które przemawiają za zwrotem Polsce tych górskich ziem, które: a) historycznie były polskie, b) duchowo są ściśle z Polską związane, c) materialnie są Polsce potrzebne, d) przyniosą Polsce korzyści moralne i materialne — to uznamy walkę o Jaworzynę za moment pierwszorzędnej wagi.

Przez jej odzyskanie wzmoże się polski i obcy ruch turystyczny. Będzie to znaczne odciążenie dla Zakopanego i jego okolicy. Stanowiąc to będzie dalszy ciąg chlubnej polskiej turystyki, która zdobyła na terytorjum czeskosłowackich obecnie Tatr szereg nieznanych dróg i szczytów, gdy o podobnych czynach czeskiej turystyki mowy być nie może, a czego nie zastąpi przemianowanie Gerlachu na „Kopiec czeskich legjonarzy“.

Przez odzyskanie terenów Jaworzyńskich, które w swym pierwotnym charakterze są lepiej od innych zachowane, powiększy się narodowy park, rezerwat, strzeżony przez państwo przed zniszczeniem drogocennych pomników przyrody.

Przez odzyskanie Jaworzyny będziemy mieli, możliwość urządzenia (oczywiście na sposób europejski!) niedaleko tej miejscowości (powyżej Jurgowa) stacji klimatycznej, i to z klimatem łagodniejszym niż klimat Zakopanego. Dolina Białki zapełni się (oczywiście w dolnym biegu tej wspaniałej górskiej rzeki) mniejszemi letniskami, które połączy linja kolejowa, wychodząca z Nowego Targu. Będzie to również odciążenie dla miejscowości takich, jak Zakopane, Poronin, Olcza i Witów, cierpiących na przepełnienie. Jeśli szereg przedsięwzięć stanie się własnością państwową, to — oczywiście zależnie od doskonałości urządzeń klimatycznych — zysk dla skarbu Państwa wynagrodzi wielokrotnie nietylko uznania godną wytrwałość rządów naszych w walce o Jaworzynę, ale i wszelkie, choćby największe inwestycje. Ileż kapitałów obcych odda się na nasze usługi i ile kapitałów polskich pozostanie w Polsce zamiast utonąć w kieszeniach zagranicznych miejscowości klimatycznych!

Jaworzyna, i tylko ona, jest w stanie przynieść nam te korzyści. Innego miejsca na stworzenie wysokogórskiej miejscowości klimatycznej jak w północnej części obszaru jaworzyńskiego, nie ma wogóle w polskich Tatrach; wszędzie bowiem znajdujemy przestrzenie odsłonięte od północy, a więc nie zabezpieczone przed chłodnemi wiatrami północnemi i dlatego nie nadające się do założenia letnisk. Ocenili to Czesi, którzy jeszcze

przed ukończeniem sporu wszczęli zbiórkę kapitałów, aby w Jaworzynie utworzyć stację klimatyczną, i to — jak sami twierdzili — „dla Polaków“, a to ze względu na łatwość komunikacyjną z Polską. Byłoby błędem nie do darowania, gdybyśmy w polskich Tatrach mieli opłacać przybytek swego zdrowia obcą walutą.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się sprawa Jaworzyny i jej znaczenie dla Polski. Nieuznanie jej pierwszorzędного znaczenia byłoby równe brakowi zdolności przewidywania potrzeb przyszłych, które wyzywa już realna terażniejszość. A niestety nie często zdradzamy zdolność urzędzenia się... „na wyrost“.

Adolf Chybiński.

II.

Tatry parkiem narodowym.

Miłośnicy Tatr, patrząc z obawą na grożące Tatrom niebezpieczeństwa i zastanawiając się nad środkami zmierzającymi do ich ochrony, niejednokrotnie rzucali już myśl uczynienia z nich „parku narodowego“, na wzór parków narodowych północno-amerykańskich, szwedzkich i in. W pojęciu takiego „parku narodowego“ leży zachowanie pewnej okolicy w jej stanie pierwotnym i zagwarantowanie nienaruszalności tego stanu. „Park narodowy“ w ścisłym znaczeniu jest to tedy rezerwat zupełny, wykluczający wszelką gospodarkę ludzką, wszelkie zmiany, które zwykł czynić człowiek w przyrodzie, czy to dla swego zysku czy fantazji lub wygody. Jest to wpośród przyrody zmienionej przez kulturę, oaza przyrody pierwotnej¹⁾. — Że urok Tatr z zachowaniem ich dzikości i pierwotności nierozdzielnie jest złączony, tego żadnemu ich prawdziwemu miłośnikowi i znawcy tłumaczyć nie trzeba. Nie widzą tego tylko ci, których w Tatry prowadzi moda i naśladownictwo, a którzyby ten obowiązujący ciężar instynktu stadnego chcieli sobie uczynić lżejszym, albo też ci, których Tatry wogóle nic nie obchodzą i którzy traktują je tylko jako teren eksploatacji ekonomicznej. Jednak opinia, którą przeważnie te właśnie grupy ludzi tworzą, niepokoi nieraz sumienie także i prawdziwych Tatr miło-

¹⁾ Zob. St. Sokołowski: „Tatry jako park narodowy“, (wydawnictwo Państwowej Kom. Ochrony Przyrody, 1923), i J. Gw. Pawlikowski: „Kultura a natura“ (1913).

ników. Stąd częsta ich chwiejność i niezdecydowanie. Czy wolno naprawdę dążyć do urzeczywistnienia idei parku narodowego?, — czy nie sprzeciwiają się temu jakieś wyższe względy dobra publicznego?, — czy pogodzenie względów sprzecznych jest możliwem?, — czy wreszcie możliwem jest urzeczywistnienie tej idei, czy nie jest ona raczej piękną utopią?... Oto pytania, które trzeba poddać dyskusji. Sprawa jest ważną i nagłą. Niebezpieczeństwa grożące Tatrom są coraz to większe. Wiodą je za sobą rozwój przemysłu i wzmoczona turystyka. To, że te zjawiska są same przez się dodatnie, czyni obronę sprawy tem trudniejszą, gdyż łatwo przybrać ona może pozory występywania przeciw pożądanemu w obu kierunkach postępowi, podczas gdy jest to tylko uszlachetnienie tego postępu przez odjęcie mu jego stron ciemnych.

Tuszymy, że rozstrzygnięcie sporu o Jaworzynę przyniesie nam znaczne zwiększenie tatrzańskiego obszaru, kilka dolin pierwszorzędnej piękności i oparcie o główny grzbiet Tatr Wysokich. Nie bylibyśmy warci tego klejnotu, gdybyśmy go uszanować i zachować nie umieli. Pod jakimkolwiek hasłem toczy się spór, czujemy wszyscy dobrze, że właściwym jego przedmiotem są wartości idealne i że one to przeważają wszelką materjalną kalkulację. To ogólne poczucie powinno być dobrą wróżbą dla sprawy ochrony i jej najwłaściwszej formy: rezerwatu czyli „parku narodowego“.

Wreszcie idea parku narodowego zbliżyła się w ostatnich czasach znacznie ku realizacji; ze sfery pobożnych życzeń schodzi ona już na ziemię. Mgliste pomysły przybierają kształty coraz bardziej konkretne. Wiece odbyty w Zakopanem dnia 14 września 1919-go r. uchwalił był ogólnikową rezolucję: „Rząd Rzpltej zechce jak najprędzej zastanowić się nad sprawą utworzenia z Tatr i Pienin rezerwatu państwowego“; w dniach 5-tym i 6-tym września 1920 r. obradowała w Zakopanem konferencja zwołana przez P. Kom. Ochr. Przyrody i Sekeję Ochr. Tatr¹⁾ i doszła już do pozytywnych rezultatów, które przekazała jako dyrektywy komisji mającej wypracować projekt konkretny. Motywowane zarysy tego projektu przedstawione zostały obecnie dyskusji publicznej w broszurze prof. St. Sokołowskiego: „Tatry jako park narodowy“, wydanej przez Państw. Kom. Ochrony Przyrody. Za tem pójdzie wkrótce przedstawienie Rządowi przez tęż Komisję projektu ustawy o utworzeniu z Tatr parku narodowego.

¹⁾ Sprawozdanie z tej konferencji pomieszczono w drugim zeszytcie czasopisma „Ochrona Przyrody“ str. 60 i n.

Dla urzeczywistnienia myśli uczynienia z Tatr parku narodowego, zachowania ich w pierwotnej nieskażonej krasie dalekim pokoleniom, najważniejszą rzeczą jest zwrócenie w tym kierunku opinii i woli ogółu. Rzeczy same przez się nie posiadają żadnej wartości, nadaje im ją znaczenie przypisywane im przez człowieka. Z pomiędzy rozmaitych wartości jaką mogą posiadać Tatry, trzeba aby ustaliła się w opinii jako najwyższa ta właśnie, która uzasadnia ich nietykalność. Jest to pole starcia się dwóch interesów, można powiedzieć dwóch na świat poglądów: idealnego i materialnego. Oba te poglądy mają swoje względne uzasadnienie, — chodzi zatem o to, aby odważyły wzajemnie swoje argumenty i znalazły sposób porozumienia. Oczywiście, że o takim porozumieniu nie może być mowy tam, gdzie jednej lub drugiej stronie brakuje wszelkiego zmysłu dla zrozumienia stanowiska strony przeciwnej. Dla ślepych światło niema przecież żadnej wartości i dlatego gotowi by sprzedać to bezcenne dobro za jakikolwiek najdrobniejszy okrucz dostępny ich wartościowaniu. Ale poza takimi skrajnymi wypadkami jest cała skala innych, a wielokrotnie nawet spór polega tylko na nieporozumieniu albo na uwikłaniu się we frazeologię. I tak trzeba najprzód zaznaczyć charakterystyczne w społeczeństwie naszym a do dziś jeszcze nie wygasłe zjawisko, któreby można określić mianem materialistycznego romantyzmu. W wielkiej naszej romantycznej epoce jako jej ciemna strona zrodzony idealistyczny kabotynizm, przez dziwną metamorfozę przerodził się w pewnym okresie w kabotynizm materialistyczny. Jak pierwaj pozowano na duchy oderwane od ziemi, tak później pozowano na trzeźwość. Bankrutowano też na przemysłach stwarzanych bez przekonania i bez wewnętrznej potrzeby, a tylko w imię hasła, że trzeba być trzeźwym, bo w tem leży zbawienie narodu. Z tej to zbrojowni ciasnej i małodusznej a zaplątanej niby w dogmatycznych formułach ortodoksji trzeźwości, wytacza się często argumenty przeciwko realnym interesom życiowym pełnego, z ciała i z duszy złożonego człowieka. Dlatego, ażeby się nie dać oplątać frazeologii materialistycznego kabotynizmu, nie można poprzestać na ogólnikach, ale trzeba w każdym poszczególnym wypadku spróbować ująć rzecz w cyfry. Jeśli ktoś np. mówi, że trzeba wyzyskać siłę wodną Siklawy, bo romantycznym szaleństwem jest pozostawienie odłogiem takiego źródła energii dla względów wyłącznie estetycznych, to trzeba żądać rachunku, jaką rocznie wartość przedstawiałoby to wyzyskanie i wedle tej cyfry je skapitalizować, względnie obliczyć koszt zastąpienia tej siły inną, a z drugiej strony położyć na szalę na wieczność utraconą, w indywidualności swojej jedyną, piękność najwspanialszego wodospadu w Polsce, i ocenić wszystkie

te ubytki niezapomnianych wzruszeń w wielu tysiącach, raczej — jeśli się liczymy z wiecznością — milionach i milionach dusz, pozbawionych tego „źródła siły“ w rozumieniu duchowym. Co prawda te ostatnie wartości nie dadzą się wyszacować na pieniądze, bądź co bądź jednak można w ten sposób zdać sobie sprawę z „kosztów najmu“ tego duchowego użycia dla narodu — a samo to porównanie najczęściej wykaże, że „najem“ ten nie wypadnie za drogo. Toć trzeba pamiętać, że pieniądze wart jest tylko to, co za niego kupić można, a chciwiec zbierający pieniądze a nie umiejący ich użyć, jest zdegenerowanym głupcem. I z tem trzeba się liczyć, że ze wzrostem kultury zmienia się zapotrzebowanie; zbogacone chamstwo szuka ujścia dla swego nadmiaru w nadmiarze chamskich używań, — człowiek o wyższej kulturze znachodzi nowe, szlachetniejsze źródła użycia. Dla przyszłego, lepszego człowieka, nie wolno nam zamykać, i to na wieki, tych źródeł użycia najszlachetniejszego rodzaju, bez których on nie będzie miał co począć ze swoim dobrobytem. Wartości, o które tu idzie, są to wartości wciąż rosnące z postępem kultury ducha; czyż wolno zrzec się w imieniu społeczeństwa tej wciąż rosnącej renty, dla chwilowej drobnej korzyści jednego lub paru tylko pokoleń? Jest to rabunek dokonany na przyszłości, — ekonomia do-jutrków.

Albo czyż doprawdy jesteśmy takimi żebrakami, że musimy wyprzedzić — już nie zastawić, ale wyprzedzić na zawsze i to za byle co — nasze klejnoty rodzinne? Kiedy się wspomina o parkach amerykańskich można usłyszeć zdanie, że nie jesteśmy Stanami Zjednoczonymi abyśmy sobie mogli na taki zbytek pozwolić. Zapewne — ale też sam Yellowstone-Park jest przeszło jedenaście razy większy od całych Tatr, to znaczy od Tatr polskich większy przynajmniej o czterdzieści razy, a mniejszych parków narodowych posiadają nadto Stany Zjednoczone przeszło trzydzieści i tworzą coraz to nowe. Jeżeli zaś w zachowaniu najpiękniejszych rysów oblicza ziemi rodzinnej ujawnia się miłość do tej ziemi, to położmy jeszcze na szalę pytanie, od jak dawna Amerykanie ową ziemię nazywają swą matką, a od ilu wieków my na swojej siedzimy? Ile waży krew, którą oni za swoją wylali — a ile waży krew nasza? Ilu poetów wzbudziła piękność ziemi amerykańskiej a ile natchnień dała poezji piękność ziemi naszej? I odważmy z tych głębokich źródeł płynące obowiązki jednej i drugiej strony...

Kiedy się zresztą szacuje i zestawia materialne i idealne wartości Tatrów, operuje się zazwyczaj fałszywymi cyframi. Z jednej strony prezentacji się popolicie ich wartości materialne, z drugiej nie docenia war-



tości idealnej. Może to jest także pewien rodzaj miłości, kiedy widzi się w nich przymioty, których nie mają. Ruda żelazna jest tak uboga, że aby zatrudnić Kuźnice zanim je zniesiono, sprowadzano wozami po najgorszych drogach rudę z dalekich Węgier, — granit jest, sądząc po rozmaitości wydanych orzeczeń, przeważnie wątpliwej jakości, — pastwiska są nader ubogie, — wody nawet nie są zbyt obfite a nader grymasne, co odbiło się już dotkliwie na wodociągach zakopiańskich. Nie wynika z tego aby w Tatrach nie można było znaleźć dóbr cennych, faktem jest jednakże, że krążą o tem całkiem legendarne pojęcia. Czyż nie naczytaliśmy się od dzieciństwa o złożach kruszców, o skarbach niezmiernych a nie wyzyskanych, jakie rzekomo kryją głębie gór? Jest w tem coś z psychologii owych poszukiwaczy skarbów, którzy do niedawna jeszcze chodzili po Tatrach ze święconymi laskami przyniesionymi aż gdzieś z Jerozolimy, pod których czarodziejskiem dotknięciem skały miały otworzyć swoje tajemnice. Czyż i dzisiaj nie spotyka się ludzi mówiących o uprzemysłowieniu Tatr i wskazujących na takie przemysły, które równie dobrze możnaby umiejscowić gdzieindziej, — z tą korzyścią, że nie niszczyłyby tam najcenniejszego z dóbr jakie posiada Podhale, t. j. powietrza? Skalne Podhale podobne jest do tego dziecka, o którym można zwątpić czy się wychowa, bo ma za wielu dobrze życzących opiekunów.

Z drugiej strony — jak powiedziałem — nie docenia się idealnej wartości Tatrów. Zwyczajny szablon, wedle którego większość bodaj ludzi zwykła sobie uzmysławiać dyskusję w tej sprawie, przedstawia się tak: z jednej strony człowiek z krwi i kości, człowiek realny, praktyczny, o zdrowym rozsądku — z drugiej wyblakła jakaś istota cieplarniana, o nierealnych pojęciach, oderwana od świata i jego potrzeb, maniak o arystokratycznych gustach, słowem — esteta. Dyskusja między tymi ludźmi jest dyskusją między życiem a chimerą...

Mówi się słowo „estetyzm“ i sądzi się, że się załatwiło sprawę. Tymczasem rzeczywisty obraz dyskusji jest zgoła inny. Człowiekiem z krwi i kości, człowiekiem realnym, bo pełnym, jest właśnie ów „esteta“. Jego chimera jest to, iż sądzi, że zegarek jest na to, aby pokazywał niematerialny czas, nie zaś na to, aby nim tłuc materialne orzechy. Jego brak materialnego zmysłu objawia się w tem, iż wierzy, że szczęście to piękność, wolność i zdrowie — a nie pieniądze w skrzyni. Dla niego wartość pieniędzy mierzy się tem, ile za nie owych dóbr, sumę szczęścia dających, nabyć można. Rozumowanie odwrotne, które za cel stawia nabyć bogactwa kosztem zniszczenia tego, co jego wartość stanowi, uważa za jawną niedorzeczność. Ów antiestetyzm, chcąc być konsekwentnym,

dojśćby musiał do wniosku, że do kategorii estetycznych chimer należy porządne mieszkanie, przyzwoite odzienie, wszelakie wreszcie ochędóstwo i t. d., nie mówiąc już o sztuce, muzyce, poezji. Rozumowanie takie określić można paradoksem: tworzenie wartości przez zniszczenie wszystkiego co życiu wartość nadaje. W ten sposób materializm staje się mistyką.

Jednym z najbardziej zadziwiających argumentów wytaczanych przeciw owemu lekceważonemu „estetyzmowi“, jest jego rzekoma niedemokratyczność. Argument ten byłby słusznym gdyby demokratyzm był jednoznacznym z niekulturalnością. Ale w takim razie czy wart jest aby w jego imię wytaczać argumenty? Gdyby rzeczywiście istniał dylemat wyboru między demokratyzmem a kulturą, każdy przyzwoity człowiek oświadczyć by się musiał za kulturą. Jeżeli jednakowoż za istotę demokratyzmu uznamy podniesienie mas do kultury, w takim razie nie możemy w jego imię dóbr kulturalnych niszczyć. Przeciwnie, musimy je mnożyć i zachowywać. A najbardziej właśnie będziemy cenić takie, które z natury swojej są dla szerokiego ogółu najdostępniejsze, są niejako dobrem publicznym. Tem bardziej, jeśli przedstawiają one wartości, z którymi żadne inne w porównanie iść nie mogą. Jakież muzeum sztuki, jaka architektura, teatr lub sala koncertowa, mogą dać sumę wrażeń szlachetniejszych, głębszych, zdrowszych i płodniejszych dla ducha, jak Tatry? „Demokratyzacja Tatr“ polega na udostępnieniu szerokim masom tych wrażeń, a zarazem na staraniu o to, aby źródło ich zachować niezamąconem, chronić je od skażenia i zepsucia.

Paradoksalnem prawie zrządzeniem losu niebezpieczeństwa zagrażające Tatrom nie mają źródła jedynie w konflikcie interesów idealnych z interesami gospodarczymi: niemniej groźnym jest konflikt z „udostępnianiem“, powołującym się właśnie na potrzebę zaspokojenia interesu idealnego. To „udostępnianie“, to drogi jezdne, kolejki szczytowe, hotele, sztuczne ścieżki, drogowskazy i t. p., wszystko co wnosi element obcy naturze gór, niweczy ich charakter, a więc ich piękność. Piękność gór polega na ich pierwotnej dzikości; w charakterze Tatr jest ten rys szczególnie silnie zaakcentowany. Kto chce nasycać się pięknnością dzikiej pustynnej przyrody z okien wagonu, ten robi z pustyni komedję, z dżungli menażerję. Powoływanie się na to, że osoby słabe i nie mogące chodzić mają prawo korzystać także z widoków wysoko-górskich, jest tu zupełnie nie na miejscu, gdyż nie korzysta się z widoku, z którego przez urządzenia do tego korzystania służące zatraciło się dziewięć dziesiątych jego wartości. A zniszczenie to dotknęło równocześnie wszyst-

kich, którzy byli w możności korzystania z tych skarbów w całej pełni. Na górę, na którą chodzi kolejka, nikt już nie pójdzie piechotą. Jest to proste prawo psychologiczne, na którem opiera się owa znana anegdota o bezrobotnych, którym dano zarobek w postaci przenoszenia drzewa z jednego miejsca na drugie i z powrotem; mimo chęci do pracy nie wytrzymali przy niej nad parę godzin. Taka kolejka niszczy zatem nie tylko widok, ale niszczy za sobą źródła energii, zdrowia i radości. W wielkich górach, jak Alpy, może się znaleźć miejsce na wszystko. W olbrzymich masywach gór kolejka, zwłaszcza umiejętnie poprowadzona, niknie zupełnie. Do wycieczek pieszych pozostaje tysiące innych miejsc. W Tatrach jedna kolejka wprowadzona do ich wnętrza może, a nawet musi nieodzwrotnie, sprawić niepowetowane szkody. — Słyszy się też i takie argumenty: „gdyby w Zakopanem szedł od dworca tramwaj do Kuźnic, a z Kuźnic kolejka na Świnnicę, to urzędnik czy robotnik, który ma czas tylko w niedzielę, mógłby jednego dnia, być z Krakowa na Świnnicy i z powrotem“. Przypomina to logikę tego żydka co chcąc tanio odbyć kurację w Karslbadzie, skomasował na jeden dzień wszystkie szklanki szprudla, które miał wypić przez trzy tygodnie. Tutaj wprawdzie operacja nje byłaby tak szkodliwa, ale niemniej bezskuteczna. Wrażen estetycznych nie łyka się, ale się je przeżywa. Koniecznym elementem przeżycia jest czas. Analiza zresztą owych upojeń, które daje nam przyroda górską, prowadzi do rezultatu, że źródłem ich nie są bynajmniej wrażenia wyłącznie wzrokowe. Mamy tu raczej do czynienia z całym kompleksem wrażeń, w których biorą udział nie tylko zmysły wzroku, słuchu i powonienia, ale nawet wrażenia mięśniowe i inne nieokreślone sensacje organiczne, działające bądź bezpośrednio, bądź przez wywoływanie drogą skojarzeń pewnych stanów psychicznych. Czynnikiem wytwarzającym te stany jest między innymi wysiłek — zarówno mięśniowy jak psychiczny. Pewien znakomity znawca alpinizmu powiedział: „piękność gór może odczuć tylko dobry piechur“.

Ale i poza swoją pięknością mieszczą góry w sobie inne wartości idealne, inne źródła radości. Jest to najprzód jakaś radość organiczna, jakby bezprzyczynowa, zdająca się krążyć z krwią w żyłach, radość idąca ze wzmoczonego poczucia zdrowia i siły. Poczucie to jest owocem trudu, rozprężenia mięśni i płuc, gimnastyki serca. Zbawczy nektar górskiego powietrza działa tylko na organizm napięty przez trud jak sprężyna. Ten trud odmładza i krzepi zarówno ciało jak duszę. Powiedział wielki filozof, że najlepsze myśli wychadza się. W Tatrach wychadza się zwałoną wiarę w samego siebie, spokojną i pogodną ufność w spraw-

ność własnego organizmu, energię i równowagę ducha. Nie dostaje się tego za darmo, nie wysiaduje na restauracyjnych terasach hoteli albo w wagonie górskiej kolejki. One służą dla gapiów. Jedyna z nich korzyść to że można powiedzieć — „byłem tam“. I za tę satysfakcję snobizmu miałooby się sprzedać bezcenne źródło zdrowia, energii i siły, siły cenniejszej daleko i potężniejszej w skutkach społecznych, jak siła obracających potężne turbiny wodospadów... Dla młodzieży Tatry są niezastąpionym wychowawcą, dla ludzi dojrzałych źródłem odmłodzenia, dla starców — drogą wspomnienia. Kto ma dobrze zdobyte wspomnienia z Tatr i zna drogi, którymi się do nich dochodzi, ten nie będzie wołał: „kolejki dla niemogących!“ Małżeństwo dziewiczej pustyni tatrzańskiej z niedołączoną niemocą przy pośrednictwie kolejki szczytowej jest tak samo sprośne i — bezskuteczne, jak małżeństwo 80-letniego starca z młodą dziewczyną. Dla niemocnych pozostają doliny, a jako surogat widoków szczytowych owe niewątpliwie piękne widoki, mające w sobie jakby barwę uczuciową odległych wspomnień, widoki z Gubałówki, Galicowej Grapy, Głodówki, Turbacza lub Babiej Góry.

Prócz argumentów za uprzemysłowieniem i za udostępnieniem, jest jeszcze trzecia kategoria twierdzeń, z którą trzeba się liczyć w sprawie ochrony Tatr. Jest ona ze wszystkich najsłabszą i nie była też dotąd podnoszona ze strony fachowej a pojawia się tylko w dyletanckich artykułach dziennikarskich. Mówię o twierdzeniu, że Tatry trzeba otworzyć dla chorych, budując sanatorja wyżynne. Zapomina się o tem, że do Polski należą tylko stoki północne Tatr i że wszystkie nasze doliny wysoko-górskie mają tylko kilka godzin słońca, a zato gwałtowne zmiany temperatury w ciągu doby. Przy tem zadziwiająca jest ta bystrość dobrych doradców i projektowiczów, którzy widząc to, czego niema, nie widzą tego co jest jasne i bijące w oczy: wyżynnych stoków południowych już nietylko Gubałówki ale całego pasma Gorców, których wystawa, łagodniejszy klimat, mniej ostre, bardziej połogie spadki, czynią z nich idealne miejsca pobytu dla ludzi słabszych i uzdrowiska. Ponadto mają te miejsca tę wyższość nawet nad południowymi stokami Tatr po stronie słowackiej że dają widok na Tatry, podczas gdy tamte obracają się ku nim tyłem, bo stroną północną.

Nie są więc Tatry ani złożem skarbów dla przemysłu, ani ziemią obiecaną dla restauratorów spekulujących na podwójny apetyt i podwójne ceny, ani miejscem reunionów dla snobów, ani terenem dla sanatorjów, ale przede wszystkim terenem turystycznym, boiskiem dla ćwiczenia i krzepienia ducha i ciała. To zaś ich znaczenie łączy się ściśle z za-

chowaniem ich charakteru przyrody pierwotnej. — Pozatem tego samego wymaga inny jeszcze wzgląd, wzgląd na znaczenie Tatr dla nauki. Oto co pisze w tej sprawie wybitny geolog¹⁾:

„Tatry stanowią partję szczytową rzeźby oblicza Polski. Jako takie są naszym bezwzględnym unikatem. Są to jakgdyby czułki termometru wytknięte ku niebu, na których przyroda rejestruje swą czynność dobitniej i żwawiej, niż na innych połaciach naszej ojczyzny. Cały szereg przemian w przyrodzie żywej i martwej wskutek tego tu tylko można obserwować. W Tatrach mamy małe muzeum, ale jedynie kompletne, wszystkich bez wyjątku zaburzeń skorupy ziemskiej naszej ojczyzny, od kaledońskich aż po dzisiejsze. To jest w najdosłowniejszym znaczeniu nasza szkoła geologii i morfologii, do której na naukę będą musiały chodzić wszystkie nasze przyszłe pokolenia geologów po wieczne czasy. Odważę się na twierdzenie, iż tak wysoko będzie stała każdorazowo nauka naszej geologii, jak głęboką będzie znajomość geologii Tatr“.

A niemniej ważnemi są Tatry dla nauk biologicznych, przedewszystkiem dla botaniki. Rozmaitość warunków ekologicznych skoncentrowana na tak małej przestrzeni, i dalej niż gdzieindziej posunięta izolacja gatunków, czyni teren tatrzański dla botanika szczególnie cennym, tem bardziej, że drugiego tego rodzaju terenu nie mamy w Polsce. Zjawiska biologiczne zaś jeszcze znacznie są tkliwsze od zjawisk przyrody martwej na wszelkie zmiany, których by doznała przyroda pierwotna pod wpływem kultury czy barbarzyństwa ludzkiego. — A więc także jako laboratorium i muzeum naukowe winny być Tatry zachowane przyszłym pokoleniom.

Jakim ma być park narodowy tatrzański i jak mamy dążyć do jego urzeczywistnienia? — Pierwowzór wszystkich takich „parków“, amerykański Yellowstone-park, jest rezerwatem zupełnym. Człowiek nie może tam nic przedsiębrać, wolno mu tylko chodzić i patrzeć. O wprowadzeniu czegoś podobnego w Tatrach można marzyć ale nie można realnie myśleć. I może właśnie zapatrzenie się w ten ideał przeszkadzało dotąd wejściu tej sprawy na realne tory.

¹⁾ Dr. Jan Nowak, w artykule p. t.: „Gdzie romantyzm“ (nr. 6 „Słowa Polskiego“ r. 1923). Artykuł ten stanowi część polemiki z powodu wygłoszonego w Tow. Kopernika we Lwowie (21 listopada 1922) przez prof. St. Sokołowskiego wykładu o projekcie parku narodowego w Tatrach. W polemice tej, prowadzonej na łamach „Słowa Polskiego“, brali udział prof. J. Tokarski, prof. J. G. Pawlikowski i dr. J. Nowak (Słowo Polskie nr. 286, 294, 298 z r. 1922 i nr. 6 z r. 1923).

Przedewszystkiem zaprowadzenie rezerwatu zupełnego wymagałoby wykupna terenu. Gdyby na to miały się nawet znaleźć środki pieniężne, co jest więcej niż wątpliwe, to nie obeszłoby się, na wielkiej przynajmniej części terytorjum bez przymusowego wywłaszczenia. A trzeba by je stosować nietylko do wielkiej własności ale także do wielogłowej własności chłopskiej, indywidualnej, spółkowej i gminnej... Niema chyba nikogo, ktoby zamysł taki uważał za realny. Z tego wynika po 1: że Tatry muszą pozostać w znacznej conajmniej części własnością prywatną, i po 2: że nie mogą być rezerwatem zupełnym. Tego stanu rzeczy nie należy jednak uważać za zwichnięcie całego zamierzenia. Jeśli nie będziemy mieć parku narodowego na modłę i miarę amerykańską, to możemy go jednak mieć na własną modłę i miarę. A na tę redukcję nie trzeba patrzeć tylko jako na zło konieczne, — odpowiada ona naturze rzeczy. Jeśli tylko trzymana będzie w należytych granicach, ochrona będzie zapewnioną dostatecznie. Tatry bowiem, mała wyspa wpośród okolic zaludnionych, nie są już — zwłaszcza w niższych swoich częściach — krainą zupełnie dziewiczą. Zdawna rąbie się tu las, kosi polany, już nawet ponad strefą lasów wypasa hale. Tych trzech sposobów użytkowania usunąć ani można, ani potrzeba. Puszcza leśna została już pod wpływem człowieka przekształconą; dalsze, byle tylko nie rabunkowe użytkowanie, utrzyma ją taką, jak jest. Zawieszenie użytkowania możeby po wielu latach stworzyło nową puszcę, ale ta nie byłaby już tem, czem była dawna. Z dzisiejszego świerka nie odródną się dawne buki i jodły... Chyba żebyśmy chcieli zamiast tylko ochraniać, jeszcze i restytuować. Nie można też stać na stanowisku wyłącznie malarskiem, że płaty świeżych zrębów dają nieestetyczną plamę w krajobrazie. Wszakże i zręby mają właściwą sobie piękność — ze swoim gąszczem krzewów i jaferów, z bujnemi wysokimi miotłami traw, kiściami różowej kipszyny i granatowego omiaku, z odsłaniającemi się niespodzianemi widokami. Ochrona winna tu tylko przestrzegać ścisłego wykonywania ustaw lasowych, dla zapewnienia trwałości drzewostanu, a w szczególności czuwać nad nienaruszalnością części lasów uznanych przez ustawę za ochronne, zwłaszcza w górnym reglu; pozatem możnaby żądać zakładania zrębów wąskimi pasami i jak najszybszego ich zalesiania, a tylko pewne partje od użytkowania wyłączyć. Tu należałyby np. pewne resztki pierwoborów, zbocza dolin odznaczających się pięknnością, jak np. doliny Kościeliskiej, otoczenia pewnych skał, grof, stawów i t. p. — Podobnie rzecz się ma z pasterstwem. — Roślinność na halach wypasanych od wielu już lat uległa zmianie i przywrócić pierwotnego stanu nie można. Pasterstwo zaś samo jest sposo-

bem użytkowania tak dawnym, pierwotnym i zespolonym z przyrodą i krajobrazem, że można je uważać wprost za składową część tego krajobrazu, która sama dla siebie wymagałaby raczej ochrony. Niebezpieczeństwo zagraża tu jedynie w postaci „przebydlenia“ hal, które prowadzi do zniszczenia darni i uwodzi do rozszerzania przestrzeni pastwiskowej, kosztem górnej granicy lasu i kosztem kosówki. Już ekonomiczne względy nakazują czuwać nad tego rodzaju wykroczeniami. —

Poza temi rodzajami użytkowań wszelkie inne, niemniej jak wszelkie zmiany powierzchni, winny być albo wykluczone, albo co najmniej poddane ściślejszej kontroli i uzależnione od zezwolenia organów ochronnych. Odróżnić przytem należy dwie strefy, stosownie do stopnia i zakresu ochrony: strefę pierwszą, górną czyli halną, jako strefę ściślejszej ochrony, i strefę drugą, niższą czyli reglową, jako strefę ochrony luźniejszej. Granicą między nimi jest w zasadzie granica lasu, co odpowiadałoby mniej — więcej izohypsie 1400 m. Jednakowoż, pomijając już to, że sam las u swej górnej granicy powinien podlegać ochronie absolutnej i włączonym być zatem w strefę pierwszą, to ta izohypsa nie schodzi się z faktyczną granicą lasu, która pod wpływem naświetlenia, wystawy na wiatr i innych stosunków terenu, często się obniża a niekiedy podnosi. Nadto inne jeszcze względy każą niekiedy granicę stref przesunąć niżej jeszcze i poddać ściślejszej ochronie pewne tereny, niby półwyspy lub nawet wyspy, wkraczające w strefę drugą, lub nią na okół otoczone. Faktyczne granice stref muszą być zatem ustalone i oznaczone kartograficznie. — Podział na dwie strefy ma swoje uzasadnienie nietylko w tem, że w strefie niższej nie można, ze względów ekonomicznych, tak ściślejszej przeprowadzić ochrony, ale także i w tem, że ona tam nie jest w tym stopniu potrzebna. Łagodniejszy charakter krajobrazu godzi się łatwiej z działami ręki ludzkiej, niż dziki pustylny krajobraz wysokogórski, — w lasach zaś można ukryć to, co na miejscach otwartych razić by musiało.

W strefie tedy pierwszej — górnej — poza pasterstwem wykluczeniem miałyby być wszelkie użytkowanie i wszelkie zmiany na powierzchni terenu, a zatem także wszelkie drogi i budynki poza zwykłymi pasterskimi szałasami i perciemii najprostszego typu. Warunkowo, t. j. za uzyskaniem osobnego w każdym wypadku pozwolenia, dopuszczoną byłaby budowa schronisk, raczej koleb — niskich, ukrytych, niewidocznych z daleka i nie odbijających barwą od otoczenia, przeznaczonych nie do mieszkania ale do chwilowej uchrony. — W strefie drugiej — reglowej — poza pasterstwem użytkowanie rozciągałoby się jeszcze na łąki i lasy. Dopuszczone byłyby zwykłe drogi lasowe, budy dla strażników i drwali,

szały i „letniki“ w typie używanym na polanach. Za osobnem, odpowiednio z warunkowaniem pozwoleniem, wolno byłoby stawiać domy mieszkalne dla służby lasowej i schroniska także mieszkaniowego typu.

Tu nasuwa się pytanie następujące: oto gdyby się okazało, że pewne rodzaje eksploatacji są z punktu widzenia dobra publicznego niezbędne, więc np. że niezbędną jest — choćby na lokalny użytek — eksploatacja kamienia, że znajdują się gdzieś bogate i rzeczywiście niezastąpione złoża kruszcowe, albo że wody jakieś muszą w braku innych zaspokoić potrzeby bliższych lub dalszych okolic, gdyby ten interes publiczny po zważen u sumiennem wszystkich okoliczności, okazał się naprawdę wyższym od interesu zachowania w stanie nienaruszalnym pewnej okolicy — co wtedy miałyby nastąpić? — Oczywiście niema ustawy, któraby nie mogła być zniesioną lub zmienioną przez nową ustawę, (i to jest nawet powód dla czego należałoby pomyśleć o pewnych gwarancjach względnej trwałości dla ustawy ochronnej!) — ale czy jest rzeczą właściwszą pozostawić nowemu aktowi ustawodawczemu modyfikację pierwotnych ochronnych postanowień, czy też już w ochronnej ustawie, zamiast absolutnego zakazu, wprowadzić zakaz warunkowy i upoważnić organy czuwające nad ochroną do udzielania pozwoleń? Jest to kwestja polityki ustawodawczej, nad którą zastanowić się przyjdzie. Tutaj roztrząsać jej niema potrzeby. Istota rzeczy jest ta, aby nie wolno było nikomu działającemu w interesie czysto osobistym albo też pozbawionemu poczucia ważności interesu publicznego, tkwiącego w ochronie Tatr, niszczyć lekkomyślnie i dowolnie ich piękno i wogóle ich wartości idealne. Nad temi wartościami czuwać musi oko mające pełną świadomość ich wagi. W danym wypadku może się nawet okazać niedopuszczająca kompromisu różnica zapatrywań, zapatrywania te jednak muszą mieć sposobność się ujawnić, rozprawić i odwołać do opinii publicznej, zanimby niepowetowana szkoda miała się stać. Wtedy samo już poczucie odpowiedzialności przed szerokiem forum narodowem, może nawet przed forum przyszłych pokoleń, zmusi do zastanowienia różnego rodzaju lekkomyślnych lub zaślepionych interesami swego fachu, swej ambicji lub swej kieszeni projektowiczów, którymby inaczej argument idealnych interesów ochrony nawet nie przyszedł do głowy. I chyba w takim ujęciu sprawy nie kryje się niebezpieczeństwo dla tak zwanych „realnych“ — (a raczej materialnych, pozornych i chwilowych) interesów społeczeństwa — które tak często i tak powierzchownie wytacza się przeciw dążeniom „ochraniarzy“...

Nie zdaje się też urzeczywistnienie tak pojętego parku narodowego przedstawiać zbyt wielkich trudności. Nabycie Tatr na własność publiczną,

jakkolwiek ułatwiłoby niewątpliwie wykonanie ochrony, nie jest, jak widzieliśmy, wcale koniecznym. Odpada więc największa trudność. Nabycie pewnych mniejszych obszarów leśnych, które dla jakichś powodów zupełnie od użytkowania wykluczone by być miały, względnie odszkodowanie właścicieli za stracony przez to dochód, nie spowoduje zbyt wielkich kosztów, ile że tego rodzaju partje rezerwatowe leżeć będą przeważnie w miejscach odległych, mało dostępnych i do eksploatacji trudnych. Pozatem ograniczenia użytkowania wprowadzone przez ustawę, nie będą pociągać za sobą żadnych wydatków, w szczególności żadnego wynagrodzenia dla właścicieli. Postanowienia bowiem ochronne, regulujące użytkowanie lasów, polan i hał, uzasadniają się równocześnie już motywami ekonomicznymi, które poza granice prawa pospolitego wychodzą tylko ze względu na szczególne warunki górskiego terenu. Ograniczenie wolności budowania domów i dróg, taksamo nie uzasadnia wynagrodzenia, jak w analogicznym wypadku regulacji miast i uzdrowisk. Co do zakazu eksploatacji kamieni, kruszców i wód, tudzież zmieniania łożysk potoków, to wynagrodzenie będzie wtedy tylko uzasadnione, kiedy z tego zakazu mogłaby wyniknąć pozytywna szkoda dla dozwolonych gałęzi gospodarstwa, — a więc np. zasypywanie żwirem łąk przez nieuregulowany potok, brak kamienia na budynki gospodarskie i mieszkalne i t. p. Ale też tak daleko zakaz nigdy sięgać nie będzie¹⁾. Pozatem te inne formy eksploatacji ekonomicznej nie były dotąd praktykowane i nie były zgoła przewidziane i brane w rachubę przez dzisiejszych właścicieli w chwili nabywania własności. Jeżeli na takie eksploatacje w przyszłości by się widoki otworzyły, to byłby to przybytek nieoczekiwany, niby wygrany los, i to los za który się nic nie dało. Samo odjęcie takiej sperandy nie jest żadną stratą pozytywną i nie daje prawa do wynagrodzenia. Zresztą w ustawodawstwie można znaleźć wiele analogii takich wypadków. W każdym razie moment wynagrodzenia, jeśli się kiedy okazało uzasadnionem, następuje dopiero w chwili kiedy pozwolenie na pewne konkretne i bezpośrednio zamierzone roboty zostało odmówionem; wtedy to dopiero przyjdzie rozważyć, czy można i warto ponieść wynikające z odmowy koszta, czy też na roboty zezwolić, lub w porozumieniu ze stroną interesowaną wybrać jakąś drogę

¹⁾ Tak np. projekt P. K. O. P. przewiduje swobodną eksploatację istniejącego kamieniołomu „na Capkach“; możnaby tylko rozciągnąć nadzór nad sposobem eksploatacji, albo np. na wzór ustawy belgijskiej żądać zadarnienia, względnie zalesienia skał odkrytych a dalej nie eksploatowanych i t. p.

pośrednią. Taki proceder stosuje ustawa heska z 16 lipca 1902 r. (art. 14) i oldenburska z 18 maja 1911 r. (§ 17); ustawa berneńska z dnia 29 marca 1912 r. licząc się z niemożnością określenia z góry stopnia zmniejszenia wartości danego gruntu przez ograniczenia ochronne, pozostawia sprawę wynagrodzenia w każdym wypadku, swobodnemu uznaniu władzy, (Rady rządzącej; §. 12). Te tedy rzadkie wypadki, gdzieby mogła być mowa o wynagrodzeniu, nie pociągają zgoła żadnych wydatków z góry i nie przedstawiają ani doraźnego obciążenia, ani niebezpiecznego angażowania skarbu państwa na przyszłość.

Jeden tylko wydatek oczywiście jest niezbędnym, a to wydatek na skuteczne wykonywanie ochrony w ustanowionym rezerwacie. Na wspomnianej wyżej konferencji w sprawie parku narodowego, wyrażono zapatrywanie, że z całego Podtatrza i Tatr należy uczynić osobny okręg administracyjny¹⁾. Po wprowadzeniu bowiem ochrony obszar ten podlegać będzie różnym specjalnym przepisom prawnym, a zresztą warunki administracji na całym tym obszarze są wyjątkowe i podobne. Zaprowadzi się tu więc także odpowiednio wyszkolone organy policyjne, względnie straż górską. — Podtatrze, czyli t. zw. „skalne Podhale“, obfitujące w letniska i uzdrowiska, teren sportów narciarskich i turystycznych stacyj wychodnych, powinno być planowo kierowane ku spełnieniu tych swoich zadań, które coraz to większego nabierają znaczenia. Należy myśleć nie już o „regulacji Zakopanego“, ale o regulacji całego Podtatrza. Wczesne podjęcie tego zadania uchroni od rozmaitych błędów, które później dopiero po niewczasie naprawiać trzeba, przyspieszy rozwój tych okolic, odciąży przeludnione Zakopane i umożliwi tysiącom ludzi, zwłaszcza mniej zamożnych, pobyt w tych stronach, usuwając drożyznę z przeludnienia wynikającą. Planowa regulacja połączona jest również z pewnym zakresem ochrony przyrody i ochrony swojej szczyzny, to jest pewnego charakteru etnograficznego. Dlatego można mówić o „trzeciej strefie ochronnej“, strefie podtatrzańskiej, która zaczyna się u stóp regli, tam gdzie kończy się strefa druga. W ten sposób dopiero dzieło będzie dopełnione: „park narodowy“, Tatry, ochronione od zniszczenia i zachowane w całej swej pierwotnej krasie, otwarte zostaną szeroko dla narodu.

¹⁾ „Ochrona przyrody“, zeszyt II, str. 75. Podobnie była mowa o tem na ankiecie ministerjalnej w sprawie rozwoju Zakopanego w listopadzie 1919 r. Zob. „Plan rozwoju Zakopanego i innych polskich letnisk podtatrzańskich“ dr. Mieczysława Orłowicza; jest to protokół rzeczonyj ankiety.

Nieznane grotы doliny Kościeliskiej.

Właściwą krainą grot są skały wapienne. Związane to jest z dwoma charakterystycznymi cechami wapieni, (do których w szerszym znaczeniu zaliczyć trzeba i dolomity): z ich skłonnością do tworzenia szpar i szczelin i ze względnie łatwą rozpuszczalnością w wodzie. Woda wnikaąca w szczeliny rozpuszcza ich ściany i w ten sposób powiększa je, dając początek większym lub mniejszym jamom i pustkom. Jeśli pustki te utworzą korytarze podziemne, przez które przelewa się woda w postaci strumieni, wtedy do działania chemicznego wody przyłącza się jej działanie mechaniczne, erozyjne, podobnie jak to ma miejsce w strumieniach powierzchniowych. Strumień podziemny znalazłszy sobie inne ujście, zostawia w obeschłej grocie ślady swego działania. Grotы obsychają z reguły, gdy dolina odwadniająca teren wrzyna się weń głębiej, obniżając przez to poziom wód podziemnych. Niekiedy wnikaąca w skałę przez szczeliny woda napotyka w niej obszerne pustki istniejące już od początku powstania skały, jak to ma miejsce w skałach powstałych z raf koralowych. Do dalszego ukształtowania grot przyczyniają się takie procesy, jak obrywanie się sklepień, namulania i nacieki. Nawet najczystsze wapienie zawierają pewien procent gliny, która jest w wodzie nierozpuszczalna. Po wypłukaniu wapna, glina ta pozostaje jako namuł na dnie grotы. Woda obładowana wapnem, („mleko kamienne“!) przenikając przez sklepienie, przy sprzyjających zwłaszcza warunkach (jak suchość powietrza, przewiew), paruje a również traci część pochłoniętego przez się dwutlenku węgla, skutkiem czego zmniejsza się jej zdolność rozpuszczania wapna. Wapno wtedy wydziela się, niby przyczepiona do sklepienia stężała kropla, po której spływają, przyczepiając się do niej, krople inne, w podobny sposób tężejące, tworząc z czasem długie sople zwane stalaktytami. W podobny sposób tężeją spadające na dno grotы krople, z których powstają znowu jakby sople w górę sterczące, stalagmity. Niekiedy proces ten odbywa się tak bujnie, że kończy się zasklepieniem i zanikiem grot. Utwory stalaktytowe miewają zresztą i inną postać, — w grotach tatrzańskich występują najczęściej jako okrągławe bule podobne do wymion, lub jakby pokrywające ścianę porosty i t. p.

Wszystkie te zjawiska, których źródłem jest przenikanie wody w głąb skały, i jej rozpuszczanie, określane bywają nazwą „zjawisk krasowych“. W ściślejszym znaczeniu termin ten używany bywa jednak tylko do określenia szczególnie skrajnych typów tych zjawisk. Początek wzięła ta nazwa od krainy Krasu czyli Karstu na północnych i wschodnich wy-

brzeżach Adrjatyku. Tutaj zanika zupełnie odwodnienie powierzchniowe, cała woda opadów zapada w głąb ziemi. Tworzą się rzeki podziemne, wychodzące czasem na powierzchnię, lub na zawsze przed okiem ludzkim ukryte. Cała ziemia podminowana jest wyługowanymi pustkami. Na powierzchni tworzą się rozmaitego rodzaju zapadłości i leje. Gleba rodzajna splukana zostaje w głąb ziemi, pozostaje skalna pustynia.

Polskie Tatry wapienne otaczające od północy i zachodu granitową wyspę Tatr Wysokich, nie wykazują skrajnych cech skrasowacenia, a to dzięki dwom szczególnie okolicznościom: stromym spadkom i na niższych wzniesieniach okrywie roślinnej, zwłaszcza leśnej. Strome spadki nie dają wodzie opadów czasu przenikać w głąb skały, ale odprowadzają ją po powierzchni, — okrywa roślinna zamyka szpary i szczeliny leżących pod nią wapieni a wytwarzająca się pod okrywą lasów próchnica, pokryta mchem i ścielą leśną, wsiąka w siebie wodę jak gąbka. Mimo tego spotykamy i tu, jakkolwiek w słabszym rozwinięciu, wszystkie niemal charakterystyczne zjawiska krasowe: „suche wody“, t. j. żleby, które tylko po większych zlewach i roztopach, napełniają się wodą a poza tem pozwalają jej wnikać w głąb między kamienie, — wywierzyska¹⁾, jak Olczyjskie, Bystrej za Kalatówkami, Źródło Lodowe w Kościeliskach i źródło w dolinie Chochołowskiej, — strumienie podziemne, jak wypływający z pod Pisanej i znaleziony przez T. i St. Zwolińskich w kwietniu 1922 r. wypływ pod Zawiesistą w dolinie Chochołowskiej²⁾, — wreszcie rozmaitego rodzaju dziury, jamy i groty. Te są liczne ale względnie małe; niema u nas groty nawet takiej, jak grotą w Białej w Tatrach Bialskich po Słowackiej stronie, nie można ich zaś wcale porównywać z grotami Krasu adrjatyckiego, których rozgałęzienia mierzą po kilka kilometrów. Nawiasem mówiąc i te olbrzymie groty są miniaturą wobec Groty Mamutowej w Stanie Kentucky, gdzie sieć podziemnych rozgałęzień

¹⁾ Wywierzyskami nazywają u nas miejsca, gdzie bezpośrednio z ziemi wypływają strumienie, nazwy zaś tej nie stosuje się do wypływu wód z grot wodnych. W gruncie rzeczy oba te zjawiska nie różnią się od siebie, jak tylko zewnętrznym pozorem. Zarówno nazwa „wywierzysko“ jak „wypływ“ nie mówią o tem, czy mamy do czynienia ze źródłem podziemnym, czy tylko z wydobyciem się na wierzch zapadłych pod ziemię strumieni powierzchniowych. W wielu zresztą wypadkach, jak np. pod Pisana, rozstrzygnięcie tej kwestji jest trudne.

²⁾ Największą grotą wodną w Tatrach jest Stefkówka pod Zuberem na słowackiej Orawie. Nie była ona jednak dotąd, o ile wiemy, przynajmniej przez polskich turystów bliżej zbadana. Zapuszczał się w nią przed laty J. G. Pawlikowski, nie mając jednak łodzi nie mógł dotrzeć daleko. Odwiedzał ją także Chałubiński, poprzestał jednak podobno tylko na obejrzeniu wodospadu w komorze wstępnej.

wynosi około 250 km! Gdy jednak zjawiska krasowe stoją w pewnej sprzeczności z obfitością strumieni i bogactwem szaty roślinnej, możemy przeto powiedzieć, że nawodnienie naszych dolin, zieloność polan i bujność lasów są jakby równoważnikiem szczupłości naszych grot. Zresztą o ile chodzi o wartości krajobrazowe, to wielkość grot żadnej roli nie odgrywa. Nasze małe grotty, z ich często tak pięknym położeniem i piękną architekturą wylotów, stanowią cenne ogniwo całości krajobrazu. Pod względem naukowym zawierają one wiele rzeczy ciekawych, a kryją niewątpliwie niejedną jeszcze niespodziankę¹⁾.

*

Z pośród grot Tatr polskich wymienić należy: grotę Magóry, Kasprową, Goryczkową, Dziurę pod Sarnią Skałą, oraz grotty: Mylną, Raptawicką, Zimną, Okna Zbójnickie, Smoczą Jamę, Groby i t. d. w dolinie Kościeliskiej, jako znane ogółowi turystów, zwiedzane dość często i łatwo dostępne.

Stosunkowo największą ich ilość kryją skaliste i lesiste stoki doliny Kościeliskiej. Była ona po polskiej stronie Tatr miejscem zdawna znanem i uczęszczanem; istniała tu już przed wiekami osada górnicza i tędy też wiódł ważny szlak kupiecki na Węgry; wiele jej miejsc, jak Pisana, Okna Zbójnickie, „grób młynarza“ przy krzyżu Pola — osnutych jest urokiem starodawnych legend i podań.

Bywała też dolina Kościeliska ulubionem miejscem pobytu zbójników, a słynny Janosik miał rzekomo swą siedzibę w naturalnej warowni „Okien Zbójnickich“.

O skarbach, ukrytych przez zbójników, „kotlikach“ pełnych dukatów i talarów, „zaklętych“ wśród niedostępnych turni, jak również o naturalnych bogactwach gór, krążyły dawniej wśród górali a nawet poza obrębem Tatr nader przesadne wieści. Zwabieni żądzą znalezienia niezmiernych skarbów, zjawiali się w Tatrach ludzie pochodzący ze stron dalekich, przeważnie z poza granic Polski i latami całymi poszukiwali ich, zachowując przytem szereg rytuałów i przepisów, odmawiając tajemnicze zaklęcia i modlitwy. Niektórzy „poszukiwacze skarbów“, wśród których trafiali się alchemicy i inni „uczeni“ owocześni, kierowali się wiadomościami pisemnymi, czerpanymi z zazdrośnie przechowywanych tajemniczych „spisków“.

Wśród turni nad Bramą Kraszewskiego i nad Krakowem w dolinie

¹⁾ Cały ten ustęp początkowy dodany został z inicjatywy redakcji „Wierchów“ i nie pochodzi z pióra autora artykułu.

Kościeliskiej znaleźć można ślady ich pobytu w postaci znaków, figur, napisów i dat (najstarsza znana 1663 r.), wykutych z niemałym zapewne nakładem pracy na skałach.

Górale, a zwłaszcza juhasi z hal okolicznych i strzelcy, znali oddawna wiele łatwiej dostępnych grot kościeliskich, lecz od zapuszczania się w głąb poza miejsca, dokąd dochodzi światło dzienne, powstrzymywał ich strach zabobonny przed „duchami ziemnymi“, „skarbnikami“ i „mnichami“, które tam miały mieć swą siedzibę.

Znany wypływ z pod Pisanej kryje wejście do tajemniczych pieczar, gdzie wedle dawnego podania spoczywać mają „zaśnieni rycerze“ króla Bolesława, czekający na zew „aż przyjdzie czas“ by ruszyć w bój za Ojczyznę.

Do grotы tej zapuszczał się Seweryn Goszczyński w r. 1832, brnąc po szyję w wodzie. Usiłowania te ponawiał koło r. 1880 prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski — a rezultatem ich było znalezienie wewnątrz grotы śladów pobytu ludzi i prac dla jej udostępnienia; dno korytarza pod powierzchnią wody wyłożone jest drzewem, a sklepienie w kilku miejscach podstemplowane. Prawdopodobnie jest to też dziełem poszukiwaczy skarbów — lecz zagadka ta nie została do dziś dnia dostatecznie wyjaśnioną.

Pierwszym, który zajmował się szukaniem i badaniem grot tatrzańskich z turystycznego punktu widzenia — był również prof. dr. J. G. Pawlikowski, odkrywca wielu grot kościeliskich (w latach 1880—1885), którym ponadawał nazwy i opisał w Pamiętniku Tow. Tatr. z 1887 r. („Podziemne Kościeliska“).

Grotы te, Mylna, Raptowicka, Zimna, Groby i inne, (Okna Zbójnickie i Smocza jama znane były dawniej), których zwiedzenie należy dziś do programu wycieczek w dolinie Kościeliska, znane są powszechnie.

Mimo szybkiego rozwoju ruchu turystycznego i pogłębienia znajomości Tatr w latach przedwojennych, dalszem poszukiwaniem i badaniem grot interesowało się tylko szczupłe grono taterników, jak M. Zaruski, M. Świerz i kilku innych.

Obfite wykopaliska kości niedźwiedzi jaskiniowych i innych zwierząt z epoki lodowej, znajdujące się w niektórych grotach, jak również flora i fauna u wylotu grot spotykana, zwróciły uwagę geologów, paleontologów i botaników, jak Ossowski, M. Limanowski, A. Żmuda, Kiernik i inni, zasilających zbiory muzealne ciekawymi okazami z grot tatrzańskich. Kilka sprawozdań i prac naukowych tych ludzi stworzyło początki polskiej literatury speleologicznej.

Ukryte wśród lasów i turni tajemnicze grotы doliny Kościeliskiej, pełne fantastycznych okien, „skrzel“, kominków i dziur ciasnych, któremi pełzać trzeba by dostać się do komór nieznanых rozszerzających się w głębi — owe „Podziemne Kościeliska“ — owiane urokiem starodawnych podań o skarbach „zaklętych“, „zaśnionych rycerzach“ i zbójnikach — miały dla mnie, mieszkającego od dziecka u stóp Tatr — urok niezwykły.

Wraz z bratem, a niekiedy w gronie młodocianych „grotołazów“, jak się żartobliwie nazwaliśmy, zwiedzaliśmy najdziksze zakątki doliny Kościeliskiej i udało się nam odkryć kilka niewielkich grot i tuneli. Po wojnie i kilkoletniej niebytności w Tatrach, rozpoczęliśmy na nowo te poszukiwania w okolicach Krakowa nad doliną Kościeliską. Doprowadziły one do odkrycia w skalistym reglu, zwanym przez górali „Żar“ (na dotychczasowych mapach „Zamki“ 1551 m. wys.) między Krakowem tatrzańskim a halą Smytnią w dolinie Kościeliskiej — kilku nowych grot, poniżej opisanych, oraz do powtórnego odnalezienia ciekawej grotы Lodowej w Kamiennem.

Grota Poszukiwaczy skarbów. W opisie grot odkrytych w r. 1885 na górze Żar (Zamki), które zresztą później rzadko zwiedzane były, wymienia prof. J. Gw. Pawlikowski grotы: Niżnią pod Zamkiem, Groby i Dzwonnicę. Dwie ostatnie znajdują się wśród szeregu turni, poczynających się u wąwozu Krakowa poza Smoczą Jamą i wznoszących się pionowemi ściankami ku grani Żaru, na której tworzą szczycik, zwany przez starych górali Zbójnicką Turnią. W żlebie, spadającym wzdłuż tych ścianek ku Smoczey Jamie, nad trawiastym upłazkiem poniżej wejścia do grotы „Groby“ znaleźliśmy niewielką i ciasną grotę, nie przedstawiającą zresztą nic osobliwego — lecz ściana u jej wylotu pokryta jest gęsto dziwnymi znakami; tworzą one dłuższy, trudny do odcyfrowania napis, jakby modlitwę; obok wryto monogramy kościelne IHS i „Marja“ w promienistych otokach, strzały i t. d. Kilka kroków na prawo, poza wylotem tej dziury, odnaleść można rysunki jakgdyby drabiny, domu o trójkątnym dachu, liczne krzyże i duże litery. Znaki te porośłe są mchem i widocznie bardzo stare. W połowie wysokości gładkiej, pionowej skały, na której się one znajdują, czernieje wnęka, mająca pozór wylotu obszernej grotы.

Będąc tu z bratem po raz pierwszy, bez odpowiednich narzędzi, nie mogliśmy się do niej dostać i dopiero 2 października 1921, po ścięciu dużego smreka i zrobieniu zeń „ostrewki“, którą przystawiliśmy do ściany poniżej wnęki, udało się pokonać dolny próg; krótka wspinaczka po trawiastych półczekach wyprowadza do otworu grotы, leżącego 10 m

ponad podstawą ściany skalnej, na wysokości około 1155 m nad poziom morza (pomiar barometryczny).

Jest to ostrołukowa wnęka wysokości około 7 m, o dnie zupełnie równym, pokrytem ziemią; od przepaści oddziela ją barjera skalna 1 m.

GROTA „POSZUKIWACZY SKARBÓW.”
Podziałka = 10

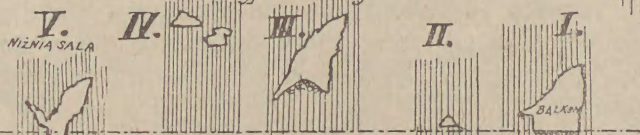


Plan (rzut poziomy)



Przekrój podłużny

wzdłuż wyprostowanej osi.



Przekroje poprzeczne

wysoka, zamykając w ten sposób pod okapem nawistych skał niezwykle oryginalny „balkon“, na którym po wciągnięciu liną plecaków urządzamy wygodne obozowisko. Roztacza się stąd ponad wierzchołkami drzew jeden z najpiękniejszych widoków na dolinę Kościeliską.

Zapalamy latarki acetylenowe i zapuszczamy się idąc na czworakach

w głąb niskiego korytarza, który po 7 metrach doprowadza do obszernej i wysokiej sali; pośrodku piętrzy się stożek gruzów oderwanych od sklepienia, poza którym dno, usłane wielkimi głazami wznosi się ku sklepieniu. Sala ta liczy 16 m długości, około 5 m szerokości i 7 m wysokości. (zob. plan ¹⁾). Ku górze rozchodzą się z niej 2 korytarze; lewy (t. zw. Górny Korytarz), niski o gładkiem dnie skalnym, doprowadza po 6 metrach nad brzeg prostopadłego prawie, szerokiego komina.

Ku naszemu zdziwieniu, znaleźliśmy w nim ustawioną „ostrewkę“ z grubego pnia smrekowego, zbutwiałą do tego stopnia, że palec wbić można w zczerniałe drzewo. Asekurując się liną, schodzimy 6¹/₂ m w głąb komina, odznaczającego się piękną strukturą sklepienia z którego żebro- wań zwieszają się ciekawe nacieki w kształcie okrągłych „bul“. Komora dolna pod kominem, o dnie pokrytem namulem i gruzem wapiennym, zawiera w zakątkach pod nawisłymi ścianami mnóstwo kości, zębów i czaszek, należących do kilku gatunków zwierząt z epoki lodowej.

Dalej wiedzie ciasny korytarz w lewo — i doprowadza przez ciekawą „okno“ wśród „skrzel“ wapiennych nad 4-metrowy komin, kończący się w dole „ślepą komorą“. Jest ona zasypana i zamulona, przez wody płynące niegdyś z górnych pięter grotu, które przyniosły tu również wiele kości.

Korytarz „Środkowy“, będący przedłużeniem sali głównej, biegnie ku górze i zagina się po 10 metrach, przechodząc w labirynt ciasnych i wilgotnych kanałów; jeden z nich zakręca w kierunku powrotnym i wychodzi ponad sklepienie sali głównej.

W sali tej, wśród głazów zalegających jej dno, zauważyć można pod ścianą 2 ciasne szczeliny, będące śladami zasypanego korytarza. Z zachowaniem wielkiej ostrożności można wcisnąć się pod zaklinowane głazy, kryjące dostęp do „Niższej sali“. Liczy ona 8 m długości a ściany pokrywają piękne nacieki, tworzące niewielkie stalaktyty i stalagmity, a zamknięta jest zaporą skalną, przez którą przedostać się można do długiego korytarza, wznoszącego się stromo ku górze i zawalonego rumowiskiem skalnym.

Grota Poszukiwaczy skarbów, jakkolwiek nie zalicza się do rozległych, jest jednak jedną z najbardziej urozmaiconych i ciekawą pod względem naukowym; korytarze opisane, oraz kilka pomniejszych, roz-

¹⁾ W załączonych planach grot: „Poszukiwaczy skarbów“, „Za smrekiem“ i „Lodowej“ po liczbie 10 przy podziałce należy dopisać literę m (t. j. metrów), którą przez przeoczenie opuszczono.

chodzących się od sali głównej i dziury w skałach okolicznych, wskazują, że mamy tu do czynienia z rozgałęzionym niegdyś lecz zniszczonym systemem jaskiń.

Wyprawy do niej, ponawialiśmy w lecie 1922 r. w towarzystwie prof. K. Steckiego, z którym postanowiliśmy zbadać szczegółowo nowo odkryte groty pod względem prasydniczym; zostały one pomierzone przy pomocy taśmy mierniczej, kompasu i aneroidu i pofotografowane, a dla zapoczątkowania pomiarów temperatury pozostawiliśmy wgłębi tej groty termometr maksymalny i minimalny na czas zimy. W niektórych



wyprawach brało też udział kilku wybitnych turystów i przyrodników; materiały zebrane zostały wzięte przez specjalistów do opracowania a okazy przyniesione wielone do zbiorów Muzeum Tatrzańskie im. dr. Chałubińskiego w Zakopanem.

Znaki i napisy wyżej opisane oraz ostrewki i ślady ognisk znalezione w tej grocie, skłoniły nas do nazwania jej grota Poszukiwaczy skarbów dla upamiętnienia ich pobytu w Tatrach.

2. Grota „Za smrekiem“. Zwrócone ku dolinie Kościeliskiej stoki Żaru (zwanego na mapach „Zamki“, 1551 m), porośnięte są zębami, spada-

jącymi w okolicy krzyża Pola na dno doliny, które w górnych partjach porozdzielane są sterczącymi wśród lasu żebrami skalnymi i turniczkami o śmiałych kształtach; okolicę tę zowią juhasi „Między Turnie“.

W jednej z tych turniczek, mniej więcej w połowie wysokości Żaru

rośnie we wnęcie skalnej, wzniesionej 4 m ponad dnem żlebu — okazały smrek zakrywający swemi gałęziami wylot nader ciekawej groty, która choć łatwo dostępna, nie była dzięki temu znaną nawet juhansom. Odkryliśmy ją w lipcu 1922 r. i nazwailiśmy „Za smrekiem“.

Jest to rozmyta przez wodę szczelina w skale wapiennej o przekroju soczewkowatym, zmiennej szerokości, wysoka 3—7 m (zob. plan).

Zrazu postępujemy nią poziomo i wygodnie, lecz w odległości 20 m od wylotu dolna część szczeliny, zaklinowana głazami, zwięża się tak, że wspinać się trzeba dalej po bocznej ścianie. Zwracać tu należy baczną uwagę na głazy wiszące u sklepienia, które spaść mogą od najbliższego potrącenia lub nawet wskutek głośnej rozmowy, jak to miało miejsce



Utwory korrozyjne i naciekowe w ścianach groty
Za Smrekiem, (Fot. St. Zwoliński).

w czasie trzeciego zwiedzania groty w którym brało udział kilka osób.

W odległości 25 m od wylotu grota rozszerza się. Stajemy nad brzegiem czeluści głębokości $6\frac{1}{2}$ m w którą schodzimy używając ostrych występów i nacieków jako chwytów.

Jest to najpiękniejsze miejsce tej grotty. Ściany i sklepienie pokryte są smugami różnobarwnych nacieków, które w migotliwym świetle latarki nabierają pozorów życia i wydają się kłębami węży i gadów, zwieszających się groźnie nad głowami śmiałków, zakłócających odwieczną ciszę tych podziemi. — Na ostrych krawędziach wystających „żeber“ i „skrzeli“, na ścianach, sklepieniu i pod stopami jeżą się gęste oryginalne wykwity wapienne, przypominające ławice koralu, o maczugowa, tych lub grzybkowatych kształtach.



Widok z wylotu grotty Przeziorowej w stronę Kominów Tylkowych. (Fot. T. Zwoliński).

Zjawisko to, nie spotykane w innych grotach tatrzańskich¹⁾ w tej postaci, jest tem efektowniejsze, że wykwity te śnieżno-białe, mają główki zabarwione na kolor rdzawo-czerwony (przez związki żelaza), a dochodzą one do 10 cm długości.

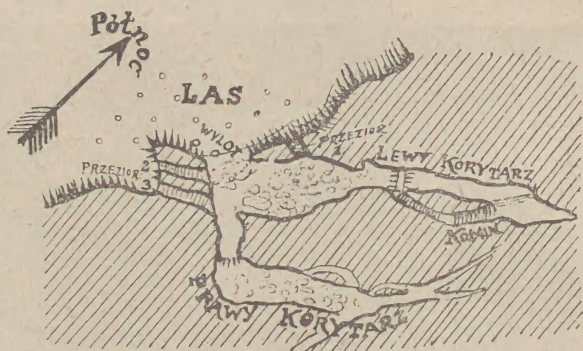
Idąc dalej w głąb grotty przez „Bramę pod blokiem“ zaklinowanym

¹⁾ Opisane tu utwory skalne, (zob. też ilustrację!), są produktem dwojakiego procesu: korrozji, t. j. rozpuszczania i wylugowywania wapna przez wodę, i osadzania wydzielonego wapna w formie nacieków. Procesy korrozyjne, kształtujące skałę na podobieństwo przepalonego i podziurawionego żużla, podobną formę przybierają także w grocie „Groby“. (Przyp. Red.).

spotyka się te same utwory na ścianach „Koralowego korytarza“ (długości 12 m), uchodzącego wreszcie do obszerniejszej komory końcowej, liczącej 12 m długości i około 6 m szerokości. Cała grotta ma 57 m długości do tego miejsca. Od komory idzie w dół — jak widać z planu — jeden tylko ciasny korytarz, długości 11 m, zakończony wąską szczeliną.

GROTA „PRZEZIOROWA”

Podziałka 1:500.



Plan (rzut poziomy)



Przekrój podłużny

Stos ruchomych głazów oderwanych od sklepienia zamyka komorę końcową, i dopiero po usunięciu niektórych udało nam się z niemałym narażeniem przecisnąć dalej by stwierdzić, że poza tą zaporą grotta zawalona rumowiskiem świeżo odpadłych głazów ciągnie się jeszcze daleko w głąb.

Grotta „Za smrekiem“ jest typową grotą szczelinową a podczas

późniejszych badań i pomiarów — wraz z prof. Steckim — nie znaleźliśmy w niej żadnych kości ani jakichkolwiek śladów bytności ludzkiej.

3. *Grota Przeziorowa* leży w pobliżu — po przeciwnej stronie zlebu wzmiankowanego w opisie groty „Za smrekiem“ — a wylot jej ukryty jest w lesie u podnóża niewysokiej turniczki.

Niewielka i dość niska komora wstępna odznacza się piękną strukturą: prócz wylotu głównego dziurawią skalę 3 otwory wyżej położone będące szczątkami dawnych korytarzy przypominające t. zw. „przeziory“ w chatach góralskich — od których nazwaliśmy tę grootę.

Grota Przeziorowa składa się, jak widać z planu, z 2 gałęzi leżących na różnym poziomie — korytarz lewy liczy 24 m długości i kończy się niską dziurą, do której uchodzi pionowy komin 6 m wys. — prawy korytarz załamuje się w odległości 4 m od wylotu i rozszerza się biegnąc ku dołowi; do miejsca dokąd dojść można liczy 20 m długości.

Podczas poszukiwań późniejszych z prof. Steckim znaleźliśmy tu nieco odłamków kości oraz nacieki.

Grota ta, odkryta w lipcu 1922 r., niewielka lecz ciekawa i u wylotu — dzięki „przeziorom“ — jasna, znaną była prawdopodobnie juhasom ze Smytniej.

4. *Grota Lodowa w Ciemniaku*. Pierwszym odkrywcą tej niezmiernie ciekawej pod względem naukowym groty był prof. J. Gw. Pawlikowski, który wraz z przewodnikiem Maciejem Sieczką zwiedził ją około 1885 roku, o czym zamieścił wzmiankę w artykule „Podziemne Kościeliska“ (Pamiętnik Tow. Tatr. z 1887 r.). Zapewne jednak brak odpowiednich przyborów turystycznych, jak czekany, raki i t. p. — nie używanych u nas w owych latach, nie pozwolił prof. Pawlikowskiemu wdrzeć się na wał lodowy, piętrzący się wewnątrz groty, a później po szeregu lat nie zdołał jej powtórnie odnaleźć. Miejsce to znanem też było podobno niektórym strzelcom „koziarzom“ jako zimowe schronienie kozic, lecz ci zazdrośnie strzegli tajemnicy. W Przewodniku J. Chmielowskiego część I umieszczono odpis wzmianki prof. Pawlikowskiego, lecz drogi do groty Lodowej, wzbudzającej wielkie zainteresowanie taterników i geologów — poszukiwano kilkakrotnie a bezskutecznie w latach przedwojennych.

W sierpniu 1922 r. przeszukując wraz z bratem turnie ponad górnymi piętrami Krakowa i w kotle zwanym Kamiennie u stóp Ciemniaka i Twardego Upłazu, odnaleźliśmy powtórnie wejście do tej groty, ukryte pod niewielką turniczką wysoko ponad dnem kotła. Nie mając dnia tego czasu ani przyborów, zwiedziliśmy grootę Lodową dnia 17 września,

w ciepły słoneczny dzień, zaopatrzeni tym razem w raki, czekany, latarnie i t. d.

Zaczyna się ona trójkątnym, dość ciasnym wylotem, mającym za ledwie $1\frac{1}{2}$ m wys. i $2\frac{1}{2}$ m szer. a przechodzącym w głębi w obszerną podłużną komorę. Dno poza wylotem na 6 m w głąb grotty zasłane jest głazami, wśród których znajdujemy liczne ślady zimowania kozic. Głazy piętrzą się coraz wyżej a poza nimi szarzeje gładki wał lodowca, (zob. plan), spływającego z głębi grotty i wypełniającego dalej aż do końca całą jej szerokość.



Wylot grotty Lodowej w Ciemniaku. (Fot. St. Zwoliński).

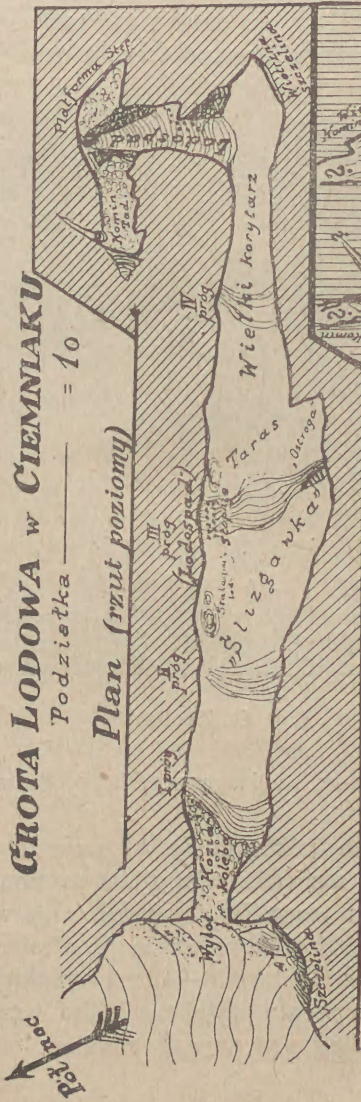
Rąbiąc czekanami stopnie w twardym, krystalicznym lodzie, przekraczamy pierwszy próg, dalej miejsce równiejsze gdzie woda tworzy kilka maleńkich stawków na powierzchni lodu, wreszcie drugi próg, wzniesiony $5\frac{1}{2}$ m nad poziom wylotu w odległości 19 m w głąb.

Poza nim grota rozszerza się a dno jej pokryte gładką taflą lodu tworzy „Ślizgawkę“ rozmiarów $16\frac{1}{2} \times 17\frac{1}{2}$ m ponad którą sklepienie komory skalnej, najszerszej i najobszerniejszej w tem miejscu, wznosi się na 11 m wysoko.

GROTA LODOWA w CIEMIŃNIAKU

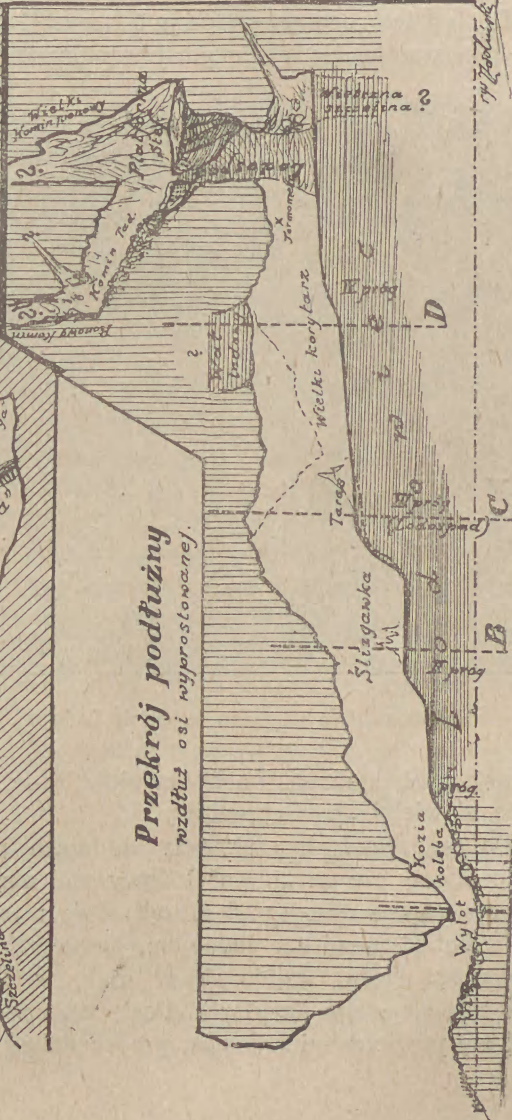
Podziemia ————— = 10

Plan (rzut poziomy)



Przekrój podłużny

wzdłuż osi wyprostowanej.



Przekroje poprzeczne

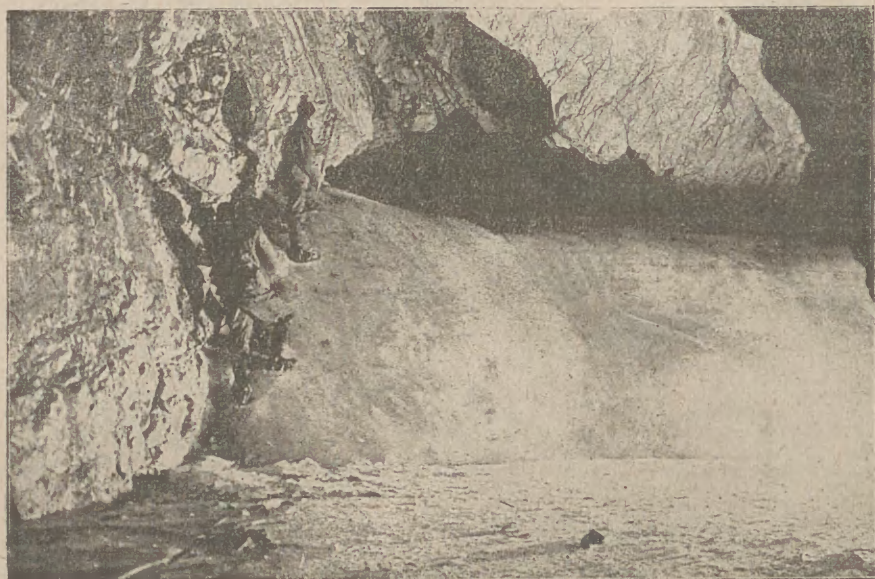
wzdłuż linii kresów konwergujących oznaczonych na przekroju podłużnym.



ry. 1000/1000

Lśniąca posadzka lodowa ujęta w ramy spękanych i chropawych ścian wapiennych, nawisłych nad nią, wraz z panującym tu zimnem, przenoszą nas — jakby za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej — z ozłoconych upalnym słońcem trawiastych upłazów — w krainę wieczystej zimy. Głęboką ciszę podziemia przerywa tylko miarowy plusk spadających gdzieś kropel wody, a wyniosłe stalagnity lodowe, bielejące pod ścianami, zdają się strzedz dostępu ku dalszym czeluściom groty.

Dostęp ten obwarowany jest zresztą przez naturę wysokim na $3\frac{1}{2}$ —4 m wałem, zamykającym brzeg „ślizgawki“ w postaci „lodospadu“



Lodospad za ślizgawką w grocie Lodowej. (Fot. St. Zwoliński).

o okrągławych stokach, nachylonych 40° — 80° i tworzących po prawej stronie niewielki „nawis“ lodowy.

Po przerąbanych czekanem stopniach pokonujemy tę przeszkodę i wydostajemy się na „taras“ lodowy nad nią (wzniesiony 10 m ponad poziom wylotu a odległy 36 m od niego); taras ten zamyka z prawej strony, ponad nawisem lodowym, ślepo zakończona nisza („ostroga“), po lewej zaś grota ciągnie się w głąb, w postaci 6—4 m wysokiego i 7—8 m szerokiego korytarza. Postępując prosto dalej po lekko wznoszącej się powierzchni lodowca, przechodzimy pod nawisłym wałem lodo-

wym, długim 6 m, wypływającym ze szczeliny w sklepieniu korytarza, i dochodzimy do jego końca tworzącego komorę rozmiarów 8×4 m. Ogólna długość groty od wylotu do tego miejsca wynosi 67 m, wzniesienie jego nad wylotem 13 m.

Piękny lodospad, wypływający z pionowego prawie komina po lewej stronie sklepienia, nasuwa przypuszczenie, że wyżej znajdować się mogą dalsze groty. Wspinamy się więc — zrazu obok lodospadu, potem, rąbiąc stopnie, wprost po nim, a wreszcie po kruchych skałach po prawej stronie komina. Na wysokości 11 m nad dnem komory końcowej — wydostajemy się na szeroką i wygodną platformę, otoczoną pionowemi, gładkimi ścianami, które zwężając się ku górze, tworzą w sklepieniu niedostępny komin, wiodący ku nieznanym czeluściom, z których zapewne spływa woda tworząca lodowiec w grocie dolnej.

Na lewo poza kończącym się obok platformy lodospadem — czerwiec otwór obszernego korytarza, podcięty i zaklinowany u dołu wielkim głazem.

Przy powtórkiem zwiedzaniu tej groty w październiku pomierzyliśmy ją, stwierdzając zarazem, mimo mrozu i świeżego śniegu na dworze — zmniejszenie się stalaktytów lodowych (w stosunku do września). Nadto w komorze końcowej utworzyła się obok południowej ściany wąska szczelina w lodzie, z której dolatywał prąd powietrza i głuchy huk jakby potoku podziemnego płynącego gdzieś w głębi.

Ostatnią wyprawę odbyliśmy z prof. Steckim i p. M. 29 października, podczas silnego wiatru halnego, i stwierdziliśmy, że lodu znowu przybyło, zaś szczelina w komorze końcowej rozszerzyła się jeszcze a co dziwniejsza, dolatywał z niej — przy zupełnej ciszy panującej w głębi groty — szum wiatru halnego — a chwilami silny, chłodny powiew, pozwalając domyśleć się istnienia poniżej grot dalszych, mających wylot ku powierzchni.

W pobliżu tego miejsca pozostawiliśmy na czas zimy termometr minimalny dla zapoczątkowania pomiarów temperatury tej groty.

Wtedy też udało się zwiedzić górny korytarz ponad lodospadem i platformą wyżej opisaną, biegnący ku górze i zakończony potężnym pionowym kominem o kruchych ścianach.

Grotę Lodową w Ciemniaku zaliczyć należy do najciekawszych fenomenów natury w Tatrach; jest ona też jedyną w swoim rodzaju na ziemiach polskich. Groty podobne przechowujące lód stale z roku na rok są wogóle zjawiskiem rzadkiem, a najbliższa ze znanych dotąd znaj-

duje się w Dobszynie na Słowaczyźnie, przedstawia jednak typ odmienny od opisanej.

Powstanie grot lodowych próbowano tłumaczyć rozmaicie: przechowywaniem zimna wewnątrz groty, z zimy lub nawet z okresu lodowego, zamrażaniem „przemrożonej“ wody wciekającej szczelinami do groty wskutek zmiany ciśnienia i wieloma innymi teorjami, mającymi częstokroć tylko lokalne znaczenie.

Pomimo braku dłuższych obserwacji naukowych, powiedzieć można o naszej grocie Lodowej, że na obniżenie w niej temperatury wpływa zapewne opisana szczelina w dnie komory końcowej, która otwarta w zimie umożliwia napływ i przewiew zimnego powietrza, a w lecie zasklepia się — jak się zdaje — lodem spływającym z góry, tak że powietrze to uchodzić lub ogrzać się może jedynie tylko przez ciasny wylot groty¹⁾.

Struktura lodu zalegającego dno groty i formy jego właściwie lodowcom górskim, jak progi, pęknięcia podłużne (zauważone na tarasie lodowym ponad „lodospadem“ w wielkiej komorze) i wiele innych szczegółów — wskazują, że mamy tu do czynienia ze zwałem lodu ruchomym („płynącym“) — który możnaby nazwać lodowcem — co prawda w minjaturowych rozmiarach.

*

Te kilka słów o dotychczasowych badaniach grot doliny Kościeliskiej — pozwolę sobie zakończyć apelem i prośbą do Czytelników, którzy chcieliby może kiedy naocznie je oglądać, by w prawdziwym zrozumieniu piękna nieskażonej kulturą ludzką, dziewiczej przyrody górskiej i w myśl przykazań Sekcji Ochrony Tatr Tow. Tatr. dbać zechcieli o pozostawienie „Podziemnym Kościeliskom“ pierwotności, dzikości i niedostępności, stanowiącej największy ich urok.

Powiedzieć też trzeba — niestety — iż groty tu opisane zawdzię-

¹⁾ *Przyp. Red.* Nie przesądając słuszności domysłów autora, ile że powstawanie, względnie przechowywanie się lodu w grotach może mieć niezawodnie różne przyczyny, stwierdzić należy, że dotąd badane groty lodowe cechowały się wogóle kierunkiem w dół od wylotu i brakiem przewiewu. Na tych cechach opiera się podawane zwykle tłumaczenie powstawania lodu. Mianowicie zimne powietrze zimowe stacza się jako cięższe w głąb groty, skąd niema ujścia, ciepłe zaś niema w lecie dostępu, skutkiem czego niska temperatura przechowuje się przez cały rok. Stosunki odmienne w naszej grocie Lodowej czynią ją tem ciekawszą i bardziej zagadkową. — Zaznaczyć jeszcze trzeba, że przygodnie znaleźć można lód w lecie także w innych grotach, i tak znachodziłem bryły jego w grocie Zimnej w Kościeliskach; lód ten miał szczególną ziarnistą strukturę zdającą się wskazywać na to, iż powstawał przez zamrażanie ściekających ze stropu kropel. (J. Gw. Pawlikowski).

czają zapewne jedynie swemu położeniu zdala od dróg uczęszczanych, że nie zostały dotąd zeszepeczone przez „turystów“ specjalnego typu, znaczących swe ślady licznymi podpisami na ścianach, utracaniem nacieków, okopceniem ścian pochodniami, których w grotach zasadniczo używać się nie powinno i t. p.

Byłoby to tu tem szkodliwsze, że groty Kościeliskie nazwać by można w porównaniu do olbrzymich podziemi znanych w innych krajach, pięknymi lecz minjaturowymi modelami grot, choć zawierają one wszystkie osobliwości świata podziemnego.

Zakopane, listopad 1922.

Tadeusz Zwoliński.

Skarby w Tatrach.

I.

Znaki poszukiwaczy skarbów.

W kilku mniej dostępnych miejscach doliny Kościeliskiej spotykamy kute w wapiennych skałach daty, napisy i znaki, których znaczenia już dziś często niepodobna dociec. Znaki te po za wąskim kołem zamieszkałych w Zakopanem tatarników znane dotychczas nie były. O istnieniu ich wiedzieliśmy jedynie ze starych rękopisów, o czym niżej jeszcze mówić będę. Tu podaję po raz pierwszy rysunki znaków, znalezionych na skałach tatrzańskich. Są one liczne i wskazują na to, że w tych miejscach człowiek dłuższy czas się zatrzymywał, że miejsca te zajmowały go widocznie i zwracały jego uwagę i że tu, zapewne, dokonywał pewnych robót, a w chwilach czy to odpoczynku, czy też przed odejściem znaczył je sobie tylko wiadomymi znakami. Być może był to naiwny poszukiwacz skarbów, który wiedząc, że góry kryją nieraz w swem łonie drogie kruszce, szedł i w Tatry i nie mając dostatecznego przygotowania fachowego górnika, szukał kruszców tam, gdzie najmniej można się ich spodziewać. Często wiara w obecność skarbów w górach ukrytych opierała się na całkiem naiwnych fantazjach i legendach. I nie dziwnego. Tatry nieprzystępne i groźne otoczone były zawsze urokiem podań i fantazj.

O poszukiwaczach drogich kruszców czy też skarbów mamy notatki historyczne. Botanik angielski Towuson, który w r. 1793 zwiedzał Tatry,

spotkał kilku takich poszukiwaczy, którzy przez kilka lat z rzędu na próżno szukali skarbów. Byli to alchemicy, którzy wierzyli, że kruszce i drogie kamienie znajdują się w jednej najnieodostępniejszej skale. W tym też czasie górale opowiadali Towusonowi naiwne legendy o skarbach, ukrytych na szczycie turni „Karbunkułowej“ (= Jastrzębia turnia). Miał się tu znajdować drogi kamień tej samej nazwy, podobny do gwiazdy nieba. Lecz miejsce to jest zupełnie nieprzystępne. Gdzieindziej ma leżeć skarb zaczarowany tak, że go nikt zobaczyć nie może. Na innej znów turni rośnie ziele zamieniające miedź w złoto, ale nikt je znaleźć dotychczas nie potrafił.

Również dochowały się w rękopisach naiwne opisy dróg, które można trafić do skarbów ukrytych w Tatrach i teksty zaklęć, które pozwolą na ich odszukanie i użytkowanie. W opisach tych często są wymieniane znaki, kute na skałach, które służyły do orjentacji w drodze. Najczęściej mówi się tam o wykutych krzyżach, głowach, czekanie, wskazującym kierunek i t. p. Oto dla przykładu wyjątek z jednego z takich t. zw. „spisków“, zawartych w rękopisie z XVIII wieku (Pamiętn. Tow. Tatr. r. 1883: artykuł dr. J. K. „Opisanie gór karpackich albo Tatrów, w których się znajdują skarby, kruszce i drogie kamienie“)... „Item pytaj się do Czarnego stawu, który jest przy Rybim. Z tego Czarnego idź wodą do Rybiego, patrz skały na który jest krzyż wykowany i dwa palce któremi ukazuje ku ziemi, tam szukaj. Potym idź do upłazu na prawą rękę, gdzie czarna młaka i czarny mech; szukaj, tam ma być płok, jak groch, jak wyka, który się w klepaniu plaszczy. Ten bierz, a dziękuj Bogu“. W tym samym rękopisie w innym miejscu: „...Wnijdziesz... pod upłazem nad Jaworowym sadem... idź na dwoje strzelania z hakownicy... ..Na lewy ręce wyży ciebie spadły wysokie. ...Na tym spadzie są znaki takie: głowa, ręka, krzyż, 6 gwiazd na gładki wyciosane skale, uźrysz dobrze, nie chybisz. Na drugim spadzie są te znaki: trzy głowy, trzy krzyże, 12 gwiazd i te litery: T M W P Z Z G N T W. Ale si tego waruj każdemu wyjawiać, boby każdy na to miejsce trafił, a to jest małe i od Boga skryte. ...Jest tam chodnik pod las wyrabany... idź za nim na strzelenie z łuku“... i t. p. W jednym takim „spisku“ „uczonego Michała Chrościńskiego opisanie ciekawe gór Tatrów“, podanym przez dr. S. Radzikowskiego w tomie XXVI Pamiętnika Tow. Tatr., znajdujemy nawet rysunki znaków, które miały być wykute na skałach. Widzimy tu: rękę, łuk, kraty, księżyc i słońce, hakownicę, drabinkę, krzyż, kółko z krzyżykiem i kółko z haczykiem u góry, wreszcie trzy linie równoległe, przecięte prostopadłą czwartą. Wiara w duchy, broniące

dostępu do skarbów była rozpowszechnioną. W niektórych „spiskach” wyraźnie o nich jest mowa: „Odemknienie Jamy. Ja N. zaklinam i przymuszam cię przez niezwycięzonego, zawsze zostającego Boga †, żeby wszyscy Duchowie i poczwary widome lub niewidome od tego skarbu i daru Boskiego mnie ustąpiły †, żeby żaden mnie z nich nie zatrzymywał ani przeszkadzał, w Imie Trójcy Przenajświętrzej, Boga † Ojca, Boga † Syna, Boga † Ducha Świętego Amen”. Albo w „Opisaniu Żabiego jeziora z nauką i przestroga”: „Gdy jusz ku tej dziurze przydziesz, zaraz będzie na cię Podskarbi kamieniami ciskać. Przestrzeż tedy swoich socyuszów, ażeby żadnych złych myśli nie mieli, a temu, który cię tam prowadzi zapłać jakoś się z nim umówił... Pan Bóg ma nad swojemi skarbami Du(c)hy, pigmei nazwane. Ci Duhowie żadnego tam bez woli Bożej nie puszczą, dla tego umiarkuj się, abyś był czystego sumienia, a przychodząc na to miejsce, Pater et Ave mówił i S. Jana Ewangeliją” i t. d. Rozumowanie poszukiwaczy skarbów było częstokroć, jak widzimy, niezmiernie naiwne: duchy bronią skarbów, więc skryły je tam, gdzie najtrudniej je znaleźć. Stąd też poszukiwano skarbów w miejscach najbardziej odludnych i niedostępnych: a więc w żlebie, którym sypią się kamienie, — to „Podskarbi” ciska tu kamieniami, by odstraszyć śmiałka, który chciałby je znaleźć; podobnie pod ziemią, w grotach. Ciekawe, że wiele ze znanych mi znaków właśnie w bliskości grot się znajduje. Jest w dolinie Kościeliskiej, pod Pisaną znany powszechnie otwór, z którego wypływa potok: tu więc widocznie duchy podwójnie zabezpieczyły skarby od znalezienia, ukrywając je w grocie i zamykając dostęp wodą. Być może dlatego właśnie człowiek próbował grootę zwiedzić dokładnie i pobudował w jej głębi, w wodzie podłogę z dyli przyłożonych kamieniami i strop podstępował w jednym czy dwu miejscach, pomimo niezmiernej niedostępności groty i konieczności brożenia nieraz po szyję w lodowatej wodzie podziemnego potoku.

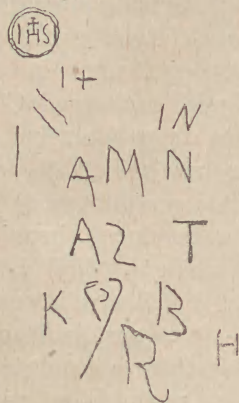
Stwierdził to, zwiedzając tę grootę w r. 1879 prof. J. G. Pawlikowski. Grootę tę zwiedził także częściowo Seweryn Goszczyński w 1832 roku. Poniżej wypływu na tejże ścianie wapiennej, w miejscu, gdzie droga zbliża się do skały, znajdujemy niezmiernie ciekawy wykuty rysunek zbójnika, czy też poszukiwacza skarbów (dobrze widziany z mostku na potoku). Rys. 1. Także poniżej bardzo niedostępnej groty, odkrytej w 1921 roku przez pp. T. i S. Zwolińskich, do której dostęp możliwy tylko po ostrewce lub drabinie, a nazwanej grocią „Poszukiwaczy skarbów”, spotykamy liczne znaki. Są to domki, drabina (może znak, że po drabinie trzeba wejść do groty), krzyże, inicjały imienia Jezusa, wreszcie

różne litery, napis AMN (zapewne „amen“), strzały wskazujące w ziemię i t. p. (Rys. 2 i 3). Również w trzecim miejscu znam podobne znaki. Są one tak, jak i opisane przed chwilą, w prymitywny sposób wykute, może wprost wyrąbane ciupagą na nawisłej ścianie wapiennej w wąwozie „Kraków“, blisko grotty „Poszukiwaczy skarbów“, w jednym z dalszych żlebów. Tu są one o tyle ciekawe, że spotykamy tu datę 1663,

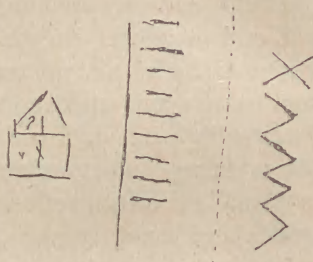
rys. 1.



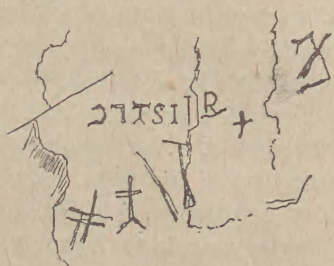
rys. 2.



rys. 3.



rys. 4.

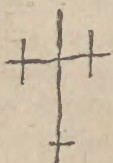


rys. 5.

1663

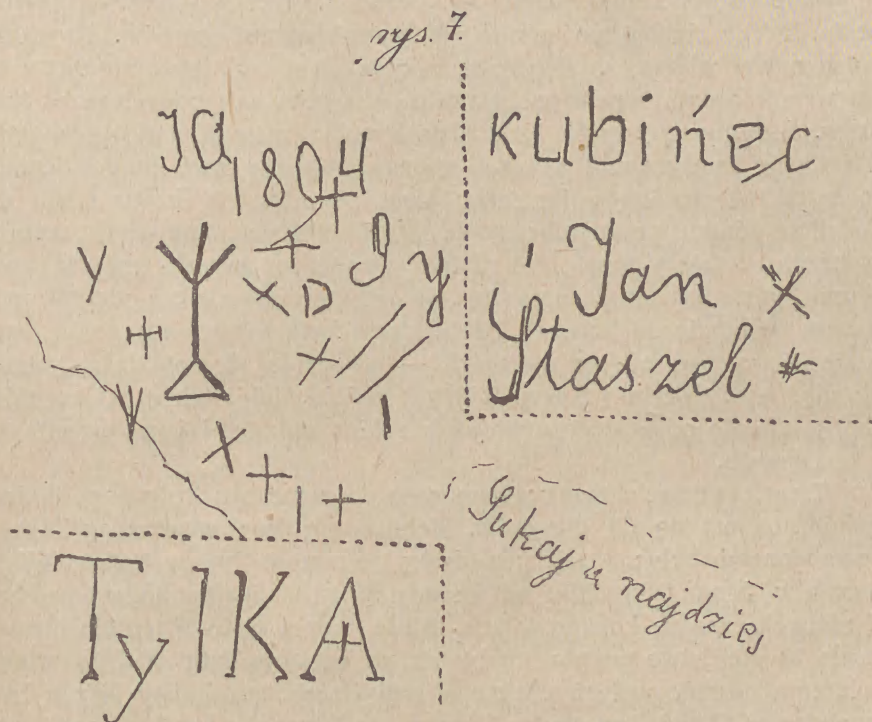


rys. 6.



pisaną charakterystycznym, starym pismem, oraz szereg znaków, których znaczenia dociec niepodobna (Rys. 4 i 5). Także przy progach wąwozu „Kraków“ spotykamy wykute krzyże (Rys. 6). Może miały chronić od złych duchów w tych ponurych miejscach, mogących wzbudzić grozę w przesądnym poszukiwaczu. Wreszcie w dolinie Kościeliskiej, w żlebie,

spadającym potężnym progiem do doliny w bramie Kraszewskiego, tuż po nad owym progiem znajdujemy na ścianie wykute nazwiska podobno trzech ostatnich zbójników tatrzańskich: Kubińca, Staszla i Tylki, datę 1863, a nieco dalej szereg krzyży, znak przypominający różdżkę czarodziejską, datę 1804, a wreszcie zachęcający napis. "Sukaj a najdziesz" (Rys. 7). Do tych okolic są przywiązane opowiadania o jakimś pastuchu słowaku, który tu miał zakopać srebrne naczynia i pieniądze, skradzione u swego pana na Węgrzech.



Nazwiska górali zbójników, jak również i tradycja, że w grotach właśnie kryli się oni przed szukającymi ich przedstawicielami prawa (to samo pisze cytowany już Towuson w 1793 r.), pozwala na zrobienie drugiego przypuszczenia, że znaki te są kute przez zbójników, którzy w tych stronach nieraz się ukrywali. Wszak w dol. Kościeliskiej mamy grotę zwane „Zbójceckimi oknami“ i tu właśnie mieli oni podobno swą czatownię, skąd śledzili przechodzące doliną z Węgier przez Tomanową przełęcz karawany kupieckie. Zbójnik ma dużo czasu, nudzi się nieraz

podczas przymusowego pobytu w górach i wtedy mógł znaki wykuwać. Zbójnicy często także sami zakopywali zrabowane pieniądze w górach i znaczyli miejsca najczęściej wycinanymi na drzewach, a zapewne także wykuwanymi na skałach znakami. Czasem zbójnik nie mógł swego kotlika z dukatami wykopać sam. Tajemnicę swoją powierzał przed śmiercią synowi swemu lub, będąc w więzieniu i nie mając nadziei wydostania się stamtąd, swoim towarzyszom. Stąd istnieje do dzisiaj tradycja u ludu naszego, że w górach są zakopywane kotliki z pieniędzmi. Ba więcej nawet! Do dziś są jeszcze górale, którzy chodzą po górach w poszukiwaniu skarbów. Niektórzy z nich nawet wierzą, że skarby są zakłete. Sam zetknęłam się raz z takim współczesnym typem poszukiwacza skarbów, zakopanych przez zbójników. Jest nim były wójt Kościelisk, Rysula. Przepyszna głowa fanatyka o bystrem spojrzeniu i wyrazie uporu i woli w zaciśniętych i mało-mównych ustach. Skryty i nieufny. Jest to człowiek, który wiele dni spędził w górach, poszukując zakopanych skarbów. Zna stare „spiski“ i wierzy, że skarby mogą być zakłete. Opowiada, że raz znalazł nawet miejsce, gdzie są zakopane skarby, ale gdy się odwrócił, i odszedł parę kroków po łopatę do kopania, siła zaklęcia była tak wielką, że już drugi raz trafić do tego miejsca nie mógł, — widocznie momentalnie „odmieniło się“ ono. Górale wskazują także z pośród siebie takich, którzy mieli jakoby istotnie odnaleźć i wykopać kotliki z dukatami i wzbogacili się w ten sposób.

Trzecie wreszcie przypuszczenie co do autorstwa kutech na skałach znaków, odnosi się do górników. Roboty górnicze zdawna w Tatrach prowadzonymi były; i tak posiadamy dokument już z końca XV w. z czasów Jana Olbrachta, stwierdzający istnienie tu kopalni srebra. W różnych czasach kopano żelazo, miedź, nawet złoto. Zupełnie nie wygasła tu górnictwo prawie nigdy aż po ostatnie lata XIX-go wieku. Zwłaszcza właśnie w Kościeliskach i najbliższej ich okolicy liczne były kopalnie: w Starej Robocie, w Ornak, w Pyszej. Górnicy mogli nie tylko poszukiwać kruszców, ale szukać także i skarbów ukrytych. Przyzwyczajenie do robót podziemnych i zaopatrzenie w odpowiednie ku temu narzędzia, czyniło z nich urodzonych niejako poszukiwaczy skarbów. Oni to więc także wykuwać mogli znaki na skałach. Ciekawa rzecz, że niektóre znaki (np. na rys. 4) przypominają nam trochę znaki używane przez starych górników na oznaczenie różnych metali: np. na oznaczenie srebra używano znaku księżycy, złota — znaku słońca, miedzi — znaku Wenery, ołowiu — znaku Saturna i t. d. Tak czy owak, bez

względu na to, kto znaki te wykuwał, są one dla nas bardzo ciekawymi jako ślady i świadectwa dawnego życia, o którym tak mało nieraz wiemy, choć stosunkowo tak niedawnymi są te chwile, gdy zupełnie inaczej układało się ono niż dzisiaj.

Konstanty Stecki.

II.

Zbójnickie pieniądze.

Wzmiankę w artykule dra K. Steckiego, iż do niedawna jeszcze poszukiwali górale ukrytych skarbów w Tatrach, uzupełniają wcale liczne opowieści ludowe o mniej lub więcej udanych wyprawach po „zbójnickie dudki“, o szczęśliwcach, którzy je odnaleźli, lub o „pechowcach“, którzy powracali z gorzkim zawodem. Tak w Nowym Targu, jak i w Zakopanem kilku autochtonów — względnie ich przodkowie — zażywa słusznej czy niesłusznej sławy odkrywców skarbów. Jest więc sposobność bezpośredniego poznania i zazdrości, jaka otacza tych, „co sie na gazdów hrubyk sprościli“ dzięki przypadkowi, i goryczy zawiedzionych w nadziejach poszukiwaczy, ba nawet wprost manji bezustannych poszukiwań. Z paru zapisanych o tem „rzemiośle“ opowiadań, będących przeważnie osobistymi zwierzeniami, przytaczam dzieje nieudanej wyprawy, opowiedziane mi w 1915 r. przez nieżyjącego już Andrzeja Suleję, rodem z Kościelisk.

„Najdowali ludzie downiyj dudki¹⁾, co ik zbójnicy²⁾ zagrzebli. Niejedyń teli kotlicek³⁾ naseł, ze sie zaroz sprościł na gazde na hrubego. Jo znoł takik. I o tym ludzie wiedzieli.

Bocem, bęł ponad Witowem w Trzydniówce kamień, tako wanta⁴⁾ na pośród drógi. Jageś tam jehoł, no toś zawse wozem osiom zawadziył o tyn wante. Jaze roz jehali my tamok, a tu wanta odgrzebano na bok drógi, a haniok, ka prędyj⁵⁾ stoła, widno takie zagłębiynie, telozby fto wygrzób z pod wanty godny kotlicek. Ftosi sie zwiedziół, co jes dudki wsute popod wante, odgrzób ik i wzion. Musi być godnie bęło tyk pińędzy, bo dziura bęła wielgo.

¹⁾ Pieniądze; ²⁾ *y* (kursywą) czytać należy jak *i*; — ³⁾ kociołek; ⁴⁾ kamień; ⁵⁾ przedtem.

To sie różnie dowiadowali o sowanyk skarbak, co ik zbójnicy zagrzebli w ziem. Nocęścij wiadomości sły z hereštu. Zaparto zbójnika, wbiyli go w sodze¹⁾, no i wiedzioł, ze go juz nie puscom ś niyj. Case ta progował wyslebodzić siebie, ale sie mało komu scęścijo. Nieroz umiroł taki zbójnik w hereście abo na siubiynicy, a mioł towarzysów, co ś nim w hereście siedzieli, to sie zeznoł hojtoemu²⁾ przede śmierzciom: jo ta zagrzób dudki tam a tam. I ospedzioł im, ka som jes ty dudki sowane. Trza bėło dobrze bocyc, jako 6n takie tajemne miejsca opisowoł. Pytoj Boze³⁾ nońś ty dudki, kiej se zabocył⁴⁾ dr6ge abo kielo ta krock6w od jawora, abo jako prec⁵⁾ od wanty, ka krzyzycek abo inksy znak. Kie takiego, co wiedzioł o skarbie ze zb6jnik6w⁶⁾, puścili z hereštu abo uci6k, to seł do g6r i ospytowoł sie, kany tu u wos tako wanta, co krzyzyk na niyj zwyrobiony, abo kany jedlicka na brzyzku, co młaka⁷⁾ pod niom, — no i różnie sie ospytowoł, jako mu w hereście ozr6zniyli⁸⁾. Kie sie juz o takie miejsce dopytoł, seł nocom abo po 6mie i sukoł. Jak naseł, bėł pon! No ale go nieroz podesło. Bo to tak: jak sie zacon ospytować, to ta wej ponieftory m6drzejsy to sie pomiarkowoł, ze sie oshodzi o pini6dze o sowane. Jak se umedetowoł, ka 6ny majom lezeć, to przecie seł som i zabiyroł.

Jo tyz sukoł takik zb6jcekik pini6dzy, alek nie naseł nic. A to bėło tak.

Hodzyli my ze starym Sabałom nieboscyke po lasak. W jesieni to bėło. Śli my z Rohacy do Pysnyj. 6n ta musioł kiesik za młodu ze zb6jnictwem narobiać, ino ta bele komu takik rzecy nie godoł. Zej dy sk6dzeby znoł telo o zb6jnikak opowiadać abo o dukotak, co ik pod piorgi wsuli?

Doś na tym, wroz my śli do Pysnyj, do doliny Kościeliskij, a Sabała powiada:

— Krzesny! Jo wiy m dudki w Rackowij na samyj grani, ka słonko nopirwyj zaświyci na świętego Mihała.

I gwarzy dalyj:

— Śli trze hłopi z Luptowa. Przyšli do Rackowij na samom grań, ka pirse słonko wyhodzi na świętego Mihała. Jednego zajyni⁹⁾, dwom brać niewolno. Jo to miejsce wiy m. Kiebyście fcieli, to nojdziecie.

— Je cozyk nie kci6ł?

1) Więzienie; 2) którykolwiek; 3) nie daj Boże; 4) zapomnieć; 5) daleko; 6) wiedzieć z kogo — od kogo; 7) moczar; 8) tłumaczyć; 9) schwycili, zabrali do więzienia.

Jo zaroz pomiarkowoł, ze Sabała bęł przysięgany, kie som dudki nie biere, ba mnie ik kee dać. Widno przysięgany bęł¹⁾).

Kie my przysli ku temu tajemnemu miejscu, poseł Sabała na grań, a jo ostoł siedzieć trohe nisyj. Jak juz stanon na granicy, obeseł jedno miejsce z kamieniem godnym, ale tam bęło piorgi. Koło zrobiył wielgie, pote poseł na luptoskom granice i cekoł. Położel sie na trowie i nie parzoł w mojom stróne.

Jo sie wzion sukać popod skole, ale nie naseł jek nika nic. Jo ta posprzypatrzowoł sytkie kamienie; patrzolek cy hań ka tórbki niewidno, ale sytko popróznicy. Nima, no nima; widno tórbka popróhniała, a dukoty sie wsuły popod skole.

Pedziołek to Sabałowi. Bęł zły i pado: „Jak wom Pom Bóg nie do to wom nik nie do“.

No, nimiołek scęcio. Ale jo se pomyśloł: hoćkiej tu jesce przydem. Przydzie nos haw pięci, seści, to ta nojndzieme; cozby my ik nie našli, tyk dukotów.

Powiedziołek sytko ojcu. Powiadom: „Pudźme sukać“. Ale mie ociec wyśmioł, niby ze Sabała Jasiek tak ino na śpas zwyrządzo. A moze to i tak, — myślołek se.

Ale sie trafiył taki, co tyz tyk samyk piniędzy sukoł. Jedyn z tyk trzok, co ty dudki sowali umar, wycie, we więziyniu we Lwowie, a kie juz umiyroł, zeznoł sie jednemu, co tam ś nim siedzioł, z tyk dudków, kany ony som jes sowane. Tak tyn, kie roki wysiedzioł, przyseł na Podhole i hodziył na Rackowom na grań, ale tyz nic nie naseł.

Widzem, ze Sabała prowde godoł. Widać tórbka popróhniała, no i dukoty sie popod piorgi wsuły. Kieby to fto całom granie woloł²⁾, toby moze i odsukoł“.

¹⁾ Jest to ciekawy szczegół z zakresu etycznych pojęć zbójników. Wynika z tego, iż ukrytych przez zbójnika pieniędzy, będących już jego własnością po podziale wspólnej zdobyczy, niewolno było zabierać jego towarzyszom, nawet wtedy, kiedy właściciel skarbu umarł. Na to składali znający miejsce ukrycia towarzysze przysięgę, a jej złamanie mszczono w okrutny sposób. Mogli natomiast zaprzysiężeni, upewniwszy się o śmierci właściciela, wskazać postronnym ludziom drogę do skarbów. ²⁾ rozwalić.

Juljusz Zborowski.

Babia Góra.

I.

(Królowa Beskidu. Jej wysokogórski charakter. Przsadziste kształty. Gigantyczny masyw. Ślady epoki lodowej. Morenowe jeziora. Geologiczna budowa. Mała Babia czyli Cyl. Pasma Babiogórskie. Flora i fauna. Nawodnienie. Nazwa Babiej Góry).

...Przy niej góry ukłękły, a ona nad niemi
Wyniosła, jak bohater nad synami ziemi!...

E. Wasilewski.

Słusznie nosi Babia Góra miano „Królowej Beskidu“. W długim łańcuchu wierzchów Beskidu Zachodniego, które od granic Moraw aż po Tylicką przełęcz swoje krągłe, kopulaste, lasem odziane głowy dźwigają, ona jedna wybija się wielce nad ich wysokość i charakter przeciętny i w podobłocznych sferach kąpie swe kamienne czoło. Przeszło 500 m. wwyż sięga jej królewski szczyt ponad średnią wysokość beskidowych poddanek, bo gdy ta ostatnia wynosi 1100—1200 m., to Babia Góra ma poważną wysokość 1725 m. nad poziom morza.

Beskid Zachodni jest typowym górotworem średniej miary, którego cechą jest zupełne opanowanie stoków i szczytów przez roślinność; od tego typu uchyla się nieco żywieckie Pilsko (1557 m.), będące formą pośrednią między górami średniej a wysokiej miary, w całości zaś uchyla się jedna Babia Góra, która posiada cechy gór wysokich czyli alpejskich.

Najwięcej podobieństwa ma ona do dzikiego, kamienistego Gorganu we wschodnim Beskidzie, mniej zaś do szczytów Tatr Zachodnich, bo te ostatnie, choć o 400—500 m. wyższe (Czerwone Wierchy, Bystra), są trawiastymi kopami, zaś szczyt Babiej jest nagą turnią, samem tylko rumowiskiem skalnem zavalone. Na stokach Babiej Góry wyraźnie rozróżniamy trzy wysokogórskie strefy klimatu i zależnej od tegoż roślinności: dolna — to strefa regli, porośła zwartym płaszczem lasów, które karlejąc ku górze, urywają się na wysokości ok. 1360 m.; środkowa — to strefa bujnego kosodrzewu, jałowca halnego, osobliwych mchów i alpejskiej flory, sięgająca nieco ponad 1600 m.; górna — to strefa turni, pozbawiona roślin.

Sam szczyt, Djablakiem lub Djablim Zamkiem zwany, jest typowym „morzem kamiennem“. W dzikim, chaotycznym bezładzie, leżą tu większe i mniejsze bryły i płyty skalne, jakby ruiny jakiegoś olbrzymiego gmachu, tworząc rozmaite rozpadliny, wysoki, „ambony i materace“ geologiczne.

Według podań ludowych mają to być zwaliska legendarnego diablego zamku. Stał tu w niedawnym czasie rzeczywiście jakiś budynek, (raczej jednak kaplica, niż zameczek), którego zwaliska widział i odrysował w r. 1860 W. Eljasz, obecnie zaś stoi tylko ścianka kamienna, służąca za schronienie przed silnymi i prawie nieustannymi tu wichrami.

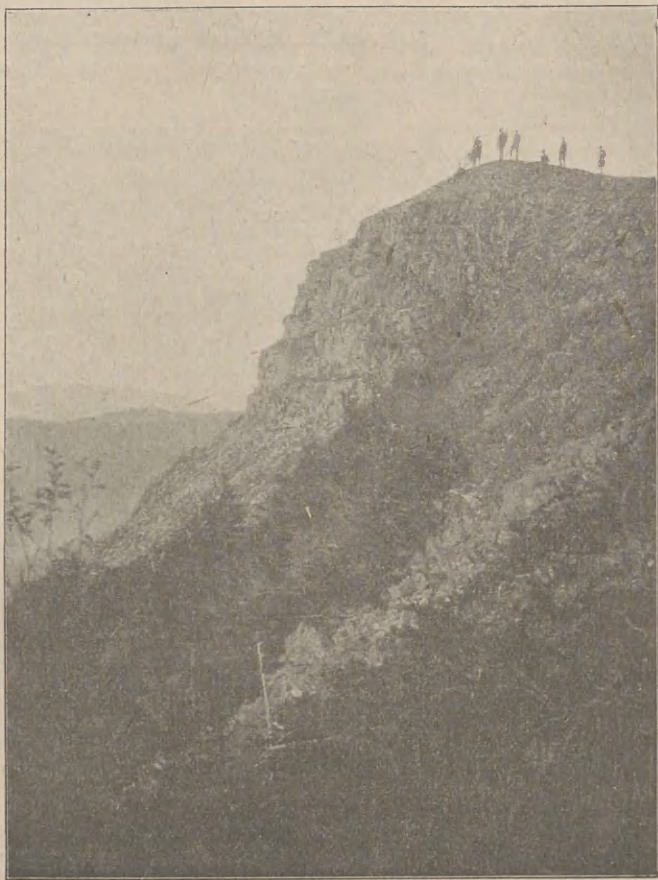
Widziana zdala, nie wywiera Babia Góra imponującego wrażenia. Od wschodniej lub zachodniej strony kształty jej przypominają wyniosłą



Babia Góra od wschodu. (Fot. Z. Rakowicz).

piramidę, od południowej podobna jest do olbrzymiej kopy, najmniej zaś powabnie przedstawia się od strony północnej. Wogóle nie ma ta „Babcia“ w sobie nic z gracji i smukłości kibici niewieściej, a przypomina raczej — jak chcą niektórzy — tłuste, przysadkowe i nieruchawe babsko. Pochodzi to stąd, że masyw jej jest olbrzymi, a szeroko rozwarte ramiona opadają łagodnie ku dwóm, obejmującym jej kulminację przełęczom, K r o

wiarkom na wschodzie i Jałowieckiej na zachodzie. Obie te przełęcze, nieco ponad 1000 m. wzniesione, są od siebie w linii powietrznej ok. 10 km., a linią grani przeszło 15 km. oddalone; na taką tedy prze-



Sokolica na Babiej Górze. (Fot. K. Sosnowski).

strzeń spadek 700 m. rozłożony, daje bardzo łagodną pochyłość i całej górze nadaje kształt przysadzisty.

Wschodnia grań Babiej Góry jest prawie równią pochyłą, zgarbioną nieco zaledwie wyniosłością Sokolicy 1367 m., Kępy 1521 m., Główniaka 1617 m., zachodnia natomiast ma dwie wybitniejsze kulminacje,

a to Kościółków 1620 m. i Cylu 1517 m. robiące już wrażenie odrębnej góry.

Wybitne też różnice zachodzą między obrazami południowych a północnych stoków całej góry, co zresztą jest właściwością ogólną wszystkich gór karpackich. Podczas, gdy ku Orawie zbocza Babiej opadają połogo i równomiernie, to na północną stronę ku Zawoji staczają się gwałtownie i w tak dzikich obrywach, że stąd jedno tylko utarte wejście na szczyt prowadzi, a to w przełęcz Izdebczyska między Kościółkami a Cylem. Jest to — rzecz oczywista — wynik dawnej pracy lodowców, których działanie znacznie osłabiało silniejsze słońce południowe.

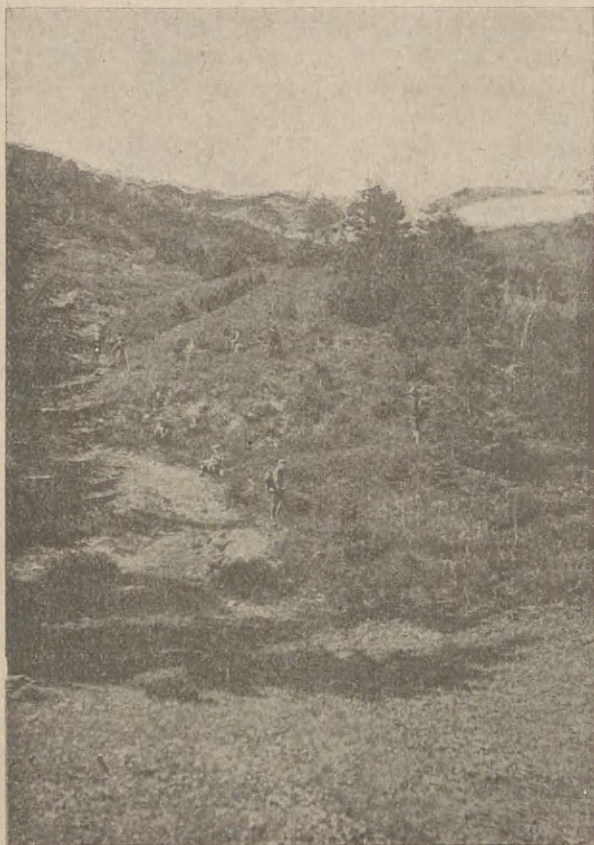


„Kamienne morze“ pod szczytem Djabłaka. (Fot. K. Sosnowski).

Łagodny z oddali, zmienia się przecież widok Babiej Góry, gdy stanimy u samego jej podnóża w górnej Zawoji, na Markowych Równiakach lub Czatoży. Prócz niskiej odnogi Ryzowanej nie wysłała ona w tę stronę żadnych bocznych żeber, lecz gigantyczną ścianą dźwiga się wprost w górę i jednym spojrzeniem pozwala objąć cały swój iście olbrzymi korpus. Wobec przygniatającej masy jej kamiennego cielska małym się wydaje masyw tatrzańskiej Koszystej lub Wołoszyna, a do-

pieró całe ramię Szerokiej Jaworzyńskiej może iść z niem w porównanie. Pod względem ogromu masy jest Babia kolosalnych rozmiarów góra, nie dopisuje natomiast pod względem śmigłości i lotności kształtów — i to jej sławie i wziętości przynosi największą ujmę.

Te estetyczne niedomagania wysoko-górskiego krajobrazu wyrównywa tu imponujący i niezwykle widok północnego stoku. Górny koniec



Przełęcz zdebczyńska. (Fot. K. Sosnowski).

Zawoji zamyka półkolem stroma, szeroka, poszarpana i głęboko żlebami poorana ściana, pod którą obszerny kocioł dolny wypełnia ogromny, ciemny bór Urwisko, jeden z największych w Beskidzie. Kamienna ta ściana, kilka kilometrów długa, spada od szczytu aż do linii lasów spadzistym obrywem pod kątem 70° przeszło 300 m. w dół; jest ona prawie naga, zasłana złomem skalnym i piarżystym żwirem, nie przepaściasta jednak i do przebycia zupełnie możliwa. Pozornie gładka, zmienia jednak swój obraz zbliska; gdy bowiem wzniesiemy się ponad górną granicę lasów, spostrzeżemy w rzeźbie tej ściany i całej zresztą góry, obszerne rozdoły, urwiska, parowy, lejki, kary, amfiteatry i t. p.

Są to ślady dawnej pracy lodowców, jak i poniżej w reglach położone dwa stawki, w całym Beskidzie tu tylko zachowane.

Na babiogórski krajobraz wybitne piętno wywarła epoka lodowa, wywarła też i na tutejszą szczątkową, arktyczną florę. Ze śladami dzia-

łania lodowców spotykamy się na każdym niemal kroku. Największy kar, czyli kocioł lodowcowy, istnieje pod drugorzędnym wierzchołkiem Kosciółków, gdzie ściany podcięte przez lód opadają z wysokości 1620 m. w dół aż do 1350 m.; niemniej cała północna, stroma i skalna ściana tej góry między Djablakiem a Sokolicą, wykazuje szereg ostrych wcięć erozyjnych w formie cyrków i żłobów lodowcowych. Również i Cyl, czyli Mała Babia, posiadał odrębne lodowce, po których pozostały cyrki i żłoby. Z południowej strony tuż poniżej szczytu znachodzimy typowy, choć niewielki kar, na którego morenie stoi schronisko niemieckie¹⁾. Godzien uwagi jest też długi, głęboki i ostry żłób we wschodniej grani poniżej Djablaka, niezawodnie też dzieło lodowca.

Że niegdyś istniały na Babiej Górze jeziorka w jej górnej strefie, świadczą o tem wyraźne ślady den i zamykających ich moren, świadczą też i dawne nazwy, jak Suchy i Mały stawek, w miejscu, gdzie już wody nikt nie pamięta. Zachowane dotąd dwa morenowe jeziorka leżą dość nisko, bo w połowie wysokości góry. Pierwsze z nich — to Marków Stawek, położony pod Cylem na wysokości 1156 m. Dziś niepokazny i mały, musiał mieć niegdyś większe rozmiary, jak świadczy o tem kotlinka, w której się znajduje. Zasypywany gruzem skalnym, zmałał ten stawek tak wielce, że obecnie jest już w stanie zaniku, a przedstawia się jako niewielkie, płytkie, zarastające zielskiem, a w suche lata całkiem wysychające moczarysko.

Drugie zaś jeziorko, większe i głębsze, zwie się Mokrym Stawem dlatego, że prawie nigdy nie wysycha (zdarzyło się to tylko w wyjątkowo upalne lato w r. 1904 i 1921). Leży ono na wysokości 1025 m., wśród lasu pod orlim bastjonem Sokolicy, a ma 500 m² powierzchni i do 4 m. głębokości, jest bezodpływowe i zamknięte od północy wysokim wałem morenowym. Piękny ten i cichy stawek, ze spokojną jak tafla zwierciadlana powierzchnią, jest prawdziwą ozdobą i osobliwością Babiej Góry.

Nie od rzeczy będzie tu dodać, że w połowie drogi między schroniskiem pol. a Mokrym Stawem, o kilka minut w dół ze ścieżki, znajduje się mały staweczek, mający 4 m² powierzchni, a dość głęboki (według opowiadań dawniej dna nie można było dostać) i nigdzie dotychczas w opisach nie wspominany.

Geologiczna budowa Babiej Góry jest zupełnie jednolita i nieskomplikowana. Zbudowana jest ona w całości z magórskiego piaskowca płytowego, który — choć posiada wysoki stopień twardości — przecież da-

¹⁾ L. Sawicki: Krajobrazy lodowcowe Beskidu Zach. Kraków 1913.

leki jest od tworzenia iglic granitu lub misternej rzeźby wapienia. Ta właśnie piaskowcowa budowa góry jest powodem, że wyniosłości jej są wyokraglone, obrywy nie przepaściste, że mimo całej dzikości krajobrazu, jest to góra na ogół łagodna i dostępna. Bezpiecznie chodzić tu może i najmniej wprawny turysta, a gdyby nawet jakiś straceniec chciał się tu rozmyślnie cierpkiego żywota przez rzucenie się w przepaść pozbawić, to znalazłby się w prawdziwym kłopotcie, bo jedynie w karze Kościółków lub ze skalnego obrywu Sokolicy mógłby się w dół rzucić — i to prawdopodobniej nogę albo rękę, aniżeli kark sobie złamać.

Za odrębną kulminację w grani Babiogórskiej słusznie uchodzi Mała Babia czyli Cyl, 1517 m., wierch dość gładki i trawiasty, lecz od północy także bardzo stromy, a od Kościółków szeroką przełęczą Izdebczysk (1408 m.) odcięty.

W niemieckich przewodnikach i w wojskowych mapach Cyl ma nazwę „Braná“, a przełęcz „Branasattel“. Nie ulega wątpliwości, że jest to nazwa sztucznie narzucona, ludowi okolicznemu zupełnie obca, lecz przez polskich turystów także przyjmowana. Mała Babia lub Cyl, a przełęcz Izdebczyska (choć lud tą nazwą oznacza tylko kocioł pod przełęczą) są tu nazwami właściwymi.

Babia nie jest górą odosobnioną czyli wyspą (Inselberg), owszem jest typową górą pasmową, t. j. będącą ogniwem pasma. W górotworze Beskidu Zachodniego jest pasmo Babiogórskie najpotężniejszym i najdłuższym działem. Na wschodzie przełęczą Kossiaraki łączy się Babia Góra z grupą potężnej Policy 1367 m., na zachodzie przełęczą Jałowiecką z górą Mądralową 1170 m., a dodawszy do tego z jednej i drugiej strony jeszcze szereg podrzędnych wyniesień, otrzymamy potężną linię powiązanych z sobą wierchów, około 50 km. długą, która poczyna się w Osielcu, a kończy się na przełęczy Glinnej pod Pilskiem.

Panem tego pasma — i to prawie wyłącznym — jest las. Siedziby ludzkie mało wgrzyły się w obszar gór tutejszych, mało też miejsca zajmują łąki i hale, natomiast w obszarach olbrzymich jeszcze — jak na obecne czasy — zachowały się tu lasy. Są też one przez zarząd dóbr żywieckich forytowane i starannie pielęgnowane. Nieznaną tu jest rzeczą gospodarka rabunkowa, rewiry leśne dochodzą do długowieczności, są nawet wiekiem przestarzałe.

Takim jest rewir nad Czatożą ze słynnym okazem „grubej jodły“. Jagiellońskie czasy pamiętało to szacowne drzewo, a jako jedna z osobliwości Babiej Góry, szeroko było w Polsce znane i przez żadnego turystę nie omijane. Olbrzym ten liczył do 500 lat wieku, metr nad zie-

mią miał 6'1 m. obwodu, a padł w r. 1918 ofiarą głupoty pastuchów, którzy do jego wypróchniałego odziomka zapuścili ogień. Cały rewir ten jest jeszcze istnym pralaszem, w którym okazów podobnych szanownej nieboszce, lubo już znacznie mniej okazałych, znajdziemy jeszcze setki; żywoł tej odwiecznej i majestatycznej kniei niedługim już się zapowiada.

Lasy na południowych zboczach Babiej Góry dochodzą znacznie wyżej, bo do 1500 m. Były one przez węgierskich właścicieli licho administrowane, to też są przetrzebione, zasadzone młodnikiem płonego świerka, podczas gdy w żywieckich znaczną przewagę ma cenniejsza jodła i twarda buczyna. Za dowód niełapczywej gospodarki żywieckiej niech i ten szczegół posłuży, że koło polskiego schroniska i obu stawów dość spore kawały ziemi (30 ha) obsadzono świeżo nierentowną limbą. Ogółem obszar leśny dóbr żywieckich wynosi na Babiej i Policy 14.535 ha.

Świat roślinny środkowej strefy Babiej Góry obejmuje całą litanję rzadkich i typowych gatunków alpejskich, których badaniem zajmowało się wielu uczonych. Szczególnem umiłowaniem otoczył tę górę śp. Dr. Hugo Zapałowicz, a rezultatem jego badań florystycznych są liczne naukowe rozprawy. Również wiele materiału naukowego i turystycznego zawierają wydawane w Bielsku „Mitteilungen des Beskiden-Vereines“, gdzie specjaliści znajdują szczegółowe wiadomości co do flory, fauny, geologii, klimatu i t. d., bo — trzeba to ze wstydem przyznać — niemieccy uczeni i turyści lepiej zbadali i poznali Beskid Zachodni, niż polscy.

Turystę najwięcej interesuje gruby zwierz górski, bo na drobny świat zwierzęcy zwraca uwagę tylko naukowiec. Pod tym względem fauna



Nie istniejąca już „gruba jodła“ w Babiej Górze.
(Fot. K. Piergies).

Babiej Góry straciła już atrakcję. Czy istniała tu kozica i świstak, brak na to wskazówek; niedźwiedzia i wilka jeszcze pamiętają starzy ludzie, o łośiach, jeleniach, żubrach słych dawno zaginał.

Dość pospolity jest tu jeszcze dzik, ryś natomiast i żbik są już rzadkimi niedobitkami. W r. 1911 zabili gajowi w tutejszych lasach 7 rysiów. Z rzadszych ptaków spotyka się tu nierzadko ociężałe głuszcze, z płazów częstym okazem bywa salamandra plamista.

Pewna popularna piosenka śławi „matkę Babią Górę“, jako rodzicielkę Wisły. Nie jest to wykluczone, że była nią ongiś w prawiekach, jeżeli prawdziwym jest twierdzenie uczonych, że śląska Wiśka uchodziła pierwotnie do Odry. W obecnej dobie jest Babia tylko rodzicielką małej córeczki, rzeczki Skawicy. Dziwną jest zaiste rzeczą, że ta kolosalna terenowo góra, nader obfitująca w źródła, nie jest ani z północnej ani z południowej strony zawiązkiem żadnej większej rzeki, bo i Czarna Orawa i Skawa mają źródlika w ostatnich wierzchołkach. Gdy idziemy okężnym płajem przez bory półn. stoków, co chwila natrafiamy na żwawy poniczek, na źródółko z wybornej jakości wodą, z których wiąże się kilka potoków, jednoczących się we wsi w rzeczkę Skawicę. Nie tylko w leśnym regionie biją tu liczne źródółka, biją one także w skalnym regionie i to wysoko, bo i ponad 1600 m. Wodną osobliwością Babiej jest podziemny, raczej podskalny strumyczek w Kościółkach i spore wywierzysko obok „grubej jodły“.

Źródło mineralne odkryto pod Babią Górą dotychczas jedno, a to silne jodo-bromowo-żelaziste solanki w Półhorze na czeskiej Orawie, gdzie powstał nawet mały zakład kąpielowy, w czasie przewrotu politycznego doszczętnie prawie zrujnowany.

Ośnieżenie Babiej Góry jest silne i długotrwałe; w kwietniu, często i w maju bieleje ona jeszcze w koronie śniegowej, zwalnia się od niej nie dłużej, jak na 5 miesięcy letnich. Jej szczyt, szeroki a wysoki, jest tamą dla nawalnych chmur półn.-zachodnich, to też opady są tu częste i obfite. Wogóle jest Babia Góra silnie nawodnioną i przeważnie wilgotną, stąd dowiecnpnisie jej nazwę złośliwie trawestują...

Nazwę Babiej Góry wielu i w wieloraki sposób usiłowało wytłómaczyć... Podania ludowe głoszą, że szczyt góry zawierał żyły złota, które okoliczne baby chciały zdobyć, ale w tem przeszkodził im djabeł i zmusił je do zbudowania sobie zamku, którego zwaliskiem jest szczyt Djablak. Jest i inne podanie o babach wielkoludach, które przez rozlanie wody z kubłów na szczycie pokazały mierniczym, jak ma iść granica; jest podanie à la Twardowski o chłopie i djable, który dla zdobycia jego duszy

zamek mu musiał budować; jest wreszcie i takie, że baba-wielkolud wysypała tu ze swej izby śmieci, zasypała nimi miasto z kościołem i w ten sposób postawiła górę. To ostatnie, wielce uwłaczające królewskiej godności góry, słyszałem sam na Podhalu lubo w nieco zmienionej formie, a to, że baby idące na odpust wysypały z kobiałek śmieci i w ten sposób tę górę usypały.

Świat uczyony wywodzi nazwisko Babiej od prasłowiańskiego bóstwa „Baba“, t. j. matka-żywicielka¹⁾; powszechnie atoli tłumaczą nazwę tej góry jej przysadzistym kształtem, podobnym rzekomo do siedzącej baby. Ciekawą jest rzeczą, co i o górze samej i o jej nazwie już w XVIII w. napisał ks. Benedykt Chmielowski w swoich osławionych „Atenach“: „Babia Góra ma w sobie proszki i zioła do apteki idące. Jest najwyższa z gór Tatrów za Lanckoroną, tak rzeczona, iż z daleka patrzącym zdaje się niewiasta, na skały wierzchołku reprezentowana, owcami obłoczona. Na góry tej wierzchołku jest jeziorko Oculus maris“.

Lingwista R. Zawiliński także w zarysach góry dopatruje się tego podobieństwa i pisze: „kontury jej ciężkie i towarzystwo Małej Babiej czyli Brany, jakby pacholęcia, stawia jasno przed oczy genezę nazwy“²⁾.

Mnie wywody te do przekonania nie trafiają, a to z tego prostego powodu, że z żadnej strony tego podobieństwa dopatrzeć się nie mogłem. Sądzę, że wyobraźnię suggestjonowano tu nazwą góry; stawiam tedy inny domysł i wywód. Podhalanie dumni z Tatr, wyrażają się lekceważąco o Gorcach czyli o pagorcach, o Babiej również, jak świadczy zresztą przytoczone opowiadanie; zwłaszcza z przekąsem mówią o niej z tej przyczyny, że jej szczyt mgłą osnuty bywa zapowiedzią pewnej niepogody. Nazwę tę utworzyli tedy zapewne Podhalanie analogicznie do nazwy „babie lato“. Jak ono oznacza coś pośredniejszego w stosunku do właściwego lata, tak Babia Góra oznacza lichszą, niższą górę w stosunku do Tatr.

Czy wywód ten trafny, nie moja rzecz sądzić.

II.

(Polityczne i etnograficzne kwestje. Pasterstwo. Przyszłe podbabiogórskie letniska. Aureola legend. Tradycje zbójnickie. Babia Góra w poezji. Turystyczna gospodarka. Wojna o Babią Górę. Dwa schroniska. Turystyczne walory Babiej).

Wbrew naszym nadziejom i wbrew wszelkiej słuszności, słup graniczny ze szczytu Babiej Góry nie zniknął, zmienił się tylko napis na

¹⁾ J. Jandaurek: Galizien, Wien, K. Graeser.

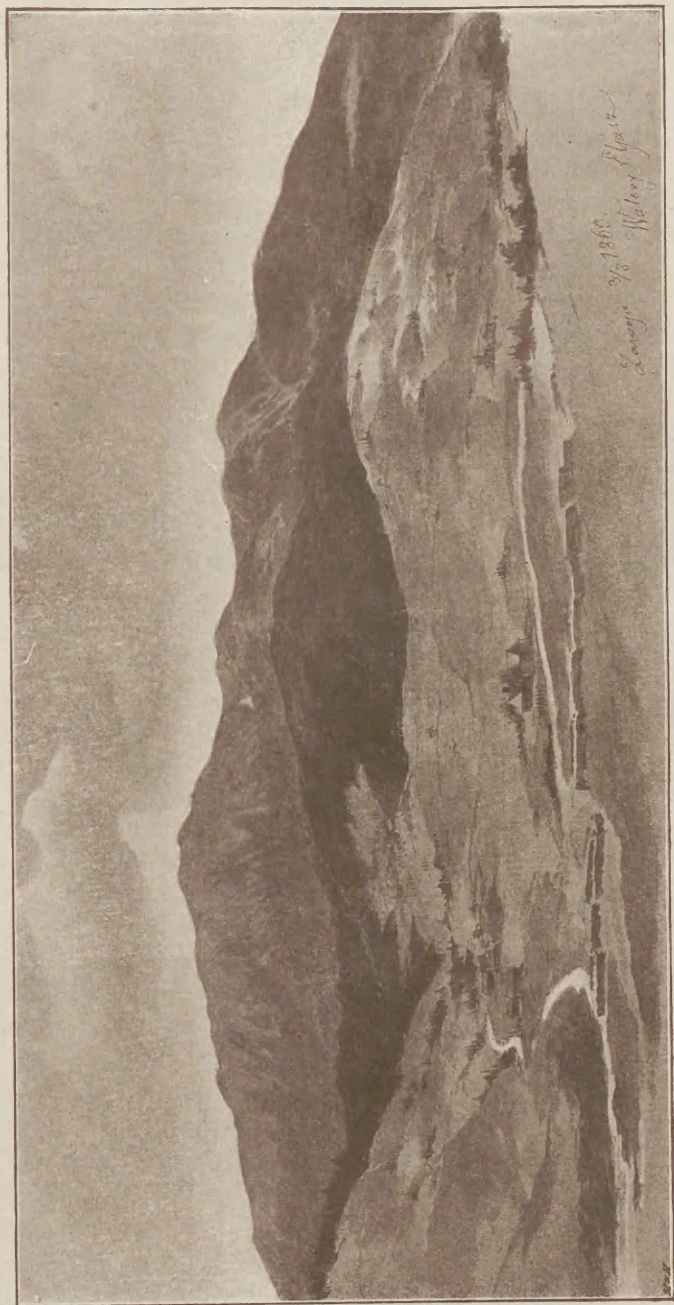
²⁾ Z kresów polszczyzny. Kraków 1912.

nim. Stan naszego posiadania na obszarze tej góry podniósł się z połowy do trzech czwartych części, jedna czwarta, t. j. stok południowo-zachodni, ze wsią i kąpielą Pólhora, pozostał przy Czecho-Słowacji. A przecież Babia Góra jest tak rdzennie polską, jak z dawnych granicznych wierzchów żaden inny może. Dzieli ona wodę, ale nie dzieli, ani nie dzieliła ludności. Babia Góra wyrasta z czysto polskiego podłoża, a granicą polityczną stała się ona dopiero pod koniec XVI w. przez węgierską zaborość.

Nie mówiąc o północnych, wszystkie osady orawskie, leżące u jej południowego podnóża, są wyłącznie polskie. Lud, który rąbie i sadi jej lasy, który kosi i wypasa jej hale, który obsiewa ziarnem jej podnóża i skrawki jej stoków, nie mówił i nie mówi innym językiem, jak polskim. Mil kilka trzeba jeszcze w stronę południową od Babiej Góry przewędrować, zanim się usłyszy dźwięki mowy obcej. Nie stało się dziś, stanie później sprawiedliwości dziejowej zadosyć.

Ludność podbabiogórska znajduje zarobki przy obróbce i zwózce drzewa w tamtejszych dworskich obszarach, zajmuje się drobnym przemysłem drzewnym, pasterstwo zaś mało jej przysparza dochodu, hal bowiem na Babiej Górze znajduje się niewiele. Dawniej liczono na półn. stokach 8 większych hal, na których jednak pasterstwo zanikło, a które obecnie służą za łąki, a niższe nawet za orne pola. Tendencja zarządów dworskich do wykupywania od włościan i zalesienia hal, przyczynia się także do ich zaniku. Z zawojskiej strony znajduje się na Babiej jeden tylko szałas owczarski na niewielkiej hali Czarnej pod Cylem, z orawskiej strony jest hal jeszcze kilka, jak Borsucza, Przegib, Rabczycka, Huściańskie Szczawiny, Gubernasówka i Lniarka. Na trawiastych obszarach Cylu i jego szerokiej przełęczy wypasają Pólhorzanie i Rabczycanie woły. Pasterstwo i szałasnictwo mało ożywia obszary Babiej, bo i hal dużych jest mało, polan natomiast małych do koszenia siana jest mnóstwo, bo sami Zawojanie mają ich aż 36.

Cechy góralskie w obyczaju, gwarze, stroju, budownictwie zanikają u północnych Babiogórców w coraz szybszym tempie, u Orawian konserwują się nieco silniej. Bezpośrednią sąsiadką Babiej Góry od strony północnej jest wieś Zawoja, wielka obszarem i liczbą ludności, bo pierwszy wynosi 50 km., druga ok. 8.000. Malowniczością położenia przewyższa Zawoja wszystkie letniska beskidowe i jest bezsprzecznie najpiękniejszą wsią polską po Zakopanem. Zwłaszcza jej górna część, otoczona zewsząd wieńcem gór lesistych, ma i krajobrazowe i zdrowotne warunki na pierwszorzędną stację klimatyczną.



Sokolca

Kępa

Główniak

Szczyt B. G.
cz. Dyablak

Kościeliki

Przełęcz
Izdobczyńska

Cyl czyli
Mata Babia

BABIA GÓRA OD STRONY ZAWOI
(Z OBRAZU OLEJNEGO WALEREGO ELJASZA)

Z orawskich wsi podbabiogórskich przypadły Polsce dwie Lipnice, Górna i Dolna (4.207 mieszk.) i dwie Zubrzyce, także Górna i Dolna (2.187 mieszk.). Jeżeli wszystkie wsi orawskie, zyskane w roku 1920 przez Polskę, mają w mniejszym lub większym stopniu warunki na nie tyle na razie dogodne, ile wysoce zdrowotne letniska, to wymienione cztery wsi, a przede wszystkim dwie Górne, wysuwają się w tej mierze na samo czoło. Położone u samego podnóża Babiej, na poziomie 700 m., mają wszystkie przyrodzone dane jako świetne letniska, bo silne południowe nasłonecznienie, powietrze suche, żywicznym zapachem przepojone, wodę dobrą, silne potoki i krajobraz wspaniały, beskidowy i tatrzański zarazem. Gdy te naturalne warunki uzupełnią jeszcze dzieła rąk ludzkich, a przede wszystkim komunikacyjne arterje, stanie się Babia Góra jednym z najważniejszych ośrodków polskiego ruchu turystycznego, a jej północne i południowe podnóża rozwiną się w znakomite górskie stacje klimatyczne, których nizinnej Polsce tak bardzo a bardzo potrzeba.

Urok Babiej Góry, dzikość i względna niedostępność niektórych jej zakątków, pobudziły fantazję ludową do działania i wysnuły z niej szereg legend i podań, nie pozbawionych głębszego znaczenia i poetycznego wdzięku. Oprócz wymienionych podań o nazwisku góry, krążą tu wśród ludu inne jeszcze, bądź wspólne z podaniami ogólnymi, bądź lokalne odrębne. Są więc legendy o wężach olbrzymich i smokach, powodujących naremne wichry, lasy wywracające, są o czarownicach, zjeżdżających się w noc św. Łucji na ożogach, są o kwitnącej paproci, o ukrytych skarbach, „które się kryją, gdy cudzoziemiec najedzie granice Polski“, są o podziemnych pieczarach w kotle Izdebczysk, jest i to śliczne podanie o śpiących rycerzach, którzy w rozdole Kościółków, gdzie niegdyś krzyż zaszypanego kościoła wystawał, śpią na białych koniach, w złotych przyłbicach, wraz ze swą królową, a w noc św. Jana budzą się na odgłos dzwonów, a dowiedziawszy się, że nie czas jeszcze do boju, bo naród śpi, usypiają znów na rok cały. Czy podanie to zostało tu z pod Giewontu przeszczepione, czy powstało odrębnie — trudno rozstrzygnąć¹⁾.

Podobne legendy krążą i wśród Orawian, a głównie owa o smokach czyli „drakak“, powodujących ulewy i burze, o chodnikach podziemnych, wiodących aż pod kościół w Rabczycach, o jamach, w których są ukryte skarby, strzeżone przez smoków, a podbierane przez panów z Krakowa, którzy dlatego chodzą po Babiej Górze, bo mają takie książki („Przewo-

¹⁾ Podania te zostały zebrane przez W. Szkolnika w Pamiętniku Tow. Tatrzańskiego z r. 1905, T. 26.

dniki“ zapewne), z których zaklinają „draka“ i mogą się dostać do skarbów, z których się Kraków „spomógł“. Krażą też i tradycje o zbójnikach, którzy się kryli w lasach i grotach, a nie pozbawieni byli szlachetniejszych poczynań. Murowany kościół Lipnicki miał powstać za worek złota, ofiarowany „panu fararowi“ t. j. plebanowi, za udzielenie wujatyku umiarkującemu zbójnikowi, a w inwentarzu tego kościoła znajduje się dotąd pałka zbójcka, czyli „bunkoś“, pokazywany ciekawym przez proboszcza¹⁾.

Tradycje zbójnickie w Zawoji sięgają wstecz do trzech pokoleń. Nazwę tej wsi wyprowadzają jej mieszkańcy, od Zabój, t. j. osada zbójcka, z czego powstała obecna ludowa nazwa Zawój („idę ze Zawoja“) i urzędowa Zawoja. Nie przechowało się tu wprawdzie nazwisko jakiegoś wybitnego zbójnickiego przywódcy, ale opowiadają sobie jeszcze o ich napadach na przyjezdnych i na baców po halach, o staruszce, która im gospodarzyła na polanie Opaczne i o opornym bacy, porąbanym i uwarzonym w kotle przez zbójników na Czatoży, gdyż nieopornym nie robili krzywdy²⁾.

I przez poetów wybitnych opiewaną była piękność Babiej Góry. Krótki, ale piękny wiersz, poświęcił jej krakowski romantyk, Edmund Wasilewski. Tytuł wiersza: Widok Babiej góry, data podróży poety w Beskidy r. 1836. Lapidarność wyrażenia, bogactwo przenośni, obrazowość i dobór porównań są zaletami tego wierszyka, którym godnie uczcił tę górę, chlubę krajobrazu polskiego. Oto urywek:

...Ta stara córa ziemi na przestwór daleki
Z wyziębłych ust wyrzuca strumienie i rzeki,
A dwóch stref na swe łono zgromadziwszy ziota,
Młodniejąc pośród kwiatów, na badacza woła.
Jej warkoczem las ciemny, w czarne pukle zwity,
Rumieńcem blask piorunu o śniegi odbity;
A na jej skroniach tęcza w grubych mgłach się pali,
A u stóp las szumiący na burzę się żali...

Znał dobrze Babią Górę i nie pomijał „Beskidu Zielonego“ w utworach swoich Wincenty Pol, nie była też ona obcą Sewerynowi Goszczyńskiemu, (który na Podhalu u samego podnóża Beskidu dłuższy czas przebywał). Lecz o ile Wasilewski uczcił jej wspaniałość i wysokogórski majestat, o tyle Goszczyński, znając ją zapewne tylko z daleka i idąc po

¹⁾ R. Zawiliński j. w.

²⁾ W. Szkolnik: O Zawoi. Pamiętnik Tow. Tatr. 1904, T. 25.

linji zapatrywań ludu Podhalańskiego, podkreślił jedynie jej ujemną cechę przysadkowatości i rolę naturalnego barometru :

A tej nazwisko, patrz ku zachodowi,
 Co tak rozparta i na wierzeżu chmury ?
 Przeklęta Baba! nad wszystkie złońnica,
 Matka niepogód.
 Chciałaby rządzić okolicą całą,
 Choć jedna z mniejszych. Biada tej krainie!
 Skoro się w czepek z obłoku owinie,
 Będzie płacz złości, co grozi nawałą. („Tatry“).

W oryginalnej formie, w tonie sarkastyczno-ironicznym ozwał się o Babiej w Odgłosach z gór (1871 r.) Felicjan Faleński :

U widnokręgu, hej! w dali
 W stronie, gdzie niebo się pali,
 Siedzi starucha;
 Śniegami siwa, mgłą skrzepła,
 Od słońca blasków oslepła,
 Od grzmotów głucha,
 W pożary gdzieś zachodowe,
 Zwróciwszy głowę,
 Przy tem ognisku ze słońca,
 Grzeje się drżąca.

Dopóki łyse jej ciemię
 W łach szafirowych snem drzemie,
 Aż zazdrość bierze —
 Dopóki szumią w niej gaje,
 Że starowina się zdaje
 Mruczeć pacierze —
 Idź, gdzie cię oczy poniosą
 Z strzelbą lub kosą,
 Lub pędzić w leśne manowce
 Bydło i owce.

— Lecz jeśli jejmość pękata,
 Wspomniawszy odwieczne lata,
 Gdy była młodą,
 W czepiec obciąga łysinę,
 I wstęgi z błyskawic sine
 Wiąże pod brodą —
 Nim się w niej wichry zakrztuszą,
 Uciekaj z duszą!
 Bo ci w pierwszym piorunie
 Z ramienia sfrunie!

Ze współczesnych poetów stałym przyjacielem i wielbicielem Babiej Góry jest autor pięknych sonetów tatrzańskich Fr. H. Nowicki; dotychczas jednak nie wyraził swego dla niej sentymentu żadnym utworem.

Turystyczną gospodarkę rozpoczęli na Babiej Górze już w r. 1863 — Niemcy. Bielska Sekcja „Beskiden-Verein'u“, mającego siedzibę na Śląsku Cieszyńskim i Górnym, rozszerzając stopniowo teren swej działalności, wspierana w niej przez zarząd dóbr cieszyńskich i żywieckich, objęła w turystyczne posiadanie całą Żywieczyznę, objęła i całą Babią Górę, zarówno z galicyjskiej, jak i z orawskiej strony. Uwzględniana zrazu w napisach tablic orjentacyjnych polszczyzna, zanikała stopniowo, aż znikła zupełnie. Powódź turystów niemieckich zalewała coraz szerzej góry beskidowe, aż oparła się prawie o Podhale. Zapomniane i lekceważone przez swoich mieszkańców, powabne góry: Barania, Klimczok, Racza, Romanka, Pilsko i Babia, przyjmowały w swe objęcia wędrowców ze stron dalekich i obcych. Doszło do tego, że nazwiska ich i oblicza znane były lepiej mieszkańcom Wrocławia, niż pobliskiego Krakowa. Schroniska, raczej hotele paradne, chrzczone nazwiskami arcyksiążąt niemieckich, poczęły powstawać po wierchach beskidowych, sypały się drukowane przewodniki, opisy i mapy, drożyny pomalowano farbami i opatrzone setkami orjentacyjnych tabliczek. Jako przednia straż germanizacji wkroczyła turystyka niemiecka w obszar górski głęboko ku wschodowi. Wpatrzone wyłącznie w Tatry, nie zwracało na ten pochód i podbój żadnej uwagi... Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.

Przeciwdziałanie rozpoczął pierwszy Dr. H. Zapałowicz, drugi krok w tej mierze niech mi wolno będzie przypisać sobie, jako autorowi Przewodnika po Beskidzie. Niemieckich przewodników ma Babia Góra cztery, map dwie¹⁾, polski przewodnik jeden²⁾, (nie biorąc już w rachubę przestarzałej książeczki E. Janoty „Przewodnik na Babią Górę, do Tatr i Pieńin“ z r. 1860) polskiej mapy turystycznej niema żadnej.

Działalność niemieckiego Związku Beskidowego na Babiej Górze była, pomijając tendencje germanizacyjne, dodatnia i wydatna. Cały szereg dróg, zarówno ze strony Żywca, jak Zawoji i Półhory, został wytyczony, z uwzględnieniem zimowej turystyki narciarskiej, w sposób dobry i trwały, a w roku

¹⁾ K. Kolbenheyer: Führer durch die Beskiden, Bielitz 1900. — J. Matzura: Die Beskiden, Brünn 1907. — Tischler-Wilke: Skitourenführer durch die Beskiden. Bielitz 1912. — Spezialkarte der Beskiden für Touristen, 1 : 150.000, 4 Auflage, S. Stucks, Teschen. — K. Husak: Touren-Karte der Beskiden, 4 Aufl. 1911. Beskiden-verein, Teschen. — E. Tischler: Die östl. Beskiden (von der Weichsel bis zur Babia Góra) Schweidnitz 1914.

²⁾ K. Sosnowski: Przewodnik po Beskidzie Zachodnim, Kraków 1914.

1905 zbudowane zostało fundamentalne schronisko piętrowe na wysokości 1616 m., na południowym zboczu szczytowym. Cały rok otwarte, wykazywało to schronisko dość silną frekwencję turystyczną, bo ponad 800 noclegów rocznie, podczas gdy w polskim liczba ta nie przekraczała przez długie lata 300 noclegów. Niemieckie schronisko babiogórskie znalazło się po ostatniej regulacji granicy na Orawie na polskiej stronie. Wzniesione z kamienia, cementu i żelaza, na wzór schronisk alpejskich, jest budową zupełnie oporną na kataklizmy przyrody, krajobrazu nie szpecącą, dającą cudne widoki w stronę Tatr, a odpowiadającą wszelkim wymaganiom kultury i turystyki.

Zgoła odmienny charakter ma polskie babiogórskie schronisko. Miły ten i schludny, drewniany dom parterowy stoi na wysokości 1180 m., przytulony do ścian starego boru, okalającego małą polankę, Markowe Szczawiny. Z tego powodu widoki dają skromniejsze, otwarty jest tylko latem, a położenie ma o tyle niedogodne, że od szczytu jest o 1¹/₂ g. drogi oddalony¹⁾.

Nosi to schronisko imię swego twórcy i organizatora Babiogórskiego Oddziału Tow. Tatrzańskiego, Dra Hugona Zapałowicza. Osiadły dla badań naukowych na kilka lat w Zawoji, założył on w Makowie wspomniany Oddział w r. 1905, a w następnym przy poparciu Zarządu dóbr żywieckich, Tow. Tatrzańskiego i gminy Zawoja, postawił rzeczony domek. Podniętą czynności młodego Oddziału było współzawodnictwo z rozpanoszoną turystyką niemiecką, a reakcją jego przeciw pomijaniu przez Niemców w napisach polskiego języka, przeciw uzurpatorskiemu narzucaniu nazw niemieckich, jak Brana (Cyl), Albrechtsthal (Wilczna), Moritzthal (Czatoża), Lipnica-Pass (Krowiarki), Jalovetzer-Klause (Jałowiec) i t. d., doprowadziła do zatargu, który miał sądowy epilog. Spór skończył się umową, nie bardzo przez Niemców dotrzymywaną, że Beskiden-Verein obok napisów niemieckich dawać będzie i polskie i nazwy rodzime uwzględniać.

Z chwilą odjazdu Dra Zapałowicza podupadł Oddział Babiogórski zupełnie. Chcąc go ożywić, przeniesiono w r. 1910 jego siedzibę do Żywca, lecz i tu po chwilowym ożywieniu, podupadł, a w czasie wojny zamarł zupełnie. Postawił go na nogi nowy, energiczny prezes, inż. F. Mączyński,

¹⁾ Najdogodniejszym miejscem ze strony Zawoji na schronisko byłaby mała polanka popod Karem Kościółków, a ponad linią lasów, skąd i widok otwarty i dostęp do szczytu niedaleki; sam zaś budynek pozwoliłby się bardzo dyskretnie ukryć, dając przytem najwspanialszy widok w dal i w pobliżu na północny obryw góry.

który liczbę członków, stale poniżej 50 osób się trzymającą, podniósł do 125 osób, a w sierpniu 1922 r. dobudował do schroniska Zapałowicza salkę noclegową (bez żadnej subwencji i ofiarności publicznej, dzięki jedynie swej pomysłowości i przedsiębiorczości). Rozszerzenie schroniska stało się bowiem rzeczą nieodzowną ze względu na to, że w ostatnich latach polski ruch turystyczny na Babiej Górze wzmógł się w stosunku do przedwojennego trzykrotnie i liczba nocujących w tem schronisku zbliżyła się do tysiąca.

Już ta ostatnia okoliczność dowodzi, że Babia Góra w polskim ruchu turystycznym poczyna się wybijać na jedno z miejsc naczelnych. Stać się to musi naturalną siłą rzeczy, bo poza Tatrami ona jedna z gór ściśle polskich jest wysokogórską dziedziną. Pieniny przewyższają ją romantycznością i wdziękiem, ona bije je ogromem i wysokością. Rozwojowi ruchu turystycznego sprzyjać tu będzie i ten powód, że Babia jest ważnym i ludnym ośrodkiem życia polskiego, najbliższą i najdostępniejszą. Jako szkoła taternictwa, bezpieczna i łatwa, ściągając ona będzie przede wszystkim zbiorowe wycieczki młodzieży.

Turystyczne walory Babiej Góry są dla nizinnej Polski zgoła pierwszorzędne. Czy to krótsze wędrowki po samym tylko jej korpusie, czy dłuższe przez całe jej pasmo, dają estetyczne zadowolenie duże i emocje ducha silne, choć fizyczne małe. Krajobrazy babiogórskie godne są pod niektórymi względami iść w porównanie z tatrzańskimi, a widok w dal, niezastłony tutaj żadnymi pobliskimi wierchami i graniami, jest rozleglejszy i bardziej urozmaicony, niż z tatrzańskich wzniesień. Szczyt Babiej Góry można uznać za najpiękniejsze miejsce widokowe w Polsce.

Bez szczegółowego opisu, samo tylko wyliczenie pasm górskich i szmatów ziemi, stąd widniejących, niech posłuży za udowodnienie powyższego twierdzenia. Daje więc szczyt tej góry przewspaniały widok na całe pasmo Tatr, częściowy zaś na Tatry Niżnie, widnieje stąd, jak na dłoni, cała kotlina Orawy, Podhale i część Spisza (Zamagórze), zamknięta Pieninami i pasmem Spiskiej Magóry, widnieje za Orawą smukły Chocz, grzbiety Hal Orawsko-Liptowskich, wyniosła grupa Wielkiej i ślicznie, dziko poszarpana grupa Małej Tatry, widnieje też świetnie cały łańcuch Beskidu Zachodniego od Smrk'u na Morawie począwszy, a na krynickiej Jaworzynie skończywszy, a za nim gubi się oko w bezkresnych obszarach Śląska i małopolskich równin.

Zależnie od stanu pogody, widoki te odślaniają lub przysłaniają się częściowo, mieniają koloryt, w grze chmur wyłaniają przedziwne kombinacje. Gra chmur, przewalanie się ich przez potężną zaporę góry z nie-

pogodnej strony północnej na pogodną południową, bywa tu zjawiskiem nierzadkiem, pełnem groźnego potężnego uroku. Do osobliwości, ze szczytu Babiej często widywanych, należy też jesienne morze mgły i przewspaniały, cudny grą barw wschód słońca, który w świetle turystycznym ma już szeroko ustaloną sławę.

Gdy do tego dodamy także znakomite tutejsze tereny narciarskie, nie możemy wątpić, że Babia Góra otwiera dla turystyki naszej wrota prawdziwie rajskie, źródła krzepienia sił fizycznych i miłości ojczyzny kraju.

Ale nie jest ta góra tylko turystycznym terenem. Jest ona także wspaniałym tworem przyrody, klejnotem ubogiego w góry krajobrazu polskiego i księgą do czytania dziejów naszej ziemi — z tego tedy powodu należy się jej poszanowanie i ochrona przed barbarzyństwem tłuszczy „wielbicieląt“ (pseudoturystów). Dobrze tedy się stało, że — jak słyhać — powołani i o tej ochronie i o zachowaniu rezerwatów już myślą. — Sądzę, że do utworzenia rezerwatu najlepiej nadawałaby się połączyć góry z Sokolicą i Mokrym Stawem, lub obryw Cyłu z Markowym Stawem i czatożeńskim pralaszem.

W Krakowie, dn. 12 listopada 1922.

Kazimierz Sosnowski.

Sztuka u górali szczawnickich.

(Z rysunkami autora.)

Niema chyba człowieka, któryby wyrwawszy się z pośród miejskich murów, czy też z jednostajnego nizinnego krajobrazu, nie odczuł czaru Pienin piętrzących się nad błyskotliwą tonią Dunajca.

W lutym 1921 r. oglądałem w Szczawnicy zjawisko niezwykle: oto podczas zachodu słońca płynęły złote obłoki po zielonoturkusowem niebie, a srebrnopopielate Pieniny stały tak olbrzymie jak nigdy. Stałem zdumiony, oczekując rozwiązania zagadki. Po chwili rozerwały się w środku linją poziomą i ukazały mi się dwa grzbiety gór: zwykłe Pieniny i nad nimi wierne ich odbicie, które zgasło razem ze słońcem.

Nie trzeba jednak wyczekiwać aż tak niezwykłych złudzeń. Nie oglądałem nigdy tak cudnych poranków jak w Szczawnicy podczas jesieni. Oparę unoszące się z rzeki, oświetlone skośnymi promieniami

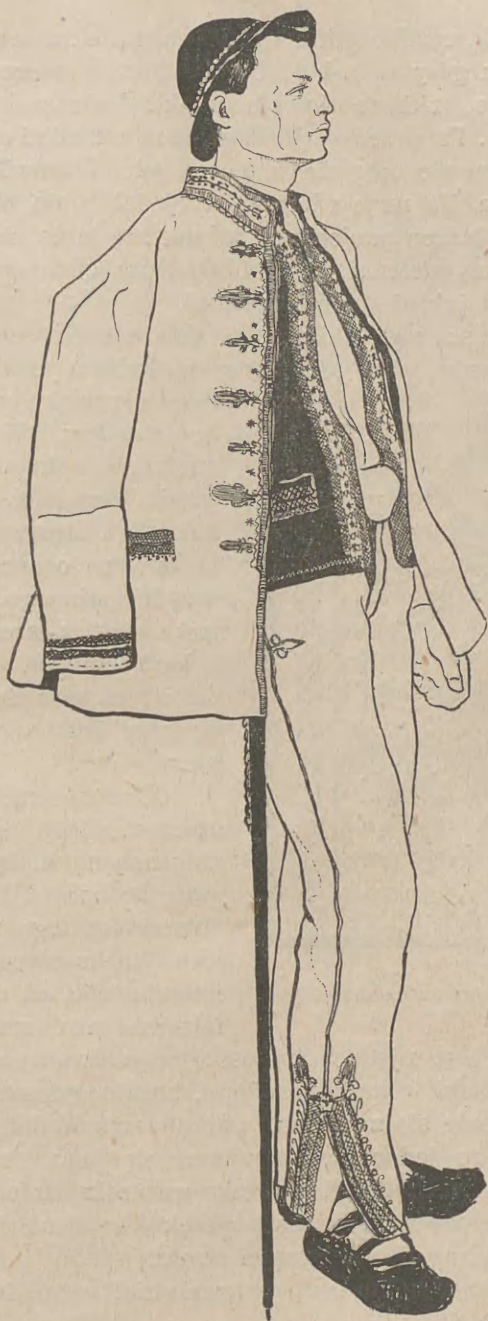
wschodzącego słońca, lśnią nieraz barwami przecudnego opalu oprawnego w szmaragdy, rubiny i złoto drzew. Zachody, od zielonych z liljowemi obłokami, żółte aż do purpurowych, na których ostatnie tchnienie konającego słońca odrzyna się olbrzymiami smugami, jakby palcami Boga, przed nocnem zamknięciem dłoni rozstawionemi; łożowane, ciężkie chmury prujące swe potężne brzuchy o ostre szczyty; wreszcie śnieg leżący ciężkimi okiściami na zielonych jeszcze gałęziach drzew — oto cały poemat. Na tym kalejdoskopowo zmiennym tle odcinają się wspaniałemi sylwetami postacie górali, tak bardzo się różniących pod każdym względem od nizinnych chłopów.

Tem wszystkim zostałem wprost olśniony, i pragnąłem to, co mnie tu uderzyło, utrwalić. Rąk dziesięciu było mi potrzeba by ująć to, co wzrok i myśl obejmowały. Prawie równocześnie z literatem Janem Wikto-rem rozpoczęliśmy robotę: on zbierał okazy sztuki ludowej, ja rysowa-łem i malowałem co się dało.

Tak odrębny krojem strój górali biały i brązowy świetnie się od-cina od tła krajobrazu. Tak! Ale niestety na tem wrażeniu malarskiem większa część letników poprzestaje. A jednak strojowi temu warto się przypatrzeć zbliska, bo wtedy dopiero pozna się olbrzymią różnicę jaka zachodzi między chłopów „dólskich“, a mieszkańców gór fantazją. U nas w dolinach ubiory chłopskie mają pewien utarty szablon we wzorach ozdób. Szablon ten obejmuje całe okręgi, i od niego nie odstępuje. W gó-rach, każda prawie wieś wprowadza pewne odchylenia. Mało tego! Każdy prawie góral ma inny wzór na sobie. Są wprawdzie pewne utarte sche-maty stanowiące o pokrewieństwie sztuki „cyfrowania“, czyli haftu, ale w tę oprawę ruchliwa wyobraźnia wyszywacza (rzadziej hafciarki), wpro-wadza co mu się podoba, a co go ma właśnie różnić od współzawodnika. To też Szczawnica i wsie okoliczne są niewyczerpaną skarbnicą dla haftu polskiego.

Pomimo, że wojna zrobiła niezmierne spustoszenia w sztuce zdobni-czej ludowej i utrudniła możność rozwijania się tej gałęzi sztuki, to jednak i tak napotkałem wiele rzeczy pięknych. Strój górala dzisiejszego, zaczy-nającego się już stroić „popaniato“, zmieniać się począł w moich oczach na bluzki wojskowe. Opiszę go jednak takim, jakim zastałem jeszcze w r. 1919.

Na głowie kapelusik małeńki, czarny o wązkim „skrzelu“, obszytym czerwoną lub fioletową wypustką. Ozdobiony jest „kostkami“, czyli mu-szelkami, sprowadzanemi drzewiej przez samych górali z nad Adrjatyku, obecnie zaś naśladowanemi z porcelany wyrobu czeskiego. Kostki te na-



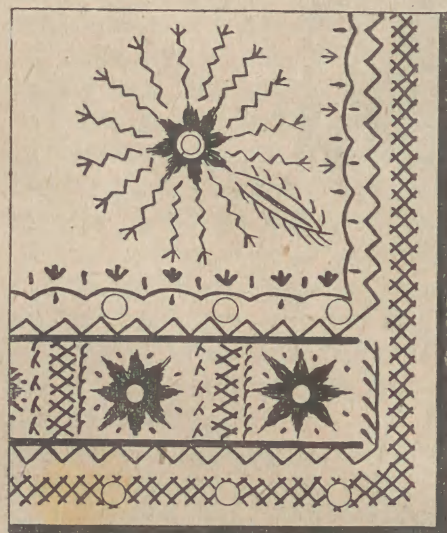
Parobek ze Szcawnicy w stroju z r. 1919 (rys. Kietlicz).

szyte są wpoprzek, rzadko bardzo pionowo, na skrawek ponsowego saffjanu wyciętego u góry w ząbki. Oprócz kostek noszono sto lat temu wstążki czerwone, zielone lub łańcuszki. Łańcuszek taki widziałem u pewnego gazdy. Za przepaskę u kapelusza zakładali do niedawna pióra orle, sokole, cietrzewie, kogucie, a nawet, jak mi mówił przewodnik Madeja, pióra strusie. Na moje zdziwienie objaśnił mnie, że były to pióra kradzione przez służące paniom. Że jednak nie lubię nikogo o kradzież posadzać, wolę przypuszczać, że letniczki same obdarowywały dzielnych młodych górali za jakieś osobiste zasługi.

Z pod kapelusza na bakier i z czoła nasadzonego, spuszcza się długi kosmyk włosów, choć cała czupryna krótko podstrzyżona, co nadaje parobkom wygląd junacko-kokieteryjny.

W zimie „leciwi“ gazdowie nakrywają głowy czapami baraniami, pokrytymi sukniem granatowym, czasem i czerwonym, co oznaczało piastowanie urzędu gminnego. Z przodu czapki jest wążki daszek, na uszy zaś i kark spływa w razie mrozu osłona jak u hełmu. Wierzch czapki wyszyty jest czerwonym sznurkiem.

Dumą każdego strojnisia szczawnickiego jest kamizelka, nałożona na białą, czasem dzierganą koszulę. Używa się na nią sukna cienkiego fabrycznego, koloru turkusowego, szafirowego, granatowego, aż do czarnego. Kamizelka taka ma wążki, stojący



Część dolna wzoru na kamizelce.

kołnierzyk. Cała jest ujęta w wypustkę z czerwonego sukna. Po bokach cztery kieszonki w kształt trójkąta, bogato cyfrowane. Najzawilszy wzór płynie, rozumie się z przodu, od kołnierza w dół, obramienie zaś jego prawie zawsze jednakowe, powtarza się jako wzór nieskończony w otoku u spodu kamizelki. Na karczku gwiazdka ozdobna, w przecięciu kwiat wymyślny, powtórzony „na poperek“, czyli skośnie w rogach — oto niewiele mówiący opis tej części stroju.

„Portki“ białe z sukna grubego samodziałowego, ściągnięte wążkim

paskiem ukrytym w „uobujku“ jakby w pochwie, u przodu mają „załatac“, czyli język szeroki, półokrągły, wyrzucony na wierzch z pod paska. (Już o dwie mile od Szczawnicy na zachód, noszą dwa załatace czworoboczne, wycięte w ząbki i cyfrowane). Paski noszone przez „chodaków“ (chłopców do lat 17), są bardzo długie, a połowa ich gęsto srebrnymi guzikami nabijana i tę właśnie część zwiesza się nieco z przodu lub z boku. (Mody tej trzymano się także w kieleckim lat temu ok. 30, zawieszając jeszcze na cieniuchnym rzemyku kozik). Portki z przodu są zaszyte, rozporek zaś nie spinany mieści się nad prawą pachwiną i zwie się „przypór“, a jest zawsze ozdobiony wzorem zakończonym sercowato. To zdobienie prawej tylko nogawicy jest charakterystycznym dla Szczawnicy. Szwy boczne nogawic są zakryte „oblamkiem“ z sukna lekko pomarańczowego koloru, mijanego z cynobrowym, zawsze w liczbie nieparzystej, ilość zaś skrawków sukna świadczy o zamożności górala.

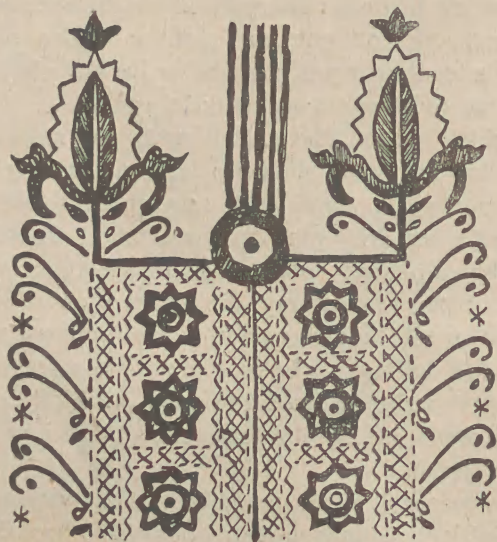
Oblamek ujmuje portki lekkim łukiem nad pośladkami, i jest zawsze widoczny z pod krótkiej kamizelki czy serdaka. Jestto zręczne zakrycie szwu na połączeniu prostokąta, u góry z nogawicami zszytego. Oblamek, który w dalszych wsiach zastępują sznurki plecione wełniane, zeszyte w szeroki lampas, robi się z sukna złożonego podwójnie cienkimi skrawkami, które się potem przecina, przez co tworzy się bardzo powabna falistość linji. Na owym lampasie niżej bioder znajduje się poprzeczna ozdoba t. zw. „uośmina“, niżej zaś kolana z boku, gdzie się zaczyna rozprucie nogawicy, jest wyszyty wzór nazywający się „krokiewką“, która ma u góry „kistkę“, czyli pompon. Po doborze barw kistki rozpoznaje się miejsce pochodzenia górala.

Z pod nogawic rozciętych wyzierają białe „onycki“ mocno owiązane rzemykami, zaciągającymi również kierpce koloru jasnej ochry lub bronzu. Moda rozcinania nogawic istnieje — + pół wieku; dawniej okręcano je ciasno rzemieniami koło łydek, jak to widzimy na obrazach szklanych, przedstawiających zbójników. Obecnie górale robią to jedynie w zimie, gdy jadą po drwa do lasu.

Na kamizelce nosi się serdak chooby i w lecie, na którym można znów podziwiać misterną aplikację z barwnych safjanów połączonych z haftem.

Na tych to haftach do rozpoczy mnie doprowadzał widok szarotki, nie dociągniętej w sposobie ujęcia do reszty pomysłu. To znaczy: cały wzór przedstawia jakiś kwiat nie istniejący w naturze, a fantastycznie stylizowany, aż tu nagle obok pojawia się rażąco biała szarotka, realistycznie „jak żywa“ oddawana. Jestto błąd spotykany zarówno na serdakach nowotarskich, jak i na wyrobach drzewnych zakopiańskich.

Stroju górala szczawnickiego dopełnia krótka „kurtka“ lub „sukmana“ zarzucona zwykle na ramiona. Przed wejściem do kościoła wypada ją włożyć na rękawy. Jest ona najczęściej biała. „Czarna“, w w. XVII nazywana „pstrą“, a będąca właściwie koloru brązowego, jest oznaką większej zamożności i szyku. Starsi gazdowie noszą długie sukmany czarne, przyozdobione czerwonymi płatkami sukna w kształcie jakby mitry wyciętymi, a żółtym sznurkiem obszytymi. Kurtka o niskim stojącym kołnierzu, ujęta jest w obłamek czerwono-żółty, wyjąwszy od dołu. Cyfry na kołnierzu ornamentem falistym się zaczynając przecinają się wzajemnie, i są popstrzone drobnymi „gwiazdkami“, „łapkami“ i t. p.



Część górna „Krokiewki“.

przypomina krój wszystkich sukman polskich, wzorowanych na pańskich zwierzchnich szatach z w. XVI i dalej.

Przepiękne szczegóły stroju góralskiego t. j. spinka noszona na piersiach u koszuli i pas z 3—5 „trzpieniami“ lub „spinami“ wyrabianymi w Ratułowie, już niestety zarzucono. Z pasów misternie wyciskanych zrobiono podczas wojny kierpce...

Bardzo ładną ozdobą rękawa od koszuli, kiedy podczas skwarnych dni nosi się tylko kamizelkę — jest „zapiohstka“, t. j. mankiet sztywny z granatowego sukna, wązki rozszerzający się ku łokciowi, na haftki spinany, a bogato cyfrowany. Unikat taki widziałem u „Poldka z brzyzka“.

i zamieniają się w „łańcusek ruski“, służący za podstawę w bok zwróconym „smreczkom“ vel „rózdzkom“ i „gwiazdkom“. Ozdoba ta w pasie się urywa i zamienia w myrwę. Po lewej stronie wzór jest podobny, lecz znacznie krótszy. Kieszonka jednak tylko po prawej stronie, u dołu cyfrowana. Krój sukmany z płaskim tyłem, z którego wcięcie sztucznie wydobyto przez zrobienie przecięć po bokach i wszycie w nie „skrzydeł“, czyli klinów podwójnych; z bardzo szerokimi rękawami u ramion, zwiężającymi się poniżej —

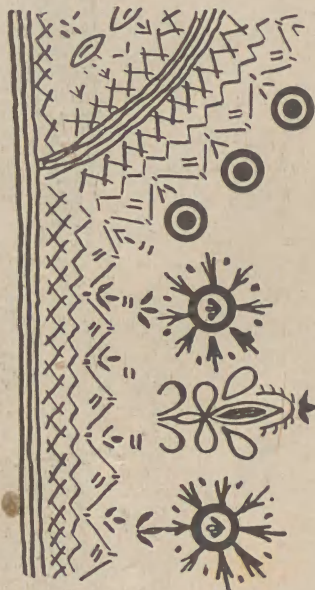
Jest określenie dosadne, czysto między góralami używane, a równoznaczne z tem: Chłop do tańca i różańca — to „Morowy chłop“. Da się ono zastosować do wszystkich prawie parobków szczawnickich. Chłop w chłopa rosły albo rozwinięty, dorodny; rusza się lekko i zgrabnie; jest układny i miły w rozmowie. Jednym słowem: morowe i kochane chłopcy som!

* * *

Przejsię muszę do stroju kobiecego, i tu ręce mi opadają. Byłby nie brzydki, gdyby nie był po kuligowemu zmanjerowany, nieszczerzy. Dziewki jak łanie, piękne i pysznie zbudowane, noszą na głowie jaskrawe chustki, z pod których wyglądają warkocze z wplecionymi wstążkami. Biała koszulą marszczona z szeroką krezą z pod której zwisa kilka sznurków paciorków kolorowych. Na to gorset banalnie, bo w kwiaty... secesyjne, albo zupełnie naturalistycznie oddane, haftowany. Tę secesję wiedeńską wprowadził tu lat temu kilkanaście b. absolwent Szkoły Przemysłu drzewn. w Zakopanem, Jan Malinowski. Przesiąknięty tą beznadziejnie wówczas panującą modą, dał wzór taki na haft u gorsetu swojej krewniacze. I tak — nowa moda się przyjęła, wypychając dawny zwyczaj odrębnego stylizowania kwiatów nicią srebrną czy złotą z płatkami wypełnionymi „przepiótkami“ (pajetkami).

Z pod gorsetu zwykle welwetowego, wypływa spódnica w jaskrawe kwiaty na wzór krakowskich, i fartuch w olbrzymie esyflorezy z tiulu używanego na ...firanki. Noga obuta w trzewik, a czasem w pantofelek o francuskim obcasie. Dodajmy do tego barwiczki i puder często używany, a będziemy mieli... „Wesele w Ojcowie“.

Na wiosnę na niepiękne gorsety nakładają dziewczyny arcybrzydkie kaftaniki kretonowe, takie jak noszą w Zagłębiu Dąbrowskiem. Starsze kobiety ubierają się podczas zimy w małe chustki noszone na głowie, których końce otulają w ciemne i grube pledy łódzkie, dzięki czemu wyglądają jak foki, Jeden tylko widziałem długi, piękny, biały kożuch



Część haftu z boku kurtki.

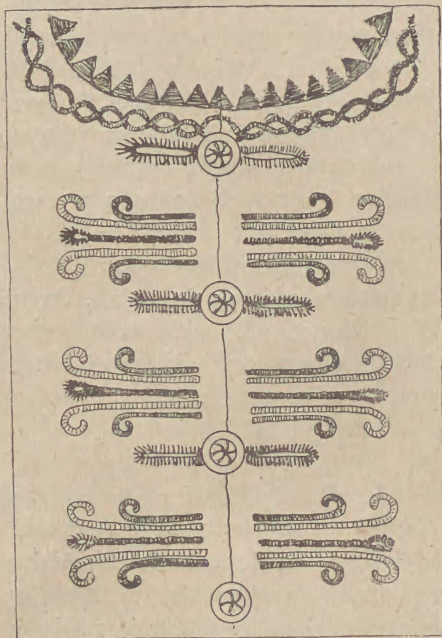


Mężatka ze Szczawnicy w stroju z końca XIX w. (rys. Kietlicz).

na jakiejś staruszce. Był to smutny zabytek przeszłości ze znakami jaśniejszemi w miejscach, w których przed laty były aplikacje przyczepione. Wobec tego, rad nierad, muszę przestąpić o miedzę do wsi ruskiej Szlachtowej, gdzie „Rusnocki“ starodawną modę, podobną zupełnie do szczawnickiej, zachowały.

Ujęcie gładko uczesanej głowy w barwny czepiec obcisły kretonowy, z zębem wyciętym na czole, uwydatnia kształt czaszki. Opowiadał mi wspomniany już tu Madeja, że mężatki w Szczawnicy zalotne, pragnąc się gościom przypodobać, zdejmowały te czepce, by udawać panny. Było to jednak uważane za hańbę w całej wsi.

Prawdziwym cackiem jest kurtka używana przez Szlachto-
wianki. Krój jej jest taki sam, jak męskiej, z opuszczeniem atoli skrzydeł. Oblamek bardzo wykwin-
tynny z zębów pokrywających się łuskowato, naprzemian koloru słomkowego i cynobru. Na kołnierzu dwa czerwone sznurki płynące falisto przecinając się tworzą wzór nieskończony, elipsowaty; w spojeniach elips „łapki“ trójpalc-
zaste, środkowy ich palec zielony, boczne białe; szew kołnierza przy-
kryty jest sznurkiem czerwono-
żółtym znów w nieparzystej trójcy, a pod nim romby z nici czerwonych z białymi kreskami pośrodku. Obok oblamka na piersiach, ząbki z czerwonego sukna tworzą tło dla



Przód gorsetu staromodnego. Po każdej stronie jest 5 „smreków“ (wykonanie grube, niestaranne).

„łańcuska ruskiego“ koloru słomkowego i turkusowego. Z połączenia tego powstają znów romby, a w nich „kryski“ turkusowe. Z tych ząbków bocznych wypływa jedyny smrecek, tworzący rodzaj patki po bokach. Ozdoba ta duża, składa się z trójkąta u góry i zębów z końcami w dół spuszczoneymi, po dwa z każdej strony. Aplikacja ta nadzwyczaj dekoracyjnie obmyślana, gra przepyszny kolorem czerwonym na ciemnoniebrzymym tle guńki. Jaskrawości dodaje sznureczek słomkowy przyszyty

po wierzchu nitką czarną. Z prawego boku przyczepiona jest kieszonka bogato cyfrowana.

Spódnica fałdzista z samodziiałowego płótna, farbowana w sposób przypominający batik. Postępowano się mianowicie tak: Wzór wycięty lub oznaczony sztyfcikami mosiężnymi na klocku (sztancy) macza się w krochmalu rozwodnionym i odciska na rozciągniętym w krosnach płótnie. Kiedy krochmal zaschnie, macza się całą sztukę w rozpuszczonym indygu. O ile się chce mieć dwa tony niebieskie, to znów wzór jakiś się w pustych miejscach klockiem odbija, poczem powtórnie macza się w indygu. Po wyschnięciu zupełnym wykrusza się krochmal i otrzymuje się wzór biały i jasnoniebieski na tle ciemnoniebieskim. Do niedawna trudnił się tym przemysłem żyd jakiś w N. Targu. Żadna z szanujących się kobiet nie byłaby dawniej włożyła spodnicy o barwach jaskrawych¹⁾.

Spódnicę otacza ogromny fartuch czarny drelichowy, złożony z dwóch części połączonych ze sobą myrwą z czerwonych nici. Dziewczęta noszą barwne fartuchy.

W zimie kobiety ubierają się w przesliczne na biało wyprawione kozuchy, sięgające do kolan. Ozdobione one są bardzo bogatą aplikacją ze stylizowanych, z czerwonego safjanu wyciętych róż, przyszytych wąziutkim skrawkiem zielonym. Noga obuta w kierpiec z białą onycką okręconą ciemną kitajką.

* * *

Kiedy się mówi o sztuce góralskiej szczawnickiej, nie można przemilczeć o innych „próżniokach“, t. j. o cyfrowaniu ram słomą ciętą.

Ramy takie robione sześćdziesiąt lat temu, widziałem po raz pierwszy u pewnej starej gaździny. A że oprawione w nie były obrazy na szkłe malowane, zapragnąłem je posiąść. Odstąpić mi ich jednak góralka nie chciała, odnosząc się do nich jak do relikwii. Pozwoliła mi z nich zrobić kopje, z czego skwapliwie skorzystałem. Podobne ramy napotkałem jeszcze w jakiejś opustoszałej „budzie“ (chacie), której właściciel był w Ameryce. Wprowadził mnie do niej sąsiad jego, opiekujący się domem. Kiedy zostałem sam wśród zwisających z pułapu desek, w tej brudnej i za-tęchłej izbie o zabitych oknach ścisnęło mnie coś za gardło i żywo stały mi w pamięci słowa Gustawa: „Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki“... Jedynie obrazy na ścianie wiszące, pajęczyną obrosłe,

¹⁾ Szczegóły te zawdzięczam artyście-malarzowi, p. Brzozowskiemu z Zakopanego.

zdawały się być niemymi świadkami przysięgi w daleki świat idącego górala — przysięgi twardej, zawartej w jednym słowie: Wróć!¹⁾

Chłop polski wysnuwający z duszy swojej baśnie i widy, czego inni uczą się w akademjach i in. uczelniach; chłop niesłychanie zdolny, emigrować musiał dla kawałka chleba za morza, bo nikt o jego sztuce tu na miejscu nie wiedział.

Słowa listu b. ministra, p. Przesmyckiego, skierowane do mnie dn. 4/XI 1919 r. brzmiały:

„W odpowiedzi na memorjał Pański z dn. 20/X 1919, Ministerstwo Sztuki i K. zaznacza, że znane mu są bogactwa sztuki ludowej w okolicach Szczawnicy“. Słowa te już wówczas wydały mi się napuszonym i pustym frazesem, tém więcej zaś teraz kiedy po pełnych trzech latach, wspomniane Ministerstwo ani nie dopomogło do powstania projektowanych przezemnie warsztatów szkolnych ludowych, ani nie wogóle dla uratowania sztuki szczawnickiej nie zrobiło. A, przepraszam! Przesłało mi dn. 28/X 1919 r. — 499¹/₂ M. p. (wyraźnie czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć i pół M. p.) „na rysunki wzorów ludowych, względnie drobne zabytki sztuki ludowej z okolic Szczawnicy“. Za to subsydjum (!!) kupiłem i przesłałem ostatni we wsi pas prześliczny. Od siebie zaś przesłałem 34 akwarele przedstawiające kopje ze starych obrazów szklanych i in. przedmiotów, za co zostałem zaszczycony wystylizowanym już przez następnego b. ministra, p. Heuricha podziękowaniem od Ministerstwa. Dokument ten oprawiłem w złocone ramki, a nad nim napisałem: Memento mori! Czyli innemi słowy: Prędej bracie umrzesz, nim władze polskie dobre twoje chęci poprą!... Kiedym otrzymał owo subsydjum, zdawało mi się, że jestem ojcem Baudouin'em, i do pustych czterech ścian mego pokoju rzekłem: „To dla mnie panie — a cóż dla szczawniczian?!“

Wracam do moich „romików“. W określeniu „próżnioki“, którem to mianem górale przezywają każdą robotę delikatną, zdobniczą — tkwi całe smutne nieporozumienie. Wizje twórcze nie mogą się z całą bujnością rozwinąć tam, gdzie twórca musi się „hańbić“ to znaczy wstydzić, że zamiast młócić cepami, zabawia się igłą lub słomką, w misterne, kawałeczki wycinaną.

Te i t. p. myśli podnieciły moją energję i postanowiłem to przynajmniej co najtańsze, wskrzesić. Ba — ale jak? Kiedy tu ram takich

¹⁾ Opisuję tu naturalnie wrażenia, jakich doznałem w r. 1819. Dziś ci, nad którymi się wówczas roztkliwiałem, są dzięki spadkowi marki, milionerami. Oniby to raczej nad nami artystami mogli lęz uronić...

od przeszło pół wieku nie wyrabiają. Zwierzyłem się z moich pragnień młodemu gaździe, zdolnemu wyszywaczowi, Jaškowi Czai. Ten mi na to: „Mój tata toby taki rom zrobili“. Niczego więcej mi nie było trzeba. Ramy natychmiast kazałem zrobić i oddałem je ojcu Jaška. Po pewnym czasie otrzymałem oryginalne dzieło górala szczawnickiego. O ile byłem rad z tego, o tyle znów się zasmuciłem oświadczeniem autora, że to ostatnia jego w tym kierunku praca, bo ma już palce zbyt zgrabiące do tak delikatnej roboty. Odebrałem więc tę jedyną pamiątkę, straciwszy nadzieję. Aliści kiedyś gdy odwiedził moich przyjaciół, zastałem pochylonego nad drugą ramą Jaška. Zajrzałem mu przez ramię i zobaczyłem prawdziwe cacko w porównaniu do starodawnych wyrobów. Przyglądałem się jego pracy długo i podziwiałem tego samouka, jak zręcznie przyklejał kawałeczki słomy na czarnym tle ramy, wysnuwając z fantazji wzór bez uprzedniego rysunku. Na górnej więc listwie ukazał mi się ołtarzyk z monstrancją prymitywnie pojęty i płonące świece. Boki i spód wypełniał wzór nieskończony. Użyta słoma pszenna i żytnia, to znów na bronz farbowana, przez lśnienie swoje robiła wrażenie bogatej inkrustacji metalowej.

Tak więc miałem majstra w ręku — jakże go było opuścić?! Ambicją moją teraz stało się, żeby się jak najwięcej ludzi o tych pracach Cijajowych dowiedziało. Porozpisywałem listy na wszystkie strony, przesyłałem próbkę, dzięki czemu dostaliśmy zamówienie od Polsk. Przemysłu Artystyczn. w Warszawie na guńkę haftowaną, „kapce“ cz. pantofle i kilkadziesiąt przedmiotów galanteryjnych zdobionych słomą. Początek był zrobiony. W lecie r. b. kiedy się dowiedziałem w Zakopanem o ogłoszeniu konkursu przez Tow. Sztuki Podhalańskiej na przedmioty z drzewa zdobione, nie pytając się Czai stanąłem z jego ramami do konkursu. Rezultat: autor wziął pierwszą nagrodę. Obecnie muzea nasze posiadają jego prace, ostatnio zaś wzbudzały podziw na Targach Wschodnich we Lwowie.

Historja zdobnictwa tego jest następująca: Niejaki Zachwieja Kulawy Kołek chadzał „za bucki“ czyli „na zbój“. Ówczesne władze austriackie pochwyliły go i osadziły w Lewoczy, w więzieniu. Tam to nauczył się wykładać drzewo słomą. Powróciwszy do Szczawnicy, uprawiał sztukę swą dalej. Przypatrywali się często jego pracy dwaj Czajowie, którzy wówczas juhasowali; kiedy się dobrze nauczyli, sprzedawali swoje wyroby „na węgierskiej stronie“. Pół wieku minęło — a sztuka tak piękna znikła.

*

*

*

W niektórych szczegółach tak kroju jak i sztuki ludowej, widzi się pozostałości i odbicie dawnego stroju rycersko-pańskiego. I tak strój głowy dawnej szczawniczanki przypomina zupełnie owe czepce męskie, jakie widzimy na obrazach Matejki („Zygmunt Stary słuchający „Zygmuta“, „Hołd“). Wyrzucanie koszuli na spodnie dawniej powszechne u chłopów, a spotykane jeszcze i obecnie w niektórych zakątkach kraju jest według mnie wspomnieniem koszulki drucianej wyglądającej z pod pancerza. „Załatac“, ów język u portek góralskich, uważam za reminiscencję ochraniacza używanego w kroku tak w stroju, jak i przy zbroi średniowiecznej. Ciupaga, nazywana dawniej „cekanką“ w Szczawnicy, wskazuje wyraźnie na pochodzenie od dawniejszego czekanu, tej strasznej rycerskiej broni, która przyszła do nas ze Wschodu.

Jeżeli teraz spojrzymy na wzorzyste aplikacje u serdaków, na malowane kwiaty na skrzyniach i te cudnie nieraz skomponowane kwiaty na obrazach szklanych — to czyż one nam nie przypomną ozdób wykonanych w żelazie i in. metalach na dawnych sepetach i skrzyniach szlacheckich? Ciętą słomą zastępuje się w tani sposób bogatą inkrustację, a farbą i pędzlem tkane na pasach słuckich ozdoby. Wiadomo, że za tło dla figur na świętych obrazach służyło często w średniowieczu złoto wyciskane we wzory lub kwiaty symetrycznie się powtarzające. O ile przyjmujemy, że dla artykułów ludowych, obrazy spotykane po kościołach były punktem wyjścia dla ich kompozycji malarskich, to śmiało można twierdzić, że wzory na tłach złożonych, natchnęły ich do zapełniania tła obrazu malowanego na szkle wymyślnymi kwiatami, którymi zapełniali puste przestrzenie malowidła, a zamiłowanie do jaskrawości nie pozwoliło im na traktowanie monotonne tła. Jeszcze zaś prawdopodobniejszym jest, że ujęcie figur w otoku kwiatów było naśladownictwem malowideł widzianych na szklanicach malowanych staropolskich (t. zw. vitrum gloriosum).

Przytoczone tu przykłady świadczą o łatwym przyswajaniu sobie przez artystów ludowych pewnych szczegółów zaobserwowanych u sfer wyższych w czasach średniowiecznych aż do końca XVIII w., t. j. w czasach kiedy w Polsce ścierały się rozmaite obce wpływy. Ważną jednak rzeczą jest to, że posiadamy niezbite dowody łączności tradycyjnej sztuki ludowej ze sztuką starosłowiańską. Dość porównać np. wzory używane na urnach czy brakteatach, z wzorami spotykanymi na sosrębach cyfrowanych, haftach, a szczególnie na pisankach. Tu tkwi powód zwrócenia się artystów ku sztuce ludowej z takim zapalem, przez co czerpią natchnienie do stworzenia sztuki polskiej. Tylko bowiem genjusz artysty nowoczesnego może myśleć o wskrzeszeniu sztuki narodowej wtedy, gdy

pozna jądro dawnej sztuki, tak cudownie chroniącej się w okazach sztuki ludowej.

Spółceństwo powinno to zrozumieć, i całą siłą dopomóc w tych dobrych zamierzeniach artystów. Pismo bowiem zastępcy ministra p. Jana Skotnickiego, w którym mi donosi dn. 10/XI 1920, że: ... „zainteresowanie się p. ministra losami tak bogatego kąta kraju jakim jest Szczawnica, każe przypuszczać, że znajdzie w nim gorącego orędownika u Rządu Polskiego“ — znów okazało się czczą obietnicą, bo ani żaden z pp. ministrów ani Rząd, nic w tym kierunku nie zrobili.

Kobiety polskie, które tyle dobrego robią, powinny założyć jak najprędzej „Towarzystwo ochrony haftu ludowego“ tak, jak to uczyniły panie kroackie. Każda z członkiń byłaby obowiązana przenosić zupełnie wiernie wzory ludowe bądź to w albumach je gromadząc, bądź też stosując je do przedmiotów użytkowych.

Niema prawie u nas kobiety, któraby nie rysowała czy też haftowała. Ostatnie jednak czynią to zwykle podług wzorów niemieckich niestety! Kopjowanie haftu polskiego w pewien system ujęte, da im podstawę do twórczej samodzielności. Nie rozumiem dlaczego łowiczanka nie uczona tnie cudne symfonje z kwiatów wymyślonych; dlaczego dziewczyna z lubelskiego czy innego zakątka, nie znająca słowa „batik“, batikuje przepiękne pisanki; dlaczego wyszywacze góralscy będący tylko przeciw samoukami, haftują misternie ubiory swoje — natomiast panna z towarzystwa biorąca przez lata całe lekcje muzyki i malarstwa, niepomyśli ani o zapisaniu melodji ludowej, ani o zanotowaniu wzoru spotkanego na wsi.

Cała sztuka zdobnicza staropolska tak bogata, że jej opisy wydają się wprost fantastycznym kłamstwem, powinna obecnie na podłożu dokumentów tkwiących po muzeach naszych i chatach odżyć w całej pełni pod palcami artysty i kobiety zręcznej.

Struża XI. 1922.

Konstanty Kietlicz-Rayski.

Z krainy regli.

Szata roślinna, okrywająca powierzchnię ziemi, jest wyrazem całego szeregu czynników i wpływów zewnętrznych, które, zależnie od środowiska, w jakim działają, dzielimy na dwie grupy, mianowicie glebę i klimat.

Obie grupy razem wzięte, stanowią pojęcie siedliska; ono to kształtuje typ i formację całych zbiorowisk, i wyciska swe piętno na postaci pojedynczego osobnika.

Związek między roślinnością a siedliskiem występuje wszędzie na każdym miejscu, a zwłaszcza tam, gdzie roślinność zachowała jeszcze pierwotny swój charakter; na podstawie tej zależności nakreśliła przyroda obraz rozsiedlenia roślin na całej kuli ziemskiej, od równika aż po bieguny, układając całe rodziny i pojedyncze gatunki w bogate, różnobarwne kobierce stref roślinnych.

W skróceniu niejako występuje zależność ta w każdym wyższym paśmie górskim, gdzie czynniki klimatu zmieniają się w kierunku pionowym nader szybko; w miarę wznoszenia się ku górze spada ciepłota, wzrasta natomiast natężenie światła słonecznego, zwiększają się opady, wzrasta siła wiatru, okres wegetacyjny ulega skróceniu, a natomiast przedłuża się okres śnieżnej zimy.

Wedle zmian tych układają się i kształtują rozmaite typy zbiorowisk roślinności górskiej.

Wśród nich najwybitniejszą rolę odgrywają lasy, one przeważają w górach nad innymi zrzeszeniami roślinnymi i są do pewnej wysokości niepodzielnymi władcami zboczy i dolin.

Góry bowiem i las, to dwa ściśle ze sobą związane pojęcia. Niema może w przyrodzie wybitniejszego przykładu ściślej zależności między formacją roślinną, a budową terenu. Klasycznym tego przykładem są pasma górskie północnej Ameryki, ciągnące się w kierunku południkowym równoległe do wybrzeży Oceanu Spokojnego. Każde z tych pasm, zarówno najbliższe oceanu położone Góry Nadbrzeżne, jak i najdalej od niego odsunięte Góry Skaliste, jakoteż między nimi leżące łańcuchy gór Wodospadowych i Niebieskich, posiadają na swych zboczach, zwłaszcza zachodnich, zwarte i rozległe lasy; na nizinach między pasmami temi zalegają bezdrzewne prerje.

Taki rozdział roślinności wywołany jest zwiększoną w górach ilością opadów; strefy między pasmami położone mają deszczu za mało i wilgotność powietrza jest tam zbyt niska dla życia i rozwoju lasów, dlatego też występuje tam step bezdrzewny.

Ale i w obrębie strefy lesistej występują nagłe, a niekiedy gwałtowne zmiany klimatu, które na postaci lasu wyciskają niezatarte piętno. Jestto bowiem zbiorowisko czułe i wrażliwe na wszelkie dodatnie i ujemne wpływy siedliska. Las jasno nam zawsze mówi o jakości i pochodzeniu

warstwy rodzajnej i podłoża, a nadto opowiada nam o upałach skwar nego lata, o mrozach zimowych, o posusze, o deszczach, które go zraszały, o wichrach halnych, które targaly jego koronami, o śnieżnych zaspach i okiściach.



1. — Las mieszany bukowo-świerkowy w reglu dolnym. Strażyska, zbocze Łysanek. — (Fot. K. Stecki).

już tylko świerk, modrzew, limba, brzoza i jarzab i te gatunki, najwy trwalsze z naszych drzew, dochodzą do górnej granicy lasu, tworząc regiel górny i lasy krańcowe. Górna granica lasu leży u nas w przecięciu na wysokości ok. 1400 m. n. p. m. Jest ona jednak bardzo zmienna,

Wszystkie zmiany klimatu i gleby, wszelkie przeciwności surowej przyrody górskiej zaznaczają się w dwóch głównie kierunkach, mianowicie: w składzie drzewostanu i w postaci drzew.

Postępując w górach naszych od dolin ku szczytom, pozostawiamy za sobą gatunki, wymagające dłuższego lata, lub wrażliwe na okiść i wiatry; dąb i sosna, jako gatunki tworzące drzewostany, dochodzą u nas do wysokości ok. 600 m. n. p. m. powyże spotykamy już tylko pojedyncze oazy tych gatunków, jak n. p. sosnę w kilku wyspach tatrzańskich. Jodła, jawor i buk dochodzą do wysokości ok. 1100 m. i na tym poziomie kończy się t. zw. regiel dolny. Wyżej pozostają

spychają ją bowiem w dół nie tylko gwałtowne wichry halne i grube pokłady śniegu, leżące do lata, ale obniża ją i człowiek, przez pasanie bydła lub wycinanie całych połąci lasu.

Skład lasu górskiego zmienia się, postępując od dołu ku górze. W reglu dolnym mamy urozmaicony las mieszany (ryc. 1), gdzie żywa, jasna zieleń buków odbija od ciemnego tła koron jodłowych i świerkowych, gdzie jawor i wiąz górski żywą wspólnie z tamtymi, głównymi gatunkami.

Na wysokości jednak ok. 1000 m. obraz zaczyna się zmieniać, skład lasu staje się coraz bardziej jednostajny; jodły, buki, jawory i wiązy bywają coraz rzadsze, a wyłączne panowanie przypada w udziale świerkowi. Im wyżej się wznosimy, tem więcej monotonnym jest las górski, aż wreszcie przechodzi w czystą, jednolitą świerczynę, która sięga już do górnej granicy lasu.

Gdzie jednak wzniesienie pasma nie przekracza wysokości zasięgu jodły i buka, tam stosunki układają się odmiennie; dolny pas lasu stanowi przeważnie jodła, nieco wyżej przyłącza się do niej buk, który w wyższych położeniach zaczyna się pojawiać coraz obficie, aż w końcu grzbiety gór wieńczy czysty las bukowy.

Taki obraz przedstawiały lasy karpackie w zachodniej połowie pasma, mniej więcej do połowy XIX stulecia. W tym czasie jednak wzrastający popyt za drewnem i rosnąca cena wywołały gwałtownie wzmagającą się eksploatację tych lasów. Znikać zaczął pierwotny, panujący typ pięknego lasu mieszanego, który przyroda przez długie stulecia hodowała i do warunków miejscowych dostosowała. Ponieważ wycinano w pień całe rozległe zbocza górskie, więc należało je koniecznie odnowić, bo tego wymagała ustawa lasowa. Niepodobna jednak było na miejscu wyciętego lasu jodłowego i bukowego wprowadzić po zupełnym wyрубie napowrót tych samych gatunków; albowiem zarówno buk jak i jodła odnawiają się skutecznie tylko pod osłoną drzew macierzystych, a jako gatunki wrażliwe na zmiany ciepłoty i silne działanie słońca, wymagają w młodości ochrony. Pozostał więc jeden tylko gatunek, który nadając się dobrze do odnowienia ręcznego, dawał w tych warunkach nie tylko najlepszą stosunkowo rękojmię powodzenia uprawy, ale zapewniał pozornie przynajmniej, dzięki obfitemu przyrostowi i wysokiej cenie drewna, duże dochody w przyszłości.

Zasiano więc, lub zasadzono świerkiem tysiące hektarów zboczy karpackich, tworząc monotonne dragawiny świerkowe, w których tu

i ówdzie wegetowała zaledwie, sponiewierana, skarłowaciała, ogryziona przez sarny, dawna władczyńi karpackich regli — jodła.

Zdawało się początkowo, że tak usilnie przez człowieka protegowany przybysz spełni pokładane w nim nadzieje. Młodniki świerkowe rosły w pierwszej swej młodości wysmienicie, dobre zwarcie i bujne pędy

cieszyły oko właściciela lasu i leśnika i uprawniały do marzeń o dużych dochodach i wysokich tantjemach.

Niestety, krótkim był okres miłych lecz złudnych nadziei, albowiem gdy świerczyny dorosły do roku 30 lub 40, coś się w nich psuć zaczęło. Ustał prawie nagle bujny przyrost pędów, okiść jesienna wyłamywała świerki lub całe ich grupy, wiatry waliły z korzeniem duże ich połacie, w końcu zjawiał się główny wróg boru świerkowego, kornik i dokończył dzieła zniszczenia. Dziś przedstawiają bujne niegdyś dragawiny świerkowe przykry i bolesny obraz ruiny i są zarazem odstrasającym przykładem, jakie następstwa



2. — Ściana lasu świerkowego w dolnym reglu.

pociąga za sobą bezmyślna zmiana typu lasu, dobranego do siedliska przez przyrodę i ustalonego w ciągu długich stuleci.

Inaczej całkiem zachowuje się świerk w pasmach o charakterze alpejskim, przekraczających górną linię zasięgu lasów, jak np. w Tatrach i we wschodniej części łańcucha karpackiego. Już w niższych położeniach stanowi on tutaj wspólnie z jodłą lub bukiem główny element drzewo-

stanów; w miarę wznoszenia się terenu zaczyna odgrywać rolę przeważającą, aż wreszcie ponad linią zasięgu jodły i buka tworzy czyste, zwarte drzewostany, dochodzące aż do górnej granicy lasu.

W ten sposób zajmuje świerk w wysokich trzonach górskich pas, od 600 lub 700 m. do 1500 m. a więc o różnicy wzniesienia 800—900 m, Między niższymi, a najwyższymi strefami tego zasięgu występują doniosłe różnice klimatyczne, zarówno pod względem ciepłoty, jak siły wiatru łości opadów, długości okresu wegetacyjnego.

Mimo tych jaskrawych różnic klimatu świerk żyć potrafi zarówno w niższych, jak i w najwyższych pasach swego zasięgu, ale różnice te odbijają się z niezmierną wyrazistością na wyglądzie i postaci drzewa.

W dolnym reglu wytwarza świerk w doskonałym zwarciu strzały do 50 m. wysokie, o nierównanej gonności i gładkości (ryc. 2), jednostajny i umiarkowany przyrost średnicy daje drewno najprzedniejszej jakości, które nadaje się do najszlachetniejszego użytku, na jaki drewno służyć może, t. j. do wyrobu rezonansów.

W górnym reglu zmniejsza się już postać świerka, zmniejsza się jego wy-

kość, strzała tracić zaczyna nieporównaną gonność i pełność, właściwą niższym położeniom, zwarcie jednak zachowuje on dalej. Dopiero blisko górnej granicy swego zasięgu rozluźnia się zwarcie koron jednolitego boru świerkowego, powstają w nim przerwy, gdzie wkracza z wyższych stref kosówka, która wspólnie z jarzębem tworzy osłonę gleby. Im wyżej się posuwamy, tem silniejsze jest rozluźnienie zwarcia, kępy świerków



3. — Świerki w górnym reglu, blisko granicy lasu.

rozbijają się na pojedyncze osobniki, a równocześnie i postać świerka ulega w górnej swej granicy wybitnym zmianom. Gonnie, wyniosłe drzewo, o regularnej, wysoko osadzonej koronie, zamienia się tutaj na krótkie, mocno zbieżyste, często pochylone drzewko, z postrzępionymi, wichrem potarganymi gałązkami, o przysadkowatej, silnie zbieżystej i nierównej strzale (ryc. 3). Na grzbietach działanie wiatrów przeważających, bądź zachodnich, bądź halnych jest szczególnie silne i trwałe, tam od strony wiatru zanikają pędy zupełnie i powstaje korona jednostronna, o kształ-



4. — Świerki na górnej granicy lasu, rozwinięte jednostronnie skutkiem działania silnych wiatrów. (Z okolicy Kopy Królowej).

cie chorągiewki (ryc. 4); w końcu świerk przybiera postać krzewiastą i szczytem swym nie przerasta otaczającej go kosodrzewiny.

Począwszy od wysokości 1000 m. a więc tam gdzie znikają buk i jodła, pojawia się limba i towarzyszy odtąd świerkowi aż do górnej granicy lasu, dzieląc z nim złą i dobrą dolę i walcząc przy jego boku z surową górską przyrodą (ryc. 5).

Limba to arystokratka lasów alpejskich, wybiera sobie zwykle lepsze, dogodniejsze stanowiska i tam rozwija swe gęste, cieniste korony. Dziś limba należy u nas do rzadszych drzew, zachowały się jeszcze resztki jej w Garganach, a w Tatrach polskich nieliczne tylko spotykamy okazy. W dawnych latach, nim człowiek wtargnął w niedostępne górskie knieje, była limba niewątpliwie o wiele częstszym zjawiskiem w reglu górnym, czego dowodem są grube pniaki limbowe, które nawet w górnej granicy lasu wśród zarośli kosówki spotkać można. Ale niezrównane w swej trwałości i pięknej barwie drewno, stało się klęską tego szlachetnego gatunku. W podkarpackich i podhalańskich chatach pełno skrzyń i sprzętów limbowych, przeważną jednak część wykupili zapewne ci, którzy kupują i sprzedają wszystko i za wszystko biorą lub pfacą gotówkę.

Ochrona resztek limby, gdziekolwiek ona jeszcze w Karpatach lub Tatrach żyje, musi być jednym z najważniejszych zadań ochrony naszej przyrody.

Skape również i nieliczne są w górach naszych stanowiska modrzewia. Góry Świętokrzyskie posiadają najobfitsze może w Polsce drzewostany modrzewiowe, w których cenny ten gatunek występuje w swoistej odmianie, określonej przez botaników jako „*modrzew polski*“.



5. — Limba (w okolicy Morskiego Oka).

W Karpatach zachodnich spotykamy rodzimego modrzewia w lasach nowosądeckich i nawojowskich.

Jeszcze rzadszem zjawiskiem lasów górskich jest cis, którego skąpe szczytki w pojedynczych okazach, lub grupach spotkać można na Podkarpaciu. Największem u nas, a może i w Europie zbiorowiskiem cisów, jest „Las cisowy“ w Książdworze ok. Kołomyi, gdzie na przestrzeni 35 ha rośnie kilka tysięcy okazów w cieniu lasu jodłowo-bukowego. W Tatrach ostatni może cis padł niedawno ofiarą chciwości czy zaboronu. Ginący ten gatunek dzieli losy limby, podobnie jak ona, musiał być dawniej gatunkiem pospolitym, czego dowodem liczne nazwy wsi i ostępów, pochodzące od cisa; wyborne, twarde i piękne drewno stało się dla niego przyczyną zagłady.

Z pomiędzy gatunków, które wchodzą w skład lasu górskiego, wspomnieć należy jawora, który dał nazwę tyłu wsiom, szczytom i polanom. Jaworzynę, Jawornik, Jawornicę i t. d. spotykamy niemal co krok w całym paśmie karpackiem i w trzonie tatrzańskim.

Do górnej granicy lasu dociera wreszcie jarząb, zwany w Tatrach skorusą.

Powyżej ostatnich świerków kończy się kraina regli, przed nami rozciąga się gęstwa kosodrzewiny, okrywająca zbocza splotem swych drzewiastych łodyg do wysokości ok. 2100 m. n. p. m. W Karpatach wschodnich wspólnie z kosodrzewiną żyje olsza górską, której niemasz w Tatrach. Jakkolwiek oba te gatunki są krzewami, ścielącemi się po powierzchni gleby górskiej, to jednak znaczenie ich w ekonomii przyrody jest powyżej regli takie samo, jakie ma las w reglu dolnym i górnym.

Jak widać z zestawienia gatunków drzew, żyjących u nas w krainie regli, flora naszych lasów górskich nie jest wcale bogata, nie obfituje w gatunki, dlatego i las nasz górski nie odznacza się bynajmniej rozmaitością barw ani kształtów. Ale o braku tym zapomnieć można, jeżeli patrzemy na majestat i potęgę, jaką w ciągu długich stuleci osiągnęła puszcza karpacka. Nigdzie nie dorastają ani świerki ani jodły do takich olbrzymich rozmiarów; drzewa o dwumetrowej średnicy i 50-cio metrowej wysokości i dziś jeszcze spotkać można w lasach żywieckich lub nawojowskich. W puszczech tych krył się do niedawna ryś doszczętnie niemal wytępiony, a pod olbrzymiami wykrotami zapadał w gawrze niedźwiedź na sen zimowy.

Dziś na miejscu górskiej puszczy rozciągają się w Karpatach nieużytki, porośłe jałowcem, karłowatemi i ogryzionemi przez bydło bukami, pustkowia, zwane pastwiskami gminnymi, kędy błąka się w melancholii

lijnej zadumie stado chudych krów i gdzie dowcipne a sprytnie kozy tępią wytrwale szczątki dawnego lasu.

W najlepszym razie rozciągają się na zboczach żerdziawiny świerkowe, noszące na sobie wyraźne piętno rychłej śmierci.

Piękny las górski należy do minionej przeszłości, a stało się to w imię postępu, cywilizacji, podniesienia dobrobytu, poprawy waluty, odbudowy kraju i w imię innych jeszcze haseł, dających się w wielu wypadkach sprowadzić do jednego, które może nie brzmi tak wzniośle, ale zato jest o wiele więcej przekonujące, a jest nim ...napelnienie kieszeni.

Człowiek jest niewątpliwie największym wrogiem lasu, a działalność jego w skutkach swych przewyższyc może wszelkie klęski elementarne. Wycinając las od razu na wielkich obszarach, niszczy zbiorowisko roślinne, wyhodowane i wypielęgnowane przez przyrodę, niszczy wynik doboru i dostosowania do warunków klimatu, ustalony w ciągu długich stuleci.

Klęska, jaką człowiek wywołuje wycięciem lasu jest tem groźniejsza i następstwa tem dłużej trwające, im większą jest przestrzeń ogołacana z lasu, im cięższe warunki przyrodzone, im uboższą gleba, im surowszy klimat.

Dlatego i w górach, gdzie panują nieprzyjemne warunki klimatyczne i pływka, uboga gleba, zniszczony las trudniej się odnawia i dłuższego



6. — Zbocze górskie, zamienione w nieużytek skutkiem ogołocenia z lasu. (Jaworzynka).

trzeba czasu, aby na pustym miejscu powstało znów nowe zbiorowisko drzew tego samego typu, jaki panował poprzednio (ryc. 6).

Nieprzyjazne wpływy, z jakimi walczyć musi las górski, mają główne swe źródło w klimacie. W pierwszej linii występują tu wiatry. Wiadomo, że chyżość i siła prądów powietrza wzrasta w kierunku pionowym; jeżeli więc w nizinach wieje wiatr średniej siły, kołyszący łagodnie drzewami, to równocześnie w górach wiać może wichur, wywalający, lub łamiący drzewa. Najgroźniejsze jednak dla lasów górskich są wiatry spadające do których należy wiatr halny, występujący w Tatrach.



7. — Świerki obalone przez wiatr halny. Warstwa ziemi otula wyrwane korzenie.

Spada on zawsze ze szczytów i hal, ma kierunek przeważnie południowy, połudn. zach. lub połudn. wsch. i wieje najczęściej na wiosnę i w jesieni, z niesłychaną siłą, osiągając chwilami gwałtowność orkanu. Uderza pojedynczemi, gwałtownemi podmuchami, którym słabo i płytko zakorzeniony świerk oprzeć się nie zdoła, toteż każdy wiatr halny kładzie w Tatrach pokotem setki, a niekiedy tysiące świerków, przy których jak olbrzymie tarcze sterczą do góry wyrwane z ziemi, płaskie korzenie (ryc. 7). Umiejętnem prowadzeniem zrębów, starannemi trzebieżami, usi-

łuje człowiek zmniejszyć skutki halnych wiatrów, nie zawsze jednak z pomyślnym wynikiem.

Dalszą groźbą, jaka wisi nad lasami wysokich gór są lawiny śnieżne. Występują one tem silniej, im wyższe są szczyty i im rozleglejsze przestrzenie bezdrzewne rozciągają się powyżej linii górnego zasięgu lasów. Lawiny są właściwością gór o charakterze alpejskim, toteż u nas pojawiają się tylko w Tatrach, zmiatając w dół całe połacie



8. — Las obalony przez lawinę. (Ornak).

lasu świerkowego, od górnej granicy aż do potoków (ryc. 8). Są tu pewne uprzywilejowane tereny lawinowe, które widzieć można np. na zboczach, opadających ku Dolinie Cichej, w postaci wązkich, bezdrzewnych smug, ciągnących się od góry ku dołowi.

Śnieg wyrządza także i w inny sposób dotkliwe szkody, jako okiść. Jeżeli podczas bezwietrznej, spokojnej pory pada wielkimi płatami,

wówczas gromadzi się w dużych poduszkach na gałęziach drzew, a zwłaszcza drzew iglastych, zachowujących ulistnienie przez zimę. Jeżeli potem przyjdzie przymrozek, to śnieg przylgnie silnie do gałęzi, a dalsze opady tworzą pokład o tak znacznym ciężarze, że gałęzie i wierzchołki drzew nie są w stanie mu się oprzeć, pękają pod jego naporem, a niekiedy padają całe drzewa i kępy, wywalone z korzeniem. Okieść wyrządza największe stosunkowo szkody w górach średniej wysokości, lub na podgórzu; w górach wysokich śnieg jest więcej sypki i suchy, nie czepia się zatem tak łatwo gałęzi, a nadto silniejsze wiatry, otrząsają gromadzące się na gałęziach pokłady.

Burze, lawiny i okieść, są to klęski, wydarzające się sporadycznie, powodujące nagłe zniszczenie lasu na większej lub mniejszej przestrzeni. Klimat górski jednak już w naturze swej, w swym normalnym i zwykłym przebiegu posiada wiele niekorzystnych dla lasu własności, które potęgują się w miarę wznoszenia się ku górze.

Najważniejszymi tego rodzaju czynnikami są: krótki okres wegetacyjny, opóźnienie wiosennego rozwoju liści, wcześniej przychodząca zima i niska ciepłota miesięcy letnich.

W górach wysokich nie istnieje ów długi okres przedwiośnia i prawdziwej wiosny; przejście od zimy do lata jest szybkie i niemal gwałtowne, zaraz po stajaniu śniegów rozpoczyna się rozwój pędów i szybkim postępuje krokiem, aby wyzyskać krótko trwające lato. Wynikiem tego jest słaby przyrost, malejący szybko ku górze, coraz rzadsze i uboższe lata nasienne w miarę pogarszających się warunków. Im wyżej się wznosimy, tem egzystencja lasu trudniejsza, tem trudniejsze jego odnowienie się w razie katastrofy. Uznając te ciężkie warunki, wyłączamy lasy położone na górnej granicy wegetacji od użytkowania jako lasy ochronne, usuwając z nich tylko wykroty, drzewa nadpsute i t. p.

Ale nie tylko z klimatem walczyć musi las górski. W świecie zwierzęcym istnieje również zjadły wróg, drobny rozmiarami, ale niemiernie groźny straszny spustoszeniem, jakie w lasach świerkowych wyrządza. Jest nim mały czarny chrząszczyk, kornik drukarz, którego dwa a czasem trzy pokolenia rozwijają się w ciągu roku i żyją między korą a drewnem, niszcząc miążgę, tkanę twórczą drzewa, wytwarzającą roczne słoje drewna i nowe warstewki kory.

Kornik rozwija się przedewszystkiem na drzewach wywróconych burzą lub lawiną; dopiero gdy tych mu zabraknie, wtedy rzuca się na drzewa stojące, zdrowe i rozszerzając się coraz dalej, pustoszy czasem setki morgów lasów świerkowych.

Oto są najgroźniejsze katastrofy, jakim stawić musi czoło las w wysokich górach. Mimo jednak lawin, halnych wichrów, mimo okiści i kornika, las górski krzepko i mocno trzyma się na skalistym swem podłożu. Każdą zadaną sobie ranę goi starannie, każdą płaśnię obrzuca miljonami nasion. Dzięki tej właśnie walce z surową górską przyrodą, nabrał on tężyzny i odporności, a zjawiska i przebieg swego życia ukształtował wedle trudnych warunków, w jakich mu żyć wypada.

Las górski, rosnący zwykle na pierwotnej, skalistej, płytkiej glebie, potrafi glebę tę pogłębić i użyźnić. Korzenie świerków wciskają się w każdą szczelinę skalną, w każde pęknięcie; rosnąc na grubość, wywierają na skałę ciśnienie tak znaczne, że pod jego działaniem skała pęka, tworzą się okruchy i odłamy, przezco przyspiesza się proces wietrzenia i gleba powoli, lecz stale się pogłębia. Rokrocznie opadają w jesieni żółte liście na powierzchnię ziemi i tworzą warstwę ściółki, która ulega powolnemu rozkładowi i użyźnia glebę, przygotowując miejsce rozwoju dla przyszłych, młodych pokoleń lasu. Taką drogą las sam sobie urabia glebę, wedle swych potrzeb i wymagań, utrwalając swój byt i dalsze istnienie.

Łączy się z tem ściśle doniosłe znaczenie lasu górskiego w ekonomii przyrody.

Zwarte zbiorowisko drzew osłania płytką warstwę rodzajnej ziemi i nie dopuszcza splukania jej przez ulewne deszcze, lub przez wodę z tających śniegów; gdzie zaś na stromych zboczach las ulegnie wycięciu, tam zawsze woda spływająca unosi w dół produkta wietrzenia i wyłania się naga skała. Proces ten odbywa się albo powoli i nieznacznie, albo nagle i gwałtownie; w tym drugim wypadku rumowisko zasypuje niżej położone pola, ogrody i łąki, a niekiedy burzy całe wsie i osady.

Korony drzew zatrzymują na swej powierzchni znaczne ilości deszczu, tak, że do gleby dostaje się w przecięciu licząc tylko 50% z ogólnej ilości opadu. Ta ilość deszczu wsiąka w znacznej części do ściółki i próchnicy, zkąd powoli, stopniowo, przepływa do niżej położonych warstw gleby, a po skalistym podglebiu sączy się rozgałęzionymi nitkami w dół, gdzie w postaci źródeł ukazuje się na powierzchni, zasilając umiarkowanie, lecz trwale górskie potoki i rzeki.

Jeżeli jednak rozległe górskie zbocza ogołocone zostaną z lasu, wówczas wody deszczowe, nie mając żadnej zapory ani przeszkody, spływają niczem nie tamowane po powierzchni gleby w dół, dostają się do potoków, które nie mogą pomieścić zwiększonego przypływu; stan wody nagle się podnosi, to samo dzieje się w podgórskich rzekach, a w dal-

szym ciągu i w rzekach nizinnych, zasilanych dopływami górskimi. Rozległe kamieńce, które zalegają wśród wiosek naszych podgórskich, nagie skały i nieużytki na zboczach karpackich, częste powodzie, oto zemsta przyrody gór, za pogwałcenie prawidłowego i harmonijnego układu zjawisk.

Góry są klejnotami ziemi, a puszcze i lasy jedyną i najgodniejszą ich oprawą.

Góry, których zbocza wieńczy zieleń lasu, są oazami, gdzie rozwijać się powinien czarodziejski kwiat piękna, z kąd spływać powinny na ludzkość zdrowie i siły, spokój i przebaczenie, szczęście i miłość.

Ale góry pozbawione lasów, stają się czyścem, z kąd wieje groza i pustka, z kąd płynie klęska i zniszczenie. Od człowieka tylko zależy, czem góry dla niego będą, może z nich uczynić jedno lub drugie.

Budzić się jednak zaczyna sumienie narodów, a pod hasłem „Ochrony Przyrody“ powstają we wszystkich częściach świata nietykalne oazy, przybytki poświęcone wiedzy i nieskażonemu pięknu.

I przyjdzie może kiedyś czas, gdy ludzkość uszlachetniona, w przyrodzie i pięknie rozmiłowana, uszanuje lasy górskie; zamilknie w nich wtedy na zawsze łoskot siekiery i zgrzyt piły i staną się one wtedy tem, czem być powinny, t. j. parkami, w których rządzić będzie niepodzielnie sama tylko wszechwładna przyroda.

Stanisław Sokołowski.



JAN SABAŁA KRZEPTOWSKI
(Z FOTOGRAFJI PENTHERA)

Czarny Staw.

Pamiętasz w skalnej pustki surowiźnie
W kamień oprawne oko stawu pawie
I dwa spojone z sobą światy bliźnie:
Ten nasz — i tamten, wspak odbity w stawie?

Jak pręgowana, jak z grzbietu jaszczura,
Przez wielkoludów zwleczona po walce,
Na turni zębach rozpostarta skóra,
Ze krwi płuczająca łap nieżywych palce,
Na wątłym niby przytrzymane szwie,
Dwie dzikie złudy, dzikie jawy dwie.....

Kędyż, o duszo, będzie prawda tkwić,
Gdy ze szwu, kiedyś, czas wypruje nić?!

Maryla Wolska.

Z dawnej pasterskiej poezji i muzyki górali podhalańskich.

WP. Kustoszowi Sewerynowi Udzieli
w najgłębszej czci poświęca wdzięczny autor.

Pierwszą i najstarszą publikacją melodjy Podhala była praca Jana Kleczyńskiego p. t. „Zakopane i jego pieśni“ w I roczniku „Echa muzycznego i teatralnego“ (Warszawa 1883—84). Ukazała się zatem przed 40 laty, Kleczyński zaś uchodził za pierwszego zbieracza melodjy Podhala; ponadto wzmianki w pracach T. Chałubińskiego wskazują na skrzypka Władysława Górskiego, jako na współczesnego mu zbieracza. Rękopis Górskiego ma zawierać melodje grywane przez Sabałę i jego otoczenie góralskie, tak iż odnalezienie i wydanie tego rękopisu byłoby niezmiernie cennym dokumentem pracy etnograficznej. Niestety ani Goszczyński ani Zejszner nie podają w swych pracach melodjy, lecz teksty jedynie, Kolberg zaś, jakkolwiek był na Podhalu, jednakże najprawdopodobniej nie notował melodjy. Jesteśmy na szczęście w możności stwierdzić, iż już przed Kleczyńskim, względnie przed erą T. Chałubińskiego, nie brakło jednostki, która zainteresowała się melodjami Podhala. Że znajdujemy ją w gronie przyrodników, nie zdziwi nikogo, jeśli sobie przypomni, że pierwszym badaczem Podhala i Tatr był przyrodnik (Staszic) i że po Goszczyńskim szereg przyrodników badał Podhale i Tatry nie tylko ze stanowiska przyrody, ale i etnografji, zanim badania filologiczne przybrały żywsze tempo.

Przyrodnikiem, który prawdopodobnie pierwszy notował melodje rozlegające się wśród turni tatrzańskich, był Eugenjusz Janota (1823—1878), profesor uniwersytetu krakowskiego. W „tekach po ś. p. Bronisławie Gustawiczu“, znajdujących się w rękopiśmiennych zbiorach Muzeum Etnograficznego w Krakowie (Wawel), znalazły się pisane według tradycji ręką Janoty kartki z melodjami i tekstami góralskimi¹⁾, spisaniem — jak nas objaśnia ołówkiem pisana notatka Gustawicza — w Rogoźniku, wiosce położonej między Nowym Targiem a Czarnym Dunajcem. Przy nazwie „Rogoźnik“ czytamy nazwisko „Łagus“, które skłonny jestem uznać za mylnie odpisane nazwisko „Łojas“. Z treści i objaśnień dowiadujemy się

¹⁾ Kartek tych, od czasu pozólkłych jest 7, trzy luźne i cztery zeszyte. Format leżący: 17: 21.

że teksty i melodie, w rękopisie zawarte, mają najściślejszą łączność z życiem pasterskim, a także zbójnickiem na halach tatrzańskich. Nie jest rzeczą łatwą do stwierdzenia, kiedy Janota pisał swój rękopis (może za dyktatem owego Łagusa-Łojasa); z biografii Janoty¹⁾ wynikałoby, iż stało się to mniej więcej w sześćdziesiątych latach (19 w.), a więc na szereg lat przed Kleczyńskim i Górskim. Dlatego też rękopis Janoty posiada wysoką wartość, zwłaszcza że znajdują się w nim odwołania się do jeszcze starszych czasów, a posiada ją także mimo braków i błędów, zachodzących tu i ówdzie w zanotowanych melodjach. Nie są one jednak tak bardzo rażące jak te, od których roi się w cennej skądinąd pracy J. Kantora o Czarnym Dunajcu, zawierającej melodie, które w pewnej liczbie z powodu złej i dyletanckiej ortografii i błędów drukarskich nie dadzą się już niestety z całą pewnością należycie odczytać²⁾, tak iż należy je powtórnie spisać i wydać. Wysoka wartość rękopisu Janoty polega jednak przede wszystkim na tem, że rękopis podaje melodie grane na t. zw. trąbicie, a więc na dętym instrumencie pasterskim, dziś już zaginionym na Podhalu, a zdobiącym jedynie Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem i muzea po południowej stronie Tatr, gdzie trąbita jeszcze jest w użyciu u polskich i słowackich pasterzy. Nie mniej cenny jest rękopis Janoty ze względu na wokalne melodie, będące znakomitym materiałem porównawczym i ze względu na teksty melodyj, które wraz z objaśnieniami Janoty uzupełniają zasób naszych wiadomości o zwyczajach pasterskich w Tatrach. Są one też przyczynkiem do poznania tej strony poezji ludowej, którą etnolog prof. dr. J. St. Bystron nazwał „artyzmem pieśni ludowej“.

I.

Podaję naprzód teksty dotyczące obrzędów pasterskich według ich kolejności.

¹⁾ Por. Br. Gustawicza „Pomiary tatrzańskie“ w „Roczniku Tow. Tatrz.“, tom VIII (1883), str. 76 i następne. Janota zwiedził Tatry w r. 1846; od r. 1852 bywał stale w Tatrach, w r. 1860 wydał swój „Przewodnik“.

²⁾ Materiały antropol. archeol. i etnogr., tom IX (Kraków 1907, Akad. Umiej.), np. melodie na str. 123, 126, 129 (5), 131 (8), 132 (10), 133 (12), 134, 136 (15), 137 (18), 140 (27, 28), 141 (30). Podobnie w pracy Kantora w „Pamiętniku Tow. Tatrz.“ tom XXXVII mel. 7, 12); ponadto liczne myłki druku, których nie domyśli się, kto nie zna melodyj autentycznych. Nie brak mylnych interpretacji rytmiki również w publikacjach Kleczyńskiego, a prócz tych także mylnej ortografii muzycznej w „Sabale“ Stopki i „Janosiku“ Galicy.

Rozpoczyna tekst zatytułowany w rękopisie: „Obchód w śpiewie sałasów Pod Karpackich z okolicy Nowego Targu“. Tekst ten jest podany dwukrotnie z tą tylko zmianą, iż w jednym wypadku zawiera 15, w drugim zaś 19 zwrotek. W całości tekst ten wraz z melodią brzmi jak następuje:¹⁾

1. 

Wycho-dza-cy na sa-fas wsta-pi-my na pro-bo-stwo

By po-bło-go-sła-wić to-na-se u-bo-stwo

2. Teraz owce prosto idźcie ku kościołu
By was pleban pokropił i nas też pospołu.
3. Od dzisiaj za trzy dni będzie u nas miera²⁾
Damy plebanowi za to grudkę sera.
4. Idźmy potem pasząc, nie bawmy się wuela
Baca weźmie z sobą święconego ziele.
5. Kiej przyjdziem do miejsca, kosar kadzi bacą,
A potem mówiący do nas się obraca:
6. Kiej święconem zielem kosar okadzony
To może nas kyrdel owiec być wpędzony.
7. Stylskiem do ziemi wbij[cie] se ciupazki,
A potem zawieście na nich swe kłabuski.
8. Teraz do klęczenia niech (wam) sie ugnie noga,
By zacząć zawód nasz w imię Pana Boga.
9. Zmówmy po paciorku, westchnijmy do nieba,
Byśmy to mogli mieć, co nam tu potrzeba.

¹⁾ Pisownię, choć wadliwą i nie uwzględniającą należyte właściwości gwarowych podaję z małymi wyjątkami (zła ortografia!) dokładnie. Poniżej w odnośnikach cytowane są objaśnienia („²⁾“) z rękopisu.

²⁾ „Miera jestto w trzecim dniu po wyjściu w góry sałasu czas zwyczajny, w którym właściciele w tym sałasie znajdujących się owiec każdy swoje z osobna wydoi, mleko z bacą w pewnym naczyniu jak głęboko deszczułka, jaka do tego może być potrzebna, zamierzy, w połowie szerokości jak-głęboko patyczek sam bierze, drugą zaś jako karb dla wiary bacą bierze, a potem dopiero wszyscy razem ułożą, czy na 10, 11 lub 12 zamierków stać będą. Kiedy zaś bacą zbiera sera dużo, zawezwie, gospodarze przychodzą, za patyczkiem z deszczułki wyłupanym zamierek wyszuka i razem z bacą tyle razy wody, na wiele zawierków stać uchwalono, nalewają, i wiele ta woda zaważy, tyle bacą sera wydać musi“.

10. Przydziem do bacówki¹⁾, Boga se pochwalmy,
Bierz gielitę²⁾ w ręce, bo doić bedziemy.
11. Kiedy z mlékiem idziem, uważaj na progi,
By się nie utknęły kędy twoje nogi.
12. Wnijdziem do bacówki, te zaczynam gadki,
Co się ich nauczuł (tak!) od mej własnej matki:
13. Niech pochwalon będzie nas Pan Jezus Chrystus!
W putyrę³⁾ mléko wcedź, a gielitę w kąt włóż!
14. Potem baca czysto swe ręce umywa,
Wiele klagu⁴⁾ trzeba, do mleka doléwa.
15. Jak się mleko zetnie, dobrze go wymiesza,
Potem ser w nim zbiera, jak potrzeb (tak!)⁵⁾ przymusza.
16. Jak ser dobrze zbierze, do szaty[ry] go włoży,
A potem żentycę na kotle uwarzy.
17. Kiedy się wymiesza, a potem ochłodzi
Dopiero owczarzy do niej budzi.
18. Ażeby mogła być żentyca sytniejsza,
Niezbiaiałemu hurdy⁶⁾ [by] była masniejsza.
19. Weźcie ku żentycy po kawałku chleba,
Potem ku kosaru spać [wam] iść potrzeba“.

Tekst ten oczywiście nie ma znamion czystego poetyckiego folkloru. Pochodzi zapewne od górala posiadającego szkolną naukę; po niej wrócił do bydła i roli, jak to już stwierdzają najstarsi pisarze, opisujący Podhale i jego ludność. Melodja podana odnosiła się pierwotnie do słów ceremonjału pasterskiego względnie bacowskiego, zanim przeszła do zwrotek o charakterze opisowym. Tekst powyżej podany nie przynosi wprawdzie zbyt uderzająco nowych materiałów, wzmianka jednak w 12 zwrotce o „gadkach“ podanych przez matkę opowiadającego potwierdza starodawność opisanych zwyczajów przy rozpoczynaniu każdorocznem życia pasterskiego na hali. Melodji tej, jak i następnym poświęcamy razem osobny ustęp.

Inne teksty odnoszą się już do pobytu pasterzy na halach i są częściowo znane. Podajemy je tu jednakże ze względu na to, że melodje

¹⁾ „Bacówka jest to mała szopka (także cybica nazywana), która posłuży sałasowi (!) przez czas tam pobytu do przemieszkowania“.

²⁾ „Gielita jest to naczynie, do którego się tak, jak do skopca krowy, owcę doi“.

³⁾ „Putyra jest to naczynie, w którym się mleko kłaga i ser robi, czyli zbiera“.

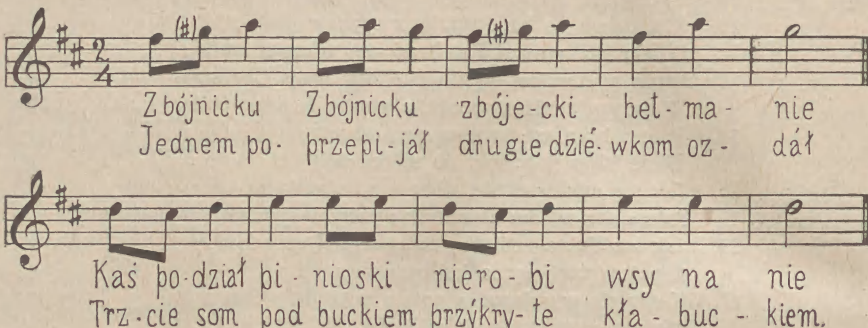
⁴⁾ „Klag jest to podpuszczka, za której skutkiem ser się z świeżego mleka robi“.

⁵⁾ Może w pierwotnym tekście było: „jak potrzeba zmusza“.

⁶⁾ Hurda — według Dembowskiego „Słownik gwary podhal.“ (Sprawozd. kom. język.“ tom V, str. 361): „najtłustsza z wierzchu kotła zebrana żętyca“.

ich są częściowo niewydane, częściowo nieznanne, a jeśli znane, to w odmiennej po największej części sposób śpiewane względnie grane.

2.



Zbójnicku Zbójnicku zbójecki hetma nie
Jednem po- przepi-jał drugie dzie wkom oz- dał

Kaś po-dział pi-nioski niero-bi wsy na nie
Trz-cie som pod buckiem przykry-te kła-buc-kiem.

Tekst ten jest znany (bez drugiej zwrotki) z pewną odmianą z książki Zejsznera (str. 158):

„Janosik, Janosik, zbójecki hetmanie,
Zabrał sam turacki, nie robił sam na nie“.

Goszczyński podaje znowu inny warjant (str. 275):

„Janicku, zbójnicku, zbójecki hetmanie,
Gdzieś podział pieniaski, com ja zbijał na nie“¹⁾.

W tece „Nowy Targ“, znajdującej się w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, są podane teksty pieśni, spisane w Zakopanem przez Sew. Udzieł w r. 1898. Między niemi znajdziemy nieznaną dotąd warjant tej pieśni:

„Janicku, Janicku, kaś podział talary?
Ej som we wirsycku w dziurawym kosycku“.

Oczywiście i tekst zaczynający się od słów „Janosik, Janosik, kaś podział pałasik“, należy do tej samej kategorii i niewątpliwie stanowił jedną całość z tekstem zwrotki o „pieniaskach“, poczem rozdzielił się na szereg samodzielnych piosenek.

Częściowo znanym jest tekst następującej pieśni:

¹⁾ Por. również Stopki „Materiały do etnografii Podhala“ (Kraków 1898, Akad. Umiej., str. 98, nr. 462).

3.

1 Ju - ha - si ju - ha - si sko - da Wa syi kra - sý
 2 Ju - ha - sku ju - ha - sku w tyj cãrnyj ko - su - li
 3 Ju - ha - si ju - ha - si ja - koz wy pa - sie - cie
 4 Cho - ciãz ja - ta por wãt nam nic ze sa - fa - sa

1 Kiej wãs po - wiã - za - li u bu - cków za wla - sý.
 2 Ja - koz sie dzie - w - cý - na ña to - bie przy - tu - li.
 3. Wilk wãm o wce por wãt wy o tem nie wie - cie.
 4. Z lup - to - s - kij do li - ny pro - wa - dził do la - sã.

Dwa warjanty podaje Zejszner (str. 151 i 121):

„Juhasi, juhasi, stryla naszój (!) krasi,
 Co was powieszali za te zółte własi“ — i:
 „Juhasi, juhasi, stryla waszej krasi;
 Stryszki (owce) pojedali, ña nas powiedzieli“.

Rękopis Janoty podaje wszystkie zwrotki razem do tej samej melodji.
 Niewątpliwie osobne całości stanowią dla siebie: a) zwrotka pierwsza,
 b) zwrotka druga, c) zwrotka trzecia i czwarta.

Pięciu zwrotkom służy następnna melodja :

4.

1. Ej o - wie - cki le - cia fy Ej kie sie o - zejść mia fy
 2. Ej wu - piaz pyr - cia ow - ce a ba - ra - ny do - li na
 3. Ej jak ba - ca z tur ba - ca dał dzie wce - ciu sy - rek
 4. Ej ow - cã - rze tań cu - jom a ow - ce im zaj mu - jom
 5. Ej re - dy kãł sie Ja - nik z o - wie cka - mi na Gro - nik

1. A ow ca rzycek pta kãł nozku go bo - la - fy.
 2. A lak sie przej - dzie - my bara - ny nas - mi - na.
 3. A ze - by go przyje - na ej ku so bie na wy - rek.
 4. My jak tań ce skońcë - my to ow - ce przyze - nie - my.
 5. Ej az sie wy - re - dy - kãł ej na lup - to ski cho - dnik.

I tu również nie wszystkie zwrotki posiadają z sobą łączność. Podzielić je można na 4 części: a) pierwsza i druga zwr., b) trzecia zwr., c) czwarta zwr., d) piąta zwr. Niektóre z nich są znane z innych źródeł jako warjanty. I tak np. trzecią zwrotkę podaje Zejszner (str. 83) w następującym brzmieniu:

„Smrecyniański baca obiecał mi syrek
Cobym go puściła do siebie na wyrek“¹⁾.

Goszczyński daje warjant piątej zwrotki (str. 275):

„Redykał się Janik z gronika na gronik,
Aż się przyredykał zbojnikom na chodnik“.

Dość zmodyfikowany tekst pierwszej zwrotki znajdziemy we wspomnianej tece nowotarskiej Muzeum Etnogr. w Krakowie (zanotowany w r. 1898):

„Owiecki płakały (? leciały), kiej sie redykały,
Juhasicek płakał, nozki go bolały“²⁾.

Wzmianki o „bolących nóżkach“ juhasa znajdziemy w kilku innych pieśniach góralskich.

Również ostatni tekst rękopisu Janoty:

5.

O wce śmy zcy-ta-li a o-wie-cki nie-spe-na

A do tego sie straciła ej po wier-sy-ckach weł-na

jest znany z nieznaczących tylko warjantów, ale bardziej przystosowanych do tej melodji. Zejszner podaje (str. 139) tekst następujący:

„Owieczki poczytać, owieczki niespełna,
Już się potraciła po za wierski wełna“.

Melodje towarzyszące tym tekstom nasuwają szereg uwag. Notowane są w tonacji D-dur. Jednakże rodzaj intonacji, właściwy Podhala-

¹⁾ Por. tamże, str. 139, nr. 83 i Stopka 99, 483.

²⁾ Por. Zejsznera str. 138, nr. 63.

nom, nakazuje uznać tonację tych melodji za lidyjską, t. j. że ton czwarty (g) powinien być gis (coprawda nie wszędzie). Gdzie ta zmiana ma być zastosowaną, umieścił autor krzyżyk w nawiasie przed tonem g (= gis). Również w 4 melodji wszędzie należy cis obniżyć na c (w nawiasie kasownik przed cis). Że tak istotnie ma być, dowodzi t. zw. Sabałowa nuta do słów „Ej idzie se Janicek“, mająca pojemność małej septymy. Gdy w 4 melodji zamienimy „cis“ na „c“, odrazu zauważymy jej identyczność z Sabałową nutą, z wyjątkiem kilku nut. Niewątpliwie również w takcie 6-tej melodji pierwsza nuta ma być d¹ nie e¹. Inne melodje tego zbioru są znane tylko w niektórych swych frazach, lecz nie jako całości. Wiemy, iż nowa melodja ludowa (podobnie jak wiele tekstów) powstaje w ten sposób, że składają się na nią często albo frazy albo motywy innych ludowych melodyj. Dlatego też bardzo trudno jest oznaczyć wiek melodyj ludowych. Nie wiemy bowiem, które z nich lub które ich części są starsze. Z melodjami zbioru Janoty wystarczy porównać choćby tylko te melodje, które wydał J. Kleczyński w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego“ (tom XII, nr. 16, 23, 29 i t. d.), aby znaleźć mnóstwo podobieństw. Można na tej podstawie mówić o dość wiernem zanotowaniu melodji przez Janotę. Że nie zauważył tak specyficznych cech melodyki podhalańskiej, jak zwiększona kwarta i mała septyma, biorąc je zapewne za fałszywą intonację, nie zmniejsza to wielkiego znaczenia jego rękopisu. Ważną szczególnie jest melodja nr. 4 jako częściowy warjant nuty Sabałowej, dziś już nieznaney w tej postaci.

II.

Najcenniejszym materiałem zbioru Janoty są dwa unikaty: dwie melodje grywane na trąbicie, dziś już wymarłej na Skalnem Podhalu. Melodje te nie są znane i nie znajdziemy ich w żadnym zbiorze melodyj podhalańskich. Grywano dawniej na trąbicie na halach i w dolinach przy szałasach, służyła zaś — jak wiele prymitywnych dętych instrumentów — także za instrument sygnałowy w różnym znaczeniu, t. j. sygnały mogły być trąbione w najprostszej formie jako jeden lub kilka tonów różnej wysokości z uwzględnieniem przedewszystkiem t. zw. tonów harmoniczných (np. c—e—g—c¹) lub w formie melodji. Na Podhalu nazywano ten instrument trąbitą lub trębitą, także fujera (fujarą) i fujerą (fuirą). W innych stronach Polski używano tylko nazw: ligawka (légawka) lub fujara¹⁾. Dziś rzadko pojawia się na Podhalu

¹⁾ Por. słowniki języka polskiego.

nazwa „trębita“, najczęściej zaś mówią górale poprostu „trąba“. Instrument ten był rozpowszechniony niewątpliwie w całej Polsce¹⁾. Jest to kwestja jednakże nie należąca do naszego tematu. O użyciu jej na Podhalu (w r. 1832) wspomina prawdopodobnie jako pierwszy Seweryn Goszczyński w swym „Dzienniku podróży do Tatrów²⁾“, pisząc: „Ligawka służy juhasowi głównie do porozumienia się z trzodą; jej to głos wyprowadza trzodę na pastwisko, skupia, ile się razy zanadto rozproszy i na nocleg do koszar zwołuje. Ligawka jest to drewniana trąba, długa do dwóch łokci, niekiedy więcej; głos jej donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, wydaje się jak żeby z ich piersi był wydobyty i dziwne robi wrażenie, a nawet bardzo miłe, kiedy rozlegnie się po głuszy lasów i dolin, kiedy się łamie na skalistych szczytach i ścianach“. Słusznie nazywa Goszczyński ligawkę „trąbą pasterską“³⁾ w przeciwieństwie do kilku innych pisarzy. Zejszner nie wspomina o trąbicy w przedmowie do swych „Pieśni ludu Podhalan czyli górali Tatrów polskich“⁴⁾, podaje jednak wierszyk zbójnicko-pasterski, odnoszący się do niej:

„Była to trąbita
 Talary wybita
 Kto tę trąbitę wybijał
 Siedem rocków zbijał“ —

i dodaje objaśnienie: „trąba długa z drzewa“.

Rękopis Janoty jest bardziej szczegółowy w opisie trąbity i uzupełnia to, co pisze o niej Goszczyński i o użyciu jej w zwyczajach pasterskich. Jest to zarazem ostatni opis ze strony późniejszych pisarzy, przyjaciół i badaczy Podhala⁵⁾: „Zwykły na sałasach przy spokojnej⁶⁾ czasu porze zwyczaj, że bacia kiedy wydojone mleko skłaga⁷⁾ wieczór, a najwięcej w południe, ser do szatyry złoży, żentycę przegotuje na kotle i zupełnie swą czynność wykończy, i za to, by dzięki Bogu z swemi podwładnemi złożyć, bierze trąbę, która w kształcie żerdzi 8 stóp długiej,

¹⁾ Tamże.

²⁾ Petersburg 1853, str. 152.

³⁾ Tamże, str. 151.

⁴⁾ Warszawa 1845, str. 149.

⁵⁾ Jedynie Dembowski wspomina w „Słowniku gwary podhalańskiej“ o „fujérze dużej drewnianej fujarce (!) pasterskiej“ („Sprawozdania komisji językowej Akad. Umiej.“, Kraków 1894, str. 355).

⁶⁾ W rękopisie mylnie: „spokojnym“.

⁷⁾ Opis czynności serowarskich podaje dokładnie „Encyklopedia rolnicza“, t. IX, Warszawa 1900, str. 676 i nast.

a czasem i dłuższej, której korpus $\frac{4}{5}$ cali, tam zaś gdzie do ust $1\frac{1}{4}$ cala przez munsztuk drewniany trąbi, ażeby jego podwładni, paszący owce owcarze, pacierze mówili, gdyż i on mawiał będzie“...

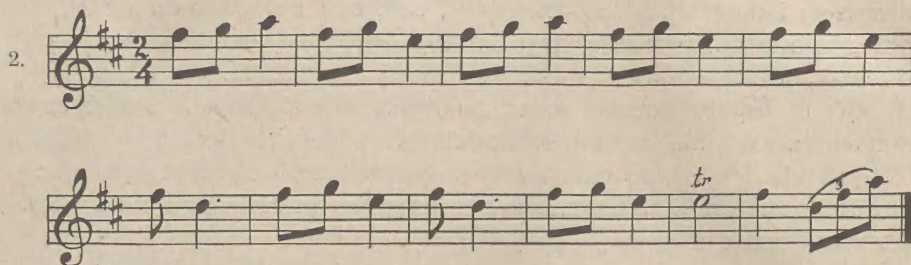
Opis trąbity podany przez Janotę zgadza się naogół z faktycznym stanem rzeczy, jaki można stwierdzić na podstawie trzech w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem zachowanych egzemplarzy. Uwzględniając zaś stosunki pasterskie w Karpatach dodamy, że na Huculszczyźnie długość trąbit dochodzi do 3 m.¹⁾

Jak już wspomnieliśmy, na Podhalu dziś trąbita nie jest już w użyciu. Górale twierdzą, iż posługują się nią tylko wolarze liptowscy. Przed dwudziestu kilku laty jeszcze dochodził do Kościelisk mocny głos trąbity, na której grywano na halach pod Osobitą. Wraz ze zniknięciem intensywnego dawniej chowu wołów na Podhalu zniknął ten par excellence pasterski instrument.

Melodje trąbitowe podaję zupełnie wiernie według rękopisu Janoty:

1.

¹⁾ Szczegółowy opis i uwagi treści instrumentologicznej i etnograficznej podaje autor w drukującej się pracy p. t. „Instrumenty muzyczne ludu polskiego na Podhalu“ (wydawn. Akad. Umiej. w Krakowie).



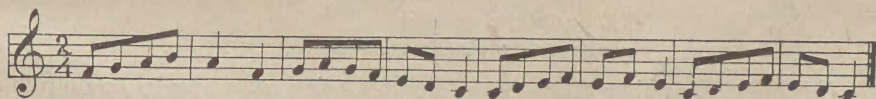
Jak widzimy, obydwie trąbitowe melodie składają się z motywów pieśni podanych wyżej (nr. 1, 2 i 3). Są to instrumentalne parafrazy, rozwinięte w drodze powtarzania motywów (rozszerzania fraz) i warjacji o charakterze ornamentalnym, jak to zwykliśmy zauważać, słuchając instrumentalnych produkcji grajków-solistów na Podhalu. Cenią w nich dziś Bartłomiej Obrochta z Polan Kościeliskowych. Tem cenniejsze są dwie podane tu melodie, gdyż udowadniają wielką biegłość techniczną w opanowaniu trąbity przez bacy, może wspomnianego w rękopisie Łagusa-Łojasa z Rogoźnika. Gdy porównujemy melodie huculskich „trembitanników“, wydane starannie przez prof. Filaręta Kołesę w II tomie „Huculsczyczyni“ Wł. Szuchewicza¹⁾, zauważamy, iż huculskie melodie obfitują w nadmiar interwali zbudowanych na tonach harmonicznym (tercja, kwarta, kwinta) i w powtarzanie kilkakrotne tego samego tonu. Natomiast obydwie melodie bacy tatrzańskiego zawierają bardziej melodyjne interwale (sekundy i tercje). Jednakże trembitowe melodie huculskie mają więcej improwizacyjnego charakteru, gdy w tatrzańskich przeważa symetryczna struktura formalna. Huculskie sprawiają wrażenie iż są złożone raczej z sygnałowych motywów, dlatego są wprawdzie mniej artystycznie-melodyjne, lecz bardziej prymitywne i dlatego bardziej jako materiał etnograficzny interesujące. Tatrzańskie przypominają melodie szwajcarskich górali, grywane na „rogach alpejskich“ („Alphorn“). Gdy Huculi i Szwajcarzy jeszcze posługują się swymi trembitami i rogami, Podhalanie zarzucili je zupełnie, pozostawiając je pobratymczym pasterzom słowackim, z którymi tyle wspólnych rysów ich łączy.

III.

Ta łączność, objawiająca się w tekstach i melodjach pieśni pasterskich, zbójnickich, miłosnych i okolicznościowych, pozostała może najży-

¹⁾ Lwów 1902, str. 118—120.

wiej w szopce zakopiańskiej, grywanej przez małych chłopców wypowiadających dialogi prawie w całości w narzeczu polsko-słowackim. Według przypuszczeń etnologów szopka słowacka przybyła do Zakopanego wraz ze słowackimi hawiarzami-górnikami i hamernikami. Jeżeli tak było istotnie, to stało się to zapewne bardzo dawno, może już w XVII lub XVIII wieku. Posiadamy bowiem dowody, iż na Podhalu lub w jego bezpośrednim sąsiedztwie znano kolędy pełne słowackich wyrażen. W pewnym bowiem rękopiśmiennym zbiorze kolęd¹⁾, datowanym w r. 1721 i 1722, lecz kontynuowanym może do początków XIX stulecia, znalazłem pośrednie dowody mego przypuszczenia. Znajdują się tam kolędy polskie (w olbrzymiej przewadze), obok nich zaś kilka ruskich i jedna słowacko-polska. Szereg melodyj tych kolęd zawiera motywy nie obce melodjom podhalańskim, a w rytmice uderza pokrewieństwo. Można przypuścić, iż te rękopiśmienne kantyczki powstały tam, gdzie ludność ruska (Łemkowie), polska (Podhalanie) i słowacka stykały się z sobą, a najprawdopodobniej w okolicach niedalekich od Tatr w kierunku wschodnim, może między N. Targiem i N. Sączem. Tylko takie przypuszczenie wyjaśnia nam fakt pojawienia się kolędy słowacko-polskiej w tych kantyczkach. Już pierwsze słowa tekstu i melodia mówią same za siebie:



Stawaj hore bacza nas,
 Pohlad jaki jasny czas.
 Treba owce doiti,
 A na pasu honiti.
 Cosbisme ich doili,
 Ne dawnosme prihnali.
 Jesce nen deň bieli,
 Cosbe me ich honili.
 Jescesme nie ne spali,
 Cosbisme juz stawali.
 Dopierosmy strichali,
 Za owcami behali.
 Posłuchaj bratre mili,
 Jak spiwają Angeli,

¹⁾ Opis tego cennego zabytku podałem w ogólnie informującym artykule „Zbiór kolęd polskich z r. 1721“ w „Słowie polskim“, r. 1922, nr. 300.

Jako sławne spiewaju,
 A ku nam se zblížaju.
 Roznajmuju nowiny,
 Gahe (!) predtym ne byli:
 Narodil se kral slawny
 W Betleemskiej mastali.
 W hudobe narozeni,
 W jaslickach polozeni,
 Do jasliciek włozeni,
 Jezus Chrystus gedini.
 Treba k'nemu pospahat,
 Gemu dary darowat,
 Pro Jezuska maleho
 Wesmem mleka sladkeho.
 Pro Matku baraniny,
 Nech polewki uczyni.
 Nech se Matka zahreje
 Na tej to težkey ziemie.
 Pro Józefa stareho
 Hruda sera mladeho;
 A my Mu ho pokraymy,
 Gemu wdecznie dawaymy.
 Da nam za to darów dost,
 Po smerti wiecna radost.
 A po težkim skonani
 Priwede nas do sławy. Amen.

Gdybyśmy, znając tylko tekst słowny, mieli wątpliwości co do okolic polskich, w które ze Słowaczyny mogła ta kolęda przedostać się, to wątpliwości te ustąpiłyby po poznaniu melodji. Jej rytmika jest identyczna z rytmiką tańca góralskiego zwanego „drobnym“, a niekiedy „zbójnickim“ (rytm „dobiegający“ w taktach parzystych, t. j. 2, 4, 6 i 8, złożony z dwóch ósemek i jednej ćwierci). W drugim takcie melodji brak tego rytmu, ale tekst wymaga, aby na „cza“ w słowie „bacza“ przypadła jeszcze jedna nuta, t. j. „g“ między „a“ i „f“. Druga część melodji (takt 5—8) jest nieznaczną modyfikacją drugiej części tej melodji, którą śpiewa się do znanego tekstu: „W murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy“¹⁾. Melodja tej kolędy polsko-słowackiej jest nowym dowodem łączności kolęd z taneczną melodyką i rytmiką pieśni ludowej, a jest tem cenniejsza,

¹⁾ W „tece nowotarskiej“ Muzeum Etnogr. na Wawelu znajduje się ten tekst z melodją, która jest najzupełniej identyczna z drugą częścią podanej melodji kolędowej; jest ona powtórzona dwa razy. Dowodzi to, że dwie pierwsze frazy, stanowiące część pierwszą melodji kolędowej, zagubiły się. Frazę nazywają grajkowie góralscy (np. Mróz z B. Dunajca) wierchem.

że pochodzi z czasów, z których nie posiadamy zanotowanej ani jednej melodji śpiewanej na Podtatrze. Kolęda ta będzie mogła może wyjaśnić także pochodzenie wspomnianej zakopiańskiej szopki.

Że poetycki i muzyczny folklor podhalański nie był już w Polsce. XVII wieku nieznan, dowodem pewne źródło literackie, na które nie zwrócono dotąd należytej uwagi. W wydany przez A. Brücknera zbiorze anekdot z r. 1650 pt. „Co nowego“¹⁾ czytamy: „Parva naturalia ludebant w multanki tak właśnie, jak gdyby w Warszawie kto słuchał królewskiej muzyki; grali i po góralsku...“ Niewątpliwie wędrowni grajkowie góralscy sami przyczyniali się do rozpowszechnienia w Polsce swoich „nut“.

Adolf Chybiński.

Kamień na kamieniu...

(Bubniska — Rozhurcze — Urycz)

Jesteśmy jak bogacz, który po napadzie rabusiów i ich długiej niecej gospodarce pod dachem, doczekawszy wreszcie przegnania łupieżców, obchodzi wszystkie kąty i ocalałe po schowkach skarby przelicza. I rad widzi, że jest tego jeszcze, chwalić Boga, niemało. Kilka takich właśnie ocalałych klejnotów, za ciężkich by je złodzieje unieść ze sobą zdołali, przypomnieć dziś pragnę miłośnikom przyrody polskiej i jej wielkich odrębnych piękności. Mam na myśli przedewszystkiem tak zwane dawniej Polanickie Bołdy, znane obecnie turystom wschodniej Małopolski pod nazwą „kamieni w Bubniskach“, najbliższej skał położonej, ubogiej wioski podkarpackiej, (w gwarze rusińskiej: Bubniszcze).

Bitą gościniec stryjski, wiodący ze Lwowa przez Stryj na Węgry, ta sama potężna tętnica, którą przed ośmioma laty waliła na śmierć ku Karpatom milionowa armia Mikołaja Mikołajewicza, doprowadza nas do miejsca, gdzie, między Synowódzkim, błękitnem od wszelakich niebieskości: wód, powietrza i gór, a Lubieńcami, przepawić się trzeba promem, albo w bród, do leżącej na przeciwnym brzegu Stryja małej wioszczyny Tyszownicy. Tu, na stromej zboczy wzgórza spostrzegamy pierwszą charakterystyczną grupę skał, pierwszy monumentalny drogowy skaz ku głównej kwaterze bogów tej pogańskiej parafii. Zdaleka wygląda to jakby w kamień obrócony, rycerski zamek z bajki, obsunięty swym ciężarem ku rzece.

Niebawem droga coraz węższa i stromsza, z czasem wręcz już do

¹⁾ Kraków 1903, Bibl. pis. pol. t. 48 (str. 106).

drogi żadnej niepodobna. Z korzeniami wydarte prastare świerki zalegają w poprzek — to, raczej koryto wyschłego strumienia, niż ścieżkę. Dzicz, głusza, pobojowisko burz górskich, sprzątane przez czas jedynie, zamiatane wichrami, opłukiwane deszczem. Chwilami, ponad zręby, wspaniały daleki widok na Beskidy. Choć dzięki temu właśnie kamienie bubniskie zachowały może swój urok nieporównany, że każdorazowa wycieczka do nich jest raczej wyprawą odkrywczą, w niedostępności ich leży też główna



Skąły nad Stryjem koło Tyszownicy. (fot. A. Wisłocki)

przyczyna, dla której znane są o wiele za szczupłej garstce wtajemniczonych. I nieporęczny dojazd od Lwowa, nie zawsze pewna przeprawa przez Stryj, nieistniejąca prawie stroma droga przez wertepy lesiste, wreszcie duże oddalenie kamieni od najbliższych ludzkich osiedli, niemożność zanocowania blisko i nabycia żywności, wszystko to utrudnia ogromnie dokładne zbadanie uroczyska. A jednak, jakże warto i jakże się godzi!

Pnie się zrazu przez stary, świerkowy las, wąską dróżką, między dwiema zielonemi falbanami paproci wysokiej i rzadka jedynie rozświetla

ciemne igliwie jasny liść bukowy. Wyżej, sama tylko stara, pokręcona buczyna o pniach siwych, jak piaskowiec, płamista od mchów aksamitnych obrasta powierzchnię wzgórza. Odtąd już co raz częściej wychyla się, niby grzbiet krągły jakowegoś kopalnego zwierza, albo weselny korowaj wielkoluda olbrzymia siwa bryła jamneńskiego piaskowca o guzach i bochnach dziwacznych.

Aż do ostatka drogi nie zapowiada pobliza właściwego „kamienia“. Las kończy się nagle, jak cofnięta kulisa i wprost oczu, na otwartej polanie, widzimy wysmukłą, kamienną basztę, niby strażnicę grodziska w którego obręb wkraczamy. Zupełnie jakby zręczny reżyser wbok zgarmał zasłonę a przed nami otwarła się fantastyczna, niewiarogodnie cudowna, scenerja prastarej jakiejś baśni.

Obronna ongiś, głęboka fosa, dziś łatwa do przebycia, odkreśla ogromny czworokątny dziedziniec śródskalny od strony lasu z której przybywamy. Potężny fronton głównej skały, na kilka piąter wysokiej, stanowiący lewą połąć owego podwórca, z trzech stron zamkniętego niższemi grupami skał, dźwiga się z podłoża traw niekoszonych. Wrażenie jest jedyne i niezawodne, bo oto pustemi oczodołami czarnych swoich pieczar pogląda na widza najstarożytniejszy pomnik pogańskiej Polski, ostatni w tej postaci ocalały świadek zatraconego bez śladu kultu i obrzędu.

Zajmującym może będzie udzielić tu głosu pewnemu wycieczkowcowi, który przed laty ośmdziesięcioma czterema, zwidziwszy dokładnie skały bubniskie, spisał swoje wrażenia i ogłosił je r. 1839 na str. 34 leszniańskiego „Przyjaciela Ludu“. Błada odbitka z pięknego sztychu Kielisińskiego, przedstawiająca główny fronton skał, styl i sentyment pradiadkowskiej polszczyzny, czynią z tej staroświeckiej relacji jakby obiekt antykwarski, pełen jednakże do dziś trafnej oceny i obserwacji.

Oto co pisze ów turysta: -

„Na obszernej dolinie ciągnącej się od Karpatów ku Bolechowu, którą jedna z piękniejszych rzek górskich, Brieżka, przeżyna, leży wieś Polanica. Grunta jej w górzystej stronie północnej zwane sokołowe, stykają się z gruntami Bubniska i Truchanowa. Ta część najeżona jest mnóstwem bołdów, z których wyższe, w dniu pogodnym, o mil parę z równiny bolechowskiej, lub okolic truchanowskich, ujrzeć można. Zbliżając się ku nim od strony południowej przez wysoką połomicę, borem okrytą, wychodzi się na niewielką polanę. Naraz odsłania się tu przed okiem okrągły góry wierchołek, wkoło wiekowemi bukami obrosły, mieniące się barwami gęstolistej swej szaty, którą wiatr z szelestem w rozmaite fałdy układa, a w ich środku, jakby jedno olbrzymie buczysko, w przed-

potopowej przyrodzie wybujałe liście i konarów pozbawione, i płową mchu szatą okutane, wznosi jeden z najwyższych bołdów spokojnie surowe swoje oblicze. O kilkaset kroków odkrywa się cała ich gromada, tak jak ją załączona rycina, na miejscu przez naszego ziomka rysowana, przedstawia.

Skład ich ogólny ma postać warowni, przeciw zniszczeniom czasu umocnionej, najeżonej gęstymi wieżami i w olbrzymich rozmiarach. Dwie ściany skał, szczelnie się ze sobą wiążących, 50 do 60 kroków długich,



Skąły (u ludu Bołdy) na polu Sokołowem przy wsi Bubniska. (Rysował z natury i rytował W. Kielisiński 1836 r.)

zamykają kąt prosty; mocny nasyp czyli wał, od południa i wschodu, równoległe do ściany usypany, w którym ostatki muru widzieć się dają, oraz otaczająca je fossa, tworzy z powyższymi skałami nieforemny czworobok. W równych odstępach, ze ścisłym niemal odliczeniem kroków wznoszą się na rogu wschodnio-południowym i południowo-zachodnim, pojedyncze, w postaci głowy cukru, na kilkaset stóp wysokie kamienie, tworząc narożniki tej przyrodzonej warowni. Dwa inne teże postaci, nieco nawet wyższe, zajęły w dalszym trochę odstępie róg północno-zachodni; stoją one obok siebie, a wierzch jednego z nich, wyobraża ogromną twarz człowieczą ¹⁾). Ściana skał od zachodu ma następujące

¹⁾ Nietyle, zdaniem mojem, „wyobraża“, ile przypomina (p. a.)

wydrążenia. Pierwsze, jest długa izba foremnie wykuta, bez okien. Dwie kamienne przyspy ciągną się wzdłuż ścian. Po nadłamanej ku ich środkowej krawędzi można poznać, że pierwotne, nieforemne wydrążenie, poprzedziło wykucie które dziś oglądamy. Uwagi godna jest dość wysoka niza nadedrzwiami, jakby do wystawiania posągów zrobiona: Znajdujące się nad nią zakrojenie skały, zdają się świadczyć, o przytykającym niegdyś do niej pokryciu, celem zabezpieczenia tych wystaw od słońca. Nieco dalej ku środkowi, na spojeniu dwóch skał, jest wydrążenie, ciągnące się



Bołdy w Bubniskach. (Rys. i ryt. W. Kielisiński 1836 r.)

przez całą ich wysokość, u wierzchu otwarte, i zdaje się być od deszczu wypłukane: po lewej stronie widać kamienną przyspę, jak i w poprzednim. Następuje izba czworogranna, której trzy ściany w skale wykute, czwarta zaś od wchodu domurowana. Kawał pobielonego muru pozostał jeszcze z tej ściany ¹⁾. Obok niej jest jeszcze jedna kamienna izba, tym sposobem, jak pierwsza, wykuta, lecz mniejsza nieco. Nareszcie wchodzi się za pomocą wschodów, umyślnie na to przyrządzonych, do dużej izby na pierwszym piętrze. Uderza w niej osobiwie czworogranna w jej posadźce wykucie, mające postać głębokiej studni, wysoko piaskiem i kamieniami zasypanej. Z tej izby ciągnie się sklepiony wychód na skałę; w sklepieniu

¹⁾ Dziś i tego szczątko już niema.

jego widać między łupanym kamieniem kawałki cegły. Prócz tych wydrążeń, jest jeszcze w ścianie północnej jaskinia, jakby gwałtownym wpływem wody zdziałana, a w niej na lewo niża ogromna, podmurowana od spodu. Większa część wydrążeń zakopcona jest dymem i mchem obrosła. Ze środka tego zamczyska prowadzą głęboko kowane schody w różnych kierunkach, po całej skał powierzchni, aż do najwyższego ich szczytu. Są one mocno wydeptane. Na samym wierzchołku skały, z którego na promień kilkunastu mil w około zająrzeć można, jest otwór wielkości kociołka piaskiem uścielony...“ „...Taki jest stan obecny tych bołdów. Chcąc z dostrzeżonych dziś znamion wyrzec coś pewniejszego o ich przeszłości, potrzeba uważać kolej, jakiej wszystkie rzeczy podlegają. Cząstkowe osuwanie się ziemi, wystawiało je coraz bardziej na ciosy burzy i ludu, gnieźdzącego się w ich okolicy. Do przyrodzonych lub przypadkowych kęśłości, przybywały ręką ludzką zrządzone, które ze zmianą potrzeb czasu mnożyły się, lub przeinaczały. Wiek za wiekiem dotaczał tu swoje piętna, a stan ich dzisiejszy przedstawia nam przewyżkę sił, które się tylu wiekom oparły, i zawiera w krótkości ich dzieje. Są trzy okresy, do których wszystkie tu wyciśnięte znamiona odnieść się dają. Pierwszym jest okres tułaczego, po większej części pasterskiego życia czerwonych Chrobotów. Odznacza się on zamięłowaniem i czią przyrody, czyli wielobóstwem. Okres ten przeciąga się aż do ostatnich czasów bałwochwalstwa, i kończy się z jego upadkiem. Można twierdzić z niejaką pewnością, że za czasów tych przyrodochalców, miejsce tyle odszczególniające się w całej okolicy, było Bugajem, czyli miejscem świętem...“ „...Wyparte wreszcie i prześladowane wielobóstwo, mogło się, w miejscu tak mało dostępnem, do najpóźniejszych przechowywać czasów. W drugim okresie napady i pustoszenia Tatarów zrobiły to miejsce dla okolicznego ludu warownią, i do tego to okresu odniósłbym okopy, mury i fosse, o których wyżej namieniłem. Ku śledzeniu poruszeń nieprzyjacielskich, bardzo były nagodne wiodące pod wierzchołek schody, i wówczas to znaczny one otrzymały przyrost. Wreszcie, z ustaniem napadów tatarskich i wzrastającą bezsilnością rządu, służyło to miejsce za przytułek niejednej zgrai łotrów, która, prócz zakopconej tu i ówdzie kryjówki i powszechnego w umyśle ludu postrachu, żadnej po sobie nie zostawiła pamiątki“.

J. I. Kraszewski w dziele swoim p. t. „Sztuka u Słowian“ (Wilno r. 1860. A. H. Kirkor) pisząc o świątyniach, rozwodzi się szeroko nad małopolskim zabytkiem. Osobiście, niebył wprawdzie Kraszewski w Bubni-skach, powołując się jednakże i na cytowany powyżej sztych i artykuł

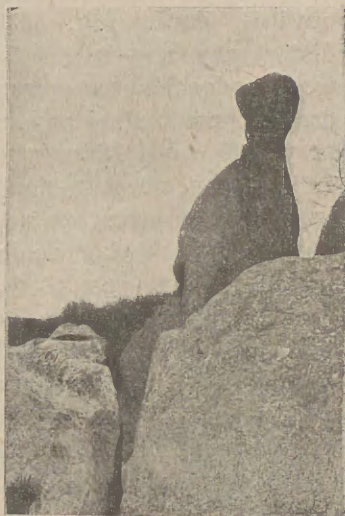
z „Przyjaciela Ludu“, wypowiada stanowcze słowa: „Niemamy nic w tym rodzaju drugiego, co by się z tem porównać dało i jest to pewnie jedyny szczątek z czasów poprzedzających drewniane gontyny słowiańskie.“ Religijne znaczenie bubniskich skał, podkreśla też Marjan Sokołowski, w pięknej swej i cennej pracy „Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy“ (Kraków 1876.)

Energiczny sprzeciw w stosunku do sądów tamtych badaczy wypowiada natomiast dr. Włodzimierz Demetrykiewicz w tomie VI, wydawanych przez krakowską Akademię Umiejętności „Materiałów Antropologicznych, Archeologicznych i Etnograficznych“ (str. 52.) którego zdanie nie od rzeczy będzie rozpatrzyć tu przy okazji.

Dr. Demetrykiewicz, wyszukawszy dowody że w skałce Rozhurecza gnieźdździł się w swoim czasie monaszekowice ruscy, nie rad słyszy o jakichkolwiek poprzednich lokatorach wschodnio-małopolskich uroczysk, którym wogóle wszelkiego związku z pogańską tradycją odmawia. Oto kilka w wyjątkach podanych argumentów ruśnickiego badacza:

„Oceniając te wszystkie wykucia w skałach bołdów, ściśle, przedmiotowo, spokojnie i trzeźwo, bez żadnego uprzedzenia lub sentymentu i zestawiając je z dochowanymi resztkami murowanych dobudówek, jako też ze sztucznymi grodami, opisanymi poprzednio, musimy dojść do przekonania że zarówno ze stanowiska technicznego wykonania owych wydrzeń, jak i ze względu na ich formę, niema żadnego racjonalnego logicznego, usprawiedliwionego powodu, poczytywać owe wykucia za dzieło człowieka przedhistorycznego, tylko trzeba w nich widzieć jedynie zabytki czasów historycznych“

„Niektórzy autorowie pragnący widzieć w polanickich bołdach zabytki epoki pogańskiej, przypuszczają, że owe groty zostały wyłobione w skale przy pomocy narzędzi kamiennych. Wychodzą oni w tym względzie z założenia dosyć rozpowszechnionego między dawniejszymi naszymi archeologami, ale oczywiście mylnego i nie usprawiedliwionego z dzi-



Fragment skał Bubniskich.
(Fot. A. Wisłocki).

siejszego stanowiska nauki i badań, że w naszym kraju w czasach przedhistorycznych były w użyciu przeważnie i prawie wyłącznie narzędzia krzemienne.“

A zatem: „Po szczegółowem i bardzo dokładnem obejrzeniu tych ścian — oświadcza dr. Demetrykiewicz — przekonałem się, że groty te w formie izb, zostały wykute w skale, przy pomocy dobrych narzędzi metalowych, sprawnie, starannie i wcale regularnie, tak, że zarówno ze względu na technikę wykuć, oraz obrobienia owych ścian jak i z uwagi że formy pował, naśladowujące płaskie sklepienie, jakoteż na kształty otworów dwiowych, naśladowanych z budynków murowanych czasów historycznych, — niema żadnego rozumnie i logicznie uzasadnionego powodu, odnosić czas powstania tych sztucznych izb aż do zamierzchłych czasów przedhistorycznych, owszem wszystko przemawia za tem aby je przypisać epoce historycznej.

Gdyby nawet wystąpiły na jaw jakie jeszcze szkrupuły (sic) w tym względzie, ja sędzę, że nie może żadnej wątpliwości ulegać, że dzisiejsza postać, czyli wykończenie ostateczne, wspomnianych sztucznych grot, w jakim one do nas doszły, pochodzi niewątpliwie z czasów historycznych.“

Brzmi to zupełnie tak, jakby w czasach historycznych pogaństwo było już anachronizmem, jakby twierdzenie, że komysze bubniskie nie zostały żłobione za pomocą narzędzi kamiennych, ustalało temsamem fakt, jakoby niemógł pogłębić ich bronzowem, czy nawet żelaznem już narzędziem, słowianin bałwochwalca!

Wychodząc tedy „w tym względzie z założenia“ także dosyć rozpowszechnionego nietylko między dawniejszymi ale i najnowszymi naszymi archeologami, ośmielam się tu sprzeciwić drowi Demetrykiewiczowi, twierdząc bez najlżejszych „szkrupułów“, że „niema żadnego racjonalnego logicznego, usprawiedliwionego powodu“ by nie poczytywać owych wykuć za dzieło całkowicie „historycznego“ poganina, chociażby nawet istotnie niezostały wyżłobione za pomocą narzędzi krzemienych. Między erą przedhistoryczną, krzemieną bowiem, w czasie której dzisiejsze kute izby Bubnisk, czy Rozhurcza, mogły być jeszcze, dużo płytszemi i nieforemnemi naturalnemi grotami, — a między chwilą osiedlenia się w nich ruskich czerńców, żyli na naszych ziemiach ludzie epok: bronzu i żelaza, mający zatem i narzędzia metalowe i bogów jakichś, którym się kłaniali. W tej — twierdzą tedy — niezmiernej przestrzeni czasu, dzielącej dobę historyczną od przedhistorycznej, było chyba miejsca dość i dla czerńców D-ra Demetrykiewicza i dla słowiańskich pogan. Ludzie epoki krzemiennej mieszkać tu mogli wiekami, nie siląc się wcale na gładzenie i pogłębianie,

naturalnych jeszcze podówczas pieczar. Czerńcy ruscy przyszedłby do gotowych już izb komyszy — gdyż zgoła bezsensownym byłoby dla przybyszów trud wykuwania dopiero w litej skale monasterów, i byłoby niechybnie zbudowali raczej drewnianą kontynę, gdyby nie okoliczność, że pogańskie świątynie nad Stryjem, Bóg nowy zastał już gotowe. I daleko zresztą prawdopodobniejsze, że skały nasze drażył rozmach bronzowej siekiery i wiara pogańskiego jakiegoś Wyrwidęba, niż wieloletnia żmuda wyposzczonych monaszków.

Jakkolwiek Kraszewski lat już temu sześćdziesiąt cztery — jak widzimy — uczynił co mógł aby uwadze ogółu wskazać to „cudowne miejsce“ pogańskiej parafji i znaczenie jego wytłomaczył, uroczyska nad stryjskie czekają wciąż jeszcze na godnego siebie badacza. A zauważyć jeszcze należy, że Kraszewski, zebrawszy wprawdzie sporo cennych szczegółów o naszych zabytkach rodzinnych, w ogóle, ale znając skały bubniskie tylko z opisów i wizerunku, omówiwszy jedynie główny kompleks skał, „świątynny“, — pominął zupełnie, wcale o niem nie wspominając, rozległe, naturalne, skaliste „podgrodzie“, zalegające wokół, niby miasto kamienne, zbocza całej wyżyny z grodziskiem właściwem pośrodku. Owo zaś podgrodzie, pełne baszt niby, kopuł zapadłych w mech po skronie, tynów olbrzymich, zwałów o kształtach dziwotwornych, ów jakby skamieniały macecznik turów, jaszczurów i słoni, powrastanych głąznami trąbami w płyty spadziste, głucho dudniące pod stopą, brzoza i świerczyną przyrosłe, mnogość gadzin i salamander, spotykanych w pobliżu źródła zwłaszcza, potęgujących i tak już bajkowy, koloryt uroczyska, — wszystko to, jest czemś tak niesłychanie fantastycznym i pięknem, że — gdyby to była „zagranica“, miałoby rozgłos i u nas. Tymczasem stanowi wciąż jeszcze osobliwość prowincjonalną, o której w Polsce, poza Małopolską i to wschodnią — głucho.

Bubniska i las dookolny należą do dóbr państwowych. Uproszcza to wielce troskę o bezpieczeństwo skał i uprawnia do nadziei, że z czasem zadba ktoś o jaką taką bodaj drogę od Tyszownicy i Bolechowa a wreszcie i o skromne choćby, ale umożliwiający nocleg schronisko opodal skał.

Wszelako nawet „kamień“ bubniski nie uderza tak odrazu jako miejsce zamierzonego jakowegoś kultu, jak misterna świątynka kamienna w Rozhurczu. Ma się ona do tamtych skał jak paryska Sainte Chapelle do Nôtre Dame na przykład.

Na południe od tego samego stryjskiego gościńca, naprzeciw Lubieniec, również po drugiej stronie Stryja, przez który przeprawić się tu

trzeba tratwą, na brzegu lasu, łączącego się z dworskim sadem P. Barańskiej, właścicielki wsi, stoi ta prześliczność odwieczna. I trzeba tu przybyć w czerwcu, gdy przez młody liść sieje się słońce na kamień, aby zdumionymi oczyma, w biały dzień, obaczyć zwiżdżisko cudowne.



Z Rozhurcza (rys. K. Młodnicki).

Litą bryłę jamneńskiego piaskowca, wspartą głęboko w lesistą zbocz wzgórza, wydrążyły niewiadome ręce celowo i kunsztownie. Pierwsza izba na dole, nieco tylko mniejsza od (naturalnej) Łokietkowej groty w Ojcowie (— po dokładne wymiary niech się potrudzi kto inny! —)

wykuta prostokątnie i bardzo czysto. Ma cztery wyziory, z tych dwa okrągłe, jeden owalny, a czwarty nieforemny i podmurowany, zapewne znacznie później, zaś w samym środku frontowej ściany drzwi, których wykroj obramiony od wewnątrz głęboką framugą, świadczy że otaczały je ongiś odrzwia drewniane. Żłobienia zewnątrz dowodzą również, że cały kamień pokrywało swego czasu ochronne wiązanie drzewne, niedocieczonego dziś kształtu.

Obok wielkiej izby, wejście do drugiej komory mniejszej, położonej niżej i bez okien. Służyła może na schowek, lub stajenkę dość ciasną. Kute, mocno wydeptane i strome schodki prowadzą na piętro. (Tu właściwa siedziba dawnych bóstw.) Spora, jasna salka z okapem u wnijscia i oknem od północy. Od wschodu okno drugie, kwadratowe, umieszczone wysoko w głębokiej framudze, niby okna starych klasztorów; wiodą do niego dwa stopnie, wysokie jak ławy. Po obu stronach mieściwe wnęki, kute w ścianie, drażone łukowato u góry. Wprost wschodniego okna, w pośrodku pięknie gładzonej ściany zachodniej, znowu wnęki trzy obok siebie, nieco mniejsze od tamtych, lecz tego samego kształtu. (Puste miejsca, w których ongiś stały czezone bałwanki.) Na lewo obok wejścia, głęboki podłużny wnęk, niby ława sypialna. I tu staranny zacios framugi, obramiającej od wnętrza otwory okien i drzwi, świadczy o pierwotnem uszczelnieniu i obudowaniu drzewem.

W tej świetlicy pewno razem z kapłanami mieszkali bogi, tu im składano ubożuchną obiatę. tu kapłani wróżyli pątnikom, odczytali się nad ogniem uroki, pełniły gusła. Bóstwa którym się tutaj kłaniano, nie mogły być nadto groźne ani wybredne. „Jadły“ to samo co ich wyznawcy, strzegąc wzamian wąskich pól i sadów, bielących się konopnych płócien i rybołówki.

Zgoła inaczej niż w Bubniskach, których potężne tyny trząść się musiały nieraz od „gniewu Perunnego“. Cicho tu było jednak starym bogom i przytulnie. Wygrzewał je ogień, obsługiwała miłość, całowały promienie wschodzącego słońca, a one siedziały sobie w tych kamiennych wnękach, zasłuchane w syk niegasnących płomieni, w szepty prośb poufnych, w obrzędowe, naiwne monotonne śpiewanki. Lat temu pięćset, albo może i mniej. Wszakże — jak mówi podanie — dopiero Jagiełło obadł wielkiego boga tych ziem i na miejscu gdzie posąg rozbito, wniósł mury drohobyckiej katedry. Do dziś widnieją wprawione wysoko w zewnętrzny, ceglany tyn tego kościoła olbrzymie kamienne szczytki: płaskie oblicze w spiczastej kuczmie, stopa i ręka bożyszcza.

Gdzie się podziały święte laleczki Rozhurcza? Pewno praśnięto

niemi także któregoś dnia o kamienną podłogę chramu a struchlałym ich piastunom obiecano trwalsze, łaskawsze.. Albowiem Moc Boża została po dziś dzień ta sama. Nazwy się jeno zmieniły i kształt.

Wierzch skałki, podobny do wysokiej stożkowej czapicy jaką ma na głowie bożyszcze drohobyckie, i jakie do dziś noszą chłopi w okolicy. Na froncie tej czapy kamiennej spostrzegamy niezbyt głębokie wżłobienie formy wydłużonego prostokąta, w którym mieścić się mógł od biedy płaski posąg wzrostu człowieka. Innego przeznaczenia tego wnęku trudno przypuścić, chyba że był może rodzajem kazalnicy w dnie świąteczne, tłem dla postaci kapłana, tembardziej że wiedzie do tego miejsca kuty umyślnie, wcale dogodny gzyms. Na samym szczycie, wzniesionym siwą łysiną w mech i borówki, ciemnie czworokątny, płytki otwór. Może niecono tu czasu wojny wici zwiastunne, może tkwił tron rzezanego w drzewie posągu?

A wszędzie, gdzie tylko siwy kamień dosięga, uwieczniona nieśmiertelność próżności ludzkiej: Nomina stultorum.

Opodal, z obu stron ścieżki leśnej, sterczą naprzeciw siebie dwa wysokie głazy, tworzące naturalną bramę, bez drzwi ni zawory, która wiedzie znikąd i prowadzi — nigdzie. Powyżej wesoły, bukowy las, przed oczyma widok prześliczny na Lubieńce, pola i błękitne wody Stryja. U stóp tajemnicze uroczysko, pełne odwiecznego chłodu w pieczarach i utajonych wspomnień. Coby człowiek dał za to, żeby mógł, cudem jakim, przywołać przed żywe oczy, którą ze scen, jakie się tu grały ongiś! Zachwycić coś nie coś choćby z zatraconego obrzędu i gestu, zasłyszeć bodaj strzępy tych pieśni i tego języka, jakim gadano wówczas. Chropawy on być musiał jak ten kamień, ale świeży jakiś i czysty, nie wyświechtany na marne. jak dzisiejszy, aż lepki od nadużycia.

I zrywa się w zdrożonym, zapędzonym w czasy duchu ludzkim, niezmierna tęsknota — do źródeł...

Kraszewski twierdzi że „bołdy“ nad-stryjskie mogą iść w porównanie jedynie ze świątyniami zabytkami Indyi, ma tu wszelako na myśli wyłącznie Bubniska. Rozhurecza nikt głośny dotąd nie badał i czas by się to stało. Otwarte granice na całą Polskę może zachęcą wreszcie gruntowniejszych badaczy niż dotychczasowi, do przybycia i zapoznania się z najstarszemi zabytkami rodzimego ducha na kresach. A tymczasem winno się pomyśleć nad skuteczną obroną bodaj, chroniącą piękną pamiątkę od poniewierki, bezczeszczącej bezbronny kamień. Desperacki bo widok przedstawiają owe oplakane drapanki, jaśniejsze od szarej patyny piaskowca, rzucające w oczy bylejakie imię bylejakiego „gościa“. Nic to

że przyjdzie po nim gość drugi i zdrapawszy pierwszego, sam się „wyskrobie“, jak to zresztą i sławetne Faraony egipskie czyniły, — ale przyjdzie następnie ze scyzorykiem gość trzeci i dziesiąty i setny.. Niewiem czy wogóle istnieje przeciw temu sposób, ufam jednak, że może przecie z czasem pismem słowem i przykładem dobry smak ogółu podniesiony zostanie o tyle, że wycieczkowiec, przybywszy de Rozhurcza czy Bubnisk, użyje tam scyzoryka jedynie do krajania swoich zapasów, pomimo że także tu dotarł i jakoś się nazywa.

Dziwne, że Kielisiński, utrwaliwszy w cudownie dokładnym sztychu, wedle natury każdy załom bubniskich „Bołdów“, będąc już tak blisko nie dotarł i tutaj, że tacy tędzy artyści jak Trusz i Œwikliński, rozumiejący tak doskonale wyraz kamienia, nieznaleźli ze Lwowa drogi ani do Bubnisk, ani do Rozhurcza, ani Urycza?..

Albowiem, między naftowem siodłem Schodnicy a zaciszną doliną Korczyzna, dźwiga się trzecia wspaniała grupa skał. O ile dwie poprzednie ciężkie są i raczej byzantyńskie — o tyle kamień urycki ma niemal strzelistość gotyku. Istna katedra, dominująca ze szczytu stromego wzgórza nad całą okolicą. Zygmunt Kaczkowski, badacz i wielki miłośnik tego zabytku, otwiera znakomitą swą powieść „Olbrachtowi rycerze“ dokładnym opisem Urycza.

„Skaliska te“ — czytamy tam — „znane powszechnie pod nazwiskiem „Kamienia w Uryczu“, dzielą się na dwie odrębne gromady, nie zdradzając napozór żadnego związku ze sobą.

„Jedna z nich, leżąca po drugiej stronie doliny, składa się też w istocie z kilkudziesięciu większych i mniejszych kamiennych brył, poprzerastanych czarnym jodłowym lasem, leszczyną i jałowcami“ „Natomiast druga gromada, więcej skupiona a stercząca ze stoku góry nad bezdemną przepaścią od północnego wschodu, uderza na pierwszy rzut oka, widokiem jakby ruin ogromnego i bardzo starożytnego zamczyska.

„Skalisty ten potwór, piętrzący się w chmury swemi pozostałemi basztami, a z jednej strony jakby nad samą paszczą piekielną zwieszony w którejkolwiek dnia dobie widziany, przejmuje podziwem i grozą.“ Dość rzucić okiem na te skaliska aby dostrzec że kiedyś, zapewne jeszcze w wiekach zamierzchłych, człowiek opanował tę w puszczech zatopioną dzikich zwierząt siedzibę i pracą wielu lat i wielu tysięcy rąk ludzkich, zamienił w zamek obronny. Albowiem na najwyższych szczytach tych skał widać izby wewnątrz wykute i wschody do nich wiodące a opatrzone kamiennymi gankami;“ „Z tych skał ogromnych, które się zwycięsko

oparły zniszczeniu wieków a wyglądają jak baszty lub wieże w gruz zapadłego zamczyska, dzisiaj jeszcze jest cztery.“ „O kilkanaście stóp poniżej iglic, znajduje się izba w skale wykuta opatrzona resztkami krużganku. Z tego krużganku na który jeszcze niedawno wejść było można po kamiennych, chociaż już bardzo oślizganych progach, również w skale wykutych, przepyszny nawet gołemu oku przestawiał się widok.



Kamień pod Uryczem (rys. Lange, około r. 1840).

Obejmował on bowiem kilkadziesiąt mil kraju, bogatego jak róg obfitości we wszystkie dary natury, płynącego od wieków mlekiem i miodem, a przerźniętego srebrnymi wstęgami Tyśmienicy i Stryja, Świcy i Dniestru i wielu innych rzek mniejszych“.

Kaczkowski, wyliczywszy podania do skał uryckich przywarłe, pisze dalej: „Powykuwane w naturalnych skałach izby i krużganki, wschody, nieprzemierzone pod dziedzińcem piwnice i dla gęstego powietrza dziś całkiem niedostępne pieczary, każą się tylko domniemywać, że są to roboty z czasów przedhistorycznych, z czasów takich, gdzie praca ludzka nie miała wartości, bo ją można było wygwałcić, ale epoki

ich nikt nie oznaczy. Znajdowane różnemi czasy w tutejszych dziuplach okrucy kamiennych posągów dziwotwornej postaci i kształtów, rozmaite kruszcowe i kamienne narzędzia, których użytku już niemożna odgadnąć, wygrzebywane wreszcie kociołki z pieniądźmi, o których wieść niesie, pozwalają przypuszczać, że dziwne te schowki i pieczary służyły niegdyś poganom jako świątynie i że może niejednokrotnie przechowywali się tutaj opryszki, których w tych górach po wszystkie wieki nie brakło. Na tem się kończą wszystkie widoczne ślady z tych czasów, które następne wieki przykryły swym pyłem“.

Ikonografja tych trzech „cudownych miejsc“ starosłowiańskiej pogańszczyzny, — o ile wiem — niezmiernie jest szczupła. Po Kielisińskim, który w r. 1836 wykonał znakomity sztych Bubnisk, na który powołuje się Kraszewski, rysowali je: Artur Grottger w r. 1866 i wielokrotnie powracał do nich mój ojciec ś. p. Karol Młodnicki, którego rysunki z natury i olejne studja na ten temat posiadam również. Ojciec mój pozostawił mi też przesłiczną swoją akwarelę Urycza, nigdzie dotąd nie reprodukowaną. W r. 1847 rysował Rozhurcze M. P. Stoczyński, którego litografię wydał K. Jabłoński we Lwowie. Niema ona jednak wartości artystycznej i ciekawa jest raczej jako dokument i rzadkość antykwarska. Fragmenty akwarelowe z Bubnisk widziałam też między szkicami Michała Sozańskiego. Pierwsze wartościowe ich fotografie zdejmował Edward Trzemeski, Urycza prof. Rudolf Zuber.

Lwów 1923.

Maryla Wolska.

O sposobie budowania schronisk w Tatrach.

Jak w przyszłości budować schroniska w Tatrach? Dotychczas postawione nie odpowiadają wymaganiom, niemożna zatem powtarzać tych samych błędów. Tymczasem coraz częściej słyszymy o zamiarach zakładania nowych schronisk w Tatrach, czy w miejsce już istniejących, czy też po raz pierwszy projektowanych, w mniej lub więcej szczęśliwie wybranych punktach. Sprawę budowy trzeba zatem zasadniczo ująć.

Przed uwagami o architektonicznej stronie niemożna pominąć kwestji przestrzeni polskiego obszaru górskiego. Otóż jest to teren niewielki, niemogący się równać rozmiarem z rozległemi Alpami. Zatem ilość

i gęstość schronisk w Alpach, niemoże być miarodajna dla naszych stosunków, a powoływanie się w tym wypadku na zagranicę jest niewłaściwe. Nam tylu schronisk niepotrzeba. Schronisko w Tatrach należy tylko tam budować, gdzie ono ze względów turystycznych lub narciarskich jest naprawdę potrzebne.

Z tą niewielką przestrzenią, jaką zajmują Tatry, a zwłaszcza w granicach Polski, łączyć się musi energiczna obrona ich charakteru, ich pierwotnej, pustynnej dzikości, ochrona krajobrazu i przyrody. Tymczasem wbrew tej zasadzie niezwykle piękno gór niszczy człowiek w zagrażający sposób. Spustoszenie doszło do takiego stopnia, iż obecnie każde nowe przedsięwzięcie w Tatrach powinno być przedmiotem sumiennej rozważki. Budowniczy schroniska musi się liczyć z charakterem górskiego pasma i krajobrazem, niemoże tworzyć rzeczy z nimi niezgodnej, wyrywającej się z otoczenia i krzykliwej. Dlatego ważnym jest należyty wybór miejsca pod budowę. Winno być możliwie ukryte i niewystępujące na pierwszy plan. Budowla otoczona lasem lub przywarta pod przełęczami do złomów skalnych, mało widoczna na ogólnem tle, jest najbardziej wskazana. O ile niema lasu, to sama już architektura schroniska, skromna i bez pretensji, decyduje o jego szarmonizowaniu z krajobrazem.

W miejscach zaś takich, gdzie urok dzikości stanowi właśnie o całym charakterze pewnej okolicy, jest jej główną siłą przyciągającą wędrowca, należy umieścić budynek w odpowiedniej odległości od pustynnego terenu. Tak n. p. dla Morskiego Oka miejscem racjonalnie założonego schroniska są punkty conajmniej o kilometr odległe od stawu. Jarmarczny zgiełk, hałas automobilów, brud, powstający w miejscu postoju dorożek i koni, należy przenieść zdala od ciszy górskiego zakątka. Zagradzać dostępu do Tatr niemożna, lecz napór człowieka na przyrodę trzeba unormować, ująć w pewne zasady w obronie przyrody i jej piękna.

W Tatrach budowano dotychczas albo rodzaj hôtelu czy zakopiańskiego pensjonatu, lub też zwykły domek, zbliżony do pasterskiego szałas. Nie stworzono natomiast tego, co stanowi istotę schroniska. Jest nią odpowiednie i wygodne urządzenie dla potrzeb turysty, powiedzmy cywilizacja wewnątrz budowli, prostota na zewnątrz. W dotychczasowych zaś typach schronisk tatrzańskich nie znajdziemy koniecznych dla turystycznych wymagań urządzeń, nawet w bardzo prymitywnym zakresie. To też skargi na brak celowości tych hoteli i szałasów są zupełnie uzasadnione. W konsekwencji nieodpowiedni podział wnętrza budynku i niedostatek urządzeń dla użytku turystów, powodował w znacznej mierze osławiony brud w tatrzańskich schroniskach.

Otóż trzy typy schronisk ustaliły się wogóle w dotychczasowej praktyce. Pierwszy — to schronisko większe, o charakterze hotelowym, w miejscach szczególnie ważnych czy to pod względem krajobrazowym, czy też w doniosłych punktach wyjścia dla turystów. Po nich idzie małe schronisko, jako punkt ochronny w razie niepogody lub miejsce noclegowe w pewnym rejonie. Trzeci wreszcie rodzaj, to zimowe schronisko, położone w ośrodku narciarskich terenów. W Tatrach, należących do Polski, pierwszy typ nadaje się w okolicy Morskiego Oka, na Łysej Polanie lub w Jaworzynie. Miejscem małych budowli dolinnych — to Pięć Stawów i Rostoka, szczytowych w rodzaju budki sypialnej — Krzyżne. Narciarskich zaś schronisk wymaga hala Pyszna i dolina Chochołowska.

Wspomniałem już, że schronisko niemoże się wrywać z otoczenia, że obowiązkiem budowniczego jest znalezienie harmonii między okolicą a architekturą budynku. Budynek powinien być bez niesmacznych pretensji, skromny, zbudowany przede wszystkim pod kątem celowości i użytkowości. Stając musi na terenie suchym, osłonionym od wiatrów i w pobliżu potoków lub źródeł.

W sprawie budowlanego materiału niemamy właściwie w Polsce żadnych doświadczeń; bo wszakże schronisk górskich niewiele u nas stawiano. Musimy zatem kierować się wskazówkami zagranicy. Otóż w Alpach, gdzie robiono bardzo liczne próby, praktyka wykazała, że ani kamień, ani cegła czy beton nie są wcale idealnymi materiałami dla budowy schronisk w górskim klimacie. Po dwudziestu latach doświadczeń następuje powrót do drzewa, zwłaszcza w schroniskach mniejszego typu i szczytowych. Za drzewem przemawia przede wszystkim łatwość budowania i zwózki, oraz bezwarunkowo największa suchość drewnianego budynku. To najważniejszy argument, skoro w górskim klimacie przez osiem miesięcy w roku panuje niemal niepodzielnie bardzo niska temperatura.

Konstrukcja drewnianego schroniska może być różna, najbardziej jednak wskazaną jest budowa ryglowa, najłatwiejsza ze wszystkich w wykonaniu, oszalowana na zewnątrz i wewnątrz, zaopatrzona w warstwę izolacyjną dla zabezpieczenia ciepła w środku budynku. Aby przeciwdziałać sile wiatrów, wiąże się drewnianą konstrukcję z fundamentem zapomocą żelaznych lin, ukrytych w szalunku. Od gruntu drewniana budowa winna być oddzielona warstwą powietrza to zn. musi się ją oprzeć na betonowych słupach lub kamieniach celem zabezpieczenia od wilgoci.

Atmosferyczne opady nakazują stawiać dach wysoki w myśl tradycyjnego budownictwa na Podhalu¹⁾. W takim praktycznym wiązaniu dachowym pomieszczą się wygodnie składy i magazyny. Schody, jak wszędzie w górskim klimacie, powinny być osłonięte dachem. Drewniane schronisko należy pokryć gontami. O ile zaś typ hotelowego schroniska stanie w murze, to wskazaną jest dachówka lub inny praktyczny materiał, byle tylko nie w czerwonym kolorze, którego należy bezwarunkowo unikać, jako wrywającego się krzykliwie z podhalańskiego i tatrańskiego pejzażu. Czarny kolor dachówki jest jedynie odpowiedni.

Rozkład wewnętrzny małego schroniska jest rzeczą ważną, a dotychczas u nas zaniedbaną. Wnętrze powinno obejmować sypialnię, małą kuchnię i mały pokój w rodzaju jadalni dla użytku turystów, niezatrzymujących się na nocleg, następnie suszarnię, oraz skład na strychu. Mała piwniczka może się znajdować w suterrenach lub poza budynkiem. Ze względów czystości i niemożności urządzenia higienicznej instalacji, ustęp i dół kloaczny trzeba budować poza schroniskiem. Oszczędność zaś miejsca w schroniskach typu ściśle turystycznego powinna powodować urządzenie sypialni sleepingowe, przyczem w miarę możliwości można zarezerwować osobny oddział dla turystek.

Karol Stryjeński.

Jak upiększyć Tatry?

(List miłośnika gór do redakcji „Wierchów“)

Szanowna Redakcjo! — Skoro godniejsi odemnie — taki pan Skoczyła (oczywiście Ludwik), natchniony wizjoner pięknej przyszłości Hali

¹⁾ Zaznaczyć wypada, że Sekeja Ochrony Tatr Tow. Tatr. na sprawę dachów nieco inny ma pogląd. A mianowicie wypowiedziała zasadę, że w terenach gdzie jeszcze napotyka się pasterstwo i szałas, schroniska mają mieć dachy wysokie, w stylu podhalańskim, („zrystosowanie etnograficzne“); schroniska zaś wyżynne mieć mają raczej charakter „koleb“, znikać zupełnie w otoczeniu, a przeto winny być niskie, o niskich dachach. Takie dach nadto łatwiej opiera się wichrom. Oczywiście jest natomiast, że opady lepiej odprowadza dach wysoki i stromy. Ale przecież dachy niskie mają też schroniska po słowackiej stronie Tatr, a także częste są w Szwajcarii. Kwestja ta więc zostaje na razie otwartą. (Przyp. Red.).

Gąsienicowej¹⁾, p. Makarczyk malarz Kościelca²⁾ i inni tej miary ludzie — nie zabierają głosu, ośmielam się ja, skromny miłośnik gór, powiedzieć słów kilka w sprawie upiększenia Tatr, w sprawie tak pilnej i doniosłej, która nam wszystkim chyba leży na sercu. Legitymacją moją jest tylko ukochanie dobrej sprawy i ta odrobina kultury, którą starałem się całe życie zewsząd skąd się dało gromadzić i wewnątrz swoje nią uszlachetniać.

Któż z nas, patrząc w piękny słoneczny dzień na nasze cudne Tatry, mieniące się w słońcu jak djamenty, nie odczuł żalostnej nagości innych szczytów w porównaniu z Giewontem? — Niby nic — mały i nikły z oddali krzyżyk — a przecież zdobi górę, podnosi jej urok, niczem klejnot na piersi dziewczęcia. (Piękne to dzieło podaję w załączonej ilustracji.)

Nasuwa się myśl, że gdyby nie wojna i odwrócenie uwagi patryjotów w inną stronę, byłyby może już na każdym szczycie drobna jakaś pamiątka, świadcząca że był tu człowiek myślący i czujący. — Wojna to przeszkodziła pracy kulturalnej, projektom świetnym i szerokim — ona to, powtarzam, i braki w skarbie Państwa są przyczyną tej zazdrości, z którą góry patrzą na Giewont! Ale czasy lepsze zaczynają świtać — perły rzucane dotychczas na śmietnik poczynają wschodzić nieśmiało jeszcze żdźbłami. Polska nasza widocznie się odradza gospodarczo i finansowo, marek bowiem jest coraz więcej, a więc czas wyjść poza sferę troski o rzeczy codzienne a zwrócić się w stronę wysubtelnionych potrzeb kulturalnego człowieka. Rzućmy światło na przyszłość rozwoju Tatr, naszkicujmy kilka estetycznych projektów choćby w marzeniu.



¹⁾ Zob. „Goniec krakowski“ Nr. 216 i 217 z r. 1922; w artykule tym podnieść należy oryginalność i świeżość motywów o „żołnierzyku polskim“ i wschodzie słońca, dających przeczuć już samym nastrojem marzony przez autora przyszły ideał Hali Gąsienicowej.

²⁾ P. Makarczyk w r. 1921 pomalował z własnej inicjatywy szlak na Kościeliec czerwoną farbą z pobudek humanitarnych z tak szeroką bezinteresownością, że odtąd małańki pierwszej klasy mogą tam chodzić bez przewodnika a nawet słyszeliśmy o ślepcu, który wyszedł na szczyt za tym szlakiem, kierując się zapachem olejnej farby.

Ku mojemu zdumieniu ktoś raz zarzucił mi że nie mam racji. Ależ panie, odrzekłem, to co pan tak brutalnie nazywa rozmiękczeniem mózgu, już pięćdziesiąt lat temu istniało za granicą. O pięćdziesiąt lat jesteśmy w tyle za innymi, a przecież mamy takie głowy i takie siły, że moglibyśmy daleko za sobą pozostawić Europę, a cały świat cywilizowany zbiegłby się do Zakopanego by z otwartymi ustami podziwiać cośmy zrobili z dzikiego, ponurego dotąd zakątka. Nawet Zulusi i Kafrowie oczom by wierzyć nie chcieli!

Mając taki teren, taki dziki ogród boży wyrosły jak z pod ziemi, pozostawiać go odłogiem? Nie! Upiększajmy, ozdabiamy, stańmy się bożymi ogrodnikami a przyszłe pokolenia błogosławić nas będą!

Morskie Oko patrzy na nas z wyrzutem: Czyż to godne mnie, ta drewniana buda bez komfortu, podobna brodawce na powiece żebraka? Mnie się należy monokl w złoto oprawny, hotel pierwszorzędny, terasa zachodząca na wodę, setki gondol wesoło płasających po mych czarnych falach. Mnie się należą altanki zaprojektowane w swoim czasie przez mecenasa S., t. zw. „utulnie“, otaczające mnie dokoła w odległości stu kroków jedna od drugiej, cudne gniazdzka dla zakochanych z widokiem na staw, kolejka linowa do Czarnego Stawu i wygodne, poręczą opatrzone schodki tamże, dla amatorów chodzenia na piechotę i tyle, tyle innych rzeczy!...

Na Hali Gąsienicowej znaczą się już piękne zadatki pracy kulturalnej. Szkoda wprawdzie że z powodu pewnych reakcyjnych wpływów poniechano pierwotnych planów schroniska. Był tam zameczek normandzki, był i klasztor, — przy jednym jak i przy drugim tyle sobie można było myśleć! Przesuwały się przed oczyma duszy obrazy tak drogie nam z literatury a tak zestrojone z przyrodą górską: jakieś raubrittery, historie o Sinobrodym, o samotnych pustelniach etc. Ręka artysty-architekty wskrzeszała cały świat baśniowy. Spodziewaliśmy się że niżej w lesie spotkamy się z elfami albo z zaczarowaną chatką z piernika „Knusperhekse“. Szkoda! Ale przecież buduje się gościniec, który doprowadzi na halę automobil i cywilizację; pociągnie ona potem dalej aż do Czarnego Stawu — i na Zawrat — i na Świnnicę! Wraz z p. L. Skoczylasem widzę już Halę Gąsienicową zabudowaną domami, zbudowanymi z komfortem europejskim, restauracje, kinoteatry i t. p. Postęp nie daje się powstrzymać. Wkroczy on zwycięsko do wnętrza gór... Z rozrzewnieniem myślę niekiedy o ogródkach froeblovskich, które tu w tym zdrowym klimacie górskim powstaną i będą nam wychowywać naszych milusińskich, przyszłość naszego narodu. Na miejscu dzikich

wrzasków juhaskich i kozich skoków góralskiego tańca, widzę już pokojowe rondo grzecznych dzieci, wirujące z pogodną piosnką „ojciec Wirginiusz uczył dzieci swoje“... Nie występuję ja przecież przeciw zachowaniu pewnych cech etnograficznych miejscowości, chodzi tylko o wybór i przystosowanie.

Są między piosnkami góralskimi niektóre wzruszające swą prostotą i naiwnością, a przeto nadające się do śpiewania dla dzieci. Przykład:

A nie mówił ci Janielu,
Nie chodź do karczemki z kądzielu,
Bo tam hamernicy tańczą
To ci kądziolczkę popsują.

Z tą piosnką możnaby też połączyć naukę o rzeczach: co to kądziołeczka? — do czego służy? i t. d. W ten sposób można skojarzyć pozytywne z przyjemnym.

W naszej epoce zjazdów będzie tu można urządzić kiedyś zjazd dzieci z całego świata i po szutrowanych ścieżkach poprowadzić rondo „ojca Wirginiusza“ dookoła Czarnego Stawu, zabezpieczonego naturalnie poręczami. Budki z sodową wodą, łabędzie pływające po stawie, koło szczęścia, ognie bengalskie... cały ten świat zaczarowany, podniesiony kulturą do potęgi, staje w marzeniach moich przed oczyma duszy.

Za granicą jest wiele t. zw. parków narodowych. A więc sławne: Luna-Park, Angol-Park, oraz Yellowstone-Park w Ameryce północnej. W tym ostatnim za mało pomyślano o zabawie, rozrywce i odżywieniu tłumu wycieczkowiczów. Już to wogóle pod względem duchowych potrzeb Ameryka stoi bardzo nisko. Cóż to za park w którym niema jednej budki z wodą sodową! To nawet nasz park Jordana w Krakowie wyżej stoi!

Pochwalić należy świeżo powstałą myśl uczynienia z Tatr parku narodowego, byleby to oczywiście nie było w guście amerykańskim. Teren nadaje się znakomicie do urządzenia „rutschbahnów“ i t. p. instalacji, gdzieby wszystkie stany mogły wziąć udział w powszechnej zabawie i radości, wiążąc przez to samo silniej budowę naszego demokratycznego Państwa. Nie będę wyliczał wszystkich cudów, które tutaj pomysłowy duch ludzki stworzyć może. Wspomnę tylko o niektórych urządzeniach związanych z właściwościami okolicy i turystyką górską. Oczywiście że szczyty powinny być dostępne dla wszystkich, — wymaga tego idea demokratyczna, jak to pięknie wywiódł p. L. Skoczylas w cytowanym artykule; dziwne to, że rzeczy tak prostej nie zrozumieli tak nie-

podejrzani, zdawałoby się demokraci jak pp. Czapiński i Kuźniar, którzy dali się złudzić reakcyjnemu ochroniarstwu. Oczywiście nie chodzi tylko o to, że Tatry powinny być dostępne dla bogatych i ubogich — bo to problem zbyt prosty, (niezamożni najmniej zresztą odczuwają potrzebę komfortu), — ale o to, że do równości mają prawo zdrowi i chorzy, mocni i słabi, kalecy, głusi, ślepi, starzy, bojący i idyoci. Piękna myśl wybudowania kolejki szczytowej na Świnnicę, tak niefortunnie przez reakcję pogrzebana, powinna być podjęta na nowo. Trzeba jednakże przyznać, że zastarzały przesąd oddawania pierwszeństwa chodzeniu na piechotę tak mocno jest ugruntowany, iż wypada się z nim liczyć. Nie wystarczy urządzenie ścieżek, chodników, poręczy i t. p., trzeba dać możliwość wychodzenia pieszo na góry nie mogącym wogóle chodzić. Jest na to doskonały środek w tak zwanych trottoires roulants, — przy ich pomocy można wydrapać się własnymi nogami na Mnicha nie robiąc więcej nad dwa lub trzy kroki w zupełnym bezpieczeństwie i bez nadwyrężania płuc i serca. Dla umożliwienia dłuższego spaceru na znacznych wysokościach wypadnie połączyć szczyty mostami. Co za wspaniała promenada zwłaszcza gdy doliny rozbrzmiewać będą muzyką kilkunastu orkiestr albo śpiewem góralskim wyrzucanym przez potężne gramofony na „Sabałową nutę“. Utrzymanie cech etnograficznych jest bowiem rzeczą ważną: stanowi ono atrakcję dla obcych, żądnych nowości. Trzeba więc stosować ornament góralski gdzie się da, np. ułożyć kamienie na dolinach w widne zdaleka leluje i parzenice; byłoby to obramienie dla klombów z szarotek i innych kwiatów górskich, po które nie trzebaby się wspinać narażając życie i ubranie. Możliwy też postawić tu i ówdzie wypchanego górala, który za wrzuceniem pieniążka w otworek, gwizdałby na palcach albo rozbrzmiewał z wnętrza nutą „Frajera“. — Na tem miejscu jedna bardzo ważna uwaga: oto góralszczyzna pod wpływem zdobywczej kultury zamiera i trzeba się z tem liczyć, że wkrótce zniknie zupełnie. Jakkolwiek takie zrównanie ludzi pod względem języka, ducha, spodni i marynarek jest w zasadzie objawem bardzo dodatnim, to przecież ucierpi na tem bądź co bądź oryginalność Tatr a wraz z nią i „Fremden-Verkehr“. Trzeba więc wcześniej pomyśleć o wypełnieniu powstającej luki — sztuką. To nie jakiś surogat, ale owszem, udoskonalenie. Wzniósłem zadaniem sztuki bowiem jest poprawiać naturę i z bezładnych, przez nią stworzonych elementów, budować całość prawdziwie harmonijną i estetyczną. W tym wypadku chodzi o stworzenie w miejsce górala naturalnego, górala sztucznego. Nie w znaczeniu manekina, bo do tej pory technika nie stała tak wysoko, ale w znaczeniu udoskonalonego naśladownictwa. Wy-

obrażam sobie że możnaby do tego użyć wyranżerowanych aktorów. Mieliby oni obowiązek niezbyt ciężki i całkiem odpowiedni dla emerytów, wylegiwania się cały dzień na szczytach w nienagannym stroju góralskim i udawania emerytowanych „koziarów“ i zbójników, którzy jakoby wyszli w te miejsca aby po raz ostatni spojrzeć na swe ukochane góry. Opowiadali by oni głodnym wrażeń turystom swoje awanturnicze przygody stylem Sabałowym, do czego przygotowałyby się odpowiednio lekturą Tetmajera, Witkiewicza, Stopki i t. d. Drobne niedokładności i niewłaściwości łatwo uszłyby uwagi lub były wytłumaczone osłabioną pamięcią tych starszusków. Chodziłoby głównie o zachowanie incognito i dlatego przyjmowanie poczęstunku w formie spiritualiów musiałyby być wzbronione, aby starszuskowie rozweseliwszy się nie przeszli od Sabałowego stylu do osobistych wspomnień, urozmaiconych „Pikusiwemi“ kupletami.

Na szczytach, oprócz tych żywych pomników tradycji, trzeba by pomyśleć o następujących urządzeniach: oczywiście ochrona jakaś od deszczu, (altanka, parasol blaszany i t. p.) luneta obracająca się ponad stolikiem, na którym oznaczone byłyby nazwiska gór widnych naokoło, no — i last not least — tablica z napisem: „zanieczyszczanie tego miejsca zakazuje się pod grzywną, względnie karą aresztu“. Dla zrównoważenia tego niemiłego policyjnego zakazu, możnaby zaraz obok umieścić drugą tablicę zawierającą wyjątek z jakiego poety np.: „W góry w góry miły bracie, Tam swoboda czeka na cie“ (W. Pol). Nie od rzeczy by też było umieszczenie blaszanej kozicy, do której goście wrzucaliby bilety wizytowe. Ustawiona na wystającym cyplu, widna zdaleka, przyczyniałaby się znakomicie do charakterystyki krajobrazu.

W krainie lasów, odpowiednikiem dla sztucznego górala ze szczytu mogłyby być sztuczne czarownice. Na to stanowisko nadawałyby się starsze, wymowne panie. Pobudowałyby im się chatki w miejscach romantycznych, gdzie kładłyby kabałę i pokazywały damom w czarodziejskim zwierciadle najmilsze grzechy ich przyjaciółek. Oczywiście dla uniknięcia paskarstwa należałoby ustanowić takse; np.: za zwyczajne złamanie wiary małżeńskiej 1000 Mp., za fałszywe perły 5000, za romans z furmanem lub sztuczne zęby 10.000, za sztuczny biust 20.000 Mp. i t. p. W każdej większej kępie paproci posadziłbym gnomy z teracoty; wszak w takim europejskim Karlsbadzie, a w Niemczech nawet w każdej małej miéscinie niema ogródka, w którym nie uśmiechałyby się poczciwie z pośród zieleni brodaty przyjaciel domu z kilofem i w czerwonej czapeczce. Dla zachowania kolorytu lokalnego oprócz gnomów możnaby zastosować swojskie dziwożony. Wzbogacilibyśmy w ten spo-

sób pierwiastek estetyczny zapożyczony z Zachodu. Co do zapożyczania się zresztą niemam żadnych skrupułów; ludzkość jest, lub powinna być jedną bratnią gromadą, dla której wszystko jest wspólne. I ze Wschodu więc także przyjąłbym jeden szczegół; *ex Oriente lux!* Widziałem w miastach rosyjskich otwory w trotoarach dla zatykania chorągwi na wszelkie „galówki“. Urządzenie bardzo praktyczne, które należałoby i w Tatrach zastosować, daczegoż bowiem ta perła naszej ziemi nie miałaby brać udziału w uroczystościach narodowych święconych w innych okolicach? Należy tedy powiercić dziury w skałach, w dolinach i na szczytach, a można sobie wyobrazić jaki wspaniały widok przedstawiałyby Tatry szumiące gęstą falą różnobarwnych chorągwi. Możliwy pobudzić ofiarnością prywatną dla fundowania coraz nowych dziur; dana dziura nosiłaby nazwisko fundatora. Oczywiście z czasem, gdy dojdziemy do 365 galówek i świąt narodowych w roku, chorągwie będą pomieszczone na stałe, — niedogodność i niepotrzebny koszt zdejmowania ich na dzień jeden w roku przestępnym, można usunąć w łatwy sposób przez zaprowadzenie święta roku przestępnego.

Jak we wszystkim tak i w przyozdabianiu Tatr należy zachować pewną miarę; jestto rzecz taktu i gustu, którą z góry trudno określić. Przestrzegalbym np. przed zbyt obfitem użyciem tak zwanych „confetti“, gdyż mogłoby to zmienić naturalny koloryt okolicy; również trzeba być ostrożnym w wyborze napisów na skałach. Same przez się takie napisy i obrazy są napewne dopuszczalne. Widzimy je wszędzie na Zachodzie a czynią one okolicę bardziej interesującą, mniej monotonną i niejako uczłowieczoną przez wprowadzenie pierwiastka ludzkiego w martwą przyrodę. Nic nie można mieć przeciwko takim napisom, które widzi podróżujący po Europie: jak *Maraschino di Zara*, *Apolinaris*, *Odol*, *Chocolat Suchard*, *Purgen*, *Van Houtens Cacao* etc., zwłaszcza jeżeli dają piękny efekt kolorystyczny. Te wielkie firmy światowe wniosłyby jakby jakiś powiew europejskości w Tatry, jakieś otwarcie szerokich horyzontów. Trzebaby więc zwabić je tutaj ofiarując rozmaite ulgi. Do ich miary dorastałyby nasze firmy krajowe. Nie wypada jednak dopuszczać napisów nieprzystojnych. Ale czyż dla samych tylko ogłoszeń istnieją wielkie płaszczyzny skał? Czyż nie możnaby ich także zastosować do pomieszczenia sentencji, jak to ma miejsce jeszcze dziś w salach jadalnych stylu „altdeutsch“? Takie sentencje wyczytane na wspaniałych turniach np. Mięguszowieckiego szczytu utkwiały niewątpliwie w młodocianym umyśle na całe życie. Wskrzесиć by tu można mądrość praocjów naszych, odmłodzoną przez powiew współczesnej kultury. Przykład: Módl się i pra-

cuj (brzmienie dawne; — brzmienie zmodernizowane:) módl się kiedyś w strachu i pracuj nie za dużo, — i t. p.

Rzecz prosta, że jedną ze spraw najważniejszych jest należyta aprowizacja, powietrze bowiem i ruch podniecają apetyt, a zresztą restauracja stanowi doskonały i określony cel wycieczki, bez którego chodzenie po górach jest tylko wałęsaniem się zgubionej owcy. Pięknie powiedział raz p. inż. Libański, że żaden przyzwoity i szanujący się człowiek, nie będzie latał po górach z bułką z szynką w kieszeni. — Nie wszędzie jednak dadzą się pomieścić restauracje. Dlatego proponowałbym w miejscach trudno dostępnych, wykuwać nyzę w skale, dla pomieszczenia w nich automatycznych bufetów („Bediene dich selbst“). Zresztą samo już polepszenie dróg pozwoli preclarzom, maroniarzom, żydówkom z pomarańczami, wózkom z lodami i lemoniadkami docierać w odległe nawet miejsca.

Ale zwróćmy oczy w inną stronę. Nie z samej zabawy składa się życie; Tatry czeka przecież także przemysłowienie. Wzniosły sygnał pracy, dzwonek na „fajerant“ albo lepiej syrena rozbrzmiewać będzie wkrótce ze Świnnicy. Tatry mają to szczęście, że do nich przyjeżdża dużo ludzi, z których każdy je kocha i każdy ma dużo czasu. Dlatego rodzą się tu z tego romansu pomysły, na które inne okolice czekałyby daremnie. A cóż jeżeli nie duch ludzki stwarza wielkie dzieła?! To też zdawałoby się, że niema w Polsce drugiego miejsca tak bardzo nadającego się dla rozwoju wszelakich przemysłów. Począwszy od wykałaczy i kołków do butów, do których tak wspaniały materiał znajduje się w lasach tatrzańskich, a skończywszy na złocie ukrytem w granicie, o wszystkim już pomyślano i myśl czeka tylko na wcielenie. Nie należy też zapominać o radium, które oczywiście musi być w Tatrach, ani o perłach, które niewątpliwie znajdują się w skałach pochodzenia morskiego, jak np. Giewont. Muszę też wyrazić zdziwienie, że kiedy mówi się tyle o sile wodnej, nie wspomina się dotąd o halnym wietrze, z którego za pomocą wiatraków i akumulatorów elektrycznych możnaby gromadzić potężne zapasy energii. W najbliższej przyszłości widzę już gęste pasma kolejek wożących tam i nazad kamienie, rudy, wapno, mikię, może perły i djamenty, kości zwierząt przedpotopowych, których pełne są nasze grotty¹⁾, a które tak dobrze nadają się na mąkę kostną, — jagody i grzyby

¹⁾ A propos grot: oczywiście, że po uprzątnięciu ich należy je gładko wybrukować, ciasne przejścia rozszerzyć i oświetlić elektrycznie. Moznaby je też spożytkować na zebrań towarzyskie np. „Promenade-Concerty“.

na konserwy, goryczkę, likopodium, płucnicę etc. etc. do aptek a wreszcie serki owcze, te perły naszych hal, jak mówi któryś poeta. Poza tem jednak, czas byłby najwyższy zakasować Szwajcarów wyrabianiem krajowego sera szwajcarskiego, nie ustępującego prawdziwemu ani pod względem woni, ani pod względem sumy dziur, ba, nawet przewyższającego go w jednym i drugim¹⁾.

Wykorzystanie siły wodnej powinnyby iść w parze z wykorzystaniem piękności potoków i t. zw. siklaw. Proponuję na początek ujęcie wodospadu w dolinie Pięciu Stawów w celach przemysłowych, jużto dla uruchomienia elektrycznej kolejki wzdłuż doliny Roztoki, jużto dla dostarczenia prądu celem oświetlenia promenady przez Świstówkę i Opalone do Morskiego Oka. Bieg wody skierowany bokiem na turbinę powinien dawać się za pomocą odpowiednich śluz sprowadzać do pierwotnego łożyska; skuteczniałyby to za opłatą i pociągając za łańcuszek z porcelanową rękojeścią specjalny funkcjonariusz wprowadzający gości do obudowania, które zakrywać będzie ów wspaniały widok przed oczyma profanów. Na obudowaniu tem winien błyszczeć wielki z kolorowych żarówek utworzony napis: „Sikława czyli Niagara tatrzańska“. Podobne urządzenie miałem sposobność oglądać w Tyrolu — a dlaczegoż mielibyśmy dać się wyprzedzić Tyrolczykom? Nie imponują nam już zresztą ich gołe kolana, gdy mamy goły swój stan urzędniczy.

Wydatnem źródłem dochodów mogą być także stawy tatrzańskie. Morskie Oko zwłaszcza, jak sama nazwa wskazuje, jest częścią morza i za dodaniem nieco soli mogłoby produkować wszelkie ryby morskie. Początek już zrobiony. W Muzeum tatrzańskim w Zakopanem znajduje się żąb Narwala. Po polepszeniu się stosunków polsko-czeskich, przybędzie wkrótce zapewne sam Narwał. Za nim ściągną inne ryby. Najwięcej liczę na flądry, które już nie od dzisiaj dostały zezna od zerkania w stronę portek góralskich. Powiadają, że na młodszym pokoleniu znać już nawet niekiedy wyraźnie rysunek parzenicy. Ponadto flądry są rybami bardzo płaskimi, skutkiem czego dużo się ich może pomieścić w stawie; wkrótce produkować je będziemy na eksport. Nawet produkcja ostryg nie jest wykluczona, a jakąż dumą rozpierać będzie serce i żołądek każdego patrioty przy spożywaniu u Karpowicza „ostryg tatrzań-

¹⁾ Aby nie zasłużyć na nazwę naśladowców możnaby spróbować wyrabiać ser z jedną, niezwykłych rozmiarów dziurą. Ten byłby wprawdzie z powodu kosztów wyrobu nieco droższy, ale wobec nadziei podniesienia się waluty naszej dzięki energicznemu uprzemysłowieniu gór, przypuszczać należy, że dziury staną się tańsze.

skich"! Możliwe różnice klimatu nie stanowią przeszkody; przyzwyczajenie i przykład zrobią swoje. Dla przykładu należałoby sprowadzić kilka poważnych osiwiiałych ryb z oceanu północnego, — będą one wzorem zahartowania dla młodzieży; dla starszych krabów możnaby zresztą poszyć serdaczki; piękne zadanie dla pracowitych paluszków naszych pań dobroczynnych. Nieznaczne kosztą pokryje tatrzański „dzień kwiatka“. Nasze anioły ścigać będą z puszką turystę przez wierchy i przepaście, u wejścia restauracyj i wszelkich instalacyj tatrzańskich.

Prawdziwy genjusz ekonomiczny, do którego zresztą niemam prentensji potrafi wyzyskać najskromniejsze na pozór źródła dochodu. I tak pozwolę sobie zwrócić uwagę na możliwość eksportu naszych borówek, w które Tatry tak obfitują, do Afryki, po należytem zareklamowaniu ich jako środka kosmetycznego dla murzynów. Tak gęsto skaczące po zlodowaciałych śniegach tatrzańskich pchły śnieżne, niezawodnie daleko lepiej są przystosowane do śnieżnych biustów niż zwykła pchła domowa; nawet przez skrzyżowanie z tą ostatnią da się osiągnąć korzyści w postaci zwiększenia jej odporności, co zmniejszy znacznie kosztą pchlich teatrów w interesie zarówno sztuki jak ekonomji narodowej. — Ale co tu mówić o rzeczach tak subtelnych, kiedy leżące jawnie przed oczyma każdego źródła miliardowych dochodów nie są wyzyskane. Pomyślmy ile znajduje się lasów w Tatrach, ile drzew w lesie i ile szpilek na drzewach... A wszystkie te szpilki idą na marne. Gdyby ich użyć do fabrykacji koniferynki, wedle wybornej recepty Raby Wyżnej, możnaby nasz bierny bilans handlowy zamienić na czynny i pokryć wszystkie niedobory skarbu. Z tychże szpilek, a zwłaszcza ze szpilek kosodrzewiowych, wyrabia się olejki wonne, któremi możnaby zniszczyć wszystkie smrody w Rzeczypospolitej. Ta czynność jednakże musiałaby być pod kontrolą Państwa, są bowiem wypadki, gdzie smród stanowi istotę rzeczy, a po jego usunięciu zostaje zupełna pustka; („śmierdzą więc jestem“ — wzdychał już wielki starożytny filozof).

Słusznie już nie od dzisiaj zauważono, że Tatry ze względu raz na swoją frekwencję, a dalej ze względu na wielką ilość taniego kamienia i wiele ścian skalnych jak stworzonych do zapisywania, nadają się doskonale na mauzoleum narodowe. Moznaby tu grzebać wielkich ludzi, a także otwierać widoki pogrzebania takim, którychby przez ten honor można zachęcić do prędszej śmierci; moznaby umieszczać pomniki, tablice pamiątkowe a samemi nazwami gór przypominać potomności, a zwłaszcza kształcącej się młodzieży nazwiska mężów zasłużonych lub wielkich dziejowych wypadków. W ten sposób Tatry stałyby się znako-

mitem źródłem pouczenia. Pragnąłbym tylko aby uwzględniono przy tem także stosunki lokalne i dano miejsce wybitnym osobistościom Podhala. Dla przykładu pozwolę sobie podać kilka projektów pomników odpowiadających zarówno potrzebie jak sentymentowi szerokich sfer. A więc: p. Uznański: w buzi migdał, na łańcuszku obłaskawiony kornik; a revers: w okolicy klucza szambelańskiego z ponurego tła wyziera ustawa lasowa i dekret w przedmiocie urzędów ochrony lasów z r. 1918; styl: Louis XV; napis: „Sézame ouvre toi“. Hrabia August: z tubką do wygniatania dzieł plastycznych w rękę, na dole kiszka jako model; napis w języku sjamskim: „Kutschu“; i t. p. — Dla tradycji należałoby w kompozycji pomników wyzyskać schemat pomnika Chałubińskiego, — a więc pomnik p. Czapińskiego: w miejscu Sabały z gęślikami, Stamara z pieskiem; — podobnie Witkacy z Karpowiczem, albo odwrotnie; doktor Mischke w transie eugenicznym, na stopniach pacjent z otwartą gębą i t. p. — Jakkolwiek nie sympatyzuję z ochraniarzami, to jednakże dla bezstronności a może dla jednego z powodów, które przytoczyłem powyżej, podaję jeszcze: profesor Pawlikowski w postaci Laokoona oplecionego kolejką na Świnnicę, — po bokach dwaj Laokonidzi: pp. Kuźniar i Kunzek; — p. T. Kornilowicz pod rączkę z niedźwiedziem, — napis: „Nie męczcie niedźwiedzi“; d. Gabryszewski pod skrzelkę z rybą, — napis: „Wdzięczne ryby“.

A propos „ochraniarzy“... Nie jestem przeciwny ochranianiu gór w pewnym znaczeniu, byle tylko ochrona ta nie stała w drodze postępowi i nie była zamaskowaną reakcją. Mieli zasługę „ochraniarze“, gdy wystąpili przeciw zanieczyszczeniu Tatr, ale i tutaj już okazuje się ich stanowisko zacofane, nie wyprowadzili bowiem z tej zasady odpowiedniej konsekwencji: nie pomyśleli o urządzeniu „tualet“, koszów na śmiecie i spluwaczek higienicznych. Co do pierwszego z tych urządzeń, to ze względu na wielkie odległości i na miejsca skryte w załomach skalnych i żlebach, należałoby symboliczne zera oświetlić przerywanem światłem elektrycznem, a nadto użyć sposobu stosowanego wielokrotnie przez kupców: automatycznego stukania w szybę, dla zwrócenia uwagi przechodzących. Dla kotów, gdyby się który tu zabłąkał, ustawić można skrzyneczki z piaskiem. Poza tem postawiłbym zasadę ochraniańia raczej ludzi niż martwych kamieni; a nie jestże komfort ochroną człowieka przed przykrościami i niewygoda? To też idea postępu musi zwyciężyć. Ale już to dla świętego spokoju, już dla zachowania do czasu jako curiosum pewnych przeżytków, zgódźmy się na to, aby jakąś mniejszą górkę oddać ochraniarzom na ich wyłączny użytek. Niech sobie tutaj

konserwują dziką przyrodę i prowadzą życie troglodytów; można też tam dowoli uprawiać „spinaczkę“, jeśli już panowie „spinacze“ nie zechcą poprzestać na namydlonym słupie. Łączy on w sobie idealnie zalety „spinaczki“: poważne trudności i zupełne bezpieczeństwo¹⁾. Na co jednak nie można pozwolić, to, aby ludzie zabijali się lub kaleczyli wskutek nieszczęśliwych wypadków i dlatego oprócz pneumatycznych podeszew służących do przyczepiania się do skały, chociażby głową na dół, niezbędnym jest rozciągnięcie nad przepaścią siatek bezpieczeństwa. Natomiast uważam, że nie można nikomu bronić przeniesienia się na drugi świat umyślnie, już choćby dlatego, że artykuł 101 konstytucji zapewnia obywatelowi swobodę miejsca pobytu (o ile oczywiście posiada potrzebne miliony dla wykupienia się do mieszkania). Do tego celu jednakowoż powinny być urządzenia specjalne. Można by pomyśleć o elektrycznych fotelach amerykańskich, służących do tracenienia zbrodniarzy, środek ten jednak zawiera mało poezji i nie odpowiada naszemu temperamentowi narodowemu. Dlatego proponuję środek inny, uwzględniający właściwości lokalne. Oto do ramienia tak zwanego „krzyża“²⁾ na Giewoncie należy przywiązać linkę, na której kandydat rozhuśtawszy się, mógłby wprost z wysokości tysiąca metrów, spaść do Strażysk. Sposób romantyczny, pewny i bezbolesny. Ma on jednak tę ujemną stronę, że zagraża spacerującym po dolinie osobom. Dlatego trzeba u linki przywiązać trąbkę, którąby można dać sygnał ostrzegawczy, podobnie jak to ma miejsce w kamieniołomie na Capkach przed wybuchem dynamitu. „Baczność! bo kopnę!“ — (oczywiście z tej wysokości dolatuje się tylko w formie płynnej). W każdym razie bezpieczniej będzie chodzić po Strażyskach z parasolem, na co powinien zwrócić uwagę turystów dr. Świerz w następnych wydaniach swego Przewodnika. Z grzebaniem denatów nie by-

¹⁾ Od zawodów na słupie wykluczony jednak musi być znany taternik p. dr. Kor-dys, a to ze względu na swój wzrost (przy ocenianiu na oko, bez pomocy aerometru lub triangulacji, 14½ m., podczas gdy słup ma tylko 10 m.); bez żadnego wysiłku mógłby więc wziąć wszystkie umieszczone na wierzchu słupów nagrody, co stanowiłoby nie-ljalną konkurencję. Zresztą spinanie się a raczej siadanie na wierchy, nie przedstawia dla niego żadnego ryzyka, z wyjątkiem normalnego ryzyka połączonego zwyczajnie z siadaniem na twardych i chropowatych przedmiotach.

²⁾ Tak zwany „krzyż“ na Giewoncie, jakkolwiek ma u góry krzyżową poprzeczkę, w niczem zresztą krzyża nie przypomina, niema też zapewne nikogo, kto by się kiedykolwiek pod nim modlił. Większe już podobieństwo ma do wiatraka amerykańskiego, albo do pomniejszonej wieży Eiffel. Z tego widać, że inicjatorem kierowały względy wy-lącznie estetyczne i celu też w zupełności dopiął.

łoby kłopotu; o ile niebyliby wymaczani bibułą dla odesłania krewnym w listach rekomendowanych — (ratami dla umniejszenia boleści) — wsiąkliby sami w ziemię a poczczenie pośmiertne mieliby takie samo, co i na cmentarzu zakopiańskim, chociaż i bez interwencji księdza Kaszelewskiego: i tutaj by nad nimi krowy ogonami na pacierze dzwoniły¹⁾.

Wracając do ochraniarzy trzeba wspomnieć jeszcze o ochronie zwierząt. Myśl bardzo humanitarna, ale niestety w zarodku skrzywiona i za ciasno ujęta. Po pierwsze tedy nie mogą się zgodzić na ochronę niedźwiedzia. Powiadają, że niedźwiedź nie zaczepiony nie rzuca się na człowieka. Ale cóż jeśli przez pomyłkę weźmie człowieka za wołu lub świnie? To wcale nie jest wykluczone. A potem — co to znaczy „zaczepiać”? Człowiek o krótkim wzroku naprzykład złudzony postawą niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach, zapyta w najlepszej wierze: „która godzina, proszę pana?” — nieszczęście gotowe... Zresztą czyż chodzi tylko o ból fizyczny sprawiony zębami niedźwiedzia? Czyż nie daleko wyżej stawić trzeba ból moralny spowodowany samą możliwością jego spotkania?... Przywiduje nam się za każdym krzakiem, za każdym kamieniem; własne odgłosy wewnętrzne spowodowane głodem mogą nam dać złudzenie pomruku niedźwiedzia i rzucić w przepaść!... Nie! — Na ochronę niedźwiedzia nigdy się nie zgodzę.

A teraz zarzut drugi. Ochrona — to zachowanie tego co jest. A gdzie postęp? — Ochronę musi uzupełnić aklimatyzacja nowych gatunków. Prócz pożytku ekonomicznego przyniesie ona piękne urozmaicenie krajobrazu i nie mały pożytek dydaktyczny dla uczącej się

¹⁾ Dla nieobeznanych ze stosunkami miejscowemi, wypada tu dać pewne wyjaśnienie. Ks. K. przy swem ustąpieniu z urzędu proboszcza, otrzymał był od gminy na własne życzenie do rozporządzenia stary cmentarz zakopiański — i oddał go pod opiekę zakonnicom. Odtąd cmentarz jest użytkowany jako pastwisko dla krów. Ludzie nieświadomi i powierzchowni ukuli z tego zarzut, iż jest to profanacja grobów ludzi zasłużonych jak Chałubiński, Witkiewicz i wielu innych. Całkiem mylnie! Inicjator krzyża na Giewoncie musiał tu mieć niewątpliwie myśl głębszą, chodzi tylko oto — jaką? Co do mnie, to sądzę, że ks. K. pozostaje pod wpływem pewnych wyobrażeń indyjskich. Prawowierny hindus chcąc mieć lekką śmierć musi trzymać krowę za ogon. Jest to więc zwierzę o znaczeniu sakralnem. To też ci, którzy przynoszą wieńce na groby, nie powinni się gniewać, gdy zostaną zjedzone; jestto rodzaj objaty — i trzeba raczej zważać na to, aby kwiaty były smaczne i należyście je posolić. Podobno też za inicjatywą ks. K. ma być w Zakopanem zaprowadzona pewna zmiana w obrządkach pogrzebowych; zamiast „requiem aeternam...” etc. ma się śpiewać: „vacationes aeternas doua eis Domine”. Bądź jak bądź inicjatorowi tych pięknych reform należy się pomnik z monumentalnym napisem: „Crux in Gevonte, in cimentario vacca”.

młodzieży. Weźmy parę przykładów. O zwierzętach wodnych mówią się już wyżej; z lądowych w pierwszym rzędzie przychodzą na myśl oczywiście osły, którym klimat w Polsce w ostatnich latach szczególnie sprzyja. Są to zwierzęta ambitne i przeto najodpowiedniejsze są dla nich stanowiska wysokie; Tatry więc powinny im szczególnie dogadzać. Wypadłoby tu założyć pepinię; klimat sprzyja rozwojowi płuc wzmacniając przez to głos, co u osła jest zaletą tak wielką, że zastępuje wszystkie inne. Wsluchiwanie się w ciszę górską rozwija uszy, to niezawodne znamię szlachetnej rasy. — Spełniając ten obowiązek wobec narodu, Tatry same mało zyskują na tej hodowli, osioł bowiem jako postać zbyt dobrze znana nie wnosi w krajobraz elementu urozmaicenia. Pod tym względem daleko cenniejszą będzie egzotyczna postać żyrafy. Zwierzę to, które natura przez pomyłkę umieściła na równinach, jest niewątpliwie zwierzęciem górskim; góry są bowiem wysokie i ono jest wysokie, objawia się w niem zatem tak jak i w górach tendencja pionowa. Doskonale też potrafi ona wyzyskać niedostępną dla innego zwierzęcia paszę, po którą sięgnie swoją długą szyją. O odporności na klimat niema powodu powątpiewać: żyrafa należy do gatunku zwierząt łąciastych, inne zaś zwierzęta tego samego gatunku jak np. krowy, psy czują się zupełnie dobrze w Tatrach. Co więcej klimat tatrzański wprost wywołuje łąciastość, tak że zwierzęta jednobarwne pokrywają się w nim z czasem łalami. Szczególne to zjawisko można obserwować zwłaszcza na ludziach. Po dłuższym pobycie w Zakopanem dają się spostrzegać najprzód dziury w odzieniu zwłaszcza w okolicy kieszeni, które potem gojąc się z wolna pozostawiają po sobie Tatry. Podobne łaty tworzą się na butach, a nawet niekiedy na skórze. Z tego to powodu prosperują tutaj zawody łąciarskie, jako to przyszywanie łątek do butów, albo przyczepianie łątek bliźnim. — Bardzo ubogim jest tatrzański świat ptasi. Z chwilą jednak kiedy dzięki staraniom pana Makarczyka na wzór Orlej perci powstaną perci gęsie i kacze, należy się spodziewać zlotu tych pożytecznych ptaków. Miejscowa ludność, jak wiadomo bardzo uzdolniona, z zapałem poświęci się oskubywaniu tych nowych przybyszów. — Niepodobna zresztą wyliczać wszystkich aklimatyzacyjnych możliwości, — zasadą powinno być: przyswajać co się tylko da. Wątpliwości pewne miałbym tylko co do małp. Te wyglądałyby wprawdzie bardzo malowniczo na smrekach i byłyby bardzo pożyteczne dla poprawienia rasy naszych wiewiórek, ale ze względu na teorię Darwina możnaby wziąć ich aklimatyzację za pewien rodzaj kultu przodków, co sprzeciwia się

światopoglądowi demokratycznemu — podobnie jak galerja portretów rodowych.

Zestawmy teraz nasz ideał Tatr kulturalnych, upiękuszonych, urozmaiconych nowemi elementami piękna i udogodnionych wszelkimi zdobyczami nowożytniej techniki, z owym sławionym przez ochraniarzy obrazem Tatr pierwotnych, barbarzyńskich. Spójrzmy. Oto na pięknej tarasie zwieszającej się nad szybą stawu, usiadło dystyngowane towarzystwo do becziaka, podobnie jak w Zakopanem u Karpowicza — tak swojsko tu — jakoś u siebie, — a w dodatku orzeźwiające powietrze i nastrój podniosły płynący ze śnieżnych szczytów. Brzmia tęskne tony walca, przerywane niekiedy wesołym odgłosem strzelających korków szampana... białe łabędzie... szelest jedwabnych sukien, inteligentna rozmowa, komfort... A teraz inny obraz... Czarne ściany jakiegoś dzikiego wąwozu... duje wiatr i zacina kurniawą... skalna koleba... legowisko z kosówek... z trudem podtrzymywana watra, wędzący się w dymie pod ocapem skały taternicy zziębniętymi palcami mieszają w szklankach patykiem herbatę; — no, i o czemże mogą mówić?; oczywiście, jakie towarzystwo taka rozmowa. — Pozostawiam ci do wyboru czytelniku, który z tych ideałów wybierzesz.

Ale, mimo wszystko różni są ludzie na świecie, a chcąc żyć spokojnie trzeba ustąpić tu i ówdzie, tembardziej jeśli surowe pierwiastki pierwotnych instynktów można przez kulturę podnieść do wyższego ideału. Proponujemy więc urządzenie dla mizantropów, poetów, artystów i t. p. osobnych „samotni“, gdzieby mogli szukać natężeń i używać dobrze zasłużonego spoczynku. „Samotnie“ te, mierzące około 50 m. w kwadrat, otoczone by były zbitym szczelnie z desek parkanem. Dyskretnie ukryte gramofony naśladowałyby ciszę górską. Klucz znajdowałby się u stróża najbliższego schroniska i byłby wypożyczany za drobną opłatą służącą do pokrywania kosztów oczyszczania samotni¹⁾. W razie żywszej frekwencji należałoby ustanowić takse od godziny. Dla czekających w ogonku swojej kolei samotników, trzeba by umieścić na drzwiach ostrzeżenie: „Uprasza się o zachowanie zupełnego spokoju dla nieprzerywania zadumy korzystającemu ze samotni“. — Urządzenie to zresztą dopuszczałoby różne ulepszenia i kombinacje. I tak za specjalną opłatą, osobny funkcjonariusz mógłby naśladować z za parkanu różne głosy natury, jak konika pol-

¹⁾ Wskazówka praktyczna: o ileby tylko wykluczono ze „samotni“ zdecydowanych desperatów, to wspomniane kosza zredukowałyby można prawie do zera przez gęste zasadzenie pokrzyw, która to kultura podnosi zresztą pożądanę wrażenie dzikości.

nego, kukułki lud dzięcioła. Dla samotników dramatycznych, nie byłby niemiłym ryk niedźwiedzia, do czego nadawaliby się dobrze starzy, nieużyteczni już zresztą, ochrypli mowcy wiecowi o silnych przekonaniach. Jednakowoż specjalność ta mogłaby być dopuszczoną tylko w stale oznaczonym dniu tygodnia i w stale oznaczonej godzinie, dlatego — co zresztą jest jasnym — aby nikt nie był narażony na przestrasz, ale ażeby owszem kulturalny turysta, znalazł pożądaną sposobność, do dania wyrazu w pięknym spokoju zrównoważonej samowiedzy swemu estetycznemu intelektualizmowi, w wypowiedzeniach takich jak np.: „Oto oryginalny głos dzikiej matki przyrody, odgrzebuający głębokie pokłady naszego ja uspione pod warstwami wieków i cywilizacji“. Funkcjonasze produkujący głosy natury powinny mieć odznaki urzędowe aby dać konsumentom gwarancję oryginalności i nie dopuścić do zafałszowań. — Możliwe też urządzać samotnie podwójne (100 m²), przeznaczone dla par samotniczych¹). W pewnych warunkach w samotniach tych dawałoby się przegrodę separującą z gęstej siatki drucianej, o ile możliwości kolczastej, co sprzyja wywołaniu uczucia tęsknoty pożądanego dla powstawania pewnego gatunku liryki.

Ochranianie żądają też ochrony tradycyjnej nomenklatury tatrzańskiej. Tradycja dobra jest do czczenia, ale nie do zachowywania. Zwłaszcza jeśli jest niedorzeczną, lub jeśli na jej miejsce można postawić coś lepszego. — Czyż zgadza się to z duchem czasu mówić o grotach Janosikowych i t. p.? Czesi uprzedzili nas nazywając Gerlach szczytem Masaryka, idźmyż przynajmniej w ich ślady. Gdyby utworzyć monopol państwowy nomenklatury, możnaby też osiągać piękne zyski ze sprzedawania nazw szczytów, stawów, grot i dolin. Możeż bowiem być piękniejszy i subtelniejszy podarek na gwiazdkę, jak ofiarowanie komuś nazwanie stawku lub dziury jego imieniem? — Ale myślny na razie choćby tylko o usunięciu w nazwach oczywistych niestosowności, a nawet niedorzeczności. Dlaczego na przykład Durny Wierch, ma się nazywać durnym, tak jakby już, nic głupszego od niego w Polsce nie było? Na Świnnicy nigdy nie widziałem świni — chyba metaforyczną, na halach Gąsienicowych nie spotkałem się z gąsienicą. Nawiasem mówiąc należałoby nareszcie wyraz „hala“ zacząć pisać przez *ch* (Chala) dla uniknięcia możliwych nieporozumień, jak np. w zdaniu „lubię halę“ lub, „byłem na hali“ co przecież dla kogoś nieobeznanego z nomenklaturą górską, niema najmniejszego sensu. Bardzo rażąca jest niewątpliwie

¹) W tym wypadku wykluczona jest kultura pokrzyw.

nazwa Kupy Królowej. Ze względu na ekspozycję tego miejsca nie może ona chyba nawet mieć znaczenia pamiątkowo historycznego. W każdym razie nie odpowiada dziś naszemu republikańskiemu ustrojowi i co najmniej winna być do niego dostosowana. — Sucha Woda — to niedorzeczność, — można sobie jednak tę nazwę wytłumaczyć jeszcze jako nieudolne określenie wody wyschniętej. Co jednak ma znaczyć Suchy Zadek? Genetycznie można tę nazwę wyjaśnić w ten sposób, że pierwszy turysta, który to miejsce odwiedził, zastał je suchem i, nie znając zapewne klimatu (skąd można wnosić, że był to cudzoziemiec) — sądził, że suchem zawsze pozostanie. Tymczasem oczywiście pierwszy deszcz musi rozwiać tę iluzję. Nazwa zaś wprowadza w błąd turystę, który — jak np. w ubiegłym mokrym sezonie — pragnąłby usiąść na czymś suchym, aby trochę pomarzyć — i doznaje zawodu. Kto wychodzi w piękną pogodę, z dobrze zorientowaną mapą na wycieczkę, ten w razie deszczu musi posyłać do Zakopanego po nową mapę, na którejby stała poprawna nazwa: Mokry Zadek. Nim jednak pan Zwoliński zdoła taką mapę wykonać, nastaje znowu sucha pogoda, Zadek obeschnie i nazwa staje się przestarzałą. Najprzykrzejszem w tej sprawie jest to, że człowiek nigdy nie jest pewnym, czy jest dosyć „modern“ i czy stoi na wysokości ducha czasu. Nie każdy bowiem jest geniuszem stającym na wspak opinii, jak ów młody poeta, który, kiedy w minionym sezonie wszyscy futuryści, fetoryści i fe-turyści przysięgali na Mokry Zadek, trwał niezłomnie przy Suchym, powtarzając z dumnym spokojem słynny cytat: „Choć mię zwyciężysz dzisiaj — przyszłość moja, i moje w przyszłym sezonie zwycięstwo“. Nie każdy jest geniuszem... więc ażeby uniknąć takich nieprzyjemności należy niewątpliwie nazwę zmienić. Ponieważ tylko przyczyny zewnętrzne robią to urocze miejsce mokrem lub suchem, a ono samo pozostaje zasadniczo neutralnem, nazwijmy je więc „Neutralnym Zadkiem“. Ma to jeszcze tę dobrą stronę, że wygląda niby uśmiech pojednania w stronę naszych „neutralnych“. którzy — miejmy nadzieję — potrafią to należycie ocenić. Precz z małodusznymi uprzedzeniami! Musimy przyznać, że w naszych „neutralnych“ zyskujemy w ostatnich zwłaszcza czasach, pierwszorzędny materiał letniskowy i turystyczny. Przynoszą oni z sobą kapitał, dystynkcję i wrodzony sobie zmysł dla postępu. Przyczynią się też w wysokim stopniu do podniesienia kultury, zarówno przemysłowej jak estetycznej w Tatrach. A jeśli chodzi o turystykę, nigdy nie widziałem modelowszych turystów. Raz obserwowałem całe towarzystwo w dolinie „Do Dziury“. Zupełny i wzorowy „dress“ turystyczny — jak z cennika insbruckiego, od podkutych butów do ka-

pelusza z krzywem piórkiem i borsuczym pędzlem, — kij alpejski, linka, raki, latarka, plecak najnowszej konstrukcji, konserwy, po których puszkach pozostały na ścieżce... jednym słowem wszystko — wraz z prawdziwie alpinistyczną postawą. Prawdziwy powiew kultury... Dlatego też porzućmy małoduszność, przyjmijmy i tych nowych przybyszów do naszego sanktuarium tatrzańskiego i dajmy im miejsce w naszym mauzoleum. Najodpowiedniejsze będzie pod Nosalem. Nosal oddawna już czekał na takie nadanie symbolicznego znaczenia jego nosom (odtąd „noses“). Tutaj to stanie kiedyś posąg pana Imerglücka, „cywilizatora Kościelisk“¹⁾ z tą piękną dewizą: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu...“ (Myciekiewicz).

Tym harmonijnym akordem kończę. — Zwracam się tylko jeszcze do czytelników, u których wywody moje sympatyczny oddźwięk znalazły z wezwaniem, aby zechcieli na ręce redakcji nadsyłać uwagi swoje i pomysły dotyczące upiększania Tatr. Zamierzam bowiem ogłosić w tej materii wyczerpujące dzieło, w którym pragnąłbym móżdżek powołać się na opinię najkulturalniejszych jednostek naszego społeczeństwa. Szanowną Redakcję zaś proszę, aby otworzyła składki na urzeczywistnienie rozwinętych tu pomysłów.

Miłośnik gór.

Życie roślinne w Tatrach.

Któż z nas nie kocha piękna Tatr? Napewno mało jest ludzi, którzyby, znając Tatry, nie podziwiali i nie pokochali ich majestatycznych granitowych monolitów, bieli ich urwistych wapiennych ścian i aksamitnej zieleni ich borów świerkowych. I nie jest trudno odpowiedzieć na pytanie, jakie momenty składają się na urok krajobrazu tatrzańskiego. Piękno i charakter jego, jak zresztą i każdego krajobrazu, zależnem jest od dwu czynników: od rzeźby powierzchni terenu i od szaty roślinnej. Ażeby dobrze poznać jakiś krajobraz, trzeba zapoznać się z tymi dwoma czynnikami. Chcę zaznajomić czytelnika z jednym z nich: z roślinnością. Rozumiemy dobrze, jak ważnym jest charakter roślinności dla każdego

¹⁾ Pan Imerglück zamierzał wybudować w r. 1921 u ujścia doliny Kościeliskiej hotel, czemu skutkiem intryg ochraniarzy Komisja rolna w drodze stanęła, unieważniając akt nabycia gruntu. Kościeliska zięją dotąd niekulturalną pustką.

krajobrazu: ona nadaje mu swe piętno i decyduje o jego istotnych cechach. Sahara nie byłaby Saharą, gdyby na niej rosła bujna roślinność, a krajobraz dżungli podzwrotnikowych to wygląd gąszczy leśnych.

Charakter i skład szaty roślinnej pewnej okolicy zależnym jest od 4-ech czynników: 1) klimatu, 2) gleby, 3) walki o byt i 4) historii roślinności. By głębiej wniknąć w charakter roślinności Tatr i aby zrozumieć, dlaczego takie a nie inne cechy ona posiada, musimy poznać zarówno te czynniki, jak i zależność flory Tatr od nich. Nie ograniczymy się wtedy tylko do znajomości pewnej ilości charakterystycznych roślin, ale zrozumiemy, dlaczego one właśnie w Tatrach rosną.

Niektóre z wymienionych czynników, np. warunki klimatu, gleby, nigdzie może nie zmieniają się tak szybko jak właśnie w górach. Z każdym metrem wznoszenia się ku górze zmienia się temperatura, wilgotność, insolacja; na każdym zboczu, zależnie od nachylenia zmienia się wpływ słońca, — tuż obok mamy nagie skały i bogatą w próchnicę ziemię uplazków, zarosli kosówki lub lasu i t. p. To też nigdzie może ta zależność szaty roślinnej od czynników zewnętrznych nie rzuca się tak w oczy, jak właśnie w górach, i dlatego-to studjowanie roślinności gór tak ciekawem jest dla każdego, kto się interesuje roślinnością. A czyż można się nie interesować temi przecudnymi polanami kwitnących krokusów (= szafran tatrzański, *Crocus scopusiensis* Rehm. A. Woł.), temi przedziwnie głębokiej barwy granatowemi gwiazdkami goryczki wiosennej (*Gentiana verna* L.), albo subtelnie wijącą się dokoła młodych smreczków powojnicą alpejską (*Clematis alpina* Lam.), które tak cudownie upiększają krajobraz górski? Czyż można obojętnie patrzeć na potężne pnie limbowe (*Pinus cembra* L.), na tragedję ginącego cisa (*Taxus baccata* L.), na walkę, jaką las świerkowy toczy na swej granicy z przepotężnemi, wrogimi siłami wicherów halnych, lawin śnieżnych i mrozów okrutnych? Tak obojętnym będzie chyba tylko ten, kto nie umie patrzeć na zjawiska przyrody, nie zna ich i nie rozumie, albo kto jest pozbawiony zupełnie zdolności reagowania na to, co subtelniejszą i wrażliwszą jednostkę porusza i interesuje.

Klimat Tatr. — Najważniejszym czynnikiem, jaki kształtuje szatę roślinną, jest niewątpliwie klimat, na który składają się: ciśnienie atmosfery, temperatura powietrza, insolacja, wiatry, opady i parowanie.

Ciśnienie atmosfery, chociaż w Zakopanem o 73 mm., a na szczycie Gałuchy o 209 mm. rtęci słabsze niż na poziomie morza, nie wywiera bezpośredniego wpływu na szatę roślinną. Będąc jednak w górach o tyle

słabszem, wywołuje rozrzedzenie górskiego powietrza i zmniejszenie się zawartości w nim pary wodnej, co zwiększa parowanie i insolację, a czynniki te są dla roślinności bardzo ważnymi, jak zobaczymy później.

Ważny wpływ na życie roślin wywiera temperatura. A wiemy, że im wyżej tem temperatura powietrza (mierzona w cieniu) jest niższą. Średnia roczna temperatura w Krakowie na wysokości 220 m. n. p. m. wynosi 7,8° C., w Poroninie (742 m. n. p. m.) 4,9° C., w Zakopanem



Szarotka (*Leontopodium alpinum* Cass.) Rośnie w Tatrach tylko na skałach wapiennych. Znajduje się też w Alpach i na Altaju; ciekawym jest jej brak na Uralu i na Kaukazie. Okrywający ją gęsty kутner białych włosków stanowi zabezpieczenie od nadmiernej utraty wody. (Ze zbioru klisz Muzeum Tatr.— (Fot. B. Wigilew).

(840 m.) 4,8°, w Kuźnicach (1000 m. n. p. m.) 4,3° C., w Jaworzynie Spiskiej (1019 m.) 3,4° C., a obliczona teoretycznie dla najwyższych szczytów Tatr (Garłuch 2663 m. n. p. m.) około —4,8° C. Jest to temperatura taka, jaką posiadają Szpicbergi, położone jak wiemy daleko po za kołem podbiegunowem na północy aż pod 80° szerokości geogr. północnej, a więc o 10 zaledwie stopni odległe od bieguna!

Trzeci czynnik klimatyczny, to insolacja, czyli bezpośrednie działanie promieni słońca na powierzchnię, na którą one padają. Określamy

ją za pomocą t. zw. temperatury insolacyjnej, mierzonej w słońcu. Otóż wskutek większego rozrzedzenia powietrza w górach i większej jego czystości, a mniejszej ilości pary wodnej, słońce silniej tutaj operuje. Wiemy jak szybko ludzie opalają się w górach, wiemy, że w zimie narciarze urządzają sobie kąpiele słoneczne na śniegu i nie marzną, choć w cieniu termometr wskazuje kilka stopni mrozu! Istotnie: im wyżej, tem słońce silniej grzeje, tem temperatura insolacyjna jest wyższą. W Zakopanem temperatura insolacyjna w słońcu dochodzi do $53,7^{\circ}$ C., gdy równocześnie w cieniu podnosi się do $25,4^{\circ}$ C. (1912 roku). Insolacja w górach wspiera rozwój roślin, zastępuje do pewnego stopnia zbyt niską temperaturę powietrza, silniej rozgrzewa glebę i przyczynia się do zwiększenia parowania.

Wiatry, których w górach o wiele więcej niż na nizinach, to także ważny czynnik klimatyczny. Powstają one w górach przez nierównomierne nagrzewanie się szczytów i zboczy górskich, jako wiatry lokalne, wiejące w pogodne dnie rano z dolin ku szczytom i wywołujące często zachmurzenie tychże oraz deszcze w godzinach popołudniowych; wieczorem zaś wieją od szczytów w doliny. Potężnym czynnikiem jest ciepły halny wiatr, który znacznie podnosi temperaturę i ogromnie zwiększa parowanie, a ten drugi zwłaszcza moment jest bardzo ważnym dla roślin. Mechaniczna rola wiatru jest też ważną: kładzie on nieraz pokotem całe zbocza lasu, grozi zniszczeniem każdej słabszej roślinie, pozwala rosnać na zboczach górskich tylko niskim, przyziemnym formom.

Opadów w górach im wyżej, tem więcej — przynajmniej do pewnej wysokości. Przyczyną tego są wymienione już lokalne wiatry wstępujące, wywołujące często deszcze i burze w godzinach popołudniowych, a także i to, że wielkie prądy atmosfery, ogarniające większe przestrzenie ładu, spiętrzone o górskie grzbiety, zmuszone są wznosić się ku górze, oziębiają się i kondensują nad górami parę wodną. Gdy np. w pewnym dżdżystym okresie lat (od 1896 do 1902 r.) ilość opadów w Krakowie wynosiła 738,7 mm., w Nowym Targu osiągnęła już 835,1 mm., a w Zakopanem 1215,9 mm. Przeciętnie w Zakopanem mamy 1180 mm. opadu rocznie i około 165 dni w ciągu roku z opadem. Najwięcej opadów przypada na lipiec, najpogodniejszym jest styczeń. Dla roślin nie jest rzeczą obojętną, z jakiego rodzaju opadem mają one do czynienia: z deszczem czy śniegiem. Mimo, że zima jest w górach najpogodniejszą porą roku, pada tu i leży śniegu dzięki niższej temperaturze bez porównania więcej niż na nizinach. Na Hali Gąsienicowej nieraz da się stwierdzić do 2 metrów gruba warstwa śniegu. Gdzie latem ciągną się nieprzebyte zarośla

kosówkę, tam zimą mamy równe, gładkie pustynie śnieżne, które swobodnie przebywamy na nartach. Znaczenie okrywy śnieżnej jest dla życia roślin w górach niezmiernie ważne. Stanowi ona doskonałą ochronę przed niebezpieczeństwem wysychania, co wobec wiatrów, silnej insolacji i szybkiego parowania, często grozi roślinom w górach. Mechaniczne działanie znacznego ciężaru mas śnieżnych wywiera także kształtujący wpływ na



Pierwiosnek Łyszcza k (*Primula Auricula* L.). Roślina skał wapiennych, o żółtych, pachnących kwiatach. Mięliste liście pokrywa nalot woskowy, co je zabezpiecza od nadmiernej utraty wody. (Fot. J. Małachowski).

formy świata roślinnego gór. Rośliny wysmukłe połamałyby się pod tym ciężarem, to też roślinność gór jest, jak zobaczymy później, przeważnie przyziemna, karłowata.

Zaleganie pokrywy śnieżnej warunkuje t. zw. okres wegetacyjny roślin, t. j. czas, kiedy rośliny mogą się rozwijać i rosnąć. Im wyżej, tem okres ten jest krótszym. Bardzo ciekawe cyfry, odnoszące się do ilości dni z pokrywą śnieżną, podaje prof. Romer według obserwacji z zim 1896/97—1904/5. Przeciętna ilość dni ze szatą śnieżną była w Nowym Targu 92, w Czarnym Dunajcu 104, w Poroninie 113, w Zazadniej 123. Z pewnych zestawień możemy obliczyć teoretycznie, że na wyso-

kości 745 m. n. p. m. (wysokość położenia Poronina 742 m.) śnieg leży około 3¹/₂ miesięcy, w Tatrach na wysokości 1245 m. — około 5¹/₂ miesięcy, przy 1445 m. (górna granica lasu) około 6¹/₂ miesięcy, a na wysokości 2145 m. (krajina ponad kosówką: górna alpejska) około 9-ciu miesięcy. Rzecz naturalna, że wachania w poszczególnych latach mogą być znaczne, a także różnice na zboczach rozmaicie nachylonych są bardzo wielkie. Tak krótki okres wegetacji jest oczywiście niezmiernie ważnym faktem, do którego rośliny przystosować się muszą. Rosnąć w górach mogą tylko te, które w tak krótkim czasie potrafią wypełnić wszystkie swoje zadania życiowe, lub przedewszystkiem rośliny trwałe, które rozłożyć je mogą na parę okresów wegetacyjnych: w jednym roku kiełkują z nasienia, zakorzeniają się i gromadzą zapasy, a w następnych kwitną i owocują. Jeśli zwrócimy jeszcze uwagę na fakt, że na pewnych wysokościach w każdym miesiącu może padać śnieg, że rośliny, rosnące tam, nieraz podczas kwitnięcia są narażone na jego działanie, to zrozumimy, dlaczego tylko tak nieliczne mogą egzystować w tych niegościnnych regionach.

Pozostaje nam jeszcze omówienie ostatniego czynnika klimatycznego, a mianowicie parowania. Jest ono w górach o wiele silniejszym, niż na dolinach. Przyczynia się do tego mniejsze ciśnienie powietrza, większe jego rozrzedzenie i mniejsza zawartość pary wodnej, silniejsze wiatry, zwłaszcza halny wiatr przy szybkim podnoszeniu się temperatury i rapidownem zmniejszeniu się wilgotności względnej, wreszcie silna insolacja. A parowanie jest dla roślin bardzo ważnym czynnikiem klimatycznym, do którego muszą się one przystosować. Wprawdzie w górach jest dużo opadów atmosferycznych, lecz dla rośliny jest ważną nie ta ilość wody, która spadnie w ciągu roku w postaci deszczu, ale ta, którą mają do rozporządzenia korzenie roślin w stosunku do zapotrzebowania wyparowujących ją liści. A tej często roślinom w górach brakuje. Gdy po okresach deszczu przyjdą dni suche, lub gdy nastąpią ranne przymrozki i zetną w twardą skorupę glebę na zboczach gór, wtedy roślinie brak wody. Brak ten stale się powtarzający wywołał szereg przystosowań się roślin górskich, zabezpieczających je od nadmiernej utraty wody, bo zmniejszających parowanie ich liści, wywołał powstanie form, które nazywamy suchorostami, czyli kserofitami, tak typowych dla roślinności górskiej. Stąd pochodzi to nieoczekiwane podobieństwo pod względem kształtów, jakie wykazują niektóre rośliny górskie i pustyniowe.

Przystosowanie się roślin do klimatu. — Najogólniejszym objawem zależności roślin od klimatu gór jest to, że w górach mogą rosnąć tylko te rośliny, które potrafiły przystosować się do trudnych warunków klimatu górskiego. Im wyżej, tem roślin takich mniej. W okolicy Zakopanego, według polskiego badacza Tatr, Kotuli ¹⁾, między 900, a 1000 m. n. p. m. rośnie 665 roślin kwiatowych, w lasach regli górnych 498 roślin, wśród kosodrzewiny gęstej 443 roślin, na wysokości Giewontu w krainie kosodrzewiu rozrzuconego 332 gatunków, wyżej 257 gatunków, a w najwyższych partjach Tatr, w t. zw. krainie płatów śnieżnych już tylko 82 gatunki. Na najwyższym szczycie Tatr, Gałuch, w wysokości 100 metrów od wierzchołka rośnie już tylko 16 gatunków roślin kwiatowych! Wskutek takiego zatrzymywania się roślin górskich na pewnej wysokości mamy do czynienia z t. zw. górną granicą zasięgu tych roślin oraz z wytworzeniem się leżących poziomo wzdłuż zboczy górskich jeden nad drugim pasów roślinnych. Wejdźmy na szczyt Gubałówki i spojrzymy w dół ku Zakopanemu i ku piętrzącym się po nad nim Tatrami.



Kozłowiec (*Aronicum Clusii* Koch) Piękne wielkie kwiaty barwy żółto-żółtej. W Tatrach rośnie tylko na granitach, i należy do tych niewielu roślin kwiatowych, które podchodzą na najwyższe szczyty, n. p. na Gałuch. (Fot. J. Małachowski).

¹⁾ B. Kotula: Rozmieszczenie roślin naczyniowych w Tatrach. Kraków. Akad. Um. 1890 r.

Od dolin podhalańskich i od Nowego Targu wcisnął się, wykarczowawszy las, człowiek z pługiem i motyką aż popod same regle Tatr. Pociął wolne od lasu przestrzenie w zagony i zagonki, przewraca „świętą ziemię“ pługiem, wsiewa w nią owiesek, bo już inne zboża tu się rodzić nie chcą, zbyt zimno im: nie dojrzewają; sadi jeszcze ziemniaki, choć często w maju przymarzają i w jesieni z pod śniegu je czasem wygrzebywać trzeba! A gdzie gleby zamało, gdzie zbocza pochyłe nie nęcą już ku sobie rolnika, tam walkę ze skalnym żywiołem gór toczy wojsko lasów ciemnych. Od poszarpanych turni Hawrania i Murania, aż po grupy zachodnich szczytów tatrzańskich, wzdłuż szosy do Morskiego Oka i drogi pod reglami czarnym mrowiem obsiadły lasy zbocza gór. Gdy patrzymy na nie na wiosnę lub w jesieni, doskonale się różnią dolne części lasów reglowych poplamione wiosną jasnymi, a jesienią barwnymi żółtymi i czerwonymi grupami jaworów, buków i modrzewi od górnej zawsze ciemnej części lasów, które prawie wyłącznie ze świerka są złożone. Dwa drzewa charakteryzują dolne części lasów reglowych: to jodła (*Abies alba Mill.*) i buk (*Fagus sylvatica L.*), które wśród boru świerkowego często się tu spotykają. Od wysokości średnio 1260 m. klimat już dla nich zbyt ostry i wyżej panuje już tylko świerk, tworząc tu czysto świerkowy bór regła górnego. Mieszany las regła dolnego odznacza się większą różnorodnością drzewostanów, obfitością i różnorodnością ziół, świerkowy zaś bór regła górnego bardziej monotony i uboższy w roślinność ziół, wśród których często obficie występują paprocie, podchodzi aż po górną granicę lasu¹⁾. Tu świerki karleją, stają się coraz niższe, coraz wyraźniej znac na ich pokurczonych, opanowanych przez porosty konarach walkę z zimnem i mrozem, z suszą halnych wiatrów i wichurami i kurniawami zimowemi, co strzegą nagich krzesanic. Pojedyncze drzewa pną się jeszcze po zboczach w górę, ale wreszcie i tych braknie i miejsce lasu świerkowego zajmuje kosówka. Ciemnym miękkim kobiercem wpęła ona na zbocza. Przyziemne, fantastycznie pogięte konary tworzą zwarty nie do przebycia splot wśród głazów i skał. Z początku gęsta i rosła, im wyżej — staje się drobniejszą i mniej zwartą i tworzy tylko rozrzucone coraz rzadziej kępy, które coraz bardziej maleją i rzadną. Wyżej już tylko trawy i zioła opanowują stożki sypiących się piargów, już tylko płaskie wirchy pokryte są darnią traw lub sita trójdzielnego (*Juncus trifidus L.*) czerwieniejącego na jesieni, od którego np. Czerwone Wierchy otrzymały swą nazwę,

¹⁾ Zob. ryciny załączone do artykułu prof. St. Sokołowskiego p. t. „Z krainy regli“, przedstawiające typy lasu regła dolnego i górnego.

a nagie urwiste ściany granitów i wapieni coraz mniejszej ilości ziół i krzewinek dają schronienie. Gdy pójdziemy w turnie i szczyty znajdziemy tam jeszcze z krzewinek wierzby karłowate, po których się depcze, jak po trawniku: są to te same, które rosną na dalekich tundrach północy Europy: wierzba siateczkowana (*Salix reticulata* L. zob. ryc.); nibyzielnna (*S. herbacea* L.), lub krzewiasta lapońska (*Salix Lapponum* L.). Nagie głązy pokrywa mozaika porostów naskalnych, które często nadają



Wierzba żyłkowana (*Salix reticulata* L.). Karłowata, przyziemna krzewinka, rosnąca w Tatrach i w północnych krajach podbiegunowych. (Fot. J. Małachowski).

górom swą barwę, jak np. rosnący na rumowiskach granitów, niesłusznie „maliniakami“ zwanych szaro-zielony porost: *Rhizocarpon geographicum* (L.) DC., lub na kwarcytowych ścianach „Żółtej turni“ tworząca jaskrawo-żółte plamy: *Acarospora chlorophana* Whlb.

Kotula podzielił roślinność Tatr na krainy i obliczył wysokość ich granic.

- | | | |
|----|---|----------------------|
| 1. | Kraina uprawy (piętro owsa) | 650—1000 m. n. p. m. |
| 2. | „ dolnych regli (po górną granicę buka i jodły) | 1000—1260 „ „ „ „ |
| 3. | „ górnych regli | 1260—1545 „ „ „ „ |

4.	Kraina kosodrzewiu gęstego	1545—1789	m. n. p. m.
5.	„ kosodrzewiu rozrzuconego	1789—1960	„ „ „ „
6.	„ górna alpejska	1960—2250	„ „ „ „
7.	„ płatów śnieżnych	2250—2663	„ „ „ „

Pierwsze trzy wraz z niższem piętrem (grabu od 400—650 m.) krainy uprawy wchodzą w skład dziedziny flory górskiej, ostatnie cztery tworzą dziedzinę flory alpejskiej czyli wysoko-górskiej.

Bezpośrednim rezultatem reagowania roślinności gór na niskie temperatury i na fakt, że rośliny gór zaczynają się rozwijać na wiosnę dość późno, kiedy dzień już jest długi, a noc krótka, jest przyziemność, karłowatość flory gór, tak charakterystyczna dla najwyższych partyj. Wiemy, że ciepło i ciemność przyspieszają wzrost roślin; znamy dobrze wyrastanie w górę roślin zbyt gęsto sadzonych, więc zbyt ocienionych, np. zbóż lub lasu; wiemy, że rośliny bardziej rosną w nocy niż w dzień, — odwrotnie zimno i silne światło tamują wzrost. A w górach jest zimno, rośliny rozwijają się, gdy noce są już krótkie, a dzień długi, intensywne światło górskiego słońca też swoje robi, — rezultatem jest owa karłowatość flory. Same nazwy roślin górskich już ją zdradzają: dziewięciśl bezłodygowy zwany tu dziewięciornikiem (*Carlina ocaulis* L.), goryczka bezłodygowa (*Gentiana Clusii* Perr. et Long.), jałowiec karłowaty (*Juniperas nana* Willd.), pierwiosnka drobna (*Primula minima* L.). Cały szereg roślin górskich odznacza się łodygą przyziemną, płozącą się, jak np. wierzby karłowate, o których już mówiliśmy; inne tworzą rozetki liści u nasady łodygi, jak liczne skalnice (*Saxifraga*) lub też tworzą poduszczkowate darenki, podobne do znanych powszechnie poduszek mchów. Gdy różowo kwitną na wiosnę poduszki lepnicy bezłodygowej (*Silene ocaulis* L.), często słyszeć można uwagi ludzi nieświadomych, że w górach mchy kwitną różowo!

Takie formy roślin górskich mają doniosłe dla nich znaczenie jako zabezpieczenie od nadmiernego wyparowywania wody. Rzecz zrozumiała, że niskie, przyziemne formy a zwłaszcza formy poduszczkowate, tworzące wewnątrz swych darenek gąbczastą masę próchnicy, zatrzymującą wodę, o wiele bardziej są zabezpieczone od wysychania, niż formy wyniosłe, na wietrze rozpościerające swe liście. To też nic dziwnego, że takie poduszczkowate rośliny spotykają się zarówno wśród roślin pustyń, jak i na nagich skałach w górach. Ważnym z tego samego względu jest stosunek drobnych, wyparowujących wodę części nadziemnych roślin do silnego systemu części podziemnych: korzeni, bulwek lub kłączy, które wody dostarczają, a które u roślin górskich często są bardzo

silnie rozwinięte wymienię tylko goryczkę kropkowaną (*Gentiana punctata* L.) i rozchodnik różowonny (góralaska: „Czarna róża“, *Sedum Rhodiola* Dc.), z których to obu roślin części podziemne są używane w leczeniu ludowem.

Jako zabezpieczenie od utraty wody możemy także uważać formy liści mięsistych, grubych, zbliżających się do kształtu kuli, owej idealnej formy o najmniejszej powierzchni w stosunku do największej masy, a wszak parowanie odbywa się tylko na powierzchni z zapasów wody wewnątrz liścia ukrytych. Takie liście mamy u rojnika górskiego (*Sempervivum montanum* L.), kwitnącego różowo i u rojnika ze skał wapiennych (*S. soboliferum* Sims.), kwitnącego żółtawo, także u licznych rozchodników (*Sedum*), a wreszcie nawet jedna pierwiosnka: pierwiosnka łośszczak (*Primula Auricula* L.) pospolita na skałach wapiennych ma także liście mięsiste, grube, a przytem pokryte białawym nalotem wosku, też zmniejszającym parowanie, (zob ryc.). Trzy skalnice tatrzańskie: skalnica gronkowa (*Saxifraga aizoon* Jacqu.), seledynowa (*S. caesia* L.) i naprzeciwlistna (*S. oppositifolia* L.) mają liście mniej lub więcej pokryte nalotami wapna, wydzielanego wraz z wodą przez szparki wodne na liściach i osadzającego się na nich, co także niewątpliwie zmniejsza parowanie.

Wreszcie i kutner włosków, którym tak pięknie pokrytą jest szarotka (*Leontopodium alpinum* Cass.; zob. ryc.), a częsty i u innych roślin górskich, też możemy uważać za cechę, zmniejszającą parowanie.

W ten sposób widzimy, że roślinność gór bardzo różnorodnie chronić się musi od nadmiernego wyparowywania wody. Nic dziwnego: rośliny gór to dzieci wysuszających wichrów halnych i palących promieni górskiego słońca.

Mówiąc o krótkim okresie wegetacji w górach zwróciliśmy uwagę na to, że w górach rosną przeważnie rośliny trwałe, wieloletnie, gdyż nie co roku klimat górski pozwala im rozrzucić swe nasiona. Ale również szereg cech morfologicznych ułatwia roślinom egzystowanie w górach. Wszystkie te cechy, które rozmnażanie się czynią łatwiejszem, szybszem, za takie uważać możemy. Będzie więc to znaczna wielkość kwiatów, charakterystyczna dla roślinności gór (np. u goryczki bezłodygowej, *Gentiana Clusii* Perr. et Long.), żywe barwy i silny zapach, wabiące owady (pachnący pierwiosnek łośzczak, *Primula Auricula* L.), ułatwiające w ten sposób zapylenie, — a dni pogodnych i kręcących się podczas nich owadów w górach mało, — to są wszystko cechy ułatwiające utrzymanie się danego gatunku roślinnego w górach.

Moglibyśmy przytoczyć wiele jeszcze cech roślinności tatrzańskiej, wskazujących na ścisłą ich zależność od klimatu gór, lecz wąskie ramy artykułu nie pozwalają na to.

Znaczenie gleby i walki o byt dla roślinności gór. — Z gleby rośliny czerpią swe pożywienie i ona decyduje o zbiorowiskach roślinnych. Zależy to zarówno od warunków mechanicznych, jak i składu chemicznego gleby. Inną jest roślinność gleby pulchnej, bogatej w próchnicę, inną biednych gleb naskalnych. Jak trudne np. warunki wytwarza ruchomy, sypiący się ze zboczy górskich piarg. Osiedlić się na nim mogą tylko rośliny o silnym, głębokim systemie korzeniowym, który trzyma roślinkę mocno i nie pozwala na jej zniszczenie przez sunące kamyki. To też niewiele roślin tu się osiedla: są to niektóre wierzby karłowate, szczawiór (*Oxyria digyna* Campo), dębik ośmiopłatkowy (*Dryas octopetala* L.) i t. p. Rośliny te nie tylko, że tu potrafią rosnąć, ale po pewnym czasie opanowują terenem do tego stopnia, że utrwalają ruchome stożki piargu i całkowicie je porastają. Skład chemiczny gleby gra także wielką rolę. Na halach, koło szałasów, gdzie występuje nadmiar związków azotowych z powodu przenawożenia, spotykamy odrębną charakterystyczną roślinność. Tu rosną o olbrzymich liściach szczaw alpejski (*Rumex alpina* L.) i szereg pospolitych chwastów. Bardzo czułe są rośliny na obecność w glebie wapna. To też wybitnie różni się flora części wapiennych Tatr od roślinności Tatr granitowych. Szereg roślin tatrzańskich rośnie tylko na wapieniach, tak szarotka np. nie spotyka się zupełnie wśród granitów. Taksamo zachowują się wymieniane już: pierwiosnka łąszczak, dębik ośmiopłatkowy i powojnica alpejska. Przeciwnie, znany naprzykład kozłowiec (*Aronicum Clusii* Koch.; zob. ryc.) rośnie tylko wysoko na granitach. To też z dumą zakładają za ubranie turyści, wracający z wycieczki ogromne złoto-żółte gwiazdy jego kwiatów na znak, że byli na najwyższych szczytach granitowych.

Jeśli byśmy się zapytali, dlaczego rośliny górskie nie rosną na nizinach, to w odpowiedzi bynajmniej, jakby się wielu może czytelników spodziewało nie możemy wskazać na klimat, jako na nieodpowiedni dla roślinności gór. Przeciwnie, większość roślin górskich zupełnie dobrze znosi klimat nizin. Przyczyną jest tu walka o byt, tocząca się wśród roślin z niemniejszą zaciętością, jak i wśród świata zwierząt. Oto plenniejsze rośliny nizin, zagłuszają tam każdą roślinę górską, zacięnią ją swymi wyniosłymi pędami i w rezultacie zaduszą, o ile nie będziemy jej pielęgnować i oplewiał. W górach klimat nie pozwala rosnąć chwastom

nizinnym i wobec braku ich konkurencji roślinność górską, mało wprawdzie plenna, ale zato wytrzymała na warunki klimatu rosnąć swobodnie tutaj może.

Znaczenie historii roślinności Tatr. — W olbrzymich eonach czasu, jakie ma już poza sobą nasza ziemia, roślinność rozwijała się stopniowo, wytwarzając coraz to wyższe formy, zmieniając się zależnie od zmian klimatycznych i odbywając liczne wędrówki. I roślinność Tatr nie zawsze wyglądała tak, jak wygląda dzisiaj. Są na to niezbite dowody, że w odległych epokach geologicznych istniały na terenie Tatr flory zupełnie niepodobne do dzisiejszej. Z roślin ówczesnych nie przechowała się do dzisiaj w Tatrach żadna i tylko geolog i paleobotanik potrafią odszukać ich zwęglone lub odcisnięte resztki. Dopiero bezpośrednio poprzedzająca nasz klimat epoka geologiczna pozostawiła w składzie roślinności Tatr wiele śladów.

Okres zlodowacenia północnej Europy, który zniszczył florę cieplejszych klimatów, wywołał szereg wędrówek roślinnych na obszarze ziem polskich. Z gór Skandynawji posuwał się olbrzymi lądolód i pokrył teren dzisiejszego Bałtyku i całą prawie niziną Polskę, zasypując ją swymi glinami i zwałami bloków skalnych, przyniesionych ze Skandynawji, aż mniej więcej po linię górnej Odry, Krakowa, Przemysła, Lwowa. Po przed jego krawędzią rozsiewała się, wędrując w ten sposób na południe, roślinność dalekiej północy i przybyła aż na ziemię Polski. W Tatrach równocześnie utworzyły się miejscowe lodowce, wypełniły dna dolin i spędziły roślinność szczytów w podgórskie okolice. W ten sposób spotkała się roślinność dalekiej północy i roślinność gór na terenie podkarpackim. Lecz po wiekowych wahaniami lodowce definitywnie pod teńnieniem cieplejszego klimatu zaczęły się kurczyć, maleć, odsłaniając dziewiczą powierzchnię ziemi. Za nimi wędrowała, rozsiewając się flora ówczesna. Lecz klimat ocieplał się coraz bardziej i napływać zaczęły na nizinę Polski nowe rośliny ze wschodu ze stepów Rosji i drogą Morawską z zachodu, z niziny Pannońskiej. Zmieszana roślinność gór i północy została tu zagłuszona i wyginęła. Schroniła się zaś, wędrując za lodowcem w północne krainy i uciekając na południe na szczyty górskie. Stąd dzisiaj mamy ogromne podobieństwo flory Tatr i dalekiej północy. Możemy wymienić kilkadziesiąt roślin, które dziś znajdujemy zarówno na szczytach tatrzańskich, jak i w odległych krajach podbiegunowych. Są to: jaskier lodnikowy (*Ranunculus glacialis* L.), wymieniane już wierzby karłowate, dębik ośmiopłatkowy, skalnica gronkowa i naprzeciwlistna, lipnica bez-

lodygowa, a także goryczka śniegowa (*Gentiana nivalis L.*) i t. p. W ten sposób historia roślinności tłumaczy nam ten dziwny fakt, że Tatry mają wiele gatunków roślinnych wspólnych z krajami daleko na północy leżącymi.

Tak przedstawiliśmy związek, jaki istnieje między roślinnością Tatr, a czynnikami, które wpłynęły na jej ukształtowanie. Kto jednak chciałby bliżej zapoznać się z tym barwnym i wonnym światem roślin, który tak bogato, tak przecudnie zdobi nasze góry, niech poświęci mu nieco czasu i uwagi, a przekona się, o ile bogatsze i pełniejsze otrzyma wrażenia, które dadzą mu wędrówki po górach przy wszechstronniejszym i dokładniejszym ich poznaniu.

Zakopane, w grudniu 1922 r.

Konstanty Stecki.

Kłusownicy i zwierzyna w Tatrach.

Kłusownicy! Gdzież ich niema? gdzie tylko jest las i zwierzyna, woda i ryby; nawet niziny bezleśne nie są wolne od nich, a cóż dopiero góry, i to takie góry jak Tatry. Dalekie od siedzib ludzkich, bogate w zwierzynę, trudne do nadzorowania, przedstawiające mnóstwo komyszy i schowków tak dla zwierzyny jak i dla strzelca chcącego się ukryć, gdzie można zniknąć na całe tygodnie, ba na miesiące, jak tego dowiedli nieraz dezertrzy ukrywający się w górach przed służbą wojсковą, usposabiają Tatry szczególnie do kłusownictwa.

Lud tutejszy zdawna wolny, bo Tatry były królewszczyzną, nie nękanie pańszczyzną, uprawiający marną rolę, która go wyżywić nie mogła, latem pasający owce i bydło na halach, spotykał się ze zwierzyną, która jego zdaniem do tego należała, kto ją zabił. Broń była w szafasie aby bronić statku od niedźwiedzi w razie napadu, jakże nie strzelić do sarny lub kozic, które się w turniach pasają, i tylko do Pana Boga należą? Nie uważano to za nic złego, owszem „strzelcy“ byli zawsze u górali w poważaniu, pewien nimb otaczał ich zwłaszcza u słabszej płci, która nieraz miewała wcale nie słabe pięści i chadzała na równi z chłopami na polowanie.

Ze strzelców wyrabiali się dawniej zbójnicy.

Że tedy górale polują na kozice wiedzą wszyscy, nierobią oni z tego tajemnicy; prawie wszyscy przewodnicy tatrzańscy byli kłusownikami, albo też nosili torby za strzelcami. Ale że niejednen z gości zjedna sobie przewodnika, aby go przyprowadził na strzał do kozicy, to mniej wiadome.

Nieraz turyści, gdy niespodzianie z poza grani zejną blisko stadko kozic, strzelają do nich z rewolwerów. Znam myśliwego, zajmującego dzisiaj bardzo poważne stanowisko w naszym łowiectwie, który strzelał w takim wypadku do kozy.

„Nie mogłem się powstrzymać“, mówił, co mu najzupełniej wierzę, strzelił odruchowo i pewnie trafił, bo strzelał znakomicie, a choć koza nie znaczyła z powodu małego kalibru pocisku, to jednak pewnie chorowała lub zginęła.

Wiem o drugim wypadku, że turysta zabił capą z rewolweru.

O wielu turystach słyszałem, że wybierali się niejednokrotnie na kozice i to ze skutkiem; również i leśników znałem takich.

Jeden ze znanych lwowskich myśliwych chciał koniecznie zabić kozicę, gdyż jak mówił potrzebna mu była do kompletu wraz z rysiem i niedźwiedziem. Zresztą nic mu nie brakowało. Nikt mu nie chciał tego ułatwić z obawy, aby się nie wygadał.

Pewnego razu wrócił z kilkodniowej wyprawy na jelenie, rzekomo nie zabiwszy nic, lecz jego mina zadowolona mówiła co innego.

„Jak się panu powiodło polowanie, pewnie przywiózł pan rożki?“

„Nie nie, a wie pan jak te Wapiti zabawnie ryczą... ale ten leśny, to skończony pijak, ciągle za mną łąził a propinacja śmierdziała od niego... jak mogłem co zabić?“

„Ja nie o jelenie pytam, tylko... wie pan, przy odgotowaniu rożków trzeba uważać, aby z mózżeni nie zlazły, chociaż zresztą to nic nie szkodzi, można je osadzić na gipsie“, mówi z poważną miną pytający.

„Ach, ja też rzeczywiście nastraszyłem się, jak rożki zesły z czaszki... ale to mnie pan podstępnie zagadał, tylko mój kochany panie, niech pan tego nikomu nie opowiada.“

Na tę wyprawę wyjechało tych panów trzech, wzięwszy ze sobą znanych przewodników D. i S., którzy jednak nie dotrzymali tajemnicy i opowiadali jak było. Jednego z myśliwych, gdy nie chciał strzelać na zbyt wielką odległość do kozic, których nie dało się bliżej podejść, za-

chęcał góral słowami: Zje dyc niebedziecie płacić jak nie traficcie, strzylojcie panie!

Strzelał i zabił dwie sztuki, czem ogromnie zaimponował góralom.

Za czasów niemieckich właściciele Zakopanego, do domu jednego z mych znajomych w Kuźnicach, wpadli raz nadleśniczy z praktykantem, porzucili torbę z kozicą, kazali schować i ulotnili się. Po chwili przyszedł żandarm pytając, czy nie widziano uciekających tędy kłusowników. Tych naturalnie nikt nie widział.

Polowano raz w dobrach... mniejsza o to w których, dość, że wysoko w górach. Do leśniczego prowadzącego polowanie podchodzi leśny i mówi:

„Proszę pana, nad lasem w kosówce pasie się cap, trzeba dać znać wielkomożnemu panu o nim“.

„Poco? nie trzeba, pokaż gdzie jest“.

Poszedł sam i zabił capa, a właścicielowi na zapytanie do czego strzelał, odrzekł, że chybił rogacza.

Ten leśniczy był tak zajadły na kozy, że gdyby był jeszcze kilka lat pozostał na swym stanowisku, niemielibyśmy ani jednej kozicy w polskich Tatrach i graniczących z niemi słowackich rewirach, bo i tam się zapędzał.

Jeleniom także dał się we znaki i sporo ich wybił. Raz zabił jelenia i wioził go na wozie do Zakopanego w nocy, nie wiedząc, że z niego ciekła farba i wyznaczyła całą drogę, którą jechał. Byłaby z tego gruba awantura, gdyby był ktoś znający się na rzeczy farbę zobaczył, widzieli ją tylko górale, lecz ci nie zdradzili tajemnicy, a później zatarły ślad wozy jadące do Morskiego Oka.

Był w Zakopanem pewien pan S., który na mocy swego urzędu miał w górach przez kilka lat do czynienia. Był to człowiek praktyczny, doszedł on do przekonania, że najtańszego i najlepszego pożywienia dostarcza zwierzyna, zwłaszcza, jeżeli się jej nie kupuje, tylko samemu upoluje. A sposobności ku temu miał dosyć, będąc ciągle prawie w lesie i w górach.

Wykształcił on odpowiednio jednego z leśnych, milcząco zawarli spółkę, i dobrze im się działo. Karmił się samą zwierzyną, której mięso chował nasolone w beczce. Opowiadano mi, że nieraz mięso to było czarne, aż obrzydzenie brało patrzeć na nie, on zaś jadł niepytając jakie było, miał widocznie żołądek hjeny. Szczęście, że jego czynność wreszcie się skończyła, bo skutki jego działalności pozostawiły zbyt widoczne ślady w zwierzostanie tutejszym.

Jednym z najciekawszych typów kłusownika z amatorstwa był dobrze znany w Zakopanem i okolicy p. Błaszkę. Doskonały myśliwy i znawca zwierzyny, człowiek zdolny, lecz nadzwyczaj lekkomyślny i nie myślący o jutrze, do wszelakich psich figlów gotów każdej chwili. Płatał on różne kawały, nieraz niezgodne z kodeksem, które jemu jakoś uchodziły na sucho. Wiecznie z pustą kieszenią i chronicznym pragnieniem, niezrównany był w sposobach zdobycia pieniędzy.

Przysłano go do Zakopanego, aby tu pod okiem ludzi pracy ustatkował się i wyrobił na porządnego człowieka. Niestety nie liczono się z pokusami, jakie nastęrcza Zakopane i kuracja nie udała się.

Gdy brakło pieniędzy na hulankę, sprzedawał co było pod ręką, choćby nie swoją rzecz, i tak, karabinek swego szefa, pożyczoną dubeltówkę, i t. p. Chodził do znajomych o pożyczkę, pod najróżniejszymi pozorami, ofiarował restauratorom dostawę zwierzyny, lub drzewo na budowę, przedstawiając się jako leśniczy, brał zaliczkę, i na tem kończył interes, bo starał się tym ludziom więcej na oczy nie pokazać.

Przy wszystkich tych przymiotach, miał także słabość do kobiet, znano go i z tego względu jak zły szeląg. Raz nawet wpadł w grubą awanturę, omal że nie strzelano do niego w nocy, poczytując go za włamywacza, gdy się skradał do służącej, a było to w domu, gdzie się mieścił urząd i kasa. Z wielkim trudem zdołał wytłumaczyć, że nie o kasę, lecz o „Kasię“ mu w tym wypadku chodziło. — O jego kawałach możnaby wiele opowiadać, ale wracam do jego namiętności myśliwskiej, którą posiadał w wysokim stopniu.

Zarząd nie urządzał polowań i nie pozwalał oficjalistom swoim polować. Cóż tedy miał robić biedny Błaszkę, musiał sobie jakoś radzić, przyczem nie obeszło się bez zdemoralizowania służby leśnej, której zakaz bezwzględny polowania także wcale się nie podobał.

Raz zawołał on leśnego, aby poszedł przynieść rogacza, którego on upolował dla dworu. Przyprowadził go nad rzekę Białkę, odgraniczającą posiadłość ks. Hohenlohego, kazał zaczekać, sam przeszedł przez wodę, zdjął zawieszonoego tam na drzewie rogacza, przeniósł przez granicę i kazał leśnemu ponieść na leśniczówkę. Temu nie pozostało nic innego, jak zrobić co mu kazano i cicho siedzieć. — Leśnego Gronikowskiego, który miał specjalną misję pilnowania zwierzyny, wyprowadził raz na polowanie na kozice w okolicy Morskiego Oka, mówiąc, iż dwór kazał mu zastrzelić kilka sztuk. Polowali tedy w najlepsze, a Gronikowski, zażarty jak pies na kłusowników, ani się domyślił podstępu i w naiwności swej wygadał się o tem w zarządzie, zaco otrzymał grubą pu-

cówkę. Blaszkę zaś ze swej strony zbeształ go; „Nacoś się stary cyganie do tego przyznał, wiedziałeś przecie, że to niewolno“.

Podczas pełni księżyca po ponowie, puka ktoś o godzinie drugiej w nocy do okna kasjera zarządu. Ten wstał myśląc, że jaki wypadek lub pożar, poznaje w oknie sylwetkę Blaszkęgo, otwiera i pyta coto ma znaczyć.

„Bierz pan strzelbę, pójdziemy na polowanie na zające.

„Gdzie?“

„Do Kuźnic, wracając do domu, widziałem ich kilka przy drodze, przyszły ogryzać drzewka“.

Kasjer wielki amator polowania, poszedł z ochotą. Stał na drodze pod kancelarją, a Blaszkę gonił po ogrodzie zakładu, głosząc jak gończak. Tak polowali sobie, pewni, że nikomu nie przyjdzie ochota wstać z ciepłego łóżka, aby zobaczyć co się dzieje. Kasjer strzelał wtedy i zabił podobno dwa zające.

Blaszkę umiał wabić doskonale jarząbki i rogacze, a na kozicach znał się jak nikt u nas. I nic dziwnego, pochodził przecie z południowej strony Tatr, gdzie polowanie na kozice nie było zakazane. Mając na Liptowie stosunki, a nawet krewnych w tamtejszem leśnictwie, urządzał tam polowania na kozice. W kilku takich polowaniach i ja brałem udział. Podziwiałem wtedy jego spryt i znajomość zwyczajów kozic. Gdy wypatrzone kozice, wiedział dobrze, gdzie myśliwych postawić, skąd pędzić, aby kozy wyszły na myśliwych. Zato strzelcem nie był nadzwyczajnym.

Z czasem zrobił sobie z polowania sposób zarobkowania. Namawiał znajomych, a nawet obcych do takich wypraw, chociaż już wtedy nie miał na to pozwolenia, a nawet podejrzrywano go, że namówiwszy kogoś na taką wycieczkę, dawał znać depeszą o tem liptowskim leśniczym, gdyż zdarzyło się kilka razy, że w ostatniej chwili od uczestnictwa się uchylał, poprostu gdzieś się ulotnił, a wtedy straż liptowska niespodzianie się zjawiła i nawet strzelała do polujących.

Raz zorganizował polowanie na kozice w lutym, na które zaprosił myśliwych z Krakowa, mówiąc, że ma pisemne pozwolenie na odstrzał kilka capów. Gdy jeden z myśliwych stojąc już na stanowisku, przycisnął go, aby mu to pozwolenie pokazał, odrzekł z figlarnym uśmiechem: „Przece tera je szoncajt“.

Rozstawiając myśliwych, zalecił jednemu, w celu dostania się na stanowisko na dole, aby wdział serdak na nogi jak spodnie, siadł na nim i zjechał po śniegu w dół. Ten usłuchał rady, szczęściem trafił po dro-

dze na kosówkę, w którą go wbiło jak szydło w siano i wstrzymało w pędzie, gdyż byłyby inaczej cały z tej jazdy nie wyszedł.

Na tem polowaniu Blaszkę zastrzelił sam cztery kotne kozice.

Do stałych jego klientów należał hr. S., który uszczęśliwiał nasze góry swemi wyprawami na kozy, tak po naszej jak i po węgierskiej stronie, w towarzystwie Blaszkęgo, lub też wyżej wspomnianego p. S. i Bukowskich, dla których widocznie do szczególnej poczuwał się wdzięczności, skoro Jaśkowi podarował piękną lankastrówkę, którą mu później odebrano w Witowskich dobrach.

Na jednej z tych wypraw strzelano do nich. Było to tak:

Hr. S. ze swym kuzynem, panem S., Kubą i Jaśkiem Bukowskimi, Dziadoniem i lokajem, przyjechali furkami na noc do Wodospadów. Przenocowawszy przy Pięciu Stawach, wyszli dodnia na przełęcz Gładką, wypatrywać kóz. Było to w listopadzie podczas rui kozic. Pan S. strzelił nad Ciemnymi Smreczynami do capa, lecz chybił, usłyszał gwizdnięcie, ostrzegł o tem towarzyszy i wrócili się nazad na polską stronę.

Jasiek z młodym hrabiczem zapuściwszy się dalej, nic o tem nie wiedzieli i podchodzili źlebem do góry capa, nad którym siedzieli zacząjeni strażnicy, a których widocznie cap poczuł i zaczął uciekać w dół. Jasiek w mig się zorjentował co się święci, gdy naraz usłyszeli gwizd, potem strzał i kula świsnęła koło nich. Zaczęli uciekać, aby się skryć pod skały, gdy padły jeszcze dwa strzały, i jedna kula uderzyła tuż za ich piętami. Zobaczyli potem dwóch strażników stojących na grani, wypatrujących ich przez lornetki.

„Hej! Na mój dusiu, kieby jo był wte wiedzioł, co manlicher potrefi, toby jo im ołowiu nie załowoł, kie oni do cłowieka strzylajom jak do psa! Ale jo sie dopiro późni poznoł z tym manliherem, haj!“

Drugi góral, który był ze starszym hrabią, chciał temu wyrwać sztuciec aby strzelać do „Węgrów“, tak, że ten musiał go pięścią po głowie mitygować.

Jeden z przewodników, który lubił także „paść kozy“, wracał raz z gośćmi z wycieczki. Będąc na Liliowem, ozwał się przeciągle, jak to w górach często czynią górale. Na to odpowiedział mu głos gdzieś od Walentowej. W niedługim czasie przyłączyło się do nich kilku kłusowników wracających z polowania, poznali oni głos przewodnika i dobiegli go, aby razem wracać. Szli tedy razem z turystami przez Boczań, Kuźnice, ze strzelbami na plecach, śpiewając góralskie piosenki, a nikt nie zauważył wieczorem tej dziwnej grupy.

Bywało i tak, że goście wracając od Morskiego Oka, pozwolili wło-

żyć na swe wozy ubite przez kłusowników kozice, i przywozili je do Zakopanego. Tak daleko dochodzi ta tolerancja wobec górali — bo w góralu jeszcze ciągle widzą niektórych, a zwłaszcza kobiety, kawałek bohatera.

Przed kilku laty szło dwóch turystów od Morskiego Oka przez Żabie, ze znanym przewodnikiem Klimkiem Bachledą, który zginął później na Jaworowym. Schodząc ku Żabim Stawkom, dojrzelili nad wodą coś stojącego, sądzili, że to strażnik ks. Hohenlohego, i że z tego powodu będą musieli się wrócić, gdyż ta droga dla turystów jest zamknięta, lecz przekonali się z pomocą szkła, że to kozica. Zbliżali się ku niej ostrożnie, ona nie uciekała, ba, gdy przyszedli do niej na kilkadziesiąt kroków, ani nie ruszyła się z miejsca.

Klimek wtedy „prasnon torbe i cuhe o ziem“, zawołał aby jej z boków zabiegali, skoczył ku niej jak wściekły z ciupagą w garści, wpędził do wody i tam ją zarąbał.

„No i dobrze niebardzo, bo coż bees teraz z tem robię? Nimos co tu długo ozmysłowac, trza sie wracać skądś prziseł, bo tu niesleobodno cłekowi z capem“.

Zawlekli więc capa w kosówkę, obielili pięknie, poćwiartowali, rozdzielili w torby i wrócili nazad do Morskiego, bacząc, aby nie zająć za dnia do schroniska „ba nocom“. Skóra i rożki powędrowały do Warszawy, a mięso zjedli pensjonarze.

Co było powodem, że kozica dała się tak blisko zająć i zabić? Otóż było to podczas rui i cap ten został prawdopodobnie przez drugiego strącony z turni, pokazało się bowiem, że miał wewnętrzne obrażenia, wnętrzości poprzerywane i zawartość żołądka znajdowała się w jamie brzusznej, pomieszana z krwią. Zewnętrznych obrażeń nie było.

Podczas rui można najłatwiej przyjść do strzału, gdyż capy włączają się wtedy po turniach i trafia się, że gdy strzelec w ciemnym ubraniu, białą chustką przewiąże głowę, pokaże się z poza skały i schowa, przybiegnie cap ku niemu myśląc, że to koza.

Robiąc wycieczki turystyczne w góry, można nieraz spotkać kłusowników, chociaż oni unikają takiego spotkania, bo im ono nie na rękę. Turyści nie zawsze się orientują, kogo mają przed sobą, lecz myśliwy zwracający na wszystko baczna uwagę, zaraz pozna o co chodzi.

Niejednokrotnie miałem sposobność ich spotkać. Gdzieś z poza kamienia lub trawy wychyli się głowa, która za zwróceniem na nią uwagi, znika jakby jej nie było — ówdzie zamajaczy we mgle sylwetka górala, w brudnej cusze koloru kamienia, a poszukawszy dokładniej z pomocą

szkieł, znajdzie się druga i trzecia; na wołanie oni nie odpowiadają, tylko przypadają do ziemi, to napewno strzelcy.

Tak z Krzesanicy wypatrzyłem górala w przepaściwych ścianach doliny Mułowej. „Poco on tam idzie, pytam, tam niema zejścia“.

„Tam je zosiadka na kozy, widzicie panie, granią Ciemniaka idzie trzok, ci idom tyz na zosiadkę, a jeden z doła bedzie gunił“.

W Roztoce idąc ku Pięciu Stawom, usłyszałem na Wołoszynie strzał, po chwili drugi w innem już miejscu, później dwa strzały jeszcze dalej.

„Hej! to hłopycy na kozy polujom, w pogonke wzieni, oni ta po próżnicy nie strzylajom“.

W dolinie Cichej spotkałem Liptaka w ogromnym kapeluszu, który miał strzelbę owiniętą w płótno, udawał, że przyszedł kosić siano, dojrzałem go jednak, jak wypatrywał lornetką sarny.

Turysta p. S. idąc w r. 1916 do Ciemnych Smreczyn, gdy wychodził na grań Walentkowej natknął się niespodzianie na kilka kroków na dwóch kłusowników obładowanych kozicami. Ponieważ był w mundurze wojskowym, mogli łatwo wziąć go za żandarma i strzelić do niego, więc zawołał do nich, aby się nie bali i nie zawadzali mu w drodze, bo się spieszy na nocleg.

Inny turysta pan K. szedł z doliny Miętusiej zlebem ku Uplazowi w górę. Ujrzał nad sobą kozice, które widocznie spłoszone wpadły w ten zleb, lecz zobaczywszy człowieka zawróciły. Za chwilę usłyszał kilka strzałów. Wybiegłszy ze zlebu natknął się na kłusowników, którzy zabili dwie kozice i tak byli jego ukazaniem się zaskoczeni, że nawet nie próbowali uciekać. Musiał jednak złożyć im uroczyste przyrzeczenie, że nikomu o tem nie powie, na co wobec ich przewagi orężnej zgodzić się musiał.

Tenże pan K. był na Hali Gąsienicowej w późnej jesieni w r. 1914 dla badań geologicznych. Noc przepędził pod okapem szałas w worku do spania. Nad ranem usłyszał strzały w lesie w stronie perci pod Żółtą Turnią. Poszedł więc tam i gdy dochodził do wielkiego głazu, który perć okrąża, wstrzymał się nagle, jak gdyby mu ktoś kazał stanąć i równocześnie zobaczył tuż przed sobą z poza głazu wymierzoną w siebie lufę strzelby i ponad nią groźnie patrzące oko górala. Mimowoli krzyknął: „Zaćóž do mnie będziesz strzelał“ i skoczył wtył. Usłyszał ruch za kamieniem i słowa: „Ostańcie hań ka stoicie“.

Po niejakię chwili, gdy na zapytanie czy może już iść, nie otrzy-

mał odpowiedzi, wyjrzał za kamień i zobaczył jeszcze uchodzącego ostatniego górala, — których jak uważał, mogło być trzech.

Złana obficie farbą perć, oraz sierść kozicy wskazywały, że odbywało się tam patroszenie, któremu przeszkodził. Oko, które mu nadzwyczajnie utkwiło w pamięci, przypomniało mu oko przewodnika S.

Że górale pomimo bardzo trzeźwych na świat poglądów, są przesądni, wiadoma rzecz. Będąc na Kozim Wierchu, przeglądałem z pomocą lornetki okoliczne szczyty. Na przełęczy Gładkiej nad Pięcioma Stawami dostrzegłem kilka postaci leżących szeregiem, obok nich błyszczały strzelby, a poniżej leżały jeszcze dwie postacie. Domysliłem się, że to Węgrzy polując wyszli na przełęcz, aby popatrzeć na nasze stawy. Wskazałem ich przewodnikowi, który popatrzwszy przez szkło, pokręcił głową, i z miną tajemniczą szepnął do mnie:

„To nie Węgrzy, to Rudol poluje, bo to przecie jego dziedzina“.

Liptowska część Tatr należała wtedy jako dobra państwowe do korony węgierskiej, a górale wierzyli równo z ludem z dolin, że arcyksiążę Rudolf żyje, tylko się ukrywa. Strzelcy bacznią zwracają uwagę na sny w nocy przed polowaniem, jak i nato, aby strzelby jakie „niedobre“ ręce nie dotykały.

„Cobyście się nie zbliżali panie do baby wte... wicie kiej panie, bo jakbyście rafla na szczęście, a wzieni pote flinte do ręki, to dorazu brand straci“, mówił w zaufaniu stary Suleja. „Mnie sie tak wydarzyło, a miotek wte piknom flinte, ni mógem śni pote nic zabić, musiołek jom przekupcyć, haj! Nolepi wte iść na polowanie, kie sie dobre śnisko trefi, to cłekowi sie darzy“.

Słowacy nie zapuszczają się na polską stronę za zwierzyną, mając jej więcej u siebie, zato nasi górale uważają pograniczne słowackie zbocza i doliny, jako swoją niezaprzeczoną od wieków własność, gdzie im nikt niema prawa bronić polowania.

„Do hól na Węgry, syćkim droga wolno, i wtoz mi hań zabruni iść, nikomu nic do tego“.

Podczas jednej z pierwszych moich wycieczek w góry, znalazł się między przewodnikami strzelec, z którym bliżej zapoznałem się, gdyż mnie jako myśliwego zaciekawiało to życie skryte, sposób w jaki kłusownicy polują, wogóle wszystko co dotyczyło polowania, i muszę przyznać, że wiele się od niego dowiedziałem.

Kłusowników w Tatrach można podzielić na dwie kategorie, na polujących z zamiłowania, i polujących dla zysku.

Pierwszych nic nie uleczy z ich namiętności, ani kary odsiadywane,

zabranie strzelby, ani choroba w domu i klęski elementarne. Taki zostawi w domu chorą żonę i dzieci, zostawi siano nieskoszone, owies niezebrany, i pójdzie w góry, bo go tam „matura“ ciągnie, bo on inaczej nie może.

Górale mają z natury pociąg do pukawki, u każdego też prawie znajduje się strzelba, aby móżdż w razie sposobnym „wygarnąć“ do czegoś, z czego będzie „miso, abo i dutki“. Idą też chętnie jako naganiacze i torbiarze do noszenia zwierzyny ku strzelcom, przy których zaprawiają się do strzeleckiego rzemiosła.

Za młodu każdy prawie przewodnik był takim, chodził za kozami i umie on gościom pięknie opowiadać na popasach, o swoim strzelectwie, ale to nie prawdziwy strzelec.

Typem prawdziwego honorowego strzelca, był stary Sabała. Postać to ogólnie znana, tak świetnie piórem Witkiewicza i Tetmajera opisana, chłop nie dzisiejszy i strzelec nielada, pod koniec życia rozpity przez żadnych jego opowiadań gości.

Ma on na sumieniu dosyć niedźwiedzi i wielką liczbę kozic, a podobno i niejednego „Luptaka“, który mu śmiał bronić polowania w swoim rewirze. Chociaż liczył już lat 70 z górą, nieraz jeszcze przypominał się młodszymi myśliwym, aby go brali z sobą w góry. Szkody on wtedy w zwierzynie nie robił z powodu krótkiego wzroku, tylko radził jak z kozami „narabiać“, nabijał im flinty, a i grał na gaślikach w szałasie.

Z towarzyszami jego z czasów dawnego strzelectwa, przepędziłem nie jedną noc w górach; przy trzaskającym ognisku i kipiącym kotliku, słuchałem ich opowiadań o tem ciekawem życiu, które przypomina bardzo odległe czasy, kiedy to jeszcze zbójnicy panowali niepodzielnie w Tatrach. Pomijając nielegalność całego tego rzemiosła, ma jednak to ich życie bardzo wiele uroku.

Nie są to utarte ścieżki turystyczne, któremi strzelcy idą w góry, każdy ma swój szlak, prowadzący nieraz zupełnie inną okolicą, od jego chałupy, którym zdąża jednak bezpiecznie, bo o to głównie chodzi.

Miejsca gdzie polują zależne są od siedziby strzelca; no i od upodobania. Bukowianie polują na Kosistej, Wołoszynie, Krzyżnem i na Miedzianem, — Zakopianie od Ciemnych Smreczyn poczawszy, we Walentkowej, Cichej, Czerwonych Wierchach, po Bystrą, — Polanie z Kościelisk od Czerwonych Wierchów, aż po Rohacze. Do Kóp Liptowskich zaś idą wszyscy gromadnie jak na odpust, uważając ten rewir za najlepszy i najbogatszy w kozice. Czasem zbierze się ich dwunastu strzelców i więcej, wtedy idą śmiało.

Uda im się polowanie, to wracają zaraz, nie uda, to bawią dłużej, bo nie lubią z prózną torbą wracać. Gdy jednemu z nich wyrzucałem, czemu zabił siutę, odparł, że lepiej strzelcowi co bądź zabić, jak wracać próżno.

Sieczka z towarzyszami jednego roku przy pierwszej wyprawie z początkiem jesieni, zabili cztery kozy, dwie zabrali zaraz z sobą, a dwie schowali. Gdy przyszli później po nie, zabili znów dwie kozy, które musieli zostawić, i tak przez całą jesień nosili, bo im się darzyło, że ciągle zabijali.

Na noclegi wybierają miejsca dobrze schowane, aby można było bezpiecznie ogień kłaść, nie widziany przez nikogo. — O takich miejscach wiedzą tylko strzelcy. Do takiej koliby pod Walentkową zaprowadził mnie Wojtek Bukowski. Była to naturalna koliba, utworzona przez dwa ogromne głazy, podcięte i nachylone tak ku sobie, że pod niemi utworzyła się grotą, mogąca pomieścić parę osób. W środku rozpalano ognisko, którego dym uchodził szczeliną między głazami.

Wojtek dawno w niej nie był, pogrzebał ciupagą w trawie, pokazały się węgle.

„Hej mocny Boze! Kieło to roków, kie jo tu z nieboscykiem Pająkiem nocował, kie my wroz polowali, kości śniego juz downo zgniły, a wągiel z watry jesse jest“.

On go zaprawiał do strzelectwa i on mu tę kolibę pokazał, przykazując, aby jej niestrzelcowi nie zdradził.

Nocują strzelcy czasem i bez ognia, gdy się obawiają, by ich światło lub dym nie wydały. Szałasów, zwłaszcza liptowskich unikają, bo te są zdradzieckie i uciec z nich trudno. Leżą nogami ku ogniu, ciupaga przy boku a flinta przy głowie, po strzelecku. Śpią bardzo czujnie, wstają przededniem, łykną wódki, zagryzą moskalem owsianym, zakurzą fajki i idą pocichu ku grani, wypatrywać, gdzie się kozy pasą, ciupagę przytem trzymając przy sobie, aby nie zbyrczała.

Podczas jednej turystycznej wycieczki, nocowaliśmy na Hali Gąsienicowej, a mając daleką drogę przed sobą, wyszliśmy dodnia ze schroniska, i nie chcąc budzić śpiących turystów, nie gotowaliśmy śniadania. Dopiero pod Liliowem rozpaliliśmy ogień na herbatę. Ciemna noc jeszcze była i gwiazdy świeciły nad nami.

Z grani koło Kasprowego usłyszeliśmy niezbyt głośne „ozwanie się“ górala. „Pewnie hłopczy idom na kozy w Kópki“ objaśnił przewodnik. Widocznie wzięli nas za swoich i dali znać o sobie.

Wypatrzywszy kozy, radzą jak je podejść, zwykle jeden zasiada

w miejscu, którądy przypuszczalnie ruszone kozy pójda, a drugi idzie podchodzić, względnie gonić, przyczem ten najczęściej do strzału przychodzi. Przy żadnej może innej zwierzynie nie trzeba tak bacznej uwagi na wiatr zwracać, jak przy kozicach, tembardziej, że tu wiatr w każdym źlebie, za każdym załomem skały inny przybiera kierunek. Kozy nie tyle widokiem człowieka lub jego hałasem się płoszą, jak raczej, gdy go poczują. Wtedy uciekają natychmiast z miejsca i to daleko.

Górale strzelają do nich lotkami i to zazwyczaj w środek stadka „w kupę“, aby dwie na jeden strzał padły, co się nieraz zdarza, przez co jednak wiele sztuk kaleczą, które potem giną marnie.

Za postrzelonemi kozicami nie chodzą, raz że szkoda im na to czasu, wiedzą bowiem z doświadczenia, że jeżeli kozica na miejscu nie padnie, to bardzo trudno ją dojść, powtóre, że po strzałach starają się jaknajrychlej ulotnić z tego miejsca, z obawy pogoni.

Zabiją kozicę „pitwają“ na miejscu, chowając się z tą robotą w kósówkę, aby ich gdzie z grani nie wypatrzone. Kozica posiada dobrą wagę i objętość, i trudno ją wynieść w całości do wierchu, po wypatroszeniu waga jej zmniejsza się znacznie, a objętość prawie o połowę.

Jeżeli są bezpieczni a żywności nie mają wiele, to pieką wątrobę przy ogniu na patyku, kapiąc na nią łój z kiszek, lub warzą płuca w garnku.

„Drzewiej nie tak w górach bywało, strzelcy schodzili się w szałasach, capy za rogi na kołkach wisały, wątrobe, serce piekli przy ogniu, wódkę pili, tończyli z juhaskami, nie boli sie Liptoków, haj!“

Oni się ich i teraz nie boją, a Liptacy nie bardzo ochotnie za niemi śledzą, bo ich się trochę obawiają, jak mi się zwierzył jeden tamtejszy leśniczy. Zwykle w kilku wybierają się na taką wyprawę, chodzą wierchami, podczas gdy straż leśna idzie dolinami, a choć i wypatrzy w górze kłusowników, to dojść ku nim nie może, wpieryw oni uciekną, spuściwszy kilka kamieni z góry ku ścigającym, jako ostrzeżenie.

Raz jednak pięciu naszych górali schwytali węgrzy w szałasie „na nocniku“, ale ci sami sobie byli winni. Byli to młodzi chłopcy, „nie strzelcy, ba babrace“, rozwiesili z junakierji w szałasie flaki i jądra z capów, co naprowadziło „hajnych“ na nich. Posiedzieli cosi w hereście, ale nie moc“.

Gdy któremu przyszło na Węgrzech odsiadywać karę, to niebardzo sobie tam krzywdował. Sprytny, umiał się przypodchlebić rycharowi, a będąc zdolnym do wszelkiej roboty, chciał się stać pożytecznym. Rzeź-

bił, kuł, budował, przez co miał lżejszą niewolę, a i często wcześniej był wypuszczony z aresztu.

Niespodziane zjawienie się Liptaków, zwłaszcza wtedy, gdy strzelcy nie są razem, wprawia ich w popłoch, gdzie który może ucieka i rozprasza się. Wtedy odbiegają wszystkiego, każdy z tem co ma w garści, umyka.

Tak raz Wojtek Bukowski uciekł tylko z flintą, bez torby i strawy, błąkał się do trzeciego dnia w kurniawie, niemogąc nic zabić, dopiero jak ustało kurzyć, zabił kozę, ale nie miał jej czem wypatroszyć, bo nóż i ciupagę stracił.

„Jeść sie kciało strasznie, widziało sie, co zemrem z głodu, a tu ani noza, ani ciupagi, jakoz jom bees pitwoł? Chyciłek sie gryść bandzioch zembami, ledwok skóre zdołał przegryść, jaze smród mi buchnon w nos. Nie cudnie woniało, ba coz bees robieł? Wyimolek wontrobe, anik watory nie kłod, ino zjod na surowo, i bez soli smakowała, hej!”

Do Bukowskich kilka razy Węgrzy strzelali. Raz siedzieli Jasiak z Sieczką we Wierchcichej na otwartem miejscu i jedli, gdy nad wodą spostrzegli węgry, jak patrzył na nich przez lornetkę, pozbierali się co rychlej do uciezki, a ten wtedy zaczął do nich strzelać. Kule padały blisko, Sieczka rzucił strzelbę i torbę z przestrichu, Jasiak zaś je podniósł, i tak uciekli pod Wielką Kopę. Strzałów padło osiem.

Bywało i gorzej. Kuba Bukowski spotkał się z Liptakiem, który strzelił do uciekającego lotkami. Kuba zwałił się jak snop, ale strzelby z rąk nie puścił. Liptak patrzył długo na leżącego, ale ku niemu nie przyszedł. Jak długo Kuba tak leżał nie wie, zebrał się nareszcie i powlókł na polską stronę, w szałasie położył się i spał. Rano jakiś juhasik napoił go mlekiem nie uważając, że całe plecy i portki miał zakrwawione, sądził zapewne, że to od kóz. Dowlókł się z trudem do domu, gdzie mu lekarz wyjął kilka lotek z pleców i nóg. Jedna z nich tkwiła pod lewą łopatką prosto serca, lecz trafiwszy po drodze na cuchę, serdak i torbę wypchaną, osłabła i nie weszła głęboko, boby Kuba już nie polował więcej na tym świecie. Kilka lotek jednak pozostało mu w ciele na pamiątkę.

Brat jego, był także wtedy w górach i słyszał strzał, sądził jednak, że to Kuba strzelił do kóz. Gdyby był przypuszczał co się stało, nie byłby Liptak zdrowo wrócił do domu. Coś tam jednak stać się jeszcze musiało, gdyż w tym czasie przybył do Zakopanego węgierski żandarm i śledził za kłusownikiem, który miał strzelać do leśniczego z Liptowa. Ale nic nie wykrył, gdyż górale w podobnym wypadku są solidarni,

stają jak jeden mąż, i biada temu, któryby zdradził strzelca, a zwłaszcza przed Liptakami.

Nienawiść naszych górali do Liptaków datuje się od wieków, i nie dziwnego, bo gdy na Podhalu była jeszcze dziec zupełna, i nikt nie troszczył się o bezpieczeństwo ludności przed zbójnikami, Liptacy żyli już w uregulowanych stosunkach, i oni to najczęściej chwyтали naszych honornych, co „za bucki wyskoczyli“ i osadzali ich w zamkowych więzieniach, gdzie ich karano gardłem.

U nas rzadziej ich to spotykało, wszystkie ich piosenki wskazują na Mikołusz i Orawskie Zamki, gdzie zbójnikom ciasno bywało.

Tak i z polowaniem było, tylko tamci wstręty im wtem czynili, u nas mało im kto tego bronił, bo o zwierzynę mało kto dbał, jako że to była królewszczyzna, a starostowie daleko siedzieli.

To też na Liptakach mścili się nasi gdzie ich tylko spotkali, i Tatry mogłyby dużo opowiadać o tych bójkach — niejednen Liptak i Podhalańin kości swoje tam zostawił, znana Sabałowa piosenka daje o tem do myślenia :

Hej! Sablik se zaśpiwoł a Krziwań mu odpedzioł,
Hej bo o jego sprawie nik iny nie wiedzioł!

W dobrach Jaworzyńskich, spotkanego kłusownika, zamiast pociągania do sądu, częstowali odrazu śrutem, nie robiąc z nim wiele ceremonji. Zdarzało się to i u nas, ale rzadko, gdyż bali się odwetu ze strony górali. Fronka Gąsienicę postrzelał nadleśny Schwob dwoma strzałami grubym śrutem, że ledwo się z tego wylizał.

W górach oprócz Liptaków przesładują strzelców różne przeciwności, jak nienapotkanie zwierzyny, mgła lub słońca, brak żywności; najstraszniejsze jednak są dla nich kurniawy śnieżne, które zmuszają ich do siedzenia w miejscu nieraz dni kilka, zanim się uspokoi i pozwoli im wrócić.

Za dawnych czasów gdy nie używano nart, górale mieli prawie zabobonną obawę przed śniegami w głębi gór. Używali wprawdzie obręczy na nogi „karpli“, ale te przy świeżym i głębokim śniegu nie wiele pomagały.

Tak przed laty wybrało się kilku strzelców późną jesienią w góry. Tymczasem spadły wielkie śniegi. Gdy niebyło ich coś dziesięć dni wiadać, a w Zakopanem kurzyło ciągle, sądzono, że zginęli, i odprawiono mszę za ich dusze. Wrócili ledwo żywi, gdyż strawy mieli zaledwo na trzy dni z sobą.

Jednak pasja myśliwska na nic nie zważa! — Za czasów, gdy Homolaczowie byli właścicielami Zakopanego, podczas polowania na kozy, jeden ze strzelców którego nazwiska nie zapamiętałem, przy spinaniu po skałach, chwycił się wystającego głązu, chcąc przezeń przeleżeć. Głąz luźno leżący ruszył się, przywalił go i potoczył się w dół. Strzelca srodcze poturbowanego zniesiono z trudem do szałasu, ułożono na sianie i opatrzone o ile można było. Leżał on nieprzytomny. Po jakimś czasie, słysząc jego jęczący głos, zbliżono się do niego sądząc, że może księdzka będzie żądał — bo zdawało się, że nie wyżyje — i usłyszano przez wybite zęby słowa:

„Hań we Wołoszynie pasie się pięćoro kóz“.

Zobaczył je przez otwarty szczyt dachu i czuł się w obowiązku o tem leśniczemu zameldować.

Stary Wojtek z Pająkówki chodząc za głąszciami po mokrych śniegach, dostał tak silnego napadu reumatyzmu w nogach, że włókł się na czworakach do domu. Dopiero towarzysze, którzy go spotkali, zratowali go, rozpalili ogień, przy którym Wojtek się wyparzył, i to mu przywróciło władzę w nogach.

„Haj! przy ogniu zratuje się człowiek godnie!“

Po wejściu w życie ustawy krajowej z d. 19 lipca 1869 zakazującej tępienia kozic i świstaków, Towarzystwo Tatrzańskie, chcąc przyczynić się do rozmnożenia tej zwierzyny, ustanowiło i opłacało z własnych funduszów strażników, którzy mieli polecenie ściągania kłusowników. Na strażników wybrano najzawziętszych kłusowników, którzy byli zarazem pierwszymi przewodnikami po górach. Byli to Jędrzej Wala, Maciej Sieczka, później Bartek Obrochta, i Gronikowski. Po objęciu dóbr zakopiańskich przez obecnego właściciela, czynność tę wykonywała straż leśna. Pierwsi strażnicy kozic brali swą przysięgę służbową na serjo, toteż ustawa zrobiła swoje, stan kóz znacznie się poprawił.

Strażnicy późniejsi, rządzeni się już specjalną etyką góralską. Nato byli strażnikami, aby innym nie pozwalali polować, im zaś samym było wolno, zwłaszcza po stronie węgierskiej. Ich krewnym i „spólnikom“ także, byle im bardzo w oczy nie leźli, i nie narażali ich, by musieli stanąć w sprzeczności z obowiązkami zaprzysiężonych strażników. Jeśli już nie można było inaczej, podawali ich do sądu, lecz świadczyli tak, aby i gorliwość swoją okazać, i oskarżonym nic się nie stało.

Groźnym dla kóz był swego czasu Wojtek Bukowski z Pająkówki, i polecono strażnikom baczną na niego zwracać uwagę. Obrochta przytrzymał go raz, ale na węgierskiej stronie, gdzie obydwa nie mieli prawa

ze strzelbami chodzić. Toteż Wojtek się postawił i nie dał sobie odebrać strzelby.

„Ty nimos tu nijakiego prawa do mnie, tu Luptów, tobie do mnie nic!”

Gdyby mu chciał rzeczywiście szkodzić, to byłby zaczekał, aż Wojtek przejdzie na polską stronę, bo niedaleko było, i tam miałby prawo odebrać mu strzelbę.

Gronikowski znalazł w lesie zabitego ukrytego rogacza, usiadł w krzakach i czekał do wieczora, kto przyjdzie go zabrać. Jakoż przyszedł Sieczka z kosą na ramieniu; gdy był już koło rogacza, Gronikowski wyskoczył z ukrycia i chwycił go. Ten się wyparł, że o rogaczu nic nie wiedział, i w sądzie uwolnili go. Gronikowski filut żałował potem, że nie zaczekał, aż ten zabierze rogacza na ramię, bo byłoby wtedy pewnem, że to on go zabił. A tak wobec przełożonych dowiódł swej gorliwości, i nie zrobił przykrości swemu kumotrowi.

Innym razem kazano mu pilnować pod utratą służby rogacza perukarza, którego chciano ofiarować do muzeum tatrzańskiego: Pewnego wieczora usłyszał Gronikowski strzał na zrębie, gdzie zwykle wychodził ten rogacz. Wiedział już co to znaczy, a że mu zależało na schwyceniu winowajcy, nie poszedł na miejsce strzału, lecz pobiegł corychlej do Kościelisk, zaczął się w pobliżu chaty Bukowskich i schwycił Kubę, gdy ten wracał obładowany rogaczem. Rogacz ten znajduje się obecnie wychany w muzeum tatrzańskim.

Swojego czasu Zakopane trapione było plagą psów. Prawie każdy góral miał psa, ale mało który go żywił, musiały one zatem żyć własnym przemysłem. Organizowały one istne polowania na sarny w reglach, tak, że dziesięć ich za jedną sztuką goniło, która oczywiście padała ofiarą.

Były tam różne rasy zastąpione: gończaki, kundle, foxteriery, bernardy i owczarki liptowskie, wszystko w miłej zgodzie i dobrej komitywie, bo pasja myśliwska nie uznaje ras i różnicy stanów. Trzeba było temu koniec położyć, bo wielkie szkody robiły te psy w zwierzostanie. Stawał tedy Gronikowski na wekslu i kładł jednego po drugim, tych amatorów polowania, obcinał nosy i chował do torby, aby wymienić je w zarządzie na premie strzałowe.

Gdy mnie raz prowadził na głuszca, zwróciłem jego uwagę na goniącego głosem psa. Posłuchał trochę i odrzekł:

„To Sprawnik Biłego Krzeptowskiego, godołek mu coby go wiązoł, a on wse góni“.

Był to doskonały gończyk i musiał robić nie małe szkody, jednak go Gronikowski oszczędzał, bo należał do jego współnika.

Tenże Gronikowski padł ofiarą własnej gorliwości, o dwoistej etyce. Podczas procesu z ks. Hohenlohem o posiadanie Żabiego, zarząd dóbr zakopiańskich chcąc zaznaczyć, że wykonuje prawo własności na spornym terytorjum, urządził tam polowanie na nieobecnego niedźwiedzia i zwołał w tym celu wszystkich myśliwych i kłusowników. Wracając z tego polowania zatrzymano się w karczmie w Jaszczurówce. Tam Gronikowski miał ochotę odebrać niektórym góralom strzelby, nie mógł ich bowiem nigdy dopaść w lesie, wskazał ich więc żandarmowi, a ratując równocześnie strzelby Tyrałów, powiedział, że te należą do niego. Żandarm wziął z kąta rozłożoną kapsłówkę i próbował ją złożyć, przyczem strzelba wypaliła i strzaskała Gronikowskiemu dłoń, którą mu musiano amputować. Górale uważali to za karę boską, bo jeżeli on strzelców na polowanie pozywał i z nimi polował, to im na zdradzie stać nie powinien.

Na strażników mieli strzelcy swoje sposoby, telegrafy bez drutu. I tak, jeżeli na Gubałówce w oznaczonym miejscu i o oznaczonej godzinie palił się ogień, strzelcy w górach wiedzieli, że strażnicy wyszli na patrol i że niebezpiecznie byłoby wracać. I nawzajem juhasi będący przy owcach w górach, ogniem dawali naszym znać, że w dolinie Cichej kręcą się Liptacy i nie można polować.

Strażnicy zasadzali się na strzelców po naszej stronie, czekając, gdy będą wracali obładowani zwierzyną, lecz rzadko udało im się ich schwycić, gdyż wracali zawsze nocą i nie utartymi drogami, w miejscach zaś niepewnych, szedł naprzód jeden bez strzelby i torby na zwiady, a spotkawszy strażników, rozpoczynał z nimi głośną rozmowę, aby ostrzedz towarzyszy.

Na Jaśka Bukowskiego przez dwa dni i nocę czałował żandarm, aby go schwycić, gdy będzie wracał z wyprawy. Drugiego dnia wczesno rano gdy znużony przechodził koło jego chałupy, wyszedł Jasiek zaspany w koszuli, pytając:

„Zje, coż wos panie tak zrania wygnało z pod pierzyny jaze w Kościeliska?“

Jeżeli się trafi, że przychwycą strzelca ze zwierzyną, to napewno został on zadenuncjonowany przez kogoś, mającego złość na niego. Tak było z wyżej wymienionym Jaśkiem, którego zdradził brat stryjeczny, gdy miał nieść dwie kozy do zakładu Chramca. Siedział za to kilka miesięcy w areszcie i był rok pod dozorem policyjnym. I to mu najwięcej

dopiekło, gdyż ile razy chciał iść na polowanie, musiał się wójtowi meldować, że jedzie do Nowegz Targu za interesami.

Znanym jest wypadek z dawniejszych czasów: Kłusownika obładowanego kozą spotkał na drodze leśniczy jadący konno. Chłop skoczył w las, leśniczy jednak poznał go i pojechał prosto do jego chałupy, aby go tam przychwycić. Jakież było jego zdziwienie, gdy znalazł go leżącego w łóżku, chorego i stękającego „straśnie, jajcącygo“, a baba gotowała mu leki „na bolenie w nuku“. Osłupiały leśniczy już nawet za kozą nie szukał; nim on konno przybył, tamten zdążył przybiedz do domu, rozebrać się i położyć. Miał widocznie talent w nogach, „wartki był co cud“.

Suleja z drugim towarzyszem wrócili z wyprawy i przynieśli capa. Ktoś z życzliwych sąsiadów dał znać żandarmerji o tem. Właśnie Suleja zabierał się do łupienia skóry, gdy zobaczył idących do jego chałupy dwóch żandarmów. Bez namysłu wrzucił capa do wiszącej u pułapu kołyski, przykrył pierzyną i zaczął zawzięcie kołysać, śpiewając przytłumionym głosem:

„Lulój dziecko luloj, siwe ocki stuloj,
Stuloj do kupecki, bo matusia precki“.

„Musimy u was zrobić rewizję, bo mamy doniesienie, że coś znajdziemy“, mówi komendant urzędowym tonem, wchodząc.

„Na wieki wieków jamen“, odrzekł cicho Suleja, „cichojcie ze panie, cobyście mi horego dziecyska nie zbudzili, baba się śnim dość utrapila bez całom noc, musem ji przecie jako pomóc i huziom go“.

„Jednak musimy zrobić rewizję“, mówi ciszej żandarm, „prowadźcie nas do szopy“.

„Z drogi dusy panie, ba coz zrobie z dzieckem, jak przestane huziać, to bee jajceć i nie utulem go ani za pół dnia...“

Nie chcieli go samego w domu zostawić, aby czego nie zmajstrował, więc komendant rzekł do żandarma:

„To kołysz go pan tymczasem, a wy chodźcie ze mną“.

I kołysał żandarm capa, dopóki się tamci z rewizją nie załatwili.

Po ukończeniu tej ceremonji i wyjściu stróżów bezpieczeństwa, Suleja wyjął spokojnie „dziecko“ z kołyski, obłupił, poćwiartował, ułożył w cebrzyku i posolił.

Z upolowaną zwierzyną nie mają górale wiele kłopotu, odstawiają ją do większych pensjonatów i hoteli za umówioną z góry cenę. Przyznoszą lub przywożą ją w nocy, składają w oznaczonym miejscu, np. w szopie, chlewku, wrzucają przez otwarte w tym celu okno, i t. p., a po za-

płatę zgłaszają się kiedykolwiek później w dzień, nie zwracając uwagi niczyjej.

Dochody z tego mieli niektórzy niezłe. Bukowscy chcąc niejako usprawiedliwić zajmowanie się tym procederem, mówili, że dochód z tego obracali na opłacanie podatków.

Niektórzy chwyтали się także innego sposobu dostania zwierzyny, zwłaszcza z powodu bliskiego sąsiedztwa leśnych, zakładali mianowicie sidła druciane. Tak się działo wzdłuż granicy jaworzyńskiej, zdaje się jednak, że ten sposób jest importowany, gdyż górale wolą się bawić strzelbą, niż drutem.

Leśny z Łysej Polany znajdował wiele siideł drucianych, i nawet raz schwytaną w nie sarnę. Biedne zwierzę okręciło drut kilkakrotnie naokoło świerka, z bólu gryzło korę, a zaciśnięta pentla przecięła mu szyję, aż do kręgow.

Zabiłem w Roztoce jelenia, który musiał się dawniej schwytać w siidła druciane za wieniec. Przy oczyszczaniu czaszki znalazłem drut ciasno zaciągnięty poniżej róż. Prawdopodobnie wskutek ucisku utworzyły się na zewnętrznej stronie róż nacieki, wielkości orzecha włoskiego, przez które drut przechodził.

Leśny wiedział napewno kto te druty zakłada, mieszkała tam bowiem pewna rodzina kłusowników, ojciec był leśnym, dawniej również uprawiał kłusownictwo i znał się doskonale na zwyczajach zwierza, synowie poszli w jego ślady.

Leśny groził im kilkakrotnie sądem, lecz to nie wiele pomagało, nie mógł ich bowiem na gorącym uczynku złapać. Dopiero gdy się schwytało ciele ich krewnego, ten wpadł do nich, narobił piekła i obiecał donieść do zarządu, wtedy na jakiś czas to ustało.

Jeden z synów zabił w zwierzynicy ks. Hohenlohego jelenia, i z pomocą tamtejszego pasterza, przeniósł głowę z rogami na naszą stronę. Pasterz przyciśnięty przez służbę leśną, zdradził go. Jaś poczuwszy pismo nosem nie pokazywał się zagranicą, aby go nie przychwycono, i sprawa poszła w zapomnienie.

Po jakimś czasie przyjechał na Łysą Polanę dyrektor dóbr jaworzyńskich ze strzelcem, wstąpił do chałupy starego, przyniósł mu pozdrowienie od syna, który był leśnym w dobrach księcia, i pytał czy Jaś nie przyjąłby służby u nich, bo potrzebują jegra. Stary ucieszony przystał na to z ochotą, kazał się synowi zbierać i jechać z wielkomożnym panem dyrektorem.

Siedli tedy i pojechali. Aliści za mostem granicznym zjawili się niespodzianie żandarmi węgierscy ze służbą leśną i zabrali kandydata na jegra w łańcuskach do kozy.

* * *

Przewodnicy chodząc z turystami po górach, wiedzą doskonale, gdzie się kozice trzymają, gdzie świstaki mają swoje nory, gdzie pasą Słowacy woły, czy owce i bydło spędzili już z hal, i od nich dowiadują się o tem strzelcy. Na świstaki wyprawiają się zazwyczaj przewodnicy sami późną jesienią, nim śnieg spadnie, bo ten wszelkie ślady i nory zasypie.

Wczesna zima, to ratunek dla biednych świstaków, mogą one wtedy bezpiecznie spać do wiosny. Bywały lata, że ani jednego świstaka nie przyniesiono do Zakopanego, z powodu wczesnych śniegów. Przez to rozmnożyły się one nieco, i nawet w takich miejscach, gdzie oddawna były wytepione, jak w Małołące i przy Zmarzłym Stawie znajdują się.

Klimek Bachleda był majstrem do nich; chodząc bardzo wiele jako przewodnik z gośćmi, wiedział niemal o każdej ich dziurze, i dobrze zapamiętał te, które były zatkane trawą przez świstaki w jesieni. Szedł potem i wygrzebywał. A taka wyprawa jeżeli udana, dobrze się opłacała. Wygrzebało się bowiem odrazu całą rodzinę, złożoną przynajmniej z pięciu sztuk, a za sztukę płacili dawniej górale od dziesięciu, do dwudziestu koron.

Tłuszczu świstaczego używali na różne dolegliwości, najczęściej jednak na oberwanie, przepuklinę. Ma on dziwne własności. Opowiadał mi Sieczka, że gdy napił się tego tłuszczu, wszystkie wnętrzności zaczęły mu się pchać do gardła i brzuch zrobił się prawie pusty, działanie to trwało przez dłuższy czas. Jest on płynny i bardzo cienki. Leśniczy Kocyan miał słoik tego tłuszczu obwiązany szmatą na szafie, nitka tej szmaty wisiała ze słoja. Po tej nitce zaczął tłuszcz ściąkać na szafę, przeciekił przez powagę szafy i zniszczył ubranie wiszące wewnątrz.

Teraz już górale zaczynają mniej wierzyć w skuteczność świstaczego sadła, a to od czasu osiedlenia się lekarzy i aptek w Zakopanem, i mniej nastawają na życie biednych świstaków.

Bardzo miłe i ciekawe to zwierzątko jest dosyć trudne do obserwowania, gdyż jest nadzwyczaj ostrożne i zawsze pierwiej spostrzeże człowieka, nim człowiek jego. Usłyszawszy świst, padałem zwykle na ziemię i starałem się wyszukać miejsce skąd on pochodzi. Udało mi się nieraz wypatrzeć stojącego jak słupek świstaka, ze zwieszonemi przed-

niemi łapkami, patrzącego w moją stronę i świstającego zawzięcie jak ulicznik. Przypatrywałem mu się długo przez szkła. Te, które mnie nie zdołały dostrzedz, uciekały ku świstającemu, siadały, lecz nie stawały słupka i świstały także. Przydybany z bliska, ucieka co sił, kryje się pod pierwszy lepszy kamień, lecz nie śwista wcale.

W r. 1922 rozmnożyły się świstaki nadzwyczajnie, można było je często spotykać. I tak na południowych zboczach Świnicy, na Walentkowej widzieliśmy ich wiele, w jednym miejscu około osiem sztuk bardzo blisko; nie bały się nas i wcale nie świstały, młode igrały z sobą, a stare siedziały na kamieniu przypatrując się nam; widocznie nie były płoszone.

Dziwna, można rzec pierwotna budowa świstaka robi wrażenie, jakby on był pozostałością z dawno minionej epoki, tak nie nadaje się razem z niedźwiedziem do naszej fauny.

Będąc na Orawie, wracałem z leśnym z nieudanej wyprawy na niedźwiedzia, gdy pod wieczór usłyszeliśmy w bliskości strzał. Po chwili wysunęło się z lasu pięciu kłusowników, z których dwóch leśny schwytał a reszta uciekła. Odebrał jednemu strzelbę i torbę z trzema świstakami.

Pierwszy raz miałem sposobność mieć je w rękę. Były pozwijane w kłębek jak kule, nos przy ogonie, łapki przytulone do ciała, włos twardy jak szczecina.

Jeżeli przy wygrzebywaniu nie śpią jeszcze dosyć twardo, to trudno je dostać, bo się zbudzą i wkopują dalej w głąb ziemi; gdy śpią dobrze, wtedy sprawa łatwiejsza, o ile nory nie są między skałami. Po wydobyciu zabijają je w ten sposób, że biorą za tylne nogi i biją nimi o ziemię, aż się krew nosem pokaże, lub rozbijają głowę obuchem motyki. Ponieważ ten zwierz nadzwyczaj twarde ma życie, zdarza się nieraz, że oprzytomnieje w torbie, wygryzie się i ucieknie. Tak się zdarzyło dwa razy Maciejowi Sieczce, że mu na popasie świstak ożył i uciekł z torby.

O owych schwytyanych kłusownikach, dla charakterystyki stosunków, jakie w górach panują, muszę opowiedzieć, że leśny zatrzymał odebraną strzelbę, świstaki zaś kazał sobie przynieść do domu. Poczem rozeszliśmy się, i górale poszli naprzód. W następnej dolinie spotkaliśmy ich znowu, leśny kazał im nakłść ognia, ugotowaliśmy herbatę i popasaliśmy jak najlepsi przyjaciele. Szliśmy już razem do domu, aż przed samą leśniarką, góral ze świstakami gdzieś się zapodział i tych już więcej leśny nie oglądał.

Jak się ostatecznie sprawa zakończyła, nie wiem, wiem tylko, że

góral był nazajutrz u leśniczego „horara“ pewnie z jakim gościńcem i tłumaczył się, że ma babę chorą, która potrzebuje świstaczego sadła, że świstaki nie w jego rewirze wykopał, „ba na Luptowie“.

Głuszców ginie corocznie kilka od kłusowników. Leśni wiedząc o tem, pilnują je na tokach, śpiąc w górach w kolebie przez trzy tygodnie a i tak im nieraz głuszcza ukradną. Całe szczęście, że tych tokowisk jest w Tatrach bardzo wiele i głęboko w górach położonych, inaczey liczba głuszców zmalałaby wkrótce, bo górale z pasją na nie polują, tembardziej, że na tokach i z inną zwierzyną spotkać się można.

W maju 1913 zabił Suleja w Rycyrowem dwa głuszcze na jednym tokowisku („hamisku“) Siedział tam sześć dni. Chciał je sprzedać w Zakopanem, ale że wachlarze pogniół w torbie, więc dawano mu tylko sześć koron za oba. Zwykle dostawali dziesięć koron za sztukę.

Na głuszcze na słowacką stronę idą nasi górale śmiało, tamtejsi leśni nie dochodzą wtedy do tych tokowisk daleko położonych, gdyż mają bliżej podostatkiem głuszców dla swoich panów.

* * *

Jeszcze przed wojną podnosiły się głosy za zniesieniem ustawy o bezwzględnej ochronie kozic, która jest przestarzałą i dzisiaj nie odpowiadającą celowi. Była ona na miejscu w czasie jej powstania, t. j. w latach sześćdziesiątych, gdy kozic na polskiej stronie Tatr już prawie nie było, gdy nikt się nie troszczył o poskromienie kłusownictwa.

Ustawa zrobiła swoje, kozice rozmnożyły się, należało ją zatem znieść, właśnie w interesie samych kozic, których zaczęło znowu ubywać. Dlaczego ubywało? można zapytać. Dlatego, że Zakopane nadmiernie się rozwija, powstały hotele, mnóstwo pensjonatów, restauracje, sanatoria i t. p., wzrasta potrzeba zaprowiantowania tych zakładów, i właściciele ich starają się dać swym gościom jakąś odmianę w postaci zwierzyny. Chcąc zaś mieć zwierzynę w sposób legalny, trzebaby ją z daleka sprowadzać, gdyż na miejscu od właścicieli rewirów myśliwskich jej nie dostanie. Otwiera się zatem wdzięczne pole dla kłusowników, bo łatwy zbyt sprzyja kłusownictwu. Gdyby nie można sprzedać kradzionej zwierzyny, mniejby było kłusowników między góralami, zaledwie kilku niepoprawnych, których „matura biere w góry“.

Jaki interes może mieć właściciel rewiru łowieckiego w strzeżeniu i karmieniu zwierzyny, na którą mu polować nie wolno? Żadnego. Także i straż łowiecka pełni swą służbę, bez tego zainteresowania, jakie się

widzi u straży w rewirach, gdzie wiele polują. Bo żeby ona dbała o zwierzynę, której na rozkładzie nigdy nie widzi, i za której strzeżenie, w razie pomyślnego zwierzostanu, żadnej nagrody, czyto w formie strażalowego od szczęśliwego myśliwego, czy też w innej formie nie otrzyma, w to nikt nie uwierzy.

Ochrona kozic istnieje rzeczywiście tylko na papierze, bo niema chyba tak naiwnych myśliwych, którzy sądzą, że jest ona ściśle przestrzegana i że odnośna ustawa na co się obecnie przyda. Chyba dla nie-myśliwych, bo nie wyobrażam sobie, aby myśliwy, kimkolwiek on jest, jeżeli ma ku temu sposobność, nie pokusił się, aby choć raz w życiu mógł strzelić do tak pięknej i szlachetnej zwierzyny, jaką jest kozica, pomimo, że ją ustawa chroni, zwłaszcza wiedząc, że i tak zginie ona z rąk kłusowników.

Mieć zwierzynę w rewirze i nie móc na nią polować, to za wielkie wymaganie. Przytem polowanie to, tak jest urocze w cudnem otoczeniu gór, tak odmienne od polowań w równinach, nadto wymaga ono pewnej tężyzny i sił, umiejętności w podchodzeniu, ze względu na trudności terenu i czujność zwierzyny, bacznej uwagi na wiatr, i przez to nie jest dla każdego przeciętnego myśliwego dostępnem.

Dla kogo więc ma się tę zwierzynę ochraniać, chodować i karmić? Albo dla właścicieli polowań po stronie węgierskiej, gdzie bezwzględna jej ochrona nie istnieje, lub dla naszych kłusowników, dla których znów żadne ustawy nie istnieją.

Znanem jest powiedzenie, że myśliwego zwierzyna się trzyma, czyli innemi słowy ochronę zwierzynie może dać tylko myśliwy chodowca.

* * *

W czasie wojny stosunki łowieckie bardzo się pogorszyły. Tatry stały się asylem dla uchylających się od służby wojskowej. Żołnierze znużeni długotrwałą wojną, przychodząc na urlop, nie wracali do szeregów, pozostawali w domu, a gdy ich poszukiwano, uciekali z bronią w góry, które opustoszałe od turystów, zaroily się zbiegami. Prowadzili tam oni życie pierwotne, koczownicze, nocowali czasem w szałasie, częściej w lesie lub w kosówce. Broń mieli z sobą, toteż żywności dostarczała im zwierzyna, która ucierpiała w tych czasach bardzo. Krewni przynosili czasem żywność, którą składali na umówionem miejscu, ale nie zawsze, bo ich także śledzono, więc czasem trzeba było wyżebrać albo i gwałtem zabrać barana z szałasów.

Takich zbiegów było w owym czasie dużo w Tatrach, które utraciły wtedy przeważną część swej zwierzyny, zwłaszcza na polskiej stronie, gdzie kozice prawie zupełnie znikły a sarn niewiele pozostało.

Wtedy to strzelali strażnicy liptowscy do Gąsienicy z Bystrego i zranili go w nogę, odebrali mu karabin, zostawili jabłko na orzeźwienie i na drugi dzień zabrali go na noszach do szpitala w Mikułaszu, skąd po wyleczeniu puścili do domu. Towarzysze jego nie wiedzieli nic o tem, potracili się bowiem swoim zwyczajem po żlebach i dolinach, i sądzili, że on do kóz strzelał.

Jeden z Krzeptowskich przyjechawszy na urlop z frontu w r. 1914 polował z dwoma towarzyszami na stronie wówczas węgierskiej. Nie spodzianie zobaczyli oni leśnych orawskich których wyminąć nie było sposobu. Ponieważ Krzeptowski był w pełnym mundurze wojska austriackiego jako „postenfürer“ i miał nawet bagnet przy sobie, więc w okamgnieniu ułożył plan działania. Nałożył bagnet na karabin, jednego towarzysza wzięto w środek jako dezertera, i prowadzili go wprost na leśnych, klnąc i okładając go kułakami. Ci z współzuciem patrzyli na delikwenta i prosili pana „postenfura i wójta“, aby go bardzo nie bili.

Po wojnie stosunki wszelkie rozluźniły się, brak dozoru i brak egzekutywy, obfitość broni po wsiach, sprzyjały rozwielmożnieniu kłusownictwa. Karabinów wojskowych różnych systemów mieli górale mnóstwo nawet z lunetami, amunicji również, dowodem tego, że u Stopki Dziadusia odebrano oprócz dubeltówki, także dwa manlichery i pełen kuferek naboí. W górach także mają broń ukrytą, aby jej nie trzeba nosić z domu, to pod skałą w suchem miejscu, lub na gałęzi starego świerka.

Chłopcy teraz śmiało idą na polowanie, w braku zwierzyny na polskiej stronie, chodzą do dóbr jaworzyńskich ks. Hohenlohego, gdzie dawniej ani im w myśli było grasować, tak się bali jęgrów księcia.

Z tego powodu miały miejsce różne mniej lub więcej tragiczne zajścia, i tak:

W lecie 1921 r. polowali Bukowski z Pająkówki i Stopka z Kościelisk na orawskiej stronie. Wypatrzyli ich strażnicy i zaczęli do nich strzelać, naco ci ogniem odpowiedzieli. Bukowskiego zranili czterema kulami, tak, że leżał nieprzytomny. Pozostawili go przez dwa dni na miejscu, poczem zabrali i umieścili w szpitalu w Mikułaszu. Gdy się podleczył pozwolono rodzinie go odwiedzić, która kilkakrotnie oto zabiegała, poczem uciekł nie czekając na rozprawę sądową.

W tym samym roku we wrześniu miało miejsce zajęcie z kłusownikami w dobrach jaworzyńskich.

Trzech górali przyszło z polskiej strony w sobotę 11/X. Leśny jaworzyński usłyszał wieczorem strzał, dał znać leśniczemu, który zarządził obławę na nich, wysyłając ku temu czterech leśnych następnego dnia. Ci obserwowali kłusowników w dolinie Litworowej z przeciwległego zbocza. Jeden z nich pozostał na miejscu, aby znakami informować towarzyszy o ruchach górali, a trzej podchodzili ku nim, jeden z dołu a dwóch z góry. Gdy się zbliżyli do miejsca, gdzie ich pierwotnie widzieli, zobaczył jeden z nich leżący plecak, który chciał podnieść. W tem padł strzał z odległości kilkunastu kroków a leśny trafiony kulą w czoło padł. Drugi przypadł równocześnie do ziemi chroniąc się przed podobnym losem a widząc zbliżającego się trzeciego leśnego, podniósł głowę wołając: „Rudi schiess!“ i w tej chwili dostał kulę w skroń.

Ten trzeci strażnik jak przypadł do ziemi, tak leżał tam do nocy bojąc się ruszyć. Czwarty strażnik na przeciwległym zboczu, słyszał strzały, ale tej całej tragedji nie widział. Zszedł na noc na leśniczówkę i zameldował o czem wiedział.

Leśniczy zebrawszy ludzi poszedł zaraz i po północy trafił na miejsce, gdzie znalazł dwa trupy i worek ze sarną, ale kłusowników i leśnego ani śladu. Ten bowiem tak był przerażony, że na wołanie długi czas nie odpowiadał, dopiero wezwany po imieniu odezwał się.

Sledztwo było bardzo trudne, aresztowano kilku kłusowników z Zakopanego i okolicy, między innymi dwóch braci Sulejów z Bystrego. Jednego z nich poznał ów leśny jako tego, który strzelał. Ten jednak postawił dwóch świadków, którzy pod przysięgą wykazali jego alibi. Zabójca uszedł bezkarnie.

* * *

Ale wracam do kozic. W zimie jeżeli spadną wielkie śniegi, schodzą kozice w doliny, chronią się w las. Wtedy można widzieć tropy kozic bardzo nisko np. około Hali Kondratowej, Kasprowej a nawet przy drodze prowadzącej z Kuźnic nad potokiem do Kalatówek je spotykałem, gdzie szukały resztek siana zgubionego przez furmanów wożących drzewo.

Jeżeli zima jest bardzo zawałna, tak, że stoki położone do słońca nie odtają i nie odsłoni się roślinność z pod śniegu, a w dodatku jeszcze, gdy co noc tworzy się skorupa lodowa czyli szreń, wtedy cierpią wielki niedostatek. W czasie słotnej jesieni i złej zimy chorują. Jedną z takich

chorych kozic schwytano w ręce na Hali Kondratowej, niesiona w plecaku zdechła jednak w drodze do Kuźnic. Zawalna zima zdaje mi się w r. 1906 wyniszczyła dużo kozic i sarn w Tatrach. Można było wtedy często spotkać rozwleczone przez lisy kości i kawałki skóry tych zwierząt.

W czasie dużych śniegów zauważyłem, że lisy włóczą się po przełęczach i graniach, wypatrują one pojedynczych sztuk kozic, które grzęznąc w głębokim śniegu, zwłaszcza przy szreni, stają się łatwo ich zdobyczą.

Wiosenne opady śniegowe są dla kozic bardzo zdradliwe, nie tylko dlatego, że im paszę odbierają, ale także z powodu lawin, które niemało kozic gubią. Po zniknięciu śniegów, młodzież góralska wyprawia się w znane im miejsca, poszukując rożków strąconych przez śniegi kozic. Ja sam posiadam rożki kozicy znalezionej na wiosnę przy Wantulach.

U jednego capa zabitego na Czubie, widziałem dziwnie ukształtowane racice. Były one nadmiernie długie i każda z nich była wzdłuż rozdzielona na dwie, nie wyjmując i tylnych małych ratek. Zachodzi tu prawdopodobnie wypadek choroby racicowej. Według opowiadania myśliwego, który go zabił, cap ten przebywał nie w turniach, lecz w trawiastych żlebach i omszonych pułkach w lesie, a było to nie w zimie, lecz w jesieni, widocznie szukał miękkiego terenu dla swych chorych racic.

* * *

Chcąc poprawić stosunki łowieckie w Tatrach, należy przede wszystkim znieść bezwzględna ochronę kozic, następnie postarać się o to, aby prawo polowania w górach i graniczących z nimi rewirach, dostało się takim jednostkom, lub co lepiej towarzystwom myśliwskim, które dadzą pełną gwarancję racjonalnego wykonywania łowiectwa. Niepolujący właściciel powinien być zmuszonym do wydzierżawienia swego rewiru.

Należy zorganizować specjalną straż łowiecką, złożoną nie z leśnych, którym zajęcia w lesie często nie pozwalają na pilnowanie zwierzyny. Straż ta powinna być w porozumieniu ze strażą wszystkich właścicieli Tatr, a więc i słowacką i mieć wstęp wolny do wszystkich graniczących rewirów.

Należy wyznaczyć wysokie wynagrodzenie za schwytanie kłusownika, względnie dowód przekonywujący o jego winie.

Ponieważ sądy są przeciążone i skutek tego działają powoli, przewlekają się sprawy przez długie miesiące a nawet i lata, przeto należałoby, aby starostwa karały kłusowników w drodze administracyjnej,

co może być załatwione rychlej niż w sądzie, gdzie często spotyka się brak zrozumienia dla tego rodzaju przestępstw.

Zniesienie bezwzględnej ochrony kozic nie przesądza, aby nie wprowadzić czasowej ochrony dla poprawienia zwierzostanu, na co właściciel względnie dzierżawca się zgodzi. Będzie on prowadził racjonalną gospodarkę łowiecką, karmił zwierzynę, utrzymywał należyty stosunek ilościowy samców do samic, tępił szkodniki, a przedewszystkiem polował, bo gdzie nie poluje właściciel, tam zwierzyny nie będzie, bo poluje kto inny, któremu na szanowaniu zwierzostanu nie będzie zależało. Zresztą hotelom i pensjonatom trzeba dostarczać także zwierzyny, bo jeżeli będą ją mogli nabyć od właściciela polowania, to nie będą zmuszeni nabywać od kłusowników.

Straży łowieckiej trzeba dać sposobność do brania udziału w polowaniu, które powinno się urządzać w każdym rewirze corocznie, choćby dla ćwiczenia i poznania stanu zwierzyny. Jeżeli personal łowiecki czy leśny nie będzie miał przez cały czas swej służby sposobności do polowania, to ją sobie sam znajdzie, a że się o tem nikt nie dowie, a przynajmniej zarząd, to pewna. Poco ma pilnować kłusowników i narażać się, korzystniej będzie, żyć z nimi w zgodzie. Niejeden strzał w lesie pójdzie na ich rachunek.

W razie dokładnego zastosowania powyżej wymienionych środków, sądzę, że kłusownictwo dałoby się w znacznej mierze wytępić.

Stanisław Barabasz.



WŁADYSŁAW ŚLEWIŃSKI — ZIMA NA PODHALU

W sprawie ochrony kozic słów kilka.

W kołach łowieckich — nie zawsze obeznanych ze stosunkami tatrzańskimi — spotykałem się niekiedy ze zdaniem, że absolutna ochrona kozic, taka jak ją zaprowadziła ustawa galicyjska z 19-go lipca 1869 r., jest zbyt dużą, a wystarczyłoby zupełnie poddanie kozic pod porządną gospodarkę łowiecką. Podobne zdanie wypowiada autor artykułu „Kłusownicy i zwierzyna w Tatrach“, p. St. Barabasza, tym razem człowiek dobrze Tatry znający. Dlatego z artykułu jego biorę asumpt do wypowiedzenia w tej sprawie słów kilku. Z góry zaznaczam, że na wywody szanownego autora bez poważnych zastrzeżeń zgodzić się nie mogę. Wprawdzie przyznaje on, że ze względu na opłakany obecny stan zwierzozostanu, absolutna ochrona kozic jako środek przejściowy w tej chwili jest potrzebna — i nie dodaje przytem na jak długo; nie byłoby się tedy na razie o co spierać, a dyskusję możnaby odłożyć do nieokreślonej przyszłości. Toć i inicjatorowie ustawy krajowej z 19 lipca 1869 r. rozumieli absolutną ochronę jako środek przejściowy i ustanowili ją tylko na lat dziesięć. Po upływie lat dziesięciu okazało się jednak, że nie zaistniały tymczasem warunki do jej zniesienia — i w ten sposób przetrwała ta ustawa aż do chwili wydania ostatniej galicyjskiej ustawy łowieckiej z 13 lipca 1909 r., w którą, niewłaściwie może, włączono ochronę kozic i świstaków już jako postanowienie stałe (§ 55). W każdym razie to przedłużanie prowizorium jest niewątpliwie charakterystycznym. Rzecz się bowiem naprawdę ma tak: kozice, nie różnią się co do wymogów swojej ochrony od innych zwierząt łownych, a jeśli ta zwyczajna ochrona dla nich nie wystarcza, to wynika to z warunków lokalnych w polskich Tatrach istniejących. Ochrona absolutna nie jest tedy bynajmniej środkiem idealnym, jest raczej złem koniecznym. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że na terenie dóbr jaworzyńskich, będących własnością księcia Hohenzollernskiego, a podlegających innemu ustawodawstwu, odbywała się dotąd prawidłowa gospodarka łowiecka; odstrzeliwano corocznie pewną ilość kozic, a zwierzozostan jest bez porównania lepszy niż w Tatrach polskich. Z niepokojem nawet należy oczekiwać chwili, kiedy tereny te dostaną się pod panowanie ustawy o absolutnej ochronie, aby wtedy stan rzeczy się nie pogorszył. Nic bowiem nie zdoła zastąpić — tak na tem polu jak na każdym innym — osobistej inicjatywy i osobistego interesu, interesu łowcy, mającego zamiłowanie, sprężystą i rozumną administrację i pieniądze. Z podcięciem tego osobistego interesu, osłabnie niewątpliwie

albo i ustanie ochrona. I to jest jeden z najważniejszych powodów, dla czego przepis ustawowy o ochronie absolutnej wymagałby rewizji; nie będzie on przystosowany do warunków istniejących na terenach, których wcielenia do Polski oczekujemy.

Do tego punktu jestem zdaje się w zupełnej zgodzie z poglądami p. St. Barabasza. Ale teraz zachodzi pytanie, czy na terenie dotychczasowym Tatr polskich, istnieją przesłanki, od których pogląd ten uzależniłem: zamiłowany łowca, rozumna i sprężysta, znacznymi środkami pieniężnymi dysponująca administracja? — O ile chodzi o posiadłości „dworskie“ tutaj się znajdujące, to o ich łowieckiem zamiłowaniu — czy możliwości, świadczą najlepiej ścierwa padłych w tym roku z powodu wysokich śniegów sarn;.. ale właściwe tereny kozicowe nie znajdują się tu wcale w rękach wielkiej własności, lecz należą do spółek włościańskich. „Wo das Land gemeine, da wächst das Gras kleine“, mówi stare przysłowie niemieckie, a jeśli odnosi się to do trawy, to cóż dopiero do zwierzyny!...

Jakież byłoby tutaj gospodarstwo łowieckie po zniesieniu ochrony absolutnej? W myśl § 4-go ust. łow. ustęp 1-szy właścicielowi terenu wynoszącego ponad 116 hektarów, bez względu czy właścicielem tym jest jednostka, czy też teren znajduje się we współposiadaniu większej ilości osób, przysługuje prawo do samoistnego wykonywania polowania t. j. do swobodnego rozstrzygnięcia o sposobie tego wykonywania, a więc już to we własnym zarządzie, już to przez wydzierżawienie i t. p. Oczywiście ile wspólnot posiadających ponad 115 ha, tyle samoistnych okręgów polowania. Mojem zdaniem, taki stan rzeczy byłby wydaniem kozic na łup gospodarki bezwzględnie rabunkowej. Nie byłoby oczywiście mowy ani o należytem stróżowaniu, ani tem mniej o pielęgnowaniu zwierzyny, natomiast strzelałby mógł każdy współwłaściciel, o ileby otrzymał kartę łowiecką, a nadto zaproszeni — czy w kupujący się — goście; pozatem oczywiście kłusownicy. Żaden nadzór władzy nie zdałby się tu na nic. Władza, która nie umie dać sobie rady z kłusownikami dysponując przepisami karnymi ustawy o absolutnej ochronie, nie umiałaby sobie tem pewniej poradzić z uprawnionymi do polowania.

Rozpatrzmy inne możliwości. Właściciele terenu w obrębie jednej gminy, z których żaden nie posiada wymaganego do samoistnego wykonywania prawa polowania minimum 115 ha., tworzą w myśl § 7-go ustawy spółkę łowiecką, łącząc w ten sposób swe grunta w jeden łowiecki okręg. Taka spółka wykonywa prawo polowania albo przez ustanowionych zaprzysiężonych myśliwych, albo też wydzierżawia je bądź

z wolnej ręki, bądź przez licytację (§ 9 i in.). W podobny sposób wykonywanem bywa prawo polowania także na gruntach gminnych (§ 4, ust. 2). W tych wypadkach ingerencja politycznej władzy powiatowej sięga o wiele dalej; ona zatwierdza i zaprzysięga ustanowionych myśliwych i ma też duży wpływ przy wydzierżawianiu. Oczywiście zakres tego wpływu zależy od osobistych i lokalnych warunków. W Zakopanem n. p. będzie on zawsze mniejszy niż na zapadłej prowincji. Ale nawet w najlepszym wypadku po wpływie tym nie można się zbyt wiele spodziewać. Ustanowienie myśliwych wychodzi zwykle na przysłowiowe zrobienie kozła ogrodnikiem; dla spółki łowieckiej wartość myśliwego określa się zresztą dochodem, który daje, a w tych warunkach trudno jest oszczędzać zwierzynę, — na praktyki sąsiadów zaś, których głosami zostało się wybrany na to stanowisko, patrzy się oczywiście przez palce. Jako najlepsza względnie forma, pozostawałaby tedy dzierżawa. Z jej pomocą bowiem przenieść można prawo polowania w ręce ludzi prawdziwie zamiłowanych i kierujących się pobudkami więcej idealnej natury... Zapewne — możliwość taka istnieje, ale od możliwości do rzeczywistości droga bywa bardzo daleka. Przed 30-tu lub 40-tu laty — mam na myśli Zakopane — rzeczby wyglądała tak: jako konkurenci do dzierżawy stanąłby napewne z jednej strony dwór, z drugiej jakaś spółka lokalna, złożona z hrubych zceprzałych gazdów, — w jednej osobie potentatów gminnych, hotelarzy i restauratorów, — z pana „organistego“, z miejscowej inteligencji, więc lekarza, dyrektora szkoły przemysłu drzewnego, aptekarza, pocztmistrza, może kilku panów urzędników z Nowego Targu i t. p. Gdyby miały wybierać kozice, oświadczyłyby się niewątpliwie za pierwszym z tych konkurentów; myślałyby może przytem o Jaworzynie. Co do drugiego, to oprócz widoków na potrzebę założenia szpitala dla postrzelonych capów — nó i siut — powstrzymały by je od głosowania za nim następujące refleksje: jak miałyby się rzecz z dopełnieniem trzech wymogów porządnego łowiectwa? Wymóg pierwszy: hodowanie zwierzyny. Zamilczmy... Wymóg drugi: oszczędny odstrzał; obecność panów restauratorów w spółce jest niepokojąca. Ilość osób, z których każda chce choć raz strzelić a których nie może być mniej dla względów finansowych, niepokojąca jest również. — Wymóg trzeci: należyte stróżowanie. Gdyby można poprzestać na gorącym westchnieniu do Aniołów Stróżów, wszystko byłoby dobrze, kiedy jednak ma się do czynienia ze stróżami mniej bezinteresownymi, sprawa się komplikuje... Ponadto jeśli nie wierzy się w możliwość sumiennego stróżowania pod panowaniem ustawy o abso-

lutnej ochronie, (jak to chce p. St. B.), to niema najmniejszego powodu wierzyć, aby ono było tu skuteczniejszym.

Ale poco wogóle marzyć o tej sielance? Dzisiaj sprawa wyglądałaby całkiem inaczej. Konkurentami do dzierżawy tego jedyne w Polsce polowania, byłiby już nie lokalni amatorowie, ale prawdopodobnie myśliwi ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, może nawet z poza jej granic. Gdyby się utworzyło towarzystwo, któreby powagą swoją i siłą kapitałową mogło liczyć stałe na monopol tej dzierżawy, być może sprawa byłaby idealnie rozwiązana. Ale nie można nigdy spuszczać się na szczęśliwe przypadki. Trzeba się raczej liczyć z walką konkurencyjną, w której jeden konkurent podkopuje i wypiera drugiego, z niestałością zatem stosunków, przy której nikt nie będzie myślał o dalekiej przyszłości, a zatem o oszczędnej i zapobiegliwej gospodarce, — z wysokimi bardzo kosztami, które dzierżawca będzie chciał sobie odbić. W tej zresztą walce konkurencyjnej nie koniecznie zwyciężaliby najbardziej powołani łowcy, często zaś może przelotny kaprys zbogaconego dorobkiewicza, który chętnie wybiłby naraz wszystkie kozice, aby pójść znowu za jakim innym kaprysem.

Gdy tedy nic nie daje gwarancji, że po zrównaniu kozic z inną łowną zwierzyną, ich byt byłby zabezpieczony, nie pozostaje „na razie“ nic innego jak absolutna ochrona. Byłoby do rozpatrzenia tylko jedno pytanie, czy i o ile przy absolutnej ochronie skuteczne stróżowanie kozic jest możliwem. Pan B. twierdzi, że nie, ale w tej chwili dodaje, że ze względu na zły zwierzostan, na razie potrzebna jest ochrona absolutna. Oczywiście jest w tem sprzeczność, bo jeśli skuteczniej kozice chronić można bez ochrony absolutnej, w takim razie trzeba ją znieść tem rychlej, im gorzej stan ich się przedstawia. Wyłazi szydło z worka, (zresztą bardzo sympatyczne szydło): p. B. jako zamięłowany i wytrawny myśliwy spogląda nie bez pewnej zazdrości na kłusowników, — dlaczego bowiem oni a nie lojalny i przyzwoity człowiek mają mieć monopol tak zachwycającego sportu? Żal zupełnie usprawiedliwiony. Niestety trzeba pamiętać, że takich żalów jest dużo więcej, że jest ich bardzo dużo, a Tatry są małe, bardzo małe, na tym zaś szczupłym obszarze, przy najgorliwszych zabiegach, nie dojdziemy nigdy do tego, ażeby się pomiędzy kozice trzeba było przepychać. Ubóstwo paszy, konkurujące o paszę owce (co prawda cofające się z Tatr w ostatnich latach), i coraz to zwiększający się tłum turystów, wpływają niekorzystnie na zwiększenie zwierzostanu. — Co do skuteczności stróżowania, to jest to niewątpliwie trafne spostrzeżenie, że przeciętny człowiek daleko lepiej rozumie prawo sym-

bolizujące się w pewnej osobie, zatem prawo osobistej własności, niżeli prawo powołujące się na abstrakcyjne pojęcie interesu publicznego. Uczucie to tkwi żywiłowo nawet w ludziach daleko wyżej kulturalnie stojących od strażnika kozic. Strażnik taki będzie bronił gorliwiej własności pańskiej niż rzeczy nie mającej zda się właściciela. Ale takimi psychologicznymi subtelnosciami nie można operować przy konkretnem rozstrzygnięciu spraw tego rodzaju. Faktem jest zresztą, że pierwsi strażnicy kozic, Jędrzej Wala (starszy) i Maciej Sieczka, daleko poważniej traktowali swe stanowisko i swą przysięgę służbową, niżeli późniejsi. Faktem też jest, że pod wpływem ustawy z 1869 r. zwierzostan tak się poprawił, że ustawa ta uważaną była nawet przez Węgrów za dobrodzieństwo, gdyż polski rezerwat łowiecki wpłynął na pomnożenie się kozic w całych Tatrach, ile że niedbała gospodarka łowiecka ówczesnych właścicieli, Palugyajów i Salamonów bardzo zwierzostan po tamtej stronie przetrzebiła. Późniejsi strażnicy może mniej odpowiednio byli dobierani, chybionym zaś był pomysł, powierzania straży tej leśnym dóbr zakopiańskich; dla nich ochrona kozic stawała się obowiązkiem tylko ubocznym, w „poręczonym zakresie działania“, jak się mówiło w Galicji. Zresztą sąd p. B. o etyce góralskiej jest nieco za surowy; nie jest to bowiem łatwo żyć między ludźmi, potrzebować ich w stosunkach sąsiedzkich, kumać się z nimi, a równocześnie podpatrywać ich kroki i łapać dla oddania do kryminału przy takiej niewinnej zabawce jak zabicie „niczyjej“ kozicy. Większa skuteczność stróżowania w dobrach Jaworznińskich pochodzi niewątpliwie w znacznej części stąd, że strażnikami są ludzie obcy, Tyrolczycy, nie związani niczem z ludnością miejscową, a nawet patrzący na nią z uczuciem pewnej wyższości. — Zgoła zaś chybionym jest argument p. B., że zamiłowany strzelec, zamiast oddawać się kłusownictwu będzie wiernym stróżem rewiru łowieckiego, w którym będzie miał sposobność od czasu do czasu w legalny sposób coś zastrzeżić. Nie słyszałem nigdy o tem, ażeby w rewirach, w których pada na polowaniu nie kilka lub kilkanaście sztuk, — bo normalny odstrzał kozic nigdy więcej wynieść nie może — ale jaka setka sarn i zajęcy, gajowi brali udział w polowaniach. Chybaby w rewirach dzierzawionych przez restauratorów... Polowanie jest sportem, tak jak n. p. tenis; chłopcy podający piłki nie biorą w sporcie udziału. — Na fałszywym rachunku polega również mniemanie, że restauracje i pensjonaty w Zakopanem nie będą kupowały od kłusowników, jeśli będą mogły nabyć legalnie ubitą zwierzynę. Przecież sarn w lasach dóbr zakopiańskich i szaflarskich nie chroni ustawa z 1869 r., a nie zdaje się, aby panowie restau-

ratorowie czuli się w tę zwierzynę należycie zaopatrzonymi. Trzebaby wybić chyba bez mała wszystkie kozice, ile ich jest w Tatrach, aby zaspokoić apetyty gości jednego tylko sezonu.

Jeśli ochrona kozic dzisiaj szwankuje, to nie jest to winą ustawy, ale nienależytego jej stosowania. Straż jest niewłaściwa i niewystarczająca; policja i władze patrzą na kłusownictwo przez palce. Wypadki bezczelności kłusowników, o których wspomina p. B., są dziś bodaj częstsze niż dawniej; zdarza się, że wszyscy wskazują sobie palcem kłusownika, a nikt go nie zaczepi. Poprawa tych stosunków łączy się z całym kompleksem reform. Kiedyby urzeczywistniła się myśl uczynienia z Tatr parku narodowego, ochrona kozic stałaby się tylko jednym ogniwem w całości, — i jednym tylko z zadań straży górskiej. Straż ta musiałaby być wtedy zgoła inaczej zorganizowaną, a strzeżenie Tatr jako obszaru nietykalnego — niby „ziemi świętej“ — stworzyłoby nowe i mocne pobudki do traktowania obowiązków poważnie. Strażnik taki miałby w tych obowiązkach wyłączne już zadanie życiowe. Centrum władzy administracyjnej opiekującej się Tatrami i Podtatrzem, owemi płucami Rzeczypospolitej, terenem letnisk i zimowisk, powinno się przenieść do Zakopanego. Od starosty rezydującego w Nowym Targu, teren ten nie jest wprawdzie zbyt odległy, licząc na kilometry, ale jest niezmiernie odległy psychicznie. Obowiązki administracji do niego przywiązane są całkiem specyficzne, a zgoła różne od tych z jakimi władza administracyjna ma do czynienia w tej części powiatu, gdzie ma siedzibę. Za czas niedługi będą nadto do Tatr i Podtatrza stosowane niewątpliwie odmienne przepisy ustawowe, jako do rezerwatu i terenu uzdrowiskowego. Na wyodrębnionym w ten sposób administracyjnie obszarze, nieodzownem jest wyodrębnienie także i władzy administracyjnej. A wtedy oczywiście i te specyficzne zadania administracyjne, które tu występują, całkiem inaczej będą traktowane; wysuną się one na plan pierwszy. Zadania takie jak ochrona przyrody, ochrona cech etnograficznych budownictwa w związku z całą fizjognomią krajobrazu, opieka nad stosunkami zdrowotnymi, nad potrzebami turystyki i t. p. — należeć będą do najważniejszych. — W szczególności co do ochrony kozic potrzebnem jest znaczne obostrzenie ustawy. Państwowa Komisja Ochrony Przyrody wygotowała była już dawno projekt ustawy o ochronie rzadkich rodzajów zwierząt i roślin. Projekt ten przeszedł ogólną próbę oceny Prokuratorji Generalnej i był gotów do wniesienia przed Sejm. Niestety spory kompetencyjne między ministerstwami udaremniły go na czas nie-

określony. A tymczasem za wyginionemi żubrami, giną i inne rzadkie zwierzęta, a między niemi i kozice; giną też cis i limba...

Zniesienie absolutnej ochrony a poddanie kozic gospodarstwu łowieckiemu, byłoby w istniejących na obszarze Tatr polskich stosunkach posiadania możliwem w jednej formie: w formie wzorowanej na dawnem regale łowieckim. Monopol łowiecki w odniesieniu do kozic, przysługiwałby głowie Państwa. Władza mająca nadzór nad tatrzańskim rezerwatem, przy której miałby też głos reprezentant Państwowej Komisji Ochrony Przyrody, zdawałaby corocznie sprawę ze zwierzostanu, zapodając ilość sztuk, które mogłyby być bez szkody w okresie łowieckim odstrzelone. Ale ażeby polowanie na kozice puścić na wody powszechnej konkurencji, to jest mojem zdaniem nie do pomyślenia.

Jan Gw. Pawlikowski.

Gdy luty mnie oduje wiatr...

Gdy luty mnie oduje wiatr
I głowę śnieg okurzy,
Przyciągnę rzemień w kostkach stóp
Świadom — że czas podróży.

Nie będę budził tych ze snu
Co cicho śpią w mej chacie,
Lecz pójdę sam — w szedziwy świt —
Aż w skalne Tatr pustacie.

Tam na najwyższy wyjdę szczyt
I pojrzę w okrąg siny,
Na dziki kierdel moich gór,
Na złotą dal dziedziny...

Na błękit nieba — światło nic —
Na białych chmur rozwieje,
Na słońce, co się z jasnych nieb
Cichemu światu śmieje.

I rzucę z piersi wielki krzyk,
Radosny, rozhukany,
Niech leci jak śleobodny ptak
Na hale — na polany...

Niech się z zielonych tula zбоч,
Na styrmnych spaściach wyska,
Goni pierzchliwych śladem kóz
I strąca piarg z urwiska.

Niechaj się w siklaw rzuca szum,
Na wierchy z wiatrem niesie,
Uderzy piersią w lśniący staw,
Zamrze na głuchym lesie...

I zejmę z siebie ciężki pas,
I legnę w jarkiem słońcu...
A potem pozwę k'sobie śmierć,
Na dnia białego końca.

Gromnicą stanie mi u głów
Mirknących Tatr zazoga,
Pacierzem klęknie u mych stóp
Przepastnych głębi trwoga.

Lecz zachwyconych moich ocz
Nie zamknie dłoń niczyja...
I będę patrzył — jako noc
Swoją gwiazdny cud rozwija...

Jako na zmierzchłych czubach gór
Przysiada Tajemnica —
A w głębiach dolin stawy drżą
Wysłuchane w baśń księżycą.

Wtedy to w ucho świętych cisz
Mój duch się wypowiedział,
Nad bezdnią, co jak muszla mórz
Wieczności szumem gada.

A potem przyjdą wilgłe mgły
Wstające nad doliną,
I na mych martwych blachman ocz
Położą dłoń matczyną.

J. B. K.

Kilka słów o znaczeniu terenów jaworzyńskich dla turystyki polskiej.

Ostatnia faza naszego sporu z Czecho-Słowacją o kresy południowo-zachodnie, t. zw. „sprawa Jaworzyny“ — to sprawa walki nade wszystko o wartości idealne: pomnożenie krajobrazowego piękna polskich ziem o bezcenny klejnot całego odłamu Tatr, oraz wybitcie wylotu na nowe, dla rozrostu i pogłębienia turystyki naszej niezbędne, wysokogórskie obszary.

Jakie są główne cechy krajobrazowe tych skalnych zakątków, na czym polega ich znaczenie dla naszego taternictwa — oto mimowoli narzucające się pytanie, na które odpowiedzieć pragnie pokrótce szkic niniejszy.

* * *

Z tatrzańskich rzek po stronie północnej największa i najgwarniejsza — rzeka Białka, zasila swój górny nurt wodami spływającymi z systemu dolin, które wdzierając się nakształt wachlarza w główny zrąb Tatr Wysokich, tworzą zwartą, zamkniętą w sobie całość geograficzną. System ten przecięła w sposób najnienaturalniejszy, bezprzykładny w innych górach, dawna galicyjsko-węgierska granica, iście salomonowym wyrokiem Rady Najwyższej w dn. 28 lipca 1920 r. na nowo potwierdzona. Nic dziwnego, że kiedy międzysojusznicza komisja delimitacyjna przyjęła możliwość korektury granic na pewnych spornych odcinkach, Rzeczpospolita wysunęła przedewszystkiem sprawę unaturalnienia linii granicznej w tej części Tatr, przez przesunięcie jej na walny grzbiet i włączenie przez to oderwanych, a gospodarczo najściślej z polskiem Podtatrzem związanych odgałęzień Doliny Białki. Wchodzące tu w spór terytorjum, to — poza samą osadą Jaworzyną — głównie dwie, głęboko w północne pochyłości Tatr Spiskich wżłobione, rozległe i w ramiona boczne bogate doliny: Dolina Białej Wody i Dolina Jaworowa.

Posuwając się wzdłuż zrębów Tatr od zachodu ku wschodowi — napotykamy najpierw Dolinę Białej Wody, tworzącą właściwie górne przedłużenie Doliny Białki.

Już zdawna zyskała ona sobie rozgłos najwspanialszej z granitowych dolin tatrzańskich. Sławę tę zawdzięcza dolina swemu położeniu wobec największych kolosów Tatr, które wyniósłszy się ponad zapadlisko dna

tysiącmetrowymi ścianami i spasztaami, tworzą skalne otoczenie o niezrównanej gromadzie i potęgde.

Zanim jednak owionie nas pochmurny smutek górnego świata — u początku doliny rozslonecznia oko, niespodzianie z okola wiekowego boru wynurzający się kwietnik Polany Białej Wody. Odurzający zapach wygrzanych na słońcu traw, ziół i kwiatów, ciche brzęczenie owadów, ważek, prasiatnic, wnikliwy syk koników polnych, jakby to rzędy ko-



Dolina Białej Wody. — (Z fotografii wydawnictwa art. reprodu. „Podhale.”).

siarzy krzesiło swe kosy, przygłuszony szum rzeki, w oddali płynącej, cała ta słodka melodia zamyślenia przyrody w upalny dzień letni wabi, kusi, pęta: chciałoby się lec gdzieś pod smrekiem, przy wancie, utonąć w błękitnie nieba i głosach natury, zapomnieć o trudach i wysiłkach, zbyć brzemienia myśli z nizin przywleczonych.

Przypominają się słowa Tetmajera:

„Tu oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
I ku białym obłokom na błękitnym niebie
Można świata zapomnieć i zapomnieć siebie,
Utopić duszę całą w wód i lasów szumie
I w tej upajającej, bezkresnej zadumie
Chcieć śnić do życia końca i po życia końcu.

Lecz darmo, trzeba minąć polanę i wejść w las u pierwszego zwężenia się doliny.

Cienista drożyna wiedzie wzdłuż Białej Wody. Dzika, szumna i mocarna to woda! Wyrzucające bryzgi na mgławicę rozbitych kropel wodnych, bystre, śnieżnobiałe fale potoku wałą z wściekłością żywiołu o zapory wygładzonych otoczaków, oślizłych złomów, „want“ i „skrzyżali“, to bulgocą, ryczą, pienią się w kipieliach i wirach, to słabną, nacicniają chwilę na zielonawych głębiach „płosa“, by znów ogłuszającą wrzawą napełnić milczenie lasu i nanowo pracować nad przemiennością form przyrody. Brzegi potoku nietknięte niemal stopą ludzką, pełne dziur, osunięć i wykrotów — porastają mchy, paprocie i glony, zalegają „sucharze“ pogniłych od starości jedli i smreków, kłody drzew, naniesionych w czas nawalnicy czy wiosennych roztopów. Wieczorami zachodzą do nich sarny, rogacze, jelenie, aby po trwogach dnia krzepić się kryształową wodą. Przez chwilę mającą rdzawymi sylwetkami na tle ciemnej zamroczy lasu i znowu jak zwiewne widma przepadają w haszczach. Prawdziwy tu matecznik praprzyrody, siedlisko sił pierwotnych, tworzących tak samo dziś, jak lat temu tysiące, kiedy to „miłość i spokój nie były ogniem trawiącym, ani zabójczą tęsknicą, ani kamiennem i ślepem przerażeniem...“¹⁾

Nad podnoszącym się zwolna dnem doliny chylą się z zawrotnej wyży potwornie gładkie, lite ciosy Młynarza (2151 m.), rzucając wieczystą pomrokę, od której odbity tem słoneczniej świeci się złocistym przymgleniem potężny mur szczytów, zamykających widok od południa. Wbity w niebo groć „Króla Tatr“ — Gałuchowskiego Szczytu (2663 m.) najbardziej rzuca się w oczy.

Zwolna blednie krasa roślinności, gaśnie siła jej barw, zanim jednak zamrze ostatecznie w szarzyźnie piargów i ponurości urwisk, raz jeszcze nasila całą swą moc, by stworzyć jeden z najwznioślejszych obrazów Tatr. Stoimy na miękkich, jedwabnych murawach Polany pod Wysoką. W okół nas jeszcze radość hali, jędrna, mocna zieleń smreków, gdy jednak wzrok podniesie się nad ich wyzębioną linję, bez wybitniejszego przejścia, gubi się nagle w dantejskich wizjach grozy i śmierci. Najhonorniejsze wierchy tatrzańskie, Rysy (2503 m.), Wysoka (2565 m.), Ganek (2465 m.), Batyżowiecki (2458 m.), Gałuch (2663 m.) wtapiają się w górne kotły doliny z urwiskami i krzesanicami, których gładkość śmiało może się mierzyć ze słynnymi ścianami Alp.

¹⁾ Kasprowicz.

Na Polanie pod Wysoką kończy się właściwy jar doliny. Najwyższej piętra i odnogi, to „cyrki“ i „kary“ polodowcowe, wysoko w ściany wierzchów wgłębione „dolinki wiszące“, opadające ku głównej dolinie niezwykle stromymi progami, przez które z szumem staczają się srebrne wstęgi siklawic. Dolinki te noszą nazwy: Czeska, Kacza, Litworowa, Świstowa, i stanowią same dla siebie przepiękne, urokiem osamotnienia porciągające kotły skalne. Martwość ich uweselaają niewielkie jeziorka, któ-



Widok z Młynarza na Gierlach i Polski Grzebień. (Fot. Stefan Zwoliński).

rych zielono-modre głębie odbijają się ukojnym kontrastem od zwierających się wokół, czarnych, straszliwych przepaści.

Odmienną w strukturze i rodzaju otoczenia, niemniej jednak wspaniałą jest Dolina Jaworowa, dzieląca w dolnym swym przebiegu całiznę Tatr Bielskich od trzonu Tatr Wysokich, w górnym zaś wciskająca się wąskim zachyleniem między posad skalny Lodowego Wierchu (2630 m.) i mur strzelistych Jaworowych Turni.

Kiedy szosa, wiodąca z Łysej Polany na Spisz, ku Żarskiej Przełęczy, wydzwignie się lasami na niskie przedramię Holicy, nagle rozbłyśka przed nami jaśń pól i łąnów, tem żywsza i bardziej świetlista, że

na mroczną zieleni otaczających uboczy leśnych rzucona. Zniżamy się i za chwilę stajemy pośród gęstych zabudowań.

To Jaworzyna.



Czeski Staw w dolinie Czeskiej. (Fot. Tadeusz Zwoliński).

Dzisiaj już dziejowe znaczenie posiadająca, wieś Jaworzyna jest jedyną większą osadą ludzką w samych Tatrach i z położenia swego przypomina owe wśród Alp zatraczone wioski, których istnienie i byt są wyłącznie otaczającą przyrodą uwarunkowane. Na dnie rozkosznej kotlinki,

u wylotu właściwej Dol. Jaworowej, pod ścianami Murania rozsiadła, posiada Jaworzyna znakomite warunki, aby stać się w przyszłości najpiękniejszym uzdrowiskiem i stacją turystyczną w Polsce. Oby tylko wzorów do jej rozbudowy i urządzenia nie brano z współczesnego Zakopanego!...

Szybko pozostawiamy za sobą proste domostwa chłopskie i okazalsze budynki, mieszczące zarząd dóbr właściciela tych okolic, ks. Ho-



Morze mgieł nad górną częścią doliny Białej Wody i doliną Česką. — Od lewej ku prawej widać: turnie Gierlachu, Wysoką, poniżej Ganek, w tyle czubek Krywania, Rysy, Młynarz; na pierwszym planie turnie Świstowe. — Zdjęcie ze szczytu Świstowego. (Ze zbiorów K. Steckiego).

henlohego, — jeszcze kilkadziesiąt kroków poza furtę ogrodzenia osady i odrazu wkraczamy w bór Doliny Jaworowej. Narazie widok zasłania gęstwa smreków, z którą darmo szarpie się wzrok, by odgadnąć co kryje daleka jeszcze głąb doliny. Pobok burzy się wartki Potok Jaworowy, wygrywając w swych falach odwieczną pieśń życia i walki. Chwilę zamigoce skrós drzewa słoneczna polana Gałajdowej Polany i znowu na długi czas pochłonie nas pomrok leśny. Drożyna oddala się od potoku. Przycicha jego gwar, milcząca zaduma boru przenika do duszy. Nawet rozmowa nie chce się tutaj jakoś kleić. Człek radby najrychlej minąć te „zdechłe“ miejsca, podmokłe, nieznanne słońcu, dyszące chłodem i zasępieniem.

Dwie godziny od opuszczenia Jaworzyny mijają, zanim coraz już kamienistsza drożyna wyniesie nas na pochyłe trawniki wielkiej polany, skąd wreszcie po raz pierwszy rozciąga się w całym przepychu wyżynna potęga otoczenia doliny.

Ku południowi wyżnia część doliny zachyla swe dno na wschód, dzięki czemu odsłaniają się nam górne jej zawory skalne: Jaworowe Turnie — jednolity mur najprzepastniejszych ścian, płyt i zerwisk, nad które dzikszych niemal pomyśleć niepodobna.

Blżej ku wschodowi, w bezpośredniem niemal sąsiedztwie, wypiętrza się gigantyczna postać Lodowego Wierchu. Niema w całych Tatrach szczytu, któryby tak imponujące wywierał wrażenie, jak ten wierch, od strony północnej widziany. Jest to niby niezmierna katedra gotycka, której nawa wsparła się na szkarpach majestatycznych bocznych grani, zdobnych w wieżyczki, pinakle-turnice, a tworzących wraz z głównym zrębem niezbadany jeszcze, prawdziwy labirynt ścian, kotłów, załomów, galeryj.

Resztę widoku — na zachód — zamyka ociążałe cielsko Szerokiej Jaworzyńskiej (2221 m.), jednej z owych wielkości tatrzańskich, które rozleniwienie swych kształtów okupują wspaniałością widoku z wierzchołka.

Idziemy dalej.

Mijamy polanę, wijemy się krętą percią wśród karlejących coraz bardziej drzewin i pnąc się pod koniec gruzem i trawami zasłanemi stokami Lodowego — stajemy wreszcie na ryglu Żabiego Stawku, na najwyższym piętrze doliny.

Nad nami podnoszą się czarne ściany Jaworowych Szczytów, rzekłbyś, że to szatan rozpiął ponad padołami śmierci swe skrzydła triumfujące. Daremnie ucieka od nich wzrok, szukając cichego spokoju zieleni — gdziekolwiek się zwróci, wszędzie spotyka tylko melancholję piargów i przejmujący smutek krzesanic.

Jaworowa Dolina podchodzi aż pod Lodową Przełęcz (2381 m.). Wrota to jej ostatnie, otwierające zstęp ku Dolinie Pięciu Stawów Spiških i dalej na słoneczne równie słowackie.

Wskazane powyżej — w słowach najkrótszych — estetyczne wartości spornych dolin tatrzańskich, dostatecznie już uzasadniają znaczenie tych okolic dla krajobrazu Polski. Lecz nietylko o zakąty dolinne, teren spokojnych włóczęg, chodzi w tym sporze. Niemniejszą w nim rolę od-



Zbójnickie turnie w grani Małego Lodowego. (Fot. D. K. K.)

grywa konieczność zdobycia nowych terenów dla ekspansji polskiego sportu wysokogórskiego. Wszak dotąd dla taternika, szukającego poważnej walki z żywiołami gór w Tatrach polskich, jedynie otoczenie Dol. Pustej i kotliny Morskiego Oka przedstawiały godny uwagi cel. Przez przesunięcie granicy w Tatrach Spiskich przypadłyby do nas północne pochyłości Wysokiej, Ganku, Żłobistego, Żelaznych Wrót, Batyżowieckiego, Garłucha, Jaworowych Szczytów, Ostrego, Lodowego... Skłony tych szczy-



Szczyt Jaworowy Wielki (2424 m.) i Mały (2386 m.). (Ze zbiorów Sekcji turystycznej P. T. T.).

tów opadają w głębiny dolin ścianami, zaliczającemi się — jak już wspomniałem — do najwyższych i najdzikszych w Tatrach. Może tu i ówdzie w innych partjach spotkać może taternik chwilowe większe trudności, tu i ówdzie gładze zapory, żadne przecież z wypraw tatrzańskich nie wymagają takiej sumy napięcia mięśni, nerwów i siły woli, tak wszechstronnego opanowania techniki skalnej i śniegowej, jak właśnie owe kilkusetmetrowe urwiska Dol. Jaworowej i Białej Wody. Dodać należy, że przejścia te — aczkolwiek głównie przez polskich taterników odkryte — należą do nader mało znanych ogółowi turystów, oddalenie

bowiem szczytów od miejsc noclegowych. uciążliwość dostępów, zakazy zwiedzania znacznej części dolin utrudniały w wysokim stopniu podejmowanie wypraw w te okolice. Otwarcie ich zatem przez stworzenie punktów wyjścia na wycieczki w tę część Tatr — przyczyni się do skierowania polskiej turystyki ku wielkim, godnym celom, a temsamem wyrwie ją z dzisiejszej dekadencji krótkich, modnych wspinaczek.

Turyści, zdążający w Tatry nadewszystko dla wrażeń estetycznych, szerokich horyzontów widokowych, znajdują w tej grupie szczyty, należące do najślynniejszych w Tatrach. Wierchy jak Mała Wysoka, Świstowy, Szeroka Jaworzyńska, Lodowy — to wyniosłości, z których ogarniamy w niezrównanem ugrupowaniu wszystkie niemal olbrzymy i karły Tatr.

Dla taterników wreszcie, pragnących przedostać się przez góry ku spiskim letniskom — stanowią będące w mowie doliny nieuniknione dojścia, przez ich dookolne przełęcze bowiem wiodą najkrótsze i najłatwiejsze szlaki na południową stronę Tatr. Dość tu wspomnieć o przełęczach: Wadze, Żelaznych Wrotach, Polskim Grzebieniu, Rohatce, Rówienkowych Przełęczach, Lodowej Przełęczy, Przełęczy pod Kopą...

* * *

Raz jeszcze powiedziane streszczając:

Pozyskanie jaworzyńskich terenów — to dorzucenie do skarbcza krajobrazowych Polski najcenniejszych klejnotów Tatr, to pchnięcie naszej turystyki na nowe, górne szlaki, to podniesienie polskich gór do rzędu najbardziej przez europejski alpinizm poznania godnych obszarów skalnych.

Mieczysław Świerz.

Jak „odkryliśmy“ Sławsko?

Dwa są w Polsce „eldorado“ narciarskie: Zakopane i Sławsko. Pierwszego nie trzeba było odkrywać. Gdy w Zakopanem pierwszy narciarz przypiął narty do nóg swych, aby wypróbować na stokach regli ten egzotyczny przyrząd — „letnia stolica Polski“ była już znana, modna nawet. Ale o Sławsku, cichej wioszczynie górskiej w Bieszczadach nikt nie słyszał. Leżała wprawdzie przy uczęszczanej linii kolejowej Lwów—Ławoczne—Budapeszt, jednakże zapewne dlatego, że mało w niej lasów,

nie stała się odwiedzaną w porze wakacyjnej letniskiem, jak sąsiednie miejscowości: Skole, Hrebenów, Zelemianka i Tuchla. To też, gdy w ostatnim dziesiątku lat ubiegłego wieku rozpoczęły się w Karpatach wschodnich i we Lwowie próby z nartami, nikt nie wiedział, że nie trzeba wyjeżdżać w daleką Czarnohorę, aby znaleźć dobry teren narciarski, lecz, że wystarczy czterogodzinna podróż koleją i tuż przy linii kolejowej otworzą się góry, jakby stworzone na to, aby po nich jeździć na nartach. Stało się zatem, że lwowski świątek narciarski był już wcale liczny i niezgorzej z nartami obeznany, że wyłonił z siebie pierwszy w Polsce klub narciarski, a mimo to żaden narciarz nie słyszał jeszcze o Sławsku i nigdy — jak pamięć ludzka sięga — nie przerzynały chyże narty nieskalanie białych stoków Trościana, Ilsy i Wysokiego Wierchu.

Sławsko musiało być „odkryte“. Raz kiedyś musieli przyjść tam narciarze, nasycić się pięknnością gór zimowych i zawrotnym pędem zjazdów. Stało się to w marcu 1907 r. i od tego czasu co zimę coraz liczniejsze gromady narciarzy przybywają do nieznaną dawniej wioski i przybywać będą tak długo, jak długo w młodych piersiach bić będą serca spragnione oszałamiającego pędu na nartach w otoczeniu gór przybranych w najpiękniejszą szatę zimy. A jak to było, gdy pierwszy raz przybyli narciarze do Sławska, opowiemy.

Zima r. 1906/07 była wspaniała, może najbardziej śnieżna ze wszystkich, które pamięta pierwsze polskie pokolenie narciarzy. Góry, doliny, wioski górskie — wszystko spało zasypane takimi masami śniegu, jakie w Europie środkowej spotyka się dziś tylko w niektórych wysoko położonych okolicach Alp. Rok ten jest także epoką w dziejach polskiego narciarstwa. W styczniu 1907 r. dwudziestu dwóch lwowskich narciarzy założyło Karpackie Towarzystwo Narciarzy, które położyło ogromne zasługi w krzewieniu królewskiego sportu na obszarach Polski.

Dla stowarzyszonych w K. T. N. narciarzy trzeba było znaleźć tereny narciarskie i to takie, które mogłyby być odwiedzane w jeden dzień ze Lwowa. Móc wyjechać w sobotę wieczorem i powrócić w niedzielę nocą, a dzień cały przepędzić w górach zimowych — oto zagadnienie bytu dla narciarzy lwowskich. Wycieczka w Czarnohorę lub Gorgany była bowiem wyprawą kilkudniową, wymagającą i wprawy turystycznej i sprzętu obfitego i — co najważniejsze — więcej czasu, niż ma go normalnie do rozporządzenia oddany zajęciom zawodowym mieszkaniec miasta.

Stało się zatem jasnym, że pożądanym terenów narciarskich szukać należało przy drodze kolejowej Lwów—Stryj—Ławoczne, która łączyła

miasto najkrótszą linią z Karpatami i miała najlepsze połączenia kolejowe.

Rozpoczęliśmy studjowanie map sztabowych, po przez które wiodła wspomniana kolej. I przy tej to robocie — pamiętam tę chwilę dziś jeszcze — ujrzeliśmy na karcie Tuchli, pokrytej w większej części zielonemi plamami lasów, w jej południowo-zachodniej połaci, przestrzeń kilkudziesięciu kilometrów kwad. prawie bezleśną. Co więcej: szeroko roz-



Wysoki Wierch. (Fot. Z. Klemensiewicz).

stawione warstwicę, głosiły każdemu obeznanemu choć trochę z kartografią okolic górskich, że są to góry o łagodnych, mało stromych stokach, a więc takie, które nadają się najlepiej pod narty. Od razu postanowiliśmy pójść tam z nartami przy najbliższej sposobności. Stało się to 10 marca 1907 r.

Była ciemna, ale gwiazdzista i bezchmurna noc, gdy z pustego niemal pociągu wysiedli na stacji w Sławsku dwaj narciarze. Jednym z nich był Zygmunt Klemensiewicz, wówczas student chemji na uniwersytecie lwowskim, drugim — piszący te słowa, w oną zimę zgłębiający z ubolewania godnym brakiem gorliwości, tajniki Instytucji i Pandektów. Obu tym panom było wcale nieswojo, gdy znaleźli się w czarną noc na pustej drodze wiodącej do wsi, w której nigdy nie byli. Jakiś pies uciekł

ze strachem, ujrawszy na tle gwiazd zakrzywionę rogi nart. Na pierwszym zakręcie mieliśmy, wedle otrzymanych wskazówek, natrafić na karcznię. Kierując się zmysłem powonienia, wyczuwającym bynajmniej niesubtelne wonie lichej wódki i zepsutego piwa, odkryliśmy rychło „hotel“, który miał nas ugościć. Tu jednak zaczął się dramat.

Trzeba było nieszczęścia, że właśnie w tym czasie w jakiejś wiosce górskiej wymordowano rodzinę karczmarza. To też, gdy zbudzony kołataniem ze snu żydek ujrzał na tle okna niebezpiecznie wielką sylwetę narciarza, którego grozę powiększały jeszcze sterzące z poza pleców dziwnie długie, do niewiadomego celu służące przyrządy, — za żadną cenę nie chciał otworzyć wrót swego domostwa. Trzeba było dłuższej dysputy i dopiero na miły uszom żydowskim dźwięk mowy niemieckiej rozwarły się drzwi karczmy. Reszta była już prozą, o której lepiej zamilczeć.

Z pierwszym brzaskiem dnia wyruszyliśmy. Niebo było zasnuwane mgłami, ale doświadczone oko turysty widziało, że pogoda jest pewna. Był silny mróz i w powietrzu spokój zupełny. Wieś spała jeszcze. Przeszliśmy szybkim krokiem wzdłuż chałup, kierując się na południe w dolinę potoku Sławsko. Z gór nie wiele było widać, białe ich stoki ginęły rychło w mgle poranku.

Z mapą w rękę przeszliśmy ubitą drogą półtora kilometra, a potem obok wylotu bocznej dolinki, wspięli się w górę zalesionym stokiem, mijając samotnie stojące domostwo. Zaraz powyżej kończyły się ślady człowieka i rozpoczynało niedotknięte stopą ludzką państwo zimy. Założyliśmy narty, kierując się w stronę różowiejących od wschodzącego słońca mgieł. Otworzyły się przed nami łagodnie nachylone polany, przedzielane tu i ówdzie kępami świerków. Nagle rozwiały się mgły, kłębiące się nad grzbieciem i wszystko wokoło ozłociło się promieniami słońca. Zatrzymaliśmy się, aby obejrzeć po raz pierwszy okolicę. To, co ujraliśmy było nadzwyczajne. Czy sprawiły to mgły ranne, włączające się jeszcze w połowie wysokości gór, czy nieprawdopodobna obfitość szaty śniegowej, która zdawała się, że wprost przygniata wszystko wokoło, czy też pełne zachwyty oczy narciarza, patrzące pierwszy raz na góry przedtem niewidziane, — dość, że nigdy później, ten zakątek górski nie wydał się piękniejszym, góry wokoło wyższemi i potężniejszymi, błękit nieba i nieskałana białość śniegu cudniejsza. Szliśmy w górę z radością w piersi, narty ślizgały się bez szelestu po niezmaconych wichrem puchach śnieżnych, coraz szerzej i przestronniej było wokoło. Przed nami wyrosła wyniosła czuba Wysokiego Wierchu, dalekiego jeszcze celu naszej wyprawy. Ponad okrytymi lasem stokami szczytu odcinała się na

fle ciemnego. aż w granat wpadającego nieba olśniewająco biała, potężna kopuła wierchu. Szeroki, wijący się wężową linią grzbiet, wywiódł nas drogą, która dziś już znana jest tysiącom narciarzy — do zboczy samego szczytu. Tu weszliśmy w las. Białe postacie drzew zakute w szaty ze śniegu i lodu, stojące nieruchomo jak posągi, błękitne cienie wśród złotych plam słońca, miejscami mrok zupełny pod kopułą zasypanych okiścią koron, taki las zimowy budzi zawsze w duszy narciarza uroczysty nastrój świątyni. Słowa milkną i jakiś łąk osiada na duszy i tęsk-



Trościan nad Sławskiem. (Fot. Z. Klemensiewicz).

nota za słońcem, które jaśnieje w górze na śniegach szczytu. Rychło byliśmy już ponad lasem, nakrytym od strony grani szczytowej szerokim pasem pionowych gzymsów śnieżnych, świadczących, że nie zawsze panuje tu cisza i świeci słońce na bezchmurnem niebie.

Wreszcie stanęliśmy na kopule szczytowej. Łagodną linią wygięty biały przestwór śniegów wywiódł na sam wierzchołek. Tam wśród gromadki w cudne, białe potworki zamienionych drzewin usiedliśmy na dłuższy odpoczynek.

Było ciepło jak w lecie. Leżąc na wznak w puchu śniegów patrzyliśmy na białe obłoczki, które wypłynęły na niebo. Świat był taki jasny, taki piękny i tak samo jasno i radośnie było w duszach naszych.

Gdzieś koło południa zaczęliśmy zjeżdżać. Przed nami w dół łagodnie schodzą pola śnieżne. Jeszcze ostatnie spojrzenie wokoło, troskliwy rzut oka na narty i uprząż i powoli zanurzamy się w dolinę. Ogarnia nas pęd coraz szybszy, wiatr świszczcze w uszach, u stóp podnosi się



Na Trościanie. (Fot. Z. Klemensiewicz).

z sykiem chmura prutego nartami śniegu. Zjazd! Brzeg lasu, od którego zśliśmy w górę na szczyt pół godziny, jest w chwil kilka przy nas. Las jest stromy, nie raz jeden pęd kończy się niespodzianie w kąpielu śnieżnej. Ale potem terenem otwartym pędzi się znowu bez troski po wybornym śniegu. Gdzieś za Kazanowcem opuszczamy ślad nasz, którym zdążyliśmy na szczyt i pierwszą z brzegu dolinką spadamy w dół do potoku Sławsko, szemrzącego cicho pod skorupą lodową.

Bez namysłu przerzucamy się na drugi brzeg strumienia, aby wejść jeszcze na Wierch Zielony, osłaniający od zachodu dolinę. Dwie pełne

godziny mozolimy się w skwarze południa po stromym stoku, którego końca nie widać. Wreszcie stajemy na szczycie. U stóp naszych, w niepokojącej głębi wieś i stacja kolejowa. Czy zdążymy tam na czas do pociągu?

Nie zatrzymując się zaczynamy zjeżdżać w dolinę. Na północnym, niedotkniętym promieniami słońca stoku góry śnieg jest jak wymarzony: zda się wprost, że wystarczy pomyśleć, a narty same słuchają rozkazu narciarza. Łuki, skręty, węże — w owym czasie szczyt techniki narciarskiej — łączą się z bajeczną łatwością w jedną nieprzerwaną linię zjazdu. Pęd nart upaja nas, zuchwale rzucamy się wprost w dół, nie hamując jazdy łukami. Nie szukamy drogi, ona sama otwiera się przed nami. Szereg polan leśnych, łączących się ze sobą nieprzerwanym ciągiem, wiedzie nas w dół. Pagórki, które przed chwilą były u stóp naszych, już są wysoko w górze. Nagle ściana lasu zagradza dalszą drogę — krok w lewo i nowa polana otwiera się na zachodnim zboczu grzbietu. Nie spodzianie urywa się wszystko strumycze uskokiem; wedle wielkich wzorów szukam ratunku w kijku narciarskim i za chwilę stoję na ubitej drodze, wiodącej dnem doliny. Dziesięć minut przed tem staliśmy jeszcze na szczycie Zielonego Wierchu.

Ten zjazd był niezrównany. Dziś jeszcze po latach wielu, po wielu wyprawach narciarskich w rozmaite góry, po zwiedzeniu terenów, uchodzących za najlepsze w Europie, dziś jeszcze wspominam ten zjazd z Zielonego Wierchu, jako niezapomniane wspaniały; byłem tam potem wiele razy, nigdy jednak nie powtórzył się w sposób tak cudny. Może dlatego, że nie było już później takiego śniegu, a może tylko — że nie powraca nigdy urok pierwszej wyprawy w nieznane przedtem świąty...

Zachodziło słońce, gdy wracaliśmy do wsi. W godzinę potem unosił nas pociąg z powrotem do Lwowa.

Roman Kordys.

Z B Ó J N I C Y .

(Opowieść).

Beł¹⁾ se ras malučki nieduzy zbójnicki harnaś, ftoemu beło Pietrek, a pisał sie po tatowi Gałajda. Juz mu beło roków cosi siedem a prawie beł kotowi po pępek. Ale choj mu ta beło Pietrek, wołali go: Janicku, — ze niby po Janosikowi takie nazwanie miał, bo sie rahował za zbójnika. Dyasi wiedzieli po prawdzie fto go ta wołał Janicke, telo ino miarkowali sitka co na Pietrzka nie posłuha, ino ze nie prógował nik cyby jako posłuhał na co ine.

— Pietrek, odstaw mliko bo uciece!

A ten sie ino łapie za gacięta i hipka ze niby pasa w portkak poprawia, a zaś sie pote shyli nad Kruckem i przipatruje sie jak kieby go pirsy raz uwidział i ukwaluje pomalučku: E raty — pado — nieźwidź!

A mliko zatela siust na kuhnie i wonia jaze do Poromina.

— Pietrek! zaprzyj dźwirze na kulik, coby śniega do izby nie naduło!

A Janicek do dźwirzy... otwira jak kieby miał ze siane wyjechać i maśiruje dopola.

Wte juz stary Samek Gałajda za rzemień — a mój Janicek nie myślęcy wiele, łap za drugi. Stoi se, patrzy do starego i śpiwa:

Bijał ci mie ociec, kie se byłem hłopic —
Teraz mie nie bije, bo go prasnem o piec! —

Ale sie Samkowi uzbirało, i, dobrze nie barzo, głowe między nogi, wybrusił zadek i puścił. —

— Ty! ociec! — nie śpasuj, bo uwidzis! —

No i co sie nie robi: uwidział ociec, co miał widzieć. — Pietrzke me bees wołał? — ckoj! — zchrumcył Janicek — i przistał do zbójników.

¹⁾ W opowiadaniu niniejszem dla zachowania właściwego kolorytu używam pisowni fonetycznej, która to pisownia nie rości pretensyi etnograficzno-naukowej. Oddaję gwara tak jak ją słyszę. Niekiedy te same słowa brzmią mi w uszach odmiennie i odmiennie je piszę. Trudność stanowi brak odpowiednich ezcionek, jak np. pochyłonego a i e, i t. p. Również rzec się wypada oddawania akcentów.—Głoska „i“ użyta w miejscu, gdzie w mowie literackiej bywa „y“ nie zmiękcza poprzedzających spółgłosek, (zatem np. „zid“ wymawia się nie „zid“, ale jak „zjid“); „barzo“ czyta się „bar-zo“, nie „bazo“).

Ludzie na świecie! ale to były głopy, głopy! — no!

Jeden był Pęksów Franek, cieniutki, chuderlawy, a zwyrtny strasznie. Wołali go Piskorz. Chowalała go babka; ociec umar, a mać kajsi uciekła z chałupy, powiadajom ze skrony tego Talijana, co przy dródze robił, ale ftoz wi cy nie bez Franka?... I — wicie, bo sie z telim głopem baba nie zawdy dorozumi, jesce i stara do tego, — to kie mu juz babka zanadto za pazdury zalazła, juz on wiedział co jej zrobić. Aniby jej Stasel w skole telo nie nauczył!

Takom miała ta stara mature jakomsi ze spała se ino w katanie. A wte miał być jarmak. — Budzi sie do dnia babka, obzira sie, kiecków suka, a ik nimas.

— Franek! kaś podział kiecki?!

— A cy ja to w kieckak chodzujem?

— Franek!

— Cozbyście keieli babusiu?

— Oddas przyodziwek?! Cy fces cobyk przez kiecków sła na jarmak, psia paro jedna?!

— E, moze se myślicie ze jek was taki ciekawy?

— Franuś!

— Ja ta nie Franuś, ba Franek. Cy sie moze nie wróci was Franuś, dziadek, z Pęksowego brzyzka, kaście go wywiezli kie se juz was uprzykrzył, bee temu ze trzydzieści roków — haj! — Coz me beecie franusić!

Ale sie ten Franek na progu trzimie prześpiecienie.

A tu prawie jedzie na jarmak Wojtek Tyrała z Kościelisk, parom, a ostro. Nie pyta, ino sie oździra na całe garło. Napity je, bo se za mostem zazirał do Sijanego. Franek zatela babke przywabił telo ku dźwierzom, coby widziała co bee konał. — No i kie wojtkowa fura pęksowej sopy dopadła, Piskorz beu pod konie jak długi... ale se lóg zdłuść, coby po bokak koło niego przesły. — Pęksowa stara juz kiecków nie patrzyła, ale jako Pan Bóg — ućiwszy usy — jej niżniom połowe stworzył, wyjechała do pola!...

Wojtek, cy Franka pod woze uwidział, e cy go pęksowskie fundamenta telo zastanowiły — stanął z woze, gębe oździawił, Franka nie sukał, ino mu za nimi ocy na śrubie hodziły, a mało nie wyleciały ze łba! — Franek juz był na nogak!

— E Wojtek — pado — cyście krówskiego podogonia nigda nie widzieli?! To sie mu przypatrzycie za sto lat, nie bójcie sie!

Taki to wej był Franek Piskorz od Pęksowej babki.

A pote byli Sobcaki Maciek i Florek, Ślimaków Józek, i Maciek Mikołajcyn... a sytko honorne towarzysia!

A beła i zbójnicka, jako ta co jom w Mikulasie powiesili, Sieckowa Marysia. Kcioł Janicek coby mu beła niby za Zoślanke, wtorom Janosik miał, — ale sie ona prociwiła.

— Ja se ta tofanka siama nońdem a cie pytała nie beem cobyś mi fustecki przynosił, siama se ukłaść potlefim!

No i za zbójnicke ostała i wołała sie: cyczorzasty Jano — a beło jej cosi z pięć roków.

Do tyk przistał mój Janicek, co mu beło Pietrek Gałajda. —

*

To wej wicie beło temu ze seśdziesiąt roków, kieś jesce pańskik portek w Zakopanem nie uwidział więcył jako świstaków po Tatrak. Kierdel beł tego niewielgi. — Ale ci sie to tak barzo jesce nie uprzykrzyło, a już na Bystrem, na Pardołowce, w Kościeliskak, na Gładkiem i ka inendyl po bokak toś już nijakiego cepra nie uświadczył. Wte wicie, drógi nie były takie jak teraz, co nimi jak po stole jedzies, jaze cie mgli we wnuku, ino pikne, a koleje po nik w gadziki, cyfrowane skolami bielučkimi, tu sie świeciła wodzicka, zaś kępki suhe, jakoz wam powiem — nie sie ta lepiej widziały jako dziś. Dunajec nie tulał sie tyz tak jako świnia w korycie ino se hipkał po skolak, po korzeniak, a hucał, zeby i biskup spowiedzi nie usłysał hojbyś mu sie dar w some uho, no to ci tam i grzyhów nie barzo rahowali. Samohodów nie beło, ani koleje, zidów nie zanadto, nie śmierdziało nic, dziwczęta nijakiego pirza na głowie, ani złota w zukwak nie nasały, — na nogak kyrpce, a nie lakiery... Moze sie wam lepij umrze na tym świecie, kieście sie na dawnem nie rodzili, boby sie wam z tam z tego tak prędko odejś nie kciało.

Jak sie namówili, — ledwie dniało, juześ ik miał na dródze ku Hamrom. Śli se spiwający „frajera“, a pozirali z góry na sitkie boki, myślałyś ze sie ziem pod nimi ugina. Ciupage mieli jednóm, a drugom rombanice Józek Ślimak malučki po ziemi włók bo go ramie zbolało od nosenia. Jedna ino Marysia za pazuskom miała pistolec wielgi wtory jej styrcał z tam stela wysej brody; obiecował se Janicek ze go ona długo nie poniesie, ale tymcose sie ino po nozak obmacował wtore se za pas wraził. He! Pasy mieli sitka ino ze nie skórzane ba z kory smrecanej nabijane kółkami od homontów. Kany tego sitkiego nabrali, dyasi ik ta wiedzieli.

Beł wte w Hamrak zid Markus. Do tego zida moje zbójniki nopir-wyl sie zabrali. Spał jesce kie do dźwirzy zburzyli. Kie hipnon odpirać, Piskorz bez okno juz beł we wnuku. Markus dźwirze odparł, patrzy: proci niemu seści hłopa, chocia i popod nogami, a jeder w spódnicy, — za nim jesce jeden oździra sie, kielo dehu ma w krztani, a sitko z no-zami, do tego i ciupaga i rombanica i pistolec, — zawse mu sie trohe nieglaźnie zrobiło.

— Ze coż panowie kcom? — pado do nik.

— Dawaj zidu borowički!

— A kiebyk nie doł?

— To cie spolimy!

Zgłupiał Markus, bo prawda ze telo i nomnisy zbójnik potrefi, — to juz ik prosił sieść i wódki dał z wodom przymiesanej. Piskorz jeden jom pił, a Janicek drugi, ale i to nie barzo. Patrzy sie zid do nik i pado im tak: Wielgomozne państwo zbójnicy, lepij bedzie cobyście tak nie rozbijali we dnie a z wielgim krzykiem, ino po cihućku, kie juz kcecie, coby was nie połapali zaroz a i nie popowiesali, bobyście ze siubienice nijakim sposobem do ziemi nie dostali. Jak urośnicie, to sie racej za wami snurek urwie jako teroz. Tak wam powim, wracojcie w Zakopane, co wtory moze pocihućku zbuhaicie, a pote przyniście do Markusa, to sie u niego dla was i dudki zbójnickie nońdom.

Ano — wysli od zida, ale kie byli na dródze nie kciało sie im tak zaroz du domu wracać. — Ze jakoz beemy w dziedzinie kraść? — Zbój-niki ka inendyl hodzujom! — Ze coż ta zid rozumi na zbójowaniu?!

I pošli — nie myślęcy wiele — ku Myślenickiemu regłowi ponad Kasprowom hale. Kie śli bez las, Janicek po tej borowice takiej matury nabrał jeze nie minon smreka, coby go ciupagom nie zaciąć: beu! z jed-nej strony drógi, beu! z drugiej i nie prędko mu sie to uprzikrzyło, jaze sie naprzikrzyło Marysi:

— Zbójnicy knajajom pocihu, a Pietrzki selenijakie jak z kobzom na wesele... Zbójnik z ciupagom do ziadala, a Pietlek do smlecka!

I byliby se ta oni tak po lesie zbójowali, kieby nie byli pobładzili. Piskorz Franek przewodził, ale zakiel mu sie zidowskie śniadanie ze łba wykurziło, juz nie wiedział wtoredy śli.

— Kany idziemy? — pyta Florek.

— E, ta idziemy, nie bój sie! — ale bełby rad, kieby mu samemu wto pedział, coby sie nie bał.

A tu we wnukak juz im od głodu grało. Słonko całe niebo obeso i nisko juz nad jakimsi graniom stało, nie wiedzleli nad wtorem to, —

a ja tyz nie wim, ale tak sie mi widzi jeze to kañsi pod Kope Kondrac-kom popod Goryckowom musieli przeñść. No i dobrze nie barzo, pod tom graniom na upłazku posiadali, markotni a i głodni okropnie. Marysia po kwili śpi, Janicek tyz, Piskorz na doline patrzy, studeruje, ale mu tyz piasek w oczak przeskadza, Ślimak Józek malučki popłakuje, a Sobcaki jak sowy siedzom, nie rusajom sie, nie gadajom nic.

Patrzy Franek, patrzy, nopirwyl na doline, pote coraz blizyj, na swój ciñ pod nogami, a tu, wicie, jak kieby w niego naraz pieron trza-snął, cuprzyna mu sie na łbie podniosła, język mu kołkem w gębie stanon, przestał dyhać od strahu ino mu sie serce tłukło, jak kieby boske, abo w kirpcak po ubitej ziemi hłop ciężki seł. Uwidział jeze mu sie ciñ sam rusył, oziągnon sie i łóg jak kieby od wysokiej jedli, co za Frankiem na grani stała. Myślał Franek, ze tak sie mu ino na spanie zbirało, na grani drzewo stało, to i stoi i telo. Ze cozby to ono było ajby było?! Tak se ta myślęcý juz sie obzira śmiało, ale zaraz od strahu cisto zamarz: Za nim stał hłop, jakiego jesce nie widział.

Zbójnicy — wicie, nasali kosule syrokie z rękawami staroświeckimi luptowskimi, pasy wielgie, blahami mosiężnymi, abo i złotymi nabijane, portki rzemieniami od kirpców ściśnone do kolana, a kłobuki wysokie corne, proste, z cisowom gałazec-kom za snurkem. Takiego uwidział Franek; teli beł, ze wtoz wi cyby do sosrębu w pęksowej izbie głowom nie dostał. Włosy carne, świecące wymascone, snureckami z głowy mu wisiały. Cimny był na rękak i na gębie, moze jesce cimnisy bo to beło pod słońko, stał se i patrzył na dzieciska.

— He, na mój dusiu! kanyzeście, pilchy, przilazły?! E cy was moze prziduło, e cy was wysuło, e cy was wypluło?!

— My zaśli — pado Pietrek, a kolena sie pod nim trzęsom — my nie keieli, my zmylili...

Poziro zbójnik, pozirajom moje zbójnicki do niego, ino by teraz rade pod pierzinami w chałupak siedzieć... Obzywa sie Janicek:

— Przepytyjem tyz piknie wielgomości, coby nas nie zabili zaroz.

— He, coby nie zabili, — nie zaros, ba po kwili! — pado zbójnik i stoi se, ino fajke przetykocem ciści. — Ale Marysia, jak ta zawse dziwka, śmielsa beła do hłopa i obzywo sie:

— Me how przišli, coby nas wzieni do zbójowania. — Tyn — pado — Janicek, co mu Pietlek i haw tyn Flanek Piskorz i Mački dwa zaś te i Folek i Józek, a jabyk tyz za zbójnicke przistała. My ta jesce przepytyjem — wicie, nie zbójowali, telo ino cok haw ten pistolec ukladała, ale ta lozumimy zbójować, nie bójcie sie.

Kie juz wam powim, ze zbójnik zgłupiał — to juz — no! Stał z fajkom i przetykoce, gębę ozdziawił i nie rusał sie nic.

— Jako? — pado.

— Zje dy haw śpasów nimas! kie rzeke fceme na zbój to na zbój a nie na co ine!

— He?

— Zje cy ik okwaciło?! Niegze se usy przetkojom przetykoce kie nie słysom!

Dopiro zbójnik fajkom, ciupagom, przetykoce, kłobuke o ziem prasnon i kie nim zaceno trząść od śmihu, pedziołbyś jeze go choroba hyciła: Jezuz Maryjo, pukne! phy za zbójników przistajom! Jezuz Maryjo, pokręci mie haw dzisiok! Ludzie na świcie! ha, ha, ha! ha! djabli ze wam w rzici grali! Jeseek nie słyśał! Cyjek nie omamioł? Ha, ha, kolki me cysto sprejom! — Phy za zbójników! — Po kwili sie ta ucisył i pyta sie: Kieloz je jest tyk pek? sim? no niegze! E byście byli zamirkli, kiebyk haw nie seł... e, zbójniki!

A Józek Ślimaków malučki pado: Mozeby nas nieźwidź zjod?!

— E, nie... nie... nieźwidź, e, k...k...kwieciaty, ze ... ze... ze zwoneckem! No, wlazujcie na mnie!

I wzion ik kielo ik beło na sie, jedno na pasie stało a ułapiło za sije, drugie zaś z drugiej strony na grzibiet mu wylazło, dziwce okraczem na ramieniu siadło jednom rąckom za włosy zbójnika sie chyciło, drugom za Florka co sie przycepił z tam stela, dwok na ręcak siedziało, — ino Janicek z Piskorzem drobili na piehote. No i pošli. Nopirwyl ubocom upłaziastom po tamtyj strónie ponad kosówke, zaś pote sie unizyli ku lasowi, pote kajsi kieby w Tomanowom, zaś hore, zaś dołu po skolak, po maliniakak, po piargu, jaze za jakomsi przełecom równiej sie zrobiło pod nogami. No i dobrze, bo juz nocka cimna beła, a moi hłopey pięty cisto poździrali i ni mogli nadążyć za zbójnikiem. Piskorz tyz i piskał co ni moze. Stanon zbójnik, cosi słuha i pado we ćme: Simek!?

— Ba jakoz! — obzywa sie wtosi drugi, a nie uwidzis go bo ćma jak w piwnicy. — Coz ta mos? cy barana? e, ki sto djasi za tobom cupka?!

— He, ta cupkojom „dobrzy hłapci“!

— Na mój sto prawdu! Towarzisia?! ze wtoz to? Dy ik nie widzem!

— Zje bo poziras pod pępek, moi hłapci wysej smreka!

— Kiebyk cie nie wiedział, wis Bartek tobyś haw juz ostał ty abo jo!... E, niegze, niegze, ta ciężko idzies, słysem... Coz niesies? capu? e cy forsie? — e cy dziwcyne?

— Ze ta i dziwcyne, ino pockoj...

Ale Simek ckoć nierad beł i rękom poza plecy Bartkowe. — Ludzie na świecie! coź to?!

Stanoł Bartek. — Siońdźże! — pado — coześ taki naremny?

Ano pošli dalej, Piskorz z Janickem ino sie snurków od bartkowej torby na oscypki co jom miał trzimiom, na pięty nazdeptujom, jaze i pod wante przišli kany przy watrze niewielgiej siedzieli zbójnicy, trzok haw, a tyk co przišli dwok, razem pięci.

— Bartek! Cyś cyhon cobyś dzieci krad?! Kaześ toto pozbiarał?

— E w Kondrackiem.

— Iście! Coź ta konały?

— Pytajom sie na zbój!

— Jakoś pedział?

— Zje na zbój!

— Na co takie? Na zbój?!

— Dyjek i ja tak zgłupiał jako wy, kie mi haw ta zbójnicka pedziała!

— A nie bały sie tobie?

— Ta sie trohe przibobowały, ale me pooblazowały wartko. Wicie, głodne som, jeś im trza dać, a pote budzie jako budzie!

No i... moi drodzy! — dali im zbójnici pojeść a ospytowali sie sitko, — dzieciska im ze tak a tak, jako im sie starzi doma naprzikrzyli, jako sie zmówili, jako u zida śniadali, co im pedział, jak ik pote zbójnik na grani naloż, sitko, cisto piknie poozpowiadali, — ino juz nie sitka, bo sie im strasnie spać fciało.

— No i co ś nimi zrobimy? — Patrzom hłopy po sobie i na Wojtka Mardułe, wtoren za harnasia beł. Tyn nic, ino pociąga se z fajki, a we watre pozira. Po kwili wstał, dwok inyk przywołał ku sobie, ci z jakiegosi niedźwiadka co go przynieśli, wyciągli ornat pikny, złocony, — idom, ubirajom Mardułe — zapolili świce dwie, hrube... Wojtek na nos okulary wraził kołowe, jakie Pawlikowski w Białym Dunajcu zdajał, moze ta wazyły ze trzi funty, książke jakomsi przed nim trzimiom, tymi świcami świcom... Dwaj zbójnicy co nie robili nic, poklękali, a kiebyś ik widział z tymi cornymi długimi włosami, pedziołbyś jeze zwaliste dziwki stojom. Dopiro Marduła Wojtek przezegnał sie i pado:

— Nie bees miół bogów cudzyk przedemnom cok jest Wojtek Gał Krwawy Marduła, bo kie cie hycem, to ci pazdury z palicok powedzirom, ino bees miół Poniezusa i Matke Boskom nasom zbójnickom ludzimirskom, abo cęstohoskom, a nijakom inom! — Nie cudzołóz, zkądęjs wzion,

tam tyz połów! — Ścij ojca twego i matke twojom i babke i cietke i ujka i krzeojca i jakom ta jesce mas selenijakom famielije! — Nie kradnij, kie nie potrefis! — Nie pozondaj zieny bliźniego twego nadaremno, ani wołu, ani capu, ani owiec, ani ta cego, kie ci nie trza! — To wam powiadam i Krzizem świętym was przezegnowujem, a kieby sie wam jesce zbójowania wtoremu zakciało, to go nońdem i juz go pote rodzona babka nie pozna! W imie Ojca i Sina i Duha świętego Jamen!

— Niegze bedzie na wieki wieków Jamen.

Myślicie se ze śpasujem? Nijakim kuńcem! Dy jo sie Pano Boga bojem a przykazania boskie święto rzec, — ale to tak wej beło. Ta wiedzieli jeze trza Boga kwalić ino nie wiedzieli jako... Dyj wte nie beło kościołów ani księdzów telo co dziś, to jakoz byjś sie beł modlił?! A zbójnicy sie ta radzi modlowali. Harnaś jako harnaś, on ta sitko musiał wiedzieć i za księdza musiał być kie trza było. Haj!

Wybrali pote tego Bartka i drugiego zbójnika do niego i przykazali im dzieciska odnieść w dziedzine.

Jesce noc beła, kie zburziło do Pęksowych dźwirzy...

— Tyś to Franuś?!

— Odpirojciez babka — hrubym głosem pado Bartek.

— Wtoz to?!

— E ta nik, ino jo...

— Zje wtoz taki?

— E zbójnik...

Babka pod ławe, ale Bartkowi dźwirze nie dziwne, on ś nimi jak hłop z babom: Juz beł w izbie.

— Ne! Biercie se wtore wase!

I tak wej dziecków pooznosowali po wsi.

Tej samej nocy — wicie — spolił sie zid Markus w Hamrak. Pote go našli pod węgłem: oskwasony beł jak płoscyca z poprzypalowanymi ręcami i nogami — nie beło co i zbirać...

Michał Pawlikowski.

Rybołostwo w górach.

„Tajemnicza mowa strumienia, cisza i majestat gór to rozkosz dla utrudzonej duszy człowieczej“.

Lord Grey: „O rybołostwie w górach“.

Kto patrzy w nurt strumienia górskiego, w tę toń błękitno-zieloną, pędzącą z szumem wśród puchów piany z pod turni śniegiem pokrytych

w doliny, ten mógłby przypuszczać, że te przepiękne, przeczyste wody nie mają mieszkańców, że to wody puste. A jednak jakże bardzo myliły się.

Wody nasze podhalańskie należą do najrybniejszych w Polsce. Nie tylko że żyją w nich ryby, że jest ich tak wiele, ale są to najszlachetniejsze rodzaje ryb jakie w ogóle żyją w słodkich wodach. Są to ryby z gatunku łososiowatych — rodzina Salmonidów, ryby słusznie „królewskimi“ zwane. Przed niewielu laty pełno ich było w Dunajcu i jego dopływach, dziś nienasycone kłusownictwo chłopów mieszkających nad ich brzegami wyniszczyło je bardzo, lata wojny i susza roku 1921 doprowadziła prawie do zaniku. Jeżeli zjednoczonym wysiłkom ludzi kochających skarby przyrody rodzinnej udało się odwrócić klęskę ich doszczętnego wyniszczenia w okolicach Podhala, to nie udało się ich uratować w naszych górach wschodnich: Dniestrze i jego górskich dopływach. Z wspaniałych gatunków ryb tamtejszych znikła „głowacica“ (*Salmo trucha*) ta królowa wód morza Czarnego, odpowiadająca łososiowi (*Salmo salar*) morza Bałtyckiego, znikły ogromne pstrągi jakie żyły do niedawna w Świcy, Oporze, Prucie.

W dorzeczu Dunajca mieszka trzy gatunki ryb królewskich: łosoś, pstrąg (*Salmo fario*) i lipień (*Salmo thymallus*). Inne ryby nie wchodzą wcale w rachubę, zapłacze się czasem jelec, czasem brzana, ale dopiero w dolnych biegach rzek, w górnych panują one niepodzielnie...

Nie dziwnego, że przy takim bogactwie ryb i tak wybornej ich jakości sport wędkarski rozwinął się już dawno, że pojawili się znakomici wędkarze polscy, a nie rzadko zjeżdżali na pstrągowe łowy sportsmeni z zagranicy.

Wśród wszystkich sportów uprawianych przez człowieka jednym z wywołujących największe wzruszenia jest chwytanie ryb na wędkę. O ile jednak połów ich we wodach spokojnych wymaga tylko cierpliwości i spokoju, połów ryb królewskich żyjących w rwących wodach górskich wymaga, zarówno jak turystyka wysokich gór — zdrowia, siły mięśniowej i bystrości wzroku.

W tajemniczą głębię rwącego „szypotu“ rzucił wędkarz wprawna ręką przynętę. Spada ona na oznaczony punkt wody lekko i bez szelestu, jak płatek śniegu. Z wirów wodnych wypada potężny łosoś, rzuca się na nią i rwąc za sobą linewkę znika w głębiach wodnych. Rybak poderwał sznur, zaciął rybę i zaczęła się walka z potężną zdobyczą. Raz zapada ona do dna, to jak błyskawica pędzi naprzeciw prądu, to przywrze do głazu podwodnego nieruchomo, by znowu nagle ruszyć z bie-

giem wody — to nagłym, gwałtownym wyskokiem wypada w powietrze. Niekiedy długo trwa to zmaganie się potężnej ryby z człowiekiem mającym jedynie pręt z linewką zakończoną jak włos cienką żyłką z haczykiem. Jedno nieogłędne zerwanie sznurka lub popuszczenie go nadmierne stanowi o zwycięstwie ryby, albo spokój i sztuka łowcy zwyciężają. Obrona jest coraz słabsza, ruchy ryby coraz wolniejsze, gwałtowne rzuty i napór słabną i oto po chwilach niezmiernego wzruszenia następuje upragniona chwila tryumfu. Ubezwładniony łosoś czy pstrąg przestaje się bronić — poddaje się, spływa na powierzchnię wody i daje się wyciągnąć szczęśliwemu łowcy. Rybak odetchnął zwycięsko. Tuż przy brzegu leży dziesięciokilowa ryba złocista — pochyła się by ją ująć w rękę. I oto w tej chwili wspaniały łup przerażony widokiem człowieka robi ostatni wysiłek, rzuca się i znika. Na brzegu stoi zadumany melancholijnie łowca i patrzy w tajemnicze głębie zlorzcząc sobie w duszy, że jeszcze chwilę nie poczekał dłużej aż piękna zdobycz nie osłabnie zupełnie.

Tak wygląda epizod z połowu drapieżnej ryby królewskiej. Kto go raz przeżył nie zapomni nigdy.

Wędkarstwo wymaga pełni tych właściwości co każdy sport wysokiej klasy: energii, wytrwałości, zgrabności, ćwiczenia, wprawy, spokoju i doświadczenia. — Wyrobione czucie ręki, niechybna przytomność umysłu, muszą współdziałać, by niespodziewanym zwrotom tych najzwinniejszych i najsilniejszych ryb poddać.

Nasz świat sportowy jest zaledwo miniaturą tych wielotysięcznych zreszeń, jakie wytworzyli Niemcy, a szczególnie Anglicy i Amerykanie północni. U nas na palcach możnaby policzyć znanych pionierów tego nieocenionego sportu — tam najznakomitsi ludzie za chlubę sobie mają, iż posiadają sztukę sportu wędkarskiego. — W Anglii cała rodzina królewska to namiętni jej wielbiciel i wyznawcy. Sam król Jerzy to wędkarz, którego nie odstrasza najgorszy czas od ulubionego sportu. Nie czuje się nigdy tak szczęśliwym i zadowolonym jak gdy z rannym braskiem spieszy nad Deę ze swą 6-metrową łososiówką, a jak sam przyznaje, gdy miał wypróbować nowe wędzisko, uciekł z zebrania w pałacu S. James i pospieszył nad ulubione wody.

Przybory rybackie angielskiej królowej wdowy Aleksandry to cały majątek, a angielscy sportowi łowcy posiadają muzea złożone z materiałów rybołowczych.

Wielki filozof angielski Herbert Spencer pisze: „Wędka przez łączące się z nią umiarkowane wysiłki fizyczne i zajęcie umysłu stanowi

dla mnie takie ukojenie ducha, daje mi taki odpoczynek umysłu, że jest moją najulubieńszą rozrywką i chciałbym się w przyszłości o wiele więcej i dłużej nią zajmować niż dotąd. Nic mnie tak nie krzepi i nie pobudza do nowej pracy jak łowienie ryb na wędkę“. Najznakomitsi ludzie byli zapalonymi miłośnikami wędkarstwa: admirał Nelson, Walter Scott, Humphry Davy, Faraday, Gladstone, Waldeck-Rousseau, John Bright, Göthe, Wiktor Scheffel, Claude Bernard, du Bois Reymond, tytan muzyki Beethoven, Sir Edward Grey, który na swym ciężkim i odpowiedzialnym stanowisku ministra spraw zewnętrznych każdą wolną chwilę poświęcał wędce. W dziele jakie napisał o rybołostwie w górach, przyznaje otwarcie że: „jedynie chwile szczęśliwe to te, gdy z wędką przebywam wśród ciszy i majestatu gór“.

Daniel Webster jeden z najgenialniejszych ludzi Stanów Zjednoczonych opisuje połów pstrągów w górskim strumieniu jako „rozrywkę tak różną od wszelkich ponęt świata, że każdy powinien choć jeden dzień życia jej poświęcić“.

Jedynym, prawdziwie sportowem narzędziem do połowu ryb, jest wędka. Składa się ona z kija nazywanego się wędziskiem i z linewki, do której przyczepia się żyłkę jedwabniczą zwaną „przypon“, na końcu której przyczepia się na jedwabnym troku muchę. Na grubym końcu wędziska zakłada się „kołowrot“, na którym jest nawinięta linka długości 40—60 metrów. Nie chcę nużyć czytelnika opisywaniem wędzisk, sznurów, haków i t. d., bo o tem są całe tomy spisywane — a tysiące ludzi zajmuje się i żyje z ich wyrobu. Samych much sztucznych jest kilkaset rodzajów, a wyrabiają je specjaliści z piórek i jedwabiu tak ładząco podobne do rzeczywistych, że nic dziwnego, że ryba odróżnić ich nie potrafi. Przedstawiają one różne rodzaje motylków, ciemek, jętek, komarów — o różnych barwach, zależnie od tego czy połów ma miejsce w maju, czy sierpniu lub październiku. Nawet każda okolica ma inne właściwe sobie muchy, które tam ryby najchętniej biorą. W naszych wodach nie dają się ryby brać na kawał ulubionemi gdzieindziej muchami tz. szkockiemii, o fantastycznych kształtach i jaskrawej szacie. Nasze pstrągi przenoszą ponad wszystko muchy szare, popielate, nakrapiane biało lub czerwono, cisawe, gniade. Są też nasze ryby tak nieobliczalne i kapryśne, że gdy jednego dnia rzucały się namiętnie na szarą March brown — drugiego dnia nie chcą o niej nic wiedzieć i skaczą do żółtej majowej Green drake lub niebieskawej Blue dun.

Na wędki nasze, wyglądające na dziecinną zabawkę, cieniutką jak bacik i na żyłkę jak pajęczyna, my wędkarscy sportowcy potrafimy wyj-

mować ryby kilkukilogramowe, ryby o niezmiernej sile, zwinności i sprężystości wprost niepojętej.

Ryby te łowi się na powierzchni wody — ciągle idąc dalej i dalej. Wprawny wędkarz potrafi rzucić muchę w miejsce upatrzone, niemal z matematyczną pewnością. Największe ryby leżą bądź na garbach wodnych, t. j. tam, gdzie się największy prąd zaczyna, bądź gdzie gwałtowny pęd wody już wolnieje. Muchę prowadzi się po szczycie fal ku brzegowi, — jeżeli w miejscu nad którym przepływa mucha leży ryba i chce „brać“, to rzuca się błyskawicznym ruchem i chwytą muchę. Jeżeli w tym ułamku sekundy ryby się nie „zatnie“, t. j. nie poderwie linewki jednym ruchem przegubu dłoni, ryba wypluwa muchę jako rzecz nie jadalną i wraca pod kamień, z pod którego wypadła i już na fałszywego wabia więcej wziąć się nie da.

Na muchy idą ryby głównie rano i wieczór, t. j. wtedy kiedy w przyrodzie najwięcej latają; w południowych godzinach ryba zwyczajnie śpi i do muchy nie skacze. Czasem dzień najlepszy się zdaje, woda rybna, miejsca wyborne, a ryb ani śladu, czasem przeciwnie ryby skaczą do muchy masowo. Od czego to zależy daremnie starają się dojść wędkarze — jest to zagadka tych wodnych mieszkańców. Najlepiej się połów udaje w dzień chmurny, ciemny, gdy słońce „pod chmurą“, powietrze bez wiatru, zwłaszcza przed deszczem. Wiatr jest wrogiem wędkarza, szczególnie suche wiatry wschodnie i północne; wiatry zachodnie i południowe nie są tak szkodliwe. Najpewniejsze połowy odbywają się na drugi lub trzeci dzień po zlewach, gdy woda się oczyści, wtedy ryba zgłodzona bierze ponętę żarłocznie. Jaką muchę rzucić to już rzecz doświadczenia; znający wody wędkarz wie gdzie jakie ryby i na jakie muchy skaczą — ogólnie tylko jest pewnem, że przy jasnym, czystym niebie i wodzie bardzo czystej dobre są muchy małe, ćmy, przy chmurnym dniu więcej jaskrawe, przy mętnej wodzie opalowej — większe. Niewprawni początkujący rybacy mogą rzucać od razu kilka much przyczepionych do linewki i śledzić, na którą ryba się rzuca i ten rodzaj używać.

Anglicy rzucają muchy przeciw wodzie i idą w górę rzeki. Czynią to wychodząc z tego racjonalnego wniosku, że ryba stojąc głową przeciw wodzie nie widzi człowieka idącego poza nią i nie straszy się. My mimo to chwytamy z wodą. Jest to bowiem znacznie łatwiejsze rzuć i mniej męczące na naszych bardzo bystrych wodach.

Kto spróbował życia rybackiego — wie, że sportu piękniejszego i zdrowszego wyobrazić sobie trudno. Nad wszystkie piękności człowiekowi znane, piękniejsze obrazy Dunajca o rannym świcie czy wieczornym zmroku, dzikie, poszarpane grapy Białki w Brzegach czy Bukowinie, za-rosła Czarnego Dunajca na Witowie, grzmiące spady Białego Dunajca w Szaflarach, czy zielone brzegi zjednoczonych wód Dunajcowych w Waksmundzie, Łopusznej, Harklowej, aż pod Czorsztyn i nieopisanego uroku wody w Pieninach.

Zachodzi słońce, wstęga wodna mieni się wszystkimi barwami szmaragdu i złota, niebo przybiera coraz inne odcienia, zdala Tatry jakby welonem niebieskiej mgły przysłonięte, to żarzące się czerwonym płomieniem „gorzeją“, — nad wodą powietrze świeże, rzeźwe, niosące miodowe wonie łąk i pól — cisza i pustka. Tylko fala z koronką piany pędzi bez końca i szumi bezustannie, tylko z daleka dochodzą dźwięki dzwonek pasącego się bydła i owiec.

Wśród tego o niezmiernym uroku krajobrazie, z pod skał i kamieni, leżących w tajemniczym mroku wody, wypada ryba.

Niezapomniane chwile — jak sen słodki kojące.

*

Nad królewskimi rybami Podhala zawisła w ostatnich kilku latach klęska zagłady.

W restauracjach Zakopanego, N. Targu, Krynicy a nawet Krakowa podawano przez cały rok pstrągi zarówno w czasie ochrony jak i w czasie dozwolonym.

Z małym wyjątkiem, wszystkie te ryby były skradzione w rewirach dzierżawionych bądź przez Krakowskie Towarzystwo Miłośników Sportu Wędkarskiego, bądź przez osoby prywatne. Ryby złowione rękami, ościami, sieciami i t. d., przynosili nocą kłusownicy rybni i sprzedawali restauratorom, którzy tem samem byli współnikami kradzieży. Jedynie nieznaczny procent uczciwych przemysłowców żądał dowodu, że ryby pochodziły z legalnego źródła.

W roku 1921 przyszła na ryby Podhala ostateczna zagłada. Była nią — posucha. Wody zmalały tak, że gdziekolwiek można było przejść Dunajec suchą nogą — czego od lat wielu nie było. Następstwem tego spadku wód było, że wszystkie ryby w nich żyjące zawisły na łasce wrogów, od wrony do człowieka; całe gromady ruszyły na pogrom tych stworzeń.

W początkach sierpnia widziałem jak brodziły po rzekach i strumieniach całe rzesze łakome i nielitościwe, i to nietylko chłopcy i niedo-

rostki, ale i „hrube gazdy“, rewidując każdy kamień i wybierając każdą rybę. Za tą zgrają bandytów, bezkarnie łupiącą cudze ryby — szli ludzie z workami zdobycznymi. W Chochołowie powyżej mostu *tz.* pierwszego, zastawiono Czarny Dunajec wałem kamiennym, a wodę puszczono do młynówki przez wieś płynącej. Oczywiście w korycie pozbawionem wody wybrano wszystko co żyje. W Bukowinie wójt i rada gminna bez ceremonji wydzierżawili Józefowi Budzowi cały teren rybacki, należący do p. Szymborskiego, uchwałą miejscowej czerezwyczałki. Gdy przyszedłem nad Białkę, poczciwy rybiapiast z dobroduszną miną mówił do mnie: „Łapcie se ta łapcie i wy — ja wam ta nie bronię“. Zacny mąż!

Taki obraz rozboju bezceremonialnego widziałem wszędzie.

Nad gospodarstwem rybnem Podhala, chlubą rybactwa polskiego, nad ozdobą rzek i strumieni tatrzańskich, zawisła zagłada. Długoletnie wysiłki ludzi, pragnących postawienia rybactwa na stopniu, na jakim stoi w innych krajach cywilizowanych, zarybianie, ochrona troskliwa pstrąga i łososia — szły na marne. Było rzeczą jasną i pewną, że jeśli nie nastąpi rychła pomoc, pełne życia i ruchu strumienie nasze ogarnie martwota grobowa — że w nich ryb nie będzie.

Widząc na co się zanosi i to zanosi nieubłagalnie, rozpocząłem działalność ratowniczą. Gazeta Zakopiańska otworzyła gościnnie swe łamy dla tej sprawy, a za nią poprowadziły akcję ochronną i pisma wielkomiejskie: Kurjer Krakowski, Słowo Polskie i Rzeczpospolita.

Dzięki temu stanowisku prasy, społeczeństwo i władze zrozumiały, jakie niebezpieczeństwo grozi bytowi ryb królewskich i poparły moje usiłowania.

Zaczęła znikać obojętność dla tej tak ważnej dziedziny gospodarstwa narodowego, przekonałem czynniki odpowiedzialne, że byłoby zbrodnią znosić tępienie tych skarbów przyrody, jakie nasze wody górskie chowają. Jeżeli wysiłki nasze mają odnieść skutek, należy jak to na ankiecie zebranej w starostwie w N. Targu przedstawiłem i zażądałem:

1) By dzierżawę rewirów rybnych oddawano jedynie ludziom, dającym należyłą rękojmię, że będą prowadzić gospodarkę rybną sportowo a nie zarobkowo.

2) Dzierżawcami nie mogą być gminy wiejskie; nie można poddzierżawiać rewiru spółkom włościańskim ani handlarzom ryb, jak się to niestety teraz dzieje.

3) Dzierżawcy muszą mieć pewną i energiczną straż, czuwającą nad powierzonymi ich pieczy wodami; straż ma nosić broń i odznaki swej władzy.

4) Policja państwowa ma obowiązek wspierania czynności straży rybnej, w swych obwodach ma czuwać nad wodami rybnymi, w czasie służby (szczególnie nocnej) zwracać baczną uwagę na rzeki, gdyż wtedy głównie odbywa się kradzież ryb. W czasie tarła pstrąga i łososia, tj. we wrześniu, październiku i listopadzie, powinni niektórzy policjanci jedynie tylko być zajęci dozorem nad wodami — i żadnej innej służby nie pełnić.

5) Policja ma przeprowadzać rewizje u znanych jej handlarzy rybnych i restauratorów. W razie stwierdzenia, że mają ryby królewskie bez certyfikatów pochodzenia lub z certyfikatami, ale w czasie ochronnym, ryby konfiskować, a sprawców oddawać do ukarania starostwu. Ryby skonfiskowane ma zwierzchność gminna przy obecności policji sprzedać na publicznym przetargu na korzyść dzierżawcy rewiru.

6) Sprawy karania kłusowników ma prowadzić starostwo, nie sąd jak dotychczas, wyroki bowiem wydawane przez sądy w sprawie kradzieży ryb są tak łagodne, że nie tylko nie przyczyniają się do tępienia kłusownictwa, ale zachęcają do niego. Poza tem kary te powinny być jak najszybsze, a przy obecnem przeciążeniu sądów i znikomej ilości sędziów, nieraz rok i więcej mija nim sprawa przychodzi na wokandę. Takie przewlekanie działa jak najniekorzystniej, a jedynie starostwo potrafi szybki wymiar kary przeprowadzić i wyznaczyć kary prawdziwie odstrasżające.

7) Wydać rozporządzenia zabraniające na wodach górskich innego chwytania ryb, jak na wędkę w sposób sportowy. Karać surowo chwytanie na oście, czerpaki, saki, włoki i t. d., trucie ryb lub niszczenie środkami wybuchowymi. Dzierżawcy terenów nie stosujący się do tego zarządzenia, mają być doraźnie z dzierżawy usunięci i ukarani. Jedynie konieczne dla gospodarstwa rybnego odławianie ryby białej lub nadmiaru królewskiej może być za zgłoszeniem czasu i ilości połowu przez starostwo dozwolone.

8) Dzierżawcy terenu muszą co roku zarybiać swój rewir. Do rozszerzania ikry potrzebne osobniki mają być przez policję państwową skontrolowane przy przewożeniu.

9) Nie wolno zastawiać rzeki jazami, tamami i t. p. bez zostawienia przynajmniej połowy wolnej do swobodnego przepływu ryb.

10) Nie wolno urządzać t. zw. „ogródków“ czyli łapek na łososie.

Jeżeli te przepisy wejdą w życie, a wysiłki nasze poprze społeczeństwo, starostwo, Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, policja pań-

stwowa, właściciele rewirów rybackich, Ministerjum spraw wewnętrznych — to możemy powiedzieć, że wygraliśmy sprawę — inaczej bandyci niszczący majątek narodowy zatryumfują.

Tadeusz Gabryszewski.

Gorgany Zachodnie.

Już na parę lat przed wojną, dzięki owocnej działalności kilku towarzystw turystycznych i narciarskich, a nadewszystko zapałowi niewielu jednostek, które były duszą tych towarzystw, zaczął się rozwijać ruch turystyczny w lecie i w zimie nawet w tej części Karpat, której zwiedzanie z powodu dzikości i braku odpowiedniej komunikacji było połączone z ogromnymi trudnościami. Były to wyprawy bardzo uciążliwe ze względu na wielkie przestrzenie, jakie trzeba było przebyć, by dotrzeć do godnych zwiedzenia szczytów i wymagały szczególnych zdolności orientacyjnych w terenie lesistym i bardzo ubogim w odpowiednie ścieżki. Lecz żądza nowych wrażeń i nowych zdobyczy dodawała tym miłośnikom gór siłę i ochoty do pokonania tak wielkich trudności.

Tę najdzikszą część Karpat, najbardziej niedostępną, a zarazem największe budzącą zainteresowanie, stanowią do dziś Gorgany. Wschodnie części tego pasma, zwłaszcza położone w bliskości linii kolejowej, znano wprawdzie i odwiedzano już dość dawno. Lecz zachodnie Gorgany nie mają tak dogodnego dla turystyki położenia. Najbliższa w kierunku zachodnim linja kolejowa przecina Bieszczady w odległości ok. 120 km. od doliny Prutu. A ponieważ najwyższe i najpiękniejsze szczyty Gorganów leżą w samym środku tej 120 kilometrowej przestrzeni, stąd pochodzi ich dzikość i niedostępność i do dziś jeszcze są one najmniej znane i najrzadziej odwiedzane. A więc względy komunikacyjne sprawiły, żeśmy tej części Karpat nie zużytkowali jeszcze, ani dla celów turystycznych, ani klimatycznych. Dopiero od czasu, gdy dzięki eksploatacji lasów zbudowano kolejkę leśną z Broszniowa do Osmołody, a nawet dalej w głąb gór, ruch turystyczny w tej części Gorganów wzmógł się i wzmagą coraz bardziej.

Ponieważ opis całych Gorganów trudno byłoby pomieścić w ramach artykułu, a wschodnia ich część jest, jak wspomniałem, lepiej znana, artykuł niniejszy ograniczy się do mniej znanych Gorganów Zachodnich.

Będzie to opis czysto informacyjny. Kto się wybiera poraz pierwszy w Gorgany, znajdzie tu może pożyteczne dla siebie wiadomości.

Karpaty Wschodnie¹⁾ dzielią się, jak wiadomo na trzy części t. j. licząc od zachodu: Bieszczady, Gorgany i Czarnohorę. Gorgany stanowią więc



część środkową, a rozciągają się na przestrzeni 80 km. od przełęczy Wyszkowskiej do przełęczy Jabłonica. Ograniczają je więc po stronie polskiej od zachodu doliny Mizunki i Świcy, od wschodu dolina Prutu.

Różnią się Gorgany od sąsiednich Bieszczadów przede wszystkim tem, że są na ogół o wiele wyższe, gdyż szczyty wznoszą się przeważnie

¹⁾ Do ogólnej orientacji może posłużyć krótki przewodnik dr. Miecz. Orłowicza: „Ilustrowany przewodnik po Karpatach wschodnich. Lwów, 1914; skład gł. u Gubrynowicza.

ponad górną granicę lasu (1400—1500). Najwyższy wierzchołek, Sywula, liczy 1836 m. wysokości bezwzględnej, t. j. zaledwie 64 m. mniej niż Ge-wont w Tatrach.

Mają więc Gorgany po Czarnohorze największe wzniesienie bezwzględne w Karpatach Wschodnich. Wzniesienie względne jest również znaczne, bo dochodzi do 1000 i więcej metrów.

Ale najbardziej charakterystyczną cechą Gorganów są głazy niekiedy ogromnych rozmiarów, które zalegają stoki a przede wszystkim grzbiety i wierzchołki. Głazy te nazywają się gorganem i stąd nazwa całego pasma.

Wierzchołki Bieszczadów są niższe (ok. 1200), łagodne, kopalaste i pokryte zwykle lasem. Gorgany, których najwyższe szczyty zbudowane są ze spiętrzonych głazów, przedstawiają się jako grzbiety o śmiałych linjach, a szczytach często ostro zakończonych, co podnosi ich dzikość i piękno zarazem. Cechuje je nadto niezwykle bujna i wysoka kosodrzewina. Jest ona o wiele wyższa od kosodrzewiny tatrzańskiej, bo przeraża znacznie wysokość człowieka; stąd utrudnia ogromnie orjentację i stanowi często prawie nieprzebytą zaporę dla zbłąkanego turysty. Niektóre szczyty są zupełnie pokryte kosodrzewiną i dla tego nie budzą zapału do zwiedzania ich w porze letniej. Zato w zimie, kiedy kosodrzewina ukryje się pod grubym płaszczem śniegowym, mogą stanowić cel dla wycieczek narciarskich.

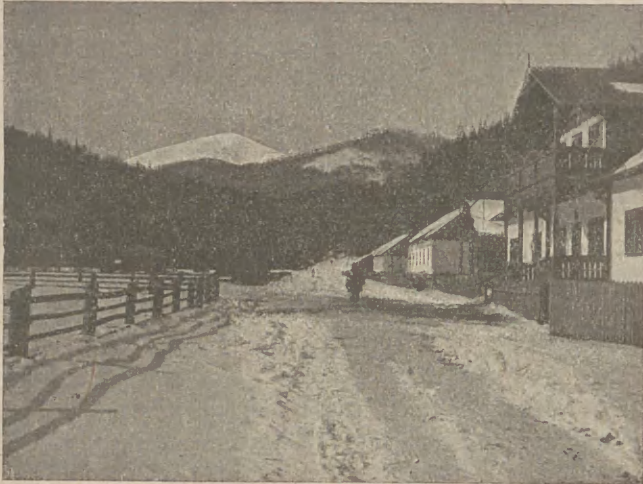
Piękną ozdobą Gorganów są limby. Występują one tu we większych lub mniejszych grupach na górnej granicy lasu. Dolną część stoków pokrywają lasy świerkowe. Jeszcze lat temu kilkanaście był to stary, dziewiczy, trudny do przebycia las. Dziś coraz więcej zrębów, stoki ogołocone ze wszystkich stron, a na nich świecą zdaleka zwalone i odarte z kory białe pnie drzew.

Wojna pozostawiła tu wyraźne i jeszcze niezatarte ślady. Prawie każdy szczyt ma rowy strzeleckie i osłony zbudowane z gorganu. Takie obwarowania spotykamy zwłaszcza w wielkiej ilości na całym grzbiecie Sywuli, na Ichrowyszczu, Wysokiej i Serednej. Ziemianki, liczne baraki i domki na stokach, częściowo zniszczone lub spalone, częściowo jeszcze w niezłym stanie, części broni i amunicji, granaty ręczne i armatnie dziś jeszcze znaleźć tu można.

Wojna przyczyniła się jednak do uprzystępnienia gór. Zwłaszcza na prawym brzegu Łomnicy zbudowało wojsko austriackie doskonałe ścieżki, które wygodnymi zakosami wyprowadzają na szczyty, lub przechodzą zboczami i grzbietami.

Wielkie usługi oddają nadto turystom domki myśliwskie i koliby. Niektóre z nich zaopatrzone są w piecyki względnie kuchenki żelazne i prycze, na których przespać się można.

Charakterystyczną cechą tych okolic jest nadto bardzo rzadkie zaludnienie. W głębi gór wiosek niema zupełnie. Najdalej ku południowi wysuniętą większą wioską w dolinie Łomnicy jest Jasień, a w dorzeczu



Osmołoda z widokiem na Grcę i Konia Grofeckiego.
(Fot. Z. Klemensiewicz).

Czeczwy Lipowica i Suchodół. W bezpośrednim sąsiedztwie najwyższych grzbietów nie widać ani jednej wioski, ani jednej typowej chłopskiej chałupy. Najdalsza osada Osmołoda położona na wysokości 717 m. u ujścia Mołody do Łomnicy, powstała dzięki eksploatacji lasów. Nie wielką ilość domków zamieszkują tu Polacy, Rusini i żydzi, żyjący ze sobą w przykładowej i niczem niezamąconej zgodzie, a wszyscy to funkcyjnarjusze firmy drzewnej „Glesinger“, która eksploatuje okoliczne lasy, a zwiezione kolejką drzewo przerabia w wielkim tartaku w Broszniowie. Potrzeba zarobku zapędza tu ludzi z różnych stron. W Osmołodzie spotkać można obok Rusinów z Perechińska lub innych podgórszych wiosek i hucuła z okolic Żabiego albo Kosowa, a nawet górala z Poronina.

Życie w Osmołodzie płynie zresztą cicho i spokojnie. Tylko w porze, gdy przyjeżdża kolejka robi się na chwilę rojno i gwarno, zjawiają się nagle setki robotników, ten i ów kupi w kantine chleba lub słoniny i jada dalej w głąb gór na zręby, albo wracają na dół do domów.

Słabe zaludnienie tych okolic tłumaczy się tem, że zdawien dawna były to wielkie własności, a chłopci nie posiadali w głębi gór żadnych posiadłości. Stan ten trwa do dziś. Dobra ograniczone od zachodu i pół-

Wielkie usługi oddają nadto turystom domki myśliwskie i koliby. Niektóre z nich zaopatrzone są w piecyki względnie kuchenki żelazne i prycze, na których przespać się można.

nocy działem wód między Łomnicą a Czezwą, grzbietem Arszycy po Gorgan Ilemski i działem wód między Świcą a Łomnicą, a od południa i wschodu głównym grzbietem Karpat i Łomnicą, są własnością Metropolji ruskiej. Na wschodnim brzegu Łomnicy oraz na północ od Arszycy w dorzeczu Czezwy znajdują się dobra państwowe.

Kilka słów poświęcić wypada jeszcze nomenklaturze Gorganów. Badanie etymologii nazw, pojawiających się w Gorganach, jak wogóle w całych Karpatach, przyczyni się zapewne do wyjaśnienia stosunków etnicznych jakie panowały w tych okolicach w czasach zamierzonych. Pojawiają się tu nazwy słowiańskie i niesłowiańskie



Widok z Jajka Ilemskiego na Wierch Mołodej.
(Fot. Z. Klemensiewicz).

(n. p. rumuńskie Pietros) — stare i nowe, wspólne dla większej ilości szczytów i indywidualne. Dopiero ściśle badania językowe będą mogły wykazać ich pochodzenie.

Naogół stwierdzić należy pewne ubóstwo nazw, które zapewne w związku ze słabym zaludnieniem i dzikością gór pozostaje. Samoistne nazwy posiadają szczyty, lecz nie wszystkie, niektóre większe całości, jak grzbiety, lub pasma (Gorgan, Arszyca), rzeki i znaczniejsze potoki, większe lub mniejsze łąki i polany, rozrzucone po dolinach, stokach, lub grzbietach, wreszcie niektóre kompleksy lasów na stokach. Czasem szczyt i potok u stóp jego wypływający mają wspólną nazwę (Pietros, Parenki, Darów, Koretwyna i inne). Ale w tem wszystkim jakiejś konsekwencji nie widać. Natomiast brak tu zupełnie, jak i gdzieindziej w Karpatach nazw przełęczy. Przy tej sposobności nadmienić wypada, że z map autryackiego sztabu generalnego, (1:25,000, 1:75,000, 1:200,000), jeśli idzie o nomenklaturę, korzystać trzeba bardzo ostrożnie. Wiele nazw prze-

kręcono tu zupełnie, niektóre do niepoznania (n. p. zam. Studeneć = Tulnycia) inne pominięto, lub umieszczono w niewłaściwym miejscu. Zwróćmy na to jeszcze uwagę w poszczególnych wypadkach w dalszej części artykułu.

Przystąpimy do opisu szczegółowego. Chcąc się prędko dostać do podnóża najwyższych szczytów Gorganów, musimy pojechać do Broszniowa. Jest to przystanek kolejowy na linii Stryj-Stanisławów w odległości 8 kilometrów od stacji Krechowice, urządzony dla znajdującego się tu wielkiego tartaku firmy Glesinger. Stąd do naszego celu jeszcze ok. 50 km. Ale wspomniana firma posiada kolejkę leśną, która wtargnęła już w głąb gór na 60 przeszło km. od Broszniowa. Wczesnym rankiem wsiadamy więc na kolejkę a jadąc zrazu szeroką doliną DUBY i Łomnicy, mijamy Roźniatów, Demnię i Perechińsko, do niedawna wieś, obecnie już miasteczko liczące ok. 9000 mieszkańców. Za Perechińskiem dolina zwęża się coraz bardziej, aż w pobliżu Jasienia wjeżdżamy już w typową karpacką dolinę poprzeczną szeroką na kilkaset metrów, a ograniczoną z obu stron lesistymi zboczami gór. Za Angelowem zwiesza się nad torem fantastyczna żłebami i kominkami poprzecinana skała kilkudziesięciometrowej wysokości. Wprost na południu wynurzają się z ponad niższych lesistych szczytów Seredna, Wysoka, z długim grzbieciem Matachowa i Ichrowyszcze a na południowym zachodzie Koń Grofecki i Grofa. Przejżdżamy pięknie położony Angelów, Ostodor i Kamieniec, małe osady liczące zaledwie po kilka domków. W najwęższym miejscu doliny dojeżdżamy do Podlutego. Kilka źródeł siarczanych i siarczano-jodowych, mała cerkiewka otoczona limbami, ruski zakład kąpielowy uruchomiony w r. 1922, pałacyk metropolity z drzewa limbowego, piękny obelisk na cześć metropolity Sembratowicza, leśniczówka i parę innych domków, to cały Podluty. Po drugiej stronie Łomnicy leśniczówka i dom myśliwski z urządzeniem w stylu zakopiańskim nadto domek gajowego, to Kuźmieniec.

Stąd jeszcze trzy kilometry i stajemy w Osmołodzie.

Przed nami ku południowi wznosi się Kaniusiak mały (1624), dalej Jałowa Klewa (1563), na prawo zaś w kierunku poł. zach. Grofa (1752). Jest to z widzialnych najwyższy szczyt, wzniesiony nad Osmołodą 1035 m. Nad prawym orogr. brzegiem Łomnicy, Markowiec ostatni cypel grzbietu spadającego od Wysokiej (1805), której stąd nie widać, w kierunku Osmołody. Na północnym zachodzie zalesione zbocza Arszyicy. Tyle widzimy z Osmołody.

Osmołoda jest doskonałym punktem wyjścia dla wycieczek w tę część Gorganów. Tu spadają z trzech stron grzbiety Arszycey, Kaniusiaków i Wysokiej, tu schodzą się dwie główne doliny Mołody i Łomnicy, stąd wreszcie rozchodzą się drogi i ścieżki w głąb gór i na szczyty. Przypatrzmy się najpierw dolinom i ich bocznym odgałęzieniom. Wprost na południe od Osmołody ciągnie się dolina Łomnicy przeszło 20 km. w głąb gór zrazu wprost ku południowi, a następnie ku południowemu-zachodowi i kończy się pod głównym grzbieciem Karpat, t. j. granicą czecho-słowacką. Dolinę tę poniżej Osmołody można uważać za jedną z najpiękniejszych dolin karpackich. Powyżej robi raczej wrażenie przygnębiające. Idzie się dziesiątki kilometrów doskonałą zresztą drogą prawym (orogr.) brzegiem Łomnicy przez gęsty las świerkowy, zasłaniający wszelki widok, co sprawia monotonię, nuży i w nieskończoność przedłuża drogę. Nawet Łomnica niedaleko za Osmołodą kryje się w lesie i tylko szum wody zdradza jej bliskie sąsiedztwo. Po drugiej stronie Łomnicy ciągnie się tor kolejki leśnej, która w odległości 4 i $\frac{1}{2}$ km. od Osmołody rozgałęzia się w dwu kierunkach. Jedna jej gałąź ciągnie się jeszcze $1\frac{1}{2}$ km. w głąb doliny Łomnicy do ujścia potoku Jalu, druga skręca do bocznej doliny Pietrosu i dochodzi dziś już prawie pod stoki Parenek. Dolina Łomnicy ma kilka większych odgałęzień. A więc od zachodu wspomniana wyżej dolina Pietrosu, do której z kilku stron schodzą boczne mniejsze dolinki (Parenki, Zhonyłów, Jama, Studeneć) i dolina Darowa, od wschodu dolina Bystryka między Gorganem a Sywułą. U wylotu doliny Pietrosu znajduje się stacja kolejki. Są tu dwa domki firmy „Glesinger“ i domek gajowego. Miejsce to nosi nazwę Ryzarnia od ryzów¹⁾, którymi tu z okolicznych stoków drzewo spuszczano.

Idąc w górę doliną Pietrosu dochodzimy w odległości $4\frac{1}{2}$ km. od Ryzarni do stacji kolejki w miejscu zwanem Dołha Polana²⁾ (ok. 890 m.) Są dwa domki, które w danym wypadku mogą służyć za schronienie na noc. Z doliny Pietrosu najłatwiej można się dostać na Popadję. Na zachód od Osmołody ciągnie się dolina Mołody. Idąc nią w górę dochodzimy w odległości przeszło $1\frac{1}{2}$ km. do ujścia doliny Kotelca, zamkniętej stokami Grofy i Konia Grofeckiego z jednej, a Kaniusiaków z drugiej strony. Tędy prowadzi ścieżka na t. zw. Płyśce t. j. łąkę w pobliżu prze-

¹⁾ Ryzą nazywają koryto zbite z belek najczęściej w jarze lub żlebie umieszczone, służące do spuszczenia belek ze zrębów.

²⁾ Na mapie austriackiej 1:75.000 podano błędną nazwę Króla Polanka pochodzącą z przekręcenia nazwy Króhla Polanka, która jednak znajduje się wyżej.

łączy między Grofą a Parenkami, gdzie znajduje się bardzo użyteczny dla turystów domek myśliwski. W odległości $5\frac{1}{2}$ km. od Osmoły stajemy w punkcie, gdzie Mszana łączy się z Mołodą. Stacja kolejki i gajówka stanowią tu znowu może jakiś zaczątek przyszłej osady, która dziś już używaną nazwę „Mszana“ odziedziczy. Tu też schodzą się dwie doliny: Jedna z nich, dolina Mszany, ciągnie się dalej w kierunku północno-wschodnim aż pod przełęcz między Jajkiem Ilemskim a Gorganem Ilemskim, druga, dolina Mołody, prowadzi nas w kierunku południowo-zachodnim aż pod główny grzbiet Karpat. Tę część doliny Mołody a nawet samą rzekę nazywa ludność tubylcza zwyczajnie Zełeną. Ostatnia stacja kolejki znajduje się tu w odległości $5\frac{1}{2}$ km. od Mszany. Trochę powyżej oglądać można jeszcze szczątki ogromnej klauzy¹⁾ (Sylwester Klause). Wszystkie wymienione doliny cechuje niezwykła dzikość zwłaszcza na zachód od Łomnicy. Bardzo liche drogi i ścieżki, stary dziki las, burzanami i chwastami zarośnięte łąki i polany, moczary i trzęsawiska nadają krajobrazowi jeszcze bardzo pierwotny charakter. W górnych piętrach bocznych dolinek znachodzi się w Gorganach kilka małych jezior. Jedno między Grofą a Koniem Grofeckim na północny zachód od przełęczy na wysokości 1115 m. Drugie widziałem pod Arszycą wśród dzikiego odwiecznego boru.

Przypatrzmy się z kolei grzbietom i szczytom ograniczając się do przestrzeni zamkniętej od zachodu doliną Świcy, od wschodu doliną Bystrzycy Sołotwińskiej, a od południa głównym grzbietem Karpat, t. j. granicą Polski od szczytu Kruhła Młaka (1261) po Sywulę i Bojaryn²⁾. Wprawdzie na zachód od Kruhłej Młaki po przełęcz Wyszkową ciągnie się jeszcze główny grzbiet Karpat na przestrzeni 15 km. i wysyła na obie strony boczne odgałęzienia, lecz po stronie polskiej szczyty są niskie, często zalesione i nieciekawe. Tylko Gurgulat (1437), Menczul (1454) i Gorgan Wyszkowski w głównym grzbiecie (1448) dominują nad otoczeniem i mogą stanowić cel wycieczek. Pięknie zwłaszcza przedstawia się widok z Gorganu Wyszkowskiego na stronę Czecho-słowacką.

¹⁾ Klauzy są to sztuczne zbiorniki wody utworzone przez zagrodzenie doliny wielką groblą, służące do spławiania drzewa. Ten sposób transportowania drzewa zarzucono dziś już prawie zupełnie i dlatego klauzy spotyka się w Karpatach już coraz rzadziej.

²⁾ Na dołączonej mapce obok oznaczenia linii grzbietów wprowadzono warstwice 1400 by uwidocznić grzbiety dominujące nad otoczeniem, a więc te partje, które wysokością zwracają uwagę turysty. Warstwica ta pokrywa się mniej więcej z górną granicą lasu.

Przestrzeń pomiędzy Świcą a Bystrzycą Sołotwińską dzieli na dwie części głęboka i długa dolina Łomnicy. W zachodniej części wyróżnić można trzy grupy, ograniczone dolinami ważniejszych dopływów Świcy i Łomnicy, t. j.: pasmo Arszyca, grupa Mołody i Jajka i grupa Popadji i Grofy. W części wschodniej między Łomnicą a Bystrzycą Sołotwińską wznosi się grupa Sywuli i Ichrowyszcza. Prócz tego w kierunku południowym wprost nad źródłami Łomnicy wznosi się w głównym grzbie-



Gorgan Ilemski (Arszyca) z Jajka Ilemskiego. (Fot. Z. Klemensiewicz).

cie kilka szczytów (najwyższy Busztul), które stanowią oddzielną dla siebie całość.

Zajmiemy się pasmem Arszyca.

Grzbiet tego pasma ciągnie się od półn.-zach. ku południowemu-wschodowi w znacznej części prawie po linii prostej na przestrzeni 25 km. od Ludwikówki w dolinie Świcy aż po Osmołodę nad Łomnicą. Pierwszy licząc od Ludwikówki t. j. od zachodu szczyt, to Postoszak (1427). Dalej grzbiet załamuje się w wyraźną przetęcz zwaną Połoninką, a następnie podnosi się i osiąga swój najwyższy punkt na Gorganie Ilemskim (1589).

Stąd ciągnie się jeszcze 11 km. ponad górną granicą lasu, tworząc szereg mało charakterystycznych szczytów, z których tylko Neriedów (1557) i Mały (1516), ostatnie wyraźne wzniesienie w grzbiecie, zdobyły sobie własne nazwy. Od Małego opada już Arszyca w kierunku Osmoły i Podlutego w dolinę Łomnicy. Południowo-zachodnie stoki Arszycy ogranicza dolina Prawicza, dopływu Świcy z jednej, a Mołody i Mszany w dorzeczu Łomnicy, z drugiej strony działu wód, który tworzy grzbiet łączący Gorgan Ilemski i Jajko Ilemskie. Jest tu głęboka charakterystyczna przełęcz (1185)¹⁾, którą najłatwiej przejść można z Osmoły do Ludwikówki. Pozatem nie ma Arszyca z tej strony żadnych wyraźnych bocznych odgałęzień. Zato ku północnemu-wschodowi rozchodzą się z Arszycy liczne grzbiety, tworzące własne odgałęzienia i szczyty.

Mimo, że grzbiet Arszycy nie jest zbyt urozmaicony, zwiedzenie choćby tylko Gorganu Ilemskiego będzie zawsze ze względu na piękny widok miłą dla turysty wycieczką. Widok to ogromnie rozległy, zwłaszcza ku północy na Podkarpacie aż po Dniestr i dalej. Ku południowi odsłaniają się dalsze części Gorganów z Jajkiem Ilemskim na pierwszym planie.

Jako punkt wyjścia dla zwiedzenia Arszycy służyć może Ostodor, Podluty lub Osmoła nad Łomnicą; zachodnie szczyty a zwłaszcza Gorgan Ilemski najlepiej zwiedzać od Żakli nad Świcą przez Sokołów, lub od Ludwikówki przez Pustoszak albo przełęcz między Jajkiem i Gorganem Ilemskim.

Grupa Jajka Ilemskiego i Mołody rozciąga się na przestrzeni około 16 km, i ma kształt trójkąta, którego jeden wierzchołek leży w punkcie, gdzie Prawicz wpada do Świcy. Bok północno-wschodni tworzą rzeki Prawicz i Mszana, południowy Mołoda względnie Zełena, aż do punktu, gdzie rzeka ta łączy się z Mszaną, zachodni wreszcie dolina Świcy aż po główny grzbiet Karpat. Punktem zwornikowym, w którym grupa ta łączy się z głównym grzbieciem jest niewysoki i zalesiony szczyt Kruhła Młaka (1261). Tu też zaczyna się dział wód pomiędzy Świcą a Łomnicą.

Idąc np. od strony Ludwikówki wchodzimy na grzbiet w pobliżu ujścia Prawicza. Wznosi się on tu zwolna ponad dolinami Świcy i Pra-

¹⁾ Nazwa „Podnizan“ podana na mapie spec. 1:75.000, nie istnieje w rzeczywistości, a pochodzi zapewne z przekręcenia nazwy łąki, znajdującej się na przełęczy, a zwanej „Podmszan“ w związku z rzeką Mszaną, której źródła znajdują się w pobliżu.

wicza, tworząc kilka mniejszych lesistych szczytów. (Tarnica 990, Mały Lisak 1231, Tarniczka i Wielki Lisak 1482 w bocznym grzbiecie). W miejscu, gdzie grzbiet wznosi się ponad górną granicę lasu, zaczyna się długa polana bujną pokryta trawą. Idąc nią podchodzimy zwolna pod szczyt Jajka Ilemskiego (1685). Łąka się kończy, a zaczyna drobny gorgan i kosodrzewina. Stajemy na szczycie. Widok stąd przepyszny we wszystkich kierunkach. Tuż pod nami na południowym-zachodzie piękna dolina Świcy z zachowaną jeszcze klawzą. W kierunku północnym i północno-zachodnim, dalsza część doliny Świcy aż po Ludwikówkę, oraz doliny Prawicza i Mszany. Na pierwszym planie Arszyca, a za nią wielka, barwna płaszczyna Podkarpacia. We wszystkich innych kierunkach mamy wspaniały widok na Karpaty, a zwłaszcza dalsze pasma Gorganów. Pięknie też wygląda uroczą dolina Rosochanu, którą jakby wieńcem otaczają dalsze części grzbietu od zachodu i południa, oraz mniejsze boczne odgałęzienie zakończone Sywanią Małą 1430 ¹⁾ od północnego-wschodu.

Grzbiet właściwy ciągnie się stąd wprost ku południowi. Przejdziemy przez charakterystyczną podługowatą Ukiernię (1622), Sywanię Lolińską (1643), głęboką przełęcz zwaną Sołotwinką ²⁾ i stajemy nieco powyżej w punkcie zwornikowym, z którego przez niski zalesiony grzbiet (Hycza) dojść można do głównego grzbietu Karpat (Kruhła Młaka 1261). Stąd zwróciwszy się ku północnemu-wschodowi wychodzimy po pokonaniu jeszcze 350 m. wzniesienia na najwyższy wierzchołek w naszej grupie Wierch Mołoda ³⁾ (1723).

Ostatniem większym wzniesieniem w grzbiecie jest szczyt Jajko Małe (1600), górujący już bezpośrednio nad doliną Mszany. Zejść możemy z Mołody bez trudności kilku drogami w dolinę Zełenej, a stąd do Mszany i Osmołody. Przejście tego pięknego i bardzo urozmaiconego grzbietu zasługuje ze wszech miar na polecenie, mimo pewnych trudności, które powoduje zły stan ścieżek, często kosodrzewiną zarośniętych.

Trzecia z rzędu grupa Popadji i Grofy stanowi również oddzielną całość.

Zajmuje ona przestrzeń ograniczoną dolinami Mołody i Łomnicy oraz głównym grzbieciem Karpat. Grzbiet ten niski na ogół w tych okolicach załamuje się tu w kierunku północno-wschodnim w odległości 13½

¹⁾ Podana na mapach austr. nazwa Szywana, tak samo Szywana Lolińska jest błędna. Właściwe brzmienie Sywania pozostaje w związku z przymiotnikiem sywyj (siwy).

²⁾ Jest to właściwie nazwa łąki znajdującej się na przełęczy.

³⁾ Podana na mapach austr. nazwa Mszana, jest błędna i niczem nieuzasadniona.

km. od Osmołody, wznosi się na znaczną stosunkowo wysokość, tworząc jeden z najpiękniejszych i najciekawszych szczytów w Gorganach: Popadję (1742) i wysyła dwa boczne odgałęzienia w kierunku północno-wschodnim. Pierwsze z nich ciągnie się na przestrzeni ok. 12 km. od Popadji aż do rzeki Mołody. W północne stoki tego pasma wciska się wąska dolina Kotelca, dopływu Mołody, skutkiem czego rozdwojony grzbiet opada w dwu ramionach w kierunku Mszany i Osmołody. W grzbiecie tym wznoszą się prócz szczytu Popadji (1742): Popadja Mała (1603), Parenki (1731), Grofa (1752) najwyższy szczyt w tej grupie i wogóle na lewym brzegu Łomnicy, Grofecki Koń (1557), nadto Kaniusiak Wielki (1647) i Kaniusiak Mały (1624)¹⁾ po drugiej stronie doliny Kotelca, w grzbiecie opadającym w kierunku Osmołody.

Drugie odgałęzienie zaczyna się na grzbiecie Koretwyny w punkcie 1595 a wznosząc się ponad dolinami Pietrosa i Darowa opada w odległości 9 km. w dolinę Łomnicy. Wznoszą się tu szczyty: Koretwyna (1674), Pietros²⁾ (1708), Studeneć³⁾ (1605) i Jałowa Klewa (1563).

Do grupy tej należy zaliczyć jeszcze jedno odgałęzienie głównego grzbietu Karpat, zamknięte dolinami Darowa od zachodu i północy, a Łomnicy od wschodu i południa. Niski ten grzbiet zwany Wierch Darów kończy się szczytem: Owół (1613), przeważnie kosodrzewiną pokrytym.

Do najpiękniejszych i najchętniej zwiedzanych szczytów w tej grupie należy Popadja i Grofa. Widok z Popadji uchodzi za jeden z najpiękniejszych widoków w całych Karpatach⁴⁾.

W grupie tej obok niezwykle bujnej kosodrzewiny spotyka się limby w bardzo wielkiej ilości, a przechodząc południowe stoki Parenek można też zobaczyć spadającą ze skalistej ścianki piękną siklawę, która zwłaszcza w porze deszczowej dochodzi do imponujących rozmiarów.

Na Grofę najlepiej iść z Osmołody przez dolinę Kotelca i Płyśce, na Popadję wychodzi się najłatwiej przez dolinę Pietrosa, Parenki i doliną Jamą na ramię południowo-wschodnie, skąd wygodną ścieżką dostajemy się na szczyt.

¹⁾ Są to jedynie używane nazwy. Natomiast figurujące na mapach austr. Kaniosze czy Kanioty są tu nieznanne.

²⁾ Nazwę tę zupełnie pominięto na mapach austr., a zamiast niej umieszczono w niewłaściwym miejscu nazwę „Koretwyna“.

³⁾ Na mapach austr. zupełnie błędna nazwa „Tulinycia“.

⁴⁾ Por. Orłowicz: Ilustrowany przewodnik po Galicji str. 195 i nast.

Od Koretwyny główny grzbiet Karpat zwraca się wprost ku południowi i opada znowu poniżej 1200 m., a ciągnąc się tak ok. 8 km. ponad dolinami Mokranki po stronie czecho-słowackiej, a Darowa i Łomnicy po stronie polskiej, tworzy nieznaczne tylko wzniesienia, wynoszące nie wiele metrów ponad 1200. Dopiero za Darowem tuż nad źródłami Łomnicy podnosi się znowu ponad górną granicą lasu tworząc kilka większych szczytów. W najwyższym punkcie (Busztul 1693) zwraca się ku wschodowi,



Widok z Ichrowyszcza na Sywulę. (Fot. Z. Klemensiewicz).

a następnie ku północy, a okoliwszy w ten sposób z trzech stron najwyższe piętro doliny Łomnicy dochodzi do Gorganu (1611) i pod Sywulę, skąd znowu pod ostrym kątem załamuje się w kierunku południowym. Przejdźmy więc na koniec do grupy Sywuli i Ichrowyszcza.

Jest to najwyższa, a zarazem najpiękniejsza partja w całych Gorganach. Główny grzbiet Karpat tworzy tu po stronie polskiej trzy boczne odgałęzienia: Jedno krótkie ograniczone doliną Łomnicy od zachodu,

a Bystryką¹⁾ od wschodu, ciągnie się na przestrzeni 7 km., tworząc pasmo zwane Gorgan, które jako niższe od otoczenia (największe wzniesienie 1611 m.) jest ze względów turystycznych mało interesujące; drugie to dział wód między Łomnicą a Bystrycą, ciągnący się od głównego grzbietu Karpat aż do Halicza nad Dniestrem; trzecie wreszcie zaczyna się w tym samym punkcie, ciągnie się zrazu ku wschodowi przez Bojaryn (1679)



Główny wierzchołek Sywuli. (Fot. Z. Klemensiewicz).

i Jawor 1563, a następnie ku północnemu-wschodowi i stanowi dział wód pomiędzy Bystrycą Sołotwińską a Nadwórnianką.

My zajmiemy się odgałęzieniem środkowym, którego najwyższą a zarazem najbliższą częścią głównego grzbietu Karpat jest grupa Sywuli i Ichrowyszcza.

Pasma to, pominąwszy największą w Gorganach wysokość bezwzględną, ma swoje charakterystyczne cechy, które je wyróżniają od opisanych dotychczas części Gorganów. Tam gorgan jest przeważnie drobny, a stoki, a nawet całe szczyty pokryte są bujną kosodrzewiną.

¹⁾ Na mapach austr. „Bystra“.

Tutaj kosodrzewiny jest stosunkowo znacznie mniej i rośnie tylko na stokach, a gorgan dochodzi do olbrzymich rozmiarów. Najwyższy wierzchołek Sywuli (1836)¹⁾, to ostro zakończona piramida zbudowana z takich olbrzymich głazów. Pasma zaczyna się w punkcie zwornikowym 400 m. poniżej szczytu Sywuli i ciągnie się ponad górną granicą lasu na przestrzeni ok. 15 km. z południa na północ licząc od głównego grzbietu Karpat aż po Wierch Pasieczny (1485). Przecina go na dwie części głęboka przełęcz (1344) między Ichrowyszczem a Borewką. Część południowa to grzbiet Sywuli, który oprócz najwyższego szczytu (1836) i niższego (1815), tworzy jeszcze szczyt Borewkę (ok. 1600) tuż nad przełęczą, oraz Bystryk (1418) w części grzbietu opadającego w kierunku doliny potoku tej samej nazwy. W części północnej wznosi się szeroki i płaski grzbiet Ichrowyszeza (1807) i wysmukła Wysoka (1805), skąd boczne odgałęzienie grzbietu opada przez Matachów, Markowiec i Faszozy do doliny Łomnicy, dalsza zaś część właściwego grzbietu tworzy jeszcze piękny i godny zwiedzenia szczyt Serebnę (1639), a dalej Wierch Pasieczny (1485), poczem schodzi poniżej granicy lasu. Bardzo pięknie i imponująco wyglądają północne stoki Wysokiej. Opada ona tu gwałtownie w dolinę Kuźmieńca, a strome, urozmaicone kotlinkami zleby i małe skałki nadają krajobrazowi coś z wysokogórskiego charakteru. W zimie widać tu ślady lawin.

Grupę Sywuli i Ichrowyszeza zwiedzać można, wychodząc albo z doliny Łomnicy, albo Bystrzycy Sołotwińskiej, albo wreszcie z doliny Salatruka, gdzie dochodzi kolejka z Rafajłowej pod południowe stoki Bojaryna. Lecz ze względów komunikacyjnych najdogodniejsze punkty wyjścia stanowią miejscowości położone nad Łomnicą zwłaszcza Podluty względnie Kuźmieniec i Osmołoda. Dla zwiedzenia wszystkich ważniejszych szczytów potrzeba ok. półtora dnia czasu. W zimie na nartach wystarczy jeden dzień.

Widok z Sywuli jest wspaniały i niezmiernie urozmaicony. Obejmuje się okiem ogromną przestrzeń we wszystkich kierunkach. Widać stąd Karpaty od Pikuja i Borsawy aż po góry Rodniańskie, a że Sywula położona jest w samym centrum Gorganów, oglądać z niej można prawie wszystkie szczyty tego pasma. Pięknie zwłaszcza zarysowuje się ostry grzbiet Doboszanki (1757), od niej na północ Czarnohorzec (1402), dalej na prawo Bratkowska i Świdowiec, a za nimi w głębi olbrzymi wał

¹⁾ Z map austr. podaje tę kotę tylko mapa 1:25,000; na mapie 1:75,000 znajdziemy kotę 1815, która odpowiada niższemu, bliżej granicy położonemu wierzchołkowi.

Czarnohory. Ku północy i północnemu-wschodowi mamy ogromnie rozległy widok na Podkarpacie po Stanisławów, Dniestr i dalej.

Na zakończenie jeszcze parę uwag ogólnych. Że Gorgany są po Tatrach najpiękniejszym zakątkiem Polski, na to zgodzi się każdy, kto je pozna¹⁾, ale prócz tego mają one jeszcze jedną nadzwyczajnie cenną zaletę. Panuje tu dotychczas prawie niczem niezamącona cisza i spokój. W Tatrach bywa człowiekowi coraz ciasniej, coraz częściej spotyka się niebardzo sympatycznych a bardzo hałaśliwych „turystów“ i trudno przed nimi uciec. W Gorganach iść można od rana do wieczora i nie spotkać żywego człowieka. Kto chce na dni kilka uciec od ludzi, zapomnąć o świecie, zaszyć się w lasy i góry i ukoić stargane nerwy wśród górskiej przyrody, temu radzę wybrać Gorgany.

Adam Lenkiewicz.

Z niedawnej przeszłości Kuźnic zakopiańskich.

Dziś Zakopane jest znaną „letnią stolicą Polski“. Kuźnice schodzą coraz bardziej do roli jego części i nie domyślamy się, że bardzo niedawno stosunki były wręcz odwrotne. Przenieśmy się myślą sto kilkadziesiąt lat wstecz. Zakopane jest zapadłą, biedną, małą wioską górską, Kuźnice zaś, to ładna osada górnicza. Od strony ich dochodzi łoskot młotów hutniczych i hurkot walcowni. Wiedzie ku nim od Zakopanego licha droga śródleśna, biegnąca wzdłuż szumiącego potoku Bystrej, a druga po pod regłami od strony Kościelisk, nosząca dotąd nazwę „żelaznej drogi“. U brzegu gór, pod Krokwią, tam, gdzie dziś kończy się tor bobsleighowy i stoi dom robotników tartaku, z szeregu budynków dochodzi łoskot czterech bijących młotów, wykuwających sztaby żelazne. Przez rozwarte wierzeje widać czerwień rozżarzonego żelaza i snopami tryskające iskry. Dokoła uwija się rój robotników. Na drodze stoją wozy, na które ładują sztaby żelazne, z innych zrzucają rudę przywiezioną z Węgier do pieców hutniczych.

Z góry, od strony Jaworzynki ciągnie szereg małych wózków z rudą dobywaną w Tatrach. Idą przy nich w czarnych otłuszczonych „juhaskich“ koszulach poganiacze z włosami zaplecionymi w warkoczyki, spin-

¹⁾ Por. Orłowicza: Ilustrowany przewodnik po Galicji str. 189 i nast.

kami mosiężnemi na piersiach, pykają z fajek i gwarzą po góralsku. Okrzykują się z nimi czarni, osmoleni hutnicy, którzy kłapiąc drewnianymi trepkami wyszli przed chwilą z huty i ocierają pot z czoła. Z gór wracają od kopalni czyli z „bani“ „hawiarze“, t. j. górnicy, śpiewając w takt marsza słowackie piosenki¹⁾, powtarzając każdy wiersz dwukrotnie:

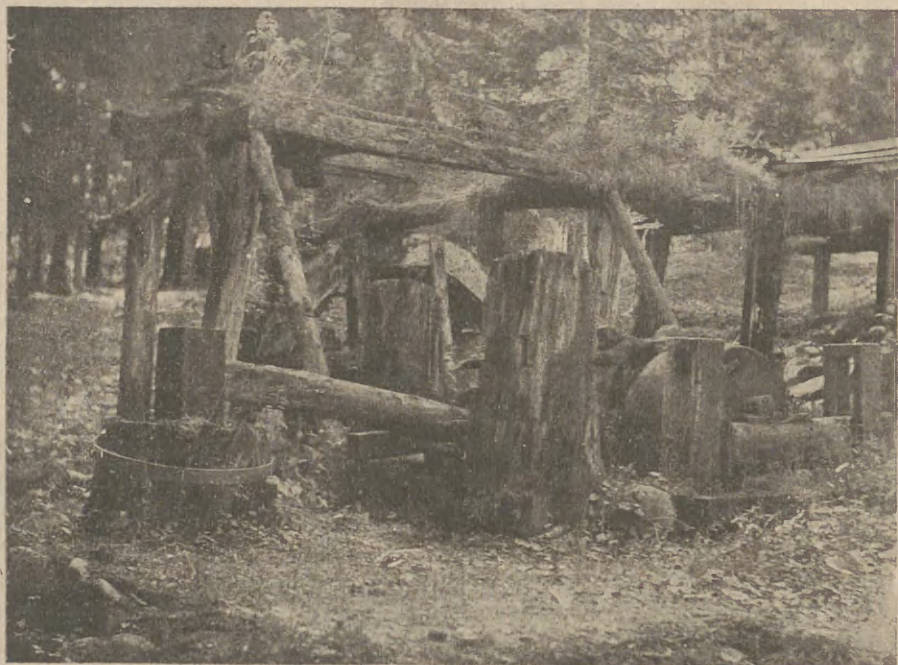
	Hawiare idu, hawiare idu
	Hore dolinu, hore dolinu.
	Nieh se napijom, nieh se napijom,
	Ty dodaj prahu, ty dodaj prahu.
	Budom w bani skole łamać,
	Śrebło, złato dobywać.
Albo też:	Hawiare idu, hawiare idu
	Niesu prah,
	Budu strélali, budu strélali,
	Jaz bude strah.

Ruch, życie, gwar i ogłuszający łoskot. Obraz to niepodobny do tej cichej dziś doliny Kuźnickiej, gdzie w majestatycznym spokoju alei, wiodącej do Kuźnic, na pięknej szosie spotykamy teraz letników przechadzających się w cieniu pięknych drzew, lub turystów dążących w góry.

A przeszłość to tak niedawna. Kuźnice tatrzańskie istniały już zapewne w początku XVIII-go wieku. Ostatni starosta nowotarski Franciszek Rychter przypisywał sobie założenie hut w Kuźnicach. Istotnie przyznać mu należy, że dzięki jego staraniom około 1757 r. Kuźnice podniosły się i rozwinęły znacznie, tak że dochód z nich skarbu wynosił 17.000 złp. zysku. Po rozbiorze Polski przechodzą w posiadanie rządu austriackiego. W r. 1791 podupadają. Ożywia się ich działalność pod rządami Reichersdorfera, rządcy salin bocheńskich. W 1794 r. zostają spalone przez zbójników, a urzędnicy obrabowani. Zaczyna już wtedy braknąć rudy. W 1804 r. kupuje je Blutowski, w 1806 Jan Homolacz. Jest tu wtedy jeden piec i dwie „fryszkerki“. Kuźnice ciągle prosperują słabo, — brak rudy daje się odczuwać. W latach 1814—1817 odkryto pokłady rudy w Magurze. Rozszerzone przez Edwarda Homolacza Kuźnice w 1834 r. wyrabiają tygodniowo 230—275 centnarów żelaza, prze-

¹⁾ Pierwsza z nich ogłoszona wraz z melodją w pracy Andrzeja Stopki: Sabala; drugi tekst, nie drukowany dotychczas, zanotowany został w Kuźnicach przez p. Juliusza Zborowskiego, jako stara hawiarska piosenka.

rabiają je na sztaby, blachy, wyroby ślusarskie, gwoździe, przedmioty lane, jak świeczniki, ozdoby do pieców i t. p. Zatrudniają stale 540 ludzi. Po wyczerpaniu rudy (którą jakiś czas dowożą jeszcze z Węgier, głównie ze Świrzan), znów podupadają, aż zamierają ostatecznie w latach 1870—1878. Pozostały do dziś resztki budynków, stopy żużli z pieców hutniczych, nazwa Kuźnicze czyli Hamrów, parę zabytków w Muzeum... i paru na wymarcu inwalidów pracy hamerskiej. Ostatni młot do kucia



Stary młot hutniczy w Kuźnicach, rozebrany w r. 1920. (Fot. K. Stecki).

żelaza przeniesiony w górę powyżej dzisiejszej restauracji nad potok, zdegradowany został do funkcji tłuczenia żużli i kamieni na szosy i betonowe roboty. Zwykły los przeżywających się urządzeń i zwyczajów: schodzą do roli bardzo podrzędnej! (Podobnie kaganek, jakimi dawniej oświetlano izby, widziałem raz w Zakopanem używany przez gaździnę do świecenia, ile razy schodziła do piwnicy). Wreszcie wraz z licznymi częściami żelaznymi maszyn hamerskich i spalonej w Kuźnicach przed kilkunastu laty papierni, młot ten sprzedany niestety został pod-

czas wielkiej wojny światowej wobec braku surowca do fabryki odlewów żelaznych Zieleniewskiego w Krakowie. Pozostała rozsypująca się resztką jego drewnianej konstrukcji. Udało mi się jeszcze przedtem zrobić jego fotografię i nią dzielić się z czytelnikami. Widzimy urządzenie bardzo proste. Koło drewniane, jak w młynach, porusza woda. Na przedłużonej jego osi osadzone jest koło żelazne z kilkoma wielkimi trybami. Te zaczepiają koniec potężnego drewnianego trzonu, który jak dźwignia dwuramienna podnosi przeszło półmetrowy (ok. 70 cm.), młot, spadający własnym ciężarem na żelazne kowadło, wprawione w spięty obręczą pień drzewny.

Urządzenie prymitywne, podobne do budowanych dziś na potokach zabawek dziecinnych. Ciekawe, że gdy pokazywałem ten młot pewnemu inżynierowi, który przez parę lat pracował na wschodnich krańcach Azji, ten stwierdził, że do dziś, np. w Mandżurji i w Chinach, powszechnie używają takich właśnie prymitywnych konstrukcyj przy podobnych urządzeniach i identycznych młotach. Europa widocznie już przeżyła ten okres kultury, gdy funkcjonowały tego rodzaju urządzenia.

Życie Kuźnic to jeden fragment z historii górnictwa i eksploatacji bogactw naturalnych Tatr. Życie górnictwa Tatr dzisiaj zamarło. Zaledwie jeszcze w paru miejscach, np.: w dol. Jaworzynki pod Magurą, w dolinie Kościeliskiej w Czarnych zlebkach Ornaku i na dnie doliny po drodze na Pyszną, w Tomanowej, także w Chochołowskiej, w Starej Robocie, na Ornaku, też na Krywaniu, znajdujemy stare hałdy i zroby górnicze z resztkami rud lub ślady podstępowań sztolni, które z każdą wiosną walą się coraz bardziej, oraz stare drogi przez górników budowane. Dawniej jednak wielokrotnie próbowano eksploatować rudy i kruszce tatrzańskie.

Najstarszy znany dokument¹⁾, który mówi o istniejących i prosperujących kopalniach srebra w Tatrach, pochodzi z r. 1495. a więc z czasów panowania Jana Olbrachta. Następca jego, Aleksander Jagiellończyk, żywo interesował się i popierał prace górnicze w Tatrach; za jego panowania dobywano srebro i miedź w Ornaku w 1502 i 1503 roku. Za panowania Zygmunta Starego kopano złoto w Krywaniu, również czynnymi były kopalnie srebra i miedzi w Ornaku, w Banistem, Starej Robocie, na Pysznej w miejscu, zwanem na Kunsztach (kunszta = sztuczne urządzenie przy kopalni). Roboty te prowadzono w latach 1536, 1537. W XVII wieku znamy zatarg, jaki się toczy o kopalnie tatrzańskie mię-

¹⁾ Dr. J. Ptaśnik: *Cracovia artificum 1300—1500*. Kraków Ak. Um. 1917. L. dok.: 1400.

dzy dawnym ich dzierżawcą Witowskim, a starostą nowotarskim Mikołajem Komorowskim, który w 1624 roku otrzymał przywilej na huty żelazne z wyłączeniem kopalni złota, miedzi, srebra i ołowiu. Huta żelazna miała być wtedy we wsi Białce. Za Stanisława Augusta kopalnie w Ornaku znajdujemy zrazu zarzucone. W 1765 roku z inicjatywy Komisji Skarbowej roboty te podjęto na nowo. W następnym roku rozbudowują kopalnie w dolinie Jaworzynki, w Magurze ponad Kuźnicami. W wielu innych miejscach, np. na Koperszadach także istniały roboty górnicze. Widzimy więc, że stale co pewien czas roboty te są w Tatrach wznawiane. Rozwój środków komunikacji, możliwość sprowadzenia tańszych i lepszych rud i metali z dalszych okolic i krajów, zabiły zdaje się bezpowrotnie, górnictwo tatrzańskie.

Konstanty Stecki.

Schronisko KTN w Sławsku.



(Tekst zob. Kronika, w rubryce Turystyka).



STEFAN FILIPKIEWICZ — STARY KOŚCIÓŁ W PORONINIE

Reforma Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Tendencje reformistyczne ujawniły się w łonie Towarzystwa Tatrzańskiego już w zaraniu jego istnienia. Zarysowała się wczesnie sprzeczność między ogólnopolskim charakterem stowarzyszenia, które łączyło miłośników gór z całej Polski i od pierwszych lat swego istnienia nie ograniczało działalności jedynie do Tatr, ale otoczyło opieką wszystkie najważniejsze części Karpat polskich — a organizacją Towarzystwa, skupiającą wszystkie władze instytucji w Krakowie i to w ten sposób, że wpływ na bieg spraw mogli mieć tylko członkowie zamieszkali w Krakowie. Opozycja przeciw takiemu ustrojowi Towarzystwa Tatrzańskiego zarysowała się po raz pierwszy w r. 1881, gdy na wiecu odbytym w Zakopanem 16 sierpnia uchwalono:

„Towarzystwo Tatrzańskie w należytej drodze wyjedna zmianę, a raczej uzupełnienie § 10 statutu*) w tem znaczeniu, że Walne Zgromadzenia odbywają się nie tylko w Krakowie, ale i w Zakopanem, oraz że doroczne Walne Zgromadzenie zwyczajne ma się odbywać w drugą niedzielę w miesiącu sierpniu każdego roku w miejsce Walnego Zwyczajnego Zgromadzenia w Krakowie odbywanego“.

Z powodu tej uchwały zwołano nadzwyczajne Walne Zgromadzenie T. T. do Krakowa na dzień 25 września 1881 r. O ile z lakonicznego protokołu tego Zgromadzenia wnosić można (patrz Pamiętnik T. T. r. 1882, str. II) było ono licznie obsesane (w głosowaniu brało udział 80 członków), a sam wniosek był przedmiotem długotrwałej dyskusji. Za wnioskiem zakopiańskim przemawiali: Walery Eljasz, prof. Tytus Chałubiński (który widocznie umyślnie zjechał z Warszawy), Jan Pawlikowski (dzisiejszy prezes Ochrony Tatr), jakoteż pp. Keppé (delegat lwowski) i Grosse. Przeciw wnioskowi oświadczyli się pp. Dr. Kastory, Anczyc, prof. Nowicki, Dr. Wilkosz i Dr. Baraniecki. Referent Wydziału, adwokat krakowski Dr. Markiewicz, zaproponował odrzucenie wniosku zakopiańskiego. W głosowaniu wniosek odrzucono 59 głosami na 80 głosujących.

W ten sposób pierwsza opozycja przeciw „krakowskiemu charakterowi“ Tow. Tatrzańskiego została złamana i to jak przyszłość okazała — na długie lata. Wniosek reformatorski z r. 1881 został ponowiony dopiero w r. 1899 przez ks. dr. Al. Pechnika, z rezultatem jeszcze bardziej opłakany, gdyż został przez W. Zgromadzenie wszystkiemi głosami przeciw głosowi wnioskodawcy odrzucony.

Dziś, po wielu latach, można stwierdzić, że odrzucenie w r. 1881 wniosku zakopiańskiego było błędem, który odbił się ujemnie na rozwoju Towarzystwa. Lata od 1883 r. aż do pierwszych lat dwudziestego stulecia były niewątpliwie okresem zastoju. Rozrost Towarzystwa uległ zatrzymaniu i to długotrwałemu. Jaskrawym tego dowodem jest ilość członków T. T. W r. 1880, a siódmym istnienia, liczyło Towarzystwo 1913 członków, w r. 1881 — 1929, a w r. 1882 nawet 2038. Przez szereg następných 13 lat liczba członków nie rośnie, ale raczej maleje: w r. 1888 spada nawet do 1403. Dopiero w ostatnich latach ubiegłego wieku dosięga, względnie lekko przewyższa, liczbę z r. 1882, ale ta poprawa nie jest trwała, gdyż od r. 1902 do 1907 włącznie Towarzystwo liczy stale mniej niż 1900 członków.

Fakty powyższe są tem bardziej symptomatyczne, że w r. 1882 Tatry były bardziej

*) Paragraf 10-ty brzmiał: „Walne Zgromadzenia odbywają się w Krakowie i są zwyczajne, albo nadzwyczajne. Zwyczajne odbywają się corocznie w pierwszą niedzielę miesiąca lutego, nadzwyczajne stosownie do potrzeby odbywać się mogą w innej porze roku.“

oddalone od jakiegokolwiek wielkiego miasta Polski, niż dziś najodleglejsze krańce Rzeczypospolitej od siebie. Najbliższą stacją kolejową dla Zakopanego był ...Kraków, a dzieliły ją dwa dni jazdy kołowej. Natomiast już od r. 1884 t. j. od otwarcia linii kolei transwersalnej z Krakowa przez Chabówkę do Nowego Sącza, Zakopane zbliżyło się do świata o jeden dzień, a w r. 1899 ukończono budowę linii kolejowej z Chabówki do Zakopanego. Podniosła się oczywiście gwałtownie frekwencja Zakopanego, zwiedzanie Tatr stało się nierównie łatwiejszem i mniej kosztownem, ale ilość członków Tow. Tatrańskiego nie wzrastała, lecz w najlepszym razie utrzymała się na poziomie z r. 1882.

Odrzucenie wniosku zakopiańskiego odbiło się ujemnie także i na innych polach działalności Towarzystwa. Oto Wydział Towarzystwa, ograniczony tylko do członków w Krakowie zamieszkałych, nie umiał utrzymać stworzonego już rozmachem pierwszych lat rozwoju T. T. — „ogólnokarpackiego“ charakteru instytucji. Powstałe jeszcze przed r. 1880 Oddziały wschodnio-karpackie w Stanisławowie i Lwowie, nie mając żadnego faktycznego oparcia o Wydział krakowski, po dłuższem istnieniu upadają, a Walne Zgromadzenia Towarzystwa nie potrafiły w tym względzie zdobyć się na żadne inne postanowienie, jak tylko na uchwalenie rozwiązania tych Oddziałów mimo ich wieloletniej działalności i sporej liczby członków. W ten sposób stan posiadania T. T. kurczy się, działalność ulega osłabieniu, Towarzystwo vegetuje raczej prawem bezwładności, niż rozwija się. I ktokolwiek kiedyś będzie starał się wytłumaczyć, dlaczego tak było, dlaczego w okresie czasu (1882—1907), w którym np. niem.-austr. Związek Alpejski podniósł liczbę swych członków z 11 na 77 tysięcy — Tow. Tatrańskie nie zdołało nawet utrzymać bez strat stanu członków z przed 25 lat, — ten będzie musiał na pierwszym miejscu wymienić uchwałę Walnego Zgromadzenia r. 1881, wywołaną krótkowidztwem i zaściankowością krakowskich ludzi.

Po raz drugi weszła na porządek dzienny sprawa reformy Towarzystwa w r. 1908. Z inicjatywy R. Kordysa i J. Maślanki uchwalilo VI Ogólne Zgromadzenie Sekcji turystycznej T. T. następujący wniosek: „Zebrani na Ogólnem Zgromadzeniu S. T. T. T. członkowie Tow. Tatrańskiego uważają, że konieczna jest zmiana ustroju Towarzystwa w duchu decentralizacji, t. zn. rozbitcia Towarzystwa na szereg kół miejscowych z Zarządem Głównym na czele (w sposób zasadniczo analogiczny do ustroju Tow. Szkoły Ludowej, oraz Towarzystw alpejskich“).

Uchwała ta wywołała nowy okres walki o reformę Towarzystwa. Sekcja turystyczna przedłożyła w r. 1909 Wydziałowi gotowy projekt nowego statutu. Spotkał się on w Wydziale z zasadniczą opozycją. Wydział uznawał wprawdzie potrzebę przeprowadzenia pewnych reform w statucie, odmawiał jednak bezwzględnie zgody na zmianę przepisu, oznaczającego Kraków jako miejsce odbywania się Walnych Zgromadzeń i urzędowania Wydziału. Rezultatem dłuższych ścierań się poglądów i wysiłków Sekcji turystycznej była ostatecznie zmiana statutu, uchwalona na nadzwyczajnem Walnem Zgromadzeniu z 19 czerwca 1911 r. Wprowadzone tam nowości streszczają się głównie w postanowieniu, udzielającym prawo reprezentacji na Walnem Zgromadzeniu także Oddziałom i Sekcjom Towarzystwa w stosunku do ilości ich członków. Przepis ten wzmocnił znacznie stanowisko Oddziałów i Sekcji i umożliwił — co tu z góry zaznaczyć wypada — przeprowadzenie rozstrzygających uchwał z r. 1921 i 1922, które nie doszłyby nigdy do skutku, gdyby nie poparcie odnośnych wniosków, zdających do reformy Towarzystwa, przez wszystkie niemal Oddziały i Sekcje Towarzystwa. W ten sposób akcja rozpoczęta w roku 1908 przez Sekcję Turystyczną T. T., jakkolwiek na pierwszy rzut oka nie uwieńczona większymi sukcesami, stanowi duży krok naprzód w zabiegach o zmianę ustroju T. T.

Koniec wojny światowej i wskrzeszenie Państwa Polskiego zastały zatem Tow. Tatrzańskie ciągle jeszcze ujęte w te ramy statutowe, jakie miało w pierwszych latach swego istnienia. Wyjście z tych ram i oparcie Towarzystwa na nowym ustroju stało się teraz — wobec zmienionych warunków — koniecznością. Inicjatywę dał tu świeżo po wojnie powstały Oddział Warszawski, dla którego w ramach dotychczasowego statutu nie było wręcz miejsca*). Zajął się tą sprawą Walne Zgromadzenie z r. 1919, polecając Wydziałowi przygotowanie projektu nowego statutu. Na Walne Zgromadzenie r. 1920 przybył do Krakowa delegat Oddziału warszawskiego z gotowym projektem, spotkał się jednak z tak nieprzychylnym dla jakiegokolwiek istotnej reformy nastrojem zebranych, że prócz zmiany nazwy na „Polskie Towarzystwo Tatrzańskie“, niczego z postulatów warszawskich przeprowadzić nie zdołał.

Walne Zgromadzenie z r. 1921 odbyło się natomiast w sytuacji o tyle zmienionej, że ilość Oddziałów Towarzystwa powiększyła się w międzyczasie o 4 nowe: poznański, łódzki, lwowski i cieszyński „Beskid“. Wszystkie one poparły Oddział Warszawski w jego zabiegach o zmianę statutu. Oddział Warszawski przygotował nowy, bardzo starannie opracowany projekt statutu i zażądał postawienia na porządku dziennym Zgromadzenia zwołanego na 18 czerwca sprawy zmiany statutu.

Zgromadzenie to zadecydowało o reformie. Wprawdzie projekt warszawski nie wszedł nawet pod obrady, natomiast po wielogodzinnej, chwilami namiętnej dyskusji i mimo stanowczej opozycji Wydziału krakowskiego, uchwalono na wniosek Dr. Kordysa, postawiony inieniem Oddziału Lwowskiego, następującą rezolucję:

Z uwagi:

1. że zjednoczenie ziem Polskich i zniesienie dzielących je kordonów, nadało Tatom i Karpatom, tym najznajmniejszym tworom przyrody ojczystej, charakter gór ogólnopolskich, a stale rosnące zamiłowanie do krajoznawstwa i turystyki powiększa w sposób masowy szeregi miłośników gór polskich;

2. że rozwój środków komunikacyjnych umożliwia zwiedzanie gór wszystkim Polakom, bez względu na odległość ich miejsce zamieszkania;

3. że słusznem jest, iżby każdy miłośnik gór miał równe prawo przyczyniania się do pracy zbiorowej nad turystycznym uprzystępnieniem gór polskich i zachowaniem ich w swej pierwotnej dziewiczej piękności, jakoteż decydowania w sprawach Towarzystwa, celom tym służącego;

4. że wreszcie wobec małych rozmiarów a wielkiej popularności Tatr koniecznem się staje skierowanie działalności Tow. Tatrzańkiego na niewykorzystane dotychczas turystycznie i krajoznawczo obszary całych Karpat polskich —

— Walne Zgromadzenie wypowiada opinię, że dotychczasowy ustrój Towarzystwa Tatr., monopolizujący działalność około Tatr w Wydziale Tow. w Krakowie, a przerzucający pracę nad resztą gór polskich na kilka zupełnie z sobą nie związanych i pozbawionych władzy wspólnej Oddziałów, nie odpowiada zmienionym warunkom i dlatego oświadcza się za zmianą ustroju Towarzystwa w myśl następujących zasad:

a) Towarzystwo Tatrzańskie winno się składać z równoprawnych Oddziałów miejscowych, wyposażonych w osobowość prawną, rozmieszczonych na całym obszarze Rzplitej Polskiej. Członkiem czynnym P. T. T. można zostać tylko przez przystąpienie do jednego z Oddziałów. Siedzibą Towarzystwa, jakoteż miejscem urzędowania Wydziału Wykonawczego (patrz niżej pod c) 3) winien być Kraków. Pozatem dopuszczalne i pożądane jest powstawanie w siedzibach uczelni wyższych Oddziałów akademickich;

b) Celem każdego Oddziału będzie współpraca w osiągnięciu ogólnych celów P. T. T. w ramach dostępnych mu środków;

c) Naczelne władze Towarzystwa urządzone będą na zasadzie trójstopniowości

*) § 6 statutu : „Oddziały tworzyć się mogą celem specjalnego zajęcia się pewną, terytorjalnie ściśle oznaczoną częścią gór polskich, poza obrębem Tatr położonych“.

i składać się będą 1) ze Zjazdu delegatów wszystkich Oddziałów reprezentowanych w stosunku do ilości swych członków, 2) z wybranego przez Zjazd Zarządu Głównego i 3) z wybranego również przez Zjazd Wydziału wykonawczego (ściśłego), będącego organem wykonawczym Zarządu głównego. Miejsce obrad Zjazdu i Zarządu głównego nie będzie związane z jedną miejscowością;

d) Celem władz naczelnych będzie: kierowanie całością Towarzystwa, koordynowanie, rozgraniczenie i kontrolowanie działalności poszczególnych Oddziałów i Sekcyj; ustalanie zasad i regulowanie akcji budowy dróg i schronisk górskich; regulowanie przewodnictwa; regulowanie ratownictwa; przeprowadzanie i finansowanie przedsięwzięć przekraczających siły poszczególnych Oddziałów.

Wykonanie niniejszej rezolucji powierza się Wydziałowi P. T. T., a sposób wykonania określi Walne Zgromadzenie w osobnej instrukcji.

Przyjęcie powyższej rezolucji rozstrzygnęło zasadniczo sprawę reformy. Wykonanie jej powierzyła instrukcja osobnej Komisji statutowej, złożonej z 7 osób, do której 3 członków wyznaczył Wydział T. T. (wśród nich jednego z Zakopanego), a po jednym — Oddziały we Lwowie, Warszawie, Poznaniu i Cieszynie. Komisja rozpoczęła swe prace w październiku 1921 r. Opracowanie projektu nowego statutu powierzono 2 referentom: Dr. Orłowiczowi z Warszawy i Dr. Kordysowi ze Lwowa. Obaj wygotowali projekty dość znacznie różniące się od siebie. Zostały one przesłane w odpisie wszystkim Oddziałom i Sekcjom Towarzystwa, które ze swej strony zaproponowały zmiany i poprawki. Rozbieżność zdań jaka zarysowała się między referentami, względnie stanowiskiem Oddziałów warszawskiego i lwowskiego, została usunięta w kwietniu 1922 r. W tym samym czasie przelamano na Komisji opór Wydziału krakowskiego, który ciągle jeszcze nie mógł pogodzić się z postanowieniami uchwalonej w r. 1921 rezolucji. Przyjęty po długotrwałej, nadzwyczaj starannej i sumiennej pracy Komisji, projekt generalny nowego statutu wraz z projektem statutu ramowego dla Oddziałów, oraz przepisów przejściowych został jeszcze raz rozesłany Oddziałom i Sekcjom, a równocześnie zwołano Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie do Krakowa na dzień 10 grudnia 1922. Poprzedniego dnia Komisja rozważyła nadesłane przez Oddziały i Sekcje wnioski i poprawki dotyczące projektu generalnego. W ten sposób przedmiotem głosowania na Walnem Zgromadzeniu stały się tylko: projekt Komisji, oraz odrzucone przez nią wnioski Oddziałów, Sekcyj oraz Wydziału krakowskiego. Zgromadzenie po 10-godzinnych obradach przyjęło z nieznaczniemi zmianami projekt Komisji, odrzucając zarówno wnioski Oddziału zakopiańskiego i Sekcyj tamże zgogniskowanych o rozszerzenie kompetencji Sekcyj; jakoteż wnioski Wydziału krakowskiego, który w ostatniej niemal chwili zażądał specjalnych przywilejów dla nowo założonego Oddziału krakowskiego.

W ten sposób zostały rzucone podwaliny pod lepszą od dotychczasowej i godną zarówno gór polskich, jak i narodu polskiego przyszłość Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

*

Ideą przewodnią nowego ustroju Tow. Tatrzańskiego jest pozyskanie dla celów Towarzystwa jak największej ilości pracowników i największego zasobu środków z całego obszaru Rzeczypospolitej, a to przez danie możliwości współpracy dla osiągnięcia celów Towarzystwa oraz wpływu na bieg spraw jego — wszystkim miłośnikom gór polskich, gdziekolwiek znajdują się w liczbie wystarczającej do założenia Oddziału (30 osób); równocześnie jednak — poddanie tych lokalnych organizacji Towarzystwa, jednemu, sprężystemu kierownictwu, które nietylko sprawować będzie funkcje kierujące i kontrolne, ale skoncentruje w swym ręku pewną ilość spraw najważniejszych, które będą wyjęte z pod

samoistnej kompetencji poszczególnych Oddziałów. A to dlatego, aby w działalności swej bądź takiej, która pozostawia trwałe ślady w górach, bądź też wymaga jednolitych, przez długie lata planowo prowadzonych działań, Towarzystwo uniknęło fałszywych kroków, sprzecznych zarządzeń, lub też z wybujałej ambicji poszczególnych pracowników zrodzonych ekstrawagancji.

Zgodnie z powyższymi celami uległa zasadniczej zmianie dotychczasowa konstrukcja Towarzystwa, polegająca na podziale gór polskich między Wydział krakowski, zajmujący się Tatrami, a kilka Oddziałów, mających każdy dla siebie pewną terytorjalnie ściśle ograniczoną część Karpat poza Tatrami. W praktyce Wydział krakowski nie mieszał się do spraw Oddziałów, a te ostatnie nie miały żadnego wpływu na sprawy Towarzystwa załatwiane w Krakowie. Był to zatem zupełnie luźny związek kilku Towarzystw Turystrycznych, pozbawiony wspólnego Organu kierowniczego, gdyż Walne Zgromadzenia były z reguły zebraniem dwudziestu kilku lub trzydziestu kilku z grzeczności dla Prezydium Towarzystwa zgromadzonych panów, pragnących jak najprędzej rozejść się do domów.

Nowy ustrój T. T. opiera się na Oddziałach lokalnych, z których każdy jest jakby małym „Towarzystwem Tatrzańskim“ i może współpracować w osiągnięciu wszystkich celów Towarzystwa w ramach dostępnych mu środków, nie ograniczając swej działalności do pewnych tylko części gór polskich, lub do pewnych tylko rodzajów działalności. Członkiem Towarzystwa można stać się tylko przystępując do jednego z Oddziałów, ale wówczas ma się pełne prawa w całym Towarzystwie i na obszarze wszystkich gór, objętych jego działalnością.

Nad wszystkimi Oddziałami postawione są naczelne organa Towarzystwa, które nie tylko jednoczą w swym ręku funkcje kierownicze, koordynowanie, rozgraniczanie i kontrolę działalności poszczególnych Oddziałów, ale równocześnie one jedne tylko — oczywiście przy współdziałaniu Oddziałów wzgl. Sekcji — mogą: 1. ustalać zasady i kierować akcją budowy dróg i schronisk górskich, 2. kierować akcją ochrony przyrody górskiej, 3. przeprowadzać organizację przewodnictwa, 4. ratownictwa i 5. zorganizować taternictwo. Wszystkie te czynności nie mogą być samoistnie załatwiane przez Oddziały, ani nawet powierzane Oddziałom. Wykonanie ich może być jednak zlecone Sekcjom Towarzystwa, które w tym wypadku są rodzajem usamodzielnionego organu wykonawczego władz centralnych.

Władze te składają się: 1. ze Zjazdu delegatów, najwyższego ciała uchwalającego, w którym biorą udział wszystkie Oddziały z prawem głosu, pozostające w zależności od liczby członków Oddziału, 2. Zarządu Głównego, najwyższego ciała wykonawczego, wybranego przez Zjazd delegatów i 3. z Wydziału Wykonawczego, pracującego pod ustawiczną kontrolą Zarządu Głównego, którego członkowie są stale informowani o uchwałach i zarządzeniach Wydziału wykonawczego. Zarówno Zjazd delegatów, jak i Zarząd Główny mogą obradować poza Krakowem, który jednakże pozostaje siedzibą Towarzystwa, oraz Wydziału Wykonawczego.

Nowy ustrój Towarzystwa zmienił również organizację Sekcji Towarzystwa, których stosunek do macierzy nie był dotychczas należyście ustalony. Zadaniem Sekcji jest rozwinięcie specjalnej działalności w ramach celów Towarzystwa, nienadającej się jednakże do fachowego uprawiania przez ogół członków Towarzystwa, jakoteż pomoc władzom centralnym w zakresie tej specjalności. Błędem dotychczasowej organizacji Sekcji było bądź to zupełne wyemancypowanie się Sekcji z pod wpływu naczelných władz Towarzystwa i tworzenie niejako „państwa w państwie“ bądź też nadania Sekcjom charakteru nawskróś lokalnego, pozbawionego znaczenia dla większości członków Towarzystwa. Po-

stanowienia nowego statutu starają się tym błędem zaradzić, podporządkowując Sekcje w wyższej mierze władzom naczelnym, ograniczając ich prawa reprezentacyjne w Zjeździe delegatów i Zarządzie Głównym, oraz wprowadzając postanowienie, że siedziba Sekcji nie może być na stałe związana z jedną miejscowością. Natomiast może Zarząd główny powierzyć Sekcji sprawowanie jednej z funkcji zastrzeżonych kompetencji władz centralnych. W tym wypadku staje się Sekcja organem Zarządu Głównego i zyskuje w nim głos stanowczy.

Takie są w najogólniejszych zarysach zasady nowego ustroju Tow. Tatrzańskiego. Pozwalają one wyzyskać dla celów Towarzystwa najlepsze siły — twórcze i wykonawcze — z legionu miłośników gór polskich, nietylko z pośród mieszkańców jednego miasta. Zapewniają jednolite i fachowe kierownictwo, dając mu daleko idące prawa nadzoru i możliwość sprężystego działania. Otwierają widoki rozszerzenia Towarzystwa przez zjednywanie nowych zastępów członków, dając im nietylko korzyści i pomoc przy zwiedzaniu gór, ale także możliwość współpracy i wpływu na bieg spraw Towarzystwa. Stwarzają szlachetne współzawodnictwo między Oddziałami, a równocześnie dają środki zapobiegające ujemnym tego współzawodnictwa następstwom. Decentralizując Towarzystwo, skupiają jednak w jednym ręku silnego i wyposażonego w środki organu szereg spraw o znaczeniu ogólnem i podporządkowują jednemu kierownictwu te prace, które trwały ślad w górach i krajobrazie górskim zostawiają.

To też dokonana w latach 1921 i 1922 reforma ustroju Tow. Tatrzańskiego będzie napewno epoką w życiu instytucji, zapisanej w dziejach kultury polskiej niezatartymi głoskami.

Roman Kordys.

Reorganizacja Muzeum Tatrzańskiego.

Muzeum Tatr. im. Dr. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem, obchodziło w lipcu roku zeszłego (1921) uroczystość przeniesienia do nowego gmachu. W początkach swoich — założone w r. 1888 z inicjatywy przemysłowca warszawskiego p. Adolfa Szolze i prof. Ignacego Baranowskiego — gnieździło się w wynajętym lokalu na Krupówkach, (gdzie dziś apteka), potem — dzięki ofiarności rodziny Chałubińskiego — zajmowało przez szereg lat dom własny (przy ul. Chałubińskiego, gdzie dziś Dom Wycieczkowy), oddalony nieco od centrum ruchu, dla rozrastających się zbiorów z czasem za ciasny, a co najgorzej, drewniany, nie ogniotrwały. Jak wielkie stąd naprawdę groziło zbiorom niebezpieczeństwo, dowodzi fakt, że w parę miesięcy po ich przeniesieniu, dom ten przerobiony na dom wycieczkowy, w przeddzień niemal oddania go nowemu przeznaczeniu, doszczętnie zgorzał. Nowy gmach, położony w samym centrum obok Dworca Tow. Tatrzańskiego, może nie zupełnie odpowiada wymogom muzeologicznym; czas dziś bieży szybko i wyprzedza dzieła ludzkie, jeśli budowane były z myślą tylko o dziś, a nie o jutrze. Ale bądź co bądź, jest on murowany, zatem względnie ogniotrwały i na razie dość obszerny; dzięki ofiarności przewodniczącej komitetu budowy, pani Dr. Dłuskiej, która dokupiła własnym sumptem grunt przyległy, może on się w przyszłości rozszerzyć. Myśli się też o pobudowaniu na tym gruncie, modelowej staroświeckiej góralskiej zagrody, z całym wewnętrznym urządzeniem, co znacznie odciąży dział etnograficzny głównego gmachu.

Ale samo przeniesienie do nowego budynku nie jest rzeczą główną, — jest ono tylko jak gdyby zewnętrznym widzialnym symbolem zasadniczego, wewnętrznego przekształcenia, jakiego Muzeum równocześnie doznało. Znalazło to wyraz w nowym statucie i w nowej organizacji. Główna waga reformy polega na ustanowieniu fachowego kierow-

nictwa Muzeum. Powierzono je dwom kustoszom, z których jeden (p. Juliusz Zborowski) jest etnografem, drugi (Dr. Konstanty Stecki) przyrodnikiem. Zapewnia to umiejętne uporządkowanie i konserwację zbiorów, ich należyte wyzyskanie i ich celowe dopełnianie. Dotąd Muzeum zdane było w tych wszystkich kierunkach na pomoc postronną i na szczęśliwy przypadek. Tak n. p. w swoim czasie Dr. M. Limanowski uzupełnił i uporządkował zbiory geologiczne, ten i ów z życzliwych specjalistów zajął się innymi działami, — którenś demonstrował także przy sposobności jakiejś większej wycieczki, — dopełnienia pochodziły z przygodnych darów albo z pozyskania darmo lub odpłatnie, całych zbiorów prywatnych, gromadzonych zatem cudzym trudem, zawsze z zapałem i dobrą wolą, często bez należytej znajomości rzeczy. Teraz wynikające z tego systemu, a raczej braku systemu, niedostatki, będą niewątpliwie usunięte. W szczególności sprawa dopełniania zbiorów w dziale etnograficznym, jest pierwszorzędного znaczenia. Można powiedzieć, że nazwanie Muzeum imieniem Dr. Chałubińskiego, miało jak gdyby symboliczne znaczenie. Oto Chałubiński otworzył Zakopane, a z niem Tatry i całe skalne Podhale, gromadom obcych przybyszów, a otwierając w ten sposób tym okolicom nowe kierunki rozwoju, przyłożył tamsamem siekiere do korzenia starej góralszczyzny, dawnego obyczaju, dawnej sztuki, dawnej gwary. Muzeum Tatrzańskie jest ich cmentarzem. Najważniejszym jego zadaniem jest, te resztki ocalić dla potomności. Nabywać więc „stare dziady“ wyrzucane z pogardą przez nowoczesnych górali, na strych lub do pola, a także o ile możności nie dopuszczać do zmarowania ich przez amatorów, którzy często skupują i wywożą takie cenne zabytki, gdzieś daleko, gdzie potem z ustaniem chwilowego kaprysu lub też przez nieświadomych dziedziców, znowu jako „stare dziady“ wyrzucane bywają na śmietnik, albo co najmniej pozbawione swego rodowodu, schodzą do roli niewiadomo skąd i kiedy przybyłych przybłędów, tracąc tamsamem dla nauki wszelkie znaczenie. Gdyby nie było w Zakopanem Muzeum i kierownika jego działu etnograficznego, należałoby stworzyć umyślną ekspozyturę, w celu ratowania tych zabytków, które ginąc, giną bezpowrotnie i na wieki, a z nimi przepada wszelka wiedza o źródłach i formach pierwotnej rodzimej sztuki i rodzimego obyczaju, o tem co łączy nas z przeszłością, w czem odznaczamy własne początki i w czem tkwią pierwiastki odżywece, nadające własną twarz, własną indywidualną postać naszej kulturze. Czyż nie odnależymy już wpływu tych pierwiastków na odświeżenie naszego języka literackiego, naszej sztuki stosowanej, naszej architektury, a w ostatnich czasach, jak się zapowiada — i naszej muzyki? Któż to mógł lat temu jakieś trzydzieści przewidzieć, a kto może przewidzieć, co w tem wszystkim kryje się jeszcze? Ten cmentarz kryć w sobie może nieprzewidziane jeszcze kielki nowego życia... Z tych to powodów stanowisko kustosa działu etnograficznego, winno być tak uposażone, a dział ten tak subwencjami państwowemi udatowany, aby dopełnianie go, wyszukiwanie i ratowanie wszystkiego co się jeszcze da uratować, mogło być dokonywane skutecznie i szybko, wszelka zwłoka bowiem grozi niepowrotnemi stratami.

Nieco odmienny charakter i zadanie ma dział przyrodniczy Muzeum. Zdaje mi się że na czoło wysuwa się tu względ dydaktyczny. Ludzie, którzy przyjeżdżają do Zakopanego nawiązują tutaj zerwany, lub zaniedbany stosunek z przyrodą. Nauczyć ich patrzeć i rozumieć, jest to ożywić ten orzeźwiający prąd, który ze stosunku tego płynie. Wpływ jaki tu może wyrzucić Muzeum musi być jednak poparty wydaniem zwięzłych, popularnych przewodników, po różnych dziedzinach przyrody, a nadto wykładami i demonstracjami.

Podział Muzeum na dwie części, etnograficzną i przyrodniczą, ujawniający się już w samym wewnętrznym rozkładzie i w mianowaniu osobnego kustosa dla każdego z tych

działów, jest dobrze uzasadniony i charakterystyczny. Muzeum Tatrzańskie określić można jako muzeum terytorjalne, mające za zadanie przedstawić stosunki etnograficzne danego terytorjum. Pokrewne mu poniekąd w typie tak zwane „muzea prowincjonalne“ wychodzą zwyczajnie poza ten zakres. Z jednej strony poza etnograficznymi i przyrodniczymi, obejmują one inne jeszcze stosunki prowincji (n. p. gospodarcze); w Muzeum Tatr. nie jest to pożądanem, a przynajmniej zejść musi na plan dalszy, — a to właśnie dlatego, że to są rzeczy w właściwym znaczeniu „prowincjonalne“, podczas gdy przyroda Tatr i etnografja Podhala, są przedmiotem zainteresowań daleko szerszych i ważniejszych niż stosunki prowincji. Poza tem muzea prowincjonalne bywają często pojmovane, już nie jako zbiory przedstawiające stosunki pewnego określonego terytorjum, ale jako poprostu „muzea na prowincji“. Podczas kiedy w centrach kulturalnych muzea coraz bardziej się specjalizują, to na prowincji utrzymywany bywa jeszcze, przestarzały i prawie że nieużyteczny typ zbiorników najrozmaitszych rzeczy, które niczego naprawdę nie uczą i do niczego nie służą. Zasilają je przeważnie dary o charakterze podobnym jak fanty na loterje dobroczynne. Że podobnie patrzono na tę sprawę u kolebki naszego Muzeum, świadczy chociażby ów klasyczny ząb narwala, schowany teraz do kąta, lub — bardzo cenny zresztą — szkielet niedźwiedzia sybirskiego, opatrzone wstydliwym usprawiedliwieniem, iż stoi tam dlatego, aby dać pewne wyobrażenie o postaci niedźwiedzia jaskiniowego, którego kopalne szczątki mieszczą groty tatrzańskie. Jeśli się nad tem zatrzymuję, to dlatego, że idee tego rodzaju nie zupełnie jeszcze wygasły i tak nawet w Roczniku Podhalańskim wydanym roku zeszłego przez M. T., w artykule ś. p. Bronisława Piłsudskiego, znajduje się aprobata zbierania tego rodzaju pouczających ciekawostek. Nie należy się obawiać, aby poszedł tą drogą dzisiejszy Zarząd Muzeum, dobrze jest jednak stwierdzić zasadniczo szkodliwość takiej drogi, która prowadzi do rozstrzelenia sił, dylectantyzmu, marnowania miejsca i pieniędzy.

M. T. specjalizować się musi nietylko co do zakresu rzeczowego, ale jak powiedziałem i co do terytorjum. Nazwa „tatrzańskie“ terytorjum tego nie określa, oczywiście bowiem należy tu i Podhale. Ale już sama nazwa Podhale, nie określa czegoś ściśle ograniczonego, a poza tem można postawić pytanie, czy Podhale stanowi we względzie przyrodniczym a jeszcze bardziej we względzie etnograficznym, krainę naturalnie wyodrębnioną. Jak zaś wypadaloby zakreślić takie granice naturalne? Czy nie włączyć w nią Goreców, Babiej Góry, Pienin, Beskidu zachodniego i środkowego? To są kwestje, na które przyszłość odpowie; niebezpieczeństwem ten brak określenia granic Muzeum nie zagraża, byle pamiętało o tem, że jest i pozostać winno muzeum terytorjalnem, podhalańskim czy góralskim. Ośrodkiem zostaną zawsze Tatry i Podhale w ściślejszem znaczeniu, a choćby dla porównań i badania zasięgu i zacierania się wraz z odległością pewnego etnicznego typu, wraz z jego przejawami w obyczaju, budownictwie, stroju, zdobnictwie, muzyce i gwarze, pożądanem jest sięgnięcie poza ściślejsze granice.

Nowy statut Muzeum uchwalony w sierpniu 1922 r. określa zadania Towarzystwa M. T. jak następuje: § 3-ci: Towarzystwo ma na celu: a) gromadzenie materiałów niezbędnych do pracy naukowej nad Tatrami i Podhalem, b) podejmowanie inicjatywy oraz popieranie badań nad Tatrami i Podhalem, c) popularyzowanie wiedzy o Tatrach i Podhale. § 4-ty: Dla osiągnięcia swych celów Towarzystwo: a) utrzymuje w Zakopanem dostępne dla ogółu muzeum, zawierające materiały do poznania przyrody tatrzańkiej i kultury Podhala, — (słowo „kultura“, którem zastąpiono tu „etnografje“ nie jest szczególnie dobrane i wieloznaczne), — b) urządza w Zakopanem lub poza miejscem swej siedziby specjalne wystawy, organizuje odczyty oraz wycieczki naukowe, c) utrzymuje

pracownie naukowe, zbiory oraz bibliotekę przeznaczoną dla pracujących nad Tatrami i Podhalem, d) udziela subwencji na badania naukowe, ogłasza konkursy, e) wydaje swym nakładem lub subwencjonuje wydawnictwa prac dotyczących Tatr i Podhala. Program ten jest oczywiście obliczony na wyrost, życie samo czyni w nim selekcję. Ale ogólna tendencja zwrócenia instytucji w kierunku badawczo-naukowym jest uznania godną. W myśl ust. c. § 4-go urządzono na poddaszu pokoiki dla przejezdnych badaczy. Nie są to wprawdzie „pracownie“ w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie mają urządzeń laboratoryjnych itp., posiadają jednak i tak duże znaczenie. W dzisiejszym Zakopanem badacz, który wybiera się w Tatry, a w Zakopanem potrzebuje mieć tylko pied-à-terre dla uporządkowania notatek i zbiorów, jest w opłakanym położeniu. Jeżeli wogóle znajdzie mieszkanie, to niema w niem spokojnego kąta do pracy ani bezpiecznego schronienia dla zebranych okazów. Najsłabszy przytułek w Muzeum już dlań będzie dobrodziejstwem. A Muzeum przyciągając ku sobie badaczy, odnosi wielkie korzyści już przez samo wytworzenie w okół siebie atmosfery naukowej; dla dopełniania i uporządkowania zbiorów muzealnych w niektórych działach życzliwa pomoc specjalistów będzie też bardzo pożądaną. Muzeum w obecnym swym ustroju jest na drodze do stania się ośrodkiem naukowym, miejscem spotkania się ludzi nauki, pomocą dla nich, czynnikiem skoordynowania ich prac. Do tego celu byłoby nader pożądanem wydawanie periodycznego biuletynu, zawierającego przegląd badań prowadzonych na terenie Tatr i Podhala, (a może wogóle Karpat Zachodnich), bibliografię i przegląd czasopism naukowych z podaniem streszczeń ogłaszanych prac, na wzór n. p. licznych tego rodzaju pism niemieckich. Poza tem w wykonaniu punktu e) § 4-go sądzę, że należałoby się ograniczyć do publikacji luźnych rozpraw. „Rocznik Podhalański“ wydany w roku zeszłym ocenić można przychylnie jako księgę pamiątkową z okazji reorganizacji i przeniesienia do nowego gmachu; tytuł „rocznik“ jest w tym wypadku niewłaściwy. Gdyby to miał być typ periodycznego wydawnictwa, wypadłoby poczynić przeciw niemu liczne zastrzeżenia. Na razie jednak niema widocznie zamiaru kontynuowania go.

Do nowych zadań przystosowany został w statucie i ustrój Towarzystwa. Dotąd członkiem o pełnych prawach był kaźden kto zapłacił wkładkę. Obecnie, podobnie jak w Towarzystwach naukowych, członkowie czynni, mający pełne prawa i decydujący o kierunku i losach instytucji, są wybierani przez Walne Zgromadzenie, z takichże członków złożone i to na wniosek Dyrekcji; nie są oni nawet obowiązani płacić wkładki (§ 8). Prócz Walnego Zgromadzenia jako naczelnej instancji, istnieje jeszcze rodzaj rady nadzorczej, „Kuratorjum“, złożonego przynajmniej z 10-ciu członków, z których najmniej 2/3 musi posiadać stopnie lub stanowiska naukowe (§ 21-szy). Zarząd („Dyrekcję“) stanowi pięciu członków z których trzech wybiera Kuratorjum z pośród siebie, mianując jednego przewodniczącym Dyrekcji, z urzędu zaś wchodzi dwaj kustosze (§ 13-ty). Członkami wspierającymi są ci którzy płacą wkładki; niemają oni innych praw ponad wolny wstęp do Muzeum i ulgi w nabywaniu wydawnictw (§§ 11-ty i 12-ty). Oparcie finansów Towarzystwa na wkładkach tych niepełnoprawnionych członków nie wydaje się możliwem; § 37-my mówi też jeszcze o subwencjach, darach i zapisach. To jest punkt sprawy najbardziej drażliwy. A jednak Muzeum jest potrzebne, jest nieodzowne. Symbolem jego przyszłych losów niech będzie ten gmach, w którym się dziś mieści. I on wyrósł jak z pod ziemi. zdawałoby się z niczego. Co być musi — to i będzie.

J. G. Pawlikowski.

W sprawie Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem.

Był ongiś czas, kiedy społeczeństwo darzyło Szkołę w Zakopanem żywym zainteresowaniem. O kierunek jej nauczania i działalności toczyła się wówczas energiczna polemika, w której ocena zakładu wypadła już wtedy niezbyt korzystnie. Minęła jednak epoka sporów o styl zakopiański, a wraz z nią ucichło o Szkole. Rychło zapomniano o jej stosunku do ludowej sztuki góralskiej i nowoczesnego artystycznego przemysłu, o jej roli w rozbudowaniu Podhala. Tem mniej zaciekawienia budzi podczas lat powojennych.

Czy tylko społeczeństwo, a zwłaszcza artystyczne sfery zawiąły obojętnością względem zakopiańskiej „rzeźbiarni“, czy też — jak twierdzą jej krytycy — samą Szkoła dopomagała tej obojętności? Odpowiedź na to pytanie pozostawiamy powołanym znawcom. Nas zajmuje nie przeszłość, lecz przyszłość Szkoły. Cokolwiek zresztą zawyrokuje kompetentni, nie zmieni to faktu, iż tak ważna placówka wiele straciła na znaczeniu. Dowodzi tego choćby przemilczanie jej istnienia wśród dyskusji i artykułów o zawodowym szkolnictwie w Rzeczypospolitej, i to niemal do ostatnich miesięcy.

Wreszcie jednak i o niej sobie przypomniano. Co prawda, pierwszy dowód zainteresowania się instytucją „u góry“ nie zasługuje wcale na zaliczenie do macierzyńskiego traktowania. Owszem, raczej możnaby mniemać, iż referenci w reorganizacyjnym zapale niewiele się liczą z potrzebami Podhala, a jeszcze mniej zdają sobie sprawę ze zadań zawodowego szkolnictwa w Zakopanem. Mowa tu oczywiście o zaniechanym chwilowo zamiarze zniesienia oddziału rzeźby figuralnej.

Podobno niema złego, coby na dobre nie wyszło. Może niezawsze tak bywa, w tym jednak wypadku Szkoła istotnie zyskała na planowanym zamachu zredukowania jej zakresu nauczania. Bo w obronie całości zakopiańskiego szkolnictwa zawodowego stanęła zgodnie do walki z nieznanym reorganizatorem opinia miejscowych i zamiejscowych czynników. Zabrały głos sfery artystyczne, stowarzyszenia kulturalno-oświatowe, samorządowe instytucje, a wreszcie i prasa. Można się było wprawdzie spodziewać bardziej ożywionej dyskusji; ale po tylu latach zobojętnienia, dobre i to, co napisano. Jeszcze większą korzyścią było wysunięcie postulatu rozsądnego i należyte obmyślanego zreorganizowania Szkoły, ruszenia jej z długiego застоju i przywrócenia dawnego znaczenia.

Reorganizację musi poprzedzać określony program. Tylko taki jednak wytrzyma krytykę, który oprze się na dotychczasowych doświadczeniach w zawodowym szkolnictwie i na znajomości plusów i minusów naszej Szkoły. Że nie wszystkim są one wiadome, że formułowanie wytycznych niekoniecznie liczy się z miejscowym podłożem, tego dowodzą sprzeczne opinie o zadaniach Szkoły. Słyszeliśmy je przy sposobności walki o oddział figuralnej rzeźby. Pokazało się, iż między sądami zakopiańskich czynników a tem, co się zamierza „u góry“, istnieje poważna różnica. Trudno się temu nawet dziwić: wszakże jedni wyrokują na podstawie bezpośrednich spostrzeżeń, drudzy zaś „od zielonego stołka“, może w najlepszej zresztą wierze i z prawdziwą życzliwością.

Trudno sobie jednak wyobrazić, aby jakakolwiek reorganizacja mogła się dokonać bez uwzględnienia miejscowych potrzeb. To też nie wątpimy, iż dojdzie do uzgodnienia odmiennych poglądów, że życzenia tutejszych kół znajdą posłuch, a dalszy rozwój Szkoły oprze się o wspólny program.

Cóż więc ma Zakopane do powiedzenia o swojej Szkole? Zwróciliśmy się z tem zapytaniem do kilku powołanych znawców, zarządzając niejako ankietę dla „Wierchów“. Odpowiedzi w zasadniczych sprawach wykazały naogół dużą zgodność poglądów, a niewielkie i drugorzędne odchylenia tyczą szczegółów już nie tak istotnych, jak stosunek

stylu zakopiańskiego do nauki szkolnej, metody nauczania, wymagania od profesorów i uczniów, wreszcie przedmioty, wykładane na kursach, oraz możliwości ich rozwinięcia, czy szerszego niż dotychczas zastosowania.

Streścimy zatem wynik naszych redakcyjnych wywiadów.

Naprzód o „stylu zakopiańskim“. Otóż styl zakopiański wyzyskał dotąd góralskie wzory bardzo skromnie i od szeregu lat nie wyszedł poza pierwsze początkowe stadium rozwoju. A co gorzej, poziom wszystkiego, co zwieemy „zakopiańszczyzną“, obniża się z roku na rok. Ograniczono się do zastosowania w niej tylko niewielkiej ilości motywów, tych samych, których użyto po raz pierwszy przed dwudziestu przeszło sezonami, a które teraz powtarzają się do znudzenia w budownictwie i galanterji. Szarotki i dziewięciorniki, niegóralskie zresztą, oraz leluje i gwiazdy, tak świeże i oryginalne na staroświeckich, ludowych wyrobach, spadły dziś do roli bezdusznego szablonu; bezmyślnie i bezkarnie wycina je w tysiącach egzemplarzy wedle oklepanego wzoru czy wytwórcą drewnianych ciupag, czy architekt, budujący pseudo-góralską willę. A tymczasem całego bogactwa ludowego zdobnictwa dotąd nie zużytkowano. Wszakżeż poza zakopiańszczyzną jest jeszcze szerokie Podhale, jest Spisz i Orawa, jest góralszczyzna pienińska. Wszystko to ziemia niemal nieznaną, nietkniętą źródło nowych pomysłów. Więc zebrać ten materiał tak różnorodny i bogaty, uprzystępnąć w wydawnictwach*). Nietylko dla etnograficznej wartości, nietylko dla zgromadzenia materiałów do historii ludowej sztuki. Kto wie, czy z tego niewyczerpanego dotąd bogactwa nie zdoła wydobyć nowych natchnień kosztującej w szablonach styl zakopiański.

Drugą chroniczną słabością stylu, to sprawa materiału i skali. Zbyt często grzeszono tutaj niekoniecznie szczęśliwym przerzucaniem ornamentu z drzewa np. na kamień, nie licząc się wcale z wymaganiami zdobionego materiału. To samo, co przepięknie wyszło na łyżniku z pod chłopskiego kozika, co jak misterna koronka ozdobiło niewielki kawałek jaworu czy buka, może być niefortunną a wątpliwą okrasą na kamiennym parapecie, gdzie głębokie rycie pierwszorzędnym dłutem i wyolbrzymione rozmiary ornamentu niszczą cały wykwintny charakter prymitywu.

Mutatis mutandis tyczy to i budownictwa. Góral, tworząc areydzieźlo prostoty i logiki, jakim jest jego chałupa, był całkiem nowoczesnym architektem: robił rzecz, w której konstrukcja była ściśle i logicznie związana z przeznaczeniem i użytecznością budowy. Ze zmianą jej przeznaczenia szła w parze inna architektura. Bo co innego dom mieszkalny, a co innego np. kościół. Więc kiedy szło o budowę świątyni, cieśla nie sięgał po wzory ze swego osiedla; tworzył architekturę inną, dostosowaną do potrzeb i użytku kościoła. To też drewniane kościoły na Podhalu nie mają nic wspólnego z konstrukcją chłopskiej chałupy. Tutaj wpływała architektura miast, np. barokowych murowanych świątyni. Przeznaczenie budynku na dom modlitwy, celowe dążenie do związania struktury z jej użytkowaniem, nie pozwalały miejskiemu majstrowi czerpać z tej budowlanej tradycji, w której wychował się on sam i mnogie przed nim pokolenia.

Wbrew chłopskiemu rozsądkowi oparto budownictwo w stylu zakopiańskim schematycznie o dom góralski. Jego budowę zastosowano do rzeczy, niemających z nim nic wspólnego ni konstrukcyjnie, ni użytkowo. I znowu powtórzyło się podobne poprzedniemu zjawisko. Porównajmy tylko budowle, projektowane przez Witkiewicza, z dziełami

*) Wiele materiału z dziedziny góralskiego budownictwa i zdobnictwa jest od dawna przygotowanych do wydania, na przeszkodzie jednak stoi brak funduszków, np. teki St. Barabasza, K. Rayskiego i Wł. Skoczylasa.

jego naśladowców. Niepospolite wyczucie proporcji mas architektonicznych, poczucie formy, oraz duża wynalazczość w dostosowaniu potrzeb kulturalnego człowieka do całości, pozwoliły artyście na stworzenie kilku drewnianych domów, niewątpliwie najlepszych, z dotychczas postawionych w Zakopanem. W dążności do stworzenia polskiego stylu ma Witkiewicz niespożyte zasługi jako pierwszy, który próbował wprowadzić do architektury ludową sztukę. Następców godnych jednak nie miał, tylko naśladowców. Nie posunięto się naprzód i ograniczono, jak i w rzeźbie, do reprodukowania w setkach okazów gotowego szablonu. Od „ceprów“ przyjęli go skwapliwie współcześni cieśle góralscy ze szkodą dla dawnego tradycyjnego budownictwa, którego szczątki będzie można podziwiać w niedługim czasie chyba tylko w muzeach.

Trudno się spodziewać, aby Szkoła tętnęła nowe życie w styl zakopiański lub choćby tylko zapobiegała dalszemu jego znieprawianiu, o ile nie zmienią się podstawy jej nauczania. Muszą znaleźć się w niej ludzie, znający doskonale góralszczyznę i jej tradycję ryzowania i budowania, wolni od narzuconego z góry szablonu i zdolni do ujęcia ludowej sztuki. O ileby zaś zapoznanie zadań zakopiańskiego szkolnictwa miało do naszego zakładu kierować ludzi już „gotowych“, gorszych uczniów szkół przemysłowych, niezdolnych do zrozumienia góralszczyzny i współczesnych wymagań, w prostocie ducha idący ubitą drogą utartego schematu, w takim razie niema mowy o nowym prądzie w Szkole, a wytwórczość jej wychowanków skoncentruje się nadal w wycinaniu tych samych szarotek. A przecież możemy się czegoś więcej domagać.

W dzisiejszym skostnieniu Szkoła istotnie nie może odegrać tej roli na Podhalu, jaką jej toruje najbliższa przyszłość.

Pamiętajmy, że stojny przed rozwojem Zakopanego i Podhala, że łącznie z planami regulacyjnymi, ustawą o uzdrowiskach i staraniami o odrębne klimatyczne starostwo, ruch budowlany rozpocznie się na wielką miarę; zresztą widzimy już jego zapowiedzi. Szkoła, która dotąd nie zaznaczyła wybitnie swojego udziału w architekturze, musi rozszerzyć zakres działania w tym kierunku. Trzeba dać podstawę dla przyszłego budownictwa i przygotować ludzi na rozwój Podhala, przepoiwszy ich mądrą tradycją rodzimego cieślińskiego kunsztu. Należy zatem zapoznać uczniów z naprawdę dobrmi przykładami starego budownictwa. Mniej więc teoretycznej nauki o stylach, zato o wiele więcej praktycznego wykształcenia. Przeto zamiast zbyt obszernie ujętych dziejów gotyku czy baroku, częste wycieczki po wsiach góralskich. Tam uczniowie zapoznają się z mądrością budowy chłopskiego domu, z częściami składowymi, jak celowością wiązań i konstrukcji dachowej, dokonają pomiarów istotnie godnych uwagi okazów „drzewiejszego“ „budarstwa“ i porobią zdjęcia drewnianych kościółków i kapliczek. A potem dla zestawień porównawczych coraz dalsze rozszerzanie terenu badań po lachowskie granice, poza niemi, wreszcie wyprowadzić do miast, obfitujących w zabytkowe budowle. W ten sposób gromadzony przez uczniów zapas wiedzy, utrwalany w rysunkach, będzie stanowił kapitalną podstawę ich dalszego wykształcenia. Ileżby nadto poza pedagogicznymi celami zyskały na tej drodze badania ludoznawcze, jak walnie posunęłyby się znajomość ludowego budownictwa i sztuki. Bo przecież należycie zebrany materiał ikonograficzny znalazłby niewątpliwie chętnych nakładców i odbiorców. Zresztą w budżecie Szkoły powinna się znaleźć stała, roczna dotacja na własne wydawnictwa. Dziś wyniesie ona na tekę z kilkunastu tablicami parę milionów, ale przecież uzyskanie na ten cel funduszów nie jest tak trudne i nie powinno nawet obciążać budżetu ministerstwa. Szkołe winno się zostawić do pewnego stopnia swobodę sprzedaży jej wyrobów i przyjmowania na nie zamówień. Z tych wpływów otrzymana gotówka może być funduszem wydawniczym, niezależniającym zakład od

nakładców. Wiadomo zaś, jak systematyczne wydawnictwa podniosłyby znaczenie Szkoły i jej kulturalną misję.

A potem jako dalsze stopnie kształcenia uczniów modelowanie. Wielanie tego, co widzieli i co utrwaliли w rysunkach, w niewielkie drewniane modele. Więc typy domu z różnych okolic góralszczyzny: stodoły, szałas, drewnianego kościoła i kapliczek, wzorowe modele, które można konstruować w kilkudziesięciu egzemplarzach; zatrzymać część dla własnego użytku, resztę zaś odsprzedać dla pokrycia kosztów wycieczek i zużytego materiału szkołom budownictwa, przemysłu i muzeom, dotychczas miernie zapatrzonym w tak pierwszorzędnny środek naukowy.

Aż wreszcie przejście do budowlanej praktyki. Trzeba dopuścić już szkolnego wychowanka do zaznajomienia się z praktyczną stroną budowy i na podłożu dotychczasowych nauk kierować ku nowym zadaniom. Bo nonsensem byłoby podejmować tyle wysiłków dla wychowania ucznia, gdyby on miał być tylko niewolniczym naśladowcą starożytności. Więc nie do pomyślenia byłoby zrezygnowanie z nowoczesnych zdobyczy techniki i nowoczesnych pojęć o architekturze. Niechże zatem nie wyobraża sobie ktokolwiek „nawrotu do tradycji“ jako powrotu do niedołączonych prymitywnych środków technicznych. W dzisiejszej epoce chyba nikt niezakwestjonuje konieczności maszynowej pracy w ciesielstwie i stolarstwie. To też maszyny w Szkole muszą odgrywać pełną i należną im rolę. Niema ich teraz coprawda, w odpowiedniej ilości dla nauki budownictwa, na szczęście jednak są w Zakopanem warsztaty, będące państwową własnością; w przyszłości niewątpliwie złączą się ze Szkołą jako jej konieczne uzupełnienie. Zresztą założeniem dalszych stopni nauczania musi być przystosowanie się ucznia do dzisiejszych warunków technicznych i ekonomicznych. Każdy wie choćby o tem, iż drzewo jest drogie i tylko maszynowa obróbka zapewni jak najoszczędniejsze wyzyskanie materiału. Nawrót do tradycji z jednoczesnem zastosowaniem dzisiejszych zdobyczy techniki — to dążność wytwarzania rzeczy celowych, użytecznych i estetycznych zarazem, mimo ograniczeń narzuconych „duchem czasu“ czy bieżącymi potrzebami.

To samo tyczy meblarstwa. I tu jasne, że prymitywny stołek góralski nie może być ślepo naśladowany w każdej willi. A jednak w początkowej nauce wyjść należy od tego prymitywu, poczem wskaźnikiem dalszego nauczania, musi być celowy rozwój formy i wygody.

Nie inna metoda musi zapanować w nauczaniu snycerstwa. Wobec tak bardzo rozwiniętej tradycji zdobnictwa w drzewie na Podhalu, niewłaściwem byłoby dawanie góralowi ornamentu np. renesansowego do odrobienia w glinie czy gipsie, a potem dopiero w drzewie. Powinno iść odwrotnie. W myśl tradycji, niesprzecznnej z dzisiejszemi zasadami, naukę rzeźbienia należy zacząć od drzewnego materiału, nie od gipsowych odlewów, lecz od ludowego prymitywu. Kawałek drzewa, proste narzędzie, choćby zwykły nóż, i wybrany z muzealnych okazów zabytek, — to pierwsze stadjum nauki. Na prostych zadaniach wyćwiczony uczeń przejdzie potem do coraz dalszych. Nie „kraść“ przytem ornamentu, nie przenosić go z materiału na materiał, nie zmieniać proporcji. Trzeba wniknąć w istotę zdobnictwa i stworzyć nowy ornament, z tego samego ducha poczęty, w tym czy innym materiale, byle dostosowany do materiału i do narzędzia.

Przechodząc do oddziału rzeźby figuralnej, który omal nie został zwinięty i przeniesiony do Krakowa, trzeba zaznaczyć, że wbrew poglądom władz centralnych, w Zakopanem nie uważa się tego działu za zbyteczny i luksusowy w zawodowym szkolnictwie. Nie trzeba tylko stawiać nierealnych wymagań. Zupełnie chybioną będzie ochota robienia z uczniów artystów, zupełnie zaś na miejscu wytwarzanie zdolnych rzemieślników

A i w tym wypadku musi się wybierać tylko najzdolniejszy materiał z pośród wychowanków zakładu. Zapotrzebowanie w Polsce kościelnej rzeźby jest wielkie, w związku z odbudową setek zniszczonych kościołów, natomiast krajowa produkcja jest w powijkach, popytu zaspokoić nie może i nie wytrzymuje konkurencji z zagranicznym towarem. Należy ją podnieść w imię własnego interesu, a najzdolniejszym uczniom dać w rękę stały zarobek. Rzeźba architektoniczna znajdzie również pewny zbyty w odbudowującym się kraju. Wiadomo zaś powszechnie, jak wielkie zdolności ujawnia góral w sycerstwie, ile artystycznego smaku po dziś dzień mają jego prymitywne wyroby, ile niezepsutego dotąd materiału znajdziemy na Podhalu wśród samouków i jak umiejętnie umie pogodzić domorosty rzeźbiarstwo starożytności z nowoczesnymi wpływami, którym giętko ulega. Surowy cenzus zdolności ucznia i wydzielenie naprawdę utalentowanych jednostek, pozwoli wytworzyć pierwszorzędnych rzemieślników, wychowanych w tradycji góralskiego prymitywu, a pod kierunkiem świadomej celu metody prowadzonych do dzisiejszego poczucia formy i dzisiejszych potrzeb.

Dotknęliśmy tu sprawy materiału uczniowskiego. Otóż jest on bardzo różnorodny, tak góralski, jak i zamiejskowy. Na stu uczniów chyba kilku znajdzie się o wybitnych zdolnościach, zaledwie kilku potrafi wykonać poprawnie akademicką rzeźbę; reszta nie przekracza przeciętnego poziomu. Byłoby zatem zupełnie niewłaściwe robić z nich pseudo-artystów, i skazywać ich na produkowanie rzeczy, niemających nic wspólnego ze sztuką. To też cały system szkolny musi dążyć do wykształcenia sumiennych rzemieślników, umiejących nie tylko władać narzędziem i zastosować narzędzie do materiału, ale i wytwarzać rzeczy celowe i estetyczne. To jest minimum wymogów, zasadnicze jednak minimum, jakiego musi się żądać od absolwentów Szkoły.

Jeszcze jedna możliwość otwiera się przed Szkołą w ścisłym związku z działem tokarstwa. Otóż poza sycerskimi użytkowymi przedmiotami, które wpływ uczelni musi koniecznie oczyścić z szablonowych naleciałości, zadaniem zakładu będzie znalezienie dla drzewa drobniejszej formy użytkowania. Nastęrcza się tu produkcja zabawek. Rzecz dziwna, iż dotychczas tak mało wyzyskano pod tym względem pomysły ludowe. A byłoby w czem czerpać. Góral jest dowcipny i umie ironiczną złośliwość zabarwić prawdziwym humorem. Wśród uczniów znajdzie się zapewne niejeden dowcipniś, który umiejętnie kierowany zdoła spożytkować zawodowe wyszkolenie w sporządzaniu zabawnych figurek, miniaturowych wózków z tak szczerze „na czerwono“ malowanymi konikami, klocek budowlanych, ozdobnych skrzyneczek dla lalek i innych drobiazgów. Zresztą to nie nowość: na rynku krakowskim oglądamy przecież tak często myślenickie wyroby zabawkarskie, znany kapitalne figurki żydków w chałatach z głową trzepiącą się na druciku i inne chłopskie figielki. Idzie więc o to, aby ludowe pomysły wyzyskać w nauce szkolnej.

Podnoszono często skargi, iż zaledwie 30% uczniów, to autochtoni górale, reszta „ze świata“. Prawda, że lenistwo i chęć łatwego zarobku popycha młode pokolenie ku „fijakrowaniu“. Z drugiej strony, póki nauka w Szkole nie zapewni uczniom bytu po ukończeniu studjów, póty nie można się spodziewać, aby nasz zakład był atrakcją dla tubylców.

Jeszcze o jednym możnaby pomyśleć: o zorganizowaniu absolwentów Szkoły, przynajmniej zamieszkałych stale w Zakopanem, w kooperatywne stowarzyszenie, silnie związane z zakładem. Nietylko w czysto ekonomicznych celach, np. dla tańszego, hurtownego zakupu materiałów i wzajemnej pomocy, ale i dla utrzymywania kontaktu ze Szkołą, która mogłaby wtedy wywierać zbawienny wpływ na poziom wyrobów swoich dawnych uczniów.

Taki zatem jest wynik wywiadów. Streściliśmy poglądy kilku życzliwych zakładowi i autorytatywnych osobistości, i pozwalamy sobie przypuszczać, że streszczenie możliwie wiernie odbija ich zapatrywania. Wierzymy, że nie miną bez oddźwięku przy reorganizacji zakopiańskiej Szkoły.

Zakopane, w styczniu 1923.

Juljusz Zborowski.

Reforma administracji uzdrowskowej i regulacja Zakopanego.

Zakopane w swym charakterze miejscowości klimatycznej czyli uzdrowiska, rozwinęło się ze zwykłej wsi góralskiej. Znęćli się do niego ludzie dla Tatrów i świeżego powietrza, a przyjeżdżając wiedzieli że przyjeżdżają na wieś. Po znanych sobie wsiach dólskich, ta wieś wydała im się zachwycającą. Ludzie grzeczni i nad podziw dobrze wychowani, izby, po wykadzeniu płoszczyć, schludne i dające się wymyć jak pudełko, zdzierstwa nie było, co trza — jak pościel, naczynie — przywoziło się z sobą za 8 papierków z Krakowa; — nabiał i drób były w miejscu, raz na tydzień przywoził nawet Gut z Poronina baraninę; wymyślniejsze sprawunki załatwiał pocztarek w Nowym Targu. I tak żyło się w radości jak u Boga za piecem, przyjaźniło z gazdami i zostawiało im w przechowanie to i owo z roku na rok. Ale rzeczy przybrały inną postać, kiedy goście zaczęli zjeżdżać coraz tłumniej. Gazdom gość stał się już niedziwnym, dawna grzeczność zaczęła się gdzieś podziewać a natomiast wszystko drożało. Skończyła się sielanka, zaczęto od siebie nawzajem wymagać. Typ zresztą dawnego entuzjasty tatarnika zastąpił w znacznej części między gośćmi typ inny: człowieka schorowanego, który tu przyjechał po zdrowie, chciał mieć wygodę i imaginował sobie „polskie Davos“. Nie wystarczało już dzisiaj to, co było dawniej dobre, ile że to dawne stawało się coraz gorsze. Zągęszczało się rzadkie niegdyś zabudowanie, jeden dom wlaził drugiemu na głowę, zanieczyszczają się studnie, zakażały się izby po suchotnikach, powietrze nabierało mało-miasteczkowego zapachu... Zakopane zamieniało się w „uzdrowisko“...

Przed radą gminną prostej wsi góralskiej stanęły zadania zgoła jej obce. Mądra niegdyś i sprawna nad podziw Rada głupiała coraz bardziej, jak to zwyczajnie bywa z ludźmi, od których się chce aby byli mądrzejsi niż mogą. Któż to widział takie fanaberje, jak chodniki, oświetlanie i oczyszczanie ulic, jakieś tam przepisy budowlane i sanitarne i t. p. Przecież Zakopane to nie Nowy Targ, albo jaka inna stolica... No — i tak dokuszykało się do roku 1894, w którym Zakopane na podstawie krajowej ustawy uzdrowskowej z dn. 4-go listopada 1891, otrzymało swój statut klimatyczny. Każde bowiem uzdrowisko, oddane dla publicznego użytku — mówiła ustawa (§ 1 i 2) — ma mieć swój statut, wydany przez c. k. Namiestnictwo w porozumieniu z Wydziałem krajowym. Statut określa granice uzdrowiska i jego organizację. Ustawa dawała przepisy ramowe dla tej organizacji. Organami miały być: Komisja klimatyczna, — Zarząd Zakładu — i lekarz klimatyczny (§ 3). Komisja klimatyczna (§ 4) składa się z następujących osób: z delegata Namiestnictwa jako przewodniczącego, delegata Wydziału krajowego, — właściciela zakładu lub jego zastępcy, — lekarza klimatycznego, — naczelnika gminy i przełożonego obszaru dworskiego — i, ewentualnie, z inspektora; § 11-szy stanowił bowiem, że w zakładach licznie odwiedzanych Namiestnictwo ma prawo ustanowienia inspektora, w celu państwowego nadzoru nad wykonywaniem policji miejscowej. Statut mógł też dopuścić do Komisji delegatów z grona gości, właścicieli realności, lub lekarzy zdrojowych, co też w statucie zakopiańskim się stało. — Główne zadania Komisji były następujące (§ 6): w ogólności staranie się o jaknajpomysłniejszy rozwój Zakładu, o wygodę i rozrywkę dla gości oraz czuwanie nad tem, aby Zakład skądkolwiek szkody nie poniósł. W szcze-

gólności ma Komisja zawiadywać funduszem kuracyjnym w granicach jego przeznaczenia, wymierzać taksy kuracyjne, taksy na muzykę i opłaty od przedsiębiorstw zabawowych, oraz od urzędzeń utrzymywanych kosztem funduszu kuracyjnego, — czynić wnioski co do ustanowienia wysokości i zmiany taks i opłat, co do dróg, ścieżek, przepisów kąpielowych, cen mieszkań i cenników w ogóle, — wzywać pomocy właściwych władz gdyby zakładowi zkańdokolwiek groziła szkoda lub uszczerbek. W zakresie swego działania Komisja może wyznaczać swe organy, celem wykonywania swych uchwał o ile te nie naruszają praw prywatnych (§ 7).

Już na pierwszy rzut oka ustawa ta wykazuje zasadnicze wady, które praktyka zupełnie stwierdziła, odsłaniając inne jeszcze, ukryte. Przedewszystkiem do kompetencji Komisji należą tylko właściwie drugorzędne sprawy, najważniejsze pozostają przy gminie, a Komisja może tylko „czynić wnioski“ i „wzywać pomocy“. Po drugie powstaje dwoistość władz, która musi prowadzić nieuchronnie do scysyj. Po trzecie egzekutywa uchwał Komisji nie jest zapewniona. Wreszcie po czwarte okazało się, że już to ze względu na ciągle spory kompetencyjne między gminą a „klimatyką“, już z okazji stawiania wniosków i wzywania pomocy władz ze strony klimatyki, już wreszcie dlatego że rządowy komisarz klimatyczny podlegał zwierzchności starosty, starostwo mieszało się ciągle do spraw uzdrowiska, paraliżując często najlepsze chęci Komisji i komisarza, a w każdym razie osłabiając sprężystość ich działania. Pan starosta irytował się że z Zakopanem ma więcej kłopotu jak z całą resztą powiatu, — ma ono najoczywiściej manję wielkości i myśli że jest co najmniej Nowym Targiem. W rozstrzyganiu sporów między klimatyką i gminą, przyświecała panu staroście zazwyczaj „teoria względności“: białe jest tak dobre jak i czarne, a względy praktyczne nakazują uspokoić najprzód tego co głośniej krzyczy; cała sztuka aby krzyku nie było, a o resztę mniejsza. Od czasu do czasu wreszcie trafił się starosta z temperamentem Aleksandra Wielkiego, pragnący rozciąć mieczem węzły gordyjskie; ten nie oglądał się ani na gminę ani na klimatykę, a rezultat był ten, że zamiast każda z nich osobno, podnosiły teraz zgodne larum obie razem.

Tymczasem „goście“, przypatrując się tym zapasom, których stałym rezultatem był stały brak rezultatu, zajmowali wobec nich rozmaite pryncypialne stanowiska. Przeciw rządowi gminy kierowały się dwa poglądy, całkiem sprzeczne, choć w jedno godzące. Jedni mówili: bo to panie dobrodzieju chłop zawsze chłopem, niezego się po nim nie można spodziewać; — drudzy, idący bardziej z duchem czasu, wypowiadali zdanie że zarówno szlachcic jak chłop, jednym słowem ci od roli, są to elementa zastoju, i że dopiero z wydobyciem się na wierzch warstw świeżych będzie się działo lepiej. Z drugiej strony, ludzie całkiem radykalnie inteligentni, straciwszy zapewne na podstawie własnych wewnętrznych doświadczeń — zaufanie do inteligencji, oświadczały się za gminowładztwem. Niezależnie zaś od nich sympatyzował z niem inny jeszcze gatunek, któryby można nazwać: „inteligencją etnograficzną“, albo raczej „etnofilską“; ci ze względu na zachowanie dawnego charakteru góralszczyzny, pragnęli ceprów odsunąć na bok, — i tak kiedy w Radzie górale ceprzeli, oni przyodziewali — wprawdzie nie dosłownie swe fizyczne, ale swe uda astralne — (w „uwiędły laurów liść“ jak mówi poeta), w owdowiałe białe portki z parzenicami. Przy tej wielostronnej transcendentalnej ceprskiej mądrości niezgorzej jeszcze się prezentowała mądrość chłopska, broniąca poprostu a nie bez powodzenia — swego własnego gnoju na swem własnym podwórzu; mimo atoli tych pryncypialnych różnic, (które oczywiście jeszcze powiększały zamieszanie), wszyscy zgadzali się w jednym: w niezadowoleniu. A to szukało sobie widomego symbolu winowajcy i znaćchodziło go w nieszczęśliwym inspektorze czyli komisarzu klimatycznym. Krótko i węzło-

wato charakteryzuje to opinia, którą piszący te słowa podслуchał niechęący przed laty, czekając u drzwi pana komisarza na audjencję. Oto w kancelarji jakiś krewki warszawiak chciał panu komisarzowi ułatwić zalecaną przez starożytnych mądrość poznania samego siebie, i mimo wszelkich remonstracyj nie dawał sobie przerwać tej akcji uświadamiającej, powtarzając z dobitną stanowczością: „pan jesteś fujara austryjaacka“.

A jednak byli pomiędzy zmieniającymi się dość często komisarzami ludzie o doskonałych kwalifikacjach i najlepszej woli. Ci ścierali się w tej jałowej robocie, bo żaden Herkules nie wytrzyma walki — z pierzyną. Ustępuje przed pięścią i zostaje taka jak była; nawet zaszczytnych ran dorobić się nie można. W tego rodzaju robocie ścierali się i ludzie w Komisji klimatycznej. Dlatego trzeba być względnym w sądzie. Ale nie można zwalać wszystkiego i na gminę. Powierzono jej zadania do których nie dorosła. I to pewna że kiedy w takich wiejskich drobnostkowych stosunkach pojawiają się niespodziane okazje grubych zysków i macherstw, występują wtedy na powierzchnię różne bagienka i bagna... Ale na ogół gmina zakopiańska nie była gorszą od żadnej innej, któraby się znalazła w tych warunkach, a nawet — jak sądzę — była dużo lepszą. Boć przecie, bądź co bądź, zwolna bo zwolna — ale coś się zrobiło*).

Stosunki wymagały jednak gwałtownie reformy, zwłaszcza po wojnie, kiedy wzrósł w niebывały sposób napływ gości, wzrósł — co zdaje się jest unikatem w Polsce — ruch budowlany, rozwieliżniły się wyzysk i paskarstwo. Z drugiej strony polepszyły się stosunki o tyle, że w Radzie gminnej przyszła do głosu w większej niż dotąd mierze inteligencja. — Na tle tych warunków ukazała się nowa ustawa uzdrowiskowa z 23 marca 1923 roku.

Przepisy nowej ustawy, które nas tutaj głównie obchodzą są następujące**):

Art. 29:... Jako organ zarządzający sprawami na obszarze okręgu ochrony sanitarnej powołana zostanie Komisja uzdrowiskowa (klimatyczna). —

Poza uprawnieniami przewidzianymi w Art. 34 ustawy, Komisja w granicach zatwierdzonego statutu może mieć również dodatkowo poruczony zakres działania w zastępstwie organów administracji gminnej lub państwowej. — Na Komisję przechodzi sprawowanie policji zdrowia i budowlanej, jak również w ciągu sezonów kuracyjnych prawo korzystania z pomocy państwowej policji bezpieczeństwa w granicach uprawnień przyznanych gminom miejskim.

Art. 30. Skład Komisji uzdrowiskowej ostatecznie określa statut uzdrowiska; w zasadzie w skład jej z głosem decydującym wejść mają prawo: 1) dyrektor rządowy, jeżeli uzdrowisko jest własnością Skarbu Państwa, lub właściciel uzdrowiska lub jego zastępca, jeżeli uzdrowisko jest własnością prywatną; 2) wójt gminy, lub burmistrz miasta, których obszar... stanowi największą część uzdrowiska, lub... w których znajdują się władze uzdrowiska; 3) jeden delegat tych gmin, których wójt lub burmistrz wchodzi w skład komisji; gmina, która w całości wchodzi w skład obszaru uzdrowiska, o ile liczba jej mieszkańców przekracza 3 tysiące, deleguje dwóch przedstawicieli, o ile przekracza 8 tysięcy — trzech przedstawicieli; 4) lekarz urzędujący w uzdrowisku; 5) wybie-

*) Bardzo pouczające przedstawienie stosunków tego okresu zawiera po wojnie wydany memoriał Wydziału uzdrowiska w Zakopanem p. t.: „Sprawa reformy administracji w uzdrowisku Zakopane“ Memoriał żąda zniesienia dwoistości organów i zaprowadzenia „gminnego wydziału uzdrowiska“, tudzież kreowania w Zakopanem osobnego starostwa, które miałyby względem tego wydziału funkcję tylko nadzorczą.

***) Cytowane artykuły podano z opuszczeniem ustępów drugorzędного znaczenia.

rany na lat 3 delegat właścicieli willi oraz przedsiębiorstw wynajmu lokali dla kuracjuszków i zakładów leczniczych na obszarze danego uzdrowiska; 6) wybierany na 3 lata delegat zrzeczenia lekarzy, o ile takiego zrzeczenia niema, najstarszy liczbą lat praktyki w uzdrowisku; 7) wybierany na lat 3 delegat zrzeczenia, popierającego rozwój danego uzdrowiska; w braku takiego zrzeczenia w charakterze delegata powołany będzie przedstawiciel jednego z miejscowych towarzystw; turystycznego lub krajoznawczego, względnie miejscowych oddziałów towarzystw o tym zakresie działania.

Pozatem w obradach komisji uzdrowiskowej mają prawo brać udział z głosem doradczym: a) przedstawiciel starostwa; b) lekarz powiatowy; c) w razie stwierdzonej przez właściwe władze administracyjne potrzeby delegowana przez nie rządowa siła techniczna; d) stali lub do specjalnych spraw powołani przez komisję rzeczoznawcy.

Art. 31. Uchwały komisji uzdrowiskowej w sprawie, przewidzianej w art. 34 punktach 1, 2, 4, 6 i 8, uzyskują natychmiastowo moc obowiązującą, o ile powzięte zostały w obecności delegata starostwa, względnie w sprawach sanitarnych, lekarza powiatowego, a nie nastąpił z ich strony natychmiastowy sprzeciw; w razie ich nieobecności uchwały te stają się obowiązujące, o ile w ciągu dni 7 od dnia zawiadomienia właściwego starosty nie spotkały się one z jego umotywowanym sprzeciwem; w tym ostatnim wypadku komisji służy prawo odwołania do władz administracyjnych drugiej instancji, które najdalej w ciągu miesiąca winny wydać decyzję; od decyzji władz drugiej instancji służy prawo odwołania w ciągu dni 30 do Ministra Zdrowia Publicznego.

Art. 32. Komisja wybiera ze swego grona na lat 3 stały wydział wykonawczy (zarząd) z 4 członków... Przewodniczącego i jego zastępcę zatwierdza naczelnik władzy administracyjnej drugiej instancji; w skład wydziału wykonawczego z głosem doradczym może wchodzić przedstawiciel właściwego starostwa oraz urzędujący lekarz miejscowy.

Członkowie komisji uzdrowiskowej i wydziału wykonawczego mogą pobierać z funduszu kuracyjnego odpowiednie stałe odszkodowania pieniężne, względnie otrzymywać pokrycie rzeczywistych swych wydatków, wynikłych z pełnienia obowiązków do wysokości z góry przewidzianej.

Art. 34. Do zakresu działania komisji uzdrowiskowej należy: 1) zarządzanie funduszem kuracyjnym, czuwanie nad całością majątku.. 2) ustalanie wysokości taks i opłat z których powstaje fundusz kuracyjny; 3) zakładanie szpitali i zakładów humanitarnych, względnie przyjmowanie tychże pod swój zarząd zgodnie z wolą ofiarodawcy, zakładanie i prowadzenie instytucji badawczych (stacji meteorologicznych, geologicznych i t. p. oraz specjalnych urządzeń sanitarnych), domy izolacyjne, urządzenia kanalizacyjne względnie asanizacyjne, wodociągowe i t. p.; 4) wydawanie obowiązujących przepisów i zarządzeń sanitarnych, w celu utrzymania należytej czystości, porządku i warunków zdrowotnych; 5) opracowywanie projektów, mających na celu podniesienie uzdrowiska pod względem sanitarnym, rozbudowy, oraz udostępnienia ich najuboższemu warstwowi ludności; 6) zatwierdzanie (przedstawionego sobie przez Wydział wykonawczy) rocznego budżetu komisji, rocznych sprawozdań, oraz przedkładanie ich Ministerstwu Zdrowia Publicznego; 7) wydawanie opinii, od których uzależnione jest udzielanie zezwoleń przez właściwe władze państwowe na prowadzenie robót budowlanych, otwieranie przedsiębiorstw, zakładów i t. p.; 8) regulowanie spraw mieszkaniowych dla osób, przybywających na kurację, oraz warunków życia tychże w uzdrowisku przez ukrócenie nadużyć, wreszcie ustanawianie cenników w odnośnych dziedzinach; 9) sporządzanie planu rozbudowy i wydawanie

przepisów budowlanych w myśl art. 10 i 20 (zob. niżej); 10) wykonywanie wszelkich zarządzeń władz administracyjnych i sanitarnych za pośrednictwem bądź wydziału wykonawczego, bądź też specjalnych delegatów-członków komisji, oraz wydawanie opinii na żądanie władz.

Art. 35 (określa zakres działania Wydziału wykonawczego; wogóle ma on wykonywać uchwały Komisji, nadzorować wykonywanie zarządzeń przez Komisję wydanych, przyczem służy mu prawo wyznaczania kar pieniężnych za przekroczenie wydanych przez Komisję przepisów, a to do wysokości 10 tysięcy Mp, — zarządzanie funduszami, przygotowywanie preliminarza budżetu etc.).

Art. 37. Jeżeli komisja uzdrowiskowa nie wypełnia dokładnie swych zadań, lub przekracza zakres swej kompetencji, Minister Zdrowia Publ. na wniosek właściwego wojewódzkiego urzędu ma prawo rozwiązać komisję, zarządzając utworzenie nowej najdalej w terminie 6 miesięcy. Na czas od daty rozwiązania komisji aż do ukonstytuowania nowej, Min. Zdr. Publ. mianuje komisarza rządowego.

Powołane w artykule 34 l. 9 ustępy artykułów 10 i 20, brzmią: Art. 10. Uzdrowisko... winno mieć plan zabudowania (regulacyjny). Plan ten sporządza właściwa Komisja uzdrowiskowa, winien on objąć program regulacji istniejącego stanu miejscowości, sprawy rozbudowy i upiększenia uzdrowiska. Plan zabudowania zatwierdza Minister Zdrowia oraz z zainteresowanymi Ministrami. Wnoszenie lub przekształcanie budowli i urzędzeń w uzdrowisku może być dokonane jedynie zgodnie z zatwierdzonym planem zabudowania. — Art. 20... winny być ustanowione miejscowe przepisy budowlane normujące warunki i zasady wznoszenia, przebudowy i urzędzenia budynków i zakładów użyteczności publicznej w obrębie uzdrowiska, przy równoczesnym uwzględnieniu przepisów drogowych, oraz przepisów co do korzystania z urzędzeń wodociagowych i kanalizacyjnych.

Takie są tedy główne zasady dotyczące organizacji uzdrowiska i kompetencji organów zarządzających. W porównaniu z ustawą galicyjską z r. 1891 uderza przede wszystkim znaczne rozszerzenie tej kompetencji; dalej uwolniona została Komisja od zbyt krępujących ją więzów opieki władz administracyjnych. Pomimo rozmaitych wątpliwości jakie nastroją niektóre przepisy tej ustawy, trzeba przyznać, że usuwa ona w znacznej mierze te błędy, które ciążyły tak fatalnie nad dotychczasowym rozwojem Zakopanego.

Na szczególną uwagę zasługują te uprawnienia, które pozyskała Komisja w dziedzinie spraw budowlanych. Jedną z największych bolączek było bezładne zabudowywanie się, szpecące coraz to bardziej Zakopane, a również szkodliwe pod względem sanitarnym. Od lat dopominano się o plan regulacyjny i mimo ustawicznych obietnic zawsze bezskutecznie; co więcej „letnia stolica Polski“, rządziła się dotąd prawem budowlanem przeznaczonem dla wsi, takim samem jak najmniejsza zapadła wioszczyna, co w połączeniu z jej „stołeczniemi“ pretensjami dawało w efekcie ohydę nadętego parwenszowstwa. Punktem wyjścia dla reformy tych stosunków była zwołana w listopadzie r. 1919-go przez Min. Robót Publ. w Zakopanem ankieta, na której omówiono wszelkie potrzeby letnisk i uzdrowisk podhalańskich. (Protokół jej wydał dr. M. Orłowicz p. t. „Plan rozwoju Zakopanego i innych polskich letnisk podtatzańskich“). W konsekwencji rozpiśało Min. Robót Publ. konkurs na plan regulacyjny, który rozstrzygnięto na wiosnę 1922 r., przyznając z pomiędzy pięciu nadesłanych planów pierwszą nagrodę planowi architektki Karola Stryjeńskiego. Należy podnieść niepoślednią zasługę w tak energicznem poparciu tej sprawy w pierwszym rzędzie inż. R. Felińskiego naczelnika sekcji regulacji w Min. R. P., a także dr. M. Orłowicza, starszego referenta spraw turystycznych w temże

Ministerstwie, tudzież wójta zakopiańskiego p. Medarda Kozłowskiego. Od roku autor nagrodzonego projektu wykańcza swoją pracę na terenie, poczem jeszcze tej wiosny ma się zebrać ponownie sąd konkursowy dla ostatecznego zatwierdzenia planu regulacji.

Czy plan regulacyjny w połączeniu z rozszerzoną kompetencją Komisji klimatycznej w dziedzinie budownictwa odpowie wszystkim potrzebom, osądzić na razie nie można; nie mamy bowiem jeszcze ani planu wykończonego, ani statutu Komisji. Należy się spodziewać że nie będzie się już budować gdziekolwiek się komu podoba i że budowle odpowiadać będą pewnym ogólnym wymogom technicznym i sanitarnym. Nie wydaje się jednak aby dostatecznie zabezpieczone były wymogi estetyczne. Każden człowiek o zdrowym smaku czuje to dobrze, że Zakopane nie może się zabudowywać kamienicami miejskimi ani też secesyjnymi willami, które gdzieindziej byłyby nawet zupełnie na miejscu. Chodzi tu bowiem o utrzymanie pewnej jednolitości typu, o zestrojenie go z krajobrazem i zachowanie mu cech swojskich, nawiązujących do lokalnej tradycji i obyczaju. Jest to problem wogóle trudny, gdyż tradycja miejscowa związana jest z budownictwem drzewnym, a to już nie da się w nowym Zakopanem utrzymać. To jednak nie upoważnia do odrzucenia wszelkiej łączności z tradycją. Znaleźć trzeba węzły łączące dawne z nowem, — piękne zadanie dla artystów-architektów, może też i dla nowego kierownictwa zakopiańskiej Szkoły przemysłu drzewnego. — Ale na tem miejscu chodzi właściwie o co innego, o to, czy możliwym jest wogóle wpływ administracji budowlanej na zewnętrzny wygląd budowli w tej mierze, aby można myśleć o zachowaniu jednolitości typu? Dotychczasowe przepisy prawne nie zdają się być ku temu wystarczające. W niektórych państwach niemieckich, jak w Prusiech (ust. z dn. 15/7 1907), w Saksonji (ust. z dn. 10/3 1909) i i. istnieją tak zwane „Verunstaltungsgesetze“, ustawy przeciw zszpeceniu krajobrazu przez niestosowne budowle. Wedle tych ustaw pewne okolice wyróżniające się krajobrazowo, mogą być podane w drodze rozporządzenia specjalnym budowlanym przepisom. Rozporządzenie wykonawcze do ustawy pruskiej wyraźnie tłumaczy, że na tej podstawie można też w odnośnych miejscowościach zastrzedz zachowanie miejscowego (etnograficznego) charakteru wiejskiego budownictwa. Otóż podobne przepisy ustawowe należałoby wprowadzić i u nas; możnaby wprost ustawę pruską, obowiązującą dotąd w byłym pruskim zaborze, z pewnemi modyfikacjami, rozszerzyć na całe Państwo.

Ustawa uzdrowskowa przepisuje w art. 10 że statut uzdrowiska winien oprócz granic uzdrowiska samego, oznaczyć jeszcze granice okręgów ochronnych: sanitarnego, względnie (dla miejscowości o źródłach mineralnych) i górniczego. Niestety pojęcie okręgu ochrony sanitarnej nie jest jasno określone. Art. 12 mówi że „w zasadzie granice takiego okręgu obejmują: a) obszar w granicach terytorjalnych danego uzdrowiska (?), — b) sąsiednie tereny objęte planem regulacyjnym i rozbudowy uzdrowiska (?), — c) tereny na których znajdują się źródła, które zaopatrują uzdrowisko w wodę do picia... Niejasność określenia ratuje poniekąd wyrażenie „w zasadzie“, gdyż to znaczy że Ministerstwo zatwierdzające granice tego okręgu może się kierować ponadto własnym uznaniem. W granicach okręgu ochrony sanitarnej (art. 13) nie wolno bez zezwolenia władz prowadzić żadnych robót, które mogą wyrzucić szkodliwy wpływ na sanitarne warunki uzdrowiska, a w szczególności: wznosić nowych budowli, otwierać fabryk i zakładów przemysłowych, a także przedsiębiorstw handlowych i komunikacyjnych, urządzać kanalizacji, wodociągów i studni, dołów i t. p., dokonywać wyrębu lasów. Bez przychylniej opinii Komisji uzdrowskowej władze nie mogą udzielić pozwolenia na takie roboty; strona musi się odwołać do wyższej instancji. — Przepisy te są bardzo ważne, mojem zdaniem jednak nie wystarczające. Sądzę, że na sposób ochronnych okręgów sanitarnych

traktować wypada całe Podhale. Jest to bowiem teren letnisk i uzdrowisk, w którym coraz to nowe powstawać będą gniazda letników i turystów. Pozostawiając teren ten bez opieki, wytworzy się na różnych punktach stosunki takie, jakie dotąd panowały w Zakopanem.

Ustawa uzdrowskowa traktuje tylko o uzdrowskach, którym Rada Ministrów przyznała „charakter użyteczności publicznej“. Artykuł 5 wylicza wprawdzie urządzenia jakie powinno mieć każde uzdrowsko, ale wcale nie mówi o tem, kiedy miejscowość jaka nabiera przymiotu uzdrowska. Gmina wezwana do dopełnienia przepisów artykułu 5-go może zawsze powiedzieć, że wcale nie jest i niema pretensji być uzdrowskiem. A zresztą przepisy artykułu tego nie mówią nawet wcale o tych ograniczeniach którym podlegają „okręgi sanitarne“. Można więc budować jak kto chce, ciąć las pod nowe budynki i t. p., jednym słowem korzystać z przywileju pustoszenia, co stanowi silną zachętę do tego, aby starać się jak najdłużej uniknąć wątpliwej wartości przywileju przyznania „charakteru użyteczności publicznej“! I to trwać będzie z reguły tak długo, dopóki niechlujstwo i ohyda budowlana nie urosną ponad głowę, dopóki nie padną lasy, słowem — aby użyć terminu utworzonego dla honoru Krupówek zakopiańskich — dopóki nie nastąpi zupełne „zkrupowacenie“ i nie ujawni się atmosfera powszechnego niezadowolenia. Wtedy dopiero — po wykazaniu tak dobitnym i naoaczem swej „użyteczności publicznej“ — dana miejscowość dostąpi rządowego przyznania jej tego charakteru i podpadnie pod uzdrawiające przepisy ustawy uzdrowskowej, aby przez lat kilkadziesiąt — po części już nadaremnie — leczyć się ze swych grzechów młodości... Nielepiejże by było trzymać się zasady „principiis obsta“? — Ponadto całe Podhale jest to teren wyróżniający się krajobrazowo, którego piękności niszczyć swobodnie nie wolno, — jest to jakoby trzecia podregłowa strefa przyszłego rezerwatu tatrzańkiego. Dla należytego zabezpieczenia takich okolic, należałoby stworzyć ustawę ramową, która pozwoli je wyjąć z pod ogólnych przepisów budowlanych, drogowych, lasowych i t. d. i stosować pewne ograniczenia, w szczególności uzależniać dokonywanie rozmaitych zmian na terenie od pozwolenia władz właściwych. Terytorja takie, jako że wyjęte zostają z pod pospolitych przepisów prawnych, nazwać by można egzempljami lub egzymatami. W ten sposób to, co się dziś robi w Zakopanem, w zmodyfikowanym odbiciu rozszerzyć się powinno na całe Podhale; należałoby zacząć mówić już nie o regulacji tej lub owej miejscowości, ale o regulacji Podhala.

J. G. Pawlikowski (w marcu 1920).

BADANIA NAUKOWE.

Działalność Państwowego Instytutu Geologicznego w 1921 i w 1922 r. w Pieninach i Tatrach. W Pieninach pracowali geolodzy Horwitz i Matkowski i geograf Wołosowicz. L. Horwitz zajęty był w roku 1921 rewizją arkusza Szczawnicy (Atlas geol. Galicji, Pas 7, stęp IV, zeszyt 24), opracowanego przez W. Uhliga. Obserwacje nad osłoną skalicową doprowadziły do wniosku, że składa się ona z kredy i z trzeciorzędu; w ten sposób stwierdzoną została słuszność poglądu w tej sprawie Uhliga. Na terenie skałkowym ustalony został wiek t. zw. łupków posidonomyowych facji pienińskiej, a to dzięki zebraniu dość bogatej fauny amonito-

wej (Seligowe koło Maruszyny, Hareygrund koło Czorsztyna). Należą one do bajocienu dolnego lub środkowego. Wreszcie w liasie górnym facji czorsztyńskiej, oprócz dwóch znanych dotychczas poziomów z Harpoceras opalinum i Murchisonae, wyróżnić można poziom bezpośrednio niższy z Lytoceras jurense lub Dumortiera Levesquéi (gościeńiec nieco poniżej Szczawnicy Niższej).

St. Matkowski wykonał w latach 1921 i 1922 szczegółowe zdjęcie geologiczne obszaru fliszowego, położonego w najbliższej okolicy Krościenka n. D. Rezultatem tej pracy było stwierdzenie obecności wypiętrzenia poprzecz-

nego (elewacji transwersalnej), obejmującego dziedzinę fliszu w okolicy Krościenka i Tylmanowej, oraz pasmo skał w strefie przelomu Dunajca. Kierunek wypiętrzenia (NNW—SSE) odpowiada mniej więcej zasadniczemu kierunkowi biegu Dunajca poniżej Krościenka.

W tym samym czasie podjęte zostały przy udziale p. Cz. Bykowskiego badania petrograficzne skał fliszu. Badania wstępne wykonane przez St. Matkowskiego wykazały, że flisz magórski i t. zw. flisz graniczny w okolicy Krościenka posiadają wielce zbliżony skład mineralogiczny. Różnice polegają głównie na odmiennym charakterze lepszczu oraz wielkości okruchów mineralów i skał wchodzących w skład obu wymienionych zespołów fliszowych. Opracowaniem szczegółowej charakterystyki petrograficznej obu fliszków zajmuje się p. Cz. Bykowski. Oprócz tego poczyniono szereg spostrzeżeń dotyczących wzajemnego stosunku tektonicznego badanych utworów fliszowych.

Opracowywane przez St. Matkowskiego zagadnienie stosunku żył andezytowych do budowy tektonicznej okolic Pienin, doprowadziło do stwierdzenia faktów, kierujących światło na dzieje geologiczne tego niezwykle interesującego zakątka naszego kraju. Nadto została stwierdzona obecność kilku nowych, nieznanych dotychczas miejsc występowania andezytów. Między innymi została odnaleziona w pobliżu Czorsztyna żyła andezytu ukazująca się na przestrzeni około $1\frac{1}{2}$ km.

St. Wołosowiczowi badania terenowe 1921 i 1922 r. w dorzeczu Dunajca dostarczyły nieco nowego materiału o genezie wielkiego przełomu tej rzeki przez Pieniny. Poglądy dotychczasowe o antecedenji (Sawicki) i epigenezie (Limanowski) nie mogą być przyjęte ze względu na brak danych. Rozmieszczenie żwirów tatrzańskich przed i za przełomem (Pawłowski) oraz rozkład i charakter skałek zdają się świadczyć o początkowej predyspozycji tektonicznej, która spowodowała pierwotny kierunek łożyska Dunajca. Późniejsze znaczne obniżenie się niziny Podkarpackiej skutkiem zapadania i wymięcenia (Teisseyre, Smoleński) spowodowało bardzo silne odmłodzenie erozji w łożysku Dunajca (Obniżenie się podstawy erozyjnej). Akumulacja materiałów fliszowych i tatrzańskich przed i za przełomem zastała dolinę Dunajca pogłębioną już do poziomu obecnego, może jeszcze niższego. Obecne wcinanie się Dunajca zachodzi przeważnie w materiałach akumulowanych, stąd niektóre tarasy są prawie jednocześnie z maksymalnym stadjum akumulacji, (tarasy na materiale akumulowanym). Inne zaś, wyerodowane we fliszu, niezależnie od ich wzniesienia nad poziomem

wody, mogą pochodzić z czasów, poprzedzających okres akumulacji.

W Tatrach pracowali geolodzy Horwitz, Passendorfer i Rabowski.

L. Horwitz łącznie z F. Rabowskim zapoczątkowali w 1921 r. badania nad liasem i doggerem wierchowem w Tatrach. Z dotychczasowych, prowizorycznych wyników wymienić należy następujące. W liasie (Dolina Kościeliska, Chochołowska i Starorobociańska) wyróżnione zostały cztery kompleksy litologiczne, zawierające tu i ówdzie skamieniałości. Zaliczyć je można do pięter sinemurien—aalenien, a prawdopodobnie częściowo również i do doggeru. Nadto na Pn. od przełęczki w grzbiecie Kulawca (na Z. od Starej Roboty) stwierdzone zostało najniższe piętro liasu (hettangien).

Co do doggeru to w serii płaszczowi nowej i w serii tubylewej (okolice Gładkiego Jaworzyńskiego, Kalatówek, Wrótek, zbocza Pd. granj Giewontu aż do doliny Małej Łąki, Wielka Świątówka, Zary i dolina Rozpadlin, Czerwone Żlebki, Turnie Raptawickie i dolina Chochołowska) występują pod malmem następujące poziomy: oksford-argovien? — wapienie różowawe; kellowej — wapienie szaro-zielone, czasem bulaste; bathonien górny — wapienie czerwone często z ziarnami dolomitycznymi (liczne amony); bathonien dolny — bajocien — wapienie krynoidowe białe i czerwone.

E. Passendorfer zajął się w r 1921 zbadaniem w paśmie wierchowym Tatr wieku wapieni koralowych, spoczywających w spągu margli kredowych gaultu, a w stropie serii jurajskiej. Dotychczas znajdowane w nich ułamki skamielin nie pozwalały rozstrzygnąć czy należą one do górnourajskich dicerasów w, czy też do dolnokredowych rek wienij. Obfity materiał paleontologiczny, znaleziony w skałach pochodzących ze ścian Giewontu ponad Wielką Równią i Małą Dolinką, pozwolił stwierdzić tutaj istnienie urgonu t. j. ekwiwalentu facjalnego barremieniu i aptu, z typowymi dla nich Lima parallela, Rhynchonella Gibbsiana, Orbitolina lenticularis, Janira Deshayesiana. Badania nad urgonem i gaultem były prowadzone z wielkim powodzeniem i w r. 1922.

Badania i szczegółowe zdjęcia geologiczne wykonane w ostatnich latach przez F. Rabowskiego w paśmie wierchowem Tatr rzuciły nowe światło na jego budowę. Dotychczas wydzielano tu autochton i jeden fałd leżący. Okazało się, że istnieją tu dwa wielkie fałdy leżące, oddzielone od siebie kredą: fałd dolny — Czerwonych Wier-

chów i fałd górny — Giewontu. Oba te fałdy mogą być uważane za dygiteacje jednej i tej samej płaszczowiny wierzchowej, tem mniej wyodrębniają się one w naturze, zachowując się każdy w sposób indywidualny. O ile fałd Cz. Wierchów dominuje na Z. od linii Kopa Kondracka — Giewont, o tyle na W. od niej dominuje fałd Giewontu, a na linii Suchej wody panuje prawie wyłącznie.

Analiza tektoniczna wykazuje, że fałd Giewontu wraz ze swym jądrem krystalicznym przesunął się ku Pn. już po wtórnem stałdowaniu fałdu Cz. Wierchów, ścinając jego stromo ustawione warstwy. Ruch ten związany jest genetycznie z nasuwaniem się płaszczowiny reglowej na płaszczowinę wierzchową.

Ferdynand Rabowski.

Sprawozdanie z wycieczki Instytutu Geograficznego Uniwersytetu J. K. we Lwowie.

W pierwszych dniach września 1922 r. odbyła się wycieczka geograficzna w Tatry pod kierownictwem prof. Romera. Obok 8 pracowników Inst. Geogr. U. J. K. we Lwowie brali w niej udział p. Jureczyński Juljan, nauczyciel gimn. w Łodzi i p. Nycz Stanisław, asystent katedry geogr. w Poznaniu. Przeobrażenie krajobrazu Tatr w ciągu trzech epok lodowych i szereg drugorzędnych problemów geogr., demonstrowanych przez prof. Romera wchodzi w dziedzinę Jego długich studiów nad zlodowaczeniem Tatr jeszcze nie opublikowanych. Poniższe wiadomości, które się stały już własnością uczestników wycieczki, zostają podane za zgodą prof. Romera.

Północnej krawędzi pasa Tatr Wysokich towarzyszy, tchnący życiem bogatej szaty roślinnej, regiel. Jest to łańcuch gór, które nigdy ponad las nie wychodzą, a tak się wiążą ze sobą, iż jako strefa gór, wykazują swą osobowość.

Między reglem a Gubałówką sściele się rów podhalański, należący do typu form padołowych t. j. obniżen dolinowych o bogatej rzeźbie wtórnej. — Wycisnęła na nim swe piętno ostatnia t. j. trzecia epoka lodowa. Bogata sieć strumieni wodnych spływa tu ku peryferjom trzech dużych stożków fluwjoglacjalnych: Siwej wody, Kirowej wody i Bystrej. Usypały je bogate w wodę strumienie, zaczynające się niegdyś u czoła urwijających się nagle lodowców, porywając i obrabiając materiał morenowy.

Na ostatnim stożku t. j. Bystrej, sięgającym skrzydłami od potoku Czarnego po Antotówkę rozbudowało się Zakopane.

Dalej na wschód brak stożków z III zlodowacenia mimo niewątpliwego zlodowacenia wschodnich dolin. Dwojakiego typu to były lo-

dowce. I) Krótkie, szerokie o dużej miąższości, jak np. Pańszczyzew i Suchej Wody. Lodowiec Suchej Wody to typ lodowca czasowego. Jak u młodych rzek dużą była jego siła transportowa. Pozostał on olbrzymią moreną czołową, lecz do wytworzenia stożka nie doszło z przyczyn strukturalnych. Przepuszczalność wapieni uniemożliwiła trwały, powierzchniowy odpływ wód i transport morenowego materiału.

II typ, to lodowce długie a słabe, jak np. Białki i Morskiego Oka. Ich siła transportowa była mała jak u rzek, płynących dużemi dolinami, o dość dobrze wykształconej krzywej erozyjnej. Mniejsze ich moreny czołowe i brak większych stożków fluwjoglacjalnych.

W trzech różnych poziomach zarysowują się dzisiaj w padole zakopańskim trzy epoki lodowe.

Jakże różnym był tu krajobraz w pliocenie, gdy strugi tatrańskie płynęły jeszcze w tak wysokim poziomie, iż przecinały Gubałówkę, na której wierzcholinie ostały się jeszcze żwiry rzeczne z owych czasów.

Coraz bardziej obniżają się poziomy den dolinnych w tektonicznie predysponowanym rowie podhalańskim w ciągu trzech epok lodowych.

W związku z krawędziowem odwodnieniem przesuwały się dna dolin. Dawne działy wodne stawały się dnami dolin, a dna dolin działami.

To zjawisko generalne od Bielskich Tatr aż po Orawę. Tylko niektóre wzniesienia w podhalańskim rowie, częściowo jako takie, przez cały pleistocen przetrwały.

Zbliżając się ku wnętrzu Tatr jeszcze wyraźniej uzmysławiamy sobie rozmiary przeobrażenia krajobrazu w pleistocenie! W poprzednim profilu Białki spotykamy na wysokości około 1180 m. pod Gołym Wierchem łtok morenowy, niewątpliwe dno zlodowaczonej doliny. W poziomie 1030 m. na stokach Howańcowego Wierchu stożek fluwjoglacjalny powyżej zasięgu moreny Białki, której dno wynosi w tym profilu około 960 m. Te trzy kotły — to mniej więcej poziomy den z trzech zlodowaceń Białki.

Osobliwie zaznaczyły się przeobrażenia poglacjalne. Dna dolin północnych Tatr są jeszcze przeważnie zasypane materiałem morenowym! W niektórych wypadkach można obserwować wcięcie się rzeki w litą skałę, jako zjawisko epigenezy glacialnej.

Erozja wsteczna jak u. p. przy Wodogrzmotach, progu Siklawy lub Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem, od ustąpienia lodowca minimalna. Zbocza dolin już bardzo przeobrażone dzięki idącym liniami kliważo-

wemi żlebom i stożkom poglacialnym. Przykładem może być dolina Roztoki. W niektórych wypadkach jak n. p. nad Morskiem Okiem i na południowych stokach Wołoszyna można obserwować wiszące stożki, przystosowane do dawnego poziomu powierzchni lodu.

Lecz jak wyjaśnić sobie formy, które się wiążą z problemem lodowcowego przegłębienia dolin? Klasycznym przykładem takiego przegłębienia mogłaby być Siklawa, gdyby lodowiec Rybiego Potoku przewałał się kiedyś ku Roztoce przez Opalony. Lecz temu przeczą stosunki hipsometryczne Opalonego i śledzony umyślnie zasięg materiału morenowego na jego zboczach.

Studjum stosunków petrograficznych i tektonicznych nie może być pominięte przy próbie wyjaśnienia progę Siklawy.

Do osobliwości krajobrazu tatrzańskiego należą jego hale. Około 30% hal tatrzańskich należy do tego typu co hala waksmundzka lub Gładkie t. j. powstałych przez zabarykadowanie małych dolinek pobocznych, boczną moreną lodowca.

Tatrzańskie polany, (będące prawie wyłączną własnością chłopów), są pozaglacialne, lub na starszym zlodowaczeniu, gdzie lodowiec się rozczłonkował, gdzie się stawiska i młaki tworzyły.

Lasy (własność prawie wyłącznie dworska), są na morenie.

Prawdopodobnie nie pozostały też bez wpływu na morfologię poglacialne wahania klimatyczne. I tak n. p. pięknie wykształcona kształtu półkola, morena pola śnieżnego w dolinie za Mnichem pozostaje w genetycznym związku z dłuższym postojem nagromadzonego śniegu pod Wrotami.

Wśród fantastycznych form tatrzańskich jest wiele przykładów ich zależności od petrograficznego charakteru skał. Jednym z nich mogą być właśnie Wrota Chałubińskiego, wypreparowane w łupkach krystalicznych między zwykłym i pegmatytowym granitem tatrzańskim.

Juljan Czyżewski.

Badania meteorologiczne w Tatrach i na Podhalu. Spostrzeżenia meteorologiczne w Polsce prowadzone są pod kierunkiem i kontrolą Państwowego Instytutu Meteorologicznego w Warszawie, który podobnie, jak analogiczne zakłady zagraniczne jest instytucją w tym względzie centralną dla Państwa Polskiego, a został założony i ostatecznie uruchomiony już w marcu 1919 r. Do zadań tego Instytutu należy m. i. uzupełnianie, organizowanie i prowadzenie sieci meteorologicznej polskiej na zasadach, ustalonych przez postanowienia międzynarodowe. Jednakowoż uzupełnianie

naszej sieci meteorologicznej oraz jej odbudowa ze szczątków powojennych nie odbywają się tak szybko, jakby to było pożądane. Przyczyny tutaj działające są w pierwszym rzędzie natury finansowej, gdyż w obecnych stosunkach znacznie większy niż dawniej % zakładanych stacji wymaga materialnej pomocy państwowej, a coraz mniejszy % obserwatorów zgadza się prowadzić spostrzeżenia bezpłatnie. Z drugiej strony zdarzenia takie, jak inwazja w r. 1920, cofnęły znacznie sprawę organizacji spostrzeżeń meteorologicznych na wielkiej przestrzeni. Bądź co bądź, koniec roku 1922 wykazuje w Polsce 578 meteorologicznych punktów obserwacyjnych różnych rzędów t. j. różnego zakresu działania, a ich rozmieszczenie również zazwyczaj zbliżać się do norm pożądanych.

W Tatrach i na Podhalu były czynne przed rokiem 1914 stacje meteorologiczne, prowadzone pod kierunkiem bądź to Sekcji Meteorologicznej Komisji Fizyograficznej Akademii Umiejętności, także b. Oddziału Hydrograficznego we Lwowie i Centralnego Zakładu Meteorologicznego Wiedeńskiego, bądź też staraniem i kosztem Towarzystwa Tatrzańskiego. Liczba tych punktów obserwacyjnych (przy uwzględnieniu Beskidów) dochodziła do 81, w czym na działalność Towarzystwa Tatrzańskiego wypada 21. Niestety nie wszystkie stacje i nie zawsze funkcjonowały regularnie.

Omawiana część kraju obejmuje teraz oczywiście sieć meteorologiczną, prowadzoną przez P. I. M. Liczba punktów obserwacyjnych, czynnych na omawianym terenie wynosi obecnie (początek marca 1923) 41, w czym na wyniesieniu do 500 m 24, a powyżej tej wysokości 17 stacji. Według zakresu działania ta liczba obejmuje: stacje I-go rzędu (pełne wraz z przyrządami samopiszącymi) 1, rzędu II-go (pełne, bez przyrządów samopiszących) 3, rzędu III-go (termometryczno-opadowe) 9, oraz rzędu IV-go (opadowe) 28.

W Tatrach powyżej 500 m. czynne są stacje następujące: Nowy Targ (III rz.), Maniowy (III rz.), Nowa Biała (IV rz.), Czorsztyn (IV rz.), Poronin (III rz.), Zakopane Towarzystwo Tatrzańskie (I rz.), Zakopane „Bratnia Pomoc” (III rz.), Zakopane „Odrodzenie” (IV rz.), Kościelisko (IV rz.), Zazadnia (IV rz.). Nadto są założone i niebawem zacząć funkcjonować stacje: Morskie Oko (III rz.), Hala Gąsienicowa (III rz.). Zamierzonym jest założenie w najbliższej przyszłości stacji w miejscowościach: Rajcza, Brenna, Rostoczny, Zakopane Sanatorium im. Dłuskich, Jaszczurówka.

Z omawianych punktów obserwacyjnych

stacja Zakopane — Towarzystwo Tatrzańskie, nadsyła do Instytutu w Warszawie telefonicznie codziennie wyniki spostrzeżeń, dokonywanych w porach specjalnych dla celów synoptycznych, oraz wyniki normalnej obserwacji porannej (godz. 7 r.) dla celów klimatologicznych (wydawanie codziennej mapy rozkładu opadów i temperatur w Polsce). Takie same dane dla tejże mapy klimatologicznej otrzymuje Instytut codziennie drogą telegraficzną od stacji: Nowy Sącz i Krynica.

Wreszcie wspomnieć trzeba o rozpoczętych w roku 1922 pomiarach opadów w okresie zimowym w punktach górskich, w czasie zimy trudno dostępnych. Do pomiarów tych użyte są na wzór takich samych pomiarów szwajcarskich śniegomiernie systemu Mougina, t. zw. „totalizatory”. Przyrządy te posiadają specjalne urządzenia, oparte na topieniu śniegu w zetknięciu z pewnymi substancjami, wprowadzanymi do śniegomiernia przed rozpoczęciem zbierania opadów. W ten sposób przyrządy takie umożliwiają zebranie i oznaczenie ilości tego opadu łącznie za cały okres zimowy bez konieczności robienia częściowych pomiarów w ciągu tego okresu.

Staraniem Państwowego Instytutu Meteorologicznego przy wydatnej pomocy materialnej ze strony Wydziału Hydrograficznego Ministerstwa Robót Publicznych a także przy udziale Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Tatrzańskiego zostały ustawione w jesieni roku ubiegłego takie śniegomiernie w następujących punktach: Dolina Małej Łąki (około 1000 m.), Hruby Regiel (około 1300 m.) i Uplaz (około 1700 m.). Nadto został ustawiony czwarty taki śniegomiernik na stacji Warszawa-Czeraniakowsko dla prowadzenia badań porównawczych.

K. Sz.

Stacja meteorologiczna w Zakopanem.

Meteorologiczna stacja w Zakopanem, mająca długoletnią tradycję i jak na bardzo skromne środki wcale poważne zasługi, natrafiła z początkiem 1922 r. na duże trudności z powodu wyjazdu sumiennego obserwatora Józefa Sokołowskiego. Po paromiesięcznej przerwie, szkodliwej dla naukowych badań, od maja zaczyna się ponownie regularne funkcjonowanie. Stanowisko obserwatora obejmuje wyznaczony przez Państw. Instytut Meteorologiczny Józef Federowicz, ówczesna zaś Komisja Klimatyczna zobowiązuje się do pokrycia miesięcznej płacy, podczas gdy Muzeum Tatrzańskie przechodzi z pomocą w postaci stałego pomieszkania dla obserwatora. Obecnie istniejąca Tymczasowa Komisja Uzdrawiskowa pod przewodnictwem dra J. Diehla udziela tak ważnej dla nauki i turystyki

sprawie walnego poparcia, dzięki czemu rozwój stacji znajduje się na właściwej drodze. Wyrazić należałoby życzenie, by jak najwięcej zarządów zdrojowisk i uzdrawisk, oraz różne organizacje samorządowe poszły za wzorem Zakopanego. W ciągu 1922 r. umieszczono w ogrodzie Tow. Tatrzańskiego nową klatkę angielską z nowymi instrumentami (cztery termometry i hygrometr włosowy), zremontowano dawną klatkę i zaopatrzono w termograf i hygrograf, wreszcie ustawiono deszczomierz Hellmanna i inne przyrządy. Po należytem rozmieszczeniu przyrządów rozpoczęto regularne obserwacje sześć razy dziennie, a to trzy klimatyczne i trzy synoptyczne. Wyniki spostrzeżeń podawano telefonicznie Państw. Instytutowi Meteorol. Opracowane miesięczne wykazy zwykłe i graficzne otrzymuje Państw. Instytut Meteorol., a od 1923 r. i Muzeum Tatrzańskie. Codzienne biuletyny ogłasza się na tablicy w Dworcu T. T. i w budynku Komisji Uzdrawiskowej. Ponadto rozszerzono sieć meteorologiczną przez założenie punktów obserwacyjnych w Zakopanem przy „Odrodzeniu” i „Bratniaku”, oraz na Hali Gąsienicowej i przy Morskiem Oku. Staraniem Państw. Instytutu Meteor., Oddziału Łódzkiego T. T. i Biura Hydrograficznego, ustawiono na Hrubym Reglu, Uplazie i w Małej Łące trzy śniegomiernie.

Z.

Dolna granica chmur w Tatrach. Na podstawie materiału obserwacyjnego zebranego w ciągu dziewięciu miesięcy (październik 1922 do czerwca 1923) w Zakopanem przygotowuje się w Instytucie Geograficznym Uniwersytetu J. K. we Lwowie studjum nad zasięgiem chmur w północnej panoramie Tatr. Bada się przeto przebieg dzienny i miesięczny zasięgu chmur w krajobrazie tatrzańskim, śledzi się wpływ ekspozycji, a więc zasięg chmur na wschodniej i zachodniej krawędzi, jakoteż w centrum masywu górskiego, a po poznaniu bliższem całokształtu tego zjawiska badać się będzie związek, jaki zachodzi między procesem falowania chmur w krajobrazie tatrzańskim a innymi czynnikami meteorologicznymi. W końcu poszukiwać się będzie związku między szeregiem zjawisk skonstatowanych w Tatrach a ogólną sytuacją atmosferyczną w Europie. Zarówno materiał obserwacyjny jak i zagadnienie, opracowywane na jego podstawie, są o ile dotychczas wiadomo, pierwszą próbą w tym rodzaju w zakresie klimatologii lokalnej.

A. Ch.

Socjologiczno-botaniczne badania w Tatrach. Roślinność jest podobnie jak ludzie skazana na współzycie ze sobą i dzięki temu

grupuje się w przyrodzie w pewnego rodzaju prymitywne społeczeństwa. W ostatnich latach przyrodnicy szwajcarscy i francuscy podjęli na terenie Alp szeroko zakrojone badania nad strukturą i organizacją tych społeczności. Badania te przyniosły już wiele interesujących wyników teoretycznych, a przytem dają widoki oświetlenia szeregu ważnych ogólnie biologicznych problemów.

W roku 1922 rozpoczęto poraz pierwszy na obszarze Karpat tego typu badania naukowe. Rozpoczęli je pracownicy Instytutu botanicznego Uniw. Jag. pod kierunkiem prof. W. Szafera w dolinie Chochołowskiej w Tatrach, zamierzając w przyszłości objąć nimi całe Tatry. Wyniki dwumiesięcznej pracy prowadzonej przez sierpień i wrzesień ubiegłego roku publikują się obecnie w Akademii Um. w Krakowie. Przyniosły już te krótkie studia wiele cennych materiałów porównawczych w stosunku do wyników uzyskanych przez szwajcarskich i francuskich botaników, i zainteresowały odnośnie koła naukowiec szwajcarskie, co się objawiło w zaproszeniu polskich geobotaników na Zjazd międzynarodowy poświęcony sprawom geografii roślin a mający odbyć się w lipcu 1923 r. w Szwajcarii.

Nadmienić wypada, że trudne te studia wymagające dużego fizycznego i materialnego wysiłku, wspierane były pieniężnie przez Ministerstwo Wyznań Rel. i Oświec.

POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE.

Wydział P. T. T. w Krakowie (centrala).

Z prac Polsk. Towarzystwa Tatrzańskiego, dokonanych w r. 1922 na pierwszym miejscu wymienić należy reorganizację Towarzystwa przez oparcie jego ustroju na nowych zasadach. W wykonaniu uchwały Walnego Zgromadzenia z r. 1921 zostało w ciągu roku sprawozdawczego doprowadzone do skutku dzieło uchwalenia nowego statutu. Bliższe szczegóły akcji reformy Towarzystwa, oraz zasady nowego statutu są obecnie omówione na innym miejscu tej książki, na czele tej Kroniki.

Wprowadzeniem w życie nowego ustroju P. T. T. jest zadaniem zwołanego na 22 kwietnia 1923 r. pierwszego Zjazdu Delegatów P. T. T., oraz wyłonionego przez Zjazd ten Zarządu Głównego Towarzystwa.

Drugim głównym zadaniem Wydziału P. T. T. były w roku sprawozdawczych roboty w Tatrach. Główną uwagę zwróciło Towarzystwo na schroniska znajdujące się w szczególnie opłakanym stanie. W schronisku przy Morskiem Oku przeprowadzono szereg adap-

Publ., a równocześnie korzystały z zasługującego na podkreślenie poparcia zarówno ze strony Sekcji Turystycznej T. T. jak Zarządu leśnego dóbr Zakopane. S.

Badania w dziedzinie etnografii muzycznej. Prof. Uniw. lwowskiego dr. Adolf Chybiński podaje: „Praca moja nad instrumentami muz. Podhala (w r. 1921/1922), drukuje się obecnie w Akademii Umiej. w Krakowie p. t. „Instrumenty muzyczne ludu polskiego na Podhalu“. (Opisałem i naukowo rozpatrzyłem ze stanowiska historii i etnografii 35 instrumentów strunowych i dętych). Zbiierałem melodie Podhala, korzystając też z fonograficznych zbiorów kustosa Juliusza Zborowskiego i zbiorów etnograficznych w Muzeum etnograficznym na Wawelu. Zebrałem dotąd niespełna 1000 melodji wraz z wariantami. Uwzględniłem: Zakopane, Poronin, Kościeliska, Białe Dunajce, Zausuche, Murzasichle, Nowy Targ, Ludzimierz, Marchwiana Góra, i t. d. Zamierzam wydać obszerny zbiór melodji jako uzupełnienie zbiorów Kolberga; nadto wraz z p. Stan. Mierczyńskim z Warszawy kilkadziesiąt utworów (granych przez kapelę B. Obrochty) w oryginalnym nie zmienionym układzie. Nadto ukończyłem pracę p. t. „Tonalne cechy melodji podhalańskiej“. Zamierzam obecnie uzupełnić swój zbiór melodjami z okolic Chochołowa, Witowa i Działniska“.

tacji, przebudowano rurociąg wodociągowy, wybudowano lodownię i szopę na łądzie i sprawiono 2 aparaty do gaszenia ognia. W schronisku w Roztoce dokonano szeregu napraw i wykonano nową ścieżkę do schroniska wprost do drogi do Morskiego Oka, skracając tem samym dostęp od strony Morskiego Oka. Tak samo naprawiono schroniska w Pięciu Stawach Polskich i na Hali Gąsienicowej. Ze względu na nader niedostateczną ilość zniszczonego przez wojnę i systematycznie rozkradanego przy licznych włamaniach inwentarza schroniskowego, zaopatrzone w ubiegłym roku wszystkie schroniska w koce, sienniki, przeciwradła i krzesła. Poza temi robotami dokonywanemi kosztem Wydziału głównego P. T. T., dokonała Sekcja Narciarska P. T. T. napraw i przygotowań na zimę schronisk w Roztoce, przy Pięciu Stawach Polskich, na Hali Pysznej i w dolinie Starorobociańskiej. Wreszcie stanieniem tej Sekcji wyznaczono czerwoną farbą szlak zimowy od Wodogrzmotów Mickiewicza przez dol. Roztoki do granicy lasu. Wydział P. T. T.

poświęcił dalej kwotę przeszło 2½ miliona Mk na urządzenie domu noclegowego w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem o 25 łózkach dla członków P. T. T. Na remont ścieżek rozporządzało Towarzystwo nader szczerpeli środkami, ponadto pracom tym przeszkadzała fatalna niepogoda. Wykonano tylko następujące roboty: 1) W szlakach wysokogórskich zremontowano nienaprawione poprzednio części szlaku na Zawrań, Czarny Staw, Granat Przedni, nadto rozmieszczono i zremontowano ścieżki Hala Gąsienicowa-Krzyżne do żlebu Pańszczycy kosztem 290.000 Mk z funduszków Oddziału Warszawskiego; 2) w szlakach reglowych przeprowadzono naprawę dalszej części ścieżki nad reglami od doliny Strążyńskiej na Przełęcz Czerwoną. Roboty powyższe wykonywano we własnym zarządzie przez przewodników Jędrzeja Marusarza, Jakóba Wawrytkę, Józefa Tatara i Stanisława Obrochotę. Poza członkami Komisji dla robót w Tatrach z prof. Dr. Walerym Goetlem na czele, współdziałał w tych robotach intensywnie kap. W. Ziętkiewicz. Sprawami przewodnictwa kierował prezes Sekcji turystycznej Dr. M. Świerż.

Z naciskiem należy tutaj zaznaczyć, iż z roku na rok powtarzają się wandalistyczne zniszczenia schronisk P. T. T. w Tatrach. Włamań, grabieży i zniszczenia dopuszcza się częścią ludność miejscowa, częścią bandy pseudoturystów włóczące się po górach. Schwytanie jednak sprawców jest niemal niemożliwe. Naprawianie szkód jest beznadziejnym przelewowaniem z pustego w próżne, rujnującem Towarzystwo. Z tego powodu Towarzystwo uważa za niezbędne wzmocnienie straży górskiej i zwrócenie się z apelem do wszystkich członków P. T. T. i turystów, aby w razie zauważenia tego rodzaju uszkodzeń, natychmiast donosili o tem Towarzystwu, podając nazwiska sprawców. Koniecznym też jest poparcie w zwalczaniu tego wandalizmu ze strony władz administracyjnych, policyjnych i sądowych, duchowieństwa i prasy. Poza tem Towarzystwo będzie się starało zamienić zwolna schroniska na murowane i okratowane i utrzymywać w nich dzierżawców przez cały rok, w schroniskach zaś niezagospodarowanych znaczyć w sposób widoczny i niezniszczalny części budynku i inwentarza.

Koszta ogólne napraw i inwestycji w schroniskach tatrzańskich wyniosły w r. u. 2,591.780 Mk wydanych przez Wydział Główny oraz 1,676.000 Mk wydanych przez Sekcję Narciarską P. T. T., razem 4,267.780 Mk przy ogólnej kwocie 4,601.780 Mk wydanej w ogóle przez Centralę i Oddziały na roboty w Ta-

trach, ogólny zaś dochód z dzierżawy tych schronisk wyniósł 1,175.000 Mk. A więc kwota, którą sama centrala Towarzystwa dołożyła do schronisk wynosi 416.718 Mk, do czego dodać należy wydatki Sekcji Narciarskiej P. T. T. w kwocie 1,676.000 Mk (w małej tylko części zwrócone z noclegów zimowych), wydatki na asekurację w kwocie 448.339 Mk i koszta zużycia inwentarza w kwocie około 2 miliony Mk, czyli ogółem wyłożyło P. T. T. w 1922 r. na utrzymanie schronisk ponad 5 milionów Mk. Mimo tej absurdalnej dysproporcji między dochodami ze schronisk a rozchodami niewykonano żadnych większych inwestycji w schroniskach, ograniczając się do robót niezbędnych. Okazuje się z tego, że opłaty noclegowe były za niskie i że w przyszłości będą musiały być dostosowane do kosztów utrzymania schronisk. Ponadto Towarzystwo będzie się starało osiągnąć znacznie większe dochody od dzierżawców schronisk przez unormowanie czynszu według stałego miernika, aby uniknąć strat spowodowanych dewaluacją kwoty czynszowej.

Pierwszą próbą w tym kierunku jest wdzierżawienie schroniska przy Morskiem Oku p. Teofilowi Janikowskiemu za czynszem ustalonym według pewnego procentu od obrotu. P. Janikowski przystąpił do gospodarki w schronisku przy Morskiem Oku z całym zapałem i zamiłowaniem. Przez całą zimę schronisko było otwarte i mimo trudnych warunków prowadzone wzorowo.

Towarzystwo obejmuje następujące Oddziały: Oddział warszawski w Warszawie (ul. Foksal 1. 18); Oddział lwowski (adres do rąk prezesa Dr. Adolfa Chybińskiego we Lwowie ul. Kalcza 1. 20); Oddział poznański (na ręce sekr. inż. Stanisława Dębickiego ul. Śniadeckich 1. 6a); Oddział łódzki (do rąk wicepr. inż. Wacława Koralewskiego w Łodzi ul. Piromowicza 5); Oddział czarnohorski (na ręce prezesa p. Hoffbauera w Kołomyży ul. Grottera 1. 9); Oddział Beskid w Cieszynie (do rąk Dr. J. Galicza); Oddział Beskidu w Żywcu (do rąk sekr. p. Jakóba Uhla w Nowym Sączu sąd okręgowy); Oddział babiogórski w Nowym Sączu (do rąk przewodniczącego inżyniera Mączynskiego w Żywcu); Oddział Gorce w Nowym Targu (do rąk prezesa Z. Wasiewicza). Ponadto powstają nowe oddziały w Krakowie, Zakopanem i Kielcach.

Nie można pominąć udziału Towarzystwa w akcji plebiscytowej na Spiszu i Orawie. Jeszcze ubiegłej zimy udała się deputacja Towarzystwa do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i innych miarodajnych czynników rządowych z przedstawieniem konieczności jaknajrychlejszego uregulowania sprawy Ja-

worzyny przez przyłączenie całego terytorjum do Polski.

W końcu wspomnieć należy o kilku wydarzeniach z ubiegłego okresu. Dr. Dłuska oświadczyła gotowość zbudowania hali turystycznej (w Roztoce?) celem uczczenia pamięci swej córki śp. Heleny. Oddział warszawski P. T. T. obiecał dostarczyć nowy budynek noclegowy w miejsce starego schroniska przy Morskim Oku. W ubiegłym roku bawiła w Tatrach ekspedycja naukowa pod przewodnictwem prof. Dr. Szafera, której odstąpiono do użytku schronisko w dolinie Starorobociańskiej. Węgierskie Towarzystwo Karpackie obchodziło w u. r. 50-letni jubileusz swego istnienia, w którym jako delegaci P. T. T. wzięli udział pp. dr. Świerz i dr. Diehl.

Oddział Babiogórski w Żywcu założony został dnia 14 maja 1905 roku.

Twórcą i organizatorem Oddziału był Dr. Hugo Zapałowicz któremu też zawdzięczać należy zbudowanie schroniska na Babiej Górze. Oddz. Babiogórski założony celem rozbudzenia ruchu turystycznego i odniemczenia tutejszych gór opianowanych dotąd prawie wyłącznie przez Sekcję Bielsko-Bialską niemieckiego Związku Beskidowego po chwilowym zastoju w okresie wojny dla braku środków finansowych rozpoczął w roku 1922 ruchliwszą działalność, która zaznaczyła się dobudowaniem w r. 1922 dużej sali w szczupłym dotąd schronisku na Babiej Górze, jak również zakupem potrzebnych koców i bielizny. Urządzone wspólne wycieczki nie wykazują tej frekwencji na którą piękność okolicy Żywca i Babiej góry zasługują.

Natomiast w ostatnich dwóch latach wzrosła się znacznie liczba turystów z dalszych okolic Polski.

Wkładka roczna członków 8 marca b. r. wyniosła M. 12.000. Zmiana statutu P. T. T. wpłynęła niezawodnie na rozwój Oddziału, który ma szerokie i wdzięczne zadanie przed sobą do spełnienia.

Inż. Mączyński, prezes.

Oddział „Beskid“ w Cieszynie. Prezesem Oddziału był w r. 1922 zastępcami dr. poseł J. Londzin, wiceprezami Dr. J. Galicz i Dr. Rostek, skarbnikiem K. Buzek, sekretarzem J. Cieñciała. Członków liczyło Towarzystwo 545, Wydział odbył 6 posiedzeń. Działalność Oddziału obracała się w tym roku jak i w poprzednich latach około zbierania funduszków na wykończenie schroniska na Stożku, na granicy polsko-czeskiej i około wzmoczenia ruchu turystycznego. Wydziałowi udało się uzyskać subwencję z Ministerstwa N. R.

i O. P. w kwocie miliona Mk i pół miliona z Wydziału Skarbowego w Katowicach, po-
zatem otrzymał Wydział „Kresów“ w Cieszynie dla schroniska 30 sztuk mebli wiklinowych z fabryki Mundus w Jasienicy, 4 stoły i 52 krzesel giętych, 2 łózka i szafkę nocną. Schronisko, którego 1 piętro już było w ziemie gotowe, otwarto z wiosną 1922, poświęcono 9 lipca przy udziale przeszło 4000 osób. Schronisko odwiedziło w ciągu roku 7103 turystów (wpisanych do księgi gości.)

Pod względem majątkowym stan Oddziału jest następujący: Dochody w r. 1922 wynosiły

4,707.780 Mk	12.559 Kč
Rozchody	3,886.893 Mk
	12.372 Kč
Nadwyżka dochodu	820.887 Mk
	187 Kč

Bilans majątkowy z końcem r. 1922.

Stan czynny	11,541.568 Mk	191,512.37 Kč
„ bierny	741.100 Mk	25.277.50 Kč
Majątek	10,800.468 Mk	166.234.87 Kč

Majątek Oddziału zwiększył się w r. 1922 o 8,960.607 Mk, zmniejszył o 1.600 Kč przez odstąpienie polskiemu Beskidowi w Czechosłowacji parceli na Ropiczce, Jaworowym i Czautorji.

Mimo tak świetnej gospodarki pieniężnej, Beskid ma jeszcze dużo do robienia, aby schronisko zupełnie ukończyć. Pomijając jeszcze dług u budowniczego wynoszący 23.000 Kč, należy jeszcze oszkiłki werandy na drugim piętrze schroniska na Stożku, obić deskami ściany zewnątrz i wewnątrz, otoczyć całą parcelę płotem, ocebrować studnię, zakupić łózka i kołdry do pokoi noclegowych. To jednakże Towarzystwa nie odstraszy, ponieważ przy poparciu społeczeństwa i władz da się wszystko wykonać.

Co do prac na przyszłość, to planowane jest wydanie przewodnika po Śląsku Cieszyńskim i wybudowanie mniejszego schroniska na Błotni w Jaroszu koło Bielska.

Aby ułatwić i wzmoczyć ruch turystyczny Wydział wyrabiał u czeskich władz politycznych przepustki ułatwiające zwiedzanie polskich okolic Czeskiego Śląska. Ze spraw organizacyjnych należy wspomnieć o utworzeniu się polskiego Beskidu na Czeskim Śląsku Cieszyńskim.

Dr. Jan Galicz wprez., J. Cieñciała sekr.

Oddział Czarnohorski w Kołomyi. Oddział założony był 18 lutego 1878 r. Założycielem był śp. Leopold Weigel były profesor Gimnazjum w Kołomyi. Zakres działania Oddziału obejmuje Czarnohorę i sąsiednie pasma górskie we Wschodnich Karpatach. Wysokość wkładki członkowskiej Oddziału z końcem marca 1923 r. ustanowioną została

na 2.000 Mk. Przez utrzymanie domu turystycznego (dworek) w Worochcie ułatwia się turystom wycieczki w sąsiednie góry i na Czarnohorę. Naprawiono ścieżkę na górę Rebrowach w Worochcie, i ścieżkę na górę Chomiak z Tatarowa i od potoka Zeńca. Reorganizację P. T. T. w duchu federalistycznym przyjęto a Zarząd urzęduje już wedle nowego statutu dla Oddziałów miejscowych.

Henryk Hoffbauer prez.; czł. hon. P. T. T.

Oddział „Gorce“ (Nowotarski). Oddział założony został w r. 1920 z inicjatywy prof. Kazimierza Sosnowskiego z Krakowa. Założycielami Oddziału byli: Dr. Ignacy Dziedzic, Dr. Zygmunt Wasiewicz, Juliusz Zborowski, Dr. Zygmunt Mieszkowski, Eugeniusz Gołębski, Franciszek Dworski, Michał Mroszczak, Karol Ptaś. Działalność Oddziału skierowana jest głównie na Gorce. Tu urządził Oddział częste wycieczki, w lecie i w zimie. Wspaniałe tereny narciarские, jakich mało w Polsce, ściągają do Gorców licznych narciarzy miejscowych i zamiejscowych. By ruchowi turystycznemu dać trwałe podstawy postanowił Oddział zbudować pod Turbaczem dobrze zaopatrzone na zimę schronisko o dwóch izbach i kuchni. Plany są gotowe. Grunt na polanie Waksmundkiej darowała Oddziałowi gmina Waksmund. Rada miasta Nowego Targu uchwaliła pokryć z funduszków miejskich kosztą materiału drzewnego, potrzebnego na schronisko. W r. 1921 zaczął już Oddział zwozić kamienie pod budowę. Ponieważ jednak zawiody nas źródła dochodów, które miały pokryć, przynajmniej w części kosztą budowy, budowę na razie wstrzymaaliśmy. Będziemy ją kontynuować, gdy tylko zbierzemy odpowiednie fundusze.

Z. Wasiewicz prezes, M. Mroszczak sekr.

Oddział lwowski. W drugim roku istnienia Oddziału lwowskiego (1922) zarząd jego stanowili pp.: dr. Roman Kordys przewodniczący, prof. Adam Lenkiewicz zastępca przew., inż. Stefan Mierzejewski, sekretarz, Stanisław Czołowski skarbnik, oraz 7 członków zarządu.

Rok 1922 był dla Oddziału lwowskiego i nadal okresem przejściowym, wywołanym nieukończoną jeszcze reorganizacją P. T. T. Istnieli nadal delegaci Wydziału krakowskiego P. T. T., zjednujący członków wprost dla centrali. Ten stan przejściowy zbliża się jednak ku końcowi, w związku z uchwaloną na Nadzw. Walnem Zgromadzeniu P. T. T. z 10 grudnia 1922 zmianą statutu Tow. Tatrzańskiego.

W przygotowaniu nowego statutu towa-

rzystwa brał Oddział lwowski żywy udział, podobnie jak w r. poprzednim. Z ramienia oddziału wchodził w skład komisji statutowej P. T. T. dr. Kordys, który był też współautorem nowego statutu. Zarząd Oddziału przez osobną komisję złożoną obok dr. Kordysa z pp. prof. dr. Pawlikowskiego i dr. Tomaszewskiego, dwukrotnie poddał rewizji projekty statutów i zaproponował szereg poprawek i uzupełnień. Odnośne wnioski Oddziału lwowskiego zostały następnie prawie bez wyjątku przyjęte przez Komisję statutową i Nadzw. Walne Zgromadzenie.

W r. 1922 należało do Oddziału lwowskiego i wpłaciło wkładki 134 członków zwyczajnych (w tem 34 akademików). Przyrost członków wynosi 13. Ponadto należało do Oddziału 32 uczniów i uchenic szkół średnich w charakterze uczestników (w r. 1921 było 51 uczestników).

Członkowie oddziału podejmowali liczne wycieczki tak w Tatry, jak i Karpaty wschodnie. Zbiorowych wycieczek było w roku sprawozdawczym 6. Były one skierowane do skał w Bubniskach, na Kindrat, na Paraszkę, do Mallmanstalu i na Czarną Górę, w Gorgany i na Bahnę koło Libuchowy. Uczestniczyło w wycieczkach od 5 do 55 osób. Referat turystyczny spoczywał w ręku wiceprezesa oddziału, prof. Lenkiewicza.

Działalność odczytowa Oddziału była w roku sprawozdawczym słabsza niż poprzednio. Oprócz ogólnego zgromadzenia Oddziału odbyły się trzy zebrania odczytowe. Mówili na nich: inż. A. Czeżowski na temat „W górach Azji centralnej“, dr. R. Kordys „Moja pierwsza wycieczka zimowa“, tenże „Wycieczki w Dolomitach“. Wszystkie odczyty ilustrowane były bogato obrazami świetlnymi.

Dla celów odczytowych nabył Oddział (na spółkę z Karp. Tow. Narciarzy) lampę projekcyjną 1000-świecową.

Działalność wydawnicza Oddziału skierowana była przede wszystkim na doprowadzenie do skutku periodycznej publikacji rocznej p. t. „Wierchy“. Referat tej sprawy i zorganizowanie wydawnictwa poruczono członkowi Wydziału prof. J. G. Pawlikowskiemu.

Abym ułatwić turystom zwiedzanie najpiękniejszej części Karpat wschodnich — Gorganów — postanowił Oddział wydać mapę turystyczną Gorganów w podziałce: 1:50.000, uwzględniającą wszystkie ścieżki i szlaki turystyczne, jakoteż wprowadzającą właściwą nomenklaturę tych gór. Przygotowania tego wielkiego dzieła podjął się wiceprezes Oddziału, prof. Lenkiewicz, który już przeprowadził znaczną część studiów w terenie.

Wydanie mapy nastąpi nakładem spółki kartograficznej „Atlas“.

Ponadto nabył Oddział najbardziej przez turystów poszukiwane sekcje mapy sztabowej 1:75.000, celem rozsprzedaży między członków po niższej cenie.

Nie mogąc na razie z powodu ograniczonych środków przystąpić do budowy własnego schroniska wzgl. domu wycieczkowego w Gorganach, przeznaczył Oddział w roku sprawozdawczym Iwιά część owych dochodów na budowy schroniska Karp. Tow. Narciarzy w Sławsku. W zamian uzyskaliśmy dla wszystkich członków P. T. T. prawo korzystania ze schroniska w czasie od 15 kwietnia do 31 października każdego roku na warunkach ulgowych, przysługujących członkom K. T. N. Schronisko jest znakomitym punktem wyjściowym dla wycieczek letnich w Bieszczady.

Oddział lwowski zajmował się w dalszym ciągu żywo sprawą Jaworzyny. W skład polskiej Komisji Jaworzyńskiej przy Min. Spraw Zagranicznych w Warszawie wszedł w charakterze sekretarza, przewodniczący oddziału, Dr. Kordys.

Celem uzyskania należytych połączeń kolejowych Lwowa z Karpatami przedłożył Oddział dwukrotnie władzom kolejowym należycie motywowane wnioski. Większa część naszych postulatów została w nowym rozkładzie pociągów uwzględniona.

Z Wydziałem P. T. T. w Krakowie, jakoteż z Oddziałami P. T. T. w Warszawie, Poznaniu i Oddziałem Czarnohorskim łączyły nas bliskie stosunki. Ponadto współpracowaliśmy na wielu polach z Karp. Tow. Narciarzy we Lwowie.

Sprawozdanie kasowe Oddziału wykazuje w przychodach Mk 163.171, w wydatkach Mk 152.600. Pozostałość kasowa wynosi Mk 10.571.

Na Walnem Zebraniu odbytem w kwietniu 1923, uchwalono statut Oddziału, przystosowany do nowego ustroju P. T. T. Prezesem obrano prof. dr. Alfreda Chybińskiego.

Dr. R. Kordys prez., St. Mierzejewski sekr.

Oddział poznański. Historia tutejszego Oddziału jest następująca: Z inicjatywy dr. M. Orłowicza delegata P. T. T. utworzył się dnia 31/I 1921 Komitet organizacyjny mający na celu zawiązanie Oddz. P. T. P. w Poznaniu. Dnia 1/III tegoż roku odbyło się walne zebranie pod przewodnictwem J. M. rektora Uniwersytetu Dr. Święcickiego, na którym ukonstytuował się Zarząd Oddziału w następującym składzie: prezes Kurator okręgu szkolnego Dr. Bernard Chrzanowski, wicepr.

prof. Uniwersytetu Dr. Antoni Jakubski, sekretarz ks. Stanisław Janicki, skarbnik Dr. Tadeusz Smoluchowski, bibliotekarka drowa Rozmiarkowa oraz czterech członków. W dniu 31/XII 1921 liczba członków wynosiła 112, obecnie wynosi 154. Przed utworzeniem Oddz. poznańskiego działali na terenie Wielkopolski delegaci P. T. T. mianowicie: p. Marian Niemierkiewicz (Poznań-miasto), p. F. Chełkowska (powiat Koźmiński), która w b. r. obchodzi 50-lecie swej pracy w P. T. T. i ks. prob. Mann (powiat Jarocińsko-Pleszewski). Z warunków miejscowych wynikało, że zainteresowanie Tatrami w okresie poprzedzającym odrodzenie Polski nie mogło się zbyt rozpowszechnić, z tego też powodu głównym zadaniem Oddziału było i jest jeszcze zaznajamianie społeczeństwa z ogólnymi celami P. T. T. i propaganda zwłaszcza wśród młodzieży, która z istoty rzeczy jest podatniejsza, jakkolwiek na razie nie może jeszcze występować w charakterze czynnych członków P. T. T. W tym celu urządzano publiczne odczyty, ilustrowane przeźroczami (w r. 1922: dr. Smoluchowski „Piękno Tatr“, prof. Papée „Legenda Tatr“, Dr. Smoluchowski „4 tygodnie pod namiotem w Tatrach“, Dr. Klemensiewicz „O Alpach francuskich“, Ira Klinzanka i M. Szczaniecka „Wycieczka zimowa w Tatrach“, prof. Dedio „O Jaworzynie“, wicemarszałek Sejmu. Osiecki „Spór o Jaworzynę“, Dr. Smoluchowski „Tegoroczny sezon w Tatrach“, w r. 1923: prof. Jakubski „Wyprawa na Kilimandżaro“, Dr. Dobrzycki „Tatry w literaturze polskiej“, prof. Wodzieczko „Flora tatrzańska“, prof. Gosieniecki „Sztuka podhalańska“), oraz pogadanki dla młodzieży, urządzane w szkołach średnich przez profesorów będących członkami tutejszego Oddziału P. T. T. W ubiegłym sezonie (1922) odbyło się 6 wycieczek w Tatry, z tego 3 wycieczki młodzieży szkół średnich prowadzonych przez prof. Kilarskiego, Dedio i ks. Janickiego, 2 wycieczki nauczycielskie prowadzili insp. Mroczkowski i ks. Janicki, oraz wycieczka członków P. T. T. prowadzona przez Dr. Smoluchowskiego. W bieżącym sezonie ilość wycieczek będzie prawdopodobnie większa. Wszczęto już również czynności przygotowawcze do prac jakie mają być podjęte na odcinku Tatr powierzonym tutejszemu Oddziałowi P. T. T. Celem zaznajomienia tutejszego społeczeństwa z Tatrami postanowił też obecny Zarząd zająć się wydawnictwem związków i popularnych dzieł traktujących o Tatrach. Na razie Oddział tutejszy rozwija się w warunkach dość trudnych, gdyż dawni członkowie ze sfer ziemiańskich pojmowali swą rolę w charakterze członków wspierających,

natomiast bezpośrednie i czynne zainteresowanie się społeczeństwa Tatrami było ze zrozumiałych powodów słabe. Z tego też powodu celem Oddziału poznańskiego jest przede wszystkim rozbudzenie tego zainteresowania. Stanowisko Oddz. wobec reformy ustroju P. T. T. było zyczeniowe w tem przeświadczeniu, że autonomia poszczególnych Oddziałów przyczyni się do ich dzielniejszej i wydatniejszej pracy.

B. Chrzanowski, prez., Dębicki sekr.

Oddział warszawski P. T. T. w r. 1922.

W czwartym roku istnienia Oddziału Warszawskiego P. T. T. zarząd jego stanowili pp.: przewodniczący: Stanisław Osiecki, zastępca przewodn. Konrad Wernik, sekretarz Jan Jaroszyński, skarbnik Stefan Makarezyk, oraz ośmiu członków.

Liczba członków zwyczajnych Oddziału wynosiła w dniu 31 grudnia 1922 r. 1110, w liczbie tej było 36 członków dożywotnich. Wkładki opłaciło 622 członków.

W okresie sprawozdawczym odbyło się 9 zebrań, z których jedno ogólne roczne w dniu 1 marca i 8 zwykłych miesięcznych z odczytami, treść których stanowiły: Zygmunt Klemensiewicz: „Wycieczka w Alpy Delfinatu“, Stanisław Osiecki: „Wycieczki narciarskie z Hali Gąsienicowej i wycieczka do Sławska“, i Jarosław Chełmiński „Sprawozdanie z zawodów narciarskich w Tatrach“, Roman Kordys „Wycieczki we Wschodnie Karpaty“, Mieczysław Orłowicz: „Wycieczki w Beskidy Zachodnie (od Śląska po Krynicę), Stefan Makarezyk: „Sprawozdanie z postępu robót przy budowie schroniska na Hali Gąsienicowej“, Mieczysław Orłowicz: „Wycieczki po słowackiej stronie Tatr“, dr. Tadeusz Jaroszyński: „Z psychologii i higieny taternictwa“, Stanisław Osiecki: „Wycieczki w ubiegłym sezonie letnim“, ppułk. Aleksander Bobkowski: „Sport narciarski u nas i zagranicą“.

Wszystkie odczyty ilustrowane były przezręczami, nadto demonstrowane były filmy kinematograficzne z zawodów narciarskich w Zakopanem, oraz z mistrzowskiej jazdy narciarzy w Szwajcarii. Frekwencja zebrań była liczna.

Majątek Oddziału w Warszawie stanowiły przezrocza, których liczba powiększyła się o 192 nowych przezroczy i w końcu roku stanowiła ogółem 1358 przezroczy (w tem 961 tatrzańskich, 146 karpaccich i 251 alpejskich). Liczba negatywów fotograficznych powiększyła się do 230. Do zbioru fotografii przybyło 26 zdjęć ze Szczawnicy i Pienin, ofiarowanych Oddziałowi przez Zarząd Za-

kładu Zdrojowego w Szczawnicy. Księgozbiór Oddziału powiększył się do 70 książek i map. Poza tem Oddział pozyskał w darze mapę plastyczną Tatr.

Majątek Oddziału warszawskiego w Tatrach stanowią budowle na Hali Gąsienicowej dla schroniska wraz z materiałami budowlanymi, pomocniczymi oraz narzędziami.

W reorganizacji Polsk. Tow. Tatrzańskiego brał Oddział czynny udział i przez delegata swego dr. M. Orłowicza przyczynił się w dużej mierze do sfinalizowania tej długotrwałej, mozolnej, a tak koniecznej pracy.

W roku sprawozdawczym wypożyczono z przezroczarni Oddziału 430 przezroczy dla odczytów o Tatrach, Karpatach, dla odczytów i wiecew w sprawie Jaworzyny. Poza Warszawą z przezroczy Oddziału korzystały: Wilno, Radom, Kielce, Poznań, Łódź i Cieszyn. Propaganda Oddziału miała również na celu kierowanie ruchu turystycznego także i w inne części Karpat: Beskid Śląski, Pieniny, oraz Karpaty Wschodnie. Inicjowano w te strony wycieczki, które odbyły się w początku lata. I należy stwierdzić, że ruch turystyczny górski z Warszawy począł rozszerzać się coraz bardziej poza Tatry co uważać należy za objaw bardzo pożądanym. Zarząd Oddziału prowadził w dalszym ciągu w rozszerzonym zakresie sprzedaż przewodników, map i wogóle wydawnictw mających styczność z Tatrami i Karpatami na warunkach przystępnych dla członków. Powodzenie tej sprzedaży było znaczne i dowodzi konieczności wydawania periodycznego czasopisma tatrzańskiego.

Oddział Warszawski wszczął starania w Min. Robót Publicznych i Min. Kolei Żelaznych w celu uzyskania dogodniejszych połączeń kolejowych z Karpatami i Beskidami Śląskiem.

Zarząd Oddziału starał się również zaopatrywać członków w niektóre przybory turystyczne, jak gwoździe do butów, ubrania nieprzemakalne, plecaki.

Oddział warszawski w dalszym ciągu opiekował się konserwacją ścieżek na terenie Tatr sobie przyznanym. Uporządkowano i naprawiono ścieżki do Czarnego Stawu, Zmarłego Stawu, na Zawrat i na Granaty. Całkowity jednak program robót tych na sezon ubiegły nie był wykonany skutkiem niedomagań organizacyjnych w Komisji robót w Tatrach, która, jak i w poprzednim sezonie wykonała powierzone jej przez Oddział roboty ze znacznym opóźnieniem, gdy sama przez Oddział przekazana uległa zdewaluowaniu.

Główne wysiłki w swej działalności zeszlórocznej Oddział skupił na budowie schroniska na Hali Gąsienicowej. Dzięki ulep-

szonej organizacji na miejscu budowy i transportów mury schroniska, ledwo wznoszące się w początku sezonu budowlanego nad poziom terenu zostały przed zimą doprowadzone do dachu. Stało się to głównie dzięki współdziałaniu i ofiarności osób sympatyzujących z tą sprawą i niezmiordowanej pracy kierownictwa budowy na miejscu. Znacznie jak na środki Oddziału fundusze, pochłonięte przez budowę, tylko w małej części pokrywają ogromne wartości pracy i materiału, dotąd w tę budowę włożonych. Pomoc finansowa ze strony członków przez udziały okazała się mało wydatną. W celu zapewnienia sobie większych funduszy Zarząd Oddziału zaciągnął pożyczkę długoterminową w Pocztowej Kasie Oszczędności w wysokości 15 milionów mk. Poza to większe zasiłki dały: urządzone na cel schroniska „bał tatrzański“ i uchwalone przez Komisję Uzdrawiskową w Zakopanem odsetki od taksy klimatycznej. Oprócz tego zorganizowano akcję odczytową wśród polonji amerykańskiej. Ogólna wartość pracy, materiału i kapitału, włożonych w budowę schroniska po dzień 21 grudnia 1922 wynosi co najmniej 20.000 dolarów, wartość prac pomocniczych przy budowie drogi, baraków, założeniu telefonu, kolejki itp. co najmniej 10.000 dolarów. Dla wykończenia schroniska i umebłowania go potrzeba jeszcze około 20.000 dolarów.

Nie ograniczając swej akcji budowy schroniska w górach do Hali Gąsienicowej Oddział warszawski Tow. Tatrzańskiego zaprojektował łącznie z Wydziałem T. T. budowę domu schroniskowego przy Morskiem Oku na 200 łózek, wobec tego że schronisko istniejące potrzebom obecnym wystarczyć nie jest w stanie. W tym celu za środki Oddziału został zamówiony w jednym z większych zakładów drzewnych gotowy dom schroniskowy, który z wiosną będzie przewieziony na miejsce. Złożenie i urządzenie wewnętrzne zostanie dokonane przez Wydział T. T.

Poza Tatrami Oddział starał się współdziałać w odbudowie schroniska w Śtawsku. W tym celu została zesłana zimowa oddziałona przez Oddział subwencja Karpackiemu Tow. Narciarzy we Lwowie. Na tą zaś zimę Oddział udzielił temu Towarzystwu krótkoterminowej pożyczki na urządzenie wewnętrzne schroniska.

Oddział warszawski starał się utrzymywać z innymi Oddziałami T. T. możliwie żywy kontakt i prowadził z nimi wymianę poglądów i pertraktacje co do reorganizacji Towarzystwa, projektu znakowania ścieżek itp. spraw związanych z rozwojem Towarzystwa.

Sprawozdanie kasowe Oddziału wykazuje w aktywach i passywach mk 28,354.394. Normalne dochody Oddziału wynosiły mk 1,822.402/30. Pozostałość kas. mk 1,256.721.

Sekcja turystyczna P. T. T. W ubiegłym okresie rocznym Sekcja turystyczna P. T. T. wykazała dużą ruchliwość, podtrzymując ustaloną oddawna tradycję bardzo ważnego czynnika w taternictwie. Mimo mizernych warunków atmosferycznych, jakie stworzyło słotne lato, zorganizowano kilkanaście wycieczek dla przyjezdnych pod przewodnictwem przewodników-górali, oraz wycieczki klubowe. Ruch turystyczny był duży, członkowie Sekcji wykonali szereg trudnych wypraw oraz kilka nowych rozwiązań wysokogórskich problemów. Na pierwszy plan wysuwa się tu po raz pierwszy dokonane wyjście od północnej strony na przełęcz między Śnieżnym Szczytem a punktem 2507 m. w grani Lodowego (M. Świerz i Ferenc), oraz przejście północnej ściany Zabiej Turni Mieguszowieckiej (J. Zembatowa, ks. J. Humpola i M. Świerz). Obie wyprawy należą do najtrudniejszych przejść w Tatrach, w których i teraz polskie taternictwo rej. wodzi. Utrzymywano żywą łączność z oddziałami P. T. T. i Sekcjami, z ostatnimi przez udział delegata w Komisji Międzysekcyjnej, — oraz z krajowami i zagranicznymi Towarzystwami turystycznymi. Żyły i serdeczne stosunki łączą Sekcję ze spiskiem tow-em. „Karpathen-Verein“. Wydano rocznik „Taternika“, którego treść rozszerzono, uwzględniając w kronice działalność także innych Sekcji, i Oddziałów. Poziom wydawnictwa utrzymała się na dawnej wysokości, odpadła dla braku funduszy tak piękna angijska część ilustracyjna. W numerze budapeszteńskiego czasopisma „Turistaság“, poświęconym Tatrom polskim współdziałano przez dostarczenie informacji i artykułów. Z.

Taternika, organu Sekcji turystycznej P. T. T. wyszedł za rok 1922 (rok dziewiąty istnienia) numer 3 i 4 (podwójny), z datą 31 grudnia ale ze znacznym opóźnieniem z powodu strajku drukarskiego. Zeszyt ten oprócz stałego sprawozdania o sprawach Sekcji i o „Nowych drogach“ w Tatrach, zawiera między innymi obszerny artykuł dr. Świerza, o (niegdyś „węgierskim“) Towarzystwie Karpackiem z powodu jego 50-letniego jubileuszu, — wspomnienie o śp. Helenie Dłuskiej przez F. Goetla, — tudzież uwagi p. Z. Pręgoskiego o podziale Tatr między Oddziały P. T. T. W tej samej sprawie pisał był już dr. Świerz w poprzednim ze-

szycie Tatarnika. Obaj autorowie podnoszą słusznie niebezpieczeństwa grożące Tatrom z tego nowego proceduru. Do ich argumentów można by dodać jeszcze inne. P. Peregowski trafia w sedno, kiedy twierdzi że głównym motywem, dla którego Centrala pozwoliła sobie wziąć z rąk inicjatywę robót w Tatrach, jest brak funduszy i chęć zepchnięcia kosztów na Oddziały. Środkiem zaradczym wedle niego, byłby przymusowy pobór wraz z taką klimatyczną w Zakopanem opłat na roboty w Tatrach. Na to można się zgodzić. Jednakże jest jeszcze druga strona sprawy. Oto ten tylko nie daje sobie odebrać inicjatywę kto nosi ją w sobie. Nie można powiedzieć, ażeby tym przymiotem odznaczała się dotychczasowa Komisja robót w Tatrach przy Wydziale centralnym. W przyszłości też wszystko zależy będzie od ludzi, którym powierzona zostanie ta robota; jeśli to będą ludzie z inicjatywą i energią, wtedy i niebezpieczeństwa owej „parcelacji“ odpadną, gdyż silna dłoń ujmie w karby wszelkie partykularne zbroczenia, i nagnie je do jednolitego planowego działania. Nowy statut daje tego pełną możliwość. Dobrze jest tedy niebezpieczeństwa wskazywać, ale nie trzeba jeszcze przesądzać, że się spełnią. Na razie tylko — bacność!

Sekcja narciarska P. T. T. bardzo żywota i ruchliwa, odegrała w ruchu narciarskim ubiegłego i bieżącego roku dużą rolę i przyczyniła się niemało do rozwoju narciarstwa pod Tatrami. Jak w ubiegłych latach urzędowała i utrzymywała w okresie zimowym cztery schroniska, jako punkty oparcia dla narciarzy. Wymagało to dużego nakładu pieniężnego, zwłaszcza że rok w rok zdarzały się wypadki niszczenia i okradania schronisk. Ze sprawozdania zarządu Sekcji z niemałym zdumieniem dowiadujemy się, że duży udział w niekulturalnych rabunkach i dewastacjach brali turyści, w równej zaś mierze okoliczni fuhasi. Ludność wiejska natomiast rozkradła co najmniej do połowy linję telefoniczną, wybudowaną przez wojskowość do schroniska starorobociańskiego. Frekwencja w schroniskach była duża i wzrasta corocznie. Z działalności turystyczno-narciarskiej należy podkreślić częste kursy dla początkujących, nadto kursy ze specjalną metodą szkolenia tylko turystów. Łączyły się z tem liczne wycieczki w Tatrę Wysokie i Zachodnie. Działalność sportowo-narciarska zjednała Sekcji duże uznanie. Pracowała w tym kierunku wydatnie i z dobrymi wynikami. Skocznię w dolinie Jaworzynki ulepszono sporym nakładem kosztów i gruntownie przerobiono. Nie szędcząc wydatków wysyłano członków Sekcji

na wszystkie zawody krajowe i bliskiej za granicę t. j. na drugą stronę Tatr, w ubiegłym zaś sezonie obesłano zawody w Szwajcarii, Francji i na Simmeringu. Niemało przyczyniono się do organizacji pierwszych i drugich Międzynarodowych Zawodów w Zakopanem w 1922 i 1923 r. Nawiązano wskutek wyjazdów członków stosunki z zagranicznym narciarstwem, najserdeczniejsze z węgierskimi i spiskimi sportowcami.

X.
(Adres Sekcji: Zakopane, dworzec Tatrzński).

Sekcja Ochrony Tatr P. T. T. Sekcja powstała w roku 1912 jako pierwsza na ziemiach polskich instytucja ochronie przyrody poświęcona. Statut jej wymieniał następujące cele: 1) dążenie do zabezpieczenia Tatr przed czynnikami zacierającymi pierwotny charakter krajobrazu tatrzańskiego (jak budowie, urządzenia komunikacyjne i przemysłowe i t. p.); 2) opieka nad właściwymi okolicom górskim rzadszemi gatunkami roślin i zwierząt; 3) przeciwdziałanie zaśmiecaniu gór i wogóle niewłaściwemu zachowaniu się człowieka w stosunku do dzikiej przyrody. W rozwinięciu tego programu wypracowała Sekcja pod koniec roku 1912 szczegółowy memoriał dla Wydziału głównego T. T., omawiający zadania i sposoby ochrony Tatr, a także wytyczne dla działalności Wydziału przy budowie schronisk, ścieżek, udostępnianiu szczytów i t. p. Ze swej strony zwracała się Sekcja z przedstawieniami do władz i właścicieli gruntów w sprawach ochrony, szerzyła propagandę rozlepiając po schroniskach i w innych odpowiednich miejscach kartki z wezwaniem do oszczędzania pewnych roślin, do odpowiedniego zachowania się w górach, niszczenia odpadków i papierów na postojach i t. p., — wydała książkę o ochronie przyrody pióra prof. J. G. Pawlikowskiego p. t. „Kultura a natura“, — zorganizowała górską straż obywatelską. Wobec nowości idei propagowanej przez Sekcję i często wprost wrogię do niej stosunku niektórych osób, musiała Sekcja w przyjmowaniu członków być bardzo ostrożną; wprowadziła natomiast dla celów propagandy instytucję „współpracowników“, którzy opłacali pewną małą wkładkę i podpisywali następującą deklarację: „Sprzyjając celowi zachowania krajobrazu tatrzańskiego, obowiązują się: 1) unikać niszczenia i łupienia oraz nabywania właściwych okolicom górskim rzadszych gatunków roślin i zwierząt tatrzańskich, 2) unikać zaśmiecania gór i zakłócania ciszy górskiej (hałasowania, strzelania, strącania kamieni i t. p.), 3) przeciwdziałać w miarę możliwości tego rodzaju przekroczeniom.

Najważniejszą jednak pracą w tym okresie była walka Sekcji z projektem kolejki pod Swinnicę, zagrażającym zniszczeniem jednej z najpiękniejszych części Tatr polskich. Zgromadzenia, rezolucje, memorjały do władz, inicjowana wreszcie przez Sekcję literatura, artykuły i broszury, osiągnęły wreszcie cel zamierzony i niebezpieczeństwo zostało usunięte. Podobną, na mniejszą skalę akcję, prowadziła Sekcja przeciwko projektowi T. T. postawienia „dworku“ nad Czarnym Stawem Gąsienicowym. Upadłszy z protestem swoim na jednym Walnym Zgromadzeniu, Sekcja nie dała za wygraną i z jednej strony ogłaszając protest podpisany przez szereg wybitnych osób, między innymi przez H. Sienkiewicza, z drugiej wysunęła na miejsce zwalczanego, projekt wystawienia wielkiego schroniska na Hali Gąsienicowej. Pomimo zapadłych już uchwał, opinia Sekcji wreszcie zwyciężyła a projekt schroniska na Hali podjął później i urzeczywistnił Oddział warszawski.

Wojna przerwała na lat kilka działalność Sekcji. Dopiero z końcem r. 1919 zorganizowała się ona na nowo. Poddała rewizji swój program ochrony Tatr i ustaliła go w nowym memorjale do Wydziału głównego T. T., — wydała broszurę popularną „O celach i środkach ochrony przyrody“, — zwoławszy zaś Walne Zgromadzenie, przeprowadziła na niem dwie szczegółowo motywowane rezolucje: 1) Rząd Rzpłtej zechce w najkrótszym czasie wygotować i przedstawić Sejmowi do uchwały projekt ustawy o ochronie przyrody; 2) Rząd Rzpłtej zechce jak najprędzej zastanowić się nad sprawą utworzenia z Tatr i Piennin rezerwatu państwowego“. Rezolucja pierwsza była poparciem podjętej już przez Rząd inicjatywy, w której — jeśli wolno tak powiedzieć — Sekcja miała pośredni udział. Inicjatorem bowiem ustawy, względnie państwowej organizacji ochrony przyrody, był Minister Oświecenia p. Ksawery Prauss, jeden z najgorliwszych członków Sekcji. Z początkiem r. 1920 utworzoną została Państwowa Komisja Ochrony Przyrody. Do jej składu (15 osób mianowanych z całej Polski przez Ministra W. R. i O. P.) weszło czterech członków S. O. T.: Wt. Kuźniar, J. G. Pawlikowski, K. Prauss, St. Sokółowski, z pomiędzy nich trzech równocześnie do Wydziału wykonawczego. Sekcja (jako ciało zbiorowe), otrzymała mandat delegata Komisji na Tatry. Z tą chwilą Sekcja, będąc nadal organem doradczym T. T., w sprawach ochrony, stała się równocześnie współpracowniczką P. K. O. P., a zatem łącznikiem między Towarzystwem a Komisją. Jest to stan rzeczy nader pomyślny, ponieważ T. T. jest organem działającym na

terenie Tatr, przeto Komisja O. P. przez bezpośredni z niem kontakt, zyskuje możliwość skuteczniejszego urzeczywistnienia swych postulatów; Towarzystwo natomiast, w delegacie Sekcji O. T. zyskuje jako doradcę już nie osobę, której kompetencja może być kwestionowaną, ale reprezentanta instytucji mającej w dziedzinie ochrony przyrody największą w Państwie powagę. Gdyby Sekcja nie stanowiła tego łącznika, mogłoby przychodzić niewątpliwie do niepożądanych i przykrych konfliktów pomiędzy P. T. T. i P. K. O. P., gdyż nawet mimo najlepszej z obu stron woli, różnice poglądów nie byłyby przecież wykluczone, a gdyby ujawniały się dopiero po niewczasie, zmuszałyby organ Państwowy powołany do czuwania w tej dziedzinie, do prowokowania interwencji Rządu. W obecnym stanie rzeczy nie podobnego nie jest możliwem, gdyż przy wspólnem omawianiu wszelkich zamierzeń Towarzystwa, do porozumienia zawsze przyjść musi. To nowe stanowisko zmieniło po części charakter Sekcji. Jej znaczenie i powaga stały się niezależnym od ilości członków; głównym jej organem stał się z natury rzeczy Wydział, a nie Walne Zgromadzenie, Wydział to bowiem jest organem zaufania P. K. O. P. Rzecz się ma właściwie tak, że czterej członkowie P. K. O. P., którzy są w niej referentami spraw tatrzańskich, skupią około siebie grupę ludzi (Wydział S. O. T.) dla współpracownictwa na terenie tatrzańskim, korzystają z ich doświadczenia, znajomości stosunków i stałej obserwacji. Tem się tłumaczy że Sekcja zaniedbała w ostatnich czasach starać się o zjednywanie członków; także i reorganizacja P. T. T. zmusi Sekcję do rewizji w najbliższym czasie swego ustroju.

Co do działalności Sekcji, to od roku 1920-go wszystko to co uczyniła P. K. O. P. w Tatrach idzie równocześnie na rachunek Sekcji; dawała ona inicjatywę, dostarczała materiału, współdziałała w przeprowadzaniu akcji (zob. niżej w rubryce „Ochrona Przyrody“ sprawozdanie z działalności P. K. O. P.). Najważniejszą pracą tego rodzaju, było opracowanie projektu rezerwatu („parku narodowego“) tatrzańskiego (zob. tamże, tudzież artykułu na str. 12 i in.). Poza tem jednakowoż załatwiała Sekcja pewne sprawy samoistnie. Z tych ważniejszych były następujące:

Gdy Oddział warszawski podjął budowę schroniska na Hali Gąsienicowej, Sekcja wydała opinię co do miejsca i charakteru budynku. Na skutek tego budynek z pierwotnie projektowanego miejsca przesunięty został pod las, a pierwotne plany doznały znacznej modyfikacji. Natomiast nie urzeczywistnił się

projekt Sekcji ogłoszenia konkursu na budynek, co miałyby zasadnicze znaczenie, gdyż dałoby sposobność artystom do wypowiedzenia się jak sobie wyobrażają przystosowanie schronisk górskich do krajobrazu. Sposobność ta została straconą, głównie skutkiem braku czasu, spowodowanego paromiesięcznym przetrzymaniem planów Oddziału warszawskiego przez Wydział główny T. T. przed odesłaniem ich Sekcji. Pozałowania godna dewastacja Hali Gąsienicowej przy budowaniu tego schroniska była również przedmiotem troski Sekcji; interwenjowała ona u p. prezesa Oddz. warsz., który zapewnił że złemu zapobiegnie. Sekcja interwenjowała ze skutkiem przeciw budowie hotelu na Kirach u wylotu Doliny Kościeliskiej, — opracowała plan udziału wojskowej kompanji wysokogórskiej w ochronie Tatr (zwłaszcza przeciw kłusownikom i złodziejom schronisk), tudzież podjęła akcję w Ministerstwie Spraw Wojskowych dla uzyskania aprobaty tego planu, — w zimie 1921/2 r. przy współudziale tejże kompanji, podkarmiła kozice przy pomocy subwencji P. K. O. P., interwenjowała też w starostwie w sprawie ochrony kozic i współdziałała w afiszowaniu urzędowych w tym kierunku ogłoszeń po gminach podtatrzańskich, — interwenjowała ze skutkiem w sprawie ochrony orliów, — przedstawiła Rządowi memoriał, w sprawie dewastacji lasów na terenie dóbr Szaflarskich, — urządziła co roku zgromadzenia dla propagandy idei ochrony przyrody i Tatrzańskiego parku narodowego, etc.

W ostatnim roku skład Wydziału S. O. T. był następujący: prof. dr. J. G. Pawlikowski, prezes (adres: w lecie Zakopane „na Kozieńcu“, zresztą Lwów ul. 3-go Maja 5), — zentator K. Prauss, wiceprezes (adres: Zakopane ul. Chałubińskiego „Gencjana“), — major Romaniszyn 2-gi wiceprezes, inż. K. Stryjenski, sekretarz, dr. J. Diehl, ks. Humpola, dr. Kuźniar, Małachowska, Ritterschild, prof. Sokołowski, delegat Sekcji do Zarządu głównego P. T. T., dr. Świerż, T. Zwoliński.

Szczegółowe sprawozdanie z działalności S. O. T. tudzież całkowity tekst memoriału, zawierającego zasady ochrony gór, zob. w zeszycie I-szym czasopisma „Ochrona Przyrody“.

J. G. P.

Konferencje międzysekcyjne w Zakopanem. Sekcje Pol. Tow. Tatr., mające swoje siedziby w Zakopanem, wznowiły w ubiegłym roku zaniebane przez dłuższy okres czasu konferencje międzysekcyjne z inicjatywy p. Ksaw. Praussa, przewodniczącego Sekcji Ochrony Tatr. Najważniejszym przedmiotem

obrad przedstawicieli Sekcji była w ubiegłym roku reorganizacja Twa, i złączona z tem sprawa nowego statutu. Wspólnie ustalone poprawki do projektu statutu rozeszano Oddziałom P. T. T. do wiadomości. Z wyjątkiem jednej poprawki Walne Zgromadzenie członków uchwaliło większością głosów wnioski międzysekcyjne. Ponadto odbywały się dla członków Sekcji i zaproszonych gości odczyty i dyskusje w sprawach, dotyczących Tatr i Podhala. Tematami odczytów były: kłusownictwo i ochrona kozic (p. Stan. Barabasz), nowo odkryte groty w Tatrach (pp. Dr. Konstanty Stecki i por. Tadeusz Zwoliński), reforma administracji Zakopanego (Dr. Diehl Józef) i parki narodowe w Polsce ze szczególnem uwzględnieniem Tatr (p. Dr. Stan. Sokołowski). Urządzaniem odczytów zajmowała się naprzód Sekcja Ochrony Tatr, potem administracja Muzeum Tatrzańkiego. Z.

Walny Zjazd Polskiego Tow. Tatrzańskiego — odbył się 22 kwietnia w Krakowie. Na skutek przemiany w Towarzystwa związkowe wzięli w nim udział tylko delegaci poszczególnych Oddziałów i Członkowie zarządu głównego

Z zaproszonych gości jawili się pp. Orłowicz z ramienia Min. Robót Publicznych, dr. Sokołowski, delegat Państwowej Komisji Ochrony Przyrody, Generał Górecki im. Dowódtwa O. K. krakowskiego, dr. Bobrowski, wiceprezydent miasta, dr. Diehl i dr. Nowotny, delegaci Komisji Uzdrawiskowej w Zakopanem, dr. Beres z Izby handlowo-przemysłowej krakowskiej, Udziela, imieniem Towarzystwa Krajowaczewego w Warszawie, Fiszer z Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarskiego.

Prezes P. T. T., inż. Czerwiński, powitał gości, zdał sprawę z działalności dotychczasowego Wydziału, który w roku ubiegłym przeprowadził reorganizację Towarzystwa, umożliwiając jego rozwój. Sprawozdanie z pracy jedenastu Oddziałów przedłożył sekretarz Wydziału p. Porębski. Nastąpiły sprawozdania z działalności Sekcji i Komisji robót w Tatrach. Na wniosek Komisji rewizyjnej udzielono Wydziałowi absolutorjum.

Nastąpiły wybory do Zarządu głównego. Prezesem wybrany został dotychczasowy aszuszony przewodniczący, inż. Jan Czerwiński z Krakowa, pierwszym zastępcą p. Stanisław Osiecki, drugim prof. Dr. Walery Goetel z Krakowa, trzecim prof. dr. Adolf Chybiński ze Lwowa

Do Zarządu głównego weszli: pp. Dr. Władysław Szafer, Kazimierz Sosnowski, Stanisław Porębski, Ferdynand Goetel, dr. Jan Nowicki, Stefan Porębski — wszysej z Kra-

kowa, dr. Roman Kordys ze Lwowa, Karol Buzek z Cieszyna, Adam Ferens z Łodzi, dr. Tadeusz Smoluchowski z Poznania, inż. Jan Jaroszyński z Warszawy, inż. Karol Stryński z Zakopanego, dr. Mieczysław Świerż z Zakopanego, Ludwik Grünh z Kielec i dr. Adam Lardemer z Krakowa. Do komisji rewidycyjnej wybrano: pp. Waclawa Anczyca, dra Faustyna Jakubowskiego i Jana Fiszera z Krakowa.

Obrazy popołudniowe poświęcone były omówieniu programu najbliższej działalności P. T. T. na podstawie referatów Wydziału (głównie dr. W. Goetla). Zarządowi Głównemu polecono wydać szczegółowy komunikat o Zjeździe, który powinien być chwilą zwrotną w dziejach Towarzystwa.

Do chwili zamknięcia druku nie otrzymaliśmy sprawozdania z Oddziału Łódzkiego, tudzież z nowo utworzonego Oddziału: Kie-

leckiego i reaktywowanego Zakopiańskiego. Oddziały N. Sąddecki i Pieniński od czasu wojny nie funkcjonują.

Prof. Wład. Szajnochę długoletniego słuźonego prezesa P. T. T. ustępującego w tym roku ze swego stanowiska, pożegnał Wydział na zaproszeniem w tym celu zebraniu towarzyskiem, zakończonem bankietem, w czasie którego nadeszło też wiele listów i telegramów gratulacyjnych.

Wkładkę członków P. T. T. ustalono na rok bieżący jednolicie we wszystkich Oddziałach oa 3 złp., z czego 1 $\frac{1}{2}$ złp. odpływa do Centrali. Oddział lwowski dla akademików ustanowił wkładkę 2 złp., dla kategorii uczestników 1 złp. Wkładki odbiera skarbnik Oddziału p. Czołowski w sklepie Krawjański i Czołowski, plac Marjacki 8.

OCHRONA PRZYRODY.

Państwowa Komisja Ochrony Przyrody (działalność w Karpatach). Karpaty i ich przyroda, dotknięte mniej niż inne tereny Polskiej kulturą ludzką, zwracając na się zdawną uwagę miłośników przyrody i zwolenników ruchu zmierzającego do ochrony resztek pierwotnej przyrody kraju. Ruch ten rozwijał się przed wojną odnośnie do Karpat w łonie Towarzystwa Tatrzańskiego, a w szczególności w łonie jego Sekcji Ochrony Tatr. Dziś koncentruje się on w Państwowej Komisji Ochrony Przyrody przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Dążenia i cele, w kierunku których skierowuje się dzisiaj działalność i główny wysiłek Komisji na terenie Karpat, streszczają się w trzech „Parkach Narodowych“ i szeregu mniejszych rezerwatów przyrodniczych, mających ochronić najważniejsze typy krajobrazowe i najcenniejsze resztki pierwotnej przyrody żywej. Parki natury, z których jeden powinien powstać w Tatrach, drugi w Pieninach, trzeci w Karpatach wschodnich, znajdują się jeszcze w znacznej mierze w stadium projektów, niemniej jednakże, działalność P. Kom. Ochr. Przyr. w tym kierunku może poszczycić się znacznymi postępami. Najbliższym realizacji zdaje się być park wschodnio-karpacki, gdzie Ministerstwo R. i D. P. wyznaczyło za wskazaniem Komisji wielki teren rezerwatowy pod Dancerzem. Obecnie toczą się pertraktacje z Ministerstwem R. i D. P. o rozszerzeniu tego obszaru ochronnego do rozmiarów, któreby zabezpieczyły w zupełności ochronę najpiękniejszej, i najmniej zniszczonej części Karpat Wschod-

nich. W Pieninach, dla których Komisja opracowała projekt ochrony, opublikowany w III zeszytce jej organu „Ochrona Przyrody“ istnieje również związek parku natury, utworzony staraniem Komisji i ofiarnością prywatną przez Hr. Drohojowskiego na górze zamkowej w Czorsztynie. Utworzenie parku natury w Tatrach znajduje się jeszcze w całości w sferze projektów. P. Kom. Ochr. Przyr. wygotowuje konkretny projekt jego urzeczywistnienia, opracowany przy współudziale Sekcji Ochrony Tatr i po zasięgnięciu opinii czynników i osób kompetentnych na zwołanej w tym celu konferencji w r. 1921 w Zakopanem. Projekt ten niebawem ukaże się w druku.

Zabezpieczenie zabytków przyrody Karpat Sąddeckich znajduje się na najlepszej drodze. W Sądcecczyźnie istnieją już obecnie 2 piękne rezerваты leśne w dobrach Hr. A. Stadnickiego, który porozumiewa się obecnie z P. Kom. Ochr. Przyr. w sprawie rozszerzenia ochrony na dalsze godne zabezpieczenia trwałe osobliwości przyrodnicze swego majątku. W stadjum projektów znajdują się nadto dwa większe rezerваты na Babiej Górze i w Beskidzie zachodnim (Wisła), oraz w terenie t. zw. „borów“ Nowotarskich. Poza to działalność Komisji streszcza się w doraźnej ochronie zabytków przyrody karpackiej. Dzięki staraniom Komisji, wykonywała ochronę kozicy i świstaka w Tatrach Kompanja Wysogórska. Po jej likwidacji, zwrócono się o zapewnienie ochrony do Starostwa w Nowym Targu, które opublikowało zakaz niszczenia kozicy, świstaka, orla i sza-

rotki i przy pomocy swych organów dopilnuje jego przestrzegania. Dzięki staraniom Komisji przeszkodzono próbom wyniszczenia orła w Tatrach. Komisja przeciwdziałała usiłowaniom budowy kolei w głąb Roztoki, stworzenia tam zakładów przemysłowych i ujęcia wodogrzmotów Mickiewicza; spowodowała także interwencję Ministerstwa R. i D. P. w sprawie niszczenia kosówki w dolinie Chochołowskiej i lasów w dobrach Szaflary. Staraniem komisji przeszkodzono budowie pustelni w Pieninach na terenie przeznaczonym pod rezerwat, zebrano daty odnoszące się do występowania cisów w Sądecku, gdzie uzyskano nakaz ich ochrony, zabezpieczono resztki grubej jodły na Babiej Górze, ogrodzono największy cis polski w Harbutowicach, spisano i opublikowano zestawienie zabytków przyrodniczych pow. N. Sądeckiego, wreszcie zwiedzono stan zniszczonego częściowo przez wojnę lasu cisowego w Książdworze i zapobieżono przy pomocy Zarządu lasów Państwowych dalszemu jego zniszczeniu.

Wreszcie w sprawie rewindykacji i zamiany Jaworzyny zwraca się Komisja z przedstawieniem o jej potrzebie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i pozostaje w stałym kontakcie z Delegacją polską dla tej tak ważnej dla Polski sprawy. S. K.

(Adres P. K. O. P.: Kraków, ul. Lubicz 46, prezes prof. Wł. Szafer. — Karpatami wschodniemi opiekuje się bezpośrednio filija P. K. O. P., „Lwowskie Kuratorjum Ochrony Przyrody“, Lwów, ul. Mikołaja 4: prezes prof. S. Krzemieniewski).

Czasopismo „Ochrona Przyrody“, organ Państwowej Komisji Och. Przyr., którego wyszło dotąd trzy zeszyty, zawiera między innymi następujące artykuły odnoszące się do gór polskich. W zeszytach I: „Ochrona Tatr“, art. B. Wigilewa zdający sprawę z działalności Sekcji Och. Tatr T. T. od początku jej istnienia po koniec lata 1920 r.; tu znajduje się też przedruk memoriału Sekcji do Wydziału głównego T. T. zawierający zasadniczy program ochrony Tatr i gór polskich wogóle. — W Kronice zapiska K. Steckiego o ostatnich cisach w Tatrach tudzież zapiska o „grubej jodle“ w Zawoju. — W zeszytach II: prof. Stan. Sokołowski pisze „O cisie na ziemiach polskich“ — gdzie też mowa o cisach karpaccich. — St. Kulczyński: „Rezerwat w Czorsztynie“. — B. Pawłowski: „Las lipowy w dolinie Popradu“, (w Obrożykach). — „Protokół konferencji w sprawie ochrony Tatr, zwołanej przez P. K. O. P. w Zakopanem 5 i 6

września 1920“. — (b. wyczerpujący artykuł ten jest dla sprawy ochrony Tatr pierwszorzędnej wagi; omówiono w nim sprawę parku narodowego w Tatrach, a przeprowadzona na konferencji dyskusja streszczając różne opinie, wyświetla sprawę wszechstronnie). — W części urzędowej podano wypracowany przez P. K. O. P. „Projekt ustawy o ochronie szczególnie rzadkich gatunków zwierząt i roślin“ — (między innymi kozicy, świstaka, cisa i limby). — W zeszytach III: K. Stecki: „O świstaku w Tatrach“. — E. Niezabitowski: „Wysokie torfowiska Podhala i konieczność ich ochrony“, (torfowiska te ciągną się z przewrami na przestrzeni przeszło 40 kilometrów od wsi Dębna i ujęcia Białki do Bobrowa i Namiestowa na Orawie; jest to kraina zupełnie nie wiedziana a mająca i dla turysty właściwy sobie urok pustynny). — B. Pawłowski: „Ochrony godne zbiorowiska roślin w pow. Nowosądeckim; — L. Sitowski i St. Kulczyński: „Pieniny jako rezerwat przyrodniczy“. — (Adres Red. i Adm.: P. Kom. Och. przyrody: Kraków, ul. Lubicz 46).

Rezerwat w górach Świętokrzyskich. P. K. O. P. przeprowadziła badanie komisyjne w tych górach, którego rezultaty zestawiał Dr. Seweryn Dziubałowski w broszurze stanowiącej nr. 2 biblioteki P. K. O. P., p. t. „Plan utworzenia rezerwatu w górach Świętokrzyskich“ (r. 1922). — Góry te, zbudowane z utworów paleolitycznych, mianowicie z kwarcytów i łupków kambryjskich, stanowią najwyższe wzniesienie na północnym Niżu europejskim. Ta okoliczność w związku z kierunkiem ich pasm, biegnących z północnego zachodu ku południowemu wschodowi, kierunkiem najbardziej sprzyjającym zatrzymaniu opadów, wytworzyły szczególne warunki klimatyczne, wywierające właściwy wpływ na świat roślinny i zwierzęcy. To, niemniej jak wartości krajobrazowe, uzasadnia potrzebę ustanowienia tu rezerwatu. Tu leżą największe obszary leśne Wyżyny Małopolskiej. Charakter drzewostanów różni się znacznie od drzewostanów otaczającego Niżu. Znajdują się tu partie lasów mające jeszcze cechy pierwoborów, w których cieniu znalazła ostoje właściwa flora i fauna. Ze względu na wysoką wartość ekonomiczną lasów, Komisja ograniczyła swe projekty ochronne do najszczuplejszych granic; zupełnym rezerwatem miałyby być dwa kompleksy położone na dwóch końcach obszaru, jeden na Św. Krzyżu, drugi na Łysicy. Na górce Chełm wydzieliła już administracja leśna pewną przestrzeń jako rezerwat. Poza tem należałoby niektóre partie traktować jako rezerwat częściowy,

a wogóle, przy stosowaniu gospodarstwa przerobowego, oszczędzać pewne gatunki albo pewne szczególnie piękne okazy drzew. — Zaprowadzenie rezerwatu w górach świętokrzyskich ułatwia okoliczność, że są one własnością państwową; nie brak też dobrej woli u miarodajnych czynników. Jednakowoż opinia publiczna powinna zainteresować się tą sprawą, gdyż panujący obecnie prąd eksploatacji lasów ponad racjonalną i słuszną miarę, nawet na szkodę gospodarczego interesu przyszłości, nie sprzyja oczywiście tego rodzaju celom idealnym, jakim służą rezerwaty. — Górami Świętokrzyskimi winien by się zainteresować kotórens z Oddziałów P. T. T., może świeżo powstały Oddział kielecki.

Rezerwat w Pieninach. W II-gim zeszytce „Ochrony Przyrody“ pisze dr. St. Kulczyński w artykule p. t. „Rezerwat w Czorsztyńcu“ co następuje: „Na północ od Tatr ciągnie się szerokim równoleżnikowym łukiem, od Zamków Orawskich począwszy, przez Szafłary, Czorsztyń i Szczawnicę na wschód, długi pas skałic, przebiegający całą długość Nowotarskiej doliny i wkraczający na wschodzie wgłąb Spisza. Skałki te, w okolicach Nowego Targu drobne i luźno rozrzucone, potężnieją ku wschodowi, rozwijając się w 4 kilometrowej szerokości pasmo Pienin. Materiał z którego są zbudowane, jest zupełnie odmienny od szarych piaskowców Karpackiego fliszu, otaczających je dokoła. Składają się nań zmięte i w skomplikowany sposób sfałdowane ławice wapieni, margli, łupków i piaskowców wieku jurajskiego i kredowego, oraz gniazda wybuchowych skał, andezytów, które wydobyły się tutaj wskutek głębokich zmian i wstrząśnień tektonicznych, jakie teren ten w historii swej geologicznej przeszedł. Pochodzenie tych skał, sterczących samotnie wśród morza Karpackiego fliszu, stanowi zawiły i zagadkowy problem geologiczny, niedość jeszcze do dziś dnia wyjaśniony. Powstanie ich datuje się prawdopodobnie od epoki poprzedzającej bezpośrednio eocen; przyniosły je tutaj te same siły górotwórcze, które wypiętrzyły pasmo Tatr, przesunawszy ich masę z dalszego południa. W odległości dwudziestu kilku kilometrów od Nowego Targu na przestrzeni między Czorsztyńcem a Szczawnicą pasmo to przecina wpoprzek rzeka Dunajec, tworząc jedyny w swoim rodzaju, słynny z uroku i piękności przełom pienięski.

Na urwistych, słonecznych i ciepłych skałkach tego pasma, a zwłaszcza na przestrzeni między Czorsztyńcem a Szczawnicą,

rozsiała się dzięki szczególnie korzystnym warunkom życiowym, oraz dzięki długiej i urozmaiconej historii, jaką ten teren przeszedł, osobliwa roślinność, całkiem różna od szaty roślinnej sąsiednich Karpat, oraz towarzyszący jej również swoisty świat zwierzęcy. (Tym „osobliwościami przyrody pienięskiej“ poświęca osobny artykuł p. L. Sitowski w III-cim zeszytce „Ochrony Przyrody“).

Cały, osobliwy zarówno pod krajobrazowym jak naukowym względem charakter Pienin, czyni je jedną z największych osobliwości naszej ojczystej ziemi. Jest postulatem koniecznym ochrony przyrody u nas stworzenie z całości Pienin trwałego rezerwatu na wzór parków narodowych w Ameryce. Początkiem realizacji tego dążenia jest utworzony niedawno niewielki wprawdzie co do obszaru, lecz cenny, prywatny rezerwat w Czorsztyńcu.

W kwietniu roku bieżącego obecny właściciel Czorsztyna, hr. Drohojowski, złożył na ręce Komisji Ochrony Przyrody pisemną deklarację, w której przeznaczył wskazaną przez Komisję najcenniejszą pod względem przyrodniczo-krajobrazowym część swego majątku Czorsztyna na trwałe rezerwat imienia swojej rodziny. Utworzony rezerwat obejmuje wydłużony pas terenu powierzchni około 15 morgów. Na zachodzie obejmuje on bramę skalną, wznoszącą się po obu stronach drogi Czorsztyń-Niedzica u stóp góry zamkowej, tuż przed dworem czorsztyńskim, dalej cały kompleks skałek, piętrzących się na lewym brzegu Dunajca, wraz z ruinami starego zamczyska, i sięga na wschód aż po wschodnią granicę majątku ponad wsią Łaziska. W granicach rezerwatu znalazła się większość skał i łączek posiadających niezniszczoną dotychczas pierwotną roślinność, reprezentowaną tutaj przez znaczną część znamienych dla Pienin gatunków. Brak wprawdzie na obszarze rezerwatu wielu roślin charakterystycznych Pieniny, z drugiej jednak strony wartość jego podnosi kilka stanowisk roślin gdzieindziej w Pieninach nie spotykanych lub niezmiernie rzadkich. Niemałego uroku dodają rezerwatowi znajdujące się w jego granicach ruiny starego zamczyska, z którym wiąże się liczne wspomnienia z minionej historii naszej“.

Rezerwat Czorsztyński jest jednak za ledwie drobną częścią rezerwatu, który nieodwrotnie utworzony być winien w Pieninach. Projekt takiego rezerwatu omawia dr. Kulczyński w swej pracy pomieszczonej w III-cim zeszytce „Ochrony Przyrody“. Ma on tu na oku jednak względy wyłącznie przyrodniczo-naukowe i zaznacza że względy krajobrazowe nakazywałyby znaczne jeszcze rozszerzenie

tego projektu. Do absolutnej ochrony w obrębie proponowanego przyrodniczego rezerwatu zaleca dr. K. wschodnią partję Pienin nad samym przełomem Dunajca i nad Pienińskim Potokiem, obejmującą najważniejsze szczyty, jak Trzy Korony wraz z Zameczkiem św. Kingi, Facimiech, Golica, Sokolica, Czerteż i Czerwone Skałki, oraz całe doliny Pienińskiego i Sromowieckiego potoku. Pozatem wreszcie dla Pienin należałoby zaprowadzić pewne ograniczenia gospodarki, czyli utworzyć tu rezerwat niezupelny. Należy się spodziewać że po tych wstępnych pracach P. K. O. P. w jak najkrótszym czasie wygotuje ostateczny projekt rezerwatu pienińskiego i przedstawi go do urzeczywistnienia Rządowi. Jest też rzeczą niezbędną wskreszenie zmarłego od chwili wybuchu wojny Oddziału pienińskiego P. T. T., którego siedzibą było Krościenko. Być może że lepszym punktem byłaby Szczawnica. Wydział główny P. T. T. powinien dać w tym kierunku inicjatywę. Należy też zorganizowany Oddział mógłby otrzymać delegaturę P. Komisji Ochrony Przyrody; obecnie Sekcja Ochrony Tatr P. T. T. posiada delegaturę taką tak na Tatrę jak i na Pieniny, jednakowoż w praktyce nie jest ona w stanie sięgnąć do Pienin i działa jedynie w Tatrach. Wobec aktualności rezerwatu pienińskiego wyższe zajęcie się Pieninami ze strony P. T. T. jest tem konieczniejsze.

Rezerwat w paśmie Czarnohory. Państwowa Komisja Ochrony Przyrody od r. 1920 zabiega około utworzenia rezerwatu z fragmentu Karpat wschodnich, wyróżniającego się krajobrazowo i posiadającego wartość naukową.

Od samego niemal początku akcja Komisji musiała się jednak ograniczyć do przeciwdziałania zamierzonemu eksploataowaniu kosodrzewiny.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, teren, na który zwrócono uwagę, jako na przyszły rezerwat, pierwszy miał paść ofiarą spekulacji.

A wprost jest nie do pojęcia, jak się to stać mogło, że eksploatację kosodrzewiny postanowiono tam, gdzie Ministerstwo Rolnictwa samo rezerwat zaprojektowało. Idzie mianowicie o kocioł pod Dancerzem, w paśmie Czarnohory. Niewątpliwie, jest to fragment bardzo ciekawy, ale tak zamknięty w sobie i tak mały, że żadną miarą dzielić go nie można. Tymczasem ministerjalny projekt rezerwatu obejmuje tylko 2/3 jego przestrzeni. Z drugiej strony, ponieważ firma jakaś zabiegała o kosodrzewinę, a tej nie było poza tym kotłem w większej partji dostępnej, więc

bez wszystkiego, zanim Komisja mogła wyrazić swoją opinię o projekcie rezerwatu, postanowiono na nim kosodrzewinę wytepić.

Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, występując zasadniczo przeciw niszczeniu kosodrzewiny, której dotąd obowiązująca ustawa krajowa z r. 1904 szczególną zapewnią ochronę, poddała szczegółowemu rozważeniu wszystkie argumenty, któremi władze posługiwały się aby wykazać korzyści z eksploatacji kosodrzewiny i zwróciła się do Ministerstwa Rolnictwa o ustanowienie rezerwatu w paśmie Czarnohory na przestrzeni od ściany Breskula po granicę dóbr fundacji hr. Skarbka Rezerwat ten obejmowałby cały kocioł pod Dancerzem, połoninę Pożyżewską i niewielką partję lasu.

W obronie lasów. Jednym z bolesnych objawów naszego nieuporządkowanego życia gospodarczego jest nadmierne wycinanie lasów. Eksploatacja przybrała groźne wprost rozmiary; od Karpat po wybrzeża Bałtyku i od kresów wschodnich do Pomorza, na całym obszarze Polski rozlega się złowrogi zgrzyt piły i głuchy odgłos siekiery. Pod ich ciosami padają resztki tego, co jeszcze ocalało z pogromu wojennego, a gorączka spekulacyjna i chciwość szybkiego zysku ogarnęła jak dziki szal nawet te warstwy, które dawniej nigdy nie wspólnego z lasem nie miały.

Niszczymy lekkomyślnie jedną z podstaw dobrobytu, na korzyść najczęściej tych, od których chyba wdzięczności spodziewać się nie możemy.

Gorączka i chciwość zysku wtargnęła nawet w te strony, gdzie lasy uważałyby należało za bezwzględnie ochronne, nietykalne, jak to ma miejsce w Tatrach, gdzie lasy na pewnej części uległy poważnej dewastacji.

Przeciwno temu barbarzyńskiemu niszczeniu najważniejszej ozdoby naszego krajobrazu, a zwłaszcza krajobrazu górskiego, podniosły się liczne głosy oburzenia i protestu w całej niemal prasie codziennej.

Oprócz tego wiele instytucyj zwróciło się do Rządu, Senatu i Sejmu zwracając uwagę na groźne dla kraju następstwa, jakie masowy wyrąb lasów za sobą pociągnie i domagając się energicznego wkroczenia.

Państw. Kom. Ochr. Przyr. i Sekcja Ochr. Tatr. Tow. Tatr. wniosły jeszcze we wrześniu r. ub. memoriał do Rządu w sprawie niszczenia lasów na pewnej części Tatr. Na skutek tego odbyło się na miejscu dochodzenie komisyjne, a na podstawie dochodzenia Starostwo nowotarskie wydało orzeczenie co do dalszego użytkowania tych lasów. Odnośnie do tego orzeczenia zwróciła się P. K. O. P.

do Minist. rolnictwa z pewnymi uwagami i zastrzeżeniami.

Nadto przyłączyła się P. K. O. P. do memoriału przedłożonego Rządowi, Sejmowi i Senatowi przez kulturalne Związki i instytucje podhalańskie, domagając się wydania specjalnej ustawy, chroniącej lasy na całym Podhalu, zbadania ich stanu i ustanowienia osobnego nadzoru nad gospodarką leśną w Tatrach i na Podhalu.

Na Zjeździe Delegatów Tow. Tatrzańskiego w Krakowie dnia 22 kwietnia uchwalono rezolucję do Rządu, Sejmu i Senatu domagającą się energicznych kroków skierowanych do powstrzymania dalszej dewastacji.

Polskie Tow. przyr. im. Kopernika zwróciło się również do Rządu z usilną prośbą o stanowcze ograniczenia w wyrębie lasów, przedstawiając szkody jakie nauka i kultura ponosi wskutek bezmyślnego ich niszczenia.

Miejmy nadzieję, że głos najpoważniejszych naszych instytucyj wywrze skutek i nie przebrzmi bez echa.

Memoriał w sprawie masowego niszczenia lasów podhalańskich, przedstawiony Rządowi z inicjatywy Związku Podhalań przez wszystkie Towarzystwa kulturalne w Nowym Targu (Zw. Podhalań, Oddział P. T. T. „Gorce“, Okręgowe Tow. rolnicze, Koło T. S. L., Sokół, Tow. teatru i chóru ludowego, Tow. im Szopena), podaje bardzo interesujące cyfry. Oto z sześciu stacyj kolejowych w Nowotarszczyźnie wywieziono w 1922 r. 2.628 wagonów drzewa, w 1923 r. do końca lutego 1.103 wagonów. Drzewo na składach przygotowane już do wywozu, oblicza memoriał na przeszło sto tysięcy wagonów. Ta lekkomyślna gospodarka, tak w dworskich jak i chłopskich lasach, grozi zupełną ruiną gospodarczą Podhala, Tatrom zaś nadto utratą ich uroku i piękności.

Zniszczenie Hali Gąsienicowej. Przy całym uznaniu dla inicjatorów budowy dużego schroniska na Hali Gąsienicowej, trudno się powstrzymać od krytyki niekorzystnych dla wnętrza Tatr zmian, jakie spowodowała budowlana działalność. Nadwyrężono swoisty i nieporównany, niemal pustynny krajobraz u stóp wierchów, nie ze złej woli, bynajmniej, jedynie przez brak odczucia ważności ochrony przyrody, przez niezdolność do zrozumienia tej sprawy u dołu a bagatelizowanie obowiązku nadzoru u góry, przez szablone traktowanie robót budowlanych i drogowych. Rozszerzenie ścieżki z Hali do Czarnego Stawu, nasypy pod kolejkę wożącą kamienie, łupanie i dobywanie kamieni, ogalanie z kosówki

całych płatów i pasów, niszczenie drzew u górnej granicy lasu, wszystko to chyba nie jest akcją przyczyniającą się do podniesienia piękności przyrody górskiej... Słyszeliśmy z ust miarodajnych w P. T. T. osób, że to się stało było dla nich przykrą niespodzianką i wskazówką nakazującą ostrożność na przyszłość; wyznaczenie cenne — ale nie usprawiedliwiającej. Skutki owej nauki powinny się w każdym razie właśnie tu przedewszystkiem okazać, jako naprawienie zła, które się stało. Powinno być usilną troską zarówno organów centralnych jak i Oddziału warszawskiego, aby usunąć po ukończonej budowie ślady zniszczenia, przywrócić o ile możności stan pierwotny, a szkody niepowetowane przynajmniej zasłonić. Na interwencję S. O. T. pan przewodniczący Oddziału warszawskiego zapewnił że to jest jego intencją, — wątpić o tem niema powodu; nie było jednak również intencją kierownictwa Oddziału doprowadzić Halę do takiego zniszczenia, a jednak stało się to, intencją bowiem i energią lub możnością jej wykonania nie zawsze pokrywają się ze sobą. Dlatego Wydział wykonawczy P. T. T. powinien sam tę sprawę wziąć gorąco do serca, i na niego spadnie odpowiedzialność, jeśli skutki dewastacji nie zostaną zatarte.

Nie dość jednak na tem. Hali Gąsienicowej grozi większe jeszcze niebezpieczeństwo. Jest niem udostępnianie drogą przez Psią Trawkę, zapoczątkowane wożeniem materiałów do budowy. Na razie ta droga w znacznej części jest jeszcze tego rodzaju, że do wożenia się nią dla przyjemności nie zachęca; ale początek już zrobiony i nie wiadomo co będzie dalej. Jeżeliby tamtędy miała iść aż ku Hali droga jezdna, to należy postawić z całą stanowczością zasadę, że powinna się ona zatrzymać w gęstym lesie, conajmniej na kilometr przed Halą; tam wypadnie wtedy postawić gospodę dla woźniców. Dopuszczenie furmanek na Halę musi być bezwarunkowo wykluczone. I to jednak nie usuwa niebezpieczeństw wynikających ze zbliżenia dojazdu. Znający światek zakopiański ludzie spotykają się już dziś z marzeniami o parcelacjach pod budowę will, z zapowiedziami założenia sklepików arowizacyjnych, kiosków i innych przedsięwzięć, dla których jedynym właścicielw miejscem są Krupówki. Moglibyśmy wskazać przedsiębiorców, którzy zaczynają skupywać udziały we wspólnocie posiadającej dolinę i wierchy Gąsienicowe, w nadziei przyszłych zysków. P. T. T. ma również udział w tej wspólnocie i powinno było go powiększyć; nieopatrzna polityka dawnego Wydziału zabagniła jednak tę sprawę. Bądź co bądź

nie jest się wobec takich zakusów zupełnie bezbronnym, a środków służących do ich udarnienia należy użyć z całą stanowczością i energią. Miejmy nadzieję, że w czasie nie-

zbyt odległym położy wreszcie tamę takim niebezpieczeństwom ustawa o rezerwacie tatrzańskim.

TURYSTYKA.

Letniska na Orawie. Postanowienie Rady Ambasadorów z 28 lipca 1920 pokrajało tak dziwacznie Cieszyńskie, Spisz i Orawę, że niejedne zrozpaczone usta odezwały się bezradnie: co teraz robić? Cieszyn pokrajany, Lipnica Wielka na Orawie podzielona, Jaworzyna na Spiszu oderwana od macierzystej wioski Jurgowa. W pracy politycznej nad odzyskaniem Spisza i Orawy przyswiecała nam przyszłość letniskowa naszych górskich wiosek. Spisz etnograficznie polski obfituje w wspaniale urządzone letniska (Łomnica tatrzańska, Drużbaki, Śmierdzonka itd.), które jednak wszystkie w Czechosłowacji pozostały. Na Orawie etnograficznie polskiej z dawniejszych lat znane były tylko kąpiele siarczane w Półhorze pod Babią Górą, a tych również nie przyłączono do Polski. Czy wobec tego należało założyć ręce i polskich letników skierowywać do Czechosłowacji? Tyle się mówiło ludziom podczas plebiscytu, że letnicy z Polski przyjadą, a oni prędko się wzbogacą. Pokrajano nas jakby umyślnie, aby do tego nie przyszło. Lecz nie damy się. Wbrew złym przepowiedniom ludzi bojaźliwych, mimo braku pieniędzy i mimo niechęci samych gazdów, założono w kwietniu 1921 spółkę „Orawa“, która między innymi miała się zająć urządzeniem letnisk we wioskach u stóp Babiej Góry leżących (Lipnica Wielka i Mała, Zubrzyca Dolna i Górna) pozatem w Orawce, w Podszklu, w Podwilku, słowem na całej prawie przynajmniej Polsce Orawie. I jesteśmy po dwóch sezonach letnich, które można rzec śmiało — już zapewniły rozwój letniskowy Orawy.

Na czym polega charakter letniskowy tych okolic? W Polsce mamy mało gór. Zakopane nawet z odzyskaną Jaworzyną nie może zaspokoić potrzeb ludności naszego Państwa. Babia Góra na Orawie nie wygląda tak wspaniale jak Tatry, lecz fakt, że osiedliśmy także część jej południowych stoków, ma pod względem klimatycznym wielkie znaczenie. Nasze wioski orawskie leżą 600—700 metrów nad poz. morza. Mamy tu więc już powietrze wysokogórskie, tak potrzebne dla wzmocnienia płuc mieszkańców miast i osad fabrycznych. A że to wioski położone są u południowych stoków Babiej Góry, podnosi to bardzo ich znaczenie letniskowe.

W pierwotnym sezonie (1921) bawiło tu 4 lekarzy z Warszawy (dr. Łazarowicz, dr. Malinowski, dr. Szerypo i dr. Rottert). Wszyscy byli zachwyceni tutejszemi warunkami letniskowymi. W sierpniu 1921 mieliśmy nawet odwiedziny delegatów ministerstwa zdrowia, którzy nader pochlebne świadectwo zawieźli do Warszawy o naszej Orawie. W pierwszym roku bawiło tu stu kilkudziesięciu letników, w drugim (1922) już kilkuset. Tak mało? zdziwi się niejeden czytelnik. Dlaczego nie więcej? Na początek wystarczyło i tyle. Trzeba bowiem wiedzieć, że na Orawie przyznano Polsce same wioski, w których niema hoteli. Na Węgrzech aż się roilo od wspaniałych letnisk. Czesi podczas okupacji też nie myśleli o zakładaniu tu letnisk, więc nasze wioski babiogórskie z południowym słońcem i powietrzem były i są do dziś dnia zwyczajnymi wioskami, zabudowanymi wyłącznie domami gazdowskimi. W tych to domach umieściliśmy naszych pierwszych gości. Teraz, gdy się gazdowie przez dwa sezony namacalnie przekonali, że z letników „dużo kapnie“, zaczynają mieszkania rozszerzać i przerabiać. Na razie jednak nie może na Orawę wyjechać letnik z wygórowanymi roszczeniami. Teatru, kawiarni, kin i podobnych wymysłów dzisiejszej „kultury“ na Orawie jeszcze niema. Jest to i będzie jeszcze długie lata miejsce wypoczynku dla ludzi spracowanych, zdegenerowanych, żądnych pięknych przechadzek po łąkach i lasach i kochających się w czarujących widokach górskich. Spać tu jeszcze trzeba na żytniej słomie, jeść w jadalniach przyzwoitych i nie drogich, ale skromnych i co najgorsze jeździć furkami bez sprężyn z siedziskami słomianymi. I to dosyć daleko, — bo i do Lipnicy i do Zubrzyicy 3 godzinki jazdy. Tę podróż w czasie pogody uprzyjemnia ciągly uśmiech Babiej Góry i wesołe Tatry, w czasie zaś niepogody ciepłe ubranie i parasol.

Daleko nam jeszcze do pełnego rozkwitu, drogę jednak ku niemu mamy zapewnioną. Piękno przyrody, którym Stwórca tak hojnie obsypał Orawę ma już dziś dużo wielbicieli. Pożądaniem jest ze wszelkich względów — a przedewszystkiem narodowych i turystycznych — aby do nas dużo rodaków przyjeżdżało. Dla tych, którzyby pragnęli spędzić lato na Orawie, dodaję kilka informacji.

Jak sobie zabezpieczyć mieszkanie? Przypominam, że każdego czeka łóżko ze słomą! Z pościeli należy przywieźć koldry lub koce, bo gościnicy bardzo niechętnie dają swe pierzyny. Po doświadczeniach dwuletnich wyszukiwanie mieszkań jest rzeczą bardzo niewdzięczną. Najlepiej, aby sobie każdy sam wyszukał mieszkanie w kwietniu lub maju. Lecz nie wszyscy mają czas i pieniądze na tak daleką podróż: takim więc księża miejscowi chętnie udzielą wiadomości a nawet i mieszkanie wyszukają.

W każdym zaś razie, przed wyszukaniem mieszkania trzeba się koniecznie porozumieć z miejscowym księdzem, lub nauczycielem, aby się dowiedzieć jaki czynsz można zapłacić.

Koleją dojeżdża się do Czarnego Dunajca przez Nowy Targ, gdzie się przesiada. Dotąd tak bywało, że do Cz. Dunajca sami gazdowie jeździli lub wysyłali furkę po uprzednim zawiadomieniu listownym lub telegraficznym. Furka wynajęta w Cz. Dunajcu jest znacznie droższa. Dla tych którzyby pragnęli znaleźć mieszkanie, jest codziennie sposobność dostania się do Jabłonki furką pocztową, ale tylko rano.

Dla Lipnicy Wielkiej i Małej, dla Zubrzycy Dolnej i Górnej i dla Orawki urząd telegraficzny jest w Jabłonce, gdzie znajduje się i rozmównica telefoniczna. Dla Podszkła jest urząd telegraficzny i telefon w Podwilku. Orawka i Podszkle nie mają urzędu pocztowego, lecz postaniec pocztowy dochodzi codziennie. Lekarz i apteka są w Jabłonce, — kościół i parafia wszędzie. Na większe zakupy jeździ się do Jabłonki, chociaż prawie wszystko można kupić na miejscu. W Jabłonce zawsze można wygodnie i czysto przenocować. W wioskach leżących również, z wyjątkiem sezonu, w którym nie można przyjeżdżać bez uprzedniego zamówienia sobie noclegu. Wycieczki krajoznawcze na Babią Górę mogą się zawsze zwrócić w podobnych sprawach do p. Eugenjusza Machaya, lub p. Emila Miki w Lipnicy Wielkiej na Orawie. Na wszelkich korespondencjach należy napisać wyraźnie: „na Orawie, przez Nowy Targ“, bo nasze poczty albo nie wiedzą jeszcze o Orawie, i skierowują listy do innych Lipnic i Zubrzyc, albo, co jeszcze gorsze, myślą Orawę z Morawą, i wysyłają nasze listy do Czechosłowacji.

Ponieważ główną przynętą do wyjazdu na Orawę jest Babia Góra, nie zaszkodzi dodać, że z Lipnicy Wielkiej i Małej oraz z Zubrzycy Górnej prowadzą ścieżki na szczyt Babiej Góry. Najwygodniejsza droga na Babią Górę jest wprawdzie od strony Półhory, która

jak wiadomo została przy Czechosłowacji, lecz i po tych ścieżkach zeszłego lata panie w warszawskich bucikach robiły wycieczki do schroniska na Babiej Górze, nie jest to więc wcale zbyt męcząca droga. Idzie się ciągle wśród borówek i jagód.

Ks. F. Machay.

Schronisko na Hali Gąsienicowcj. W kwietniu 1921 roku Oddział Warszawski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiegn rozpoczął budowę wielkiego granitowego schroniska na Hali Gąsienicowcj, organizując jednocześnie akcję mającą na celu sfinansowanie tego trudnego przedsięwzięcia.

Trzeba było naprzód przełamać opór górali, współwłaścicieli Hali i uzyskać ich zgodę na budowę. Następnie Komitet Budowy dzięki ofiarności pana Uznańskiego, właściciela lasów doliny Suchej Wody przylegającej od wschodu do Hali, otrzymał większą ilość drzewa, niezbędnego do celów budowy. Pożatem uzyskało się pomoc Plutonu Wysokogórskiego, który rozporządzał zrazu siedmioma końmi i dwudziestoma żołnierzami do pracy. Transporty odbywały się naprawioną prowizorycznie drogą leśną dnem doliny Suchej Wody z Brzeziny (na drodze do Morskiego Oka) przez polanę zwaną Pszą Trawką. Podczas okresów deszczów i niepogody droga ta, aczkolwiek niezbyt stromo wznosząca się do góry, stawała się bagnistą i przez to prawie że niedostępną; wtedy trzeba było skierowywać transporty (na wozach, lub na koniach jucznych) z Kuźnic przez Uplaz Skupniowy zwykłą, bardzo stromą drogą turystyczną. Trudny dostęp dla transportów, odległość Hali od Zakopanego, różnica wzniesień około 700 m., brak odpowiedniego pomieszczenia na miejscu budowy, ostry i zmienny klimat górski i t. p. nastręczały olbrzymie trudności. Po kilkunastu tygodniach żmudnej pracy dnia 24 lipca 1921 r. odbyła się uroczystość założenia kamienia węgielnego pod schronisko. W tym to czasie fundamenty były już założone i wykopaną suteryną, która powstała przez łupanie natrafionych skał granitowych. Dopiero jesienią O. W. Tow. Tatr. uzyskał większą pomoc wojskową, t. j. oddział saperów i pluton wojsk kolejowych. Pierwsi w ciągu dwóch miesięcy wytknęli i przetorowali w lesie nową szeroką drogę, długości około 1½ km., prowadzącą od samego schroniska w głąb doliny. Istniejąca dotychczas wąska droga na Halę była bardzo stromą, przytem prowadziła nie wprost do schroniska, tylko przez Halę Królową niżnią. Pluton wojsk kolejowych przetorował drogę do „kopalni“ piasku, odległej o kilkaset metrów od budowy

i do naturalnego kamieniołomu nad pomnikiem Karłowicza na drodze do Czarnego Stawu. Właściwa budowa mogła rozpocząć się dopiero z wiosną następnego roku, po wyzyskaniu zimy na cały szereg transportów. Stajnia plutonu Wysokogórskiego (przemienionego na pluton Detaszowany I. Pułku Strzelców Podhalańskich) na Brzezinach została uzupełniona do 14 koni. Wywoziło się na Halę cement, deski, jarzma (szyny) kolejki i t. p. a potem ściągano się z lasów doliny Suchejej Wody kłocę drzewa, przeznaczone na deski, lub też na wysyłkę do tartaku w Podgórzu, gdzie robią wszelką stolarszczyznę dla schroniska i dach drewniany. Podczas ubiegłego lata pluton wojsk kolejowych założył szyny do kamieniołomu i do piasku i woził na specjalnych wózkach materiał na miejsce budowy. Oddział saperów zaś wybrukował i wyszutrował całą drogę przetworowaną i wyrównaną zeszłego roku. Pomimo fatalnych warunków atmosferycznych przez całe lato i jesień, w połowie listopada ukończono murywanie wszystkich murów zewnętrznych, potrzebnych do wznoszenia dachu. Z powodu nastania ostrej zimy i olbrzymich opadów śnieżnych nie zdążono tylko wymurować do końca wieży schroniska, wznoszącej się zresztą niewysoko ponad cały gmach. Mury schroniska robią duże wrażenie, gdyż składają się z przeważnie olbrzymich głazów granitowych, wagi po kilka tysięcy kilogramów. Owe bloki kamienne wyciągało się do góry specjalnymi „wciągami“. Jaki ogrom pracy obejmowała dotychczas budowa mogą wskazać następujące cyfry: zużyto już 58 ton cementu, 15 ton wapna i około 600 metrów kubicznych drzewa.

Przed zimą nie zdołano nakryć schroniska dachem, który wykonywuje firma „Unia“ w tartaku w Podgórzu. Prawdopodobnie na wiosnę 1923 roku postawi się dach na granitowym gmachu, a podczas lata i jesieni wykonywane będą wszelkie prace wewnątrz schroniska. Tymczasem miesiące zimowe użytkowuje się znowu na szereg transportów.

Oddział Warszawski Polsk. Tow. Tatrzkańskiego oparł akcję finansową na sprzedaży udziałów, wysokości najmniejszej 5.000 Mp. Udziałowcy korzystać będą później z wszelkich ulg i zniżek i otrzymują pierwszeństwo w noclegach. A tylko ci udziałowcy, którzy kwotą minimalnie 50.000 Mp. przyczynią się do powstania schroniska będą mogli korzystać z prawa nieograniczonego co do czasu prawa zamieszkiwania na Hali Gąsienicowej.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa schronisko będzie całkowicie oddane do dys-

pozycji turystów z początkiem lata 1924 roku.

A. Schiele.

Schronisko narciarskie w Sławsku. Poświęcenie schroniska Karpackiego Towarzystwa Narciarzy w Sławsku odbyło się w czasie zawodów w dniu 11 marca 1923 w południe, przy udziale lwowskich przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych, delegatów Towarzystw i licznej publiczności. Schronisko stoi o kilkaset kroków od stacji kolejowej na miejscu dawnego, zbudowanego w latach 1910/11 a spalonego przez wojska rosyjskie w r. 1915. Budowę rozpoczęto w lecie 1922 i doprowadzono, mimo niezwykle słotnej jesieni, z początkiem zimy do takiego stanu że już na Boże Narodzenie mogła być częściowo oddana do użytku. Mimo pomocy ze strony władz Odbudowy Ministerstwa Robót Publicznych i szeregu firm przemysłowych budowę opóźniał brak funduszy, gdyż Towarzystwo przystąpiło do robót zniszczone przez wojnę, prawie bez środków.

Schronisko którego parter stoi na wysokości podmurowaniu kamiennym z takimiż filarami i jest wyprawione zewnątrz i wewnątrz, zaś wyższe kondygnacje wykonane w konstrukcji wieńcowej wyprawione wewnątrz, liczy 134 m² zabudowanej powierzchni. Dół obejmuje sieni, obszerną salę jadalną, sypialnię i kuchnię dla dozorczy, — pierwsze piętro sieni, dwie większe i dwie mniejsze sypialnie, prócz tego w mansardzie są jeszcze dwie sypialnie. Dzięki użyciu łózek piętrowych wyzyskano miejsce lepiej niż w starym schronisku, mieszcząc 56 łózek i tapczany na kilkanaście osób. Łóżka zaopatrzone są w sieni, koce i prześcieradła. Wartość budynku z urządzeniem wynosi ok. 15.000 zł. p.

Zbudowane głównie jako środek do wyzyskania nadzwyczajnych terenów Sławska jest schronisko również bardzo ważne dla turystyki letniej, jako jedyna na obszarze Karpat Wschodnich instytucja dająca większej liczbie osób wygodne i czyste pomieszczenie. Dlatego Lwowski Oddział P. T. T. przyczyniwszy się pieniężnie do budowy uzyskał dla członków P. T. T. w sezonie wiosennym i jesiennym (na miesiące wakacyjne większa część schroniska zostanie wynajęta letnikom) te same zniżki i udogodnienia które przysługują członkom K. T. N. (Ilustracja przedstawiająca schronisko znajduje się na str. 244).

Z. K.

Turystyka w Komisji sejmowej. Na posiedzeniu w Sejmowej Komisji Robót Publicznych w marcu, zdawał sprawę referent

dla spraw turystyki Dr. Mieczysław Orłowicz z działalności swego wydziału.

Wobec tego, że fundusze, jakimi dysponował referat turystyki były bardzo szczupłe (rocznie przeciętnie suma równa 500 dolarom), a w referacie tym pracują tylko dwie osoby, akcja państwowa na polu popierania turystyki ograniczyła się do tych tylko działań, które wykonać się dały bez absorbowania większych kapitałów siłami dwóch osób. W kierunku czynnego popierania turystyki subwencjonowano budowę schronisk turystycznych na Hali Gąsienicowej w Tatrach, na Czarnogórze, na Stożku w Beskidach Śląskich, odbudowę schroniska narciarskiego w Sławsku, oraz domów wycieczkowych dla młodzieży w Zakopanem i Pucku. Towarzystwo Tatrzańskie otrzymało kilkakrotnie subwencję na naprawę ścieżek w Tatrach i zaopatrzenie schronisk zimowych. Dla poparcia rozwoju Zakopanego przeprowadzono w r. 1919 ankietę na miejscu i wydano jej protokół drukiem. Dla użytku wydawnictw ilustrowanych założono archiwum fotograficzne. W dziedzinie wydawnictw

wyszły dotychczas w opracowaniu dr. Mieczysława Orłowicza ilustrowane przewodniki po woj. Poznańskim, Poznaniu, Lwowie, Spiszu, Orawie i Czadeckim, Gdańsku, Warszawie i kilka innych. W druku znajdują się przewodniki po Mazurach Pruskich i Warmji, po woj. Pomorskiem, po Śląsku Opolskim, zaś w opracowaniu przewodniki po Krakowie, oraz po całej Polsce.

Wydanie tego ostatniego przewodnika, a to tak w języku polskim, jak w języku francuskim i angielskim dla użytku cudzoziemców, jest podstawowym warunkiem dla rozwinięcia ruchu turystycznego w Polsce. Jego wydanie zależy od powiększenia budżetu na cele referatu turystyki, od którego zależną też jest akcja dla podniesienia hotelarstwa w Polsce, która stać się winna wstępem do propagandy zagranicznej dla ściągnięcia turystów zagranicznych do Polski.

Apelem do posłów, aby umożliwili intensywniejszą akcję na rzecz turystyki i krajoznawstwa w Polsce zakończył dr. Orłowicz swe sprawozdanie.

STOWARZYSZENIA I INSTYTUCJE.

Muzeum Tatrzańskie im. dr. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. W trzydziestoletniej przeszło historii Muzeum Tatrzańskiego rok 1922 jest ważną datą. W lipcu nastąpiło bowiem uroczyste poświęcenie nowego muranego budynku i udostępnienie zbiorów dla publiczności. Jednocześnie zreorganizowało się Tow. muzealne na wzór Towarzystw naukowych. Cały ubiegły rok poświęcono wykończaniu gmachu o tyle, o ile na to pozwalały fundusze, za małe, aby budowę całkowitą doprowadzić do końca. Cały szereg prowizorjów będzie dopiero w miarę funduszy usunięty. W kończeniu kierowano się odsuwaniem na przyszłość wszystkiego, co było luksusem, a zajęto się jedynie najkonieczniejszymi szczegółami. Zbiory przyrodnicze i etnograficzne ustawiono i poroźwieższano w salach muzealnych, przyczem etnograficzne, powiększone w ostatnich latach kilkakrotnie, rozpoczęto katalogować. W urzędzeniu sal były niemałe trudności, gdyż dział przyrodniczy nie posiada dostatecznej ilości szaf i gablot, a dział etnograficzny niema ani jednej witryny. Z otwarciem Muzeum rozpoczął się żywy ruch naukowy i korzystanie ze zbiorów przez badaczy Tatr i Podhala. Przyczyniło się ku temu niemałe udostępnianie ubikacji mieszkalnych w budynku instytucji pracownikom naukowym, tak przyrodnikom, jak i etnografom. Wzamian za tę pomoc, odgrywającą dużą rolę w dzisiejszych

ciężkich czasach, zbiory muzealne są opracowywane przez właściwych ludzi, nadto pracownicy kolekcjonują często dla Muzeum okazy i odstępują część własnych kolekcji. Stałe pomieszczenie w budynku muzealnym ma obserwator tutejszej stacji meteorologicznej, coraz ściślej wiążącej się z instytucją muzealną. Ponadto zainicjowano, względnie wzięto udział w szeregu ekspedycji przyrodniczych w Tatry. Nawiązano ściślejszy kontakt z miejscowymi i pozamiejscowymi instytucjami kulturalnymi i naukowymi, podejmując wielokrotnie wspólne prace. Dzięki opiece Sekcji Nauki w M. W. R. i O. P., a zwłaszcza p. Stanisława Michalskiego, zdolano rozpocząć lub posunąć naprzód sporo zadań, przed którymi stoi instytucja. Nie wystarcza jednak pomoc rządu; potrzeby Muzeum i braki czy w bibliotece czy w okazach są jeszcze bardzo duże, jedynie nieustająca ofiarność władz samorządowych i społeczeństwa może stworzyć w Zakopanem pierwszorzędną naukową placówkę, jaka powinna znajdować się pod Tatrami w tak niezwykle pięknym i ciekawym zakątku naszego kraju. Rozpoczęte prace naukowe, jak i wydawnictwa, zainicjowane „Rocznikiem Podhalańskim“ nie mogą doznać przerwy. Tylko z pomocą miłujących Tatry kulturalnych warstw społeczeństwa ku pożytkowi nauki i sztuki sprostą instytucja bardzo szeroko zarysowanemu programowi swej działalności.

Przewodniczącym Kuratorjum jest prof. Uniw. Jag. dr. Władysław Szafer.

Na czele Dyrekcji, złożonej z kustoszów i trzech członków Kuratorjum, stoi senator Ksawery Prauss.

Kustoszem działu przyrodniczego jest dr. Konstanty Stecki, profesor zakopiańskiego gimnazjum, działu etnograficznego Juliusz Zborowski, będący jednocześnie administratorem.

Dom Wycieczkowy im. ks. Józefa Stolarczyka w Zakopanem. Dom wycieczkowy dla młodzieży, jedna z najbardziej żywotnych instytucji zakopiańskich, odegrał w ubiegłym roku, podobnie jak w poprzednich latach, pierwszorzędną rolę w ruchu wycieczkowym, zwłaszcza wśród młodocianych i niezamożnych turystów. Po spaleniu przed dwoma laty odbudował go Oddział Podhalański Pol. Tow. Krajoznawczego ze zdumiewającą szybkością i energią, w czem niemal wyłączną zasługą wiceprezesa, Ksawerogo Praussa. W 1922 r. mimo wielkich finansowych trudności uzupełniano dalej rozbudowę przez wystawienie tylnej części budynku. Wyczerpało to w zupełności budżet Tow-a, tak że dopiero w bieżącym roku po otrzymaniu zasiłków z warszawskiej centrali można przystąpić do wykończenia tej adaptacji i jej wewnętrznych urządzeń. Mimo iż zasiłki są wcale znaczne, wątpliwe, czy wobec niezmiernej drożyzny materiałów uda się dobudować w zupełności przystosować dla użytku licznych wycieczek. A sprawa to pilna, gdyż z roku na rok coraz gwałtniej w Domu Wycieczkowym. W sezonie letnim przedewszystkiem dochodzi do maximum ilość noclegów, a sprawna administracja robi wszelkie możliwe wysiłki, aby zaspokoić wszystkie zgłoszenia. Statystyka za 1922 podaje, iż wydano ogółem 13.810 noclegów. Wśród korzystających z dobroczynnej instytucji przewijali się akademicy, harcerze, wojskowi, młodzież wszelkich szkół i nauczyciele, członkowie związków młodzieży wiejskiej, kółek polskich, kolejarze i t. d. Przybywali i całej Polski, nawet z poza jej granic. Dokładne wykazy statystyczne ruchu w schronisku zasługują na uwagę ze strony zajmujących się fizycznym wychowaniem młodzieży z oświatą pozaszkolną. Cyfr dokładnych przytaczać na tem miejscu nie sposób. Podajemy jedynie dane dla zobrazowania ruchu w niektórych ośrodków. I tak Warszawa dostarczyła 3.275 noclegujących, Kraków 1.470, Poznań 922, Łódź 871, Piotrków 582, Lwów 525, Białą 400, Łomża 360, Białoruś 314, Dąbrowa Górnicza 299, Wilno 288, Pomorze 282, Ostrowiec 270, Rzeszów 264, Lublin 240. Nie-

mniej ciekawe obserwacje możnaby zebrać z zakresu zachowania się i wychowania młodzieży, niestety, niezawsze korzystne. Poszanowanie publicznego dobra, zamiłowanie czystości i porządku, a czasem i koleżeńskie stosunki między wycieczkami, obozującymi pod jednym dachem, pozostawiają jeszcze dużo do życzenia. Tem korzystniejszą na tle ogólnego poziomu odbijały wycieczki szkolne, odznaczające się wzorową karnością. Z.

Tatrzańskie Pogotowie Ratunkowe. Zaśluzone w kronice nieszczęść i wypadków w Tatrach Towarzystwo było w 1922 r. tak samo czynne, jak w ubiegłych latach i kilkanaście razy spieszyło z pomocą i ratunkiem w góry. Mniejsze interwencje były w letnim sezonie o wiele częstsze, niż wyprawy w poważnych wypadkach. Do rzędu ostatnich należy zaginięcie bez śladu w okolicy Morskiego Oka 21-letniego akademika Kuleczyckiego, który wyszedł ze schroniska na przechadzkę i już nie powrócił; mimo starannych poszukiwań do dziś dnia nie natrafiono na żaden szczegół, wyjaśniający zagadkowe zaginięcie. Drugim znaczącym wypadkiem było odpadnięcie Jana Małachowskiego i S. Chryca od południowej ściany Zamarłej Turni na drugim trawersie. Pośluzonych i poranionych turystów konwojowano i zniesiono do schronisk. Fundusze Twa choć skromne, w tym roku wystarczyły na pokrycie kosztów ratownictwa.

Miłą pamiątkę działalności Pogotowia w latach uprzednich, jest książka Marjusza Zaruskiego, jednego z założycieli Twa, poświęcona dziejom pozytywnej ochotniczej organizacji.

Przy tej sposobności chcemy zaznaczyć, iż po raz pierwszy w ubiegłym roku próbowano z całą świadomością fałszywie zaalarmować Pogotowie. Rzekomy nieszczęśliwy wypadek przy zdjęciach sztuki filmowej w górach skompromitował dostatecznie aranzjerów tego karygodnego wybryku, który mógł spowodować bezcelową wyprawę kilkunastu ratowników, ochotniczo pełniących humanitarny obowiązek niesienia pomocy ofiarom gór, wyprawę połączoną z poważnymi kosztami i uniemożliwiającą ratunek tam, gdzieby tego istotnie zaszała potrzeba. Miejsmy nadzieję, że ten niekulturalny incydent pozostanie nadal wyjątkiem. Z.

Karpaćkie Tow. Narciarzy w r. 1922/23. Główny wysiłek Wydziału poświęcony był ukończeniu i urządzeniu schroniska w Sławsku. Warunki śnieżne były w górach bardzo korzystne, pokrywa śnieżna zalegała bowiem od

połowy listopada do połowy kwietnia, natomiast w okolicy Lwowa sezon, przerywany kilkakrotnie trwał tylko około 6 tygodni. Urządzono 30 wycieczek jednodniowych w Bieszczady, w których brało udział od kilku do kilkudziesięciu osób i 2 wycieczki kilkudniowe w Gorgany. Urządzono 3 kursy dla początkujących we Lwowie, zaś w Sławsku kurs biegu płaskiego i skoku, prowadzony przez I. Dévana z Budapesztu. W dniu 4. lutego zorganizowało Two doroczny bieg z Trościana, zaś 10 i 11 marca Główny Zawody Związkowe o mistrzostwo Polski. Członkowie Two startowali w powyższych zawodach, tudzież w zawodach innych Towarzystw w Sławsku, Tuchli i Zakopanem, biorąc szereg nagród. Towarzystwo prowadziło wypożyczalnię nart dla młodzieży, a gdy fabryka zakopiańska nie wykonała naszego zamówienia, zorganizowaliśmy fabrykację nart we Lwowie. Łącznie z Lwowskim Oddziałem P. T. T. interwenjowaliśmy skutecznie u władz kolejowych w sprawie polepszenia połączeń kolejowych na linii Lwów-Lawoczne. Członków liczyło Two z końcem sezonu około 250. Prezes: dr. Z. Klemensiewicz, zastępca: por. B. Loteczka, sekretarz: A. Lenkiewicz. (Adres: Lwów, ul. Ossolińskich 11, II. p.)

Tow. „Sztuka Podhalańska” w Zakopanem. Od kilkunastu lat istniejąca „Sztuka Podhalańska” urządziła w ubiegłym roku dwie wystawy obrazów i rzeźb, w bieżącym jedną. Obok ekspozycji z zakresu plastyki uwzględniono w pewnej mierze wyroby z działu przemysłu artystycznego, przyczem uderzała znikoma ilość wyrobów drzewnych w porównaniu z haftami, batikami i lalkami. W wystawach wzięli udział prawie wszyscy miejscowi artyści, oraz kilku zamiejscowych. Poza wystawami, które wypełniają sezon letni i zimowy, Tow-o zajęło się sprawą t. zw. „zakopiańskich” wyrobów drzewnych, których poziom bardzo się obniżył w ostatnich latach. Część zresztą owej „zakopiańszczyzny” pochodzi z zagranicy (Tyrol). Celem zapobieżenia sprzedaży produktów zagranicznych i miejscowych bez artystycznych zalet, zwołało Tow-o ankietę zakopiańskich wytwórców i kupców, która zakończyła się uchwałą o konieczności Komisji dla urządzania konkursów na projekty z zakresu przemysłu artystycznego. Konkurs na drobne przedmioty z drzewa ogłosiło Tow-o jeszcze przed zwołaniem owej ankiety; niestety, ilość nadesłanych projektów była bardzo mała. W akcji przeciw zniesieniu oddziału rzeźby figuralnej w zakopiańskiej Szkole przemysłu drzewnego „Sztuka Podhalańska” dała inicjatywę i łącznie z kilku

miejscowymi instytucjami przesłała memorjał w tej sprawie do Min. W. R. i O. P., oraz postarała się o poruszenie jej w prasie. Energetyczna akcja odniosła częściowy tylko skutek, gdyż oddziału wprawdzie na razie całkowicie nie zniesiono, zredukowano jednak znacznie jego inwentarz, przenosząc sporą ilość narzędzi do jednej ze szkół w Krakowie.

Działalność „Sztuki Podhalańskiej” dla braku funduszy, małego lub żadnego poparcia władz autonomicznych i centralnych, dla braku własnej sali wystawowej, jest bardzo ograniczona. Wielkie trudności, w jakich znajduje się w Polsce sztuka i artyści, nie pozwalają na pełne urzeczywistnienie zadań Tow-a, mającego chlubne wspomnienia z przedwojennych czasów. Z.

Związek Podhalański. Związek Podhalański, który rozwinął się ze zjazdów wakacyjnych inteligencji, bawiącej w stronach rodzinnych, przeniósł swą siedzibę i pole działania ze swym prezesem Jakubem Zachemskim do Nowego Targu od wakacji 1920/21. Powstały za inicjatywą prezesa „ogniska podhalańskie” w Odrowążu, Waksmundzie, Dębnie, Zubsuchem, które zabrały się rąco do pracy oświatowej, tworząc Czytelnie, przygotowujące sceniczne przedstawienia i obchody narodowe. Ale wielki brak środków materialnych i książek, a nawet systematyczne podkopywanie ogniska ten rozmach załamały; w żywotności nie ustało ognisko Waksmundzkie, które z przedstawień zebrało sobie spory fundusz jak na tak małą wioskę; tak samo w Zubsuchem.

Te dwa lata ciężkiej powolnej walki z miejscowymi trudnościami nie wyczerpały jednak zapału Zarządu Związku Podhalański, który w 1922 roku zabrał się do organizowania kursów kilimkarskich w Nowym Targu, Szaflarach i Zubsuchem. Przeszłoroczny kurs kilimkarski w Szaflarach dał Zarządowi bogate doświadczenie; szło wszystko jak z kamienia, ale przecie się zrobiło początek, który teraz tylko trzeba rozszerzyć. Zamówiono już pięć warsztatów kilimkarskich, a gdy znów pokona się trudności z temi trzema kursami, dalsze w innych miejscowościach, pójść łatwiej, bo już są warsztaty i majster i instruktorki się wyrobili.

Władze polskie okazują ruchowi kulturalnemu na Podhalu bardzo wiele życzliwości, otaczają go swą opieką i udzielają pomocy. Trzeba ponownie najdotkliwiej zaznaczyć, że ogniska podhalańskie tam najlepiej się rozwijają, gdzie w nauczycielstwie znalazły czynnik kierowniczy; Pan Pachucki w Waksmundzie, p. Palczewski w Szaflarach,

p. Tatarówna w Zubsuchem mają zasługę, że Ogniska w tych wioskach w tak ciężkich warunkach rozszerzają swą działalność.

Niech tu wolno będzie nadmienić, że taka praca od dawna była niezbędna. Klimat syberyjski, gleba skalista, najdalszy zakątek Polski, dokąd ruch oświatowy nie dochodził, jakby się zmówiły przeciw tutejszej zabiedzonej ludności, która za pracą musiała chodzić do „Polski“ (Kongresowej), za Cisę, do Pesztu, byle tej ziemi niewdzięcznej z rąk nie puścić, ale owszem władanie nią rozszerzyć na obie strony Tatr i na Spisz i na Orawę. A przecie jest to ważny posterunek, gdyż na naszą gospodarkę badawczo spoglądają sąsiedzi Słowacy i Czesi.

Te stosunki trzeba Polsce zjednoczonej ciągle przypominać, dla tej ludności o pomoc najwydatniejszą wołać, a przynajmniej zdobyć poparcie dla tego spokojnego szlachetnego ruchu oświatowo-przemysłowego, którym kieruje Związek Podhalań.

Są to maluczkie początki, gdyż przed Zw. Podh. obrzymia robota, jeśli oświata pozaszkolna i uprzemysłowienie na Podhalu mają stanąć na właściwym poziomie. Narzekamy, że lud nie ma zaufania do swej inteligencji — byłoby cudem, gdyby je miał za platoniczne „Kochajmy się“ — mamy tu pole do popisu, zakazamy rękawy i choć pot perlisty okryje nam czoła, a ludzie będą sądzić o polityczne dążenia, wytrwajmy na stanowisku obywatelskiem, a z pewnością już syny tego ludu oświeconego i z tego zabiedzenia podniesionego będą się zwracać do przyszej inteligencji z całym zaufaniem.

Ks. *Czesław Łukasik*, sekretarz Z. P.

Akademicka Sekcja Związku Podhalań.

Do liczby stowarzyszeń, działających na gruncie podhalańskim, dołączyła się także młodzież szkół wyższych pochodząca z Podhala, Spisza, Orawy oraz sąsiednich okolic. Na Zjeździe Podhalań w 1921 r. w Nowym Targu zawiązała się Akademicka Sekcja Związku Podhalań, dzieląc się na Ogniska: Krakowskie, lwowskie, poznańskie i warszawskie. Statutem objęto dwa kierunki pracy. Pierwszy na terenie akademickim, dążący do współżycia towarzyskiego i wspomagania się wzajemnego, oraz zaznajomienia się z przeszłością i bytem współziomków. Drugi kierunek, to praca oświatowo-społeczna wśród ludu przez zakładanie czytelni, bibliotek, Kółek rolniczych, Kół młodzieży, urządzenie odczytów, zebrań, zabaw i t. p.

Pierwszy rok istnienia Sekcji był raczej okresem organizacyjnym, jakkolwiek i w pracy programowej zaznaczył się już dodatnio. Okre-

sowe zebrania w Ogniskach wytworzyły spistość oraz zapoznały z zagadnieniami Południowych Kresów. Celem zaznajomienia młodzieży z literaturą tego zakresu, przystąpiono do tworzenia biblioteki w Ognisku Krakowskiem.

Klub Sportowy „Krokus“. W maju 1922 z inicjatywy Sekcji Narciarskiej zawiązał się w Zakopanem Klub Sportowy „Krokus“. Sekcja wyszła z założenia, że letnie ćwiczenia lekkoatletyczne w dużej mierze wpływają na zimowe uzdolnienie narciarzy. Celem zatem było umożliwienie używania sportów podczas lata. Niedawno założony Klub rozwinął się bardzo szybko i okazał dużą żywotność i energię. Posiada trzy sekcje: lekkoatletyczną, tenisową i piłki nożnej. Pierwsza zakupiła liczne przybory sportowe, prowadziła stałe ćwiczenia i urządziła pierwszy w Zakopanem bieg okrężny, w którym zwyciężył znany narciarz Andrzej Krzeptowski; drugie i trzecie miejsce zdobyli E. Wilga i A. Rozmus. Sekcja tenisowa pod kierunkiem F. Łabuńskiego zbudowała mimo wielkich trudności i kosztów własne, własne boisko tenisowe w parku hotelu „Stamara“; parcelę na boisko ofiarowała bezpłatnie p. Budziszewska. Wobec braku kortów tenisowych w Zakopanem, frekwencja na boisku K. S. „Krokus“ była bardzo wielka. Na przyszłość zamierza klub budować dalsze boiska w miarę funduszy. Na własnym boisku urządzono w dniach 22 do 29 sierpnia turniej o Mistrzostwo Zakopanego. Tutejsze władze, instytucje i osoby prywatne przyszyły z pomocą w tem przedsięwzięciu i ofiarowały szereg pięknych nagród dla zwycięzców. Liczna publiczność przyglądała się codziennie zawodom. Sekcja piłki nożnej ćwiczyła stale na boisku pod Autołówką przy zbiegu ulic Witkiewicza i Jagiellońskiej pod kierunkiem K. Schielego. Urządzała liczne mecze, wyjeżdżała na zawody poza Zakopane, sprowadzała również kilka drużyn zamiejscowych.

Brak odpowiedniego boiska jest największą przeszkodą w rozwoju klubu. Jest jednak nadzieja, iż sprawę tę poprze zwierchność gminna, której naczelnik, p. Medard Kozłowski, okazywał zawsze rzadkie zrozumienie dla sportu, jako ważnego czynnika dla zdrowia społeczeństwa. W planie regulacji Zakopanego umieścił arch. Karol Stryjeński, autor nagrodzonego projektu regulacyjnego, osobny park sportowy dla sportów letnich i zimowych, i w dalszym ciągu razem z miejscowymi sportowcami ustala odpowiednio dla tego celu urządzenia.

Klub liczy 60 członków czynnych. Tru-

dności finansowe zdołał zmiejszyć dzięki pomocy Zwierzchności gminnej, Komisji klimatycznej oraz kilku prywatnych osób. Prezesem klubu jest dr. G. Nowotny, zastępca kpt. Denhof-Czarnocki, sekretarzem Henryk Grosman, skarbnikiem L. Wolski; nadto w skład zarządu wchodzi kierownicy sekcji: F. Łabuński, A. Miłobędzki i K. Schiele. — Z.

Towarzystwo teatru i chóru ludowego w Nowym Targu. Z końcem listopada 1912 r. Kółko, jakie jeszcze w roku 1908 skupiło w sobie grono ludzi ze sfer ludowych w celach oświatowych, stworzyło na Podhalu placówkę kulturalno-oświatową pod nazwą „Towarzystwo teatru i chóru ludowego w Nowym Targu“.

Towarzystwo podjęło pracę jednocząc członków w zespół chóralski w sile około 40 osób, zaś teatralny około 20 osób i mimo wojny i różnych trudności praca była owocną, bo od założenia, t. j. od r. 1913 do dziś, dało Towarzystwo 20 przedstawień ludowych, zabaw towarzyskich w miejscu odbyło się około 25, wycieczek w powiecie 36, poza powiat 4; prócz tego chór Towarzystwa brał udział w każdej uroczystości narodowej oraz występuje w każdą niedzielę i święto, nadto bierze udział już to za opłatą lub z własnej woli podczas ślubów i pogrzebów.

Towarzystwo liczy obecnie 270 członków obojga płci, którzy z ochotą podejmują każdą pracę w Towarzystwie.

Urządziło też Towarzystwo w roku ubiegłym kurs hafciarski 8-mio tygodniowy na który uczęszczano 22 członkini.

Obecnie otrzymaliśmy Delegaturę okręgową Związku teatrów i chórów włościańskich we Lwowie na pięć powiatów okolicznych, które obowiązkiem będzie tworzenie nowych placówek i wspomaganie tychże moralnie by się rozwijały należycie.

wiceprezes *Jan Krauzowicz.*

RÓŻNE ZAPISKI.

Ku czci poległych uczniów gimnazjum w Nowym Targu wmurowano pamiątkową tablicę w budynku gimnazjalnym. Uroczyste odsłonięcie tego pomnika, poświęconego wychowankom zakładu poległym w czasie wojny w obronie Ojczyzny, odbyło się w maju 1922 r. Tablicę projektował prof. Jan Gołębiowski, wykonał rzeźbiarz Andrzej Trzebnia z Zakopanem. Trwały pomnik 27 młodościadców bohaterów, których nazwiska wyryto nad napisem „Potomnym przekazaćcie“, powstał ze składek i ofiar. Materiał na tablicę ofiarował zarząd wapiennika w Szaflarach. Z.

Zakopane w przededniu nowej administracji uzdrowiskowej. W myśl ustawy o uzdrowiskach z dnia 23 marca r. 1922 i noweli z dnia 28 lipca tegoż roku, Ministerstwo Zdrowia Publicznego zlikwidowało dotychczasową Komisję Klimatyczną, powołało do życia Tymczasową Komisję Uzdrowiskową, która pracuje od dnia 1 grudnia r. 1922.

Wydział Wykonawczy T. K. U. stanowią: dr. Józef Diehl przewodniczący, poseł Medard Kozłowski jego zastępca, dr. Tadeusz Gabryszewski sekretarz i dr. Gustaw Nowotny skarbnik. Do T. K. U. należą nadto: Jan Kowalski, Jan Pęksa, Wojciech Roj i dr. Konstanty Stecki (delegat P. T. T.).

Z dotychczasowych prac T. K. U. o trwałym znaczeniu wymienić należy przede wszystkim: projekt statutu Zakopanego jako uzdrowiska, projekt granic obszaru ochrony sanitarnej i preliminarz budżetu na rok 1923, w którym po raz pierwszy przeznaczono poważne kwoty na popieranie turystyki i sportów, na roboty w Tatrach i badania meteorologiczne.

W pierwszych dniach maja ma się odbyć w Warszawie posiedzenie Państwowej Rady uzdrowiskowej, na którym ma być rozpatrzone i przyjęty statut uzdrowiska zakopiańskiego, zakończy się wtedy stan prowizorjum i wybrana zostanie stała Komisja Klimatyczna. Już z końcem kwietnia zjechać ma do Zakopanego komisja z ramienia Ministerstwa Robót Publicznych celem ostatecznego zatwierdzenia planu regulacyjnego. Są to zadania dla rozwoju Zakopanego jako uzdrowiska i stacji turystycznej epokowego znaczenia.

D.

Ze Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem. Kierownikiem Szkoły mianowało Min. W. R. i O. P. arch. Karola Stryjeńskiego, który w połowie marca 1923 r. objął urządowanie.

Drugie międzynarodowe zawody narciarskie w Zakopanem odbyły się 16—18 lutego b. r. Stanęło do nich przeszło 110 zawodników, z których ponad 50 należało do miejscowej Sekcji narciarskiej P. T. T.. Do mety dojechało ponad 70. Trasa: z nad Czarnego Stawu Gąsienicowego, przez Hałę Gąsienicową, Karczysko, Hałę Kopienicką, przez Kopieniec ku szosie, popod Nosal na Antolówkę; razem około 17 km. Pisma sportowe (Przegląd Sportowy, Sport, Tygodnik Sportowy) oddają pochwały techniczno-sportowym urządzeniom, jednakowoż stwierdzają

zgodnie, że jako „międzynarodowe“, zawody te w zupełności zawiody, ponieważ oprócz Węgrów nie przybyli wcale obcy zawodnicy. Przyczyn tego dopatruje się Przegląd Sportowy w nieobecności polskiego delegata na międzynarodowym kongresie narciarskim w Pradze; Czesi mieli jakoby nam „uszyć buty“. Prawdopodobniejszym jest, że powodem była nieznajomość stosunków i może dlatego Francuzi przysłali tylko dwóch delegatów nie zawodników, aby zapoznać się z warunkami zawodów. Podobno jednak to co widzieli nie zupełnie mogło ich zachęcić do udziału w przyszłych zawodach. Krytyce pism sportowych ulega trasa; na zachodzie praktykowane są przy zawodach duże biegi płaskie, a w biegach zjazdowych, wymagających specjalnej techniki a nadto znajomości terenu, miejscowi narciarze mieliby od razu zapewnić pierwszeństwo, co nie jest zachętą dla obcych przybyszów. Trasie tegorocznej zarzucają ponadto że w znacznej części prowadziła lasem, zaczem poszło połamanie wielkiej ilości nart. To wszystko jednak jeszcze wstydu nie przynosi i łatwo z tego wyleczyć się można. Gorzej przedstawia się inna strona sprawy, za którą trzeba się rumienić: ów „dancing“ uprawiany u Trzaski, którego wyniki wcale chyba nie były w programie urządzającego zawody P. Z. N. Temu stanowczo na przyszłość trzeba zapobiedz. Tytuł mistrza Tatr na rok 1923 za wynik kombinowany w biegu głównym i skoku otrzymał p. Franciszek Bujak z SNPTT.

Zawody narciarskie w Sławsku. Główne Zawody Związkowe w jeździe na nartach o mistrzostwo Polski na rok 1923 odbyły się w dniu 10 i 11 marca w Sławsku przy licznym udziale zawodników z Zakopanego (S. N. P. T. T.), Krakowa (S. N. A. Z. S.) i Lwowa (K. T. N., S. N. Czarni, Pogoń). Organizowało je z polecenia Polskiego Związku Narciarskiego Karpackie Towarzystwo Narciarzy we Lwowie. Pogoda, piękna w pierwszym dniu zawodów, zepsuła się w niedzielę, co wpłynęło ujemnie na jakość śniegu. W sobotę odbył się bieg główny seniorów I-ej i II-giej klasy, tudzież bieg młodzików. Trasa biegu głównego, doskonale wyznaczona, prowadziła z Kniłyszca przez Wysoki Wierch (1231), Płaj i Kiczercę, u której stóp znajdowała się meta. Z pomocą kilku wielkich wyboczeń z linii grani osiągnięto długość ponad 18 km. Startowało w klasie I-ej 10, w klasie II-giej 13 współzawodników, z czego do mety przyszło 19, wszyscy w czasie krótszym od maksymalnego (najkrótszy czas osiągnął Micken-

brum S. N. P. T. T. 1:14'51"). Zaraz potem odbył się bieg młodzików po tej samej trasie, lecz z punktu położonego na połowie drogi.

Następny dzień rozpoczęły skoki młodzików na małej skoczni na Kiczercze. Do biegu jazdy stylowej wyznaczono szlak na północnym stoku Kiczerki. Przepisane ewolucje: telemark, christiania, przeskok, skok w terenie z wysokim. O rezultacie stanowiła klasyfikacja stylu i czas. 1. A. Krzeptowski [S. N. P. T. T.], 2. Kafiński [S. N. A. Z. S.], 3. Rozmus [S. N. P. T. T.]. Popołudniu odbyły się na wielkiej skoczni pod Zielonym Wierchem skoki seniorów. Z powodu odwilży i rozmiękłego śniegu skoki były krótkie i naogół niepewne. W kombinacji biegu i skoku otrzymał pierwsze miejsce i tytuł mistrza Krzeptowski, zeszloroczny mistrz Polski z notą 1,612, Mückenbrunn 1,803, Rozmus 2,01.

U sąsiadów. Dnia 2 lipca 1922 r. obchodziło — „węgierskie“ niegdyś, dziś bezprzymiotnikowe — Towarzystwo Karpackie zjazdem w Szmeksie, swój 50 letni jubileusz. Pol. Tow. Tatr. reprezentowali na zjeździe dr. Mieczysław Świerż i dr. Józef Diehl. Delegacja polska, powitana we wstępnym przemówieniu przez przewodniczącego dr. Michała Guhra, doznała bardzo serdecznego przyjęcia. Też oba Towarzystwa (nasze młodsze od Karpackiego o kilka miesięcy), półwiecze całe przeżyły we współpracy i w jaknajlepszych stosunkach. Na lat tylko kilka zamoczyła ten stosunek sprawa Morskiego Oka; po jej załatwieniu stosunki poprawiły się znowu, jasnym bowiem musiało być dla tamtej strony, że nie miała słuszności. Obecnie dla T. K. przyszła oczywiście chwila ciężkiego przesilenia. Dotąd było ono węgierskiem nietylko z imienia, ale w rzeczywistości składało się z węgierskich przeważnie członków. Dziś trudno mu będzie zatrzymać ten charakter; nawet geograficznie przeniósł się jego punkt ciężkości z południa na zachód. Czy ci świeżo upieczeni miłośnicy Tatr zdołają podtrzymać stare tradycje Towarzystwa, jeszcze niewiadomo. Ten gatunek miłości, który i nam dał się poznać w sprawie jaworzyńskiej, jeszcze tego nie gwarantuje. Pustką stojący Szmeks, niegdyś pełny i gwarny, nie wróży na razie dobrze o przyszłym rozwoju turystyki po południowej stronie Tatr. Inteligencja słowacka, która na pierwszym miejscu miałaby tu coś do powiedzenia, jest za słaba, aby o nią samą oprzeć się mogło T. K. Należy życzyć bratniemu Towarzystwu aby szczęśliwie przetrwało to przesilenie;

utrzymanie koleżeńskich stosunków między obu Towarzystwami leży w interesie tak Tatr jak tatarnictwa.

Dnia 12 sierpnia zesłała się znowu reprezentacja P. T. T. z członkami T. K., a to na Polskim Grzebieniu, przy odświeżeniu tablicy poświęconej pamięci wybitnego turysty spiskiego Emeryka Teschlera, zaginionego jeszcze w roku 1919 w turniach Garlucha. Oczywiście pamięć pozgonna o koledze tatarniku jest rzeczą chwalebna, nie możemy jednak pochwalić sposobu jej ujawnienia. Zasadniczo umieszczanie jakichkolwiek tablic, pomników i napisów w strefie wysokogórskiej powinno być wykluczone. Nie jest dobrym sposobem uczczenia zmarłych fundowanie takich pamiątek, na które rzetelny tatarnik spoglądać musi z niechęcią, gdyż stanowią dla niego jakoby skazę na obliczu gór.

W Budapeszcie wychodzące czasopismo węgierskie Turistaság és Alpinizmus, poświęciło Tatom polskiemu wytwornie wydany, ilustrowany zeszyt za kwiecień i maj 1922 r. Na czele zeszytu stoi artykuł A. Henscha pt. „Tatry Polskie“, pełen dla nas sympatii: (streszcza go „Taternik“ w z. 3 i 4). Redakcja T. és A. ma na oku i cel praktyczny: zwrócenie uwagi turystów węgierskich na wartości północnej strony Tatr, w chwili gdy stosunki polityczne i walutowe oddalają ich od strony południowej.

Sprawa Jaworzyny. W końcu kwietnia b. r. na 35-tym posiedzeniu Sejmu wnieśli pp. Kozłowski (Z. L. N.) i Osiecki (P. S. L.) wniosek nagły w sprawie Jaworzyny. Nagłość motywował p. Osiecki, przypominając, że komisja delimitacyjna uchwaliła przyznać znaczną część Jaworzyny Polsce, jako jej bezwzględnie potrzebną dla wyżywienia i utrzymania ekonomicznego wsi, będących po jej stronie. Ta decyzja poszła do Paryża, przed forum Rady ambasadorów i spotkała się z kontrakcją rządu czeskiego, który zakwestjonował kompetencję Rady ambasadorów. Rada ambasadorów uznała się jednak za kompetentną i zaznaczyła, że granica musi być poprawiona, ale że decyzję w tej sprawie powożmie na wiosnę 1923 r. Teraz gdy termin ten się zbliża rozwinął Benesz szaloną agitację, aby sprawę umorzyć albo odwlec, a tymczasem przewidując niekorzystny jej obrót nałożył podatek 24 milionów koron czeskich na ten obszar (głosy: skandal!).

Rząd polski interwenjował u Rady ambasadorów, przedstawiając, że rząd czeski chce chyba ludność tego spornego terytorjum całkowicie zubożyć. Teraz jest sprawa w Radzie ambasadorów. Niestety nie widzimy u tej Rady chęci do rozstrzygnięcia sprawy w krótkim czasie. Są nawet pewne oznaki, że Rada ambasadorów zaczyna się wahać. Benesz zgroził jej, że rozstrzygnięcie tej sprawy na niekorzyść Czechosłowacji wywoła w Pradze przesilenie rządowe i rząd francuski zaważał się w ostatniej chwili.

Dość już ustępstw rządu polskiego. W naszej polityce wobec Czech nie mamy dotąd ani jednego sukcesu. Polska musi stanąć twardo i domagać się, aby ustępstwa ustały. Wniosek nasz wzywa rząd, aby jaknajrychlej dołożył starań, celem uzyskania u Rady ambasadorów decyzji, przyznającej Polsce Jaworzynę, oraz aby zaznaczył, że dalszą zwłokę musiałaby Polska odezwać jako bolesną dla siebie krzywdę, która nie przyczyni się do pomyślnego ułożenia stosunków czesko-polskich. Nagłość wniosku jednomyślnie uchwalono, poczem po krótkiej merytorycznej dyskusji uchwalono również jednomyślnie rezolucję.

Dnia 16-go maja zajmowała się znowu sprawą Jaworzyny Komisja spraw zagranicznych. Po wysłuchaniu obszernego exposé Ministra Skrzyńskiego i po dyskusji, w której zabierali głos pp. Osiecki, M. Seyda i Stroński przyjęto jednomyślnie wniosek, zalecający Rządowi bezwzględną obronę praw Polski do tego terytorjum i dążenie do załatwienia tej sprawy w jak najkrótszym czasie na gruncie Rady Ambasadorów.

Plan regulacyjny Zakopanego wypracowany przez inż. K. Stryjeńskiego został ostatecznie przez Komisję Min. Rob. publ. obradującą w Zakopanem 29-go i 30-go kwietnia w nieznacznych zmianami ostatecznie przyjęty. Wymaga jeszcze zatwierdzenia Min. R. p.

W ostatniej chwili doszła nas odezwa Oddziału warszawskiego P. T. T. w sprawie schroniska na Hali Gąsienicowej. Fundusze Oddziału już się wyczerpały i roboty będą musiały stanąć, jeśli społeczeństwo nie poprze usiłowań Oddziału wydatną pomocą pieniężną. Odezwa wzywa do składek. Należy je wpłacać na konto Oddz. warsz. w P. K. O. nr. 4000.



NARTY, SANECZKI, ŁYŻWY, NACZY-
 NIA EMALJOWANE, ŁÓŻKA META-
 LOWE, WAGI DZIESIĘTNE I BALAN-
 SOWE, NARZĘDZIA STALOWE, OKUCIA
 BUDOWLANE — — — — — poleca

M. KIERSKI

HANDEL TOWARÓW ŻELAZNYCH
 LWÓW — PASAŻ MIKOLASCHA

FILJE: TARNOPOL I ZBARAŻ

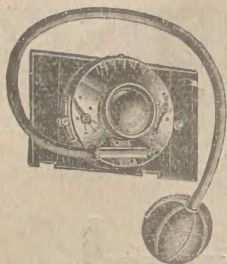


H. ALTENBERG

KSIEGARNIA WYDAWNICZA WE LWOWIE

POLECA NASTĘPUJĄCE WYDAWNICTWA:

	Cena
Styl zakopiański „Ciesielstwo“, tekst St. Witkiewicza, tablice Z. Dobrowolskiego, J. Obrochty, W. Roja, E. Wesołowskiego i S. Witkiewicza	50.000.—
Świtkowski St. Fotografja praktyczna do użytku amatorów i fotografów zawodowych	30.000.—
Świtkowski St. Zasady fotografji dla początkujących	6.000.—
Mokrzycki Tad. A. B. C. lotnicze, ilustrowane	9.000.—
Orłowski. Przewodnik po Galicji	25.000.—
Przewodnik po Krynicy opr. dr. St. Lewicki	6.000.—



Fotograf-amator zakupuje najchętniej we wielkiej firmie, gdyż znajdzie zawsze **świeży** towar i cenę **odpowiednią!** — Najwybredniejsze wymagania z dziedziny fototechniki i optyki zadawała:

HURTOWNIA FOTO-TECHNICZNA LWÓW
TRZECIEGO MAJA 5

Poleca: płyty Häuffa i Agfa, papiery dzienne mensury, ważki, szczypczyki, lupy do nastawiania, chemikalia w nabojach, magnezje, aparaty nowe i używane, zwykle i luksusowe. Sprzedaż i zamiana. — Studenci i turyści mają opust!

OKAZJA: PLYTY DO DJAPOZYTYWÓW 8·5×8·5 15.000 Mp.

FOTOGRAFICZNE APARATY

I PRZYBORY, WIELKI WYBÓR I WIELKI ZAPAS

POLECA

JAN BUJAK LWÓW

PRACOWNIA KONFEKЦИИ DAMSKIEJ MARJI GULECKIEJ

ZAKOPANE, UL. KOŚCIELISKA vis-a-vis restauracji p. WNUKA

WYKONUJE WSZELKIE ROBOTY W ZAKRES KRAWIECTWA WCHODZĄCE.
WYKOŃCZENIE STARANNE. CENY UMIARKOWANE

KLISZARNIA „HELIOS“ ST. CWAK i Ska LWÓW, UL. ZIMOROWICZA 14

WYKONUJE KLISZE DRUKARSKIE, KRESKOWE I SIATKOWE JEDNO I WIELOBARWNE DLA PISM, ILUSTRACJI, CENNIKÓW, PROSPEKTÓW. WŁASNE LABORATORIUM FOTOTECHNICZNE. NEGROGRAFIA I PLANODRUK, WYKONANIE SOLIDNE, CENY PRZYSTĘPNE

GEBETHNER I WOLFF

FILJA W ZAKOPANEM

POLECA BOGATO ZAOPATRZONE DZIAŁY:

KSIĄŻKOWE, NUTOWE, PISM, PRZYBORÓW
PIŚMIENNYCH, MALARSKICH, MUZYCZNYCH,
PAMIĄTEK ZAKOPIAŃSKICH, KART WIDO-
KOWYCH, OBRAZÓW I KART DO GRY

Magazyn jubilersko-optyczny

M. BATKO sprzedaż — komis — zamiana
~~~~~ biżuterji ~~~~~

Zakopane, Krupówki ————— Bazar polski

**STANISŁAW WARCHAŁOWSKI** — ZAKOPANE —  
UL. KOŚCIELISKA 10

MAGAZYN TOWARÓW GALANTE-  
RYJNYCH ORAZ PRZYBORÓW DO  
————— SZYCIA I HAFTU —————



# Mapa polityczna Polski

==== w podziałce 1:750.000 ====

z podziałem na województwa i starostwa  
z podaniem wszelkich dróg i komunikacji

~~~~~ w 8 sekcjach ~~~~~

Cena 15.000 Mp. sklejona 20.000 Mp.

Wydawnictwo H. Altenberga we Lwowie

Malownicza Polska

Ziemia Krakowska

36 fotografii zdjętych wprost z natury w kolorach
przez Tadeusza Rzacę ze wstępem Michała Pa-

~~~~~ wlikowskiego ~~~~~

Cena 50.000 Mp.

Wydawnictwo H. Altenberga we Lwowie





АКАДЕМІЯ НАУК УРСР  
Наукова Книгарня  
Львів  
Коп.

2

1052



## OD REDAKCJI.

Obecny Rocznik „Wierchów“ — dedykowany P. T. T. jako dar jubileuszowy — wychodzi w objętości znacznie zwiększonej; z reguły roczniki nasze obejmować będą około 12 arkuszy druku.

Prosimy czytelników naszych o uwagi o tym pierwszym roczniku, które pilnie rozważymy. Prosimy również o współpracownictwo, zwłaszcza w dziedzinie turystyki. Nie chodzi tylko o nowe wyjścia i szlaki lub o nadzwyczajne przygody, gdyż i stare rzeczy można widzieć odmiennie a w opowiadaniu zrobić nowemi. Pożądane są też dobre i oryginalne zdjęcia amatorskie, których tyle marnuje się po prywatnych albumach.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 grudnia b. r.; wskazaniem jest wcześniejsze zgłoszenie i porozumienie się z Redakcją, aby uniknąć zawodu. Wiadomości i notatki do Kroniki można nadsyłać aż do 15 lutego 1924; tu pożądane są zwłaszcza opisy leśników i zimowisk, warunków pobytu w nich, wycieczek do jakich się nadają etc...

Honorarja wypłacane bywają zaraz po zaaprobowaniu przez Redakcję rękopisu.

ADRES REDAKCJI (z w wyjątkiem lipca, sierpnia i września) dr. Jan Gw. Pawlikowski, Lwów, ul. 3-go Maja 1. 5., lub dr. Adolf Chybiński, prezes Oddz. lwow. P. T. T., Lwów, ul. Kalecza 20. W wymienionych trzech miesiącach adresować należy do reprezentacji Redakcji w Zakopanem: „Kustosz Juliusz Zborowski, Muzeum Tatrzańskie“.

ADRES WYDAWCY: H. Altenberg, Lwów, ul. Pańska 16. l. p.

Ogłoszenia przyjmuje księgarnia wydawnicza do 15 kwietnia 1924. Ceny ustalone będą z początkiem marca.

---

---